

STEVEN SAVILE

SREBRO

Tłumaczenie
Dorota Strukowska

Replika

Tytuł oryginału Silver
Copyright © 2010 Steven Savile

ALL RIGHTS RESERVED
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Replika, 2010

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja
Paulina Wierzbicka

Projekt okładki
Design Partners (www.designpartners.pl)

Skład i łamanie
Dariusz Nowacki

Wydanie I

ISBN 978-83-7674-019-5
Wydawnictwo Replika
ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo
tel./faks 061 868 25 37
replika@replika.eu
www.replika.eu

Druk i oprawa:
WZDZI Drukarnia „LEGA”

Ludzie w moim życiu warci są o wiele więcej niż to, ale oto co jest we mnie najlepszego, i co z miłością ofiarowuję Mamie, Tacie, Davidowi, Sonii, Sarah, Amy i Marie. Wszystko, co robię, jest albo dla Was, albo dzięki Wam. To pewnie znaczy, iż macie sporo na sumieniu.

PODZIĘKOWANIA

Kilkoro dobrych ludzi pomogło mi wyjść na o wiele bystrzejszego niż jestem. Ci skryci w cieniu bohaterowie z pierwszej linii frontu zasłużyli na znacznie więcej niż zwyczajne „dziękuję”:

Jima Sowter - Deborah J. Stevenson - Kurt Criscione

Sonia Helbig - Shane Thomson - Stan Tremblay

No i oczywiście Tim Schulte, za to, że zdecydował się wypuścić tego potwora w niczego się nie spodziewający świat.

Są także ci, którzy pomagają nam pozostać przy zdrowych zmysłach, kiedy zamykamy się w miejscowej kafejce, wykuwając nasze szalone plany. A zatem ci, którzy przychodzą do nas niosąc nam kawę i uśmiech:

Sandi - Milo - Pierre - Siba

Rima - Kim - Jacob

Kochani, nakarmiliście moją duszę. Bez was napisanie „Srebra” zabrałoby lata. To zdumiewające, co potrafi zdziałać kofeina!

„Srebro” ma dług wdzięczności wobec zbyt wielu wspaniałych muzyków, by ich wszystkich wymienić, ale jednemu w szczególności, Jamesowi Grantowi, dziękuję nie tylko za dziesięciolecie słuchania dobrej muzyki, lecz także za to, że tak wspaniałomyślnie zapewnił Noahowi podkład muzyczny do jego jazdy po Londynie o północy.

I wreszcie na końcu, choć nie mniej ważni, przyjaciele z Rzymu i z kraju, którym dziękuję:

Stefan Lindblad - Steve Lockley - Kevin J. Anderson - Stel Pavlou - Brian M. Logan

Bez Was życie byłoby strasznie nudne.

CENA NIENAWIŚCI

KIEDYŚ - TESTAMENT MENAHEMA BEN JAIRA

Tamten ogród miał swego węża, zaś ten miał jego. I tkwiło w tym jakieś ułomne piękno, osobliwa symetria. Wąż słowami jak miód sprowokował niegdyś pierwszą zdradę, ugryzienie zakazanego owocu i grzech pierworodny na wargach pierwszego słabego człowieka. Jego własna zdrada dokonała się pod maską miłości, znów poprzez wargi, przypieczętowana pocałunkiem. Piękno scenerii jeszcze uwydatniło szpetotę obu zrad. To była agonía ogrodu. Iskariota poczuł w dłoni ciężar srebra.

O ileż większy był to ciężar, niż powinno ważyć kilka monet. Jednak teraz były one czymś więcej niż kilkoma Minetami, czyż nie? Były życiem przehandlowanym za srebro. Były jego winą. Zamknął dłoń na wytartej skórzanej sakiewce, zaciskając pięść. Ile warte było życie? Tak naprawdę? Sporo o tym rozmyślał od czasu pocałunku. Czy to ciężar monet, którymi je opłacono? Garść żelaznych gwoździ wbitych w drewniany krzyż, który je zakończył? Albo ciało pozostawione na pastwę ptaków żywiących się padliną?

One wszystkie? Żadne z nich? Pragnął wierzyć, że było to coś bardziej duchowego, bardziej uczciwego - wpływ, jaki człowiek wywiera na otoczenie, suma dobra i zła, uczynków i myśli.

- Weź je, proszę. - Podał sakiewkę rolnikowi. - To pięć razy tyle, ile warta jest ta ziemia. Nawet więcej.

- Nie chcę twoich krwawych pieniędzy, zdrajco - mężczyzna odkaslnął i splunął na ziemię między jego stopami. - Idź sobie.

- Dokąd mogę pójść? Jestem sam.

- Dokądkolwiek, byle daleko stąd. Gdzieś, gdzie ludzie cię, nie znają. Gdybym był tobą, to wróciłbym do świątyni i spróbował odkupić swoją duszę z powrotem. - Mężczyzna odwrócił się do niego plecami i odszedł, pozostawiając samotnego Iskariotę na polu. - A gdyby to nie się udało - krzyknął, nie odwracając się - to zdałbym się na Bożą łaskę.

Iskariota podążył wzrokiem za spojrzeniem mężczyzny do stojącego samotnie na polu szerniałego drzewa. Przed laty uderzył w nie piorun, rozłupując je pośrodku. Jego drewniane wnętrzości zgniły, ale nadal sterczała jedna wisielcza gałąź, przyzywając go na tle ciemniejącego nieba.

Cisnął sakiewką w urągające mu drzewo. Jeden ze szwów pękł przy uderzeniu i monety rozsypały się popieczonej ziemi. Chwilę potem był już na kolanach, szukając ich gorączkowo. Łzy żalu po stracie płynęły mu twarzy strumieniem. Po stracie, ale nie człowieka, którego zdradził, lecz tego, którym sam niegdyś był i którym mógł być. Leżał tam, gdy słońce schodziło coraz niżej, i pragnął, by wypaliło jego ciało i zwęgliło kości, ale nadszedł zmierzch, a on wciąż był żywy.

Pod prażącym słońcem powlókł się chwiejnym krokiem z powrotem przez bramy Jerozolimy i godzinami wędrował po ulicach. Cieleśne udręki tonęły w pocie wylewanym w upale. W powietrzu nie było zmiłowania. Nikt na niego nie patrzył, ale on sam nie był w stanie znieść widoku rozciągniętego przed nim własnego cienia, więc dlaczego inni mieliby chcieć na niego spoglądać? Zaslugiwał na ich nienawiść. Osłonił oczy i spojrzał w górę, w stronę wzgórz ukrzyżowań. Zdało mu się, że dostrzega cień krzyża, czarny na trawiastym tle. Żołnierze już dawno zdjęli ciała. Teraz jedynymi cieniami tam w górze były duchy.

W świątyni wysmiano go, gdy błagał faryzeuszy, by przyjęli z powrotem srebro w zamian za jego wyznanie win i rozgrzeszenie.

- Żyj z tym, coś uczynił, Judaszu, synu Kariotu. Tym jednym postępkim ugruntowałeś swoją spuściznę. Twoje imię będzie trwało: Judasz zdrajca, Judasz tchórz. Pieniądze są twoje,

Iskarioto, to twoje brzemię. Nie możesz na powrót kupić niewinności własnej duszy, a i przecież to nie tak, żeś nie zabijał już wcześniej. Idź sobie, twój widok budzi w nas odrazę - rzekł faryzeusz, zamasztył ręką wskazując wszystkich wiernych zgromadzonych na modlitwie. Odtrącił dłoń Iskarioty, rozsypując kurczowo trzymane przez niego srebro po kamiennej posadzce. Judasz upadł na kolana, jak gdyby płaszczył się u stóp świętobliwego męża. Z pochyloną głową pozbierał porozrzucane monety. Świętobliwy kopnął go pogardliwie. - Zabierz swoje krwawe pieniądze i idź precz, zdrajco.

Iskariota podniósł się z trudem i pokuśtykał w kierunku drzwi.

W drodze do Getsemani dojrzał znajomą sylwetkę Marii Magdaleny, siedzącej na poboczu. Chciał do niej podbiec, upaść do jej stóp i błagać o wybaczenie. Ona straciła jakże więcej niż reszta z nich. Podniosła wzrok, zobaczyła go i uśmiechnęła się smutno. Jej uśmiech sprawił, że zamarł. Czuł ciężar monet w swojej dłoni. Nagle stały się tak ciężkie, jak miłość i dwakroć tak zimne. Wstała i wyciągnęła do niego ręce. Nigdy wcześniej nie kochał jej mocniej niż w tej chwili. W wielu sprawach postąpił wbrew naukom swego przyjaciela, ale w niczym bardziej niż w pragnieniu kobiety, którą kochał. Padł w jej ramiona i objął ją; wstrząsał nim potężny szloch. Nie był w stanie płakać. Po wszystkich tych łzach, jakie wylał, czuł się pusty.

- Tak mi przykro. Tak mi przykro.

Uciszyła go, łagodnie przeczesując mu włosy palcami.

- Szukają cię. Mateusz podburzył w nich gniew. On cię nienawidzi. Zawsze tak było, ale teraz ma usprawiedliwienie. Tracą głowy z rozpacz i żalości, Judaszu. Nie możesz tu zostać, bo inaczej zabiją cię za to, coś uczynił. Musisz odejść.

, - Nie ma już dokąd iść, Mario, on się o to zatroszczył. To jego odwet - zaśmiał się z goryczą. - Nie powinienem był nigdy... Przykro mi. To nie miało się tak skończyć. A wszystko to dlatego, że nie mogłem cię nie pokochać, taki ze mnie głupiec.

- Nasz bóg jest zazdrosny - powiedziała. Słysząc było, że jest zupełnie wyczerpana. Ta pustka w jej głosie raniła głębiej niż jakiegokolwiek słowa. Płakała, ale w jej łzach nie było mocy. - Proszę, idź.

- Nie mogę - odparł i wiedział, że tak jest naprawdę.

Musiał zostać odszukany. Musiał poczuć ciosy rzucanych przez nich kamieni, musiał doznać ich gniewu łamiącego mu kości. To życie było dla niego skończone. Rolnik miał rację, pozostało mu już tylko boskie zmiłowanie. Ale jakież to było zmiłowanie? Jaką łaskę niesło pozbawienie się życia, gdy bramy niebios zamknęły się dla niego? Umysł Judasza nękały wątpliwości, i tak działo się od wielu dni. Jego przyjaciel wiedział, że on nie będzie w stanie żyć z krwią na rękach, a jednak usilnie prosił o tę zdradę. Zatem być może to ukamienowanie miało być rzeczywistym ostatecznym zmiłowaniem?

- Proszę.

- Niech przyjdą. Stanę przed nimi i umrę z tą resztką godności, jaka mi pozostała.

Otarła łzy.

- Proszę. Jeśli nie dla mnie, to zrób to dla naszego syna - ujęła jego dłoń i przyłożyła ją płasko do swego łagodnie zaokrąglonego brzucha.

- Naszego syna - powtórzył, padając przed nią na kolana.

Ucałował jej dłonie, a potem brzuch, przyciskając twarz do zgrzebnej tkaniny jej sukni. Słowa faryzeusza wciąż dźwięczały mu w głowie: Judasz Zdrajca. Jaka mogła istnieć większa zdrada? Wcisnął podartą skórzaną sakiewkę w jej dłoń.

- Proszę, weź je, dla chłopca, dla ciebie.

W odbiciu w oczach Marii zobaczył życie, które utracił. Wiedział, że go kochała, i wiedział też, że miłość to nic wszystkiego. Nie potrafił jej powiedzieć, jak samotny poczuł się w tej chwili.

Odwróciła się od niego.

Opuścił ją, wędrując długą drogą ku śmierci. Miał czas na rozmyślenia, miał czas na wspomnienie obietnicy, którą złożył, i czas na to, by jej żałować. Był to marsz wypełniony rzeczami dokonującymi się po raz ostatni - Judasz patrzył, jak słońce opada poniżej linii drzew; czuł wiatr na twarzy; smakował na języku suche powietrze; zdjął szatę i nagi wszedł do ogrodu.

Czekali na niego.

Nie cofnął się przed bólem i nienawiścią w ich oczach. Nie próbował się usprawiedliwiać. Stał przed nimi obnażony.

- Zabiłeś go - odezwał się Mateusz, przeklinając go.

To były ostatnie słowa, jakie usłyszał Judasz Iskariota. Mateusz trzymał w dłoniach sznur. Był zawiązany w pętlę.

Z ulgą przyjął pierwszy kamień rzucony przez Jakuba, gdy trafił go w skroń. Nie wzdrygnął się. Nie poczuł go. Tak jak nie poczuł drugiego od Łukasza ani trzeciego ciśniętego przez Jana. Kamienie uderzały jeden za drugim, każdy rzucony z większą siłą od poprzedniego, aż powaliły Iskariotę na kolana. Wszystkim, co czuł, była agonia ogrodu. Mateusz wystąpił naprzód ze sznurem i zarzucił pętlę na szyję Judasza.

Judasz załkał.

2

TEN OGRÓD TERAZ

Chłopiec spoglądał w górę, na ojca, z uwielbieniem j w oczach.

Jair nigdy nie mógł w ten sposób spojrzeć na swego własnego ojca. Jakie to uczucie, patrzeć w twarz taką jak ta, którą będzie się miało samemu, gdy się dorośnie? To zwyczajne prawo, na jakie zasługiwał każdy chłopiec. Jednak Jair nigdy nie poznał swego ojca. Zamordowano go, zanim Jair się urodził. Ten ogród to jedyne miejsce, w którym czuł się blisko niego. Jair czasami przychodził tu w nocy i wyobrażał sobie, że westchnienie wiatru wśród gałęzi oliwnych to głos jego ojca. Jego matka raz po raz błagała go, by tu nie chadzał, by nie pogrążał się w przeszłości. To miejsce dla duchów, mawiała. Jair nie wiedział, czy miała na myśli przeszłość, czy i ten ogród, czy jedno i drugie. To nie miało znaczenia. Teraz sama była duchem. Kiedy podnosił któryś z porozrzucanych kamieni, nie mógł się nie zastanawiać, czy to właśnie ten, który uśmiercił jego ojca. Wyczuwał kciukiem ostre krawędzie. Niejeden raz mocno chwycił kamień i podnosił go do skroni, próbując poczuć taki sam ból, jaki musiał odczuwać Judasz, ale nie potrafił. Żaden kamień na świecie nie był w stanie uchwycić bólu jego ojca, bo nie był to ból fizyczny. On wiedział to lepiej niż ktokolwiek.

Ojciec i syn, trzymając się za ręce, wkroczyli do Getsemani pod łukiem oliwnym.

Ogród tonął w kwiatach. Wszędzie wokół nich panowało szaleństwo barw, od subtelnych różnic po gwałtowne kontrasty. Jair wziął głęboki wdech i poprowadził Menahema przez ogród w stronę małego sanktuarium z białego kamienia. Trawa była upstrzona złotymi cętkami światła w miejscach, gdzie słońce przebijało się przez baldachim Iści. Otaczało ich bogactwo najprzeróżniejszych zapachów. Pomimo upału mężczyzna zadrżał. Kapliczka miała za sobą lepsze czasy. Oblicze posągu pokryły porosty. Wokół sanktuarium rozłożono kilka ofiarnych drobiazgów: figurkę wykonaną z oliwnych gałązek i powiazaną trzcina, gwóźdź, fragment tabliczki ze znakiem krzyża oraz monetę. To była ofiara Jaira, pamiątka drugiego uczestnika tragedii w ogrodzie. Wszyscy pamiętali zdradę, ale zapomnieli o poświęceniu.

Jego syn mocniej ścisnął jego dłoń, jak gdyby wyczuwając niepokój. Tkwiła w tym geście szczerza czułość, ale nie na tyle silna, by ocalić duszę człowieka.

Jair zmierzwił włosy chłopca. To była rzadka chwila czułości ze strony mężczyzny. Nie wiedział, jak samemu być ojcem. Nie dlatego, że jego matka, Maria, go nie kochała. Kochała go aż nadto. Ale on miał twarz ojca. Z każdym dniem coraz bardziej przypominał człowieka, którego kiedyś kochała, a to boleśnie przypominało jej o tym, co straciła. Jair był żywym duchem. Przez sam fakt, że przebywał w pobliżu, siadywał na jej kolanach i patrzył na nią, że uśmiechał się tym samym uśmiechem, co jego ojciec, przywoływał wszystkie wspomnienia. Był jej zalem tak samo, jak radością. Jakże to mogło nie zrujnować więzi między nimi?

- Rób to, co ja, chłopcze - powiedział i uklęknął, pochylając głowę w cichej zadumie. Pozostał w tej pozycji bardzo długo.

Ktoś patrzący z boku mógłby pomyśleć, że zanoszą modlitwę do zdradzonego mesjasza, jak tylu innych odbywających pielgrzymki do tego ogrodu. Tak nie było. Jair wspominał ojca, którego nigdy nie poznał, podczas gdy chłopiec cieszył się jego bliskością. Była to najprostsza ze wszystkich przyjemnych rzeczy.

- Inni mogą zapomnieć, ale ja będę pamiętał - Jair obiecywał duchom w ogrodzie. - Inni mogą nienawidzić, ale ja będę kochał. - Słowa te były czymś więcej niż tylko obietnicą; były ewangelią nieżyjącego człowieka. - Inni mogą być ślepi, ale ja będę widział. - Podniósł wzrok. Miał zaczerwienione oczy, ale nie było w nich łez. Tak dziwnie było myśleć, że to właśnie tutaj nastąpił kres miłości. Popatrzył na syna i poczuł jedynie smutek. Chłopiec tak szybko dorastał. Teraz był już wystarczająco duży, żeby odróżnić prawdę od kłamstwa. To dlatego go tutaj przyprowadził. - Podejź tu - odezwał się, szeroko rozkładając ramiona. Chłopiec zerwał się i rzucił w objęcia ojca. Uścisk wydawał się trwać bez końca, aż wreszcie mężczyzna się odsunął. - Nadszedł czas, żebym dopowiedział, co się tu wydarzyło - powiedział.

Jair sięgnął między poły swoich ubrudzonych drogą szat i wyjął sfatygowaną skórzaną sakiewkę, którą dała mu matka. Był w tym samym wieku, co Menahem, kiedy przyprowadziła go w to miejsce, żeby mu opowiedzieć o ojcu. Tamtego dnia nigdy wcześniej o nim nie mówiła. Polni ciężar srebra. Monety fascynowały go, kiedy był młodszy. Teraz znajdował w nich dziwną pociechę, dołożył sakiewkę na ziemi między sobą a synem. O ile dobrze pamiętał, siedzieli z matką w tym samym zakątku, być może nawet pod tym samym drzewem. Ona by to pochwaliła. Lubiła symetrię, znaki i kręgi.

- W tym miejscu umarł mój ojciec - powiedział. - Po dwakroć.

- Nie rozumiem - odparł chłopiec.

Bo i czemu miałby rozumieć, pomyślał Jair, szukając słów, żeby to wytłumaczyć.

- Raz umarł jego duch, a potem jeszcze raz jego ciało, krew i kości. Ludzie mówią o zmartwychwstaniu Jezusa, wychwalają człowieka, który żył po dwakroć, ale zapominają o moim ojcu, człowieku, który po dwakroć umarł. Najpierw zniszczyli jego duszę, zmuszając go do spełnienia przyrzeczenia, a później, kiedy stał się wrakiem człowieka zniszczyli ten wrak, roztrzaskując go kamieniami. Jednak my, nieliczni, pamiętamy. Mój ojciec działał dla Sofii. Czy rozumiesz, co to oznacza, kiedy tak mówię?

Chłopiec pokręcił głową.

- Sofia to Boska Mądrość, Wiedza Boga. A zatem kiedy mówię, że Judasz Iskariota działał dla Sofii, mam na myśli to, że trudził się dla Boskiego Celu.

- Wykonywał wolę Boga? - spytał chłopiec.

- Właśnie tak. Pomyśl o historii, którą znasz, o mesjaszu na krzyżu, zmartwychwstaniu. Bez zdrady twojego dziadka mogłoby nie być zmartwychwstania. Bez śmierci i zmartwychwstania ludzkość mogłaby nie zostać nigdy oczyszczona z grzechów. Bez Judasza mogłoby nie być nowej wiary, Menahemie. Nigdy nie zapominaj o tej prawdzie. On wszystko

poświęcił, i napiętnowano go za to. - Wysypał srebrne monety na trawę i rozgarnął je palcami. - Wszystko z powodu tego.

- Pieniądzy?

- Pieniądzy, jakie dał mu najwyższy kapłan, Kajfasz, w zamian za pocałunek, którym wskazał swojego przyjaciela, Jezusa. Teraz z powodu tych monet przedstawiają go jako złoczyńcę, ale to nigdy nie było tak. W tym miejscu, w noc poprzedzającą pocałunek, Jezus odciągnął mojego ojca na bok i prosił go, by był silny, ponieważ już zaczynał się wahać. Bo widzisz, ta zdrada, ta agonía mu narzucona, nie była jego dziełem - Jair tak bardzo pragnął, żeby chłopiec zrozumiał, ale trudno było znaleźć słowa. - Oni byli jak bracia, ich miłość silniejszą niż więzy krwi. Twoja babcia stanęła między nimi. Uwielbiała ich obydwu, obu tych wspaniałych ludzi. Potem powstały te wszystkie nowe kłamstwa, ale taka jest jej prawda, i od dzisiaj też twoja, żebyś o niej pamiętał. Nie pozwól, żeby świat zapomniał, chłopcze, i nie daj im się przekonać, że jest inaczej; oni byli przyjaciółmi aż do śmierci. Oto jest jedyna prawda. Nie pozwól, żeby świat o tym zapomniał.

- Nie pozwolę, ojcze, przyrzekam - odpowiedział uroczyście chłopiec.

Jair uśmiechnął się łagodnie.

- Wiem, tnój synu. Wiem.

- A co się stało potem? - zapytał Menahem, jak gdyby to była jakaś inna opowieść, którą usłyszał i chciał poznać jej zakończenie.

- Po awanturze w świątyni Jezusowi groziło niebezpieczeństwo. Faryzeusze nie mogli znieść tego człowieka, który wkroczył pomiędzy biedaków, szerząc przesłanie miłości bez lęku. Bez lęku, chłopcze, to jest w tym ważne. Miłość bez lęku. Miłość bez chciwości. Miłość bez zakazów. Wyprowadził ich ze świątyni, sprowadzając z powrotem na ziemię. Był im nauczycielem. Nienawidził tego, co uczynili z jego Bogiem, jak odebrali Go ludziom i ukryli w swoich olbrzymich świątyniach i w swoich fałszywych bożkach. On pragnął, żeby ludzie wielbili cud natury, a nie oblicze stworzone przez człowieka. - Jair podniósł jeden z kamieni i obracał go w dłoni, tak by chłopiec mógł dobrze widzieć. - Spójrz na ten kamień, zobacz go właściwie, zobacz cud czasu z tarcia, i sił ziemi, które musiały dożyć się razem na to, by wcisnąć go w ten ostateczny kształt. To, chłopcze, jest cud na miarę Boga. Układanie ich rzędami jeden na drugim po to, żeby zbudować mur, to tylko rozsądek. Czy zauważasz różnicę?

Chłopiec zastanowił się nad tym przez chwilę.

- Tak, ojcze - powiedział w końcu. - Kamień zawsze tam był, bez względu na kształt, jaki dla niego wybierzemy. Tak jak drzewo. Samo w sobie może dawać odpoczynek i cień, rodzić owoce i zaspokajać nasze potrzeby, ale cieśla może je zmienić tak, żeby je dostosować do własnych potrzeb.

Jair uśmiechnął się. Chłopiec miał bystry umysł.

- A co z tego jest cudem?

- To pierwsze, drzewo.

- Jednak obie rzeczy są stworzone, czyż nie?

- Nie, ojcze, jedna jest stworzona, ta druga jest odtworzeniem.

- Bardzo dobrze, Menahemie. Bardzo dobrze. - Uśmiech Jaira stał się szerszy.

Mężczyzna zastanawiał się, czy sam tak łatwo pojął tę koncepcję, kiedy był w wieku chłopca. Miał co do tego wątpliwości. - Nazareńczyk odtwarzał Boga z; ich ksiąg, zabierał go ze świątyni na pola, z powrotem do Jego pierwotnych cudów i przypominał im, że nie potrzebują kamiennych świątyni, by go wychwalać. To przerażyło faryzeuszy. We wnętrzach świątyni sprawowali kontrolę nad ludem. Odbierz im ich świątynie, a odbierzesz władzę. Gorzej, zmień sposób, w jaki ludzie myślą o swoim bogu, uczyni z niego miłującego ojca zamiast jakiegoś dalekiego mściwego bóstwa, oczyszczającego świat za pomocą potopu i zarazy, a

oddalisz lęk. Bez władzy, bez lęku, ci ludzie byli niczym. I to przeraziło ich bardziej niż cokolwiek innego.

- A więc chcieli, żeby Jezus zginął?

- Właśnie. Chcieli go obedrzeć ze wszystkiego, co czyniło go wyjątkowym, zakładając, że cokolwiek pozostanie, okaże się równie tchórzliwe, jak oni sami. Nie potrafili pojąć znaczenia ofiary, Nie było na to miejsca w ich filozofii. A zatem, żeby sprawić, by cierpiał, sprawili, by cierpieli ludzie podążający za nim. Po napaści na lichwiarzy faryzeusze zwrócili swój gniew przeciwko ludziom słuchającym przesłania o tym nowym miłującym Bogu, i krzywdzili ich. Dlatego tu, w tym ogrodzie, Jezus zwrócił się do twojego dziadka i prosił go, żeby pomógł mu położyć kres ich cierpieniom. Nawet jeśli to oznaczało kres jego własnego życia. Judasz nie chciał zdradzić przyjaciela. Jakież człowiek by chciał? Ale jaki miał wybór? Ludzie, których kochał, cierpieli. Faryzeusze prześladowali ich z powodu Jezusa, zarzekając się, że te cierpienia zakończą się dopiero wówczas, gdy Jezus zostanie uciszony. Szerzyli kłamstwa i nienawiść. Posługiwali się oboma, żeby podważyć prawdę na tyle, by ludzie powracali do świątyni po ochronę. Im zawsze chodziło o lęk. Zawsze lęk. Tak więc obaj przyjaciele wspólnie ułożyli plan, który raz na zawsze miał położyć kres tyranii świątyni. I przebywali tutaj, w tym ogrodzie, w tym samym miejscu, gdzie mój ojciec miał wydać przyjaciela żołnierzom, w tym samym miejscu, gdzie kamienie uczniów miały zakończyć jego życie. Tutaj, w tym ogrodzie. Rozszerzonymi oczyma chłopiec rozejrzał się dokoła, jak gdyby widząc to miejsce po raz pierwszy. Tam, gdzie były drzewa i krzewy, on zobaczył duchy. Jair pamiętał to uczucie. Pamiętał, jak myślał, że widzi ojca leciutko skłaniającego głowę, i jego uśmiech, gdy matka dała mu monety. Umysł zna sposób na to, by dać człowiekowi to, czego mu najbardziej potrzeba. Jair zastanawiał się, kogo zobaczył chłopiec.

- Ta obietnica zniszczyła mojego ojca. Zabiła człowieka, jakim niegdyś był. Zabiła życzliwość i humor, i wszystko, za co kochała go moja matka. Przez resztę życia był pustą lupiną, wrakiem, strzępem człowieka. Zresztą nie zostało mu tego życia za wiele. Matka spotkała się z nim na drodze, która tu prowadzi. On wiedział, że na niego czekali. Wiedział, że zamierzali go zabić. Błagała go, żeby uchronił, ale on by tego nie zrobił, ponieważ pragnął umrzeć.

Coś poruszyło chłopca.

- O co chodzi, synu?

- Dlaczego Jezus sam się nie poddał? Dlaczego potrzebny mu był dziadek, żeby go wydać? - zapytał poważnie Menahem.

To było pytanie, które nękało Jaira przez większą część jego dorosłego życia. Widział, jak ludzie pluli na jego matkę, ci tak zwani świątobliwi mężowie, i przeklinali ją, nazywając nierządnicą. To raniło do żywego. Były to kłamstwa. Faryzeusze starający się ją oczernić. Jair spytał kiedyś matkę, dlaczego Judasz musiał umrzeć za tego drugiego człowieka z jego nową religią. Ponieważ znała obu lepiej niż ktokolwiek inny, sądził, że może znać odpowiedź. Udzieliła mu jedynej odpowiedzi, jaka miała sens:

- Ponieważ on w sobie wątpił. Nie był pewien własnej siły. Jezus potrzebował kogoś u swego boku, żeby mieć pewność, że przez to przejdzie. On się nie tylko poddawał żołnierzom, on sam składał siebie w ofierze. Musiał wiedzieć, że nie jest sam. I taka była ofiara, jaką złożył twój dziadek. Oddał sam siebie, żeby jego przyjaciel mógł zakończyć tyranie faryzeuszy. - I dlatego ona pozwalała im się opluwać i nazywać nierządnicą.

- Musiał być dzielny - odezwał się chłopiec.

Jaif przytaknął, znów zagubiony we wspomnieniach, które nie należały do niego.

- Nawet jego przyjaciele odwrócili się od niego, ponieważ nie mógł powiedzieć im prawdy. Jak wszyscy pozostali, myśleli, że zdradził Jezusa. Nie rozumieli. Tylu rzeczy nie rozumieli. Sądziło, że działał wiedziony zazdrością i chciwością. Myśleli, że chodziło tylko o te przeklęte monety. Wcale nie. Nigdy tak nie było. Teraz to wiesz. On utracił wszystko, gdyż

był spośród nich najlepszy, najsilniejszy, najbardziej oddany. A teraz nazywają go wiarołomnym. - Jair zamknął oczy. Prawdziwa zdrada wciąż była dla niego jak świeża rana. - Miał wkrótce zostać ojcem, a jednak dla przyjaciela zrezygnował z szansy, by kiedykolwiek mnie poznać. - Spojrzał na syna, starając się wyobrazić sobie siebie na miejscu swego ojca. Wszystkie wybory, których Judasz dokonał w życiu, zbladły przy tym jednym, jakiego dokonał w tym ogrodzie. Łatwo byłoby uciec, zabrać Marię i rozpocząć nowe życie z rodziną. Znajoma fala goryczy znów w nim wezbrała. - Nie potrafię sobie wyobrazić, że mógłbym cię nigdy nie poznać - powiedział Jair, ciesząc się, że oszczędzono mu przynajmniej tej męki.

Pozbierał srebro i wręczył sakiewkę synowi.

- Teraz należą do ciebie. Myśl o nich jako o ostatniej pamiętce ofiary twojego dziadka. Nie możemy zapomnieć prawdy. Chociaż tyle jesteście mu winni, czyż nie?

- Nigdy nie zapomnę - przyrzekł Menahem.

3

SZTYLET

Podkraść się do świątobliwego męża. Powietrze było gęste od woni piżma, która miała zamaskować ludzki odór. Światło słońca wpadało przez wąskie okna i rozбивało się na podłodze na okruchy niczym złote monety złożone jako ofiara dla najbardziej chciwego z bóstw. Icchak, kapłan, klęczał, pochylony przed ołtarzem, mruczając modlitwy w wewnętrznym sanktuarium świątyni. Świątobliwy nie przerwał modłów. A on podkraść się bliżej, nasłuchując płytkiego falowania oddechu Icchaka i łagodnego rytmu jego modlitwy. Była w niej nadzieja, miłość i siła. Już za moment nie będzie nic prócz pustej ciszy tam, gdzie wcześniej istniało to wszystko.

Sykariusz zastygł o krok za kapłanem.

Icchak odwrócił się i spojrzał w górę, zaskoczony, z dłońmi splecionymi na podołku.

- Bóg, w którego wierzysz, jest fałszywy - powiedział do świątobliwego męża.

Były to ostatnie słowa, jakie kapłan miał usłyszeć. W oczach Icchaka gorączkowo zalśnił strach, kiedy sykariusz chwycił go za włosy i odciągnął mu głowę do tyłu. Sztylet przeciął gardło jednym płynnym ruchem. Z ust Icchaka wyrwał się śmiertelny charkot. Chwycił się za ranę, próbując zmusić powietrze i krew do powrotu pod rozoraną skórę. Nie było jednak ocalenia. Sykariusz zwolnił uchwyt i Icchak upadł. Był martwy, jeszcze zanim jego ciało legło bezwładnie na podłodze śliskiej od krwi.

Menahem nigdy nie zapomniał o przyrzeczeniu. Płonęło w nim, gdy świat się zmieniał, a on dorastał i stawał się mężczyzną. Kształtowało wszystko, w co wierzył. Pobrzmięwało echem w każdym czynie, jakiego dokonywał, i w każdej decyzji, którą uzasadniał. Pod wieloma względami prawda jego dziadka była esencją człowieka, jakim się stał - zgorzkniałego, posępnego samotnika. Menahem ben Jair trzymał się z boku. Lepiej się czuł w samotności. Czerpał siłę z izolacji. Nie było nikogo, kogo nazywałby przyjacielem. Nie miał czasu dla sekt i ich nowych religii. W Jerozolimie istniało ich już ze trzydzieści czy więcej; każdy człowiek oddawał cześć jakiemuś własnemu Mesjaszowi. Menahem nie oddawał czci żadnym fałszywym bogom. Miał własny rozum. Wierzył w jedno, w jedną prawdę, że jego kraj powinien być dla jego rodaków. Widział, jak cierpiał jego ojciec. Siadywał u jego kolan i słuchał opowieści o rzymskich poplecznikach opluwających jego babkę i nazywających ją nierządnicą za to, że kochała niewłaściwego człowieka.

A potem zabili Jaira. Tamten dzień zmienił chłopca w mężczyznę, jakim było mu przeznaczone się stać.

Menahem ben Jair był sykariuszem.

Człowiekiem ze sztyletem.

Świat mógł zmienić go w zabójcę, ale w głębi serca Menahem wciąż pragnął być tamtym chłopcem, który wszedł do ogrodu, żeby wysłuchać nauki udzielonej przez ojca.

Miał zamęt w głowie. Spojrzał w dół, na swoje dłonie. Kształtne jak skrzydła anioła, były chropawe, zahartowane przez życie, ale nadal piękne. Krew znikła, lecz nawet najdłuższe szorowanie ługiem nie mogło usunąć jej gorzkiej żelazistej woni z jego umysłu. A jednak to się nie liczyło. Wyszorował dłonie po raz piąty. To dziwne, zazwyczaj tak łatwo było zapominać twarze tych, których zabił, ale nie tym razem. Twarz Icchaka Ariego płonęła w jego głowie: widział ją za każdym razem, kiedy zamykał oczy. Nie był w stanie wyrzucić jej z pamięci.

Morderstwo nie było dla Menahema czymś nowym, ale teraz po raz pierwszy odebrał życie kapłanowi.

W morderstwie Icchaka Ariego nie chodziło o wiarę czy wściekłość. Miało zupełnie inny cel. Motyw był wykalkulowany równie chłodno, jak sam czyn. To było Zabójstwo polityczne. Gambit otwierający długą grę morderstwa i poświęcenia, w której kuszącą nagrodą była wolność. Krew f ego świątobliwego męża posłużyła do nastawienia wiernych przeciwko wiarołomcom. Herodianie i inni rzymscy sympatycy już dawali upust swemu oburzeniu z powodu zabójstwa. Zdażyli już wyjść na ulice, głośno pomstując. Gdy nadejdzie świt, oburzenie przemieni się w zapal i wściekłość, i nim zapadnie zmierzch, Jerozolima spłynie krwią.

To takie proste.

Nadal jednak istniało wiele spraw, o których pfenahem musiał pomyśleć, tak wiele rzeczy, które mogły pójść źle.

Chodził tam i z powrotem. Drzwi za nim otworzyły się. W słońcu jego gość wyglądał jak zwalista czarna sylwetka. Menahem rozpoznał swego młodszego brata.

- Czego chcesz?

- Cóż, po pierwsze, chcę, żebyś przestał chodzić tam i z powrotem jak jakaś starucha - odburknął Eleazar. - Jeszcze ktoś pomyśli, że tracisz zimną krew, bracie.

- Tylko myślę - uspokoił go Menahem, chociaż myślenie to coś innego niż wspomnianie. Myślenie to działanie, wspomnianie to bierność. Menahem nie lubił bierności. Wiódł intensywne życie. Angażował się. Sam sprawiał, że wydarzenia rozgrywały się wokół niego. Nie siadywał beczynnym, po prostu pozwalając, by rzeczy mu się przydarzały.

- Nie, wcale nie. Znam cię. Wciąż na nowo przetrawiasz to, co powiedziała ta obłąkana wywłoka, czyż nie? Znam cię. Spójrz na mnie. A teraz słuchaj. To nie była wieszczka, ona tylko bredziła. Choroba dotarła do jej głowy i namieszała jej w umyśle. To różnica. Nie każde szaleństwo to uchylenie rąbka przyszłości. Czasami to tylko najzwyczajniejszy obłąd.

- A czasami nie - odparł Menahem. Prawdę mówiąc, sam nie był już pewien, w co wierzy. I to martwiło go bardziej niż cokolwiek innego. Przywykł do życia według prawd absolutnych.

Obłąkana wywłoka, jak to barwnie ujął Eleazar, przyszła tu dzisiejszego ranka, wlokąc się chwiejnie w górę po pochyłym podjeździe aż do bram fortecy Masada, i stała tam, waląc w olbrzymie drewniane drzwi, aż jej pięści pokryły sińce i krew. Z początku ignorowali ją, sądząc, że sobie pójdzie. Nie odeszła. Zamiast tego dobijała się jeszcze mocniej. Ktoś wylał na nią z góry wiadro pomoy, myśląc, że to ją uciszy. Nie uciszyło. Nadal waliła pięściami w solidne, okute żelazem drzwi.

Wreszcie Menahem otworzył.

Owinięta od stóp do głów łachmanami, które ledwie skrywały rany wywołane trądem, zatoczyła się do przodu i chwyciła go za kark.

- Będziesz martwy przed wschodem słońca, jeżeli zabijesz kapłana - wychrypiła. Jej oddech cuchnął, posłuchaj mnie, Menahemie, synu Jaira, posłuchaj mnie!

Odepchnął ją. Bezwładnie upadła na ziemię. Leżała tak, z suknią zadartą po pas, a pył wciskał się w otwarte rany, którymi poznaczone były jej uda.

- Widzę twoją śmierć!

- A ja twoją - powiedział, odwracając się do niej plecami. Zatrzasnął ciężkie drzwi. Stał, opierając się plecami o drewno, i oddychał ciężko. Nadal słyszał ją przez grube deski.

Menahem zaparł bramę belką, żeby się od niej odgradzić. Nic to nie dało. Już utkwiała mu głowie.

Menahem i Eleazar wyszli razem z niewielkiej komnaty i wspięli się po wąskich schodach na wał obronny fortecy Masada. Wiatr zawodził wokół nich. Chociaż równina leżała ponad tysiąc stóp poniżej płaskowyżu, na którym wzniesiono warownię, Menahem i tak poczuł piasek niesiony wiatrem, gdy podmuch uderzył w jego twarz. Wiatr miał swoją nazwę: samum. Znaczyło to „trujący wiatr”. Nazwa była trafna. Powietrze było gęste od pyłu. Przyglądał się, zafascynowany gigantycznymi pyłowymi burzami, nieustannie wzbierającymi i rozpraszającymi na nowo. Równie dobrze mogły to być duchy pustyni, dusze, które posłał na zatracenie. Łatwo odgadnąć, skąd wzięły się opowieści o wielkim dzinie. Wystarczyło tylko kilka zabobonnych umysłów, prażące pustynne słońce i samum, aby narodziła się nadprzyrodzona moc.

Potarł szorstką szczecinę swojej krótko przyciętej brody. Eleazar miał rację - klątwa kobiety nie dawała mu spokoju. Teraz, gdy jej słowa dźwięczały mu w głowie, bez ustanku podkopywały jego pewność siebie. Wątpliwości pęczniały w nim jak wrzód.

Spoglądając na zachodzące słońce, uzmysłowił sobie, że brakuje ptaków. Nie był pewien, co to oznacza, ale zjawisko było na tyle rzadkie, że je zauważył. Wczoraj Menahem twierdziłby, że nie jest ani odrobinę przesądny, lecz dzisiaj potrafił myśleć tylko o tym, że wczoraj był głupcem.

- Chodź ze mną, bracie - odezwał się, odwracając się od Morza Martwego i rozciągniętego nad nim pustego nieba. - Zdaje się, że dziś wieczór jest dobra pora na prawdę.

- Nie umrzesz - powiedział znowu Eleazar, kręcąc głową.

- Ja umrę, ty umrzesz, to jedyna pewna rzecz w życiu - odrzekł Menahem, zdobywając się na cierpki uśmiech, który nie dotarł do jego oczu.

- Ach, więc teraz jakiś przekłety filozof z ciebie? Zaraz zapytasz mnie, czy kiedykolwiek rozważałem moralną kwestię tego, co robimy - jego brat pokręcił głową.

Eleazar był o ponad dekadę młodszy. Menahem mógł dostrzec ojca w każdym calu twarzy swego brata. Niekiedy zdawało mu się, że widzi starego ojca patrzącego nań oczyma Eleazara, tak niepokojące było to podobieństwo.

- Nie dany jest nam luksus martwienia się o kwestie moralne, kiedy nasi rodacy Wciąż są więźniami na własnej ziemi. Jeżeli my nie zabijemy wrogów, oni zabiją nas. Po prostu tak już jest. Dopóki nie będziemy wolni, jestem wyłącznie sztyletem, który trzymam w ręku.

- A więc, sztylecie, czemu nie podzieliś się tą swoją prawdą?

Menahem zrobił to.

Przez chwilę szli w milczeniu. Menahem zbierał myśli. Tyle musiał opowiedzieć, wiele z tego miało zabrzmieć jak kłamstwa, a musiał sprawić, żeby brat mu uwierzył. Po raz pierwszy bowiem Menahem dzielił się z młodszym bratem prawdą o ich dziadku, Judaszu Iskariocie. Pokazał mu trzydzieści szekli z Tyru, które były ich spuścizną, i opowiedział prawdziwą historię agonii w ogrodzie. Po tych wszystkich latach chronienia tajemnicy Menahem był zdumiony, jak dobrze mu zrobiło, gdy zrzucił ciężar i miał kogoś, kto rozumie.

- Chcę, żebyś wziął te monety - powiedział na koniec. - Weź je, są twoje.

Eleazar oparł się o mur, spoglądając w dal na równinę.

- Nie - odparł wreszcie. - Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, to powinniśmy je wykorzystać, żeby uhonorować dziadka, a nie je ukrywać.

- A jak proponujesz tego dokonać?

Eleazar zastanowił się nad tym przez chwilę.

- Jesteśmy sykariuszami, bracie. Jesteśmy ludźmi sztyletu. Jakiż lepszy sposób zachowania tej prawdy niżli użyć ich, żeby zlecić wykonanie najlepszego ostrza w dziejach?

- Czyś ty w ogóle słuchał, co mówiłem, bracie? Te monety są przeklęte. Nie mogą zostać wydane. Dziadek nie zdołał ich nawet oddać.

Eleazar potarł kciukiem i palcem wskazującym pó szczecinie na podbródku. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Na co się zdadzą monety, których nie można wydać? Jeszcze przez chwilę stali w milczeniu, aż wreszcie Eleazar się uśmiechnął.

- Bądź łaskaw odpowiedzieć - rzekł. - Zatem monet nie można wykorzystać, żeby zapłacić dobremu płatnerzowi, ale to nie oznacza, że same monety nie mogą zostać przekute w sztylet, prawda?

- Srebrny sztylet? - Przez chwilę Menahem się nad tym zastanawiał. Ten pomysł wydawał się słuszny, wzięwszy pod uwagę, że monety, lub raczej to, co oznaczały, wywarły duży wpływ na uformowanie sykariuszy. Przekształcenie szekli w sztylet wydawało się właściwe. Jednak srebro to tak miękki metal, że każde wykonane z niego ostrze będzie niemal bezużyteczne. Z drugiej strony, czy sztylet, który nigdy nie miał służyć do zabijania, nie byłby jeszcze trafniejszym hołdem dla Judasza Iskarioty? - Niech nad tym pomyślę.

Resztę dnia poświęcił na rozmyślenia. Pomysł sztyletu przypadł mu do serca tak bardzo, że kazał Eleazarowi rozpaść ogień w kuźni i przyrzekł, że wkrótce do niego dołączy.

Nie mógł się uspokoić. Mógł myśleć tylko o jednym: jutro, jutro i jeszcze raz jutro. Zanosilo się na to, że przyniesie ono wyraźny przełom dla walki toczonej przez sykariuszy. Klątwa wiedzy tkwiła w jego umyśle jak cierni. Czy zabijając kapłana, ściągnął przekleństwo na nich wszystkich? Nie. Nie pozwalał sobie tak myśleć. Plan był dobry. Sprawdzał go tysiąc razy. Sprawa była prosta: mistyfikacja, podstęp i rzeź.

O pierwszym brzasku sykariusze uderzą na źródło zaopatrzenia Jerozolimy. Spalą plony i wyrzną bydło - bez żywności miasto podupadnie w ciągu kilku dni, zmuszając ludzi do zwrócenia się przeciwko oblegającym Rzymianom. Nie będzie już więcej słabeuszy usiłujących wynegocjować pokój dla głodujących. Ludzie wyjdą na ulice, myśląc tylko o jednym: o jedzeniu. To gra pozorów. Odwracała uwagę od tego, I| naprawdę robili, i pozwalała ludziom ze sztyletami znikać bez śladu w gettach. Kiedy już zostawią mylne tropy, będą mogli zorganizować prawdziwą rebelię na ulicach, zadając cios i ulatniając się, zanim ofiara skona. Raz za razem, niczym żmije, będą atakować, zatapiając swoje stalowe kły w ciałach pielgrzymów, zmęczonym krokiem sunących w kierunku Wzgórza Świątynnego w poszukiwaniu zbawienia, uderzając w kapłanów i żołnierzy, porzucając ich wijących się w pyle i wykrwawiających się na drogach.

Nie zaprzestaną, dopóki ostatni herodianin i rzymski sługus nie zostanie albo zabity, albo wygnany z miasta, pozostawiając Jerozolimę dla Żydów.

To będzie wspaniałe. Słuszne. Co więcej, będzie właściwym upamiętnieniem zarówno jego ojca, jak i dziada. Będzie oznaczało, że jeszcze więcej dusz dołączy do nich, gdziekolwiek teraz są. Uparcie nie chciał myśleć o niebie czy o jakimś łaskawym stwórcy opiekującym się duchami zmarłych. W wyobraźni Menahema życie pozagrobowe to miejsce cierpienia i udręki, Gehenna, gdzie brama do *teszawy* - pozwalająca powrócić do Boga - zamknięta jest na cztery spusty. Jakże mogłoby być inaczej, skoro zbudowane jest na kłamstwie? Nie było miłującego chrześcijańskiego Boga, żadnego wiecznego życia w Olam Habah, przyszłym świecie. Jedyne bóstwo, w które wierzył, było mściwe; to leń, który sprowadził powódź, żeby oczyścić własne dzieło; który żądał od Abrahama, by zamordował

własnego syna, aby udowodnić, jaki jest wierny. To był Bóg władający życiem po śmierci, Bóg zdolny do wyobrażenia sobie piekieł takich jak jeziora ognia, istniejące tylko po to, by płonęli w nich grzesznicy.

I to był Bóg, dla którego był gotów zabijać.

Menahem przestał chodzić tam i z powrotem. Czerwone słońce było ognistą luną za górami w oddali. Ta ziemia to jego ziemia. Czuł do niej żarliwe przywiązanie. Pragnął, by kiedy umrze, jego krew wyciekła i wsiąkła w ziemię, by mógł stać się z nią jednym. Czy tamta kobieta miała rację? Czy jutro dołączy do nich w Gehennie? Czy takie jest jego przeznaczenie? Dziwne, ale ta myśl nie wzbudzała w nim strachu. Nie był zrezygnowany i nie pragnął śmierci, raczej się z nią pogodził. Opuści ten świat jako miejsce lepsze dla jego ludu niż wtedy, kiedy się na nim pojawił. To wszystko, czego każdy człowiek mógłby oczekiwać od życia.

Menahem zniknął w jednym z wejść do ciemnej wieży, pogrążając się w mroku. Jego kroki odbijały się echem, gdy gnał w dół po spiralnych schodach. Powietrze było tu inne, starsze. Było wyraźnie chłodniej niż na zewnątrz i na całej skórze poczuł dreszcze. Minęło zaledwie kilka lat od chwili, kiedy siłą przejęli Masadę. Krew Rzymian nadal plamiła piaskowiec w miejscach, gdzie została przelana. Przydawało to schodom dodatkowych cieni. Ile duchów wciąż snuło się w tych murach? Ile śmiertelnych rzeźń pamiętały stare Mgnienie?

U dołu schodów korytarz otwierał się na coś w rodzaju przedpokoju. Tak jak w wielu warowniach, sala była pozbawia dekoracji. Znajdowało się tam sklepione przejście, oświetlone migoczącym światłem pochodni. Z zewnątrz dochodził powiew. Za przejściem troje drzwi wiodło do innych pomieszczeń. Kolejne schody schodziły w dół, w głąb miejsca będącego niegdyś rzymskim lochem, a korytarz prowadził na dziedziniec. Menahem ruszył korytarzem. Pochodnie w dwóch kinkietach wypaliły się, pozostawiając po sobie tylko mroczne cienie. Korytarz lekko zakręcał, podążając za konturem płaskowyzu. Za rogiem rozgałęział się w odnogę prowadzącą na dziedziniec,

Natychmiast uderzył go upał. Świątynia stała w cieniu trzykondygnacyjnego, okrągłego pałacu Heroda. Kiedy zajęli fortecę, odarli go z większości jego luksusów. Łaźnia stała nieużywana. Sam olbrzymi pałac służył jako koszar dla zamachowców. Menahem pospiesznie przeciął dziedziniec. Podobnie jak wielka świątynia Heroda w Jerozolimie, w tej było wiele różnych wejść. Nawet tutaj słudzy nie mogli wielbić Boga ramię w ramię ze swymi panami. Istniały drzwi dla kobiet, dla pierworodnych synów, dla kapłanów z ich ofiarami oraz drzwi dla pospólstwa. Sykariusze odarli świątynię ze wszelkiej religijnej otoczki i zamienili ją w zagrodę dla owiec tylko dlatego, że ich to bawiło.

Wykucie sztyletu na potraskanym kamieniu ołtarza było kolejnym żartem, ostateczną zniewagą dla tej kłamliwej wiary, która przysporzyła rodzinie Menahema tyle cierpienia.

Pchnął drzwi świątyni i wszedł do środka.

Powietrze było gorące. Nieznośnie. I cuchnęło zwierzętami. Eleazar już wcześniej odgarnął słomę leżącą wokół ołtarza. Za nim, dokoła płonącego stosu drewna, wniesiono bloki piaskowca, żeby zatrzymać żar. Drewno spaliło się już na węgiel. Jego brat pochylał się nad paleniskiem, pokładając do ognia.

Eleazar był sykaryjskim kowalem - wyrabiał sztylety dla ludzi sztyletów. Poruszał się spokojnie i pewnie, każdy jego ruch był precyzyjnie wymierzony. Nie podniósł wzroku, gdy wszedł jego brat. Menahem dostrzegł, że brat sporządził prostą piaskową formę, żeby wlać w nią roztopione srebro. Miała ona nadać sztyletowi zasadniczy kształt. Na ołtarzu leżał kowalski młot. Na podłodze obok niego stało wiadro z letnią wodą.

Eleazar wziął od Menahema srebrne monety, wsypał je do tygla i wsunął w ogień. Nie potrzeba było dużo czasu by metal zaczął się topić i łączyć. Eleazar wyjął go z ognia, pozwalając mu nieco ostygnąć. Obracał nadgarstek tak, by lepiej obejrzeć bryłę metalu, którą

stały się monety, Zanim na powrót umieścił ją w ogniu. Tym razem pozostawił ją tam, aż się roztopiła, po czym wysunął tygiel z płomieni i wylał wirujące płynne srebro do piaskowej formy. Metal od razu zaczął zastygać, wypełniając wydrążony w piasku/otwór w kształcie sztaby. Gdy wystygł, stracił swój blask.

Menahem stracił poczucie czasu, przyglądając się, jak jego brat szczypcami wyjmuje srebrną sztabę i kuje metal na płasko, odwracając go raz po raz, i jak każde uderzenie młota formuje go odrobinę bardziej. Każdy centymetr skóry jego brata spływał potem. Żyły jaskrawo odcinały się na tle mięśni. Eleazar nie przerywał ani na moment, nawet po to, by otrzeć pot zalewający mu oczy. Ponownie przeniósł srebro do ognia, rozgrzewając metal, aż ten zaczął lśnić czerwienią, a potem prędko ułożył go płasko na ołtarzu. Uniósł młot i kuł aż do uzyskania ostatecznego kształtu. Znowu i znowu odwracał srebro, kując najpierw po jednej stronie, potem po drugiej, spłaszczając je i formując ostrze, aż nawet niewprawne oko Menahema zaczęło dostrzegać w nim sztylet, jakim miało się stać.

- Podobnie jak srebro topi się w środku pieca, tak i wy w jej środku zostaniecie roztopieni; wtedy poznacie, że Ja, Pan, wylałem na was moją zapalczywość¹ - wyszeptał Menahem; słowa Ezechiela stały się modlitwą na jego wargach, podczas gdy Eleazar wyginał srebro. Rozgrzewał je, aż stawało się plastyczne, po czym rozkuwał na płasko każde złożenie. Każda nowa warstwa przydawała ostrzu nieco więcej mocy.

Niebo widoczne przez okno świątyni było czarne. To mogła być każda godzina w trakcie tej długiej nocy.

Eleazar pracował dalej, podczas gdy Menahem patrzył, zafascynowany umiejętnościami brata. Wreszcie Eleazar skończył. Owinął rękojeść skórą i sztylet był gotowy.

Menahem przyjął go od brata.

Klinga była lekko wygięta, przypominając ogon węża. Odbicia na płaskiej stronie ostrza chwytaly światło. Zdawało się niemal, że zostało ono wyryte w metalu. Kryło się w tym subtelne piękno. I nawet więcej, pomyślał Menahem, przyglądając się sztyletowi - tkwiła w nim prawda.

Ostrze zostało wzmocnione przez to, co wydawało się być niedoskonałościami powierzchni, lecz w rzeczywistości było cienkimi jak pajęczyna warstwami wewnątrz metalu.

Sztylet bardzo przypominał człowieka, który się nim posługiwał.

Menahem został zahartowany przez szczęście krótkie jak mgnienie oka, te ulotne chwile radości oraz przez męki rozczarowania, którymi jego dusza była okuta niczym ochronną zbroją.

- Jest piękny - powiedział, z nabożeństwem trzymając sztylet.

- Został wykuty z monet, którymi zapłacono za całą religię, jakże mógłby być inny?

¹ Wszystkie cytaty z Pisma Świętego wg Biblii Tysiąclecia.

**PŁOŃ ZE MNĄ
TERAZ**

Była za dwie trzecia po południu, gdy kobieta weszła na Trafalgar Square.

Ubrana w dzinsy i luźną żółtą koszulkę wyglądała jak każdy przeciętny letni turysta, który przyszedł pokłonić się zadumanym lwom Landseera. Na piersi miała rysunek uśmiechniętej buźki. Uśmiech rozciągnął się bezkształtnie na wypukłościach jej biustu, w kształcie łyzy. Tyle tylko, że to nie było lato. Żółta koszulka wyróżniała ją z tłumu, ponieważ wszyscy inni bronili się przed wiosennym chłodem, opatulając się szalikami, rękawiczkami i wełnianymi czapkami.

Stała nieruchomo, samotna wyspa spokoju pośrodku gorączkowej krzątaniny Londynu. Odkręciła trzymaną w ręku plastikową butelkę i wylała sobie jej zawartość na głowę, i ramiona, wcierając lepki płyn we włosy. Nie minęła minuta, a jej długie jasne włosy stały się splątane i tłuste, jak gdyby nie myto ich od miesięcy. Kobieta pachniała tak samo jak gęste opaiy spalin i smog duszący miasto.

Gołębie siadały u stóp mężczyzny obok niej, gdy ten rozsypał po bruku kawałeczki chleba. Podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej. Miał łagodną twarz. Życzliwy uśmiech. Zastanawiała się, kto go kochał. Ktoś Siusiał. Emanował zadowoleniem mężczyzny kochanego. I przez moment było jej żal osoby, którą miał opuścić.

Wokół niej turyści dzielili się na grupki - ci, którzy łaknęli kultury, kierowali się w stronę Narodowej Galerii Portretu, spragnieni dawali nura do kafejki na rogu, rojaliści przechodzili przez ulicę i znikali pod Łukiem Admiralicji w drodze do Whitehall, głodni udawali się do modnych restauracji w okolicach Chandos Place i Covent Garden, a ci żądni rozrywki wędrowali wzdłuż St Martin's Lane w kierunku Leicester Square albo Soho, zależnie od tego, jak pojmovali rozrywkę. Biznesmeni w swoich garniturach masowej produkcji maszerowali noga w nogę jak pingwiny; czubki parasoli i metalowe podkówki przy butach wystukiwały rytm dnia pracy przedsiębiorców. Czerwone autobusy wlokły się po Cockspur Street i skręcały za róg w stronę The Strand i Charring Cross. Miasto żyło.

Dziewczynka w jasnoczerwonym płaszczyku podbiegła do niej, chichocząc i machając rękoma, żeby spłoszyć do lotu pożywiające się ptaki. Gdy znalazła się pośrodku stada, gołębie wystrzeliły w górę szaleńczą chmurą piór. Dziewczynka zgięła się w pół ze śmiechu; jej radosne piski ścigały gołębie aż do nieba. Jej radość była zaraźliwą. Mężczyzna pogrzebał w plastikowej torbie za kolejną kromką białego chleba, żeby ją pokruszyć. Kobieta nie potrafiła powstrzymać się od uśmiechu. Wybrała żółtą koszulkę, ponieważ uśmiechała się na jej widok. Wydawało się jej ważne, że akurat dzisiaj powinna się uśmiechać.

Wyjęła telefon z kieszeni i zadzwoniła.

- Redakcja - głos po drugiej stronie był aż nazbyt pogodny.

To się zmieni w ciągu paru sekund, gdy zaczną się wrzaski.

- Nadciąga plaga - powiedziała spokojnie. - Przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy śmierć będzie pustoszyć ulice. Zbrukani grzechem spłoną. Umieranie właśnie się zaczyna.

- Kto mówi? Z kim rozmawiam?

- Nie muszę ci mówić, jak się nazywam. Zanim ten dzień się skończy, dowiesz się o mnie wszystkiego, czego się można dowiedzieć, prócz jednego ważnego szczegółu.

- A to jakiego?

- Dlaczego to zrobiłam.

Zmierwiła włosy dziewczynce, gdy ta spłoszyła kolejną gromadę gołębi i zaniósła się śmiechem. Dziewczynka przystanąła, odwróciła się i popatrzyła na kobietę.

- Dziwnie pachniesz.

Kobieta sięgnęła do kieszeni po zapalniczkę. Nacisnęła kciukiem kółko, aż potarło o kamień, i przytknęła otwarty płomień do swoich włosów. Upuściła telefon i zatoczyła się do przodu, kiedy ogarnął ją ogień.

Wokół niej całe miasto krzyknęło.

5

TRZYNAŚCIORO MĘCZENNIKÓW

Noah Larkin leżał na plecach w tanim pokoju hotelowym, wpatrując się w równie tani wentylator na suficie. Łopatki zacięły się przy obracaniu, wydając boleśnie przenikliwy pisk co cztery obroty. Pokój w suterenie starego Victorian Town House kosztował go dwadzieścia funciaków za noc. Jak to mówią, dostajesz to, za co zapłacisz, a to, za co on zapłacił, to materac upstrzony czarnymi smugami po zgniecionych pluskwach, sztywne nakrycie, nieprane od czasu, gdy na tronie zasiadała sama Wiktoria, i zacieki wspinające się od podłogi aż do połowy ściany - albo i wyżej.

Przez okna wychodzące na ulicę prawie nie wpadało światło.

Pokój miał woń snów podsycanych whisky, stęchłego potu i kebabu sprzed tygodnia. Nie była to przyjemna mieszanka.

Zamknął oczy, starając się rozkoszować resztą nocnych wydatków.

Po drugiej stronie łóżka kobieta przesunęła się, sprawiając, że cały materac alarmująco się przekrzywił. Sprężyna z łóżka dziabnęła Noaha w siedzenie. Kobieta obok niego nie była piękną, ale to naprawdę nie miało dla niego znaczenia. Nie chodziło o to, że Larkin był głęboko wrażliwy albo szukał czegoś więcej niżli płytka uroda - nie był i nie szukał. Tak jak pokój, ona była tania, i tak jak w przypadku pokoju, dostał dokładnie to, za co zapłacił. Nie chodziło o seks. Nie tknął tej kobiety. Po prostu chciał, by ktoś spał obok niego. Oczywiście on sam nie zdołał zasnąć. Na szczęście zadzwonił jego telefon komórkowy. Noah sięgnął po komórkę leżącą na nocnym stoliku.

- Larkin - odezwał się, powiedział, rozsuwając slider.

- Gdzieś ty był, u diabła? - irlandzki akcent Ronana Frosta stawał się wyraźniejszy, gdy ten był zły. To jedno zdanie wystarczyłoby lingwiście do wskazania, przy której ulicy w Derry Frost się urodził.

Noah spojrzął na prostytutkę leżącą obok niego. Jej stanik z czerwonej koronki obwisł pod ciężarem lat. Otworzyła oczy. Były nieobecne, jak u któregoś z pustych ludzi z wiersza T.S. Elliota, Uśmiechnęła się do niego.

- Byłem zajęty - odpowiedział Frostowi.

- Dobra, przestań się obijać i przyjeżdżaj tutaj, żołnierzu. Gównu trafiło w wentylator na całego.

- Już jadę, szefie - powiedział.

Po drugiej stronie linii Frost coś burknął.

Noah rozłączył się i upuścił telefon z powrotem na nocny stolik. Obok niego neonowe światełko zegara usiłowało go przekonać, że to prawie północ. Nie wierzył w to ani przez chwilę.

Dźwignął się z łóżka.

Prostytutka wychyliła się, podparta na łokciu, przypatrując się jego nagiemu ciału. Wciąż miała na sobie stanik, ale nie był on w stanie ukryć rozstępów Ba jej obwisłych piersiach. Noah uśmiechnął się. Podobało mu się ciało, w którym przeżywano życie. Mógłby opłacić sobie młodą ślicznotkę, ale nie chodziło mu o seks. Chodziło o to, by mieć przy sobie czyjś

oddech. Powiedziała coś, ale nie potrafił sobie przypomnieć jej imienia. Zamiast tego wyjął portfel z kieszeni, zwinął w rękę garść banknotów i podał jej.

- To za dużo - powiedziała, spoglądając na gotówkę.

Rzeczywiście. Mógłby jej tym zapłacić za tydzień.

Noah wzruszył ramionami.

- Powiedzmy, że to premia za to, że nie trzeba było odgrywać głębokich i znaczących scen, kiedy się przytulaliśmy.

Zrolowała banknoty i wsunęła je sobie do stanika.

- Pokój jest opłacony za noc, zostań tutaj, prześpij się. Spraw sobie rano porządne śniadanie.

Przeszedł na jej stronę łóżka, pochylił się i delikatnie pocałował ją w czoło. To był zaskakująco intymny i czuły gest. Podniosła rękę i dotknęła jego policzka. Jej pomalowany na czerwono paznokieć zatrzymał się na dłużej na bliźnie przecinającej cień jednodniowego zarostu. I przez krótką chwilę mogliby być kochankami. Jednak zwitek pieniędzy w jej staniku dość prędko odegnał to złudzenie.

Noah zostawił ją w łóżku. Gdy zamknął za sobą drzwi, przypomniał sobie jej imię: Margot.

Wyszedł na ulicę. Gwiazda Polarna lśniła jasno na nocnym niebie. Uliczne latarnie rzucały żółte sodowe światło na chodnik. Thuściutki sznur czmychnął spod góry plastikowych worków na śmieci upchniętych w rynsztoku. Nieważne, gdzie w Londynie przebywasz, nigdy nie znajdujesz się dalej niż dziesięć metrów od szczura, tak przynajmniej mawiają.

Wyciągowy zielony Austin Healey Noaha z 1966 roku stał zaparkowany przy krawężniku. Wyglądał jak relikw z lepszej, szlachetniejszej epoki, otoczony przez zbiorowy uniformizm volvo, fordów, BMW i citroenów ustawionych po obu stronach ulicy. Beżowe boki Austina wykańczało złote i czarne orurowanie. Składany dach z czarnej skóry był opuszczony. Noah zakochał się w tym samochodzie, gdy jako wrak stał podparty na ceglach na złomowisku przy Clapham Common. Po prostu miał w sobie coś. Był jak przysłowiowa kula z jego nazwiskiem; przeznaczone im było w końcu się zejść. W dokumentacji rejestracyjnej podano pierwotną datę sprzedaży - 27 marca 1966 roku. Noahowi spodobała się myśl, że samochód „urodził się” tego samego dnia, kiedy Pickles znalazł stare trofeum Julesa Rimeta pod żywoptem w południowym Londynie. Noah poświęcił tysiące funtów i setki godzin na odrestaurowanie samochodu. Właściwie to auto było jedynym stałym punktem w jego życiu; jedyną rzeczą, którą kochał. Psychoanalityk bez wątpienia wskazałby na pozbawione miłości dzieciństwo i brak przytulania, kiedy Noah podrapał sobie kolano - albo to, albo fakt, że za każdym razem, gdy Noah wsiadał do tego samochodu, myślał o swojej matce w nieco edypowy sposób. Czasami jednak samochód to tylko samochód i męskie uwielbienie to po prostu męskie uwielbienie za szprychowe felgi i deskę rozdzielczą z orzechowego drewna.

Noah odpalił silnik i odjechał od krawężnika.

Londyn nocą to dziwna bestia. Ożywiały go feromony niebezpieczeństwa, cudzołóstwa i przypadkowych aktów bezsensownej przemocy. Tak jak Nowy Jork Sinatry, było to miasto w guście Noaha. Na rogu minął trzynogiego psa, który Usiłował obsikać ścianę, nie przewracając się przy tym. Przed sobą zobaczył dwie dziewczyny trzymające się za ręce, idące wzdłuż białej linii pośrodku ulicy. Zatrąbił, następnie wyminął je, w parę sekund przyspieszając od żółtego tempa prawie do setki i ponownie stając w miejscu przy pierwszym czerwonym świetle. Noah kochał złudzenie wolności, jakie dawał mu wiatr we włosach, nawet jeżeli trwało to tylko krótką chwilę.

Ta część Londynu istniała na trzech poziomach - podziemnym, na poziomie ulicy z jego szybkimi poprawiaczami nastroju w postaci fast foodów, sklepów z przecenioną odzieżą, z

elektroniką i kwiaciarni, oraz tego ponad głowami przechodniów, z jego zachwycającą architekturą, której zbyt zajęci ludzie na dole nawet nie zauważali. Okna kryły się za stalowymi żaluzjami, stalowe żaluzje kryły się za pomysłowymi graffiti i wymalowanymi sprejem symbolami gangów. Noah nigdy nie zdołał przywyknąć do nagiej pustki nocnego miasta. To nie tak, że miasto było martwe. Nie było. Było wampiryczne. Wraz z nadejściem północy jedynymi ludźmi na ulicach byli ci, którzy z takiego czy innego powodu lękali się światła dnia.

Przytrzymując kierownicę udami, sięgnął do półki z CD 1 uszeregowanymi obok dźwigni zmiany biegów wybrał tę, na którą miał ochotę. Ignorując światła, skręcił w lewo w Belgrave Road, jadąc sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, i popędził nią przez Pimlico, wypadając na Vauxhall Bridge Road z prędkością tylko nieco poniżej stu czterdziestu.

Kiedy przekraczał Tamizę, melancholijny głos Jamesa Granta pytał zdziwiony, kto przy zdrowych zmysłach chciałby mieszkać w tym mieście strachu? To było dobre pytanie. Noah kochał Londyn. Żył i oddychał tym miastem, ale nikt nie nazwałby go człowiekiem przy zdrowych zmysłach.

Wskaźnik prędkościomierza tylko dwa razy zszedł poniżej stu czterdziestu w trakcie pięciokilometrowej jazdy do i Ashmoor, do rezydencji Nonesuch Manor. Kiedy Noah wyjechał na otwartą przestrzeń, podkręcił głośność i zatracił się w muzyce. Zjechał z głównej drogi z półtora kilometra przed samym Ashmoor i ruszył polną dróżką, którą trząsał się i telepał wzdłuż skrajów pastwiska w kierunku lipowej alei, wyznaczającej drogę do Nonesuch. Za miastem noc była nieprzenikniona. Nie było gwiazd. Gałęzie zwieszały się nisko, szemrząc w ślad za Austinem. Przed Noahem wyrosła majestatyczna żelazna brama Nonesuch Manor House. Dwa groteskowe gargulce przypatrywały się, jak nadjeżdża. Gargulce siedziały przycupnięte na słupach. Ich oczy zostały wydrążone i zastąpione kamerami monitorującymi.

Noah zwolnił; opony wypluwały żwir, kiedy sunął po podjeździe aż do domu. Podjazd był oświetlony. Wszędzie dokoła silne światła wyczarowywały z cieni demony, które wyginały się, i kłaniały na wietrze. Noah zaparkował obok Ducati Monstera 696 Ronana Frosta. Był to jedyny motocykl na dziedzińcu. Pozostałe pojazdy były samochodami, a każdy z nich w jakiś sposób się wyróżniał. Stał tam Lamborghini Diabło z plamami błota na bokach, płomiennie-czerwony Jaguar E-Type, Bugatti Veyron, kanarkowożółty Lotus Elan, Daimler samego sir Charlesa - ponadczasowy klasyk, oraz rarytas wśród nich, srebrny Aston Martin Vanquish v12. Jak zwykł mawiać Frost, jeżeli nie ma się życia, można przynajmniej jeździć ładnym autem.

Noah wygramolił się z kubełkowego fotela.

Zostawił kluczyki w stacyjce.

Nikt nie ukradnie Austina sprzed Nonesuch.

Ruszył w kierunku domu, chociaż nazywanie go domem było lekkim nieporozumieniem. W rzeczywistości wyglądał bardziej jak zamek. Lewe skrzydło było nawet zwieńczone blankami, choć niektóre z nich skruszały w miejscach, gdzie pnącza wydrążyły kamień i utorowały sobie drogę w głębokich szczelinach między cegłami. Kolidowała część zdawała się olbrzymim szlachetnym kamieniem, opalizującym w nocy.

Było to atrium staruszka z setkami jego rzadkich roślin. Światła płonęły w trzech spośród wielu okien nft parterze, reszta była zasłonięta drewnianymi okiennicami.

Kamerdyner staruszka, Max, czekał na Noaha przed portykiem.

- Mniemam, że miał pan przyjemną podróż, sir?

Noah skinął głową. Serdecznie się nie znosili.

- Sir Charles czeka na pana wraz z innymi w salonie. Czy mogę wziąć pański płaszcz, sir? - Noah zrzucił skórzaną kurtkę i podał ją Maxowi. - Dziękuję, sir. Czy życzy pan sobie czegoś jeszcze? - A potem, jak gdyby po namyśle, kamerdyner dodał: - Może pastę do

zębów? Pański ddech cuchnie osobą, kimkolwiek była, której niefortunnie przydarzyło się siedzieć panu tej nocy na twarzy.

Noah zignorował go i wszedł do środka.

Nonesuch był olbrzymim, rozbudowanym Starym domem z wąskimi korytarzami, półpiętami i schodami dla służby. Hol wyłożono dębową boazerią. Dębowe panele nosiły ślady zacieków. Rodowy herb staruszka znajdował się nad ogromnym otwartym kominkiem. Nie było widać żadnego śladu, że w ciągu ostatniej dekady palono w nim ogień.

Na małym stoliku przy wygasłym kominku kunsztownie rzeźbione szachy ustawiono w pozycji Saavedry. Było to piękne zakończenie gry i znakomity przykład tego, jak jeden ruch może czynić kogoś sławnym jeszcze długo po śmierci. Pożyteczna lekcja dla każdego, kto nie pojmował istoty wojny. Niekiedy subtelność jest ważniejsza niż siła.

Klatka schodowa z granitu i żelaza trzema poziomami pięła się na górę. Środek każdego stopnia był wypolerowany szuraniem stóp stawiających tysiące kroków w ciągu trzech stuleci, od kiedy zbudowano ten stary dom. Widać było windę schodową dla wózka inwalidzkiego i otarcia na ścianie tam, gdzie wózek staruszka się o nią obijał. Noah jakoś nie potrafił sobie wyobrazić sir Charlesa znoszącego upokorzenie windy. To nie był mężczyzna takiego pokroju. Nie, on prędzej wolałby wdrapywać się na czworakach. Taki właśnie to był typ człowieka.

Pomimo całej wspaniałości wejściowego holu niemal wyczuwało się atmosferę znużenia, podobnie na klatce schodowej i w popękanych okiennicach zakrywających okna. Nie było bezcennych dzieł sztuki do podziwiania, żadnych dawnych mistrzów, żadnych cennych antyków. Przypadkowemu gościowi można by wybaczyć domysły, że staruszek był splukany. Nie był; on po prostu inwestował swoje pieniądze w coś innego.

Noah przeszedł przez hol. Do salonu prowadziły pierwsze drzwi po prawej, naprzeciwko biblioteki.

Nie pukał.

Pchnął drzwi i wkroczył do środka.

Salon był wszystkim, tylko nie klasycznym domowym zaciszem Anglika. Staruszek nazywał go tygłem. Noah myślał o nim; w kategoriach wojskowych - sala odpraw. Olbrzymi pokój lśnił od szkła i ostrych stalowych krawędzi, zestawionych z konserwatywnym urokliwym stylem starej Anglii. Wszystko w tym pomieszczeniu zostało przygotowane z myślą o niepełnosprawności sir Charlesa.

Jedna ze ścian w całości składała się z dwunastu wielkich plazmowych monitorów wysokiej rozdzielczości, zdolnych pokazać albo pojedynczy obraz jako wizualną mozaikę, albo rozczłonkowany na dwanaście odrębnych. Na drugiej ścianie znajdowały się dwie szafy z książkami. Jedną zapełniały bezcenne pierwsze wydania - Bunyon, Marlowe, Fielding i Goethe na pierwszej półce, edycje in folio - Lavater i Glanvil, Maturin i Collins, każda opatrzona przypisami z poprawkami sporządzonymi ręką samego autora. Druga mieściła bezwartościowe fałszywe książki w postarzanych skórzanych okładkach. Gdyby Noah nie wiedział już, które są które, nigdy nie zdołałby zgadnąć.

Za fałszywymi książkami znajdowała się winda towarowa zjeżdżająca do części domu, którą nazywali gniazdem. To był centralny ośrodek nerwowy Nonesuch. Mieścił serwery z ich zetabitami przechowywanych informacji, przeczesywał wiadomości ze świata, kierował sprzętem obserwacyjnym, monitorował sygnały z satelitów i utrzymywał awaryjne zasilanie rezydencji. Było to bijące serce ukryte pod drewnianą podłogą. Fortel nie zwiódłby nawet niezbyt bystrego intruza - ślady kół wózka na mięsistym dywanie zniknęły pod drugą biblioteczką - ale niezbyt bystry intruz nigdy nie dotarłby aż do tygla. Fałszywe książki stały tam po prostu dlatego, że sir Charlesa bawiła taka gra.

Punktowe światła chowały się w zagłębieniach w suficie. Były przyćmione. Ekran pokazywał jeden poruszający obraz - płonąca kobietę z szeroko rozpostartymi ramionami. Zegar pokazywał godzinę 15.00 czasu Greenwich. Prawie dziesięć godzin temu.

Na cokołach stały marmurowe statuetki, każda przedstawiająca personifikację jakiegoś aspektu wojny. Były tam Babd, celtycką wrona oraz jej siostry Macha i Morrigan, duchy pola bitwy; Bastet - egipska lwica, wyprostowana i dumna, agresywnie buńczuczna, podczas gdy grecki Ares i rzymski Mars obaj nosili przebrania myśliwych; jednooki Odyn z krukami Huginem i Muninem na ramionach symbolizował gwałtowność i mądrość, gniew i piękno, gdyż nordycki bóg był samą dychotomią wojny; pośrodku nich wszystkich - Kali, hinduska bogini śmierci.

Posążki nadawały pokojowi osobliwą aurę wiedzy tajemnej, którą staruszek lubił się otaczać. Były odbiciem jego eklektycznych gustów i kolejnym elementem gry. Mógłby wybrać cokolwiek, żeby udekorować tygiel; nie chodziło ani o brak środków, ani dobrego smaku. Staruszek jednego i drugiego miał aż nadto. Nie, posążki były świadomym ukłonem w stronę przeszłości, śmierci i - nieco ironicznie - chwały.

Poza szafami na książki największym ustępstwem na rzecz tradycyjnego gustu było coś, co na pierwszy rzut oka zdawało się georgiańskim mahoniowym stołem jadalnym ustawionym na samym środku pokoju, tyle tylko, że zamiast blatu pokrytego skórą jego wierzch został odcięty i zastąpiony ekranem dotykowym potężnego komputera.

Stół otaczało pięć foteli z zielonej skóry z wysokimi oparciami.

W czterech z nich zasiadali członkowie utworzonej przez sir Charlesa Wyndhama grupy o kryptonimie Ogmios. Staruszek nazywał ich zespołem Kuźnicy, wykutym w ogniu bitwy. Obowiązywało ich pełnomocnictwo nr 7266 wystawione przez Secret Service, ich zwierzchnika, do dokonywania wszelkich czynów niezbędnych do zachowania suwerenności Wysp Brytyjskich. Trudniej było jednak sprecyzować, co to oznaczało. Nie byli szpiegami. Oficjalnie nie byli nikim, zawieszani poza prawem, odsunięci od służb bezpieczeństwa narodowego. Można było zaprzeczyć ich istnieniu. Gdyby coś poszło nie tak, byli zdani na siebie. Jeżeli coś poszło dobrze, nikt nigdy nie powiedział im „dziękuję”. Gdziekolwiek grunt palił się pod nogami, oni tam byli. Staruszek mógł ich nazywać Kuźnicą, Noah nazywał ich Straceńcami. To nieco odmienna interpretacja. Noah nie wiedział, komu podlegają, kto strzeże stróżujących, by tak rzec, ale zakładał, że to ktoś z MI6. Ktoś oddychający rozrzedzonym powietrzem „na wysokościach” hierarchii. Staruszek tylko napomykał o nim lub o niej, nazywając tę osobę „Kontrolą”. Noah nie wiedział, jak sir Charles dobrał swój zespół. W ogóle nie wiedział o nich zbyt wiele, mimo że każde z nich zaryzykowałoby dla niego własne życie. To akurat wiedział, ponieważ robili tak każdego dnia. Wdawali się w niespokojne rejony, czasem po to, by negocjować, innym razem, by coś ułatwić, a kiedy to konieczne, żeby użyć cięższych argumentów.

Ich przykrywka przeważnie była dość prosta - byli łowcami skarbów. Każdy naród na świecie rozdarty przez wojnę miał swoje zabytki i historię. Przykrywka poszukiwaczy antyków pozwalała im infiltrować regiony niedostępne w inny sposób dla konwencjonalnych rządowych służb. No i oczywiście żadne sprawdzanie któregoś z dzionków zespołu nie wykazałoby powiązań z Secret Service.

Najbliżej Noaha siedział Ronan Frost, niebieskooki chłopak o stalowoszarych włosach, w szarym garniturze modnie skrojonym przez Teda Bakera. Frost nie podniósł wzroku. Służył w i PARA w Kosowie w 1999 roku, zanim dla reszty świata dołączył do zespołu zajmującego się antyterrorystycznymi projektami specjalnymi SAS Special Projects - Counter Terrorists. Obok niego usiadła Orla Nyren, w (każdym calu śródziemnomorski ideał urody ze swoją nieskazitelną oliwkową cerą, ciemnoczekoladowymi oczyma i długimi do ramion czarnymi włosami, delikatnymi kośćmi policzkowymi i ustami w kształcie serca. Tak naprawdę miała mieszane pochodzenie; jej ojciec pochodził z małego włoskiego nadmorskiego miasteczka

koło Amalfi, a jej matka z lodów północnej Szwecji, a sama Orla stanowiła ciekawą mieszankę obu puli genowych. Jej skandynawskie dziedzictwo było wyraźnie widoczne w jej budowie; w połączeniu z urodą - a była piękna, zdaniem Noaha uderzająco piękna - przy wzroście około metra osiemdziesiąt prezentowała się imponująco. Jej włoskie korzenie przejawiały się inny sposób, głównie w tym, czego nie widać gołym okiem, wliczając w to piekielny temperament. Noahowi raz oberwało się od niej, i ten jeden raz wystarczył mu aż nadto. Nyren pracowała niegdyś dla MI6 jako specjalistka od wywiadu bliskowschodniego; biegle władała tuzinem języków, w tym dwoma wymarłymi. I gdyby Noah kiedykolwiek się w kimś zadurzył, to najbliższe temu byłyby jego uczucia do niej. Po drugiej stronie stołu Konstantin Chawin skinął mu głową na przywitanie. Konstantin należał kiedyś do KGB i był kwintesencją zimnowojennego szpiega, który odtajał - przeszedł przez mur w 1988, nie posiadając nic więcej prócz ubrania na grzbiecie i dowodu tożsamości. Był starszy od pozostałych, ale wiódł taki żywot, który odciska się na całej twarzy, sprawiając, że nie da się powiedzieć, czy ktoś ma lat 50 czy 150. Jego usta były cienką kreską, niczym ślad od noża nad podbródkiem z bruzdą. Noah odnosił niejasne wrażenie, że Rosjanin uśmiechał się tylko wtedy, gdy chciał podkreślić, jak bardzo mu spieszno, żeby cię wywlec na zewnątrz i stłuc pięściami i butami aż do krwi. Nie trzeba dodawać, że Noah był bardzo zadowolony, że Konstantin się nie uśmiechał. Siedział, zaplatając krótkie palce. Brakowało mu koniuszka prawego palca wskazującego. Rękawy koszuli miał podwinięte, ukazując tani plastikowy zegarek elektroniczny.

Każde z nich miało swoją historię, swoje ułomności. Żadne nie było czyste jak lza, w przeciwnym razie nie pracowałyby dla starego, ale Konstantin nieco się różnił. Niekiedy nie można było stwierdzić, czyjego opowieści złożyć na karb jego cokolwiek kostycznego poczucia humoru, czy też nie. Robił w życiu rzeczy, których reszta z nich nie potrafiła sobie wyobrazić, ale miał w zwyczaju umieszczać w swoich historiach wszelkie zło, jakie wycierpieli jego rodacy. Kiedyś opowiedział Noahowi o tym, jak w dzieciństwie zmuszono go do przejścia ulicą z wnętrznościami jego matki uwieszonymi na szyi, żeby udowodnić swoją lojalność wobec państwa. Noah chciał wierzyć, że to tylko jedna z makabrycznych opowieści Konstantina, ponieważ nie potrafił nawet pojąć, co za człowiek mógłby zgotować dziecku coś takiego. To nie pasowało do jego filozofii. I ta próba wmówienia, że przez coś takiego 9-letni Konstantin miałby udowodnić swoją lojalność wobec jakiegoś niewidzialnego rządu? Powiedzieć, że to nieludzkie, to za mało.

No i był jeszcze Jude Lethe, kukułcze jajo w tym żołnierskim gnieździe, techniczny czarodziej zespołu. Był maniakiem komputerowym, ale co więcej, był ich maniakiem. Wyglądał boleśnie poważnie w swoich czarnych okularach Joego.

Razem tworzyli Ogmios, nazwany tak na cześć celtyckiego bohatera, który sam został ukształtowany na wzór legend o Herkulesie.

Miejsce, które zajmowałyby szóste krzesło u szczytu stołu, pozostało wolne dla wózka sir Charlesa.

Oto byli jego ludzie, tworzący grupę niezwykłą - i niebezpieczną.

- Tak się cieszę, że mógł pan do nas dołączyć, panie Larkin - odezwał się staruszek ze swego miejsca przy stole.

Noah skinął głową i zajął ostatnie krzesło.

- Może teraz uda nam się zacząć?

- Nie zwracajcie na mnie uwagi - powiedział Noah.

- Dziękuję.

Staruszek nieznacznie skorygował pozycję wózka. Dla paraplegika był to ekwiwalent poprawiania papierów. Wyciągnął rękę i stuknął palcem w pusty ekran patykowy, budząc do życia umieszczony pod nim komputer. Obraz na monitorach na ścianie natychmiast się rozjaśnił. Jeszcze jedno stuknięcie i obraz zaczął się poruszać.

- Londyn to jedno z najbaczniej obserwowanych miast na świecie. Nie ma metra kwadratowego, którego nie obejmowałaby jakiegoś rodzaju kamera przemysłowa. To, co teraz widzicie, wydarzyło się dzisiaj na Trafalgar Square o trzeciej po południu. To różne kąty, ale wszystkie kamery pokazują to samo. - Nie było potrzeby, by sir Charles wyjaśniał szczegółowo, co pokazują; obraz wart był znacznie więcej niż tysiąc słów. Noah patrzył, jak kobieta płonie. Miała szeroko rozłożone ramiona i obracała się, obracała, potykając się w końcu, gdy zakreśliła jej się w głowie. - Minutę przed pełnieniem samobójstwa kobieta zatelefonowała do redakcji wiadomości BBC - mówił dalej staruszek. Przesunął palcem po ekranie, minimalizując zatrzymany kadr z klęczącą płonącą kobietą i włączył nagranie jej rozmowy telefonicznej.

Przemówiła do nich głosem umarłej:

- Nadciąga plaga. Przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy śmierć będzie pustoszyć ulice. Zbrukani grzechem spłoną. Umieranie właśnie się zaczyna.

- Kto mówi? Z kim rozmawiam? - spytał drugi głos.

- Nie muszę ci mówić, jak się nazywam. Zanim ten dzień się skończy, dowiesz się o mnie wszystkiego, czego się można dowiedzieć, prócz jednego ważnego szczegółu.

- A to jakiego?

- Dlaczego to zrobiłam.

Sir Charles jeszcze raz odtworzył nagranie.

I jeszcze raz.

Ostatnie zdanie kobiety zawisło w powietrzu.

- Czy wiemy, kim ona jest? - zapytała Orla Nyren.

Wychyliła się do przodu na swoim krześle. Ta kobieta miała w zwyczaju ożywiać się, gdy wokół niej zaczynało się dziać coś interesującego. Tak postępuje większość ludzi, ale to jej definicja tego, co jest interesujące, odróżniała ją od owej większości.

- Panie Lethe? Czy zechciałby pan podzielić się z nami swoim odkryciem? - sir Charles lekko skinął głową.

Lethe przytaknął i z pewnym zażenowaniem zaczął się bawić czarną oprawką okularów.

- Uruchomiliśmy program do rozpoznawania twarzy, szukając wzmianek o naszej Jane Doe w różnych bazach danych. IDENT1 zawiódł. Podobnie niczego nie było Server in the Sky, więc nie mówimy tu o liście najbardziej poszukiwanych przez FBI. To oznaczało, że powinniśmy szukać bliżej domu. Uzyskaliśmy trafienia w DMV w Swansea oraz jedno z systemu IRIS na Heathrow. To nam pomogło znaleźć wszystkie mniej kluczowe szczegóły. Nasza ognista dama to niejaka Catherine Meadows, lat 39, absolwentka Uniwersytetu Newcastle, brak romantycznych związków. Pani Meadows w chwili swojego spłonięcia była stosunkowo wysoko cenionym archeologiem-kryminologiem. Niedawno zeznawała w Hadze na procesie Radovana Karadžicia o zbrodnię wojenne. Jej *resume* czyta się niczym *Who's Who*, czy może raczej *Where's Where*, co jest gdzie, z dziedziny archeologii. Ale to wszystko. To jej życie. Była pochłonięta przeszłością. Nie żyła tym, co się dzieje tu i teraz. Czytając między wierszami, widać, że była samotną kobietą, która raczej kończyła dzień skulona na kanapie ze swoim kotem, kubkiem mlecznego koktajlu na bezsenność i najnowszym odcinkiem opery mydlanej niż w namiętnym pocałunku z jakimś boskim Lothariem. Nie ma tu niczego, co by sugerowało, że mogłaby stanowić typowy czy nawet nietypowy materiał na terrorystkę - powiedział, wruszając ramionami. - Właściwie to aż do chwili jej zejścia z tego świata w płomiennym blasku sławy rzekłbym, że pani Meadows była, z braku lepszego słowa, nudna.

- Zdumiewające, co można wyszukać w Google'u - zażartował Noah.

- Tak naprawdę, to szczerze mówiąc, połowa z tego znajdowała się na ogólnie dostępnych stronach. Mając jej nazwisko i zdjęcie, każde z was mogłoby to znaleźć. Miała stronę na Facebooku, upstrzoną zdjęciami jej rudego kocura. Ta wiąże się z rocznikiem '91 na

uniwerku w Newcastle oraz zawiera dosyć niefortunne fotografie z dawnych czasów, gdy była fanką The Cure - Lethe krytycznie uniósł brwi za okularami. - Można by pomyśleć, że archeolog powinien wiedzieć, że pewnych rzeczy z przeszłości lepiej nie odgrzebywać, czyż nie? - Zaśmiał się z własnego żartu. - Redagowała teksty dla licznych czasopism naukowych. Artykuły również znajdują się w Internecie, żeby ludzie cierpiący na bezsenność mogli je przeglądać w wolnym czasie.

- A więc dlaczego w taki sposób sama się spaliła? Chodzi mi o to, że to dość ekstremalny sposób odejścia - spytał Ronan Frost; jego akcent przybrał teraz delikatną nutę terkoczącego „f”.

- W moim kraju szukalibyśmy niewidzialnych ludzi - odezwał się Konstantin, cokolwiek zagadkowo.

- Właśnie - Irlandczyk zgodził się z nim. - Coś tu śmierdzi. Kobieta wiodąca nudne życie nie decyduje się nagle sama podpalić dla kaprysu. Zatem kto kryje się w cieniu? Kim są niewidzialni ludzie?

- Sir Charlesie? - powiedział Lethe, wskazując, że staruszek powinien podjąć temat w miejscu, w którym on go zakończył.

Pojedynczy obraz na plazmowych ekranach rozpadł się na dwanaście na pierwszy rzut oka identycznych scen. Nie, nie identycznych, stwierdził Noah, tylko niesamowicie - niepokojąco - podobnych. Środkowa część każdego monitora była zdominowana przez palącą się postać. Zegar na każdym wskazywał godzinę 15:00 czasu Greenwich. Ale to wszystko, co miały ze sobą wspólnego. Przypatrując się każdemu ekranowi z osobna, Noah rozpoznał Dam Square i biały kamienny filar National Monument w Amsterdamie, szklaną piramidę Palais du Louvre w pierwszej dzielnicy Paryża, fasadę Casa de la Panaderia z czerwonej cegły na madryckim Plaza Mayor, górujący nad otoczeniem majestat katedry na Stephansplatz w Wiedniu, obelisk w samym sercu Piazza San Pietro w Rzymie, z Watykanem skrytym za płomieniami, oraz szklane monstrum budynku Sony na Potsdamer Platz w Berlinie. Było jeszcze więcej miast i zabytkowych budowli, których Noah nie rozpoznał. Policzył je, chociaż bardzo dobrze wiedział, że ekranów było dwanaście.

- Cóż, teraz to się zaczyna robić interesujące - Orla odezwała się obok niego.

Niesforny skręcony kosmyk włosów spłynął nad jej brwią i przesłonił jej lewe oko.

- Trzydziestu ludzi podpala się w bardzo publicznych miejscach w całej Europie dokładnie o tej samej porze? Powiedziałbym, że to znacznie bardziej niż tylko interesujące - stwierdził Noah.

„Interesujące” to rzeczywiście nie było słowo, którego by użył. Cała ta sprawa miała w sobie jakąś fatalistyczną prostotę.

- Och, to się robi jeszcze lepsze, albo gorsze, należnie od punktu widzenia - powiedział im Jude Lethe.

- Nie mów, więcej tego google-fu?

- Coś w tym rodzaju - odpowiedział Lethe.

Pochylił się do przodu i zaczął pospiesznie manipulować obrazami na ekranie, powiększając każdy z nich, aż widać było tylko twarze wrzeszczących ludzi. Szczegółowość i dokładność cyfrowych obrazów była niemal przerażająca. Obrazy były odrażająco ostre. Noah widział już nadto śmierci w swym życiu, ale jak to powiedział Frost, w tym było coś innego. Złego.

- Włochy, Francja, Hiszpania, Niemcy, Anglia, Grecja, Szwajcaria, Austria, Holandia, Belgia, Dania, Republika Czeska i Rosja - Lethe wyliczył kraje, w których trzydziestu męczenników złożyło ofiary z samych siebie. - Teraz trudno właściwie określić narodowość po twarzach, za wiele uszkodzeń, ale program do rozpoznawania twarzy znalazł wpisy o wszystkich trzydziestorgu tutaj, w Wielkiej Brytanii.

- Chcesz powiedzieć, że oni wszyscy są Brytyjczykami, czy tak?

Lethe skinął głową.

- Paszporty Wystawione przez brytyjskie ministerstwo.

- To wariatwo - Powiedział Noah, usiłując wyobrazić sobie logistyczny koszmar zmuszenia trzynaściorga ludzi do popełnienia samobójstwa publicznie, i to w tak brutalny sposób. - Co donoszą media? Domyślam się, że trąbią o tym w każdej stacji na świecie. - Przyłapał się na tym, że myśli o starej piosence The Smiths *Panic*, choć jego wyobrażenia rozszerzyła tytułową panikę znacznie poza ulice Londynu i Birmingham.

- W tej chwili prawda jest dosyć niekompletna - odpowiedział staruszek. - Jak można się było spodziewać, wstępne poniesienia były szczątkowe, potem w ciągu godziny od zdarzenia zaczął się wylaniać rzeczywisty zasięg tego, co zaszło. Lokalne stacje telewizyjne pokazywały identyczne sceny, samobójstw z kamer przemysłowych. Rzecz jasna, trudno zaprzeczyć dowodom, które się widzi gołym okiem. Nikt nie chce w to uwierzyć, póki co reporterzy bagatelizują wszelkie powiązania, ale to samo bije w oczy. Faktyczna treść rozmów telefonicznych jeszcze nie została ujawniona, jednak to tylko kwestia czasu, a kiedy to się stanie i ludzie usłyszą obietnicę czterdziestu dni i czterdziestu nocy grozy, wówczas, jak to mawiają Amerykanie, wszyscy będą wyczekiwać, aż spadnie drugi but. Obawiam się, że w takim właśnie świecie żyjemy.

- Na szczęście wygląda na to, że nikt nie podchwycił faktu, że ofiarami są sami Brytyjczycy, ale to tylko daje nam kilka godzin przewagi nad prasą. Jakaś bystra duszyczka niedługo doda dwa do dwóch.

- Tym nie warto się przejmować - odparł staruszek. - W tym momencie jedyne, czym musimy się zająć, to fakty. Z monitorowania agencji prasowych wiemy, że największe sieci informacyjne w każdym z krajów otrzymały telefon dokładnie na minutę przed samobójstwami. We wszystkich przypadkach, prócz dwóch, wiadomość była taka sama: Nadciąga plaga. Przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy śmierć będzie pustoszyć ulice. Zbrukani grzechem spleoną. Umieranie właśnie się zaczyna.

- A pozostałe?

- Oto wiadomość z Rzymu - Lethe włączył kolejny plik audio.

Głos należał do mężczyzny. Brzmiał nerwowo. Ledwo zrozumiałe. Nie jak głos człowieka, który pragnie umrzeć. To nie był religijny fanatyk czy jakiś zwariowany zelota poświęcający życie dla sprawy. Nie było w nim ani śladu zrezygnowania. Był to zwyczajny mężczyzna, wciąż na przekór wszystkiemu mający nadzieję, że jakimś cudem zostanie ocalony.

- *Rzymski papieżu, miej baczenie, by nie zbliżyć się do miasta, któremu wodę niosą dwie rzeki! Kiedy róże zakwitną, ci, których umiłowałeś, bluzną krwią nieopodal, a ty razem z nimi.*

- A potem, po niemal pół minucie milczenia: - *Powiedzcie Lisie, że ją kocham. Proszę. Powiedzcie jej to.*

Jude Lethe nie czekał z odtworzeniem ostatniej wiadomości. Pytania mogły paść później.

- Ten telefon wykonano do „Das Erste” w Niemczech.

Znow męski głos. Ten był bardziej opanowany niż poprzedni. Mówił powoli i spokojnie, jakby recytując przygotowany tekst. Każde słowo zostało wypowiedziane starannie.

- *Ojciec Święty przeszedł przez wielkie miasto w połowie zrujnowane i na poły drżący, chwiejnym krokiem, udręczony bólem i cierpieniem, szedł, modląc się za dusze martwych ludzi, których ciała spotykał na swojej drodze; doszedłszy do szczytu góry, klęcząc u stóp wielkiego Krzyża, został zabity przez grupę żołnierzy.*

Pierwsza wiadomość to czterowiersz II.97 z-proroctw Michaela de-Nostre-Dame. Druga to fragment trzeciej tajemnicy fatimskiej. Obie są uważane za zapowiedź zabójstwa papieża - wtrącił staruszek.

- Ok, czyja to dobrze rozumiem, mówimy tu o szurniętych sektach i solidnej dawce urojeń? - spytał Noah.

Organizacyjna strona tego rodzaju masowej ofiary nie stawała się przez to ani trochę mniej skomplikowana, ale fanatyzm do pewnego stopnia by to tłumaczył. Noah potarł szczerinę na podbródku. Nie, to nie pasowało do głosu pierwszego mężczyzny ani do błagania, by powiedzieć jakiejś kobiecie, że ją kocha. To nie leżało w naturze fanatyków. Byli zbyt nakręcenii słuszością swojej sprawy, żeby przejmować się doczesnymi głupotami, takimi jak ludzie, których pozostawiali.

- Gdyby tylko o to chodziło. Wydaje się jednak, że to, z czym mamy tutaj do czynienia, jest co najmniej uporządkowane i dobrze przemyślane. Nie spalisz trzynaściora ludzi żywcem, jak tutaj, z taką wojskową precyzją, nie mając planów na każdą sytuację. To bardzo publiczny gambit na otwarcie gry, Noah. Wymyślono go tak, by rzucał się w oczy, a przyczyna jest tylko jedna: ponieważ ktokolwiek za tym stoi, ten ktoś chciał, żeby tak było - odpowiedział sir Charles. Zmienił obrazy na monitorach, wyświetlając teraz zdjęcia z paszportów samobójców. Tak jak na wszystkich paszportowych fotkach, jakie Noah kiedykolwiek oglądał, ofiary wyglądały na jakby mniej ludzkie niż wtedy, gdy płomienie pożerały im twarze. - Mając to w pamięci, proszę kontynuować, panie Lethe.

Jude Lethe manipulował dotykowym ekranem komputera, wyświetlając serię fotografii. Były wśród nich fotki z wakacji, wycinki prasowe i inne temu podobne.

- Kiedy zobaczyłem, że wszystkie trzynaście ofiar to obywatele brytyjscy, pomyślałem od razu, że nie tylko nie podoba mi się taki zbieg okoliczności, ale też, że tego nie kupuję. Trzynaścioro ludzi popełnia samobójstwo w identyczny sposób w trzynastu krajach i akurat tak się składa, że pochodzą z tego samego miejsca. Musi być związek. Zatem była to kwestia poszukania tego związku.

- To jasne - zgodził się Noah. - Jak rozumiem znalazłeś jakiś?

- Oczywiście - odpowiedział Lethe bez cienia pychy. - Wszystkie nasze ofiary były naukowcami, a dokładniej, wszystkie nasze ofiary w taki czy inny sposób udzielały się w dziedzinie archeologii. Jedna z nich to profesor uniwersytetu kierujący wydziałem historii w Durham, troje to doktoranci, którzy zostali na tym kierunku, jedna pracowała przy tym programie telewizyjnym, gdzie odkopują stare ruiny i starają się pokazać historię od seksownej strony, jeszcze inni to kurator w British Museum, ekspert od fizyki, historyk specjalizujący się w dziejach Bliskiego Wschodu. Lista jest dłuższa, ale chyba rozumiecie, co mam na myśli.

- Wygląda na to, że miałeś trochę roboty - stwierdził Noah.

- Ach, nie wyglądałoby ani w połowie to tak imponująco, gdybyś był tu o trzeciej, wierz mi.

- A więc nie tak najgorzej jest się spóźniać - Noah uśmiechnął się kwaśno.

- Owszem - odezwał się starszek, ucinając przekomarzania.

Na chwilę zapadła niezręczna cisza, gdy Lethe wydawał się zapomnieć, że jest w środku odprawy dla pozostałych. Wywołał na komputerze kolejną sekwencję i obrazy na ekranie, zostały zastąpione przez pojedyncze zdjęcie przedstawiające zachód słońca i ogromną pomarańczowo-czerwoną formację skalną o spłaszczonym wierzchołku. W odległym rogu po prawej widać było bladobłękitne morze. Noah przyglądał się barwnym pasom, jakimi poznaczone były boczne ściany płaskowyżu.

- To miejsce, to jedyne, co łączyło ich wszystkich - powiedział Lethe, wskazując ręką na ekrany. - Masada. To miejsce wpisane na listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego, Usytuowane przy Dead Sea Road na wschodnim skraju Pustyni Judejskiej. Według Józefa Flawiusza, który jest praktycznie wyrocznią w tym temacie, pierwotna forteca została zbudowana przez Heroda i stała się twierdzą sekty ekstremistów znanych jako sykariusze. Wygląda na to, że to pierwsi terroryści na świecie, ale Józef był także notorycznym łgarzem i miał zwyczaj znacznie wyolbrzymiać wszystko, o czym pisał, więc kto wie? Jednak jedno jest pewne, sykariusze woleli popełnić masowe samobójstwo niż poddać się Rzymianom. Fakt, że

mamy dwa masowe samobójstwa powiązane z tym samym miejscem, to kolejny zbieg okoliczności, który niespecjalnie mnie zachwyca.

- No to pięknie i ładnie - odezwała się Orła Nyren - ale jak właściwie to się wiąże z naszymi samobójstwami? Coś mi tu umyka.

Kciukiem lewej dłoni podrapała lewą brew; znajdowała się tam ledwie widoczna blizna. Był to dziwnie niezręczny gest.

- Cieszę się, że spytałaś, Orlo - powiedział Lethe swoim najbardziej mentorskim tonem. Raz jeszcze zmienił obrazy na ekranie. Tym razem pokazał się tuzin zdjęć prac wykopaliskowych. - Bez kryształowej kuli nie potrafię ci w tej chwili powiedzieć, jaką wagę ma związek tego faktu z dzisiejszymi wydarzeniami, ale w 2004 roku trzęsienie ziemi zniszczyło podupadający mur starej fortecy. W wyniku tego odkryto kilka wcześniej nieznanymi komnat i skomplikowaną podziemną sieć korytarzy. Zaś to, moi drodzy, jest chwila, w której dwa plus dwa może się równać albo cztery, albo pięć - wszystkie nasze ofiary należały do zespołu, który pojechał na wykopaliska prowadzone w tym miejscu.

6

WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ DO MEGIDDO

- Pozwólcie, że przez chwilę spróbuję się w tym połapać. - Noah popatrzył na ekrany. Twarze zastąpiły surowy izraelski krajobraz, ale to nie miało znaczenia. W głowie utkwiał mu cyfrowy duch Catherine Meadows padający na kolana i jej ramiona unoszące się w desperacji. Pomasował sobie skronie palcami. - Mówicie, że szukamy spisku na życie papieża, w porządku, kupuję to, ale spisek sięgający wstecz do sekty, która popełniła masowe samobójstwo dwa tysiące lat temu? To coś... niezwykłego. I powiem tylko, że niezwykłego nie w pozytywnym sensie. I... - wciąż niedowierzając, głośno nabrał powietrza i mówił dalej - jak gdyby tego było mało, nasz informator nie tylko nie żyje od prawie pięciuset lat, ale przy okazji to jasnowidz, który nie potrafił prawidłowo napisać „Hitler” i który wskazał Saddama jako antychrysta? Czy mam rację? - Rozejrzał się wokół stołu. - Mówię serio, czy w ogóle macie pojęcie, jak to cholernie dziwacznie brzmi?

Lethe napotkał jego spojrzenie i nie spuścił wzroku. Był najmłodszy w zespole, o ponad dziesięć lat młodszy od reszty, i w tej chwili to było bardzo widoczne. Dotknął czarnej oprawki okularów.

- Powiedziałbym, że w podskokach biegniemy żółtą ceglana drogą do Looney Town - Lethe przytaknął z uśmiechem - ale to, co tu widzimy, to powiązanie. Cały współczesny świat polega na powiązaniach, stopniach oddalenia i łączeniu kropek. Jedyne, co wydaje się tu logiczne, to że coś się wydarzyło w Masadzie i że ci ludzie spalili się z tego powodu. Nie twierdzę jednak, że rozumiem tę logikę.

Noah niewiele wiedział o tym dzieciaku; Staruszek wprowadził go do zespołu jako analityka. Noah zawsze przypuszczał, że to oznacza hakera. Chłopak był archetypicznym maniakiem komputerowym w okularach w grubych oprawkach i z kępkami zarostu na brodzie, który wydawał się rosnąć niezbyt chętnie. Lethe zdjął okulary. Beż nich wyglądał o kolejne pięć lat młodziej, jeżeli to w ogóle możliwe. Noah lubił dzieciaka, nawet jeśli ten spędzał za dużo czasu podłączony do sieci czy cokolwiek tam robił jako substytut normalnego życia seksualnego.

- Myślę, że to trochę naciągane.

Orla Nyren przerwała jego tok myślenia. Noah spojrział w jej stronę, przez moment zaniepokojony, że mógł powiedzieć na głos część tego, co chodziło mu po głowie. Na

szczęście Orla nie patrzyła na niego. Znowu odgarnęła z twarzy ten niesforny kosmyk. Przesunęła swój telefon komórkowy tak, że leżał na stole dokładnie prostopadłe do niej. Była to mała poprawka, która zdradzała obsesyjną potrzebę porządku, wykraczającą poza pragnienie, by rzeczy wokół niej miały/sens. Tu chodziło o sprawowanie kontroli nad swoim światem i tym, co się w nim dzieje. Noah potrafił to uszanować, dopóki nie obejmowało to okręcania się trzy razy w lewo i podwijania nogawki spodni nim otworzy się drzwi.

- Możliwe, ale cokolwiek innego oznaczałoby podwójnie złożony zbieg okoliczności, czyż nie? - przekonywał Lethe. Uszczypnął się w nos. Widać było, że wpatrywał się w ekrany komputerów od wielu godzin; jego wzrok miał szklisty wyraz, jaki niesie ze sobą życie spędzane w Internecie. - Jeżeli to nie Masada łączy te samobójstwa, to albo jest to kompletnie losowy splot przypadków, zbieg okoliczności do trzynastej potęgi, jeśli wolicie, albo istnieje gdzieś jeszcze jedno zjawisko, w którym spotyka się tych trzynaście nieszczęsnych dusz. Ja jednak postawiłbym na Masadę, a nie na jakąś czarną dziurę. Brzytwa Ockama i takie tam - powiedział.

- Gdy się wpatrywać wystarczająco usilnie, wszędzie można dostrzec intrygi - Orla wzruszyła ramionami. - Wybaczcie, ale właściwie nie rozumiem, jak to się ma do zakresu naszych żądań. Nie jesteśmy ochroniarzami. Jeżeli ktoś się zasadza, żeby zabić papieża, powinniśmy przekazać władzom to, co wiemy, i umyć od tego ręce.

- Mówisz zupełnie jak Poncjusz Piłat, moja droga - odparł sir Charles, sadowiac się wygodniej w swoim wózku. - Jednak zakres naszych zadań jest taki, jak ja mówię danego dnia. Wiedziałaś o tym, kiedy się zamustrowałaś na ten konkretny statek. A teraz, biorąc pod uwagę związki z Magadą i sykariuszami, sądzę, że mamy wyjątkową możliwość zbadania sprawy. Być może nasi męczennicy znaleźli coś podczas swoich wykopalisk. To nie jest wykluczone. A kiedy rozważy się fakt, że Masada to miejsce biblijne, to cokolwiek znaleźli, z całą pewnością podpadałoby pod nasz obszar zainteresowań, chyba nie zaprzeczysz?

Orla Nyren przez chwilę przyswajała to w milczeniu. Nie wyglądała na ani odrobinę przekonaną. Dwukrotnie przesunęła swój telefon, raz trącając go lekko ukośnie i znowu po to, by przywrócić do idealnie prostopadłego wżenią. Wreszcie zasznurowała usta i pokręciła głową. To było krótkie i zdecydowane zaprzeczenie.

- Nie, nie kupuję tego, szefie. Ubieraj to w słowa, jak chcesz, to nie nasza sprawa. To należy do MI6 i obrony kraju. Samobójcy... - zawahała się, urywając nagle. Noah zastanawiał się, czy zamierzała powiedzieć zamachowcy-samobójcy. Stanowiło to tak naturalne nawiązanie do jej dawnego życia, że w jej umyśle te dwa słowa niemal na pewno trzymały się razem. - ...i groźby terrorystyczne - mówiła dalej, nieświadomie przesuając wzrok ku ekranom - znacznie wykraczają poza możliwości pięciorga ludzi. Nie możemy być ostatnimi bastionami demokracji.

- I nie powinniście nimi być - starszek zgodził się. Pochylił się do przodu w swoim fotelu. Była to subtelna zmiana w mowie jego ciała, sugerująca wyjście jej naprzeciw. - Oczywiście, będziemy przekazywać wyżej wszelkie informacje, jakie odkryjemy, i to Kontrola zadecyduje, jak mają być rozprowadzane. Jednak istnieje tutaj zbieżność zdarzeń, którą zbadamy, i to jest moje ostatnie słowo w tej kwestii.

Orla pokręciła głową. Gest ledwie dał się zauważyć.

- Dlaczego mam wrażenie, że wiesz więcej, niż nim nam ujawniasz?

Starszek uśmiechnął się pobłaźliwie i szeroko rozłożył ręce, jak gdyby chciał pokazać, jaki jest bezradny. Noah wiedział, że to tylko gra. Sir Charles ponad dwadzieścia lat temu został sparaliżowany przez bombę IRA w Docklands we Wschodnim Londynie i nawet na szpitalnym łóżku w dniach zaraz po zamachu nie był bezradny.

Krążyły opowieści, że szepnęła coś do właściwego ucha, dalej zaś to właściwe ucho zatelefonowało do niekoniecznie praworządnego przyjaciela jeszcze mniej szlachetnego dżentelmena, a podczas gdy zachodziła ta reakcja łańcuchowa, sir Charles usadowił się

wygodnie na wykrochmalonych poduszkach, zadowolony, że jego szept zapalił bardzo krótki lont. Czterdzieści osiem godzin później chemik podejrzewany o przygotowanie zamachu stał się uczestnikiem nieco mniej tragicznego wypadku.

Był to człowiek takiego rodzaju.

Nie wpadał w złość,

Nie pomstował na cały świat,

Wyrównywał rachunki na swój sposób - cichy, niemal powściągliwy.

A w tej chwili uśmiech starca mógł konkurować z każdym, jaki kiedykolwiek udał się Rosjaninowi.

- Ponieważ, moja droga, jestem okropnie przewidywalny, a ty znasz mnie aż za dobrze. To przekleństwo spędzania razem zbyt wiele czasu. Przyznam jednak, że mam swoje podejrzania. Mogę was tylko zapewnić, że istnieją bardzo solidne podstawy dla tych podejrzeń, ale nie jestem gotów, by już teraz o nich mówić. Jestem pewien, że dowiecie się wkrótce, i to pierwsi. Póki co kto wpierv gada, myśli potem, ma gębę idioty. A w przeciwieństwie do tego, co możecie sądzić, nie jestem idiotą - tym razem jego uśmiech był zarówno autoironiczny, jak i szczery.

To było łagodne odbicie piłeczki. Noah prawie się spodziewał, że Orla ponownie rzuci wyzwanie staruszkowi. Niekiedy potrafiła zachowywać się jak pies broniący kości. Ale nie zrobiła tego. Noah rozumiał dlaczego - trzynaście płonących twarzy mówiło im wszystkim, że taki spór lepiej odłożyć na inny dzień.

- Dobrze - powiedziała zamiast tego. - Zastanówmy się nad tym racjonalnie. Jest jedno pytanie, które aż się prosi, żeby je zadać: kto jeszcze był zaangażowany w te wykopaliska?

To samo pomyślał wcześniej Noah. Przy całej nonsensownej teorii spiskowej wykopaliska były jedyną znaną im rzeczą, która łączyła te samobójstwa. Logicznie rzecz biorąc, każdy, kto jeszcze tam przebywał, albo sam był w niebezpieczeństwie, albo co bardziej prawdopodobne, był w jakiś sposób zamieszany w tę sprawę. W każdym razie musieli wiedzieć, kto to.

Lethe miał już częściową odpowiedź. Nie było to coś, co którekolwiek z nich chciałoby usłyszeć.

- Jako dorywczycy robotników wykorzystywano ponad pięćdziesięciu miejscowych. Wykopaliska nadzorował niejaki Akim Caspi, który sam, jak spieszę dodać, nie jest archeologiem. Caspi to generał broni w Cahal, Siłach Obronnych Izraela. I, niestety, szczerze wątpię, żeby posiadał listę nazwisk. Archeolodzy są świetni w przechowywaniu posegregowanych zapisów na temat skamieniałego oślego łajna, ale wydaje się, że wcale nie zwracają uwagi na ludzi, jeżeli nie są martwi od tysiąca lat albo dłużej.

Wyświetlił na ekranach zdjęcie Caspiego w mundurze galowym. Mężczyzna wyglądał jak ktoś, dla kogo żołnierz byłby gotów ginąć.

- Dobrze, więc skoro nie spłynie na nas błogosławieństwo w postaci wygodnej listy głównych podejrzanych, sami musimy pobiegać w terenie. Ale właściwie jaki teren? - zapytał Irlandczyk.

- Mamy trzynaście potencjalnie ślepych uliczek do biegania.

- Rzym albo Berlin - odezwał się Konstantin, przerywając dotychczasowe milczenie. - Istnieje powód, dla którego te telefony różniły się od wzorca.

- Jestem skłonny się zgodzić - odparł staruszek - i właśnie dlatego, Konstantynie, chcę, żebyś pojechał do Berlina i przeszedł się z miłą w butach zmarłego.

Rosjanin uniósł brew.

- Chodzić w jego butach? - Przemaszzerował środkowym i wskazującym palcem po stole, żeby zademonstrować zrozumienie... czy raczej jego brak.

- Odtworzyć ostatnie siedemdziesiąt dwie godziny jego życia - wyjaśnił sir Charles. - Weź je pod lupę. Każde miejsce, jakie odwiedził, każdą osobę, z którą się widział. Żaden

człowiek nie jest bezludną wyspą, zwłaszcza w dzisiejszym świecie e-maili i telefonów. Lethe będzie stąd wspierał twoje poszukiwania, podążając śladem elektronicznych zapisów. Gdzieś w tym wszystkim znajduje się zabójca... I dobrze słyszeliście, on został zabity. Jak oni wszyscy. Ich mordercy może nie pociągnęli sami za spust, ale teraz nie w tym rzecz. Śmierć przybywa na swoim trupioblady koniu, dzierżąc ogień, broń palną i inne instrumenty mordu. Nic już nie świadczy o tym, że śmierć musi być czymś intymnym. A zatem rozbierz jego życie na czynniki, wejdź w jego skórę. Stań się nim. Pozwól umarłemu opowiedzieć jego historię.

Rosjanin skinął głową.

Sir Charles zwrócił się do Noaha.

- Chcę, żebyś ty pojechał do Rzymu. Bez względu na to, czy uważamy groźbę za wiarygodną czy nie, skromne dowody, jakie mamy, wskazują na Stolicę Apostolską. Zignorowanie tego byłoby poważnym zaniedbaniem - powiedział staruszek. - A wzięwszy pod uwagę cześć, jaką połowa świata odczuwa w stosunku do Jego Świątobliwości, mogę powiedzieć, że nie pali mi się zbytnio, by mieć jego krew na swoich rękach. Zobaczmy więc, czy możemy temu zapobiec, dobrze?

Noah przytaknął.

- Dobrze. Jedź. Wybadaj lokalne warunki. Istnieje powód, dla którego te dwa przekazy były inne. Ja go nie znam, ale mój instynkt aż krzyczy, że to coś istotnego. Rób to, w czym jesteś najlepszy, Noahu, stań się wrzodem na tyłku. Jedź tam i namąć trochę wody. Potrząśnij świętym drzewem. Po prostu rób wszystko, co będzie konieczne, żeby dokopać się do przyczyny. I, na miłość boską, nie pozwól zginąć papieżowi, to porządny człowiek.

- Wygrzebać sekrety, nie dać zabić Jego Świątobliwości, zrozumiałem.

- Dobry chłopak. Nie zapominajmy, że w tej obwili jedyną rzeczą, która nam sprzyja, jest sama skala tego wszystkiego. Wszystko, co dotyczy dzisiejszych zająć, pręci widowiskiem. To terroryzm w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa. To teatr. Gdyby dziesięć razy tyle ludzi zginęło w katastrofie lotniczej, świat ledwie by mrugnął. Samoloty się rozbijają. Jedenasty września zmienił naturę strachu. Sprawił, że stał się globalny. Jako społeczeństwo tak znieczuliśmy się na śmierć, że wszystko na mniejszą skali jest niemal nudne. Terroryści stracają samoloty i wysadzają ambasady. Tym się zajmują. To tragiczne, a jakże, ale jakkolwiek na to spojrzeć, to nic nowego. W tym nowym wspaniałym świecie stare lęki już nie wystarczają. Wszystko musi być większe. - Dał im chwilę, by sobie to przyswoili. - Co stanowi dla nas pożyteczną lekcję. W tym przypadku to oznacza, co następuje: oni nie robią z siebie męczenników w biały dzień bez osiągnięcia jakiegoś oczywistego celu. Zatem co to jest za cel? Spalenie się żywcem przez trzynaścioro ludzi nie jest przerażające w skali globalnej. Po kilku dniach informacja zniknie z pierwszych stron gazet, po paru tygodniach pójdzie w zapomnienie, co samo w sobie jest zbrodnią, ale nie taką, którą moglibyśmy się martwić. Jeżeli jesteście ciekawi mojego zdania, to sama groźba, którą wygłaszają tuż przed podpaleniem się, jest przerażająca. To ona wywołuje dreszcz przebiegający wszystkie warstwy społeczeństwa. To ona sprawia, że dobrzy ludzie tego świata oglądają się przez ramię. Czterdzieści dni terroru brzmi bardzo precyzyjnie i wyraźnie wybrano je ze względu na religijne konotacje. To znany biblijny czas przemiany: „Bo za siedem dni spuszczę na ziemię deszcz, który będzie padał czterdzieści dni i czterdzieści nocy, aby wyniszczyć wszystko, co istnieje na powierzchni ziemi - cokolwiek stworzyłem”. Później Mojżesz konferuje z Bogiem na Górze Synaj przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy, a apostoł Marek mówi nam, że Jezus powrócił odrodzony po czterdziestu dniach spędzonych na pustyni, oparłszy się pokusom Szatana. Na mój rozum, wszystko to przydaje wiarygodności teorii pana Lethego o tym, że kluczem jest Masada. Zadajcie sobie pytanie - czy nasze nowoczesne społeczeństwo potrafi się oprzeć czterdziestu dniom słuchania propozycji Szatana? Czy przetrwa terror, oczyszczenie, gdy wszelkie żywe stworzenie zostanie

wymazane z powierzchni Ziemi? A jeżeli tak, jeżeli społeczeństwo wydobędzie się z płomieni triumfujące, czym się staniemy?

Zanim ktokolwiek mógłby odpowiedzieć, staruszek zwrócił się do Orli.

- Moja droga, zamierzam bezwstydnie cię wykorzystać. - Nie było w tym zagajeniu choćby cienia seksualnego kontekstu, pomimo jaskrawej dwuznaczności. - Chcę, żebyś dowiedziała się wszystkiego, czego można się dowiedzieć o codziennym życiu innych ofiar. Uruchom swoje kontakty. Chociaż świat został zredukowany do zer i jedynek, maszyny nie powiedzą nam nic więcej niezależnie od tego, jak błyskotliwy jest pan Lethe. Zapisy są bardzo przydatne, ale jaki zapis kiedykolwiek się wygadał albo zdradził mową ciała? Frost, ciebie chcę widzieć w Masadzie. Odnajdź Caspiego, to jedyne nazwisko, jakie tam znamy.

- O Caspim dowiedziałem się jednej rzeczy - odezwał się Lethe. - W 2004 roku otrzymał wypłatę odszkodowania w wysokości ponad dwóch milionów dolarów, od czego posłusznie zapłacił nieludzką kwotę podatku.

- W tym samym roku, co wykopaliska? Cóż, czyż to nie kolejny szczęśliwy zbieg okoliczności? - powiedział Frost. - No, jeżeli to wszystko... - Irlandczyk zaczął odsuwać krzesło.

- Myślę, że przyda się parę godzin drzemki przed świtem. Znosi się na długi dzień.

- Bzdura - Orla mruknęła pod nosem. Podniosła telefon. Przez moment Noah myślał, że zamierza wycisnąć z komórki jej mechaniczne wnętrze. Zamiast tego schowała ją do kieszeni i wstała. - Spędziłam sześć lat w Izraelu. Znam jego duszę. Wiem, jak działa. Mam sieć setek kontaktów, na których mogę się oprzeć, ludzi z rozmaitych środowisk. A ty wysyłasz jego? To bez sensu.

- Uspokój się, Orlo - staruszek odwrócił swój fotel od stołu, żeby obrócić się do niej plecami.

- Nie waż się mnie ignorować! - Jej głos przybierał na sile, aż ostatnia sylaba zabrzmiała prawie dwa razy głośniejsze niż pierwsza.

- Nie będę się wdawał w dyskusję, Orlo. Ronan jedzie do Masady, ty zostajesz tutaj i na tym koniec.

- Nie - odparła. - Nie koniec. - Sprzeciw w jej głosie zaskoczył wszystkich w pokoju. Istniał ustalony porządek rzeczy. Nikt nie spierał się ze starcem, kiedy ten ostatecznie się wypowiedział. Tak po prostu było i już. - To pieprzona bzdura, oto co to jest. Ale na tym nie koniec.

- Orlo - powiedział sir Charles. W jego głosie zabrzmiała nutka ostrzeżenia. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu. - Sugeruję, żebyś usiadła, wzięła kilka głębokich wdechów i się uspokoiła.

- Nie traktuj mnie protekcyjnie. Mam trzydzieści jeden lat. Byłam terenowym agentem MI6 przez prawie jedną trzecią życia. Połowę tego czasu spędziłam, pływając w tym gównie, jakim jest izraelska polityka. Postrzelono mnie, wysadzono w powietrze, a ja nadal tu jestem. Mam ten kraj we krwi. Znam go lepiej niż własną kieszeń. A ty chcesz, żebym siedziała tutaj, zbijając bąki, podczas gdy Ronan wlezie tam jak słoń do składu porcelany? - Pokręciła głową. - Izrael trzeba rozumieć. Nigdzie na świecie nie jest tak, jak tam. Z całym szacunkiem dla Ronana, ale on nie potrafi tego pojąć. To niewykonalne. - Zobaczyła, że sir Charles już chce jej przerwać, i zareagowała, nim zdołał wypowiedzieć pierwsze słowo. - I nie próbuj mi mówić, że on mieszkał w Irlandii. To się bardzo różni pod wieloma względami. A teraz daruj sobie te durne gadki macho i wyślij tę kobietę, żeby wykonała robotę, do której ta kobieta najlepiej się nadaje.

Staruszek popatrzył na nią, potem na Ronana, i przez chwilę się nie odzywał. Wydawał się rozważać koszt utraty twarzy w odniesieniu do wartości uporu, jak gdyby to było jakieś ekonomiczne równanie, w którym jedno może w jakiś sposób zbilansować drugie. Noah zastanawiał się, jak u diabła staruszek mógł jej odmówić. Wiedział, że na jego miejscu nie

byłby w stanie tego zrobić. Orla była jak płomień i żar, a on niczym ćma pragnął zbliżyć się do płomienia, jak tylko się da, aż do momentu, gdy jej żar go poparzy.

Sir Charles potarł nos i wygiął usta, przybierając wyraz twarzy, który mógł być wszystkim prócz rozbawienia.

- Czasami spieranie się z tobą sprawia, że czuję się jak Syzyf z tym jego przeklętym kamieniem - odpowiedział staruszek.

A czasami, pomyślał Noah, słuchanie was dwojga sprawia, że żałuję, że bardziej nie uważałem w szkole.

- Czego w stwierdzeniu „koniec dyskusji” nie rozumiałaś, Orlo? Nie, nie trudź się, ja znam odpowiedź. To była ta część, która znaczyła, że mówię „nie”. Czasem jesteś jak uparte dziecko. Mam swoje powody, żeby chcieć cię trzymać z dala od Izraela, ale jeżeli jesteś tak piekielnie zdeterminowana, żeby dać się zabić, to jedź tam. Ronanie, to oznacza, że ty zostajesz tutaj. A teraz Maxwell czeka, żeby zawieźć pozostałych z was na lotnisko.

7

ADORACJA SREBRA

Staruszek mocował się z wózkiem, uderzając w stalową listwę przy futrynie, gdy manewrował na zakręcie do jednego z wielu pokoi na dole. Sklął tę diabelną rzecz, odwrócił się i mocno wykręcił na prawo, żeby na pewno trafić przy drugiej próbie. To nie było potrzebne, miał elektryczny wózek. Sir Charles mógł z łatwością wdzięcznie skręcić do wejścia, posługując się małym joystickiem umieszczonym na poręczy, ale w tej chwili potrzebował tej szarpaniny, żeby wyglądać na sfrustrowanego. Do dokończenia swojej roli musiał pokryć tę „frustrację” zwykłym fizycznym wysiłkiem. Cokolwiek innego zdradziłoby, że w rzeczywistości się cieszy.

Zatrzasnął za sobą drzwi.

A potem uśmiechnął się uśmiechem człowieka zadowolonego z osiągnięcia dokładnie tego, co sobie zamierzył. Ten pokój był kolejnym osobnym światem w Nonesuch. Po części gabinetem, a po części ustroniem. To było jego schronienie. Stało tam antyczne biurko z szafkami po bokach, z blatem pokrytym zieloną skórą i pasującymi do niej lampą z zielonego szkła i suszką do atramentu. Boczne szafki były poobijane i porysowane w miejscach, gdzie zaczepiał o nie wózek. Nad biurkiem wisiało lustro. Odbijał się w nim obraz Rembrandta, posępny i ciemny od gęstych grubo kładzionych farb. Malowidło było bezcenne - czy może ściślej mówiąc, nie można go było wycenić, ponieważ reszta świata sądziła, że przypadło wraz z innymi skarbami sztuki. „Judasza zwracający srebrniki”, wariant arcydzieła z 1629 roku. Obraz zafascynował sir Charlesa, tak jak sama myśl, że skruszony grzesznik nie może zostać oczyszczony. Jak to Piotr określił skrucie Judasza? Przypomniawszy sobie: smutek zaś tego świata sprawia śmierć. Coraz trudniej było mu przypominać sobie drobiazgi, efemerydy życia, a to przerażało sir Charlesa.

Myśl o tym, że lotność umysłu osuwa się w ciemność, była zatrważająca. Staruszek obiecał sobie, że porzuci ten ziemski padół, jeżeli kiedykolwiek zapomni własnego nazwiska. Nie był pewien, czy zdoła dotrzymać tego przyrzeczenia. To był jego smutek świata. Wiek.

Wpatrywał się w obraz po raz tysięczny. Wszystko w nim zdawało się wyobrażać autentyczny wstyd, załamywanie rąk będące odbiciem tak wielu portretów Piotra grzesznika, wyraz twarzy, nawet rana w miejscu, skąd Judasz rwał sobie włosy z głowy. Wszystko to było klasyczne przedstawienia wstydu. Różnica między tą wersją a oryginalną tkwiła w monetach. W oryginale Judasz został namalowany, gdy nie potrafi oderwać wzroku od srebra.

Tutaj oddawał krwawe pieniądze Marii Magdalenie, spoglądając na nią z nadzieją, nawet z miłością w oczach. Nie płaszczył się, błagając o litość, Zamiast tego obraz emanował niepokojącym pięknem i prawdą, które zawładnęły duszą sir Charlesa od pierwszej chwili, gdy go zobaczył.

Był jeszcze dzieckiem, kiedy ojciec zabrał go, by obejrzeć malowidło w galerii Jacquesa Goudstikka w Paryżu. Obraz wisiał tam aż do niemieckiej okupacji, kiedy to, podobnie jak wiele innych dzieł sztuki, został wywieziony do prywatnej kolekcji Hermanna Göringa i uznany za zaginiony na zawsze w którymś z licznych bankowych skarbców pod Bahnhofstrasse w Zurychu. Po dziesięcioleciach sporów sądowych, grózb i negocjacji odzyskano część malowideł, lecz proces ten był tym trudniejszy, że wszystko, czym dysponowali, to napisany na maszynie spis inwentarza, który Jacques, Goudstikker zostawił wdowie, Marei, zaś bez aktu zgonu szwajcarscy bankierzy odmówili zwrotu skarbów obrastających kurzem w ich skarbcach.

Oczywiście Auschwitz, Belsen i Treblinka nie miały w zwyczaju wystawiać aktów zgonu zagazowywanym Żydom.

Wszystko to było ratującym twarz wybiegiem dla Szwajcarów, którzy rzecz jasna gromko zaprzeczali, by działo się cokolwiek naganego.

Sir Charlesowi udało się zdobyć kopię listy Marei Goudstikker. Wersja skruszonego Judasza, znana jako *Adoracja srebra* czy w skrócie *Srebro*, nie figurowała w tym spisie. Jej brak był po części przyczyną jego obsesji na punkcie zaginionych skarbów.

Bez mała dziesięć lat zajęło mu smarowanie właściwych rąk, których właściciele wiedzieli z kolei, który skarbiec otworzyć. Późniejsze przeszmyglowanie Rembrandta za granicę było w porównaniu z tym łatwym zadaniem i teraz obraz wisiał nad jego biurkiem jako nieustanne przypomnienie, że każda opowieść ma dwie strony, nawet ta najlepiej znana ze wszystkich. Sir Charles zadbał o to, by po jego śmierci obraz powrócił do spadkobierców prawowitego właściciela. To również świadczyło o tym, jakim był człowiekiem.

Pozostałą część pokoju zdominowało ogromne łóżko ortopedyczne. Tu także mahoniowa rama była poobijana w miejscach, gdzie fotel zaczepiał o nią raz po raz. Na fryzie dekorującym zagłówek przepięknie przedstawiono anioły, demony i niezliczone stwory z koszmarów. Sir Charles odkrył taki relief w Palermo i przywiózł go do Nonesuch, gdzie zatrudnił siedemdziesięcioletniego rzemieślnika, by ten przeniósł wizerunek z przedmiotu o osobliwym pięknie na łożo, w którym zamierzał umrzeć.

Przy schludnie zasłanym łóżku znajdował się zielony zbiornik z tlenem; przezroczysta plastikowa maska zwisała z zamkniętego zaworu. Na trzeciej ścianie królowały książki. Pod oknem kunsztownie rzeźbiony globus odbijał światło księżyca. Był to najstarszy przedmiot w pokoju; w tym świecie GPS-u i nawigacji satelitarnej kontury jego mapy beznadziejnie błędziły. Wypełniały go krainy, które już dawno ześlizgnęły się ze współczesnych map w sferę mitologii: Hy-Brazil, Hawaiki, Nibiru, Lemuria, Ys, Thule i inne miejsca pełne tajemnic i obietnic, zaginione, tak jak srebro Rembrandta.

Być może, jak nie po raz pierwszy pomyślał staruszek, je także można by odnaleźć? Było coś osobliwie kojącego w zamierzaniu się kopią na wiatraki niczym don Kichot.

Sir Charles ustawił fotel między łóżkiem a ścianą, włożył maskę na twarz i oddychał głęboko, gdy czysty tlen wypełniał jego płuca. Po kilku oczyszczających oddechach zakręcił zawór i odwiesił maskę. Zamknął oczy. Od początku planował, że Orla pokieruje śledztwem w Izraelu; cokolwiek innego (jak sama zażarcie argumentowała) było marnowaniem jej talentów - ale miał też aż nazbyt bolesną świadomość tego, co jej się tam przydarzyło. To musiał być jej własny wybór, żeby powrócić do tego przeklętego kraju.

Spojrzał na stary szafkowy zegar z pokrytym patyną wahadłem, kołyszącym się powoli tam i z powrotem - tik tak, tik tak. Sprawiał, że czas brzmiał tak realnie, niczym coś żywego. Staruszek słyszał Maxwella wyprowadzającego agentów na zewnątrz, słyszał Noaha

rozmyślnie mówiącego do niego coś nieprzyjemnego, trzaskające drzwi samochodu, a w chwilę potem pryskanie żwiru spod opon, kiedy Daimler przyspieszył, jadąc w stronę lotniska.

Za dwadzieścia minut znajdują się w powietrzu, a nim wszędzie słońce, będą już w połowie drogi do swojego pierwszego przystanku - Berlina. Ile mają godzin do pierwszego ataku? Sir Charles wiedział, że powinien przekazać wszystko, co mieli, do MI6. Głupio postępować inaczej, ale była 4 rano i szpiegzy nie byliby w stanie zrobić niczego, czego nie mogli zrobić jego ludzie. Właściwie to istniało mnóstwo rzeczy, których mógł dokonać wolny od ograniczeń protokołów i hierarchii zespół Kuźnicy, a czego nie mógłby zrobić działający zgodnie z prawem agent MI6. Staruszek zabębnił palcami po poręczy wózka. Rytm zabrzmiał niczym marsz pogrzebowy drewnianych zabawek Geppetta. Jego paznokcie stuknęły, pukały i pobrzękiwały na skórze, stali i drewnie. Myśli podryfowały własnym torem.

Nie było go przy pierwszej rozmowie z Orlą, ale od tamtej pory czytał jej akta z tysiąc razy.

Znal wszystkie intymne szczegóły z Tel Awiwu i wiedział dokładnie, co jej się przydarzyło. Wiedza o faktach nie osłabiała ich oddziaływania. Nie zmywała win ani nie oczyszczała, nie przynosiła odkupienia ani pomsty.

Orla została schwytana podczas drugiej Intifady. Wkroczyła do akcji po serii samobójczych zamachów, których źródło, zdaniem IDF, znajdowało się w palestyńskim obozie. Szukali Mahmouda Tawalbego, ojca dwójki dzieci i właściciela sklepu z płytami. Kierował on też komórką islamskiego dżihadu i ponosił odpowiedzialność za serię samobójczych ataków bombowych w Haifie i Haderze. Wywiad sugerował, że Thabet Mardawi i Ali Suleiman al-Saadi, dwaj inni czołowi islamscy dżihadysty, również znaleźli schronienie w obozie. Rozkazy Orli był zwięzłe - miała zinfiltrować obóz uchodźców, ustalić obecność pierwszo- i drugoplanowych celów, i zniknąć. Złożyła raporty, ale się nie wy dostała. Została uprowadzona wprost z prowizorycznych ulic obozowiska do samego serca Dżaninu, do dzielnicy Hawashin, w czasie pierwszego szturm rankiem 2 kwietnia 2002 roku. Eksplozje wywoływane przez toczące się buldożery zagłuszyły jej krzyki.

Powiedzieli jej, że jest już martwa, że w niebie nie ma miejsca dla jej duszy, ale obiecali utrzymać ją przy życiu jeszcze przez jedną noc, jeżeli sama im się odda. Wykorzystali ją. Codziennie składali tę samą obietnicę - jeszcze jedna noc. Trzymali ją przez dziewięć dni, i chociaż upływ czasu stracił dla niej wszelkie znaczenie, każdej nocy gwałciło ją co najmniej pięciu mężczyzn. Często dwóch lub trzech naraz, a niekiedy jeden mężczyzna przychodził sam. Nie walczyła z nimi. Bili ją, rozkoszując się jej bólem. Szydzili z niej, doprowadzając ją do łez. Dręczyli ją, znęcali się nad nią, ale odmówili zabicia jej, nawet gdy ich o to błagała. Przetrwała to jakoś, noc po nocy, aż wreszcie IDF „wyswobodziła” obóz.

W swoim raporcie Orla stwierdziła, że słyszała wrzaski tysięcy ludzi, kiedy buldożery zwały na nich domy, i nie potrafiła pogodzić tej rzezi z oficjalnie podaną później przez IDF liczbą 53 ofiar śmiertelnych.

Ciała Palestyńczyków pozostawiono, by zgniły.

Nie pracowała od czterech miesięcy, gdy sir Charles przyszedł jej na ratunek. Komentarz w jej aktach służbowych brzmiał krótko: ofiara tortur. Stan emocjonalny chwiejny. Sugerowana dalsza obserwacja. Jeżeli w nadchodzących miesiącach nie nastąpi zmiana, zalecane zwolnienie z czynnej służby.

Używając mniej fachowej terminologii, Orla Nyren była typowym „Wybrakowanym towarem”, który mógł z łatwością całymi latami zapewnić psychiatrze godziwe utrzymanie.

To nie zmieniało faktu, że w trakcie ich pierwszych wspólnych lat sir Charles przywykł uważać Orlę niemal za córkę, której nigdy nie miał. Znał ją dobrze i naturalny ojcowski instynkt skłaniał go, by przynajmniej starać się ją chronić, na przekór temu, że postępując w ten sposób, złościł ją jeszcze bardziej. Przeczucie nakazywało mu posłać z nią Noaha. Z nich

wszystkich to właśnie jemu powierzyłby życie Orli, ponieważ tak rzucało się w oczy, że Noah podziela ten sam sentyment do niej, co i staruszek. Bez dwóch zdań Noah zasłoniłby ją własną pierś, ale Noah Larkin był na swój sposób tak samo poraniony, jak Orla, i równie dobrze mógł się przyczynić do tego, że przez niego ktoś ich dopadnie w ciemnej uliczce i zastrzeli, jak i bohaterko wszystkich ocalić.

Sir Charles celowo podkreślił kwalifikacje Konstantina do berlińskiej części operacji, jego znajomość miasta, mentalności ludzi, jego siatkę kontaktów zarówno sprzed upadku muru, jak i późniejszych. Wszystko to równie dobrze odnosiło się do Orli i Izraela; wyraźnie dał to do zrozumienia. Jediną różnicą były ich relacje z tymi miejscami. Dla Konstantina Berlin oznaczał wolność, dla Orli Izrael oznaczał tortury. I dlatego staruszek martwił się wcześniej, że Orla może potulnie siedzieć, pozwalając Frostowi przyjąć izraelski przydział. Nawet nie potrafił sobie wyobrazić konfliktu toczącego się w jej umyśle, kiedy słuchała, jak oddaje mu jej miasto. Bitwa emocji, poczucia winy, ulgi, gniewu.

Jaką radością było zobaczyć, że znowu płonie w niej ogień. Sir Charlesowi spodobało się nawet, że zwymyślała go za jego ośli upór, chociaż pozornie oznaczało to utratę twarzy przed innymi. Frost już dostatecznie długo siedział w tym interesie, żeby połapać się w grze sir Charlesa, a Lethe zbyt zachwycał się całą tą szpiegowską kulturą, w której się obracali, żeby narażać swoje w niej miejsce. Noah to Noah i zapewne nawet nie zauważył niczego prócz faktu, że Orla staje się tym bardziej fascynująca, im bardziej kipi gniewem. Konstantin to co innego. On wywodził się z kultury, która szanuje siłę, nawet jeżeli ta siła jest niezaprzeczalnie złym. A jednak uciekł stamtąd nie bez powodu, więc nawet Rosjanin znajdzie coś godnego podziwu w tym, że staruszek dał się przekonać jej argumentom. Tak więc w rzeczywistości jej wybuch przysłużył się umocnieniu jego pozycji, a nie podkopał jej.

Był zmęczony. Wciąż pozostało jeszcze parę godzin do świtu, i jak sam powiedział innym, te kilka godzin to może być ich ostatnia szansa na porządną sen w najbliższej przyszłości.

Rozebranie się - coś, co przez długi czas uważał za najzwyczajszą rzecz - było fizycznym wyzwaniem. Dyszał i sapał, dźwigając się z wózka i opuszczając na twarde materac. Nie było w tym ani krzty gracji. Skręcał się i wiercił niczym wyrzucony na brzeg wieloryb, usiłując dostać się pod kołdrę. Skórę miał mokrą od potu. Leżał na łóżku, wpatrując się w sufit. Sen nie nadszedł.

Pojawiło się za to słońce.

PIERWSZA KREW

Ronan Frost pokonał trasę do Newcastle w nieco ponad cztery godziny, trafiając na porę szczytu akurat wtedy, gdy rozkręcała się na dobre w całej swojej smrodliwości. Ducati nie trzymał się tych samych zasad ruchu, które dławili nieustający potok autobusów i rdzewiejących starych aut. Ronan przyspieszył wzdłuż białej linii, manewrując między stojącymi w korku fordami i volvo. Przeniknął skrajem miasta, nadjeżdżając od strony Gateshead, przez most na Tyne i przebudowaną Quayside, wokół ronda Swallow House i ostro skręcił w ulicę, która zaprowadziła go za budynki uniwersyteckie w kierunku zamożniejszych przedmieść Jesmond i Gosforth.

Lethe podał mu nazwiska i adresy samobójców. Trzy z nich znajdowały się w Tyne Valley, był to więc oczywisty punkt wyjścia. Catherine Meadows, samobójczyni z Trafalgar Square, mieszkała przy Queens Road w West Jesmond; Sebastian Fisher, ofiara z Barcelony, za rogiem przy Acom Road. Ronan zjechał z głównej drogi i powoli minął mieszkanie Catherine. Mieściło się w ogromnym białym narożnym budynku, który niemal na pewno był kiedyś kliniką czy czymś takim, zanim przekształcono go na luksusowe mieszkania. Luksus nie obejmował drabinki pożarowej, która wyglądała, jak gdyby trzymała się tylko dzięki rdzy i modlitwie. Wzdłuż ulicy parkował sznur samochodów, ale przy budynku znajdował się mały prywatny parking. Trzy identyczne czarne sedany stały tam jeden obok drugiego. Miały rządowe tablice rejestracyjne; Ronan nie musiał ich oglądać, żeby dokładnie wiedzieć, co oznaczają te trzy auta. MI5 już tu było. W tej chwili jedynym, co mu sprzyjało, była biurokracja: Piątka i Szóstka to dziwne bestie, dwie różne strony szpiegowskiego medalu. Jeżeli doświadczenia Ronana z lewą i prawą ręką Secret Service mogły się tu na cokolwiek przydać, to wiedział, że trochę potrwa, nim biurokratyczne trybiki zaczną się obracać i ich wymuszona współpraca zaskoczy. A zatem przynajmniej na razie będą działać bez porozumienia. W ciągu godziny czy dwóch dodadzą dwa do dwóch i zaczną grać w jednej drużynie. To daje mu w najlepszym razie godzinną przewagę.

Ronan popędził Monstera, dodając gazu, zanim popuścił mu cugli, i z rykiem ruszył jednokierunkową ulicą. Wjechał między szereg betonowych słupków mających powstrzymywać samochody przed wjeżdżaniem na spokojniejszą alejkę dla pieszych, skręcił w lewo i jeszcze raz w lewo, zawracając. Acom Road znajdowała się po drugiej stronie głównej drogi. Była to osobliwość angielskiego życia, ulica zapełniona sklepikami i wszystkim, czego potrzeba - od typowych agencji nieruchomości, przez sklepy monopolowe, dwie niby to włoskie restauracje i jedną indyjską, nieodzowny salon fryzjerski i sklep spożywczy sąsiadujący z pozującym n\$ galerię sztuki drogim antykwariatem z marmurowym posągami w przyciemnionym oknie, aż po pół tuzina eleganckich butików i kolekcjami sprowadzanymi z całego świata. Na rogu znajdował się pub „Pod Trzema Żółwiami”, a za nim wejście do stacji metra.

Sebastian Fisher mieszkał nad jedną z agencji nieruchomości i szyldem z czarnym koniem na ciemnozielonym tle. Budynek był taki sam, jak wiele innych, które Irlandczyk minął w ciągu ostatniej godziny. Nazywano go Tyneside Flats, a wzniesiono według jednego ze wzorów projektów masowego budownictwa mieszkaniowego z lat 20. XX wieku. Niczym w fordzie model T, w którym można było mieć każdy kolor, jaki się chciało, byle by to był czarny - w Tyneside Flats otrzymywało się standardowy projekt. Ten standardowy projekt oznaczał, że nawet bez konieczności postawienia tam stopy Ronan dokładnie znał rozkład domu, Fishera. Ronan zatrzymał motor przy zielonych drzwiach, prowadzących do dwupoziomowego mieszkania i powiesił kask na kierownicy. Nie przypinał Monstera łańcuchem.

Poświęcił chwilę, żeby się rozejrzeć. Wciąż miał jeszcze godzinę, nim agencja nieruchomości zostanie otwarta, co oznaczało zapewne ze trzydzieści minut, zanim ktokolwiek przyjdzie do biura i będzie mógł usłyszeć go chodzącego na górze; Piekarnia po drugiej stronie ulicy była otwarta; aromat świeżych wypieków ścisnął mu wygłodniały żołądek. Z maleńkich głośniczków dobiegała piosenka Handbags and Gladrags. Ronan kupił sobie jeszcze ciepłego francuskiego rogalika, prawie ociekającego roztopionym masłem, wymienił uśmiechy z młodą dziewczyną za ladą i zając go po drodze, skręcił w alejkę za domem Fishera.

Trzynogi pies obsikiwał zielony pojemnik na śmieci na kółkach. Pies wyglądał, jakby składał się z samej obwisłej skóry i sterczących kości. Widać było, że nie karmiono go od wieków. Ronan rzucił mu resztkę rogalika. Kundel obwąchał ją podejrzliwie, po czym rzucił się na nią jak głodny wilk.

Ronan liczył furtki, aż zatrzymał się przed dziewiątą z nich. Była pomalowana na taki sam odcień zieleni, jak drzwi od strony Acora Road. Spróbował szczęścia z klamką. Drzwi były zamknięte. Górną krawędź wieńczyły dziesięciocentymetrowe metalowe kolce, mające powstrzymywać miejskie szpaki do zakładania gniazd, ale oferujące też dodatkowy bonus w postaci nakłuwania potencjalnych włamywaczy. Podwórko za domem otaczał mur, Wykończony u góry tłuczonym szkłem. Nie żeby to stanowiło problem. Ronan zdjął skórzaną kurtkę i ułożył ją na oknach szkła, zanim wspiął się i pokonał mur. Z łatwością zszedł po drugiej stronie i odzyskał kurtkę.

Poczuł się tak, jak gdyby przechodząc przez mur znalazł się z powrotem w czasach swojego dzieciństwa w Derry. Stała tam wygodka, a obok niej szopa na węgiel, chociaż tu żadnej z nich nie używano od lat. Wygodkę zapełniały różności pozostawione przez kilku lokatorów po ich zarzuconych próbach majsterkowania. W podwórzu znajdowało się dwoje drzwi, jedno na wprost niego, najwyraźniej otwierające się na stromą tylną klatkę schodową, a drugie z boku, prowadzące do biura agencji nieruchomości na parterze. Spróbował otworzyć tylne drzwi do Fishera, nie spodziewając się, że będą otwarte.

Ale były.

To natychmiast sprawiło, że serce mu załomotało. Nawet w lepszych dzielnicach miasta drzwi powinny być zamknięte przynajmniej na zasuwę. Ronan uchylił je tylko na tyle, by móc się wślizgnąć do środka, mając nadzieję, że przy tym nie zaskrzypią. W środku pachniało stęchlizną, jak gdyby minęło sporo czasu, odkąd ktoś ostatni raz otwierał tu okno. To była odpowiedź na przynajmniej jedno z pytań, które zadawał sobie Ronan. Powoli wspinał się po tylnych schodach, po jednym stopniu, pozwalając im dostosować się do jego ciężaru, zanim stanął na kolejnym schodku. Wreszcie znalazł się w małej, wąskiej kuchni. Niepozmywane talerze po ostatnim posiłku Sebastiana Fishera wciąż piętrzyły się przy zlewie. Były to cztery talerze obiadowe i zaczynała je pokrywać pleśń. Jak dużo czasu potrzebuje pleśń, żeby rozpanoszyć się w sosie na nieumytym talerzu? Tydzień? Na pewno nie więcej niż dziesięć dni. To dawało mu przynajmniej jakieś ramy czasowe. Fisher przebywał tu tydzień temu i nie był sam.

Ronan stał całkowicie nieruchomo i nasłuchiwał odgłosów domu.

Przez chwilę nie było nic słychać, potem nieznaczne skrzypnięcie deski w podłodze w jednym z pozostałych pomieszczeń potwierdziło, że nie był tam sam.

Miał dwa wyjścia - wrócić tą samą drogą, którą przyszedł, znaleźć jakąś kryjówkę i zaczekać, aż włamywacz się wydostanie, po czym go śledzić albo spróbować zakraść się za intruza, powalić go i dowiedzieć się, co do jasnej cholery się tu dzieje. Nie było więc wielkiego wyboru. Ronan cicho przesunął się ku drzwiom i nasłuchiwał. Rozkład mieszkania znał na pamięć. Mała kuchnia otwierała się na salon. W typowym rozkładzie Tyneside salon miał troje drzwi - jedno do drugiej sypialni, jedno na korytarz prowadzący dalej do głównej sypialni, do małego pokoiku i do ubikacji, oraz te, przez które przechodził.

Otworzył drzwi.

Pokój był urządzonej po spartańsku i wyglądał jak jeden Z; wielu zapychających w ciągu dnia programy telewizyjne nudnymi poradami na temat dekoracji wnętrz. Sebastian Fisher nie odcisnął na tym pokoju piętna własnej osobowości, chyba że jego osobowość sprowadzała się do sztamkowego projektu i mebli z IKEI. Jednym ustępstwem na rzecz wyższej jakości było radio Onkyo i głośniki Jammo obok sterty płyt CD. Sprzęt audio zapewne wart był tyle, co cała reszta wyposażenia pokoju razem wzięta. Co ciekawe, nie było telewizora.

Cztery nieumyte talerze sugerowały, że Fisher nie mieszkał sam; zapewne po to była druga sypialnia. Ronan ostrożnie podszedł w kierunku drzwi i nasłuchiwał, nim je otworzył. Piętrowe łóżka i porozrzucone zabawki tłumaczyły dwa z czterech talerzy. Łóżka były nieposłane, figurki bohaterów rozsypane na podłodze. Dzieciaki opuściły pokój w pośpiechu. Na ścianach wisiały plakaty z piłkarzami, których Ronan nie rozpoznawał, tuż obok superbohaterów w kostiumach i wszelkich innych rzeczy, które fascynują małych chłopców - dinozaurów, statków kosmicznych i masek pogrzebowych egipskich faraonów.

Ronan poczuł mrowienie na skórze, rozbłysk szóstego zmysłu, i odwrócił się prosto pod cios prawej pięści. Potężne uderzenie trafiło go w skroń i świat zakołysał się wokół niego. Zatoczył się krok do tyłu i poczuł, jak kolana się pod nim uginają. Instynktownie wyciągnął rękę, starając się złapać czegoś, nim upadnie. Chwycił płaszcz napastnika i zarobił drugi prosty cios. Ten trafił go niżej, dosięgając boku szyi i odbierając mu dech. Frost upadł na kolana w chwili, gdy napastnik wyprowadzał rozstrzygające bezlitosne kopnięcie kolaniem w twarz i odebrał mu ostatnią szansę obrony.

Frost padł ledwie na kilka sekund, ale to wystarczyło, żeby intruz umknął. Ronan usłyszał trzaśnięcie tylnych drzwi i próbował wstać. Potrzebował pomocy futryny, żeby ustać na nogach, podczas gdy mieszkanie falowało wokół niego. Poczł ciepłą strużkę krwi spływającą po twarzy i zobaczył, że zaplamiła mu kurtkę na ramieniu. Potrząsnął głową, dla otrzeźwienia uderzył się w policzek i ruszył w pościg za człowiekiem, który go powalił. Ronan zbiegł po trzy stopnie naraz i z impetem otworzył tylne drzwi akurat w porę, by zobaczyć, jak intruz pokonuje mur. Ronan rozważał swój następny ruch w ciągu dwóch sekund, które zajęło mu przebycie odcinka od drzwi do furtki. Były tam dwie zasuwki, jedna na górze i jedna na dole, oraz kłamka. Ich otwarcie nie zajęłoby mu więcej niż dziesięć sekund. Przedostanie się nad murem z tłuczonym szkłem nie trwałoby dłużej niż trzy sekundy, ale niemal na pewno poraniłby sobie ręce. Intruz musiałby być olimpijskim sprinterem, żeby w ciągu tych siedmiu sekund dotrzeć na koniec alejki i zniknąć z pola widzenia, zanim Ronan zdąży zobaczyć, czy pobiegł w lewo czy w prawo.

Ronan odsunął zasuwki i energicznie otworzył furtkę.

Alejka była pusta.

- Cholera - zaklął, gorączkowo rozglądając się na lewo i prawo.

Sięgnął po telefon komórkowy, żeby zadzwonić do Nonesuch. Lethe mógł podłączyć się do Eye in the Sky i wysledzić drania w dowolnym miejscu miasta, jeśli trzeba. To były plusy technologii. Ronan nacisnął klawisz szybkiego wybierania.

- Lethe na rozkaz - odezwał się głos przy jego uchu.

Dzieciak lubił bawić się w wojsko.

- Jude, tu Frost. Ktoś był w mieszkaniu Fishera. Gonię go na piechotę. Naprawdę przydałoby mi się tutaj czyjeś oko, więc zrób to, co tam zwykle robisz.

- Jasne, szefie. Będę mieć podgląd za parę sekund. Proszę bardzo. Widzę cię. Ok, no to czego mam szukać?

Nie było mowy, żeby mężczyzna zdołał dotrzeć do któregośkolwiek końca alejki, co znaczyło, że musiał sforsować kolejny mur i ukrywał się na jednym z wielu podwórek.

- Czy jest tu ktoś jeszcze?

Zanim Lethe zdążył odpowiedzieć, Ronan usłyszał odgłos tłuczonego szkła. Ogrodzenia były zbyt wysokie, żeby mógł dojrzeć, w którym to było domu, ale nie mogły one ukryć zbiega przed okiem Lethego patrzącego z niemal boskiej perspektywy.

- Pięć domów dalej. Po twojej stronie ulicy. Włazi przez jedno z okien na parterze.

To miało sens. Dokładnie tak samo postąpiłby Ronan, gdyby role się odwróciły. Sklepy były puste. Mniejsze ryzyko natknięcia się na rozjuszonego właściciela domu z kijem bejsbolowym i pięćdziesiąt procent szans, że sklep posiada cichy alarm. Co oznacza, że można spróbować wyjść, udając, że wszystko jest w porządku, tak aby wydawało się, że nie ma nic bardziej naturalnego niż wychodzenie z fikcyjnego sklepu.

A gdyby nie udało mu się otworzyć drzwi od wewnątrz i nie mógłby wydostać się po cichu - krzesło rzucone przez okno, skok na Monstera i w drogę, zanim ktokolwiek zdołałby go zatrzymać.

Chwilę później rozległo się wycie alarmu przeciwwłamaniowego i Ronan dokładnie wiedział, w którym domu schował się napastnik. Wsunął telefon do kieszeni, nie przerywając połączenia, i pobiegł w kierunku syreny, i zobaczył krew na trawie w miejscu, gdzie mężczyzna przedostał się przez mur. Nie miał wielkiego wyboru, jak tylko pójść w jego ślady. Przesunął się trzy kroki w bok, żeby mieć pewność, że nie zanieczyści krwi swoją własną. Podciągnął się. Kawałki szkła poraniły mu dłonie, kiedy spoczął na nich ciężar jego ciała. Ignorując ból, Ronan Frost dzwignął się nad krawędzią muru i opuścił po drugiej stronie. Podwórko było zagracone pustymi kartonami z nazwami, które nic mu nie mówiły. Spróbował przywołać w pamięci widok handlowej strony Acom Road i zdał sobie sprawę, że to salon fryzjerski wciśnięty między antykwariat a ostatnią z agencji nieruchomości.

Wyjął telefon z kieszeni.

- Czy wyszedł po drugiej stronie?

- Jeszcze nie - odpowiedział mu Lethe. - Dlatego uważaj.

Nie trzeba mu było tego powtarzać dwa razy; wspomnienie pięści tego człowieka wciąż paliło mu twarz. Jeszcze raz schował telefon do kieszeni, zanim wgramolił się do środka przez rozbite okno.

Wewnątrz nie paliły się żadne światła, co dawało drugiemu mężczyźnie mnóstwo cienia, w którym mógł się skryć. Sylwetki staroświeckich suszarek do włosów wyglądały jak z filmu o kosmitach, majaczące w mroku swoimi bąblastymi głowami i patykowatymi szkieletami, ustawione rządkiem pod ścianą. Noah wyteżył uwagę, wpatrując się w ciemność po lewej i prawej. Nie mógł polegać na swoim wzroku w gęstych ciemnościach salonu, był więc zmuszony czujniej nasłuchiwać i zawierzyć swoim instynktom.

- Wiem, że tam jesteś - zawołał, nie spodziewając się odpowiedzi.

- No proszę, bystrzak z ciebie - szepnął kobiecy głos tak blisko jego prawego ucha, że Noah aż się wzdrygnął.

Mówiła z akcentem. Nie był zbyt wyraźny. Właściwie brzmiało to tak, jak gdyby celowo starała się go ukryć, nawet w tych paru słowach. Noah odwrócił się, wyprowadzając pięść w chwili, gdy posłała kolejny zwalający z nóg cios w bok jego głowy. Chwytał ją za nadgarstek i brutalnie wykręcił go do dołu. Poczował, jak pękają drobne kostki. Nie wrzasnęła, choć się tego spodziewał. Ten ułamek sekundy oczekiwania drogo go kosztował. Zamiast krzyknąć, poderwała nasadę dłoni w górę i zdzieliła go w usta, aż głowa odskoczyła mu do tyłu. Gdy Ronan odruchowo cofnął się chwiejnie o krok, wyszarpnęła zranioną rękę. Rozluźnił uścisk, instynktownie sięgając za plecy po swojego Browninga High Power kaliber 9 mm. Gdy jego ręka już zaciskała się na laminowanej rękojeści Mil-Taca G10, kobieta uderzyła go obiema pięściami w twarz, krzycząc, kiedy połamane kości prawego nadgarstka otarły się jedna o drugą. Ból po zadaniu ciosu powinien był ją z miejsca powalić. Jednak nawet jej nie spowolnił. Kiedy Noah zwinął się w pół, kopnęła go kolanem między nogi. Padł na podłogę jak worek kartofli. Pistolet wypadł mu z dłoni i przesunął się po podłodze.

Stała nad nim, podczas gdy on próbował dosięgnąć broni, która leżała ponad pół metra od jego rąk.

- Czy pogodziłeś się ze Stwórcą? - spytała, podchodząc do Browninga.

Podniosła go, obróciła w dłoni w prawo i w lewo, po czym wyprostowała, celując w twarz Ronana. Nosila czarną kominiarkę. Kręcone kosmyki czarnych włosów wystawały jej spod kaptura. Podtrzymując złamany nadgarstek, powoli podeszła do Ronana i przyklękła, aż lufa oparła mu się na czole. Wystarczyłaby jedynie najłżejsza zmiana nacisku i zrobiłaby mu śmiertelny otwór w samym środku czaszki. Jej oczy, przysłonięte tylko okalającą je czarną wełnianą kominiarką, były wyraźnie widoczne - zobaczył lodowaty kobaltowy błękit. Mógł poczuć jej oddech na twarzy i nieznaczne drżenie broni przytkniętej mu do skóry. Kobieta nie była tak opanowana, jaką udawała. Zamierzała go zabić. Co do tego nie miał wątpliwości. Ale nie była morderczynią. Pociągnięcie za spust nie było czymś instynktownym. Musiała o tym pomyśleć. Zaś myślenie o tym oznaczało, że miał szansę, nawet teraz, z bronią przystawioną do głowy.

Ronan zamknął oczy, jak gdyby modląc się albo chowając w sobie. Nie miało znaczenia, jak ona to zrozumie, a jedynie fakt, że pomyślała, że Ronan się poddaje.

Napiął mięśnie.

Nie było mowy, żeby zdołał podnieść rękę i wyrwać jej broń, zanim wpakuje w niego kulkę, ani by mógł się spod niej wygramolić. Odtworzył jej obraz w myślach, koncentrując się na złamanym nadgarstku. Miał tylko jedną szansę. Musiał ją wykorzystać. Nie poruszał się. Pozwolił, by jego ciało zwiotczało, jak gdyby akceptując nieuchronność kuli. Poczul, że rytm jej oddechu się zmienia. Opanowała tę resztkę wątpliwości, która powstrzymywała ją przed pociągnięciem za spust. A zatem teraz albo nigdy.

Ronan Frost poderwał głowę.

Broń ześlizgnęła się po boku jego głowy i kobieta wystrzeliła w podłogę. W chwili, gdy odrzut szarpnął nią do tyłu, Ronan postawił swoje życie na jedną kartę, licząc na to, że zaskoczona nie będzie osłaniać nadgarstka. Chwycił go i bezlitośnie szarpnął w dół. Z bólu drugi raz nacisnęła spust. Kula trafiła w ścianę. Frost z całej siły przechylił rękę do tyłu, i połamane kości rozdarły skórę. Wiedział, że nie trzeba wiele, by któraś z potrząskanych krawędzi przebiła żyłę. Na tym polegała różnica między nimi - on już kiedyś zabił.

Usiłowała wycelować w niego z Browninga, ale Ronan Frost wolną ręką podbił jej rękę, aż broń wypadła. Uderzając w podłogę, pistolet wypalił jeszcze raz; kula utkwiała w ścianie ponad jego głową. Ronan rzucił się do przodu całym ciężarem, starając się zwalić kobietę z nóg. Niezgrabnie upadła na plecy, trzymając się za złamany nadgarstek.

Sięgnął po broń.

Kobieta zerwała się i pobiegła ku drzwiom.

Ronan pozbierał się z podłogi, chwycił Browninga i przeturlał się na plecy. Nie celował, tylko pociągnął za spust. Strzał poszedł za wysoko i w bok, odrywając kawałek spiralnego wzorku z tynku na suficie. Nie oczekiwał, że trafi. Kobieta złapała jedną ze stojących suszarek do włosów i trzymając ją niczym kopię, natarła na szybę w oknie. Szkło roztrzaskało się wokół ceramicznej bańki wieńczącej suszarkę. Kobieta bez wahania rzuciła się głową naprzód przez okno, chociaż szkło rozpadło się na poszczerbione kolce i sypało się z brzękiem. Uderzyła o bruk prawym kolaniem i ramieniem, turlając się po stłuczonym szkle, i podniosła się na równe nogi, poraniona i zakrwawiona. Rzuciła jedno przelotne spojrzenie za siebie w stronę Ronana, po czym ruszyła ulicą przed siebie, pędząc w kierunku tłumu ludzi wychodzących ze stacji metra.

Przechodząc przez stłuczone szkło, Ronan, wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy.

- Masz ją na ekranie?

- Oczywiście, że mam - odpowiedział Lethe, [jak gdyby zwracał się do opóźnionego w rozwoju dziecka źle radzącego sobie z techniką.

- Dobrze. Nie zgub jej.

Ronan rzucił się przez pozostałości okna. Ludzie gapili się na niego, gdy wyłonił się na ulicy. Czuł, jak szok opada na nich jak gruby koc. To było sensne przedmieście. Faceci z bronią nie wybiegali tu na ulicę. Ludzie usuwali mu się z drogi, kiedy ruszył w pościg za kobietą. Wyczuwał ich strach.

- Policja - zawołał, chociaż to było kłamstwo.

To jedno słowo przywróciło naturalny dla nich porządek świata.

Ronan gnał z całych sił, pochylony, zaciekle młócąc rękoma i przebierając nogami. Dostrzegł kobietę przed sobą. Wyprzedzała go o czterdzieści metrów. Ściągnęła z głowy kominiarkę i biegła, ściskając ją w prawej dłoni. Pędziła najszybciej, jak potrafiła, co parę kroków wymijając ludzi spieszących do pracy. Frost dokonał obliczeń w głowie.

Browning był skuteczny i przy pięćdziesięciu metrach. Na ulicy znajdowała się setka ludzi, przypadkowych przechodniów; kobieta stanowiła ruchomy cel, ale to byłby prosty strzał. Niemal na pewno mógł ją zdjąć jedną celnie poślaną kulą - musiał tylko przybrać stabilną pozycję, zanim odda strzał; Ale to oznaczało strzelenie nieuzbrojonej kobiecie w plecy. Przy tak wielu ludziach na ulicy nie można było przewidzieć, czy ktoś nie zrobi kroku czy dwóch w złym kierunku, zaciekawiony czymś na sklepowej wystawie lub jakimś nagłówkiem na planszach reklamujących gazety, i nie wejdzie mu pod kulę. Zbyt łatwo ktoś mógł zostać trafiony przypadkowo na zatłoczonej ulicy. Kobieta o tym wiedziała, dlatego pędziła w stronę największego skupiska ludzi. Jak mówi stare powiedzenie, bezpieczniej w gromadzie, choć w tym przypadku chodziło o bezpieczeństwo nieco innego rodzaju.

Ronan miał pięć sekund na oddanie strzału, jeżeli zamierzał to zrobić, w przeciwnym razie kobieta zniknie w tunelach metra, Lethe straci podgląd, a on sam zostanie bez żadnych wskazówek. Tłum rozstał się, by połknąć kobietę, i już jej nie było. Ronan zaklął.

- Powiedz mi, że ją widzisz! - krzyknął do słuchawki.

- Przykro mi, szefie.

- Cholera! - zaklął Frost.

Przepychał się między ludźmi, co bardzo go spowalniało. Po jednej stronie wejścia na stację na ulicę wysypywały się kwiaty, po drugiej gazety. Ronan wbiegł do środka i przeskoczył nad bramkami. Istniała tylko jedna droga, którą mogła pobiec - wzdłuż peronu. Ciężko dysząc, Ronan zbiegał po trzy albo cztery stopnie naraz. Starał się rozglądać ponad głowami pasażerów, ale kobieta o długich, ciemnych włosach wyglądała zupełnie tak samo, jak każda inna kobieta o długich, ciemnych włosach. Była sprytna. Nie rozpychała się, torując sobie drogę przez sunącą ludzką falę; poruszała się wraz z nią, przez co jeszcze trudniej było ją wypatrzeć.

Megafony ogłosiły swoim metalicznym głosem zbliżający się następny skład w kierunku południowym. Frost poczuł jak grunt pod jego nogami zaczyna dygotać, gdy kolejka z łoskotem wtoczyła się na stację.

Nie mógł jej pozwolić wsiąść do wagonu, jeżeli chciał się dowiedzieć, dla kogo, do diabła, ona pracuje. Wcisnął się między garnitur w prążki a moherowy zakiet. Powietrze było ciężkie od perfum, dymu papierosów i spalin. Uliczny artysta stał w rogu, gdzie tunel zakręcał, by zejść poniżej torów. Gitarowy riff odbijał się echem od złotych płytek. Ronanowi przeszło przez myśl, żeby znów krzyknąć „Policja!”, ale ludzie równie dobrze mogli ścieńczy szeregi, żeby nie dopuścić, by schwytał kobietę, jak i go przepuścić.

Musiała cierpieć. Adrenalina mogła tylko częściowo zagłuszyć ból. Złamanego nadgarstka nie da się ignorować. Kiedy jej ciało odzyska czucie, kobieta będzie w agonii. Każdy wybój i potrącenie przez innego pasażera musiało wywoływać ból przesywający wszystkie nerwy i mięśnie jej ciała. Chyba że jest naładowana metamfetaminą, pomyślał. To by miało sens. Nawet się nie skrzywiła, gdy roztrzaskał jej nadgarstek. Ta myśl niespecjalnie

dodała mm otuchy. Stawiał już wcześniej czoło w walce ludziom napakowanym metą - to było jak próba powalenia jakiegoś cholernego Terminatora.

Ronan odepchnął z drogi dwie uczennice w mundurkach złożonych z kraciastych minispódniczek i przyciasnych bluzeczek.

I wtedy ją zobaczył.

Była już w połowie peronu, torując sobie drogę w kierunku ciemnego wejścia do tunelu na jego drugim końcu. Przepchnął się obok kolejnego garnituru, ze wzrokiem twardo utkwionym w plecach kobiety. Reflektory lokomotywy rozbłysły jasnym światłem, rozjaśniając cały peron. Frost poczuł podmuch uderzający go w twarz, kiedy kolejka zwolniła i zatrzymała się. Drzwi się otworzyły. Kobieta nawet nie próbowała wsiąść do metra, po prostu szła w stronę końca peronu. Obejrzała się przez ramię i Ronan po raz pierwszy zobaczył jej twarz.

Nie miała tego obłąkanego wyglądu kogoś, kto postradał rozum. Była - i Ronan sam nie mógł uwierzyć, że tak myśli - piękna. Oszałamiająco. Miała tę smagłość lica rdzennych mieszkańców rejonów Bliskiego Wschodu i bardzo ostre, wyraźne rysy. Dostała w prezencie kilka cennych sekund, kiedy Ronan usiłował pogodzić w myślach łomot, jaki otrzymał, z delikatną urodą kobiety przed sobą. Dostrzegła go i zaczęła biec.

Dotarła na kraniec peronu w chwili, gdy kolejka ruszała. Nie zwolniła kroku. Zeskoczyła na tory i wbiegła w głąb nieprzeniknionej czerni tunelu.

Wyjął Browninga i przyklęknął na jedno kolano, szykując się, by strzelić w głąb zięjącego tunelu. Nacisnął spust. W ograniczonej przestrzeni odgłos był ogłuszający, wzmocniony dziwną akustyką. Strzałowi nie towarzyszył żaden jęk dobiegający z ciemności. Frost ruszył w stronę końca peronu.

Usłyszał nierówny odgłos jej stóp, gdy uciekała przed nim po omacku. Ta sama akustyka, która zmieniła jego Browninga w ryczącą armatę, zaskakująco wyraźnie niosła ku niemu chrzęst i szuranie jej stóp na kamiennych okrucach. Każdy dźwięk wydawał się dochodzić z tak bliska, jakby Frost mógł tylko wyciągnąć rękę i jej dotknąć.

Ronan wpatrywał się za nią w czarny otwór.

Tablica informowała, że następny skład ma przyjechać za cztery minuty.

Grunt pod jego nogami zadrżał, kiedy inny pociąg wtoczył się na sąsiedni peron, wypłaszając szczura z jego kryjówki. Zwinny gryzoń przemknął po stopach Ronana i znikł między szczelinami w murze. Ronan popatrzył za nim i wyładował swoją frustrację na ścianie. Naprawdę nie uśmiechało mu się wskakiwanie do tunelu metra w środku porannego szczytu. Przychodził mu na myśl z tuzin mniej bolesnych sposobów na popełnienie samobójstwa.

Nadal trzymając w dłoni Browninga, zeskoczył z peronu. Tunel był nieoświetlony, więc po sześciu metrach przechodził w litą ścianę czerni. Frost upewnił się, że znajduje się pośrodku między szynami i ruszył w pościg. Za nim głos z megafonu nakazywał im zejście z torów. Zignorował go.

Ronan podążył tunelem za kobietą i modlił się do powolnego boga, który miałby w opiece irlandzkich miotów hasających po torach metra, żeby następny pociąg odwołało.

Dwanaście kroków i ciemność stała się nieprzenikniona. Zastygł bez ruchu, starając się usłyszeć ją przed sobą. Nie udało mu się. Ciemność wypełniał tylko odgłos jego własnego ciężkiego oddechu.

- Nie rób tego - zawołał, wciąż się nie poruszając. Później coś usłyszał, delikatne smyrgnięcie w odpowiedzi na jego okrzyk: szczury. - Nie ma dokąd uciekać, a za parę minut z następnym pociągiem obojgu nam zrobi się w tym tunelu cholernie niewygodnie. Daj spokój, nie utrudniaj tego bardziej, niż to konieczne.

Czekał. I nic.

Nie wychodziła. Usiłował pomyśleć. Naprawdę zaczynał żałować, że nie strzelił, kiedy miał okazję. Była profesjonalistką, co oznaczało, że najpewniej nie będzie miała przy sobie niczego, co by pozwoliło ją zidentyfikować albo powiązało z tym, kto ją wynajął do przeszukania domu Fishera, ale nawet profesjonaliści popełniają błędy. On ją zaskoczył. Uciekła, zanim zdołała znaleźć to, po co tam poszła, cokolwiek to było. To oznaczało, że coś nadal czekało na odnalezienie.

Ronan zagryzł górną wargę i wziął głęboki wdech.

Ruszył przed siebie. Ostrożnie stawiał każdy krok, przesuwając palcami stopy wzdłuż kanciastych kamieni, dopóki nie znalazł bezpiecznego miejsca przy następnym drewnianym podkładzie. Krok za krokiem brnął dalej w głąb tunelu. Szybko obejrzał się przez ramię dla pewności, że światło nie jest dla niego zbyt daleko, by mógł trafić z powrotem, gdy wtem zjeżyły mu się włosy na przedramionach. Powietrze wokół niego nieznacznie zafalowało.

I wtedy to poczuł - charakterystyczne drżenie kolejki turkoczącej po torach. Chwilę później zza rogu wyłoniło się światło. Frost zobaczył kobietę oślepioną światłami pociągu. Stała nie dalej niż sześć metrów przed nim, rozglądając się gorączkowo, aż wreszcie dostrzegła to, za czym się rozglądała, i ruszyła biegiem w stronę nadjeżdżającej kolejki.

Wiedział już, że nie będzie musiał strzelać. Metro wykona za niego brudną robotę, ale nie zostanie dla niego do pozbierania nic prócz krwi i wnętrzności na torach, i to tylko wówczas, jeśli sam zdoła się wydostać z tunelu, zanim kolejka rozpląta jego ciało na pół. Ronan wrzasnął na kobietę. To nie były słowa, tylko dzika eksplozja dźwięku z jego gardła.

Maszynista w swojej kabinie pochylił się nad przyciskiem. Zderzenie dźwięków w tunelu było ogłuszające; jazgot hamulców, pisk stali sunącej po żelazie, gdy koła zablokowały się i ślizgały, ryczący gwizd, kiedy maszynista raz za razem naciskał przycisk, nieznośne szczekanie megafonu nakazującego im zejść z torów, i wreszcie wrzaski Ronana Frosta, patrzącego, jak kobieta gna prosto na lokomotywę.

I wtedy znikła.

Tak po prostu.

W jednej chwili była tam, a za moment już nie.

Lecz nie było żadnej krwawej eksplozji ciała. Żadnego zderzenia. Żadnej krwi opryskującej reflektory. Żadnych zwłok rozwleczonych w kawałeczkach po szynach.

Ten widok sprawił, że Ronan zastygł w miejscu o sekundę za długo.

Poczuł, że oddech uwiązał mu w krtani.

Uświadomił sobie, że nie ma czasu na ucieczkę. Nie było mowy, żeby zdołał się wydostać z tunelu i wspiąć z powrotem na peron, zanim pociąg nadjedzie. Wiedział już, co zrobiła kobieta. Podbiegła do jednego z wyjść serwisowych. Szaleńczo rozglądał się na lewo i prawo; od zbliżających się świateł w całym tunelu było jasno jak w południe. Nie mógł dostrzec żadnej kryjówki. I to by było na tyle, jeśli chodzi o tego boga - przemknęło mu przez głowę. Ze wszystkich „ostatnich rzeczy”, jakie spodziewał się rozpamiętywać w chwili swego końca - pięknych kobiet kochanych i utraconych, zdradzonych przyjaciół, istnień odebranych i ocalonych - wyklinanie wymyślonemu bóstwa niespecjalnie pasowało jako myśl na pożegnanie się ą cielesną powłoką.

Przyszło mu do głowy, żeby rzucić się na ziemię i leżeć płasko na brzuchu między szynami, modłać się, żeby nie pojawił się hak holowniczy, kiedy wagony będą przemykać mu nad głową, gdyż wtedy zostałby rozplątany jak ryba i zawleczony aż do centrum miasta. Reflektory były już ogromne, wypełniały sobą tunel. Sam tunel nie był dość szeroki, żeby mógł się przycisnąć do ściany. Spojrzał w dół, na koła, potem na szyny i na łagodny łuk ściany, i zdał sobie sprawę, że to jego jedyna szansa. Znowu rozległ się gwizd. Pomimo piskliwego zgrzytu hamulców kolejka nie zwalniała na tyle prędko, żeby ocalić mu życie. Miał tylko sekundy, żeby coś wymyślić.

Rusz się.

Jedyna szansa.

Wszystko sprowadzało się do szerokości torów i aerodynamiki samej kolejki. On mógł jedynie modlić się, żeby znalazły się zapasowe centymetry.

Ronan Frost rzucił się w bok, mocno uderzając o ziemię, i wcisnął się w wąską szczelinę między żelazną szyną i betonową ścianą. Przetoczył się na prawe ramię i przycisnął twarz do zimnego betonu. Usiłował przestać oddychać i wtopić się w mur, stając się tak cienki, jak to tylko możliwe. Gwizd rozrywał mu uszy, bliski, jakby znajdował się we wnętrzu jego czaszki. Frost zamknął oczy, starając się nawet nie drgnąć. Podmuch uderzył nim o ścianę. Nagle niesamowita siłą szarpnęła jego głowę. Ronan zacisnął zęby i nie pozwolił pędowi odchylić sobie głowy, nawet kiedy wrywał mu włosy. Jego wrzaski utonęły w szaleństwie piekielnej kolejki. Spomiędzy zębów wydarł mu się bolesny szloch. Ronan opierał się każdemu odruchowi, by odrzucić głowę do tyłu i złagodzić ból, wiedząc, że to wszystko po to, żeby uratować życie.

Tak-to-to-tak-to-to-tak-to-to kół wypełniło mu głowę.

Nie mógł oddychać.

Podmuch powietrza pędzącego pociągu grzmotnął Irlandczykiem o betonową ścianę, a on rozkoszował się każdą przekłętą sekundą tego bólu, bo ból oznaczał, że wciąż żyje.

A potem wszystko ucichło, kolejka minęła go i znowu mógł oddychać. Leżał tak przez pół minuty, nasłuchując wariackiego rytmu własnego oddechu, a potem wstał. Przyszło mu na myśl, żeby wejść głębiej do tunelu i ścigać kobietę po schodach serwisowych na górę, ale kiedy dotarłby na powierzchnię, po niej nie byłoby już śladu. Niemożliwe, by wiedziała, że się uratował. Na jej miejscu Frost wróciłby do mieszkania, by dokończyć to, co zaczął. Musiał zakładać, że pomyślała tak jak on.

Chwiejnym krokiem ruszył w stronę światła.

Poczuł ciepłą, lepką wilgoć na karku i sięgnął ręką, żeby wy badać urazy. Odsunął dłoń i spojrzał na nią. Krwi było więcej, niż się spodziewał. Kiedy wychodził z tunelu, kolejna fala pasażerów zaczęła napływać na peron. Kilkoro z nich popatrzyło na niego z zaciekawieniem; inni przyjęli postawę strusia - „jeżeli ja tego nie widzę, to to coś nie widzi mnie”, celowo nie spoglądając w jego stronę. Tym właśnie stało się to miasto w ciągu ostatnich paru lat. Dziesięć lat temu jakiś dobry Samarytanin podszedłby do niego na koniec peronu, podczas gdy ktoś inny udałby się po pomoc. Dzisiaj patrzyli na niego podejrzliwie, gdy niepewnie wspinał się z powrotem na peron i podchodził w ich kierunku. Nie mógł ich winić. Wiedział, jak z pewnością wygląda - poobijany a zakrwawiony, i jak sobie uświadomił, nadal z Browningiem w prawej dłoni.

Ronan schował broń do kabury.

Idąc z powrotem w kierunku wejścia, spróbował rozmawiać przez komórkę, ale w tunelu stracił połączenie. Przepchnął się przez barierki, ignorując gniewne spojrzenia, i nacisnął klawisz szybkiego wybierania.

- Słucham? - odezwał się Lethe.

- Zgubiłem ją w tunelach i omal nie rozpaćkał mnie ten o 8:30 do South Shields. W sumie nie najlepszy wynik.

- Och, powiedziałbym, że pierwszą połowę wygrali gospodarze. A teraz mów, co tam masz.

- Kobieta. Z Bliskiego Wschodu, jeżeli miałbym zgadywać, to Libanka, miała taki wygląd. Metr siedemdziesiąt parę, z ciosem jak Tyson. Piękna. I nie mam tu na myśli tego rodzaju dziewczyny, którą chcesz zabrać do domu i przedstawić matce; mówimy tu o życiu w roli ochoczego seksualnego niewolnika.

- Poszukam jej w sześciu aktywnych bazach danych. Jeżeli jest tak blisko z Bliskim Wschodem, to istnieje spora szansa, że wywiad coś na nią ma - w jego uchu zabrzmiała odpowiedź Lethego. - Może mają w wyszukiwarce kategorię „zabójczym- laska”?

- Skorzystała z jednej z awaryjnych serwisowych klatek schodowych przy torze w kierunku południowym, jakieś niecałe pięćdziesiąt metrów w głąb tunelu. Czy możesz wydobyć plany i zobaczyć, gdzie wyjdzie? - zapytał Ronan, ignorując go.

- Już się robi, Frosty. Właśnie w tej chwili szukam w okolicy kamer przemysłowych z podglądem na żywo. Jeżeli wydoszła się w taki sposób, to bez obaw, znajdę ją.

Ronan pomaszzerował z powrotem w stronę mieszkania przy Acorn Road. Tak jak się spodziewał, policja zaczęła się gromadzić przy rozbitym oknie salonu fryzjerskiego. Musiał dostać się ponownie do mieszkania Fishera, ale nie mógł podejść do frontowych drzwi, wyglądając tak jak w tej chwili, a w alejce na tyłach domu już roilo się od gliniarzy. Sroki siedziały rządkiem na rynnice nad salonem fryzjerskim. Policzył je w myślach, posługując się starym dziecięcym wierszykiem, to którym jedna wróży smutek, dwie to radość szczerą, trzy wróżą panienkę, cztery kawalera, a pięć - srebro.

Przeszedł dwie ulice dalej, zdjął skórzaną kurtkę i upchnął ją za jednym z ruchomych pojemników na śmieci. Zabierze ją później. Jakiś przechodzień na pewno zapamiętał ubranego w skórę motocyklistę, który wybiegł przez rozbite okno, ścigając kobietę. Nikt nie zapamiętałby szpakowatego gościa w garniturze.

Frost wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa, zwinął ją i przytknął sobie z tyłu głowy, żeby wsiąkła w nią krew. Kiedy chusteczka zebrała najgorsze ślady krwawienia, cisnął ją zniszczoną do śmietnika. Nie był w stanie oporządzić się jak należy, ale na tyle zmienił już wygląd, by ująć pobieżnej kontroli - chodziło o szczegóły rozpoznawalne Natychmiast, bo tak działa mózg. Umysł zarejestrował skórzaną odzież i najprawdopodobniej demonizował mężczyznę trzymającego broń. Nawet w najdogodniejszych okolicznościach świadkowie nie są wiarygodni. Gdy Frost będzie bez skóry i pod krawatem, żaden z nich nie zidentyfikuje go jako tamtego demona.

- Cóż - powiedział sam do siebie. - Pora wypróbować teorię w praktyce.

Wrócił do alejki za domem Fishera.

Dwóch policjantów stało na straży przy wejściu do fryzjera.

Mijając ich, przywitał się. To element sztuczki - sprawić, żeby w oczach dzielnych stróżów prawa wyglądać tak, jakby się tu było u siebie, gdziekolwiek to „tu” się znajduje. Musiał być stale odwrócony do nich plecami. Ostatnie, czego mu było trzeba, to żeby któryś z nich zauważył plamy krwi. Starszy z dwóch policjantów podniósł radio i mówił do niego. Wydawało się, że choć niewiele, to jednak odrobinę za bardzo interesuje się Ronanem. Frost nie miał ochoty, żeby mu się zbyt dokładnie przyglądano. Utrzymywał równe tempo, opierając się pokusie, by iść szybciej. Chciał, aby policjant spojrzął w inną stronę, ale tak się nie stało. Po prostu wyglądaj tak, jakbyś tu był u siebie, mówił sobie Frost. Bądź naturalny. Mieszkasz tutaj. Nie mają powodu, żeby myśleć inaczej. Tylko podejź do furtki i otwórz ją. A po namyśle: i do cholery, upewnij się, że nie zobaczą krwi. Frost był zadowolony, że wcześniej poświęcił te parę sekund na otwarcie furtki. Teraz wyciągnął rękę, nacisnął klamkę, pchnął furtkę i wszedł do środka. To było o wiele mniej podejrzane niż przeskakiwanie nad murkiem wykończonym tłuczonym szkłem.

W domu nie potrzebował nawet dwóch minut, żeby znaleźć to, czego szukał.

Obok komputera w gabinecie stało zdjęcie Fishera i jego dwójki dzieci, a do ramki wetknięto także jedną z tych błyskawicznych fotek z automatu. Kobieta na mniejszym zdjęciu była bez wątpienia Catherine Meadows. Przytulona twarzą przy twarzy i śmiejąca się z Sebastianem Fisherem, i ta jedna fotografia jasno pokazywała, że byli zakochani.

Co mogło skłonić mężczyznę, żeby sam spalił się żywcem? Frost zadał sobie to pytanie i tym razem znał odpowiedź, jedyną odpowiedź - chronienie kogoś, kogo się kochało.

Sebastian Fisher kochał trzy osoby. Jedna z nich spłonęła żywcem razem z nim, w innym miejscu, lecz dokładnie w tej samej chwili. Pozostałe dwie zginęły.

Ponownie zadzwonił do Lethego.

- Znalazłem haka. Ktoś zabrał dzieciaki Fishera. - Sądząc po zdjęciu i zabawkach w pokoju, domyślił się, że miały odpowiednio sześć i osiem lat.

- Och, Chryste - odparł Jude Lethe.

- Był związany z Catherine Meadows, więc to niewykluczone, że dzieci Fishera zostały wykorzystane, żeby ją także utrzymać w ryzach. W mieszkaniu jest dosyć śladów sugerujących, że ta para prawie mieszkała razem. Nie mówimy tu o szufladzie na bieliznę; ona miała pół szafy, połowę szuflad i szafkę w łazience pełną kosmetyków.

- Czy już ci mówiłem, jak bardzo nienawidzę tych ludzi? - spytał Lethe. - Jakie mamy szanse, żeby odzyskać dzieci żywe?

To nie był temat, o którym Ronan pragnął rozmyślać. Sęk w tym, że dzieciaki niemal na pewno nie żyły, skoro nie były już potrzebne.

- Żadnych - odpowiedział Ronan, szperając w szufladach biurka. - Pobawiłeś się kamerami przemysłowymi?

- Twoja Jane Bond nie wyszła z tuneli żadnym wyjściem serwisowym w promieniu prawie pół kilometra od miejsca, gdzie ją zgubiłeś. Przykro mi, stary. Stawiam na to, że kiedy sobie poszedłeś, wróciła tą samą drogą i wskoczyła do następnego pociągu. - To brzmiało logicznie, planowała, wyprzedzając go co najmniej o trzy ruchy, a to wkurzało Ronana Frosta.

Ronan wysunął dolną szufladę. W środku znajdowała się album ze zdjęciami, który wyglądał, jakby najlepsze lata miał już za sobą. Frost wyjął go i otworzył. Album był pełen młodszych wersji Sebastiana Fishera i Catherine Meadows, szczerzących się do aparatu. Przerzucał strony, spoglądając na duchy dwojga szczęśliwych ludzi. Z tyłu szóstej strony znalazł to, czego szukał. U góry stronicy zobaczył podpis: „Masada”. Cała wkładka była pełna podobnych zdjęć - ostre słońce, piasek i wyschnięta trawa oraz ruiny fortecy i na wzgórzu. Oderwał ochronną folię i schował wszystkie fotografie do kieszeni. Ostatnia z nich przedstawiała grupowe ujęcie zespołu archeologów. Na odwrocie ktoś zapisał schludnym kobiecym pismem listę nazwisk ludzi na zdjęciu. Na fotografii było ich trzydzieścioro. Frost rozpoznał blisko połowę z nich, nie spoglądając na ich nazwiska.

Czterech izraelskich asystentów było wymienionych tylko z imienia.

Piąty, w koszuli z podwiniętymi rękawami i oczyma jak spalone węgle, został opisany jako Akim Caspi. Chociaż Ronan widział wcześniej tylko jedno zdjęcie tego mężczyzny w pełnym galowym umundurowaniu, i biorąc poprawkę na upływ czasu i niedoskonałą pamięć, w żaden ludzki sposób Akim Caspi z albumu nie mógł być tym samym Akimem Caspim - generałem broni w Siłach Obronnych Izraela.

Sprawy, jak lubiła mawiać Orla Nyren, zaczynały wyglądać interesująco.

CIENIE POD ZIEMIĄ

Walczyli ze sobą, idąc ulicą. To była jakaś głupota. Sarah chciała jechać do Checkpoint Charlie, a on miał chęć najpierw na gorącą jak piekło kawę Americano i mdląco słodkie ciasto. Obie te rzeczy nie musiały się wzajemnie wkluczać. Próbował ją przekonać. Byli na wakacjach, a to z definicji znaczy, że nie ma potrzeby się spieszyć, ale Sarah to zawsze Sarah. Wbiła sobie do głowy, że chce wcześniej dostać się na Friedrichstrasse, żeby nie zmarnowali reszty dnia.

Chciała zaliczyć Bramę Brandenburską, katedrę przy Gendarmenmarkt, i jeżeli im się uda, w porze lunchu jeszcze Spandau. On wolał się nie spieszyć, wkroczyć w to, co niegdyś było Berlinem Wschodnim i spróbować sobie wyobrazić, jak to było wtedy, w 1961, kiedy rosyjskie czołgi blokowały drogę. Co za szkoda, że zburzyli starą wieżę strażniczą. Nic nie zostało z oryginalnych zabudowań Checkpoint Charlie, ale to mu nie przeszkadzało pragnąć zanurzyć się w atmosferę tego miejsca. Stało się to dla niego czymś w rodzaju pielgrzymki, a nie zwyczajnej podróży poślubnej. Jego dziadek zginął, próbując pokonać ten pas ziemi niczyjej między Wschodem a Zachodem. Wiedział, że teraz to będzie po prostu ulica, ale to nie miało znaczenia. Nie chodziło o to, co to jest teraz, tylko o to, czym to było kiedyś. Sarah to rozumiała. To był jeden z powodów, dla których ją kochał. Było ich mnóstwo. Mogli walczyć jak pies z kotem, ale ona go rozumiała. Do diabła, kochała go za jego wady, a nie pomimo ich, i to warte było głupich sprzeczek, jakie stale im się zdarzały.

Zaznaczyła trasę na mapie; musieli pojechać linią metra U2 na wschód z Potsdamer Platz do Stadtmitte i przesiąść się do U6 na północ.

- Na miłość boską, Sarah - narzekał, mocując się z ciężarem plecaka, gdy próbował za nią nadążyć. Szła zbyt szybko jak dla niego, a on nie znoślił mówić do tyłu jej głowy, nawet jeśli to była piękna głowa. - To nas nie zabije, jeżeli nie dojedziemy do obozu koncentracyjnego na dwunastą. Zawsze możemy złapać następną kolejkę - powiedział, kręcąc głową. - Jestem głodny i zmęczony, a to miały być cholerne wakacje!

Nie mógł się powstrzymać. Krzyknął.

- Idź do diabła - jego żona poślubiona siedem dni temu obróciła się i wrzasnęła na niego.

Niemcy odwrócili się, żeby na nich spojrzeć, bez wątpienia dziwiąc się turystom, którym brakowało dobrych manier, żeby załatwiać spory między sobą.

- Sarah! - Zawołał za nią, ale ona tylko przyspieszyła kroku. - Och, na litość boską, kobieto!

Nawet nie zwolniła tempa. Poprawił plecak i starał się utorować sobie drogę między stojącymi nieruchomo Niemcami, którzy zgromadzili się przy obrotowych bramkach prowadzących na dół, do metra. Nie miał biletów. Ona je miała.

- Sarah! - zakrzyknął ponad głowami Niemców.

Zignorowała go.

Dopchał się do jednego z automatów filetowych, wyszperał w kieszeni monety i wrzucił je do otworu. Wydawało się, że wydrukowanie biletu trwa całe wieki. Przepchnął się z powrotem do barierki. Nie mógł dostrzec Sarah, ale wiedział, dokąd zmierzała. Popatrzyła na znaki, próbując połapać się, z którego peronu ma jechać do Stadtmitte. Pogonił za nią na peron, zjawiając się tam akurat w chwili, gdy zamknęły się drzwi wagonów.

Zamachał do motorniczego i biegł najszybciej jak potrafił, z ciężkim plecakiem objającym mu się o plecy, który prawie go przewracał. Sarah znajdowała się czwartym wagonie. Zobaczył ją, patrzącą na niego przez szybę. Płakała. Ze łzami na policzkach wyglądała tak pięknie i smutno zarazem. Pobrali się zaledwie tydzień temu. Nie miała płakać. Jej widok we łzach sprawił mu ból. Pożałował, że po prostu się nie zamknął i nie dotrzymał

jej kroku, zamiast marudzić o filizance kawy i jakimś cholernym głupim cieście. Wiedział, że to dla niej ważne, aby wszystko było jak należy. Potrzebowała porządku, a on nie musiał tak się o to czepiać przez cały czas.

Kiedy pociąg ruszył ze stacji, próbował pokazać jej na migi, że mu przykro. Przestała na niego patrzeć. Nie chodziło o to, że się rozzłościła - z tym mógł żyć, gniew pojawiał się i odchodził. Chodziło o to, że wyglądała tak smutno, siedząc tam sama.

Starął się zadzwonić przez telefon komórkowy, ale nie odebrała.

Zwiesił ramiona i zrzucił plecak. Następny pociąg miał przyjechać dopiero za siedem minut. Powlókł plecak pod ścianę, osunął się i usiadł, używając plecaka jako oparcia. Miał ochotę na papierosa, ale w całym metrze był zakaz palenia, więc zrezygnowany pogodził się z tym, że przyjdzie mu cierpieć w milczeniu. Nastrój mu się polepszy, kiedy tylko opuści Friedrichstrasse, a potem znajdzie Sarah i załagodzi sprawę.

Nie trwało długo, nim peron znowu się zapełnił.

Jakaś kobieta usiadła obok niego i zapytała go, czy pojednał się z Bogiem. Popatrzył na nią. Nie wyglądała jak jedna z tych zwariowanych ewangelistów z metra. Była urocza na sposób japońskich licealistek, z mysimi ogonkami jak Heidi i w białych bawełnianych podkolanówkach. Mogła mieć od 13 do 23 lat, wzięwszy pod uwagę jasnoniebieski cień do powiek i lawendowy błyszczek do ust. Nie można było dokładnie określić jej wieku. Miała torbę przerzuconą przez ramię. Na boku torby widniał obrazek z jedną z postaci ze stylizowanych japońskich kreskówek. Nie potrafił sobie przypomnieć, jak się nazywały. Tak naprawdę to nie miało znaczenia. Kobieta najmniej pasowała na ewangelistkę ze wszystkich kaznodziejów, jakich kiedykolwiek widział. Sięgnęła po coś do torby. Założył, że zamierza przeczytać mu coś ze swojej Biblii.

Nie zamierzała.

Z torby na ramieniu wyciągnęła mały aluminiowy termos i odkręciła go. Odwróciła go do góry nogami. Wylała się z niego odrobina płynu. To nie była woda. To była maleńka porcja płynnego sarinu. Smużki gazu przypominającego dym uleciały z kałuży. Termos nie służył do utrzymania cieczy w chłodzie, lecz utrzymywał gaz na tyle ciepły, żeby zachować jego płynny stan. Strumyczek cieczy to wszystko, co schłodziło się wystarczająco, by się skroplić. Płynny sarin zabiłby może z tuzin ludzi, gdyby się z nim zetknęli. Jako gaz uśmierci każdego, kto go wchłonie. W ruchliwym metrze to mogło oznaczać tysiące ludzi.

- Za chwilę zaczniesz ci cieknąć z nosa. Poczujesz ucisk w piersi, a twoja skóra jak gdyby zeschnie się wokół twojego ciała, stając się za ciasna dla tego, co okrywa. Później zaczniesz tracić wzrok. Nie obawiaj się, to wszystko ostatecznie się bardzo prędko - powiedziała najbardziej kojącym, współczującym i psychotycznym głosem, jaki kiedykolwiek słyszał. Miała rację; już czuł kapanie z nosa. - Prawie nie zauważysz, kiedy to się stanie. Kilka chwil agonii a potem będzie po wszystkim. Zamierzam umrzeć razem z tobą. Potrzymam cię za rękę, gdy będziemy odchodzić, jeśli to pomoże.

Patrzył na nią. Nie była obłąkana. Nie była jakąś majaczącą fanatyczką. Wyciągnęła rękę, żeby ująć jego dłoń. Odsunął się od niej.

- Coś ty mi zrobiła? - spytał ostro.

Mówienie sprawiało mu ból. Poczul pierwszą falę szpilek wbijających mu się w skórę i głębiej, aż w kości. Miała rację. To się działo szybko. Zatrząsał się raz, obolały. Poczul, jak coś, wzbiera mu w gardle i pochylił się, pewien, że zaraz zwymiotuje. - Coś ty mi zrobiła? - spytał błagalnym tonem.

Zignorowała go.

- Za kilka sekund stwierdzisz, że bardzo trudno ci oddychać. Będziesz miał wrażenie, jakby całe twoje ciało się wyłączało. Stracisz panowanie nad własnym ciałem - jej oddech stawał się teraz coraz cięższy. Pomiędzy słowami z trudem chwytala powietrze. - Zwymiotujesz. Narobisz pod siebie. Zasikasz sobie nogi. Nie będziesz w stanie nic z tym

zrobić. To jest śmierć. Każdy nerw będzie krzyczeć z całych sił, a twoje ciało nie zdoła sobie z tym poradzić. Będziesz się wił i szarpał, targany skurczami. Atak będzie krótki. Kiedy oślepniesz, udusisz się. Nic nie możesz na to poradzić. Już jesteś martwy. Wszyscy jesteśmy. Każdy tutaj na dole jest martwy.

Rozejrzał się po peronie. Ludzie byli niewyraźnymi plamami, ciemnymi smugami opierającymi się o ściany i siebie nawzajem w poszukiwaniu oparcia. Słyszał, jak kaszlą i wydają zduszone okrzyki. Ktoś, jakaś kobieta, krzychała:

- *Ich kann nicht sehen! Hilf mir, mein Gott, ich bin blind!*

Zrozumiał tylko ostatnie słowo. Nie musiał rozumieć więcej, żeby zrozumieć, co się dzieje wzdłuż peronu poniżej miejsca, gdzie siedział.

Gaz potrzebował kilku sekund, żeby się rozprzestrzenił.

Kurczowo chwycił kobietę obok siebie, starając się przyciągnąć ją ku sobie. Jego wargi drgnęły, ale nie wydostały się z nich słowa.

Świat wokół niego zatracił formę, rozmazane kształty potępionych rozlewały mu się przed oczyma, aż widział już jedynie czern.

Usłyszał, jak na stację wjeżdża następny pociąg; syknięcie drzwi i wrzaski, gdy ludzie potykając się, brnęli w jego kierunku, jak gdyby pociąg mógł ich zabrać w bezpieczne miejsce. On już tego nie wiedział. Nie mógł zobaczyć twarzy skazańców przyciśniętych do szyb. Nie mógł zobaczyć, jak drapali podłogę paznokciami, dygocząc i wijąc się, gdy usiłowały przepelznąć jeszcze jeden cenny centymetr do przodu. Nie mógł zobaczyć strachu na twarzach wysiadających pasażerów. Minęło ponad pół wieku od czasu, gdy kolejka po raz ostatni toczyła się przez Berlin, wioząc aż tyle dusz skazanych na zatracenie. Ci pasażerowie byli tak samo martwi i tak samo nieświadomi.

Osunął się na bok, uderzając twarzą o podłogę, kiedy kolejny obrzydliwy spazm szarpnął jego ciałem, i wszystko, o czym zdołał pomyśleć, walcząc o ostatni oddech, to że ich głupia sprzeczka ocaliła życie Sarah.

I za to był wdzięczny.

10

SMUTNA NARZECZONA

Konstantin Chawin szedł przez miasto pogrążone w żałobie.

Pierwsze doniesienia o horrorze w metrze dotarły na powierzchnię. Ludzie stali na ulicach, wstrząśnięci, właściwie sami nie wiedząc, czy mają uciekać, czy zająć się swoimi codziennymi sprawami. Zaatakowano pięć stacji, i jeżeli wierzyć temu, co usłyszał, także dwie stacje szybkiej kolejki oraz miejski dworzec autobusowy. Przynajmniej sześć autobusów przewoziło przedziurawione torebki z lotnym sarinem, roznosząc gaz paraliżujący po całym mieście. To był brutalny sposób na śmierć.

Radio w otwartym oknie grało *My Funny Valentine*. Słowa niosły się na drugą stronę wąskiej ulicy, przekształcając ją w twór rodem z filmu Wima Wendersa. Na rogu ulicy siedziała dziewczynka, wyginająca ze skrawków papieru chińskie żurawie. Ustawiała je rzędem wzdłuż rynsztoka. Były ich setki. Podniosła na niego wzrok, patrząc rozszerzonymi od smutku, i powiedziała:

- *Dies, damit Gott sie nicht vergisst.*

Wiedział, co to znaczy - są po to, żeby Bóg o nich nie zapomniał. To była surrealistyczna i posępna chwila - ta mała dziewczynka oplakująca setki, być może tysiące ludzi, których

nigdy nie poznała. Oto moc tragedii na tak olbrzymią skalę. Dotyka wszystkich. Cierpienie było zbiorowe. Żaloba publiczna, głośna i rozdzierająca serce.

„Drugi but” spadł w porannych godzinach szczytu, kiedy setki tysięcy ludzi znajdowało się w drodze do pracy, jadąc przez miasto. Zaatakowany został cały transport publiczny.

Wszystko w tej sprawie złościło Konstantina - miał ochotę wybuchnąć, uderzyć coś lub kogoś - ale była to całkowicie bezsilna wściekłość. Nie istniało nic, co mógłby zrobić dla kogokolwiek tutaj, i marną pociechą była świadomość, że mieli słusność, że to Berlin ma być jednym z pierwszych celów. Wiele czasu minęło, odkąd opuścił Mateczkę Rosję - tak wiele, że trudno mu było przywołać wspomnienia jej ulic i jej oszałamiającej architektury. Teraz wszystkim, co pamiętał, były jej zbrodnie. Świat wokół niego zmienił się w tym czasie. Kiedyś w parze z terrorem szła jakaś etyka, chroniąca normalnych ludzi krzątających się wokół swoich normalnych codziennych spraw. Chroniło ich swego rodzaju porozumienie między ciemną a ciemnym. Podejmowano ataki przeciwko określonym celom - bazom wojskowym, działaniom wywiadu, składom broni; a przy bardziej lokalnych kampaniach terroru, jak w Irlandii Północnej, celami radykałów z IRA byli policjanci, działacze polityczni czy dziennikarze. Nie były to dzieci w drodze do szkoły. Nie były to matki pchające wózek i balansujące siatkami z zakupami. Nie były to wielkomiejskie młode wilki od finansów z głowami pełnymi planów długoterminowych. Nie byli to barmani i sprzedawcy ze sklepów, kierowcy autobusów i zamiatacze ulic. Zmieniło się oblicze terroru.

Nabrało bardziej rosyjskiej natury.

Konstantin zadrżał na samą myśl.

Współczuł tym ludziom, chociaż ich nie znał.

Staruszek miał rację - tu chodziło o widowisko. Taki lęk był czymś rosyjskim, wgryzał się głęboko w psychikę ludzi, ranił ich tam, gdzie byli najbardziej bezpieczni - w ich codziennym życiu. Był niczym oddział KGB dokonujący aresztowań, dobijający się do drzwi o czwartej nad ranem - dezorientujący, przerażający. Przychodzili, robiąc mnóstwo hałasu, nawołując, wrzeszcząc, grożąc użyciem przemocy, podczas gdy podejrzani - nadzy i bezbronni - budzili się w chaosie wywołanym ich wdarciem się na siłę. Jeżeli próbowali walczyć, zostawali pobici. Jeżeli się opierali, zostawali pobici. Jeżeli nie upadli im do kolan, by błagać i wyznawać winy, zostawali pobici. Jeżeli nie byli sami, ich żony, przyjaciółki lub kochanki były bite, żeby zmusić ich do błagania i kajania się. O czwartej nad ranem strach łamał najsilniejszych mężczyzn. Tak się to odbywało na rosyjski sposób.

On o tym wiedział, ponieważ dawno temu, w koszmarnym śnie, sam był jednym z tych mężczyzn przychodzących o czwartej nad ranem.

A teraz ten sam strach został sprowadzony na zwyczajnych ludzi, krzątających się wokół swoich łaźniennych spraw. To również był rosyjski sposób. Konstantin czuł się dziwnie znajomo w tym brutalnym społeczeństwie, bardziej niż kiedykolwiek czułby się w świecie poetów i kochanków - lecz on odebrał wychowanie pełne przemocy do świata pełnego przemocy, więc to raczej nic niezwykłego.

Konstantin był jedną z nielicznych osób na ulicy, które szły w konkretnym celu. Zachowywał czujność, prędko przesuwając wzrokiem od jednej twarzy do następnej, szukając oznak winy lub współudziału u któregoś z mijanych ludzi. Oczywiście, to nigdy nie mogło być takie proste. Wszystko, co zobaczył, to szok i niedowierzanie, powtarzające się raz za razem na każdej twarzy. Wiedział, co teraz myślą - jak to się mogło przydarzyć tutaj? Jak to się mogło przydarzyć nam?

Dossier dostarczone im przez Lethego, dotyczące mężczyzny, który dokonał samospalenia przy Potsdamer Platz niefale dwadzieścia cztery godziny wcześniej, było boleśnie cienkie. Nazwisko Gray Metzger, lat 34, ojciec Niemiec, matka Angielka, urodzona w White Cliff w Whitby. Przyjechał do Berlina, sześć miesięcy temu, oddelegowany czasowo na tutejszy uniwersytet w ramach wymiany między Uniwersytetem w Nottingham, gdzie

uczył historii średniowiecznej Europy. I jak to się mówi, to by było na tyle. Żadnej żony, żadnych dzieci, żadnych długów, żadnych nagłych lub zadziwiająco wysokich depozytów na jego koncie - którego saldo wynosiło dość nijaką kwotę trzech tysięcy dwudziestu siedmiu euro. Nie było rachunku oszczędnościowego, żadnych akcji ani obligacji wystawionych na nazwisko Gray Metzger. Jeżeli można wierzyć zapisom w dokumentach, to żył z miesiąca na miesiąc z bardzo niewielką nadwyżką. Opłacał rachunki w terminie. Od chwili przyjazdu do Berlina wypożyczył z biblioteki łącznie jedenaście książek. Żaden tytuł nie brzmiał szczególnie zaskakująco, jeśli wziąć pod uwagę jego specjalizację. Żadnych nieprzewidzianych wyjazdów czy przyjazdów zarejestrowanych przez kontrolę paszportową dla paszportu z jego numerem. Był jak definicja zwyczajnego człowieka.

Wszystko to samo w sobie zaciekało Konstantina.

W jego świecie nie istnieli zwyczajni Indzie.

Metzger utrzymywał małe mieszkanie w Charlottenburgu, jednej z zamożniejszych części Starego Miasta. Znajdowało się niedaleko Universität der Künste, zatem większy czynsz zwracał się na dojazdach. Lokalizacja mogłaby być ekstrawagancją, ale była to ekstrawagancja bardzo pasująca do człowieka, który liczył każdy grosz i oceniał, na co warto go wydać. Charlottenburg był oazą spokoju nawet w czasach podzielonego miasta. Konstantin skręcił w Schlossstrasse. Łatwo było wyobrazić sobie mieszkańców chowających się za tymi oknami, bezpiecznych w ich wieżach z kości słoniowej, niedotkniętych przez podział i cierpienia, jakie przyniósł on miastu. Dzisiaj nie byli tacy dalecy, to również stanowiło element nowego strachu - był czymś intymnym.

Sprzedawca gazet na rogu ulicy wykrzykiwał nowinę o tragedii każdemu, kto go słuchał, i wymachiwał ludziom pod nosem najświeższym wydaniem prosto z prasy drukarskiej. Konstantin przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby ominąć tego mężczyznę. Policzył inne osoby na ulicy. Dwadzieścia siedem. Jedna z najbardziej ruchliwych ulic w mieście w porze, kiedy ruch powinien być największy, i zaledwie dwadzieścia siedem osób wyszło załatwiać swoje sprawy. Stała tam pomalowana na czerwono budka z bratwurstami i innymi kiełbaskami. Samotny mężczyzna siedział skulony na wietrze nad zimną, niedojedzoną kiełbaską z osuszoną cebulką tonącą w górze musztardy i keczupu. Na całej ulicy on najbardziej przypominał o normalności.

Jak do tego doszło? Jak tego rodzaju strach stał się tak powszechny?

Metzger mieszkał na trzecim piętrze - za zapewniającym bezpieczeństwo domofonem, dalej przez marmurowy hol i na górę po krętych granitowych schodach. Wszystko w tym budynku głosiło dobrobyt starej daty. Konstantin przesuwiał palcem po wszystkich przyciskach, aż wreszcie ktoś go wpuścił. Ludzie bywają tak nieostrożni nawet w świecie anonimowości wielkich miast... Zwłaszcza w świecie anonimowości wielkich miast. Konstantin cicho zamknął za sobą drzwi i nie spiesząc się, stał z butów pozostałości ulicy na wycieracze, szurając każdą podeszwą po trzy razy tam i powrotem, zanim otworzył drugie wewnętrzne drzwi i wszedł do holu.

Było tam o trzy stopnie chłodniej niż na ulicy. Ogromne żelazne kaloryfery liczyły sobie przynajmniej z pół wieku i bez wątplenia zasilający je bojler był w równie żalonym stanie. W małym przedsionku przy ścianie po prawej ciągnęły się szeregiem mosiężne skrzynki na listy. Konstantin przebiegł palcami po nazwiskach, zatrzymując się przy „G. Metzger”. Nie miał kluczyka do skrzynki. Nie potrzebował go. Nie był to szczególnie wymyślny zamek. Skrzynki pocztowe rzadko takie miewają. Poczta, jak się zdawało, była nienaruszalną świętością. To znów wyraźnie różniło się od jego świata, w którym poczta była monitorowana, cenzurowana i często wykorzystywana do obciążania, i nie miało znaczenia, że Stalin nie żył od bez mała sześćdziesięciu lat. Trudno wyzbyć się starych nawyków.

Konstantin wyjął z kieszeni klucze na łańcuszku i sortował je, póki nie znalazł dostatecznie małego klucza uderzeniowego. Zdjął lewy but i postawił go na małej półeczce

pod skrzynkami. W teorii działanie klucza uderzeniowego było proste - wszystkie rowki spiłowane do swojego najniższego ustawienia. Konstantin wsunął klucz do zamka aż do końca, a następnie wysunął go o jedno nacięcie. Najdelikatniej jak potrafił nacisnął na klucz, jakby chciał go obrócić, po czym stuknął w klucz obcasem buta. Raptowne uderzenie sprawiło, że bolce wyskoczyły z rotatora, dając Konstantinowi ułamek sekundy potrzebny na obrócenie klucza. Otwarcie skrzynki na listy zabrało mu cztery sekundy.

Wchodząc po schodach, przerzucił koperty. Każde wyżłobienie od wlokącej się stopy głęboko wryło się w stopniach, a filigranowa krata z kutego żelaza pod wypolerowaną do gładkości poręczą utleniła się aż do najgłębszej czerwieni. Kopert było ponad dwadzieścia, a większość z nich stanowiły generowane komputerowo reklamy oraz rachunki z bieżącego miesiąca. Tylko na jednej kopercie ręcznie napisano adres. Ludzie nie wysyłają już listów. Zaadresowana ręcznie koperta była swego rodzaju ciekawostką. Konstantin oderwał jeden z brzegów, uważając, by nie zanieczyścić zaklejonej krawędzi. Nie było sposobu, żeby się dowiedzieć, czy zawartość koperty była istotna, ale nie było sensu traktować jej inaczej. Jeżeli będzie trzeba, starszek może posłać do analizy ślinę użytą do polizania znaczka i zaklejenia koperty, uzyskując DNA do porównania albo identyfikacji. Tak wiele istniało w tym nowym świecie rzeczy równie przerażających jak wszystko, co kiedykolwiek wydarzyło się w stalinowskiej Rosji.

Dotarł do mieszkania Metzgera. Mosiężny numerok pośrodku drzwi pozieleniał. W trakcie wspinaczki przez trzy piętra schodów Konstantin zdołał doczytać dalej niż do połowy list do nieboszczyka. Tak naprawdę nie potrzebował czytać ani słowa więcej. To, co przeczytał, kazało mu sprawdzić stempel z datownikiem na kopercie. List został wysłany poprzedniego dnia - tego samego, gdy Grey Metzger się zabił; datownik wskazywał, że został nadany o godzinie 15:00. Dokładnie w tej samej chwili, gdy Metzger wyłączył swój telefon i podpalił się.

To był list miłosny, lecz mówił o nim, nie do niego - jak gdyby pisząca go osoba wiedziała, że on go nigdy Inie przeczyta, a jednak musiała zapisać te słowa na papierze i sprawić, by istniały. Tak jak tamta mała dziewczynka ze swoimi papierowymi żurawiami, autorka listu skreśliła je, żeby Bóg je przeczytał i zapamiętał jej mężczyznę i jej miłość do niego - co, jak to zinterpretował Konstantin, oznaczało, że w chwili pisania go wiedziała, że Metzger umrze. Odchrząknął. To by znaczyło, że wysłała go z niemal proroczą dokładnością. Czy była zamieszana w sprawę? Nie, pokręcił głową. To nie była spowiedź jego zabójcy. Brakowało szyderczego tonu, chełpienia się, był tylko smutek. W jej słowach było tyle emocji.

Godzina na stemplu, jak uświadomił sobie Konstantin, była tylko sposobem na zakpienie z kobiety piszącej list. Tu wcale nie chodziło o Metzgera, chodziło o jego kobietę. Tę, której Lethe nie był w stanie znaleźć wśród zapisów w dokumentach.

Chodziło o wywarcie nacisku.

Dali jej szansę spisania wszystkiego na papierze, zaprowadzili ją na pocztę i nadali list dokładnie w tej samej chwili, gdy mężczyzna, którego kochała, sam się podpalił.

Kim byli ci ludzie?

Dziwne napięcie nie pojawiło się dlatego, że wiedziała, że on nie żyje, bo ona go nie oplakiwała; pojawiło się dlatego, że wiedziała, że sama będzie martwa, gdy on przeczyta ten list. To sprawiało, że była spokojna, dawało jej coś, na czym mogła się skupić, lecz ona wiedziała, że jest już trupem. Nie załamała się, tylko napisała list. To wymagało siły. Siła oznaczała, że niemal na pewno spróbowalaby mu powiedzieć, co jej się przydarzyło - w jakiś sposób, gdzieś w tym liście. Czy mieli swoje pieśczętliwe słowa? Czy napisała „pamiętasz, jak siedzieliśmy na stopniach Berliner Dom” albo „nigdy nie zapomniałam tego deszczowego dnia, kiedy szliśmy trzymając się za ręce w cieniu Checkpoint Charlie”? Coś, wzmianka o miejscu, nazwie, czymkolwiek? Musiało istnieć coś ukrytego we wszystkich tych słowach

miłości, jakaś wskazówka podpowiadająca im, kto albo dokąd ją zabrał i cokolwiek. Musiało coś być. Miała dość siły, żeby napisać list, a to znaczyło, że powinna być na tyle bystra, aby im teraz pomóc zza grobu.

Wsunął list do kieszeni i znowu zrzucił jeden but. Dokończy w środku.

Dziewięć sekund zabrało mu otwarcie frontowych drzwi mieszkania Metzgera dokładnie w taki sam sposób w jaki pokonał zamek skrzynki pocztowej.

Konstantin zamknął za sobą drzwi.

Mieszkanie było w każdym calu takie, jakiego się spodziewał po klasie średniej. Przedpokój służył też za bibliotekę, zapelniony od podłogi po sufit półkami z widocznymi podniszczonymi grzbietami akademickich tomów i od czasu do czasu jakimś ukłonem w stronę kultury masowej. Powieści było bardzo niewiele, jak zauważył, Konstantin, przysglądając się tytułom. Książki najbliżej drzwi dotyczyły niemal wyłącznie okresu Bizancjum. W miarę jak przemieszczał się w kierunku salonu, oś czasu przesuwała się wraz z nim. Wydawało się, że główne zainteresowanie skupiało się na średniowiecznej Europie, co było do przewidzenia. Ostatnią biblioteczkę zajmowały tanie szmirowate powieści kupowane na lotniskach. Miały pozalamywane grzbiety, strony z zagiętymi narożnikami, jak gdyby każdą z nich czytano z tuzin razy. Konstantin zdjął z półki jedną powieść i przerzucił ją. Na wewnętrznej stronie okładki zobaczył cenę napisaną ołówkiem i pieczętkę antykwariatu na mieście. Zajrzał do trzech innych, wybranych przypadkowo. Wszystkie nosiły ślad tej samej pieczętki. Konstantin uznał, że te powieści z oślimi uszami i w miękkich okładkach zastępowały w życiu Greya Metzgera telewizję. Tak jak Rosjanie, Niemcy obsesyjnie chronili, swój język, dubingując niezliczone powtórki amerykańskich sitcomów. To musiał być swego rodzaju kulturowy wstrząs dla Anglika, który zapewne sądził, że świat kręci się wokół jego ojczystego języka. Konstantin odłożył książkę na półkę.

Przedpokój otwierał się na salon z wysokim sufitem. Zasłony były z mięsistego ciemnozielonego aksamitu, podwiązane grubym brokatowym złotym sznurem. Hak w ścianie zdobiła znakomicie odlana lwia głowa. Był to drobny szczegół, ale jak wpojono mu w KGB, prawda kryła się w szczegółach. Znajdowały się tam tuziny drobnych detali, od boazerii na ścianie z pionowo otwieranym oknem i oryginalnych sznurów z boku ramy, po czarno-białe kafelki układające się w szachownicę na podłodze - czy raczej po trzy pęknięte kafelki, które mogły świadczyć o walce. Konstantin powoli obszedł pokój dokoła, a później opadł na sofę w stylu naśladowującym Chesterfield, stojącą pośrodku pokoju. Położył stopy na kawowym stoliku z granitowym blatem. Pokój ledwie sprawiał wrażenie zamieszkanego. Konstantin spodziewał się, że będzie zarzucony czasopismami i literaturą naukową, z zapomnianymi filiżankami po kawie i innymi oznakami obecności roztargnionego profesora, ale Grey Metzger był nadzwyczaj uporządkowany i pedantycznie schludny. Jak człowiek, który był tu gościem, a nie właścicielem.

Albo jak człowiek, którego ślady zostały wyczyszczone, zanim on zdołał tu przyjść i mu się przyjrzeć, pomyślał.

Na ścianie wisiała samotna grafika. Konstantin rozpoznał ją. *Smutek*. To była raczej kopia niż oryginał, ale nic w tym dziwnego, nauczyciel nie posiadałby wystarczających środków, żeby posiadać na własność dzieło warte miliony dolarów. Konstantin pomyślał, że to brzydki wizerunek do trzymania na ścianie w miejscu, gdzie spędzało się większość czasu.

Pod *Smutkiem* stało akwarium, ale nie było w nim rybek.

Konstantin ucieszył się brakiem telewizora w pokoju - potwierdzało to jego domysły, że Metzger spędzał noce, czytając podniszczone thrillery, które przyniósł sobie z antykwariatu. A to znaczyło, że Konstantin zaczynał wczuwać się w psychikę mężczyzny, którego śladem podążał.

Sprawdził resztę mieszkania.

W jedynej sypialni znalazł schludnie zasłane łóżko z białą jedwabną pościelą i stojącego w rogu manekina dzianego w ubranie zmarłego, wyglądającego niczym duch minionych świąt, który przybył, żeby nawiedzać pokój. Na podłodze leżała skóra, chyba łosia. W pokoju bardzo niewiele świadczyło o osobowości lokatora, brakowało nawet budzika na nocnym stoliku. Konstantin sprawdził szuflady. Były puste. To jedno bardziej niż cokolwiek innego przekonało go, że mieszkanie zostało wcześniej przeczesane przez kogoś, kto był tu przed nim. Szukanie odcisków palców byłoby bezcelowe.

Pośrodku łazienki znajdowała się piękna zabytkowa porcelanowa wanna na nogach. Tu także, podobnie jak w detalach haków do zasłon w salonie, nogi odlane były kształcie lwich łap. Nie było butelek z szamponami, żadnych płynów do kąpieli ani do mycia twarzy. Brakowało szczoteczki do zębów w kubku na umywalce. Konstantin przesunął palcami po wierzchu szafki na lekarstwa - nie pozostała tam nawet odrobina kurzu.

Wąska kuchnia została tak samo opróżniona. Konstantin otwierał szafki, jedną po drugiej, ale wiedział z góry, że to na nic. W żadnej z nich nie uchowała się choćby jedna puszka z konserwą. Żadnych pudełek z płatkami. Żadnej herbaty w torebkach. Żadnego spaghetti czy klusek, czy jakichkolwiek innych żelaznych podstaw błyskawicznej kuchni. Powinny tu być zapleśniały chleb, skwaśniałe mleko w lodówce, ser niebieskawy od bakterii i tak wiele innych oznak opuszczenia. Ale ich nie było. Czystkę przeprowadzono skrupulatnie. W mieszkaniu nie pozostało nic z Greya Metzgera, prócz tych kilku ubrań na manekinie i książek.

Konstantin sięgnął do kieszeni po list. Czy mogli być tak uważni i jednocześnie tak beztroscy? Wrócił do salonu, ale zamiast zasiąść na skórzanej sofie, usadowił się na parapecie, tak tal, by czytając, móc wyglądać przez okno na Park Ludowy. Trzykrotnie uważnie przeczytał list od początku do końca. Pierwsze, co zauważył tym razem, to że zwracała się do niego Graham, a nie Grey - jego pełnym imieniem, a nie pieśczośliwą skróconą wersją imienia, jakiej można by się spodziewać po kochance. To wydawało się dziwne, wzięwszy pod uwagę, że Grey sam używał skróconej wersji swojego imienia niemal we wszystkich oficjalnych dokumentach, jakie odkrył Lethe. Drugą rzeczą, która tu nie pasowała, był fakt, że nie podpisała listu własnym imieniem, zamiast tego określając siebie jako Smutną Narzeczoną. Trudno to nazwać pożegnaniem, jakim kochająca osoba chciałaby zostać zapamiętana.

Pozostałą część listu stanowiło zwyczajne pasmo sentymentalnych bzdur, od których po trzydziestu sekundach zaszklily mu się oczy. Konstantin zmusił się do skupienia uwagi, powoli brnął przez każde zdanie, szukając niepasującego słowa, przyglądając się, jak same litery układały się w rzędach, na wypadek gdyby zapisała którąś literę wyżej, aby zawrzeć w tej wiadomości drugą wiadomość - w ten sposób przemawiając do nich zza grobu. Nic takiego nie dostrzegł.

Siedział tam od godziny; południowe słońce wlewało się przez okna nieprzerwanymi jasnymi strumieniami. Żar parzył mu skórę przez szybę. Konstantin podniósł wzrok znad listu i zobaczył *Smutek* van Gogha - jego Smutną Narzeczoną z obwisłymi piersiami, szlochającą w dłonie, i uderzyło go, jak naprawdę niepociągający był to wizerunek zwłaszcza jako jedyne dzieło sztuki w całym mieszkaniu. Włożył list z powrotem do koperty, a kopertę z powrotem do kieszeni, i podszedł do grafiki. Sięgnął do niej przebiegł po niej palcami w poszukiwaniu jakichkolwiek nierówności powierzchni. Jak można się było spodziewać, była idealnie gładka. Przesunął dłońmi w górę i w dół po bokach ramy, szukając haczyka albo zaczepu czy czegoś w drewnie, co mogłoby otworzyć ukrytą przegródkę. Znow niczego nie znalazł. Tak właściwie nie spodziewał się, żeby tajemniczy epigraf coś oznaczały ale warto było spróbować.

Dla pewności zdjął cały obraz. Nie znajdował się za nim dogodnie schowany sejf i Konstantin nawet przez moment nie przypuszczał, że go znajdzie. Ciemniejszy prostokąt na ścianie był na tyle wyraźny, żeby sugerować, że obraz wisiał tu od lat, a nie od paru dni.

Konstantin dźwignął obraz w górę, przechylając ramę, żeby na nowo go zawiesić, kiedy coś zza niego wypadło i brzęknęło o wykafelkowaną podłogę. Odłożył Smutną Narzeczoną z powrotem i podniósł ślubną obrączkę z białego złota, która wypadła zza obrazu. Wewnątrz niej widniał wygrawerowany napis: seria cyfr - zapewne data ślubu, jak pomyślał. Tyle tylko, że według dokumentów Grey Metzger nigdy nie był żonaty. Rzeczywiście, Smutna Narzeczona. Schował obrączkę do kieszeni i odwrócił obraz. Pendrive USB przyklejony taśmą do wnętrza ramy był tak mały, że omal go nie przeoczył. Konstantin oderwał cieniutki kawałek taśmy i schował urządzenie do kieszeni razem z listem i obrączką.

- Kim ty byłaś? - zapytał, pocierając podbródek, gdy spoglądał na obraz na podłodze.

Jego skóra zrobiła się szorstka od zarostu. Minęło czterdzieści osiem godzin od chwili, gdy się golił. Wiedział z doświadczenia, że to wystarczy, żeby przemienić go z ludzkiej istoty w jakiś atawistyczny relikw, którym można porządnie wystraszyć małe dzieci - i dorosłych mężczyzn o czwartej nad ranem, skoro już o tym mowa. Kim była ta kobieta, nazywająca siebie Smutną Narzeczoną? Wszystko w jej postawie w obliczu śmierci wręcz krzyczało, że to CIA, MI6, KGB, Mosad, którekolwiek, ale z całą pewnością któreś z nich. Mógł nie wiedzieć, kim ona była, lecz dałby się posiekać, że nie była nauczycielką.

Odpowiedź na to pytanie i być może na wiele innych prawie na pewno kryła się na tej pamięci flash. Chciał rzucić okiem na jej zawartość, zanim przekaże go Lethemu. To oznaczało konieczność znalezienia komputera.

Konstantin odwiesił *Smutek* i opuścił mieszkanie, wiedząc, że znalazł wszystko, co było do znalezienia w domu nieboszczyka.

11

TAJEMNICE FATIMSKIE

Dominico Neri był niskim mężczyzną o skwaszonej minie, dźwigającym ciężar świata na swoich przygarbionych ramionach. Wycięty wedle typowo włoskiego szablonu mężczyzny - o rysach bardziej interesujących niż wyraźnie przystojnych, śniady i szczupły, z torsem w kształcie odwróconego równobocznego trójkąta wystających żeber pod pogniecioną bawełnianą koszulą. Siedział przy stoliku naprzeciwko Noaha, sącząc podwójną espresso z malutkiej filiżanki.

Wyglądał, jakby nie spał od tygodnia. Ten niechlujny wygląd i na wpół senne oczy niewątpliwie czyniły go aż do bólu atrakcyjnym dla płci pięknej, pomyślał Noah. Neri wyglądał jak mężczyzna, który nie tyle je kocha i porzuca, co raczej woli darować sobie całe to zamieszanie z miłością i od razu sięgać po książeczkę czekową, żeby płacić alimenty. Wpatrywał się Noaha. Inspekcja była prawie nieprzyjemna.

Nic w tym dziwnego. Neri należał do Carabinieri.

Rzym musiał sobie radzić z półtuzinem rodzajów policji, od drogówki po służby więzienne i policję leśną, aż po zwyczajnych lokalnych gliniarzy. Carabinieri różnili się od nich wszystkich. Byli policją wojskową.

Tylko oczy Neriego wyglądały tak samo, pomyślał Noah, w odpowiedzi również otwarcie przypatrując się mężczyźnie. Gdyby musiał zgadywać, jaki wykonuje zawód, powiedziałby, że to dziennikarz. Jednak broń jakby od niechcenia noszona na biodrze przeczyła takim domysłem.

- A więc - powiedział Neri, odstawiając filiżankę po espresso na tani biały spodeczek. Kawa została, prawie czarną plamę wokół krawędzi wewnątrz filiżanki. Noah mógł sobie tylko wyobrażać, co właśnie pracownicy robi ze służówką żołądka detektywa. - Sądzi pan, że to wszystko jakoś się wiąże z samobójstwem na Placu Świętego Piotra dwa dni temu?

Noah skinął głową.

Więści z Berlina zaczęły już napływać, więc Neri traktował go bardziej poważnie, niż zrobiłby to jeszcze dwie godziny temu. Zagrożenie nagle stało się wiarygodne, a to było miasto Neriego. Karabinier uszczypnął się w dolną część nosa; oba palce niemal znikły w jego nozdrzach, kiedy rozmyślał, co to oznacza dla Rzymu.

- Wybacz mi pan moją bezpośredniość, panie Larkin, ale godzinę temu moje biuro zatelefonowało do pańskiego rządu. Zaprzeczają, że działa pan w ich imieniu, co, jak przyznam, mnie nie dziwi. Czy wasz rząd kiedykolwiek przyznał się do szpiegowania?

- Nie jestem szpiegiem - odparł Noah.

Włoch go nie słuchał, tylko mówił dalej, jak gdyby przedstawiał sprawę w sądzie:

- A jednak pomimo faktu, że nie posiada pan dających się potwierdzić referencji na poparcie swoich szalonych twierdzeń, to najwyraźniej wie pan o wiele za dużo o tym, co zaszło na Placu, żeby nie być pracownikiem wywiadu. Albo to, albo był pan zamieszany w to bardziej bezpośrednio. A więc zadaję sobie pytanie, czy był pan zamieszany? Nie wygląda pan na terrorystę - cicho zaśmiał się pod nosem. - Nie żeby ktoś z nas wiedział, jak wygląda terrorysta, he?

- Rzeczywiście - odpowiedział Noah.

Uznał, że lepiej nie mówić nic więcej. W końcu Neri przejdzie do rzeczy.

Neri sięgnął do kieszeni i wyjął sfatygowaną puszkę z tytoniem. Otworzył ją i zaczął sobie przygotowywać cienkiego skręta, sprawnie zwiijając lukrecjowy papierek między palcami. To był wyuczony ruch, który nie wymagał myślenia. Umieściwszy papierosa w ustach, wyjął zapalniczkę, skrzesał ogień i zaciągnął się dymem, z satysfakcją wzdychając przeciągle i głęboko, kiedy zapalił skręta. Drugi raz wypełnił płuca dymem, pozwalając mu uciekać przez nos, zanim kontynuował dalej swoją myśl.

- A więc pomyślałem, że może pan Larkin jest znanym dziennikarzem tam, skąd pochodzi, i że przebywa tutaj w Rzymie, szukając historii? To był sensowny domysł, niestety, żadna z gazet w pana kraju nie wie, kim do cholery pan jest. Zatem nie dziennikarz, nie pracuje dla rządu, no i mam taki jakby dylemat... Chcę powiedzieć, że dlaczego, do cholery, nie miałbym pana aresztować tu i teraz?

- Gdyby pan sądził, że byłem zamieszany, nie poszedłby pan, żeby się ze mną spotkać w tej cokolwiek przereklamowanej kawiarni, prawda?

- Albo może ta para przy stoliku, o tam, to nie zakochane gołąbki, tylko faktycznie moi ludzie. A starszy jegomość o tam, tak uważnie wpatrujący się w gazetę, być może to w rzeczywistości jeden z moich, czekający na sygnał, żeby na pana skoczyć?

Noah spojrział na parę młodych ludzi. Między nimi na stoliku leżał przewodnik. Rough Guide. Mężczyzna był ubrany jak całkiem typowy turysta prosto z uniwersytetu. Jego trampki były odrobinę za czyste jak na kogoś, kto od miesiąca włóczy się po Europie z biletem Inter-Rail, ale poza tym wyglądał przekonująco. Dziewczyna była śliczna, jasnowłosa i drobna, dokładnie taka, jak wpadłaby w oko Noahowi za młodu. Dobrze wyglądali razem. Pasowali do siebie. Przez chwilę przyglądał im się, gdy rozmawiali. W gwarze kawiarni w porze lunchu nie mógł dokładnie usłyszeć, co mówili, ale usłyszał dość, by wiedzieć, że facet miał akcent z Manchesteru i wydawał się pleść typowe bzdety, jakie mógłby mówić absolwent na wakacjach w Rzymie. Po tajniaku nie spodziewałby się tego rodzaju przykładania wagi do szczegółów, więc czuł się stosunkowo pewnie, odpowiadając Neriemu:

- Tamci nie są. Wiedziałbym.

- Być może - odrzekł karabinier, znowu powoli zaciągając się papierosem. Zapach papieru lukrecyjowego był mdląco słodki. - Ale to wciąż nie wyjaśnia, dlaczego nie powinienem pana aresztować, panie Larkin, co nie?

Noah nie mógł się z nim spierać. Gdyby był na jego miejscu, jego radar do wykrywania bredni wysyłałby sygnały ostrzegawcze, trąbiąc na prawo i lewo.

- Proszę mi mówić Noah. Pan Larkin to był mój ojciec.

- Może później, jeśli zostaniemy przyjaciółmi - powiedział Neri. - Póki co będę pana nazywał panem Larkinem, a pan może udawać, że rozmawiam z pańskim ojcem, jeśli to pomoże.

- Niespecjalnie - odparł Noah. - Pracuję dla organizacji, która... Ech, jak by to ująć? - nieznacznie rozłożył ręce, jak gdyby szukając inspiracji z niebios. - Powiedzmy, że „trzymam rękę na pulsie” wydarzeń w różnych krajach na całym świecie. To raczej wyspecjalizowane interesy i obszary kompetencji.

- Słucham dalej - powiedział Neri, gasząc resztkę papierosa w faszach z kawy i pozostawiając niedopałek, żeby nasiąkał w maleńkiej filiżance.

- Z powodu naszych interesów mamy dość niezwykłą sieć kontaktów, a z powodu naszego odsunięcia od bardziej politycznych aspektów możemy niekiedy dostrzec powiązania między rzeczami, które inni, znajdujący się bliżej wydarzeń gubią lub pomijają.

- A więc jest pan szpiegiem?

Noah przecząco pokręcił głową.

- Nie jestem. Nic tak barwnego. Pracuję dla sir Charlesa Wyndhama. Nieoficjalnie moja grupa znana jest pod nazwą Kuźnica. Wszyscy mamy wojskową przeszłość, więc posiadamy pewne umiejętności. Sir Charles lubił żartować, że zostaliśmy wykuci w ogniu bitwy. Staruszek nie jest szczególnie zabawny, ale ustępujemy mu w tej kwestii.

- A jak można was „oficjalnie” nazywać?

Noah pomyślał, żeby odpowiedzieć coś wymijającego, ale potrzebne mu było zaufanie tego gościa, jeżeli miał przedzierać się przez okopy włoskiej biurokracji i dostać się do kogoś po drugiej stronie muru wyznaczającego granice Watykanu.

- Nasze oficjalne oznaczenie rządowe, jeżeli to nie sprzeczność sama w sobie, to Ogmios.

- A więc pracuje pan dla brytyjskiego rządu? Czy to właśnie chce mi pan powiedzieć, panie Larkin?

Noah pokręcił głową.

- Nie. Chiyste, jak mam to wyjaśnić? Dobrze, nie działamy z ramienia rządu. Działamy odrębnie, nieregularnie. Gdybyśmy nadal byli w wojsku, byłibyśmy agentami, których można spisać na straty. To ten sam schemat. Wyjeżdżamy, dbamy o interesy naszego kraju za granicą, ale gdybyśmy zostali ujawnieni, gdybyśmy zostali schwytani albo stali się problemem, to po prostu nie istniejemy. Jesteśmy prywatną firmą, która zupełnie przypadkiem składa się z ekspertów od antyterroryzmu i byłych członków służb specjalnych.

- Fascynujące, no i oczywiście całkowicie niewiarygodne. Niech mi pan powie, czym dokładnie zajmuje się ta Kuźnica, że rząd Wysokości zastrzega sobie prawo do zaprzeczania waszemu istnieniu? - W głosie Neriego brzmiała nieufność i jasne było, że pytanie, które faktycznie tu padło to „jak, u diabła, wiecie, co się dzieje, podczas gdyśmy nie wiemy?”.

- Odzyskujemy mienie - powiedział Noah.

- Interesujące - mruknął Neri - i jak się domyślam, całkowicie bez związku.

Nie w ciemię bity, pomyślał Noah.

- Zdziwiłby się pan - odparł.

- Nie - Neri odparował z miejsca. - Nie zdziwiłbym się. Zdziwiłaby mnie prawda, która by się panu wymknęła, kiedy by pan nie uważał.

Noah omal się nie roześmiał. Zamiast tego skinął na kelnerkę i zamówił jasne piwo. Pokiwała głową i szybko odeszła. Podobały mu się jej oczy, choć widział je tylko przelotnie. Była w nich obietnica. Nie ma nic lepszego od ślicznej młodej dziewczyny, która obiecuje - i nie mało znaczenia, czego dotyczyła obietnica. Noah powrócił spojrzeniem do Dominica Neriego. Stwierdził, że lubi tego ponurego niskiego detektywa o podejrzliwym umyśle. To był facet pokroju Noaha.

- A teraz niech mi pan powie jeszcze raz, dlaczego powinienem pana wysłuchać?

Noah nachylił się do przodu. Wypowiedział jedno słowo:

- Berlin.

To jedno słowo wystarczyło. Wiedział, że wystarczy. Neri mógł się miotać, ile mu się żywnie podoba. Mógł żądać dowodu, że Noah nie siedzi w całej aferze po szyję jako zabójca, z potrzebą znalezienia się w centrum uwagi, obserwowania i odczuwania części strachu wytworzonego przez własne zbrodnie. Dzięki Hollywood tak wyglądała powszechna filozofia zwalczania przestępczości. Mógł domagać się, żeby Noah oddał się w ręce władz, podczas gdy sam sprawdzi nazwę Ogmios za pośrednictwem własnej siatki, próbując zweryfikować nieweryfikowalne - tylko po to, żeby uprzykrzyć Noahowi życie, bo może to zrobić. Wszystko, co by znaleźli, to niejasne wzmianki o celtyckim bóstwie. Ale nie mógł odrzucić Berlina. Liczba zgonów rosła z każdą godziną. Napis na rażąco niestosownym liczniku na ekranie wyciszzonego telewizora za głową Noaha głosił „LICZBA OFIAR ŚMIERTELNYCH W BERLINIE WCIAŻ ROŚNIE”, a sam licznik wskazywał liczbę skaczącą w górę w miarę, jak zgłaszano każdą nową ofiarę. Noaha przebiegł deszcz. Nie miał ochoty zgadywać, na jakim pułapie licznik wreszcie się zatrzyma, lecz jakkolwiek on będzie, ta liczba zwyczajnie przestanie mieć sens. Tyle już wszyscy wiedzieli ze wstępnego raportu Konstantina z miasta. Berlin był w opałach.

- Nie ma nic szczególnie tajnego w tym, co zamierzam panu teraz powiedzieć, ale proszę o cierpliwość.

Włoch skinął głową.

- Każdemu z publicznych samobójstw towarzyszyła wiadomość przekazana do jednej z krajowych agencji informacyjnych. W Londynie wiadomość brzmiała: „Nadciąga plaga. Przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy śmierć będzie pustoszyć ulice. Zbrukani grzechem spleoną. Umieranie właśnie się zaczyna”. Taka sama wiadomość pojawiła się w jedenastu z trzynastu miast, w których ktoś spleoną.

Widać było, że Włoch zna tę wiadomość na pamięć. Pragnął usłyszeć coś, czego jeszcze nie wiedział.

- A pozostałe dwie? Gdzie to było, panie Larkin? Dlaczego tamte wiadomości się różniły?

- Jednym miastem był Berlin, drugim Rzym. - Noah sięgnął do kieszeni po kartkę, na której zapisał sobie treść dwóch rozmów telefonicznych. Wyglądził ją i odczytał obie krótkie wiadomości na głos. - W Berlinie wiadomość była następująca: „Ojciec Święty przeszedł przez wielkie miasto w połowie zrujnowane i na poły drżący, chwiejnym krokiem, udręczony bólem i cierpieniem, szedł, modląc się za dusze martwych ludzi, których ciała spotykał na swojej drodze; doszedłszy do szczytu góry, klęcząc u stóp wielkiego Krzyża, został zabity przez grupę żołnierzy”. Może tekst jest panu znany? To ustęp z trzeciej Tajemnicy Fatimskiej, jak mi się zdaje.

Neri przytaknął.

- Wiadomość w Rzymie była bardziej dosłowna i odbieram ją jako bezpośrednią groźbę pod adresem papieża: „Rzymski papieżu, miej baczenie, by nie zbliżyć się do miasta, któremu wodę niosą dwie rzeki! Kiedy róże zakwitną, ci, których umiłowałeś, bluzną krwią nieopodal, a ty razem z nimi”. To z prorocत्व Nostradamusa.

Neri znów skinął głową.

- Tak, to ta wiadomość. - Wydał z siebie krótkie sapnięcie, po czym znów sięgnął po puszkę z tytoniem. - Muszę zapalić - powiedział. - Jestem starym rzymianinem, nie jednym z tych współczesnych miejskich dzieciaków na ich przeklętych skuterach, trąbiących za każdym razem, kiedy zobaczą ładną dziewczynę. To mi pomaga myśleć.

- Proszę się nie krępować - odparł Noah. - Zaś co do przyczyny, dlaczego się różniły, to sądzimy, że wskazywały nam, gdzie zamierzają uderzyć najpierw. I jeżeli mamy rację to Berlin dzisiaj oznacza Rzym jutro.

- *Dio ci aiuti* - wystękał karabinier, po części jako modlitwę, a po części jako absolutny sprzeciw, kiedy ponad ramieniem Noaha zerknął na ekran.

Noah wiedział, że Włoch odczytuje liczby i wyobraża sobie taką samą tragedię na własnych dobrze znanych ulicach. Ręce mu drżały, kiedy podnosił je do ust i zaciągał się cienkim papierosem. Był to boleśnie ludzki gest słabości i lęku. To się nie mieściło w jego wizji świata. Był mężczyzną stworzonym do radzenia sobie z korupcją, mafiosami, wąskimi uliczkami intrygami prowadzącymi do intymnej śmierci. Śmierci z honorem, jak mawiano. Ta śmierć bez twarzy była, z braku lepszego słowa, niewłoska. Przez ten ułamek sekundy, kiedy Neri Stracił czujność, Noah mu współczuł. Aż nadto dobrze znał tego rodzaju piekło, jakie nadciągało nad jego miasto! tego popołudnia pokazywano mu je w każdym telewizorze. Nie potrzeba wielkiej wyobraźni, żeby zamiast słowa Berlin podstawić Rzym.

Noah upił łyk swojego Nasturo Azzurro. Piwo było zimne, a on właściwie tylko tego oczekiwał od piwa. Otarł usta i odstawił butelkę na stolik. Nie odwrócił się, żeby popatrzeć na ekran.

- Jak to powstrzymamy, Noahu? - odezwał się Dominico Neri, po raz pierwszy zwracając się do niego po imieniu.

Sam chciałby to wiedzieć.

- Przyszedłeś do mnie nie bez powodu, więc powiedz mi, jak to powstrzymamy?

Pochylił się i zbliżył do niego. Był to dość intymny gest, zwłaszcza jak na rozmowę w kawiarni. Noah nie chciał, żeby dotarło do niepowołanych uszu, co ma do powiedzenia, nawet jeśli najprawdopodobniej nikt nie wiedział, o czym rozmawiają. Stare powiedzenie o tym, że za długi język może skrócić życie, u wojskowych nigdy tak naprawdę nie poszło w zapomnienie.

- Wszystkie ofiary to Anglicy - powiedział, zamiast odpowiadać na niemające odpowiedzi pytanie Neriego. - Mamy ludzi, którzy badają, co konkretnie je łączy. Coś musi. I my się tego dowiemy. Tym się właśnie zajmujemy. A kiedy się dowiemy, znajdziemy ludzi, którzy za tym stoją.

- Ale nie znajdziecie ich dzisiaj, prawda? - odparł Neri. To nie było pytanie. Nie całkiem. - Co znaczy, że jutro... - głos mu zamarł.

- Przyjrzyj się wiadomościom - powiedział. - Przyjrzyj się, co mówią. To bezpośrednia groźba pod adresem jednego człowieka, a nie miasta. Tu nie będzie tak jak w Berlinie.

Noah nie wiedział, czy to prawda, ale w chwili, gdy to mówił, uświadomił sobie, że dostrzega w tym pewną logikę.

- Naprawdę sądzisz, że wystąpią przeciwko Jego Świątobliwości? - spytał Neri, prawie z niedowierzaniem. Tylko telewizor powstrzymywał go przed odrzuceniem tego pomysłu jako bzdury. - Boże drogi, ty naprawdę tak myślisz, prawda?

Noah powoli pokiwał głową.

- Nie zrozum tego źle, przyjacielu, ale wolałbym cię nigdy nie spotkać.

- To uczucie jest wzajemne - odpowiedział Noah bez najlżejszego cienia rozbawienia.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego przychodzisz do mnie zamiast do NOCS?

Nucleo Operativo Centrale di Sicurezza była włoską policyjną jednostką antyterrorystyczną. Dobrze się spisywali w swojej robocie, przechodzili trening HALO i współpracowali ramię w ramię z FBI Hostage Rescue, izraelskim YAMAM-em, niemieckim

GSG-9, duńskimi, holenderskimi i innymi siłami specjalnymi z całej Europy. Neri miał słuszną rację. To było miejsce, do którego Noah powinien się udać z tego rodzaju informacją. Noah pomyślał, że byliby także najmniej skłonni mu uwierzyć, ale nie powiedział tego na głos. Mogliby potraktować go poważnie, gdyby miał za sobą poparcie MI6, ale on go nie miał. Musiał coś zrobić z tym bałaganem praktycznie sam.

- Ja jestem tylko policjantem - mówił dalej Neri, przygotowując się do zapalenia swojego trzeciego papierosa od chwili, gdy dołączył do Noaha przy stoliku. - To wykracza poza moje... Chryste, nawet nie wiem, jak to nazwać. Jestem tylko kopącym jak komin, oglądającym się za kobietami rzymianinem, przyjacielu. Nie noszę gatek na spodniach.

Noah wychwycił żart o superbohaterze w rajtuzach. Pomimo całej swojej rubaszości Neri miał rację, światu przydałby się w tej chwili obrońca w pelerynie. Zamiast tego będzie musiał mu wystarczyć kopący jak dwa kominy, i oglądający się za kobietami sojusz angielsko-włoski.

- A myślisz, że ja to kim jestem? - spytał zamiast tego.

Rzymianin roześmiał się. To był krótki chrapliwy śmiech, ale jednak śmiech.

- Nie mam pojęcia, kim jesteś. To część problemu. I nie mam pojęcia, czego ode mnie chcesz. Zasuwasz mi tę bombę i spodziewasz się, że ja sobie z nią poradzę, wiedząc, że ja ani moi ludzie nic nie możemy z tym zrobić, nie na czas. Spodziewasz się, że w pojedynkę ochronię papieża? Czy ja wyglądam na kogoś, kto przyjąłby na siebie kulę za bożego posłańca? Spójrz na mnie, Noah - Neri wydawał się całkiem chętnie mówić mu po imieniu. Noah domyślał się, że to znaczy, że teraz są przyjaciółmi. - Nie jestem bohaterem, nawet bez rajtuzów. Wykonuję swoją robotę. Robię to tak dobrze, jak potrafię, bez zatacania ludzkich odruchów, ale lata pływania w rzymskim bagnie zmieniły mnie w cynika. Jestem zmęczony. Budzę się zmęczony, zeszywniały, moje kości usiłują mi powiedzieć, że czas już przekazać miasto młodszemu facetowi, a ty mi tu przynosisz sekret, który mi tylko sprawi całą kupę cierpienia. Chyba nie mam ochoty ci za to dziękować. A wiesz, co w tym wszystkim zakrawa na ironię?

Noah pokręcił głową. Nie miał bladego pojęcia.

- Jego nawet nie ma w tej chwili w mieście. Wyjechał dokądś na jedną z tych swoich świętych pielgrzymek.

Noah popatrzył na Neriego.

- Mówisz poważnie?

- Czy ta twarz wygląda jak u kogoś, komu jest do śmiechu?

Nie wyglądała.

- Cóż, to niczego nie zmienia - skomentował Noah, starając się przemyśleć konkretne implikacje nieobecności papieża.

Nie oczekiwał, że rozwiązanie znajdzie się od razu, ale nie był to też *Dzień szakala*. Pierwotny plan zakładał zaprzyjaźnienie się z miejscowymi, uzyskanie posłuchu u kapitana Gwardii Szwajcarskiej, przekonanie go o powadze zagrożenia i sprawienie, by papież został przeniesiony gdzieś w bezpieczne miejsce. Szanse na to, że potraktowano by go poważnie, zawsze były co najmniej marne. I podczas gdy silnie wierzący mogli uparcie trzymać się myśli, że Bóg stanowi ich tarczę, istniała szansa, że Gwardia Szwajcarska wykaże się bardziej praktycznym podejściem. Byliby idiotami, nie biorąc na poważnie zagrożenia dla życia ich podopiecznego - przynajmniej do czasu, gdy okazałoby się, że jest inaczej.

Jeżeli atak miał być wymierzony bezpośrednio w papieża, przebywanie poza krajem tylko przesunęło niebezpieczeństwo w inne miejsce. Staraliby się pomówić z osobami mu najbliższymi, wzmocnić ochronę, i najprawdopodobniej nie organizować ewakuacji do bezpiecznej kryjówki w czasie gdy zagrożenie będzie neutralizowane. Jeżeli celem miała być siedziba Kościoła katolickiego, nie miało znaczenia, czy papież przebywa na miejscu, czy też nie; atak i tak by nastąpił. Jediną faktyczną różnicę stanowiłby sposób przeprowadzenia

samego ataku. Aby zyskać pewność, że człowiek nie żyje, najbardziej skuteczną metodą było coś intymnego - kula snajpera, trucizna, bomba w samochodzie - coś, co może być celem. Uderzenie w coś tak nieuchwytnego jak sama wiara było powrotem do sfery widowiska. Zapewne bomba Seria bomb. Coś dużego, co narobi mnóstwo bardzo widocznego bałaganu. Noah wrócił myślami do terroru jako swego rodzaju sztuki performance, że cały świat jest sceną i takie tam. To musiało być widoczne, musiało być szokujące i musiało do głębi wstrząsnąć wiernymi. Widok ratowników przekopujących gruzy, desperacko szukających ocalałych, podczas gdy wszystkie ich relikwie i nadzieje płoną, byłby przekazem do wierzących. Noah powiedział to Neriemu. Policjant pokiwał głową, sam też nad tym rozmyślając.

Terror jako widowisko. W całej tej sprawie to jedno nie dawało Noahowi spokoju. Te ataki wywoływały przerażenie, ale w jakim celu? Jaka była przyczyna? Co ci ludzie mieli nadzieję osiągnąć oprócz wzbudzenia strachu w Europie? W Internecie już powinny szerzyć się filmiki wideo. Ktoś gdzieś tam powinien ogłaszać, że jest za to odpowiedzialny, mówić światu, czego chce w zamian za zakończenie terroru. Tak to działało.

- Bez względu na sposób, potrzebujemy czasu - odezwał się Neri. Drugą część zdania pozostawił niedopowiedzianą. - Możemy przeczesać obrzeża Watykanu, ale zakładając, że nie zostawia nam grzecznie zardzewiałego wiadra z wymalowanym napisem „bomba”. To trochę potrwa. A jeżeli umieścili ją po drugiej stronie granicy, na terytorium Wszechmogącego, no to mamy cholernego pecha.

- Przecież na pewno cię wysłuchają? - powiedział Noah.

- To Rzym. Wetkną sobie palce do uszu i będą udawać, że nie dyszą ani jednego cholernego słowa z tego, co mówimy, bo wierzą, że są niezniszczalni. Należą do bożej armii. Nie ma nic gorszego niż złudzenie wielkości u Prawdziwie Wierzących. Albo wydaje im się, że są nieśmiertelni, albo są całkiem uszczęśliwieni, że przenoszą się w lepsze miejsce. O ile mi wiadomo, nie robi im to różnicy, czy dostaną się tam jako milion małych kawałeczków.

- Neri uśmiechnął się krzywo.

- Od jak dawna planowano tę podróż?

- Nie mam pojęcia. Ale biorąc pod uwagę, jaką oprawę ma papieska wizyta, to od miesięcy, może sześciu, dziesięciu? - Neri wzruszył ramionami.

Noah spróbował się zastanowić.

Jak on podszedłby do tego na ich miejscu?

Zasłonił sobie twarz zniszczoną dłonią.

- Myśl, myśl, myśl - burknął, przeczesując włosy palcami.

Potrząsnął głową. Od samego początku nic w tej sprawie nie odbywało się tak, jak on by to zrobił. Przede wszystkim był pewien jak wszyscy diabli, że nie rozgłaszałyby, że zasada się na papieża; to była głupota. Używasz dymu i luster, tworząc mylne tropy, a nie budujesz sceny jak z filmu o Scooby Doo, chyba że naprawdę chcesz mruknąć pod nosem: „udałoby się, gdyby nie wy, wścibskie dzieciaki”, kiedy będą cię wyprowadzać w kajdankach. A więc co tu się właściwie dzieje, do diabła?

Oczywiście, poza granicami Watykanu papiescy ochroniarze będą zachowywać podwyższoną czujność - to logiczne. W czasach konfliktów każde miejsce poza Stolicą I Apostolską należy traktować jak wrogie terytorium. A zatem w najlepszym wypadku papież miał wokół siebie ludzi gotowych, jak to dobitnie ujął Neri, przyjmując tę kulę na siebie. Jego plan dnia był mniej przewidywalny, utrudniając atak. Potrzeba by dobrego obiegu informacji, kogoś z wewnątrz, ujawniającego harmonogram z wystarczającym wyprzedzeniem, żeby zamachowcy wyprzedzili orszak, gdyż w innym przypadku nie byłiby w stanie wyszukać korzystnych punktów. Noah zamknął oczy. Zabójca pragnie zminimalizować wpływ przypadkowych czynników, kontrolować to, co da się kontrolować. Zabójstwo opierało się na cierpliwości i metodyczności. Niewiadome należało usunąć z równania.

W Basrze Noah tkwił w kryjówece przez pięć dni, sikając do butelek po wodzie, którą wcześniej wypił i załatwiając się do opakowań po racjach żywnościowych. Kiedy likwidował kryjówkę, zabrał to wszystko ze sobą. Nie pozostał ani jeden ślad, że w ogóle tam był. Usłyszał od trzech muzułmanów, jak nazwali go zabójcą-duchem. Spodobało mu się to. Po powrocie do domu kazał to sobie wytatuować na lewym ramieniu - było to jedyne, co przywiózł ze sobą z Iraku. Noah oddał strzał trzeciego dnia i przez kolejny dzień patrzył, jak przekopują pustynię, szukając go stale w złych miejscach, ale wyszedł na pustynię dopiero następnego dnia po tym, jak dali sobie spokój z szukaniem.

Tego rodzaju cierpliwości wymagało zabójstwo.

Zabicie kogoś w jego naturalnym otoczeniu było łatwiejsze. Cel czuł się swobodnie. Postępował zgodnie z nawykami. Nawyki tworzyły stałe wzorce.

A zatem gdyby to był on, chciałby przejść się po terenie. Przystudiować rozkład. Chciałby mieć pewność, że dokładnie wie, skąd cel przybędzie i dokąd się uda. Każdy teren stwarzał inne problemy, z którymi należało się uporać. Ostatnie, czego by mu było trzeba, to coś tak głupiego, jak przypadkowy promień słońca odbijający się w nieodpowiedniej tafli szkła, jeszcze bardziej utrudniający celny strzał.

Kontrolowanie zmiennych.

Jakkolwiek by na to spojrzeć, Rzym stanowił idealne miejsce dla zamachu na życie papieża.

- Zmieniłem zdanie - odezwał się Noah, otwierając oczy. Neri spojrzał na niego wyczekująco. - Za dużo elementów nie pasuje w tym scenariuszu. Tu nie może chodzić o papieża, jeszcze nie. Tu chodzi o Rzym, tak jak dzisiaj o Berlin. Musi tak być.

- A czterowersz, który zacytował samobójca? - powiedział Neri. - „Rzymski papieżu, miej baczenie, by nie zbliżyć się do miasta, któremu wodę niosą dwie rzeki! Kiedy róże zakwitną, ci, których umiłowalesz, bluzną krwią nieopodał, a ty razem z nimi”.

Powtórzył fragment bez zająknięcia. Noah zastanawiał się, ile razy w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin rzymianin przeczytał te cztery linijki prorocstwa.

- To ta część z dymem i lustrami - odparł Noah, pewien, że ma rację. Tylko to miało sens. Wcześniej pozwilił, żeby cała reszta go rozproszyła. - Sprawia, że obszczekujemy nie to drzewo, na pewno. Sam mówiłeś, że papieża tu nie ma. Ci goście są skrupulatni. Muszą tacy być, żeby zaaranżować trzynaście idealnie zgranych w czasie samobójstw w trzynastu miastach, a potem dzisiaj powtórzyć wyczyn w metrze. Mowy nie ma, żeby popełnili taki rażąco amatorski błąd, jak nieznamość dokładnego miejsca pobytu Jego Świątobliwości z dokładnością do każdej cholernej minuty. Pomyśl o tym - pokręcił głową, a w jego głosie pojawiło się coś w rodzaju cienia podziwu, kiedy powiedział: - Wiadomość mogła dotyczyć papieża, ale zapominamy, że tak samo było z tą w Berlinie. To groźby na później, a fakt, że odróżniały się od reszty, wskazał Berlin i Rzym jako cele. Obiecali czterdzieści dni grozy, a na koniec tego zginą wszyscy nasi bogowie, chrześcijan, muzułmanów, cholernych Wikingów, to bez znaczenia - burknął Noah. - Zegar tyka. Jutro uderzą w Rzymie. Nie wiem gdzie, nie wiem kiedy, ale jestem gotów postawić moje pieprzone życie na to, że to będzie widowiskowe. A za trzydzieści osiem dni zaatakują papieża. W tej chwili przyczaili się i czekają - powiedział, wracając myślami do Basi.

- Malujesz ponury obraz - stwierdził Neri. - Zakładając, że masz rację, czego chcesz od moich ludzi?

- To twoje miasto. Gdzie ty byś uderzył? Co byś zrobił? Zastanów się nad tym.

Kimkolwiek są, w tej chwili znajdują się w Rzymie. Muszą tu przebywać od jakiegoś czasu, dopracowując szczegóły swojego ataku, robiąc próby generalne, dopasowując w czasie każdy krok i sprawdzając każdą ewentualność, bo tacy właśnie są. Ktoś ich widział. Ktoś wie, kim są. Nic nie przejdzie niezauważone w tak wielkim mieście. Potrzebujesz ludzi na ulicach, zadających właściwe pytania. Oni będą wyglądać jak Włosi. Będą mówić jak Włosi, Będą

prowadzić normalne życie, które zapewnili sobie, pracując na to latami. Mogą być żonaci, mieć dzieci w dobrych rzymskich szkołach. Grają w tę grę od dawna.

- Chryste - mruknął Neri, jak gdyby po raz pierwszy do niego dotarło, że każdy, od pary młodych z przewodnikiem turystycznym po staruszkę z gazetą, kelnerkę z jej oczyma kryjącymi obietnicę czy faceta na ulicy szarpiącego się ze spoconym zmęczonym brzdącem, może być ich terrorystą.

Nie dało się tego określić po samym wyglądzie, nie dało się odczytać ich myśli. Byli tacy sami jak wszyscy, idealnie tacy sami, wyćwiczeni, by tacy być.

- I na tym kończąc, myślę, że pora, żebym ruszył zapolować na ducha mojego rodaka.

Noah odsunął krzesło i zaczął się podnosić. Neri zgniótł peta po swoim ostatnim papierosie.

- Ofiara wynajmowała poddasze w jednej z uboższych części miasta na nazwisko Nick Simmonds. Nie wątpię, że już masz adres, wydajesz się bardzo dobrze ustosunkowany jak na kogoś, kto nie pracuje dla waszego rządu - powiedział cierpko Neri - ale niczego tam nie ma. Mieszkanie było puste, kiedy tam dotarliśmy. I to nie tylko puste. Zostało starannie zdezynfekowane, a wszelkie pozostałości po Nicku Simmondsie usunięto. Nie zostało absolutnie nic z rzeczy prywatnych. Nic, żeby stwierdzić, że on w ogóle tam mieszkał. Nawet kosmyka włosów, żeby zbadać jego DNA.

To idealnie pasowało do tego, co Konstantin zastał w Berlinie. Już samo to podobieństwo czyniło z poddasza w ubogiej dzielnicy miejsce warte odwiedzenia.

- A jego praca? - zapytał Noah.

Wiedział, że Simmonds tymczasowo pracował dla watykańskiego archiwisty, ale poza tym mógł tylko zgadywać.

- Jeden z moich zespołów próbuje się tam dostać - skinął głową na drugą stronę Placu św. Piotra, w kierunku kopuły bazyliki - ale tak między nami, podejrzewam, że Dante myślał o tym miejscu, kiedy opisywał swój Czyściec.

- Aż tak?

- Zaufaj mi - Neri powiedział, jeszcze raz sięgając po puszkę z tytoniem. - Wystarczy, żeby sprawić, by taki facet jak ja uwierzył w diabła - odparł Neri.

Skinieniem głowy dał znak starszemu mężczyźnie czytającemu gazetę. Mężczyzna odwzajemnił gest i starannie złożył wielką gazetę, zanim zapłacił rachunek i odszedł od stolika. Uśmiechając się kwaśno, Neri skinął głową w kierunku młodej pary, która tak samo odłożyła swój przewodnik i uregulowała rachunek, zostawiając hojny napiwek, kiedy zwalniali stolik.

- To byli twoi ludzie?

- Tak.

- Ufny jesteś, co nie? - mruknął Noah.

- To Rzym, Noahu - Dominico Neri odpowiedział z niemal przyjacielskim uśmiechem. - Nikomu nie można ufać. Oblicza aniołów, moralność diabłów.

JEDEN Z DIABLÓW

Konstantin dostatecznie długo uczestniczył w tajnych operacjach przenikania do budynków po obu stronach, żeby wiedzieć, kiedy coś jest nie w porządku.

Lubił ten eufemizm, przeniknięcie. To był uprzejmy sposób na określenie włamania. Brytyjczycy szczególnie w tym celowali, lubili używać zwrotów takich jak ogniwa pośrednie, fałszywa bandera czy słodka przynęta, zamiast nazywać na przykład włamanie - włamanie. Wszystko to straszliwie trąciło latami pięćdziesiątymi, nieokazywaniem emocji i całą resztą.

Z punktu widzenia obserwatora plan takich akcji był prosty - zastawiało się pułapkę z przynętą, siadało wygodnie i czekało. Coś zawsze się złapie, niezmiennie tak się dzieje. Obserwacja opiera się na cierpliwości. Siedzisz, czekasz, patrzysz, kto się pojawi.

W tym przypadku to mieszkanie Metzgera było pułapką z przynętą, a on właśnie w nią wpadł.

Nie było w tym żadnego działania szóstego zmysłu. Żadnego zjeżenia się włosów na karku. Żadnego instynktownego alarmu w głowie, brzęczącego, żeby go ostrzec. To nie gadzi mózg ani cokolwiek w tym rodzaju. Konstantin był człowiekiem praktycznym pod każdym względem. Nie miał czasu na bzdury i zabobony. To jednak nie znaczyło, że odrzucał dobrze wytrenowane instynkty. Wyćwiczona osoba rozpoznaje na poziomie podświadomości rzeczy, które zwyczajny człowiek najpewniej by przeoczył, tak po prostu się dzieje i już. To kwestia znajomości fachu. Konstantin Chawin wiedział, że jest śledzony, ponieważ był spostrzegawczy. Nie ma nic tajemniczego w tym, by mieć oczy szeroko otwarte. Konstantin nauczył się interpretować ślady pozostawiane przez nieostrożnych ludzi. Niejeden raz spostrzegawczość ocaliła mu życie.

Wykrył ogon, gdy tylko opuścił budynek przy Schlosstrasse, w którym znajdowało się mieszkanie Metzgera.

Trzy sygnały zdradziły obserwatorów, a każdy z nich był zaskakująco oczywisty, a tym samym amatorski, wzięwszy pod uwagę poziom wyrafinowania, jakiego wymagał atak w metrze. To coś, nad czym może się głowić później. W tej chwili jego najważniejszym celem było dowiedzieć się, ile tylko zdoła, o śledzących go ludziach - co oznaczało postawienie całej zabawy na głowie i śledzenie śledzących.

Pierwszy ślad był tak bezmyślny jak niczym nieosłonięta obudowa obiektywu w oknie na wyższym piętrze po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko mieszkania Metzgera. Ktokolwiek znajdował się tam na górze, w zaciemnionym pokoju, fotografował wszystkich wchodzących i wychodzących z domu, gdzie mieszkał Metzger. To była ogłupiająca harówka. Obserwować i zapisywać dla dalszego zbadania. Ktoś inny będzie potem szlifował bruki, a oni zapewne zmieniali się w ciemnym pokoju co osiem do dziesięciu godzin, choćby po to, żeby złagodzić nudę wpatrywania się w ulicę. Kiedy w południe słońce oświetliło fazowany obiektyw aparatu, przez moment okno rozbłysło. To była nieostrożność. Konstantin domyślał się, że tkwili w swoim wynajętym pokoju od kilku dni bez przerwy. To wtedy wkrada się niedbałość.

Zlekceważyłby to, gdyby nie drugi ślad, gaźnik jednego z samochodów po przeciwnej stronie ulicy, kichający akurat w chwili, gdy szedł w stronę budki przy końcu ulicy. Obie te rzeczy razem były czymś więcej niż zwykłym zbiegiem okoliczności.

Konstantina kusilo, żeby złożyć obserwatorom niespodziewaną wizytę i nabić parę guzów. Odezwała się jego rosyjska krew. Odwrócił się jednak, nawet nie zerkając w górę. Później będzie czas, żeby powrócić na Schlosstrasse. Jego rosyjską krew zadowoli wizyta o 4 nad ranem.

Ostatecznie zdradził ich facet na rogu ulicy, który nadal siedział na jednej z czerwonych ławek przed budką z kiełbaskami, wciąż jedząc smażoną kiełbasę posypaną suszoną cebulą. Konstantin zauważył go poprzednio, kiedy skręcił w Schlosstrasse, szukając domu Metzgera, siedzącego tam i kulącego się z zimna. W czasie, jaki Konstantin potrzebował na przeszukanie mieszkania Metzgera, amator kiełbasy nie ugryzł jej ani razu - zapewne dlatego, że kupił ją rano, a teraz była zimna i tłusta, i prędzej wywołałaby u niego wymioty niż zaspokoila prawdziwy głód, który zapewne odczuwał.

Diabeł tkwi w szczegółach.

Konstantin stwierdził, że jest głodny.

Podszedł do okienka i zamówił sobie kiełbaskę ze wszystkimi dodatkami, po czym teatralnym gestem oblizywał palce, gdy ją zjadał. Kiełbasa była gorąca i dzięki temu smakowała jeszcze lepiej. Popił ją jabłkowym szprycerem.

Konstantin skinął głową zmarzniętemu mężczyźnie z niedojedzoną kiełbaską i zanim odszedł, powiedział:

- Boże, ale mi było tego trzeba.

Uśmiechnął się. To nie było konieczne, to tylko gra, ale spodobała mu się myśl, żeby dać znać mężczyźnie, że widział go dwukrotnie. Konstantin był ciekaw, jak postąpią, wiedząc, że zostali odkryci. Ich reakcja powie mu, jak dobra jest tak naprawdę grupa, przeciwko której stanęli.

Zatrzymał się na rogu, na pozór po to, by zawiązać sznurowadło. Sprawdzał ulicę. Amator kiełbasek ruszył się z miejsca, żeby go śledzić, co go nie zdziwiło. Nie było sensu w śledzeniu go przez jedyną osobę, którą mógł rozpoznać, jeżeli mieli na ulicy kogoś jeszcze. Samochód powoli podjechał do końca Schlosstrasse i włączył prawy kierunkowskaz. Konstantin przyglądał się, jak wóz skręca i odjeżdża. Zespół w samochodzie mógł to rozegrać na dwa sposoby - mogli wysadzić kolejnego obserwatora, gdy tylko auto znajdzie się za rogiem, pozwalając mu śledzić go od przodu, albo mogli mieć nadzieję, że później znów podejmą trop i zakładać, że jeden nijaki sedan wygląda całkiem jak każdy inny w tym mieście pełnym nijakich BMW, mercedesów, volvo i saabów. W próbie wskoczenia mu z powrotem na ogon istniał element ryzyka, na które sam Konstantin nigdy by nie pozwolił, gdyby to on kierował akcją. Musiał więc zakładać, że kimkolwiek jest jego odpowiednik po stronie przeciwnej, człowiek ten jest tak samo metodyczny, jak on - a to znaczyło, że mieli na ulicy przynajmniej jeszcze jedną osobę, którą przeoczył.

Konstantin nie spieszył się. Piętnaście metrów dalej stał zielony pisuar. Na drzwiach misternie wytłoczone było godło miejskie Berlina. Konstantin ruszył w jego kierunku, licząc kroki na bruku. Każdy krok wyraźnie niósł się w chłodnym powietrzu. Sześć metrów dalej dotarł do niego odór uryny, kiedy wiatr przybrał na sile. Był to jeden z tysięcy nieprzyjemnych zapachów miasta. Niektóre miasta mają tysiąc opowieści, pomyślał, przypominając sobie stary serial; Berlin miał tysiąc smrodów. Konstantin chrząknął. Postanowił ulżyć pęcherzowi. Pisuar zbudowano w taki sposób, że oddając mocz, mógł wyglądać ponad jego górną krawędzią na ulicę. Był to dosyć dziwny pomysł, bardzo niemiecki. Dał mu jednak całą minutę na przyglądanie się ludziom, zobaczenie, kto się przemieszcza, kto zwalnia i na kogo patrzy amator kiełbasek - ponieważ to nie był on. Konstantin spróbował podążyć wzrokiem za spojrzeniem mężczyzny, nie oblewając sobie przy tym butów.

Mężczyzna wydawał się uważnie wpatrywać w drzwi domu Greya Metzgera.

W tej chwili Konstantin zobaczył, jak na ulicę wychodzi kobieta w czerwonej sukience - wyglądającej jak jakiś strój wieczorowy, pięknie skrojonej wokół jej pełnych krągłości. Kobieta szła w jego stronę. Zapiął suwak i wyszedł z pisuaru, dopasowując w czasie swoje wyjście tak, żeby spotkać się z nią na ulicy.

Przyjrzała mu się śmiało; jej spojrzenie powoli omiotło go od głowy do stóp i z powrotem. Konstantin lekko skinął głową i gestem pokazał jej, by przeszła. Zrobiła to. Szła powoli. Szedł za nią, mijając sześć domów, rozkoszując się łagodnym kołysaniem jej bioder i pełną krągłością jej pośladków, gdy tkanina przyklejała się do nich. Pozwolił jej prowadzić się jeszcze kawałek, zanim gra się skończyła. Kobieta weszła do antykwariatu z biżuterią, a on przeszedł przez ulicę. Nie czekał na zmianę świateł. Jeszcze idąc za kobietą w czerwonej sukience, usłyszał kroki drugiej osoby, nie zgadzające się z rytmem jego własnych kroków.

Dokładnie tak, jak on postąpiłby na ich miejscu - prowadzili go od przodu i z tyłu. Zaganiali go.

I tak, wiedząc, co się dzieje, uznał, że nie może zrobić nic więcej, jak tylko podziwiać widoki - a było coś hipnotyzującego w patrzeniu na czerwoną sukienkę przesuwaną się po pośladkach idącej kobiety. Konstantin był pewien, że taki był cel czerwonej sukienki. To był miód, którym posmarowano pułapkę. Choć widok był nader przyjemny, nie odwrócił jego uwagi od faktu, że był prowadzony jak jagnię na rzeź. Śledzenie z przodu i z tyłu było profesjonalne. Wymagało odpowiedniej liczebności i dyscypliny, a wzięwszy pod uwagę, że berlińska komórka poświęciła już co najmniej siedem osób ze swoich szeregów na atak w metrze, fakt, że wciąż mieli dość ludzi na zbyciu do obserwacji mieszkania Metzgera, był dla Rosjanina dość interesujący.

To nie przypadkowy zbieg okoliczności. W jego świecie nie istniały zbiegi okoliczności.

Czekali na kogoś. Przyczyny mógł się tylko domyślać, opierając się na tym, co wiedział: chodziło o Smutną Narzeczoną. Przetrzytywali tę kobietę co najmniej przez tydzień, być może dwa, i bez względu na to, kim była i na co przygotowało ją wyszkolenie, Konstantin przywiózł ze sobą zza muru jedną zasadniczą prawdę o szpiegowskim fachu - każdy w końcu mówi.

Filmy i książki przedstawiały to efektownie i odmalowywały portrety bohaterów o żelaznej woli i drżących wargach, którzy znosili każdy ból, żeby dochować swych tajemnic, zanim w końcu wydostaną się z niewoli. Wszystko to był kit rodem z kina. Z czasem każdy pękał. Każdy mówił.

A zatem wiedzieli, kim była, dla kogo pracowała, co o nich wiedziała, i przyszli zobaczyć, kto się zjawi, by jej szukać. I znów było to dokładnie to samo, co on by zrobił. Konstantin musiał przyznać, że żywi dla nich pewien niechętny podziw. Byli skrupulatni, dobrze zorganizowani, roztropni i zdyscyplinowani. Wszystkie te cechy przypisałyby zawodowcom, a nie jakiejś terrorystycznej komórce własnego chowu skupionej wokół fanatycznej idei. Gdyby miał duszę hazardzisty, postawiłby sporą sumkę na to, że to eks-wojskowi.

Wszystko sprowadziło się do jednego - Konstantin musiał dowiedzieć się więcej o Smutnej Narzeczonej. Ona była tu kluczem, lecz nie miał pojęcia, do jakiego zamka.

Miał swoje podejrzenia, ale w zasadzie były bezpodstawne. Ten przypadek pomyślonej tożsamości posłużył tylko ich wzmocnieniu. Czekali na kogoś, kto przyjdzie odebrać informacje nagrane na pendrive'a. Kto wiedziałby, że tam są? Jej prowadzący? Jeżeli była agentką, to miało sens - ale dlaczego agentka którejś z tajnych służb miałaby związać się z Greyem Metzgerem? Aż do wczoraj nie było wiadomo o tym mężczyźnie nic, co byłoby chociaż odrobinę interesujące.

Kiedy kobieta skręciła, rzekomo przyciągnięta niczym sroka; błyskiem lśniącej biżuterii w sklepowej witrynie, druga para niewidzialnych stóp przeszła za nim na drugą stronę ulicy.

Konstantin ani razu nie obejrzał się za siebie.

Chciał zobaczyć, jak poważna była ta osoba, a to oznaczało zmianę natury gry .

Skręcił za róg i zastygł w miejscu. Wyprzedzał idącego za nim mężczyznę o piętnaście kroków. Przycisnął się do ściany, poświęcając sekundę, by się uspokoić, zapanować nad

oddechem i skoncentrować, zanim podejmie energiczne działania. W myślach liczył kroki, napinając mięśnie.

Kiedy mężczyzna wyszedł zza rogu, Konstantin stanął mu na drodze. W oczach mężczyzny zabłysło zrozumienie, zaś ułamek sekundy później zastąpił je oślepiający ból. Konstantin poruszał się instynktownie. Przemoc była jego rzemiosłem. Wiedział, jak ranić ludzi. Podszedł blisko, podnosząc prawą rękę ku twarzy mężczyzny w markowanym ciosie, przyciągając jego wzrok do błyskawicznego ruchu ręki, i wyprowadził kopnięcie obcasem buta w jego kolano na tyle silne, by strzaskać rzepkę i naderwać chrząstkę, gdy siłą wygiął je w złą stronę. Mężczyzna padł na ziemię zwinięty w kłębek, przyciskając strzaskane kolano do piersi i wrzeszcząc.

Konstantin stanął nad nim.

- Będziesz miał szczęście, jeśli dasz radę chodzić za pół roku. Ciesz się, że cię nie zabiłem. Następnym razem to zrobię.

Zostawił mężczyznę leżącego na środku ulicy. Ponownie przeszedł na drugą stronę, manewrując między wolno jadącymi samochodami. Żółty autobus zasygnalizował, że zamierza się zatrzymać. Konstantin wskoczył do niego i zajął miejsce przy oknie, pozwalając mu przez parę sekund widzieć sporą część Schlosstrasse, gdy mijali wylot ulicy. Mężczyzna nadal leżał na ziemi. Kobieta w czerwonej sukience stała nad nim, nerwowo mówiąc coś do telefonu komórkowego. Konstantin nie potrafił czytać z ruchu warg, ale mógł się domyślić, co mówiła - że robota została sknocona, cel im się urwał, a oni mają rannego. Nie był to telefon, jaki chciałby wykonać jakikolwiek agent. Będą reperkusje. Konstantin nie odczuwał dla nich najmniejszego cienia współczucia. Kobieta podniosła wzrok i na moment ich oczy się spotkały, po czym autobus zabrał go z jej pola widzenia. Konstantin nacisnął na dzwonek i wyskoczył z pojazdu niecałe trzysta metrów dalej.

Ostatnie, czego by się spodziewali, to że odwróci role i ze zwierzyny zmieni się w myśliwego. Rażnym krokiem mijal szereg pozbawionych charakteru sklepów ze ślepyimi oknami, a później zobaczył jaskrawożółty szyld, charytatywnego sklepu z używaną odzieżą i dał nura do środka. Niecałą minutę zajęło mu wybranie za dużego kożucha i płaskiej męskiej roboczej czapki ze stojącego w głębi sklepu wieszaka z odzieżą po zmarłych. Zapłacił gotówką i zostawił swój własny płaszcz jako datek. Wychodząc z powrotem na ulicę, naciągnął czapkę na głowę tak, że zakrywała mu większość twarzy, i zapiął kożuch pod szyję. Cała operacja nie zabrała więcej niż dwie minuty.

Wyglądał teraz, przynajmniej dla przypadkowego obserwatora, jak całkiem inna osoba niż ta, która dziesięć minut wcześniej wyszła z domu, w którym mieszkał Grey Metzger. To wystarczy do realizacji tego, co chodziło mu po głowie.

Konstantin zawsze czuł się lepiej jako myśliwy.

Ruszył z powrotem w kierunku Schlosstrasse, z pochyloną głową i rękoma schowanymi w płaszczu po jakimś staruszką. Czuł stęchłą woń papierosów, którą przesiąknął kożuch. Płaszcz był znoszony i dzięki temu wygodny. Konstantin poczuł kilka pierwszych dużych kropli deszczu. Każda wydawała się uwalniać z wnętrza kożucha kolejną zapomnianą woń.

Dostrzegł czerwoną sukienkę, nim zobaczył cokolwiek innego. Na tle szarej ulicy odcinała się niczym boja świetlna. Konstantin oparł się o najbliższą ścianę, znajdując sobie miejsce za jednym z licznych przystanków autobusowych wzdłuż ulicy, i obserwował.

Niecałe pięć minut później zatrzymał się przy nich sedan, i kobieta pomogła rannemu mężczyźnie podnieść się i wsiąść do samochodu. Konstantin uśmiechnął się cierpko, usatysfakcjonowany widokiem pantomimy bólu towarzyszącej tym czynnościom. Ale jego uwagę przykuła tablica rejestracyjna sedana albo raczej zero w miejscu, gdzie powinien się znajdować kod miejscowości. Na przykład tablice z Berlina miały prefiks B, a po nim sześć cyfr numeru auta.

Zero oznaczało, że sedan to samochód służb dyplomatycznych.

Zapamiętał numer. Jeśli na nic się nie przyda, przynajmniej będzie czym zająć Lethego. Tablice dyplomatyczne mogły nic nie znaczyć, lecz na najbardziej podstawowym poziomie oznaczały przyjaciół na wysokich stołkach.

Konstantin naciągnął nową czapkę na oczy, kiedy samochód sunął obok niego.

Deszcz rozpadał się na dobre.

Konstantin musiał się dowiedzieć, co zawiera pendrive.

13

GHOST WALKER

- W porządku, Koni, mów do mnie - Jude Lethe odezwał się do mikrofonu.

Otarł usta wierzchem lewej dłoni i odstawił pustą puszkę po napoju obok chwiejnej piramidy innych pustych puszek.

Pół świata dalej Konstantin Chawin siedział nad czarną kawą w obskurnej kawiarence internetowej. Obejrzał się przez ramię trzykrotnie w ciągu tyluż minut. Jude dostrzegał poważną twarz Rosjanina przez rozmazane piksele z kamery internetowej. Lubił patrzeć na innych ludzi siedzących przed komputerami, zwłaszcza gdy było tak oczywiste, że są kompletnie zagubieni.

- Co mam robić? - zapytał Konstantin, łypiąc na ekran tak, jak mógłby patrzeć na żmiję.

- Będę potrzebował adresu IP terminala, z którego korzystasz - wyjaśnił Lethe, wiedząc, że dla wielkoluda to zabrzmiało jak pokręcona chińszczyzna.

- A w jakimś języku, który rozumiem?

- Zamierzam stąd przejąć kierowanie twoim komputerem, to będzie zupełnie jak magia - powiedział, uśmiechając się szeroko.

- Chyba jesteś totalnym dupkiem, Lethe, czy ktoś ci to kiedyś mówił?

- Jeżeli masz zamiar coś zrobić, rób to do końca, co? Innymi słowy, hakujemy ten komputer, dobrze?

Przeprowadził Konstantina przez całą procedurę, kierując go przez panel sterowania do ustawień sieciowych, aż wreszcie znalazł unikalny adres internetowy komputera. Niecałą minutę później Konstantin przeczytał mu szereg cyfr.

- Doskonale - oznajmił. Wklepał cyfry i uruchomił ciąg komend, które pozwoliły mu przejąć zdalną kontrolę nad komputerem Konstantina. Nie korzystał z wbudowanego asystenta systemu operacyjnego. Jego własny kod był znacznie bardziej inwazyjny. - Wysłałem ci część kodu, Koni. Masz go tylko wykonać, i jedziemy.

- Po prostu mi mów, co robić.

- Naciśnij na uśmiechniętą buźkę, kiedy się pojawi, to wszystko.

Konstantin zrobił, jak mu kazano. Okno drugiego terminala otworzyło się na monitorach piętrzących się przed Lethem. Widział dokładnie to samo, co Konstantin.

- Fantastycznie. Dobrze, włóż pamięć USB, od tego miejsca ja już przejmę dalej.

Kilka sekund później poruszał kursorem i uruchamiał przeglądarkę, żeby zbadać zawartość pendrive'a zdobytego przez Konstantina.

Oczywiście nigdy nie idzie tak łatwo.

W cyfrowym sercu Nonesuch Jude Lethe epatrywał się w klucz szyfrujący, który zastygł mu na ekranie. Jego uśmiech stał się złowrogi, kiedy obraz na ekranie zadygotał i rozpadł się. Okno terminala się zamknęło, połączenie zerwało. To był jego świat. Zbudował kiedyś całą widmową sieć, która pozwalała mu dowolnie przechadzać się tam i z powrotem po korytarzach władzy. Widmowa sieć drażyła dane z komputerów ministerstwa. Gdyby

zechciał, mógłby uruchomić kamery internetowe setek laptopów używanych przez polityków i wysokich rangą urzędników tylko po to, żeby zobaczyć, co akurat robią. Złamanie jedenastocyfrowego klucza nie zajmie mu wiele czasu, bez względu na to, kto go zbudował. Ludzie byli przewidywalni, wykorzystywali imiona ulubionych zwierzaków, przydomki, ulubione książki, rzeczy zapadające w pamięć. Niektórzy usiłowali być sprytni i stosowali losowo wybrane cyfry. Tak czy owak, dla Lethego to było bez znaczenia.

Przywrócił połączenie.

Tym razem nie próbował łamać szyfru w trakcie zdalnego połączenia, tylko uruchomił program do klonowania, tworząc wierną kopię małego dysku pamięci, z szyfrem i wszystkim.

- Mam.

- No i co tam jest napisane? - zapytał Konstantin.

Lethe tak skupił się na ekranie, że zapomniał, że Rosjanin wciąż jest na linii.

- Nie mam pojęcia, ale się dowiem.

- Czy jeszcze czegoś ode mnie potrzebujesz?

- Daj mi dwie sekundy - odparł Lethe, wpisując komendę, która miała wyczyścić dysk pamięci.

Większość ludzi nie zdawała sobie sprawy, że wykasowanie czegoś w komputerze bardzo przypomina użycie gumki do mazania na bloczku papieru - można oderwać kartkę z wierzchu i posłużyć się rysikiem, żeby zaznaczyć odcisk pozostawiony na stronie poniżej. Albo, innymi słowy, usunięcie dokumentu nie sprawiało, że zniknął. Nie, jeśli wiedziało się, jak szperać w cyfrowych plikach. Oczywiście, jeżeli Lethe chciał, żeby coś znikło, to potrafił sprawić, by tak się stało.

Zaprojektował własną niszczarzkę danych. Nie była idealna, ale nie wierzył, żeby znalazł się na świecie programista, który bez kodu odbudowującego zdołałby poskładać Humpty'ego do kupy.

Żeby dokończyć pracę, załadował kod złośliwego wirusa, który spowodowałby mnóstwo kłopotów na pierwszym urządzeniu, którym próbowano by go usunąć. To był jego prezent pożegnalny.

- Dobrze - mruknął. - Jest cały twój, Koni.

Nie powiedział Rosjaninowi, że dysk w jego kieszeni był teraz nieprzydatny, a nawet gorzej. Uznał, że będzie lepiej dla wielkoluda, jeśli pomyśli, że chroni niewypowiedziane sekrety, na wypadek, gdyby ktoś go dopadł. Im mniej będzie wiedział, tym lepiej. Lethe uśmiechnął się demonicznie, kopnięciem odsuwając krzesło. Okręciło się lekko, sunąc na małych kółeczkach. Zakończył połączenie i wyjął słuchawkę bluetooth z ucha.

Pokój był od podłogi po sufit wypełniony rakami z serwerami i napędami, taśmami połączeniowymi, urządzeniami USB i rozpełzającymi się przewodami, które zdawały się zlewać razem w coś w rodzaju groteskowego Transformera.

Lethe sięgnął po pilota i podkręcił głośność na swoim iPodzie. Był on podłączony do drogiego sprzętu nagłaśniającego. Nawet przy jednej czwartej skali głośniki miały dość mocy, żeby ogłuszyć każde żywe stworzenie w promieniu prawie stu metrów od Nonesuch. Pod względem muzycznym Jude Lethe urodził się za późno. Jazzowy refren *I Refuse Hue and Cry* przeszedł w potężny głos Stuarta Adamsona z terkoczącym akcentem z Dunfermline, wykrzykujący w *In A Big Country*. Cała playlista składała się wyłącznie z utworów z połowy lat 80., ale pomijała irytujące popowe przeboje i skupiała się na ponadczasowych melodiach, takich jak *Love is a Wonderful Color* i *Sixty Eight Guns*. To były piosenki, które określały pokolenie.

Wyłamując palce, przeciągnął się na krześle, delektując się głosem nieżyjącego piosenkarza w jego okrzyku bojowym. Pochylił się do przodu, żeby sięgnąć po budzik stojący na półce nad komputerem. Sprawdził godzinę, porównując go ze swoim zegarkiem, i nastawił

na czterdzieści pięć minut, by dodać sprawie smaczku. Odstawił budzik na półkę i przeniósł całą uwagę z powrotem na ekran.

Lethe uruchomił ciąg komend; jego palce stukwały w klawiaturę z rytmiczną gracją. Nie wiedząc nic o kobiecie, która stworzyła szyfr, pędził w algorytmiczną ciemność niczym ślepa mysz.

Tak właśnie lubił.

Odblokowanie sklonowanego dysku wcale nie zajęło mu pełnych czterdziestu pięciu minut. Szyfrowanie nie miało na celu powstrzymania upartego poszukiwacza, tylko zniechęcenie niepowołanych ciekawskich.

Pseudonim kobiety brzmiał Ghost Walker, „duch, który kroczy”. Naprawdę nazywała się Grace Weller. Wszystkie dokumenty nosiły podpis GW. W plikach zakodowane było wystarczająco dużo informacji, by Lethe znał już tę kobietę nie gorzej niż jej własna matka, zanim skończył je drążyć. Nawet jego pobieżne przeszukiwanie ujawniło dosyć, żeby zrozumiał, że Grace w żadnym razie nie była pechową narzeczoną w złym miejscu i o złej porze. O ile się zorientował, sama wszystko zaaranżowała, żeby znaleźć się dokładnie tam, gdzie chciała. Jej urządzenie zostało zarejestrowane jako własność rządu Jej Królewskiej Mości, co oznaczyło, że niemal na pewno była z MI6. Fakt, że ich techniczni spece wciąż nalegali, by prawidłowo rejestrować swoje hurtowe licencje na różne oprogramowania, był lekko zabawny. W latach 90. kluczowe rządowe agencje wołały raczej opracować własne oprogramowanie dla baz danych, księgowości i procesorów tekstu niż kupować je w serwisach. Teraz, tak jak reszta znanego świata, płacili wszechmocnemu Microsoftowi niezłą fortunę za przywilej elektronicznego przechowywania państwowych tajemnic.

Uwzględniając ogromne dossier, jakie Grace zgromadziła na Greya Metzgera, Lethe domyślił się, że Metzger był jednym z ludzi chętnie określanych przez Szóstkę jako „osoby będące przedmiotem zainteresowania”. Był to eufemizm dla głównego podejrzanego o to czy tamto. W tym przypadku Lethe nie miał pojęcia o co, ale odpowiedź prawie na pewno kryła się wśród setek stron słów i liczb, które właśnie odblokował. Znajdzie ją. Na tym polegała jego praca. Inni mogli prężyć mięśnie i spływać potem, odgrywając żołnierzy, lecz to, co działo się w tym małym pokoiku pod Nonesuch, było równie istotne, jak całe to bieganie i walka, rozgrywane tam na górze, w „prawdziwym świecie”.

Sądząc pod datach utworzenia różnych plików, Grace rozpracowywała Metzgera przez blisko trzy lata.

Lethe usiadł wygodniej, rozpatrując w myślach, co ta cenna informacja tak właściwie oznacza w kontekście całego większego obrazu. Wyobrażał sobie życie jako olbrzymią mozaikę złożoną z wielu milionów części, z których każda niosła akcję, reakcję, interakcję, osobę, miejsce, wydarzenie, i dopiero kiedy wszystkie elementy zostały ułożone, to coś zwane życiem zaczynało nabierać sensu. I myślał też, że kiedy w ostatnim momencie istnienia całe życie przelatuje komuś przed oczami, to tak naprawdę oznacza, że nareszcie widzi się całą mozaikę zamiast zaledwie kilku najbliższych elementów.

Fakt, że Grace Weller śledziła Metzgera przez ponad trzy lata, w kontekście całego obrazu oznaczał, że od trzech lat Metzger robił coś wartego obserwowania.

Lethe prędko przejrzał pliki, szukając słów kluczowych, które by przyciągnęły jego uwagę. Były tam raporty z obserwacji Greya Metzgera, zapisy jego czynności przez ponad dwa i pół roku. Były tam setki zdjęć w wysokiej i niskiej rozdzielczości, Zrobionych w zadymionych barach, salach wykładowych, przy zabytkach, na wykopaliskach, w kafejkach i restauracjach; uściski dłoni, pocałunki, obejmowanie. Tym, czego na żadnym ze zdjęć nie robił, było przekazywanie jakichś podejrzanie owiniętych pakunków albo spotykanie się z ludźmi z teczkami na ławkach w parkach w gęstniejącej mgłę. To było życie w obrazkach. Mówiąc ściśle, życie Metzgera wyglądało zupełnie normalnie.

Znajdował się tam zbiorczy dziennik, który obejmował wszystko, w tym listy kontaktów, e-maile, numery telefonów i zapisy rozmów telefonicznych przychodzących i wychodzących. Grace tropiła jego życie ze skrupulatnością, która graniczyła z obsesją.

Aż później, siedem miesięcy temu, nawiązali kontakt.

To wszystko było w jej raporcie.

Uwiodła Metzgera, wślizgując się w jego świat.

Zostali kochankami.

Było coś niewiarygodnie zimnego w sposobie, w jaki o tym wszystkim donosiła, jak gdyby nie wiązały się z tym żadne emocje. Zbliżenie się do Metzgera było pracą, a ona była zdeterminowana, żeby wykonać ją najlepiej, jak była w stanie. Lethe zastanawiał się, jak to jest, gdy się wie życie w taki sposób, w oderwaniu od nawet najbardziej intymnych rzeczy, redukując wszystko do zadań i kłamstw.

Z dokumentacji wynikało, że zamieszkała z Metzgerem trzy miesiące temu - cztery miesiące po pierwszym kontakcie - ale jej obserwacja trwała nadal. Jeżeli coś się zmieniło, to tylko to, że stała się jeszcze bardziej szczegółowa. W połowie jesieni zanotowała swoje obawy, że Metzger ma do czynienia z kimś, kogo nazywała „Mabus”.

To słowo wydawało się jakoś znajome. Lethe wpatrywał się w ekran.

- Mabus - powiedział, smakując na języku jego brzmienie.

Już je wcześniej słyszał. Nie wiedział gdzie, ale z pewnością już je kiedyś słyszał. Znowu wypowiedział je na głos, i trzeci raz, jakby to mogło być jakieś zaklęcie. I było. Nie słyszał wcześniej tego imienia, on je widział, i dokładnie przypomniał sobie gdzie.

Mabus to imię, jakie Nostradamus nadał trzeciemu antychrystowi. Napoleon, Hitler i wreszcie Mabus. Lethe włączył monitory i przeprowadził poszukiwania Mabus, zestawiając go z Nostradamusem. Rezultaty okazały się takie, jakich się spodziewał - strona za stroną domysłów, teorii spiskowych i głupot na temat dojścia do władzy antychrysta, Kodu Mabus, komety Mabus i mnóstwo podobnych bzdur.

Lethe przeczytał oryginalny czterowiersz 62 z centurii 2:

*Mabus wkrótce umrze, a potem nadejdzie
Straszliwa zagłada ludzi i zwierząt,
Nagle nastanie zemsta, sto potęg, pragnienie,
Głód, kiedy przemknie kometa.*

Nie były to precyzyjne oskarżenia - komety, zagłada zwierząt, spragnione potęgi. Wszystko dosyć mgliste.

Większość artykułów, jakie znalazł, odwracały imię Mabus i nazywały tego przekłętą człowieka Sudam, i podobnie jak wtedy, gdy przeinterpretowano Histera z wcześniejszych czterowierszy Nostradamusa tak, by oznaczał Hitlera, zaś Napaulon Roy stał się Napoleonem Bonaparte, zmienili Sudama w Saddama. Stamtąd już tylko mały krok wystarczył, żeby ogłosić egzekucję Hussaina początkiem końca, przepowiedzianym przez Nostradamusa.

Lethe natknął się na inny fragment, czterowiersz 77 z centurii 8:

*Antychryst prędko pokonuje trzech,
dwadzieścia siedem lat wojna jego potrwa,
Ci, co nie wierzą, martwi są, w pętach albo na wygnaniu;
krew, ludzkie truchła, woda i czerwony grad pokrywa ziemię.*

Czytając to, widział całkiem wyraźnie, że wszystkie te tak zwane proroctwa są na tyle ogólnikowe, że można im całkiem zgrabnie przypisać absolutnie każde znaczenie, jeżeli postanowi się doczepić im jakąś interpretację. Dwudziestosiedmioletnia wojna z zemsty za

śmierć Saddama Husseina? Hussein przemieniony w męczennika w oczach arabskiego świata? Czy zamiast zapewnienia pokoju odcięcie głowy temu konkretnemu wężowi może sprowadzić koniec świata? Istniało sporo ludzi, którzy wydawali się tak sądzić. Wskazywali na eskalację ataków terrorystycznych, nękających Zachód w następstwie egzekucji Saddama w ostatnich dniach 2006 roku, ale to nie znaczyło, że mieli rację. Do diabła, to nie znaczyło, że są kimkolwiek więcej niż tylko dziećmi siedzącymi w swoich sypialniach z paroma książkami i fascynacją Armagedonem. Oto uroki Internetu, że dał głos każdemu, nawet jeśli ten ktoś nie ma nic do powiedzenia.

A jednak sama myśl sprawiła, że zimny dreszcz przebiegł po plecach Jude'a Lethego.

Przez następną godzinę zanurzał się w świecie Grace Weller. Z tego, co udało mu się pozbić z jej raportów, ten konkretny Mabus był - przynajmniej w czasie, gdy to pisała - jak najbardziej zdrowy i cały, co stało w sprzeczności z teorią o Husseinie.

Lethe nie potrafił się pozbyć wrażenia, że wszystko to znowu ma związek z Masadą i czymś, co znaleźli tam Grey Metzger i reszta. Ale co łączyło wykopaliska archeologiczne w siedzibie sykaryjskich zabójców, zwiastuna Antychrysta i trzynaście samobójstw? Jedno było pewne cokolwiek to było, Grace Weller wierzyła, że Metzger siedzi w tym po szyję. Zbierała na niego materiały przez trzy lata. To znaczyło, że cała sprawa mogła się ciągnąć nawet dłużej. Być może aż do 2004 roku i wykopalisk w Masadzie? Lethe musiał teraz dowiedzieć się czegoś więcej o tej kobiecie i o tym, nad czym pracowała, a to oznaczało skorzystanie z widmowej sieci do przekopania się przez pliki Szóstki. Jednak najpierw musiał sobie zapalić, żeby uporządkować myśli. Zapowiadała się długa noc.

Lethe wydrukował wszystko dla staruszka. Sir Charles będzie chciał to zobaczyć. Lethe nie mógł się pozbyć myśli, że patrzy na trzy z czterech fragmentów mozaiki, zamiast ujrzeć ją w całej jej świetności. Może staruszek będzie na lepszej pozycji.

Ponownie włożył zestaw bluetooth na jego stałe miejsce w uchu i zadzwonił na górę do sir Charlesa. Max odebrał telefon po drugim dzwonku.

- To nie jest odpowiednia pora, panie Lethe - kamerdyner odezwał się z miejsca. - Sir Charles zażywa swego wieczornego spaceru.

- Powiedz staruszkowi, że muszę się z nim widzieć. Mamy tu taką sytuację, kiedy gównem trafia w wentylator.

- Ma pan taki barwny sposób wyrażania się, sir.

- Po prostu powiedz staruszkowi, że MI6 przez trzy lata miało jednego z naszych samobójców pod obserwacją.

- A gdzie jest jeden, niewykluczone, że są i inni. Zakładam, że takie jest sedno tej wiadomości? - dopowiedział Max, wypełniając luki.

- Dodając do tego, że Koni miał jakieś kłopoty w Berlinie, i że kłopot został zabrany autem dyplomatycznym, powiedziałbym, że sprawy właśnie zaczynają się robić interesujące.

- Natychmiast poinformuję sir Charlesa.

- Tak myślałem.

CZŁOWIEK-ALIGATOR

Orla Nyren wysiadła z samolotu na terminalu numer 3 izraelskiego lotniska Ben Guriona.

Wyszła z klimatyzowanego wnętrza w przywodzący na myśl połowę lat 70. popołudniowy upał Tel Awiwu, i popatrzyła w niebo. Przyjemnie było poczuć słońce. Naprawdę. Minęło sporo czasu, odkąd postawiła stopę na izraelskiej ziemi, ale przez jakiś czas tu był jej drugi dom. Zaczęła schodzić po niestabilnych stalowych schodkach na płytę lotniska.

Załoga naziemna wyroliła się na asfalt, ciągnąc wąż od pojazdu z paliwem w kierunku podwozia G5. Wszyscy byli identycznie ubrani w białe kombinezony i ich wygląd niepokojąco kojarzył się z przystępującym do pracy zespołem ratowników w skafandrach chroniących przed skażeniem. Poruszali się z efektywnością automatów, wykonując każdy swoją część pracy. Najbliższe wyjścia były zajęte przez komercyjne samoloty pasażerskie; flagi na płetwach ogonowych wskazywały na ich przynależność do wielu różnych krajów. Stojący dalej na płycie olbrzymi Airbus 380 kołował w stronę wyjścia. Przy Airbusie wszystkie inne samoloty wyglądały jak zabawki.

Orla poprawiła spódnicę. Jej obcasy zastukały głucho na stalowych stopniach.

Jej eskorta czekała na nią u stóp schodów. Był to przystojny mężczyzna, typowo ciemnowłosy, z oliwkowym odcieniem skóry i starannie utrzymanym dwudniowym zarostem, schludnie przyciętym. Miał na sobie jasny płócienny garnitur i białą koszulę pogniecioną przy kołnierzu. Podał rękę Orli, kiedy dotarła do ostatniego stopnia. Mogła to być niepotrzebna rycerskość albo zaferowany uścisk dłoni, Orla nie potrafiła tego stwierdzić. Zmieniła ten gest w energiczny uścisk dłoni. Jego dłoń zacisnęła się nieprzyjemnie mocno.

- Orla Nyren - powiedziała, schodząc na czarną płytę.

- Uzzi Sokol - odpowiedział jej gospodarz, uśmiechając się blado. - Proszę ze mną. -

Sokol obrócił się na pięcie, nie mówiąc nic więcej, i poprowadził ją w kierunku budynku terminala. Poruszał się z arogancją typową dla wojskowego. Orla musiała iść o połowę szybciej, niż było jej wygodnie, żeby dotrzymać mu kroku, gdy kierował ją w stronę wyjścia dla specjalnej kontroli celnej. Spotykała już wcześniej ten typ mężczyzn z tuzin razy dziennie, gdy działała w tym kraju. To właśnie tą jego arogancją czyniła z niej obywatela drugiej kategorii. Tkwiła głęboko zakorzeniona w męskiej psychice. Był to zwykły rodzaj pseudoseksualnych bzdetów, który doprowadzał ją do wściekłości. Orla знаła tego typu niecałe sześćdziesiąt sekund, a on już usiłował okazać swoją dominację.

Cóż, chrzanić to, pomyślała sobie w duchu, i przestała się starać dopasowywać własny krok do jego tempa. Odwróciła się, żeby rzucić okiem na Gulfstreama G5 należącego do sir Charlesa. Przy Airbusie może i wyglądał jak kawałeczek złomu, ale było to naprawdę imponujące dzieło aeronautycznego wzornictwa. Zobaczyła na schodkach Ryana, jednego z ludzi sir Charlesa. Jego wykrochmalona biała koszula wciąż była nieskazitelnie gładka pomimo długiego lotu, a on sam wyglądał w każdym calu jak ideał eleganckiego pilota. Posłał Orli uśmiech i zasalutował jej dwoma palcami. Odpowiedziała uśmiechem, wiedząc, że te parę sekund, które poświęciła na coś innego niż ściganie Uzziego Sokola, powinno w zupełności wystarczyć, żeby zirytować Izraelczyka. Ale bądź co bądź, taki miała zamiar.

Sokol czekał na nią przy drzwiach dla ochrony. Z trudem udawało mu się maskować zniecierpliwienie. Orla uśmiechnęła się, co wydawało się rozżłościć go jeszcze bardziej. Weszła za nim do wnętrza terminala. Przeszli wąskim szklanym korytarzem. Przez szklane ściany widziała tłumek pasażerów kręcących się w oczekiwaniu na wywołanie ich odlotów. Zanim dotarła do połowy korytarza, rozległy się zapowiedzi w pięciu językach.

Sokol nie odezwał się ani słowem, dopóki nie znalazła się po drugiej stronie odprawy celnej. Dyplomatyczne oznakowanie jej aktówki powstrzymało celników przed zaglądaniem do jej bagażu i oznaczało, że może wwieźć do kraju służbową broń. Sokol zapędził ją do czekającego czarnego mercedesa z insygniami służb wywiadowczych IDF, Heil HaModi'in. Zamknął drzwi i obszedł samochód, żeby wsiąść z drugiej strony.

- Będziemy u generała Caspiego za niedługą chwilę. Mam nadzieję, że miała pani przyjemny lot?

Jeżeli to była próba nawiązania pogawędki, pomyślała Orla, to wyszła raczej mamie.

- Lot był w porządku - odpowiedziała, wyglądając przez okno.

Lotniska na całym świecie niczym się w zasadzie nie różnią, stwierdziła, kiedy samochód minął sznur czekających taksówek. Wąż samochodów pełził w górę po rampie do środka wielopiętrowego parkingu. Szlaban był opuszczony, a znak pokazywał brak wolnych miejsc, więc na każde auto, które dostało się do środka, jedno musiało wyjechać. Poza lotniskiem ulice wyglądały przynębiająco znajomo, ze swoimi niskimi budynkami i fasadami pomalowanymi sprejem. Pięć minut drogi od terenu lotniska minęli mężczyznę sprzedającego jajka z rozchybotanego stolika przy drodze. Dwie minuty później jakaś babcia, której każdy dzień jej trudnego życia wyrwał się głęboko wśród zmarszczek na twarzy, siedziała, sprzedając owoce z naręcznego kosza. Mała dziewczynka na jaskrawoczerwonym rowerku pedałowała co sił; rama roweru kołysała się z boku na bok, gdy mała pędziła w kierunku szeregu zabudowań. Głowę trzymała nisko opuszczoną i nie patrzyła na drogę. Dwukrotnie inni kierowcy trąbili, kiedy już niewiele brakowało, by zajęła im drogę. Budynki, nie miały wspólnego planu. Wydawały się wyrastać z pustyni na chybił trafił, każdy innej wielkości i kształtu. Orla dostrzegała na większości z nich czarne graffiti namalowane sprejem, i rozpoznała słowo Yahweh, jedno z siedmiu imion Boga, powtarzające się raz za razem pośród innych; hebrajskich słów, których nie potrafiła odczytać.

Po kolejnych dwóch minutach domy ustąpiły miejsca przypominającym pustynię polom porośniętym zaroślami. Na jednym z nich baterie słoneczne strzelały w górę niczym kukurydza, a ich szklane panele odbijały światło. Na innym znajdowały się namioty cygańskiego obozowiska. To był Izrael w pigułce, widziany przez kilka krótkich minut, ubóstwo prostych ludzi tuż obok bogactwa nowoczesnego przemysłu.

Kiedy zbliżali się do miasta, Orla poczuła, że samochód zaczyna zwalniać.

Obserwowała krawężnik, na którym żółta i czerwona farba pojawiała się z hipnotyzującą regularnością.

Kierowca zasygnalizował skręt w prawo i zwolnił. Pokonał jeszcze dwa ciasne zakręty. Nad drogą ciągnęły się druty telegrafu. Od miejsca, gdzie ulica się zwężyła, a domy pięły się ku górze po obu stronach nad samochodem, druty były obwieszane praniem.

Następny zakręt sprowadził ich z głównej drogi. Palmy ocieniały boczną drogę prowadzącą na wzgórze. Rozległy teren został oczyszczony i robotnicy budowlani uwijali się tam z dźwigarami, prętami zbrojeniowymi z betonem, kładąc fundamenty pod coś, co niemal na pewno stanie się kolejnym drapaczem chmur dominującym w przestrzeni Tel Awiwu. Orla potrzebowała dłuższej chwili, żeby zorientować się w okolicy. Wiele się zmieniło w ciągu tych paru lat, odkąd była w tym mieście po raz ostatni.

Wjeżdżali na Shaul Hill - Wzgórze Saula. Na wzgórzu nie było żadnych zabudowań IDF, a przynajmniej nie było, kiedy Orla mieszkała w Tel Awiwie. O ile dobrze pamiętała, jedynym wojskowym obiektem na całym wzgórzu był Kiryat Shaul, i nie miał nic wspólnego z wywiadem. Był to cmentarz wojskowy, na którym pochowano między innymi ofiary wojny Yom Kippur.

Popatrzyła pytająco na Uzziego Sokola. Izraelczyk zignorował jej spojrzenie, zapatrzony prosto przed siebie. Wyciągnął rękę i klepnął kierowcę w ramię. Mężczyzna skinął głową i zwolnił, pokazując kierunkowskazem, że skręca w lewo, w bramę cmentarza.

- Dokąd jedziemy? - spytała Orla.
- Na spotkanie z generałem Caspim, takie dostałem rozkazy. Chce pani zobaczyć Akima Caspiego, czyż nie?

- Spotka się z nami na cmentarzu?

- To miejsce równie dobre, jak każde inne w mieście - Sokol powiedział bez najlżejszego śladu rozbawienia. - Chyba że obawia się pani, że błędzące duchy mogą podsłuchiwać rozmowę?

Nic tu nie wydawało się normalne.

Orlą pokręciła głową.

Chwilę później kierowca zatrzymał auto przy centrum dla odwiedzających.

- Jeśli pani tak uprzejma? - odezwał się Sokol, wskazując drzwi.

Orla otworzyła je i wysiadła. Wysoko na wzgórzu słońce piekło tak samo, ale wiatr znacznie obniżał temperaturę. Albo to wiatr, albo powodem był fakt, że znajdowali się na cmentarzu, pomyślała Orla. Sokol skinął na nią, by poszła za nim, i poprowadził ją między grobami.

W końcu zatrzymali się przed niewielkim nagrobkiem. Trawa wokół niego była schludnie przycięta, a w małym szklanym wazonie przy głowie stała świeża wiązanka ze słoneczników. Ktoś najwyraźniej wciąż regularnie troszczył się o ten grób. Orla odczytała nazwisko i datę na nagrobku. Akim Caspi, ukochany ojciec, umiłowany mąż, lojalny sługa narodu. Resztę podstawy pionowej płyty zajmował wizerunek czegoś, co wyglądało jak aligator. Według dat, Caspi zmarł w czerwcu 2004 roku w wieku 56 lat. I jeżeli Lethe miał rację, to znaczyło, że wachał kwiatki od spodu na miesiąc przed dwiema okazałymi wypłatami ubezpieczenia, jakich dokonano w jego imieniu.

- Jest kilku ludzi, którzy chętnie by się dowiedzieli, dlaczego, do cholery, tak pani pilno rozmawiać z nieboszczykiem. Może zechciałaby pani wyjaśnić? - odezwał się Uzzi Sokol.

Podniosła wzrok znad grobu, by zobaczyć, że Izraelczyk wyjął i wycelował w nią swój pistolet Jericho 941. Broń była odbezpieczona i gotowa do strzału, a palec Sokola o włos od naciśnięcia spustu. Ten ruch jej nie zaskoczył. Spodziewała się, że Sokol z czymś się wyrwie, już od chwili gdy spotkała się z nim przy samolocie. Lethe załadował obie strony fotografii, którą Ronan Frost znalazł w Jesmond u Sebastiana Fishera, do pokładowego komputera G51 Narysował czerwone kółko wokół jednej z twarzy. Z tyłu podkreślił nazwisko Akima Caspiego. Druga fotografia, jaką załadował, pochodziła bezpośrednio z akt Caspiego w IDF. Akim Caspi albo przeszedł radykalną operację zmiany wyglądu i jednocześnie odmłodził o dekadę, albo patrzyła na dwóch różnych ludzi. W tym przypadku była całkiem pewna, że chodzi o to „albo”. Zanim samolot wylądował, Orla zrobiła wydruk. Wobec takiego obrotu sprawy cieszyła się, że to zrobiła. Odwróciła się powoli, aż czarne oko pistoletu celowało dokładnie w środek jej piersi.

- Myślę, że broń jest trochę jak ptaszek - powiedziała Orla, nieznacznie wskazując głową w kierunku czarnego wylotu lufy. - Sam fakt, że się go ma, nie oznacza, że należy nim machać dziewczynie przed nosem.

- Urocze. Wybacz pani, że się nie śmieję. A teraz odpowiedź.

- Będzie lepiej, jeśli panu pokażę - stwierdziła. - Zakładając, że nie swędzi pana palec, żeby pociągnąć za spust tego pańskiego przedłużenia męskości, kiedy tylko się poruszę?

- To ryzyko, które musi pani podjąć - odrzekł jej Sokol.

Zinterpretowała jego dziwny ton jako zaproszenie, by go sprawdzić. Poruszając się powoli, Orla uklękła obok walizki i złamała pieczęcie dyplomatyczne. Sokol musiał wiedzieć, że pieczęcie miały na celu tylko umożliwienie jej wwiezienia do kraju swojego kompaktowego Sig Sauera P228.

- Mam tutaj broń - powiedziała, zwalniając zatrzaski i uchylając wieko walizki. - Nie sięgam po nią, tylko po papiery, które muszę wyjąć spod niej

- Niech pani otwiera - rzucił Sokol.

Orla skinęła głową i wstała. Podniosła wieko tak, by walizka otworzyła się zwrócona przodem do Izraelczyka.

- Zdjęcie jest w szarej kopercie pod bronią. Pliki zawierają więcej informacji, ale póki co musi pan zobaczyć fotografię.

Uzzi Sokół sięgnął wolną ręką po walizkę. Jego Jericho ani na moment nie przestało celować w serce Orli. Wyciągnął kopertę spod Sig Sauera i cofnął się o krok, przywracając margines bezpiecznego dystansu między nimi. Orla mogłaby powalić mężczyznę, gdyby miała ochotę, była tego dość pewna. A najlepszy moment, żeby to zrobić, był właśnie teraz, kiedy jego uwagę rozproszyła fotografia z koperty. To byłoby łatwe - cisnąć mu w twarz walizkę, a kiedy odruchowo się cofnie, podciąć mu nogi. Miałoby mniej niż dwie sekundy, żeby go rozbroić, ale nie potrzebowałaby więcej niż jedną. Orla nie miała zamiaru zamieniać tego w walkę. Śmierć Akima Caspiego przyniosła tylko potrzebę zadawania kolejnych pytań, a cały sens jej przyjazdu do Teł Awiwu polegał na znajdowaniu odpowiedzi, a nie na ugrzęźnięciu wyszukaniu prawdy po omacku.

Czekała, aż Sokol wysunie fotografię z koperty.

Sokol przypatrzył się zdjęciu, po czym burknął:

- Czego to niby ma dowodzić?

- To zdjęcie z wykopalisk archeologicznych w fortecy sykariuszy w Masadzie. Zostało zrobione w 2004 roku. Może rozpoznaje pan jakieś nazwiska na odwrocie, nawet jeśli nie ich twarze. Pełno ich było w wiadomościach przez ostatnie parę dni.

Sokol spojrzał na odwrotną stronę fotografii. Pokręcił głową. Potem zastygł, odwróciwszy zdjęcie z powrotem tak, żeby uważnie przyjrzeć się twarzom młodych archeologów. Było wyraźnie widać, że ma problem z połączeniem nazwiska Akim Caspi z twarzą generała broni, pod którym służył.

- To nie jest Caspi - powiedział wreszcie, podnosząc wzrok znad fotografii. - Ale pani to wie, prawda?

Orla przytaknęła.

- Tak, chociaż moi ludzie dopiero co się tego niedzieli.

Sokol wydał dziwny cmokający odgłos, pochodzący z głębi gardła; ponownie mlasnął językiem o podniebienie, kiedy zastanawiał się, co ma powiedzieć.

- To jest ten mężczyzna, z którym chce pani pomówić?

Orla znów potwierdziła skinieniem głowy.

- Dlaczego?

- Pozostali ludzie z tego zdjęcia nie żyją - powiedziała. - Interesują nas okoliczności towarzyszące tym zgonom.

- I uważa pani, że ten fałszywy Caspi może jakoś pani pomóc?

- Coś w tym rodzaju. Chociaż, oczywiście, jeszcze niecałe pięć godzin temu myśleliśmy, że to jest prawdziwy Akim Caspi.

- Skąd mam wiedzieć, że to nie jakiś wymyślny podstęp przygotowany przez wasz rząd?

Orla wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze.

- Wczoraj dokładnie o godzinie 15:00 czasu Greenwich trzynastoro ludzi popełniło samobójstwo w trzynastu różnych miastach Europy.

- Oglądam CNN - odparł Sokol. - Cały świat wie, co się wczoraj wydarzyło, i co się stało dziś rano w Berlinie. To żadna nowość. Dlaczego któreś z tych wydarzeń miałoby obchodzić Izrael?

Wskazała na fotografię.

- Mówi pani, że to zdjęcie tych ludzi, którzy spalili się żywcem? - Nieznacznie zakołysał fotografią.

Orla znowu skinęła głową, tym razem powoli.

- O ile nam wiadomo, wykopaliska w Masadzie to jedyne, co ich łączyło. Miałam nadzieję, że rozmowa z generałem Caspim zdoła rzucić nieco światła na wczorajsze wydarzenia, ale... - Spojrzała w dół, na starannie utrzymany grób, i umilkła.

- Ale powiedziała pani, że to zdjęcie zrobiono ponad pięć lat temu. Dlaczego miałyby pani sądzić, że generał wiedziałby cokolwiek w związku z tym, co zaszło wczoraj? - Uzzi Sokol umilkł i patrzył na Orlę Nyren, naprawdę patrzył. Jego badawcze spojrzenie sprawiło, że poczuła się nieswojo. Pod jego wzrokiem czuła się brudna. - Chyba że i teraz czytam pani dosyć mało subtelne aluzje, sądzi pani, że Izrael stoi w jakiś sposób za tą ostatnią falą ataków terrorystycznych w waszym kraju? Czy to pani sugeruje?

- Niczego nie sugeruję, Uzzi - powiedziała, pierwszy raz zwracając się do niego po imieniu. - Nic nie wiem. Szukam powiązań. Zglądałam w każdy zakamarek. To jedyny sposób. Na moim miejscu zrobiłby pan dokładnie to samo. Niech pan nie udaje, że nie. Masada to jedyny znany punkt w życiu tych ludzi, jedyne miejsce i czas, który wiąże ich wszystkich razem. Co to oznacza, jeżeli to w ogóle coś znaczy, tego nie wiem. Ale jeżeli coś tam zaszło, cokolwiek, co mogłoby nam pomóc połapać się w sytuacji, to ten mężczyzna, kimkolwiek jest, mógłby być kluczem. Wszystkie oficjalne zapisy podają, że to Akim Caspi kierował wykopaliskami. Oto dlaczego chciałam z nim pomówić.

- Nie wydaje mi się, żeby znalazła pani odpowiedź w Izraelu - odpowiedział bez przekonania.

Nie spodziewała się, że powie jej cokolwiek innego. Izrael był krajem tajemnic, a najbrudniejsze sekrety zatrzymywał dla siebie.

- Ale rozumie pan, dlaczego muszę zadawać pytania? - Skinął głową. - Zatem nie zamierza mnie pan zastrzelić?

- Nie dzisiaj. Może jutro, jeśli zacznie pani mącić w moim kraju.

- Niczego nie mogę obiecać - przyznała Orla. - W walizce jest drugi zestaw papierów, zaufa mi pan na tyle, żebym je wyjęła? - Sokol znów skinął głową. Orla wyłowiła z walizki drugą szarą kopertę i wyjęła z niej cienki plik kartek. Wręczyła pierwsze dwie Sokołowi. - W lipcu 2004 roku zostały dokonane dwie znaczne wypłaty dla generała broni Akima Caspiego, jedna przez The Silverthorn Trust, druga przez organizację o nazwie Humanity Capital, „kapitał ludzki”.

- Wypłaty dla wdowy po Caspim, bez dwóch zdań.

- To pasuje. Humanity Capital to międzynarodowy ubezpieczyciel. Specjalizują się w ubezpieczaniu oddziałów w rejonach działań wojennych, w tym między innymi w Iraku i Afganistanie, i mają ścisłe powiązania z ONZ. To rozumieją przez kapitał ludzki. Ale Silverthorn? Do dzisiejszego ranka nasz człowiek nie zdołał znaleźć niczego na temat tego tak zwanego trustu, a proszę wierzyć, że czego Lethe nie potrafi znaleźć, to po prostu nie istnieje. A więc Silverthorn złożył depozyt w kwocie przekraczającej siedemnaście milionów dolarów na tajne konto bankowe Hottinger & Cie, jednym z najstarszych prywatnych banków w Zurychu. Właścicielem konta, otwartego dziwnym trafem trzy dni po własnej śmierci, był niejaki Akim Caspi. - Podała Sokołowi kolejny wydruk.

- Jak to zdobyliście?

- Jak już mówiłam, czegokolwiek Lethe nie potrafi zdobyć, to nie istnieje. Ma smykałkę do wynajdywania tajemnic innych ludzi.

- Widzę - mruknął Uzzi Sokol. - Domyślam się, że ktoś taki jak ten wasz Lethe mógłby być niebezpieczny, gdyby przyszło mu to do głowy. - Zaśmiał się.

Orla nie zaprzeczyła. Wiedziała dosyć o funkcjonowaniu kont numerowanych, żeby wiedzieć, że w niektórych starszych bankach w Zurychu numer to wszystko, czego potrzeba do dokonania wypłaty. Wszystko to stanowiło element nieprzeniknionej dyskrecji systemu bankowego starej szkoły. Niektóre konta były chronione hasłem, ale Orla nie wątpiła, że Jude Lethe potrafiłby je znaleźć równie łatwo, gdyby się do tego przyłożył. To, co robił, było dość

przeróżające, jeśli się nad tym zastanowić. To wykraczało poza naruszanie prywatności, zmierzając w stronę orwellowskiego Wielkiego Brata. Te numerowane konta miały w zamierzeniu być jednymi z najpilniej strzeżonych tajemnic narodu mającego obsesję na punkcie sekretów, a Lethe przeszedł drogę pieniędzy aż do skarbców przy Bahnhofstrasse w ciągu niecałej godziny. Istniały miliony powodów, dlaczego ktoś przy zdrowych zmysłach mógłby odczuwać pokusę, by spróbować szczęścia.

- Jak pan zobaczy, środki wycofano z konta dopiero trzy miesiące temu. Wydaje się, że depozyty wygasły sześć miesięcy wcześniej. Te dziewięć miesięcy bezczynności zakończyły się sześć dni temu, kiedy wpłacono pokaźny depozyt.

Mówiąc „pokaźny”, miała na myśli kolejną ośmiocyfrową kwotę.

Sokol odwrócił stronę i przejrzał rzędy cyfr. Domyślała się, o czym myślał, kiedy wynik okazał się ciągiem cyfr dłuższym niż chroniący go numer konta.

- To nie wygląda jak renta dla wdowy - przyznał. - Przynajmniej nie dla izraelskiej wdowy. Przyznam, że gdyby moja żona miała dostać tego rodzaju sumkę, to bym się w sypialni oglądał przez ramię.

Orla dokładnie wiedziała, co miał na myśli. Na koncie Akima Caspiego znajdowało się dosyć pieniędzy, żeby sfinansować małą wojnę. To ją przerażało. Wydarzenia kilku ostatnich dni nie wydawały się już przypadkowymi aktami przemocy, wyglądały bardziej jak pierwsze salwy wojny. A skoro tak, to jeszcze mniej sensowne wydawało się, że sir Charles postanowił uczynić z tego ich wojnę.

Ktoś miał dostęp do konta i regularnie z niego korzystał, a jeżeli prawdziwy Akim Caspi wahał kwiatki od spodu, jak sugerował nagrobek, to można było się założyć, że ten drugi Akim Caspi z fotografii Fishera to człowiek, który wydaje te wszystkie pieniądze.

Wrona siwa przysiadła na kamieniu obok grobu Caspiego. Orla postanowiła nie traktować tego jak omen.

- Czy mogę o coś spytać, Uzzi?

- Może pani - odparł Sokol.

- Czy naprawdę spodziewa się pan, że uwierzę, że IDF wysłałoby oficera wywiadu na banalną misję taką jak ta, gdyby nie miało już jakichś podejrzeń, co się dzieje z pieniędzmi zmarłego generała?

- Generała broni - Sokol poprawił ją odruchowo.

- To nie zmienia pytania - stwierdziła Orla.

- W przeciwieństwie do tego, co mówi piosenka, pieniądze to jeszcze nie wszystko - powiedział Sokol.

- To brzmi jak odpowiedź, której rozwinięcia chętnie posłucham. Wie pan, kim jest ten mężczyzna, czyż nie?

Zamiast jej odpowiedzieć, Uzzi Sokol powiedział:

- Wiem sporo. Najpierw niech mi pani powie, czy słyszeliście o Krzykach? - Przyglądał się jej uważnie, wypatrując jakichś oznak zrozumienia.

Orla pokręciła głową.

- Nie.

- Zatem musi pani się o nich dowiedzieć.

Sokol podrapał się po karku, jak gdyby coś go ugryzło. Wydawało się, że przerwało mu to tok myśli.

Patrzyła na niego, oczekując, że Sokol będzie kontynuował, ale on wyraźnie nie był w nastroju do zwierzeń.

- No to proszę mi opowiedzieć o Krzykach - odezwała się, nakierowując go w stronę smakowitego kaska, którym nęcąco pomachał jej przed nosem.

Spojrzał na nią.

Niebo nad nimi wypełniło stado wędrownych ptaków w drodze ku polom Europy po zimie spędzonej w ciepłej Północnej Afryki.

- Nie tutaj - obejrzał się przez ramię, jakby spodziewając się, że martwi mogą ich podsłuchiwać.

Orla podążyła za jego wzrokiem. Stara żydówka układała kwiaty na grobie swego syna żołnierza.

Wyjmuję broń z pani walizki. Na nic się nikomu nie zda.

15

NIE PIJ TEJ WODY

Patrzył, jak kobieta pije.

Botticelli bez wątplenia uznałby ją za doskonałą. Kiedy się pochyliła, jej kruczoczarne włosy spłynęły kaskadą, okalając jej twarz. Jej piersi wylewały się bielą ponad obszytą czerwoną koronką górną krawędzią stanika. Podobał mu się ten widok. Zawsze miał słabość do kobiet o pełniejszych kształtach. Było coś w tym nadmiarowym ciele, co obiecywało obfitość, tak jakby było go tam dla niego pod dostatkiem, by mógł się w nim zatracić. Kobieta miała na sobie cienką bawełnianą bluzkę, która zrobiła się przezroczysta od potu, opinając się na krągłościach jej ciała. Lubował się w ciele. Na nieszczęście dla niej, na świecie istniało coraz mniej mężczyzn takich jak on, a ideały piękna poszły naprzód. Piękno było teraz szczuplejsze i bardziej przypominało dzieło sztuki, anorektyczne zamiast bujne. Wszystko opierało się na odrzucaniu krągłości, uczynieniu piękna asekualnym, chłopięcym. To, co było piękne dla dawnych włoskich mistrzów, w tym nowym świecie zakrawało na otyłość. Smucił go tego rodzaju świat, który nie potrafił rozkoszować się doznaniem zapadania się w tę ciepłą miękkość, jaką mogło zaoferować tylko duże ciało.

Rzym kochał swoją wodę jeszcze bardziej niż Wenecja. Były fontanny - konie w di Trevi, Cztery Rzeki Berniniego na Piazza Navona, trójząb Neptuna na Piazza del Popolo, Fontanna Ksiąg, Nosiwoda na Piazza Venezia, Tryton - i były źródła oraz fontanny z wodą do picia. Każda miała ujęcie wody, każde ujęcie napełniało butelki turystów i łagodziło pragnienie, kiedy słońce przypiekało mocniej. Wiosną w Rzymie królowały odgłosy wody lejącej się z fontann, ludzi śmiejących się, gdy odwracali się plecami do di Trevi i rzucali monety przez ramię, mając nadzieję na nowy romans, obiecany przez Maggie McNamarę w *Trzech monetach w fontannie*. Zastanawiał się, ilu z tych marzycieli wie, że aktorką skończyła martwa po celowym przedawkowaniu? To ujmowało nieco blasku hollywoodzkiej bajce.

Patrzył, jak kobieta odchodzi od fontanny z wodą pitną. Odgarnęła sobie włosy z czoła, a widząc, że się jej przygląda, uśmiechnęła się. Jej policzki były lekko zaróżowione od wiosennego słońca. Taki był teraz Rzym. Kilka lat temu istniały cztery wyraźne pory roku, teraz były dwie, z paroma granicznymi tygodniami, mieszającymi mróz i żar. Miała cudowny uśmiech. Uśmiech, który pobudzał jego umysł tak samo, jak jego ciało. Lekko skinął głową z uśmiechem zrozumienia.

Co za szkoda, że ona jest już martwa, chociaż właściwie nie czuł z tego powodu żalu. Pomyślał, żeby podejść tam i ją pouwodzić. Wiedział, że udałoby mu się to. Wtedy mógłby z nią być, kiedy umrze. Mógłby obserwować to ostatnie piękne westchnienie, gdy życie opuści jej boskie ciało. Mógłby dzielić tę najbardziej intymną chwilę, ten ostatni oddech. Mógłby widzieć lęk w jej oczach, gdy podniosłaby na niego wzrok, widzieć przerażenie i nieuchronność, gdy się podda. Mógłby się do niej uśmiechnąć, być może dotknąć jej policzka. Pocałunkiem zetrzeć łzy strachy wiedząc, że jednego słodkiego dnia dał jej zarówno *la petit*

mort, jak i *la grande mort*. Dobrze posługiwał się słowami i wiedział co pragnie usłyszeć większość kobiet, jak muskać łagodnie palcami miejsca, których większość mężczyzn nie dotyka, bo są zbyt leniwi, i jak zastosować delikatny nacisk, żeby zwrócić kobiecie usta ku sobie. Wiedział, jak uwodzić, jak grać zarówno na próżności, jak i na niepewności, a co ważniejsze, widać było, że on to wie. Podobnie jak ona, został pobłogosławiony klasycznymi rysami, lecz dla mężczyzn ideał piękna pozostał niezmienny od stuleci, był więc tak samo urodziwy dzisiaj, jak byłby w czasach renesansu. Jeszcze jedno małe okrucieństwo tego rządnego przez mężczyzn świata.

Towarzystwo jej dwie inne kobiety, obie szczuplejsze, według nowej skali piękna ładniejsze. Domyślał się, że jego zainteresowanie ucieszyło ją po prostu dlatego, że przywykła do bycia pomijaną wśród przyjaciółek. Posłał jej całusa z drugiego krańca brukowanego placu.

Kiedy spojrzął ponownie w stronę fontanny z wodą pitną, jakiś ojciec pokazywał małej córeczce, jak wystawić język, żeby złapać krople.

W ciągu godziny dwieście osób napiło się z tej jednej fontanny - studentów, turystów, miejscowych, mężczyzn i kobiet wszelkich typów i rozmaitej urody, oraz dzieci. Podobało mu się patrzeć, liczenie ich, gdy garbili się nad ciekącym kranikiem.

Zrezygnował z siedzenia i ruszył na spacer, a wszędzie, dokąd się udał, zamiast podziwiać barokową wspaniałość Berniniego czy Lombardiego, Peruzziego albo Michała Anioła, patrzył na ludzi przystających, żeby się napić, i zanosił milczącą modlitwę dziękczynną do tego z bóstw starego panteonu, które akurat tego dnia sprowadziło palące słońce.

Dominico Neri wpatrywał się w zegar. Przez cały dzień dokonywał w głowie obliczeń - liczba sekund na godzinę, liczba sekund, kiedy Rzym będzie skąpany w słońcu, liczba sekund, kiedy miasto będzie lśnił jak alabaster w blasku księżyca. Liczył uderzenia własnego serca, łomoczące mu w piersiach, wiedząc, że to jego własny zegar. Nie miało znaczenia, który z nich go prześladował, oba sprawiały, że czuł się jak Neron z tymi jego cholernymi skrzypkami. Żeby całkiem pomieszać mitologię, przez cały dzień chodził z mieczem Damoklesa wiszącym nad jego pochyloną głową. Ale pomijając to wszystko, zostało niecałe czterdzieści pięć minut do chwili, gdy dzisiaj oficjalnie stanie się wczoraj, a Rzym nadal będzie stał.

Odczuwał ulgę, kiedy zegar odmierzał każdą kolejną sekundę, a w centrum koordynacyjnym nie rozpętywało się piekło. Na jego biurku piętrzył się stos raportów, zeznań świadków i wszystkiego, co tylko udało mu się wyciągnąć z akt pasujących do obaw Anglika. Neri posiadał szósty zmysł do wyczuwania kłopotów, a Anglik był kłopotem. Znał ten typ; Noah Larkin mógł nie być sprawcą, ale wyglądał jak człowiek nawykły do chodzenia ręką w rękę ze śmiercią. Fakt, że Neri nie był w stanie znaleźć niczego poza zapieczętowanymi aktami Larkina z wojska i że każde pytanie trafiało na przysłowiowy mur milczenia, tylko umacniał ten niepokój. Tak samo żadne z jego poszukiwań Ogmiosa nie przyniosły sukcesu, ale tutaj wcale się go nie spodziewał.

Jego pytania bez wątpienia podniosły gdzieś alarm, i tak samo pewne, że obserwatorzy zwrócili teraz uwagę na niego, zastanawiając się, kim on do cholery jest, że pyta o Ogmiosa i Noaha Larkina. To były uroki tego tajnego świata. A Neri nie miał złudzeń, że natknął się tu na jakiś sekretny świat. Nie wierzył, że Noah Larkin zajmuje się odzyskiwaniem mienia ani trochę bardziej niż w to, że Święty Mikołaj to pulchny siwy facet, który zatruwając przypomina wyglądem Boga. Neri był grzecznym włoskim chłopcem, wierzył w zbrodnię, korupcję i kuchnię swojej matki, ale poza tym wszystko podawał w wątpliwość.

Wszystko, co na razie mógł zrobić, to przyjąć słowa Larkina za dobrą monetę.

A to znaczyło, że w ciągu następnych czterdziestu pięciu minut w Rzymie zaczną umierać ludzie.

Nie wiedział, czego się spodziewać. Nikt nie wiedział. Miał ludzi pracujących na ulicach, szukających podejrzanego działania, ale jak u diabła można rozpoznać potencjalnego terrorystę, kiedy wygląda jak najzwyklejszy człowiek?

Ci faceci nie przechadzali się po okolicy ze słowem „Dżihad” wytatuowanym na czole. Byli normalnymi ludźmi - no cóż, na zewnątrz wyglądali na normalnych. Nie było nie normalnego w ich psychice. Byli niebieskookimi blondynami; byli śniadoliczymi Włochami o niedogolonych twarzach, niebezpiecznych uśmiechach; byli studentami uniwersytetów i biznesmenami. Wszystko, czym nie byli, to karykaturami Bin Ladena opatulonymi od stóp do głów w pustynne szatki, z iskrą obłędu w oczach.

Kolejny raz popatrzył na zegar. Czterdzieści trzy minuty. Pragnął wierzyć, że nic się nie wydarzy, że Noah mylił się w swojej ocenie zagrożenia dla Rzymu. Neri wciąż uczył się nowych rzeczy o sobie. Dzisiaj się powiedział, że z natury jest pesymistą.

Czterdzieści jeden minut.

Upił łyk kawy, której pozwolił już wystygnać na biurku, przez to zaniedbanie nie smakowała ani odrobinę lepiej.

Dwie godziny wcześniej Neri podjął ryzyko. Wykorzystał przysługę, umawiając dla Larkina spotkanie z wielobnym Giannim Abandonato. Monsignor nadzorował prace przy kilku świętych tekstach i był jednym z trzech archiwistów, którzy blisko współpracowali z Nickiem Simmondsem w ciągu dni poprzedzających jego samobójstwo. Jeżeli ktokolwiek miał jakieś podejrzenia co do stanu umysłu zmarłego, to byłby to Abandonato. Neri odstawił styropianowy kubek. Potrzebował znów się napić, żeby splukać smak kawy z ust. Obrysował kółkiem nazwisko Abandonato w notesie przy telefonie. Po łacinie znaczyło „opuszczony”; osobliwe nazwisko dla człowieka wiary, ale może po prostu to świadczyło, że Ojciec Święty ma takie samo pokręcone poczucie humoru, jak zwykły śmiertelnik.

Rina Grillo wsunęła głowę do pokoju.

- Musisz to zobaczyć - odezwała się.

Nie spodobał mu się sposób, w jaki to powiedziała, zwłaszcza, że tylko trzydzieści dziewięć minut pozostało do jutra i do bezpieczeństwa.

- O co chodzi? - spytał, ciężko wstając z krzesła.

Przeszła przez pokój i podała mu akta, które trzymała w ręku.

- Szpital San Gallicano w Trastevere właśnie zgłosił trzeci zgon w ciągu godziny, ich zdaniem to mogło być zatrucie talem.

- Talem?

- Trucizna arystokratów, wyrafinowana rzecz. Była popularna w czasach renesansu. Ulubiona trucizna Medyceuszy. To nie jest „przyjemna” trucizna - wruszyła ramionami, prawie jakby zakłopotana myślą, że może istnieć coś uważanego za „przyjemną” truciznę. - Symptomy obejmują wymioty, utratę włosów, ślepotę, bóle brzucha, potem zaburzenia pracy mózgu, i przed śmiercią ofiara ulega halucynacjom.

Neri spojrzął na zegar. Troje martwych ludzi to jeszcze nie tak źle, wzięwszy pod uwagę, jak wczoraj ucierpiał Berlin. Z trzema ofiarami będzie mógł żyć, nawet jeśli symptomy ich śmierci były tak straszliwe, jak to opisała Grillo. Gdy tylko ta myśl przemknęła mu przez głowę, poczuł się winny. Następne zdanie Grillo przypieczętowało to poczucie winy i dobry katolik w Dominico Nerim nie mógł nie pomyśleć, że Bóg go za nią karze.

- Sprawdziłam inne przyjęcia do szpitali, i mamy doniesienia o ponad pięciuset przyjętych w dalszych dzielnicach tylko w ciągu ostatniej godziny. Największym skupiskiem wydaje się Torrenova, Acilia, Rebibbia, Primavella i San Lorenzo, ale nie jestem pewna, czy to nam właściwie coś daje.

- Daje nam jakiś punkt zaczepienia, od którego można zacząć szukać - odpowiedział Neri, wiedząc, że to nieprawda, i że wszystko, co osiągną, przysłuży się tylko ich własnemu poczuciu, że coś robią. - Jak można otruć pięćset osób w mieście takim jak Rzym, żeby nikt nie zobaczył? - mruknął bardziej do siebie niż do Riny Grillo.

- Woda - odpowiedziała. - To jedyny sensowny sposób. Zatrzuwa się dostawy wody jakimś roztworem halogenku metali ciężkich, śmiertelnym nawet w małych dawkach. A gdy słońce przypieka, ludzie piją, i im więcej wypiją, tym gorszą będą mieli śmierć. To czyste zło, Neri.

Pomyślał o implikacjach tego, co sugerowała. Nie zamierzał się z nią spierać. To było zło, najczystsze z jakim się zetknął. Od jak dawna woda była zatruta? Ile czasu potrzeba, żeby pojawiły się symptomy? Czy ci ludzie zostali otruci jeszcze przed samobójstwem na Placu św. Piotra? I implikacje towarzyszące temu tokowi myśli - ilu jeszcze ludzi napiło się zatrutej wody? Ilu jeszcze jest już martwych, choć o tym nie wie?

Zastygł w chwili, gdy już miał wypić kolejny łyk zimnej kawy. Jej smak nie był wart, żeby za niego umierać. Pomyślał o całej tej kawie, jaką wypił przez ostatni tydzień. Podobnie jak większość Włochów, przyjmował kofeinę dożylnie. Cisnął styropianowy kubek do kosza pod biurkiem. Ręce mu dygotały. Neri nie miał pojęcia, czy to jeden z symptomów otrucia talem, czy po prostu jeden z bardziej banalnych ubocznych skutków strachu. Bał się, i teraz nie tylko o miasto. Teraz jego strach miał nazwę, symptomy i patologię. A co najgorsze, miał śmiertelne żniwo.

Trzydzieści sześć minut.

Byli tak blisko.

16

DŁUGA NOC

Ronan Frost spojrzął w górę na olbrzymi wizerunek dziewczynki w czerwonej sukience z boku budynku. Aura smutku otaczała ją samą i zabawki porzucane u jej stóp. Górowała nad Frostem, co najmniej dziesięć razy większa od niego. Nie pojmował, jak pracował artysta, ale, doceniał końcowy efekt. Wokół jej stóp leżały rozsypane zabawki, albo przynajmniej tak to wyglądało na pierwszy rzut oka. Jednak to nie były zabawki, wszystko to były polityczne deklaracje, połamane podstawy państwa i społeczeństwa, rozrzucone wokół stóp rozpieszczonego dziecka. Frostowi nie podobało się to malowidło. Za bardzo przypominało mu o podobnie rozczarowanej sztuce ulicy, zdobiącej Falls Road w Belfaście, a to obudziło inne wspomnienia, których nie miał ochoty odświeżać.

Dalej wzdłuż ulicy widniały typowe symbole gangów i swastyki wymalowane sprejem na zawilgoconych murch. Obok dziewczynki w czerwieni swastyki wydawały się nieskończenie bardziej infantylne, jak dzieci bawiące się w politykę i wrzeszczące po to tylko, by wrzeszczeć, lecz niemające nic do powiedzenia.

Ronan Frost odnalazł osiem z trzynastu domów ofiar. Za każdym razem ta sama historia. Mieszkania zostały przetrząśnięte. Zostały ślady po rodzinie, ale nie dało się znaleźć żadnej rodziny, i każde z tych miejsc wskazywało, że opuszczono je w pośpiechu. Pozostało nietknięte jedzenie i pleśń na talerzach przed telewizorami. W jednym z domów odtwarzacz DVD w kółko odgrywał te same bezmyślnie radosne trzydzieści sekund muzyki. Frost wiedział, że gra tak co najmniej od tygodnia. To cud, że ta nieustająca szczęśliwość nie doprowadziła sąsiadów do obłądu. Chociaż domy zostały przeczesane, wciąż znajdowały się w nich przedmioty wiążące wszystkich tych ludzi z pobytem w Izraelu. Frost głowił się nad

tym. Jeżeli nie usiłowali ukryć powiązania z Masadą, to co starali się ukryć? Jaki był cel przetrzęsania domów, jeśli nie wyczyszczenie ich ze śladów wszelkich związków z wykopaliskami? To było dobre pytanie.

Frost skontaktował się z Lethem, sprawdzając najnowsze raporty od innych. Trudno było prowadzić operację w czterech krajach naraz. Im szybciej znowu zbiorą się razem, tym lepiej. Mieli jednak ograniczone zasoby, z których największe braki stanowiła liczebność. Nie byli armią. Nie byli w stanie wysłać w teren tuzina agentów. Za to mieli Lethego. Leth szybko i naszkicował mu sytuację. Rzym padł, co znaczyło, że słusznie wytypowali te pierwsze dwa cele, ale dalej brnęli na ślepo. Jutro to może być dowolne z jedenastu miast.

Ze wszystkiego, co opowiedział mu Leth, to los Grace Weller, agentki MI6, która wśliznęła się w życie samobójcy z Berlina, zainteresował go najbardziej. Niemal na pewno już nie żyła, ale zdołała zostawić im ślad, niczym Małgosia podążająca za czarownicą w gęsty las. Dokumentacja na tym I dysku USB była jej okruszkami chleba. Innymi słowy, Grace Weller stanowiła konkretny ślad. Istniała. Miała akta osobowe. Miała biurko, dom, wszystkie te rupiecie życia. Mogła spędzić lata na obserwowaniu Greya Metzgera, ale to nie znaczyło, że spędziła te lata, nie bywając w domu. Frost musiał się dowiedzieć, gdzie mieszkała, musiał wiedzieć, dla kogo dokładnie pracowała. Musiał porozmawiać z jej kontaktem tu w Wielkiej Brytanii. Musiał wiedzieć, co robiła w Berlinie. I wreszcie musiał wiedzieć, dlaczego Szóstka wytypowała Greya Metzgera jako osobę, którą się zainteresowała. Czy Metzger w jakiś sposób znajdował się w środku tego wszystkiego? Mniej jako ofiara, a bardziej jako organizator?

Nie potrzebował mówić Lethemu, żeby kopał dalej.

O świcie dowiedzą się wszystkiego, czego można się dowiedzieć o tej kobiecie.

Ale do świtu zostało jeszcze sporo czasu, a on miał do odwiedzenia dziewiąty dom.

Porozmawiał z sąsiadami, starając się zbudować obraz kilku ostatnich dni ofiary, ale to byli miastowi. Miastowi zajmują się sobą. Nie było tak, jak piętnaście lat temu, kiedy wszyscy wiedzieli, co kto robi. Teraz drzwi się zamykały, a co się działo za nimi, można się było tylko domyślać. Chodzenie od drzwi do drzwi było stratą czasu. Nawet jeżeli ktoś coś widział, udawał chwilową ślepotę. Nie było już poczucia obowiązku wobec społeczeństwa. Nie było już nawet mleczarza dzień w dzień rozwożącego dostawy. Wszystko stało się takie anonimowe.

Szedł ulicą. Mocniej opatulił się kurtką. Nocny chłód dawał mu się we znaki. Nie czuć było, że nareszcie nadeszła wiosna. Miało się poczucie, że zima zabiła wszelki ślad budzącego się ciepła. Sznur samochodów parkował wzdłuż ulicy, zderzak przy zderzaku. Nie było kosztownych sportowych wozów w długim ciągu fordów, fiatów, mazd i citroenów. To wszystko były praktyczne auta. Żadne z nich nowe.

W tej części miasta nowy samochód przegrywał z potrzebą nakarmienia rodziny.

W większości domów były nad drzwiami skrzyneczki alarmów. Można się było założyć, że połowa z nich to tylko atrapy. Taka okolica.

Frost wypatrywał drgnięcia zasłony, nalepki straży sąsiedzkiej w oknie, czegokolwiek, co by sugerowało ciekawskiego sąsiada, który mógłby zauważyć coś odbiegającego od normy. Ale zasłony były zaciągnięte, a światła przygaszone. Ludzie nie wyglądali na ulicę, bo wiedzieli, że nie przyniosłoby im to nic dobrego. Ronan Frost szedł środkiem ulicy, wdychając woń miasta. Mógł prawie poczuć w głębi gardła feromony niebezpieczeństwa. To miejsce miało więcej wspólnego z Belfastem z czasów, gdy Ronan był dwudziestolatkiem, niż tylko graffiti.

Odliczał numery na drzwiach, aż dotarł do zielonych drzwi dziewiątego domu. Okna były ciemne. W pęknięciach na chodniku rosły chwasty, a naga żarówka przed wejściem była stłuczona. Ulica się zgadzała, dom też, ale całkowicie się różnił od wszystkich ośmiu pozostałych, które Frost odwiedził. Inne mieściły się w lepszych dzielnicach różnych miast,

były to droższe domy na dobrze się zapowiadających przedmieściach albo w samych centrach miast, ale nie ten. To miejsce trąciło biedą. Frost mógł wyczuć desperację pelzającą mu po skórze jak roztocza.

Oczywiście plusem takiej ulicy był fakt, że skoro zasłony nie drgnęły, bardzo wątpliwe też, by ktoś wezwał policję.

Podszedł do drzwi, wyjął Browninga z kabury przy pasku i rękojeścią stłukł małe okienko. Wybił ostre szklane kolce pozostałe po pierwszym uderzeniu i sięgnął do zamka.

Zakładał, że zasuwka nie będzie zamknięta, jeśli mieszkańców zabrano w pośpiechu. Nie pomylił się. Drzwi stanęły otworem.

Frost wszedł do środka, zamykając drzwi za sobą.

Pierwsze, co go uderzyło, to zapach.

Zakrzuszył się i musiał pokonać chęć wymiotowania, bo odór był tak intensywny.

Znał tę woń. Tylko jedna rzecz na świecie tak cuchnie - niedawna śmierć.

Wycieraczkę przykrywała nieotwarta poczta z co najmniej tygodnia oraz gazety. Ronan przyklęknął i naliczył osiem dni nieprzeczytanych dzienników. A zatem dziewięć dni temu mieszkańcy tej małej trypokojowej szeregowki pośrodku kiepskiej dzielnicy zostali uprowadzeni. Atmosfera tego miejsca, nawet po ciemku, była inna. Frost nie zapalił światła, wchodząc; przesuwając palcami po ścianie, by mieć pewność, że się nie potknie. Wymacał koniec balustrady i ostrożnie wspiął się po schodach. W domu panowała cisza. Im wyżej wchodził, tym zapach stawał się gorszy. Światło księżycza wlewało się srebrzyście przez okno na górze, rzucając długie smugi blasku między cieniami domu pogrążonego w ciemności. W tym świetle dostrzegł zawijasy na tapecie, która wisiała tu od połowy lat 70. poprzedniego stulecia. Wydawała się szorstka i gruba pod jego palcami.

Usłyszał własny oddech i uświadomił sobie, że wraz z każdym stopniem na piętro stawał się płytszy i gwałtowniejszy. Frost wiedział, co tam czeka. Ale to nie znaczyło, że mógł po prostu odwrócić się i popędzić do domu numer dziesięć. W rzeczywistości fakt, że wiedział, co tam na niego czeka, oznaczał, że jeszcze ważniejsze jest, by stawić temu czoło. To było dokładnie to, po co przyszedł - dowód.

Jego pierwszą myślą, gdy już dotarł na piętro, było, że coś tu nie gra. Brakowało równowagi otwartej przestrzeni. Nie chodziło o feng shui, to było coś bardziej instynktownego i proroczego. Ludzie aranżują przedmioty w swoim życiu w pewien sposób, tak żeby było wygodnie i funkcjonalnie. Ustawienie mebli powtarza się. Ronan mógł wejść do pokoju na ślepo i wiedzieć, jeszcze zanim przekroczył próg, jak urządzono 90% tych pomieszczeń. Coś było nie tak z przedpokojem na pierwszym piętrze. Brakowało równowagi. Sekundę zajęło mu uświadomienie sobie, dlaczego. Krzesło, które powinno stać pod właściwym kątem w miejscu, gdzie balustrada stykała się z wnękową szafą w odległym końcu korytarza, zostało wywleczone tak, że częściowo blokowało dojście do łazienki. Było odwrócone tyłem do niego. Próbował wyobrazić sobie walkę, która je obróciła. Na ścianie naprzeciwko pojemnik na pościel miał gęściejszą plamę cienia po stronie najbliższej Frosta, co znaczyło, że nie został prawidłowo dosunięty do ściany. Oczywiście wyobraźni Frost ujrzał obraz osobę, która leżała na plecach, miotając się, gdy wleczono ją w kierunku schodów. Potrafiła krzesło i usiłowała się go złapać, gdy odwróciło się od ściany. Kopnęła prawą nogą, starając się znaleźć jakieś podparcie, kiedy wypuściła z rąk krzesło. Scena mogła nie rozegrać się dokładnie tak, lecz on wiedział, że wyglądała na tyle podobnie, by nie robiło to różnicy.

Deski w podłodze jęknęły pod jego ciężarem.

Ruszył w kierunku pierwszych z trojga drzwi, tych do mniejszej sypialni. W świetle księżycza nie potrafił powiedzieć, na jaki kolor ją pomalowano, ale nad dziecinnym łóżeczkiem wisiała karuzela ze słonikami, tukanami i innymi egzotycznymi zwierzętami, a na większej części podłogi wałały się przytulanki i pluszowe misie. Nie było śladu niemowlęcia. Wiedział, że to tylko krótki moment błogosławionej ulgi, jaki będzie mu dany, nim opuści ten

dom. Miał pełną świadomość statystyk - 90% wszystkich porwanych ofiar ginęło w ciągu trzydziestu sześciu godzin od uprowadzenia. W tym domu nie zanosilo się na żadne szczęśliwe zakończenie.

Ciało znajdowało się na łóżku w drugim pokoju. Leżała rozciągnięta na pościeli. Jej krew zmieniła barwę nakrycia na ciemną. Czarne plamy pełzały po jej twarzy, brzuchu i nogach - muchy. Już zaczęły składać w niej jajeczka. Za dzień lub dwa jej ciało będzie pełne robaków.

Frost zakrył nos i usta, po czym wszedł do pokoju. Z tak bliska odór wyciskał mu łzy z oczu.

Nie została tylko zabita, ona została rozpruta. Dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści cięć; nie dało się stwierdzić, gdzie jedna rana się kończy, a zaczyna następna. Nachodziły na siebie i krzyżowały się. Frost nie chciał myśleć o szale, jaki musiał kierować napastnikiem. Nikt nie zasługiwał, żeby umierać w tak wielkim bólu. Patrzył na nią, rozciągniętą na łóżku, odartą z godności tak samo, jak z życia. Niemożliwe, by nie cierpiała. Walczyła i trzeszczała przy każdym cięciu noża, aż jej organizm wyłączył się od doznanego wstrząsu.

Mógł tylko myśleć, że kiedyś zapewne była piękna, ale już nie jest.

Spoglądał na wrak ciała, które dziewięć dni temu było żoną i matką, i miał chęć coś roztrzaskać.

Kontynuował obchód pokoju. Jak na taki ogrom przemocy, niewiele rzeczy w pokoju leżało w nieładzie. Nie było śladu po dziecku. Czy to jego użyli jako haka na faceta, by go zmusić do spalenia się żywcem? Zamordowali mu żonę i porwali dziecko? Czy może myślał, że oboje wciąż żyją? Czy sądził, że podpalając się, ratuje ich?

Oczywiście, że tak. Jak inaczej można zapewnić sobie posłuszeństwo faceta? Zabij mu żonę, a on przez cały czas będzie myślał, jak ci dołożyć, jak się zemścić, nawet jeśli życie jego dziecka od tego zależy, bo przecież nie jest głupi i wie, że skoro zabiłeś jedno, zabijesz i drugie, kiedy tylko on da ci to, czego chcesz. A więc nie, facet musi myśleć, że jego żona i dziecko są bezpieczni. Biedaczyna poszedł na śmierć, sądząc, że kupi za to ich życie.

Telefon komórkowy kobiety leżał na nocnym stoliku. Ronan próbował go włączyć, ale bateria się rozładowała. Otworzył klapkę i wyjął baterię, by móc się dostać do karty SIM.

Frost przycisnął palec do słuchawki w uchu i wybrał automatyczne wybieranie numeru. Lethe odpowiedział po pierwszym sygnale.

- Czego |i potrzeba, szefie?

- Zrób dla mnie tę sztuczkę z kartą SIM, ostatnie połączenie wychodzące, ostatnie przychodzące.

Wyrecytował mu trzy ciągi cyfr wydrukowane na odwrocie karty i czekał, podczas gdy Lethe odprawiał swoje czary. Zajął mu to dwie minuty. W tym czasie Frost rozejrzał się po pokoju. Nawet nie licząc zwłok na łóżku, był to bardzo smutny pokój; białe wbudowane szafy na ubrania po bokach łóżka, od ściany do ściany i aż do sufitu. Otworzył parę szafek i szufladę nocnego stolika. W żadnej z nich nie było niczego szczególnie niezwykłego, ubrania i drobiazgi poutykane w szufladach na zapomnienie. Czytała Agathę Christie. Nigdy się nie dowie, kto zabił, pomyślał Frost. Podszedł do okna i wyjrzał na ogród na tyłach domu. Słowo „ogród” było lekką przesadą. Był to skrawek ziemi z popękanymi płytkami chodnikowymi i zaniedbanym zielskiem, ogrodzony gnijącym drewnianym płotem, pomalowanym błyszczącą białą emulsją. Sztachety wyglądały jak zastygły uśmiech szczerzącej się do niego kostuchy.

- Dobra, no to jedziemy - Lethe odezwał się w jego uchu, przerywając ten makabryczny tok myśli. - Ostatnie połączenie przyszło z telefonu komórkowego zarejestrowanego na niejakiego Milesa Devere'a. Rozpoznajesz nazwisko?

- Nic mi nie świta - odpowiedział Frost, szukając tego nazwiska w zakamarkach pamięci. - Sprawdź go jednak, tak na wszelki wypadek.

- Zrobi się. Dobrze, teraz ostatnia rozmowa wychodząca... O, to ciekawe - Lethe urwał. Frost usłyszał odgłos jego palców szybko uderzających w klawisze. - Ostatnio dzwoniło do

Nicholls Tobacco Warehouse, magazynu przy Canning Docks. A co w tym takiego ciekawego - już słyszę, jak pytasz? Otóż miejsce to zostało opuszczone w 1983 roku i przeznaczone do rozbiórki w 2006. To ruina. Była taka kampania w latach 90., starali się powstrzymać pisanie tych wszystkich starych budynków wzniesionych w czasach rewolucji przemysłowej. Nazywało się to „Powstrzymać upadek”. Narobili sporo hałasu wokół zachowywania naszego dziedzictwa, ale nie wydaje mi się, żeby odnieśli wielkie sukcesy. Na pewno nie w tym przypadku. Nicholls ma zostać rozebrany i zastąpiony przez luksusowe apartamenty. Telefon został podłączony na nowo dwanaście dni temu. A więc zadaj mi zagadkę, szefie - dlaczego rozpadający się budynek nagle potrzebuje działającego telefonu?

- Doprowadzenie linii do biura na terenie budowy, kiedy szykują się do rozbiórki - Frost powiedział.

- Och, no dalej, zepsuj całą zabawę swoją pragmatyczną odpowiedzią, bo czemu nie?

Z zewnątrz Frost usłyszał dopplerowsko narastający i opadający dźwięk syren radiowozów pędzących przez noc. Mogły się znajdować dalej niż cztery czy pięć ulic od niego i zbliżały się z każdą chwilą. Oparł się pokusie, by rzucić się do ucieczki. Nie jechali po niego. W tej części miasta syreny były równie powszednie, jak jedzenie na wynos. Bez namysłu potrafił podać z tuzin powodów, dlaczego mogliby jechać gdziekolwiek, byle nie tu, do tej trzypokojowej szeregówki z martwą kobietą rozciągniętą jak dziwka na zakrwawionej pościeli. Ale z każdym uderzeniem serca syreny stawały się głośniejsze i Frost już wiedział, że każdy z tego tuzina powodów to pomyłka.

- Ok, Jude. Chyba mam małe kłopoty - powiedział, podchodząc do drzwi. Syreny nie mogły być dalej niż na sąsiedniej ulicy. - Powiedz mi, że nie jadą tutaj. Skłam, jeśli musisz.

- Naprawdę chcesz, żebym skłamał? - Frost usłyszał w jego głosie wesołość. Lethe za dobrze się bawił. - Niech ci będzie, trzy radiowozy z całą pewnością nie zostały wysłane na Halsey Road 11, do ostatniego znanego miejsca pobytu niejakiego Tristana Jamesa, jego żony Wilmy i ich ośmiomiesięcznego synka, Marcusa. Nie ma żadnej policji w drodze. Możesz rozsiąść się wygodnie i pooglądać telewizję. Nie ma się wydarzyć absolutnie nic emocjonującego.

- Nie jesteś zbyt przekonującym kłamcą - mruknął Frost.

Drzwi na dół otworzyły się.

Frost wycofał się do pokoju. Jakkolwiek by na to spojrzeć, perspektywa bycia znalezionym w domu z martwą dziewczyną nie wyglądała dobrze. Powoli przeszedł w stronę okna.

- Czy możesz zobaczyć, co tam jest?

- Za dwie sekundy będę mógł.

Frost nie wiedział, jak Lethe zrobił to, co zrobił - zapewne podpiął się do satelity wojskowego albo dokonał czegoś równie nielegalnego i przerażającego. Chłopak miał dryg do techniki. Wszystko, co w tej chwili tak naprawdę liczyło się dla Frosta, to że Lethe był jego oczami i uszami. Bez niego nie byłby w stanie wydostać się z domu.

- Podaj mi ich pozycje - szepnął do mikrofonu, ledwie ośmielając się wypowiedzieć słowa na głos.

Spróbował otworzyć okno, ale było zaklejone farbą na amen. Pchnął ramę, lecz nie było mowy, by się poddała, nie czyniąc przy tym piekielnego rumoru. Ostatnie, czego pragnął, to powiadomić wszystkich w domu, gdzie się dokładnie znajduje.

Ostrożnie wrócił do drzwi sypialni, z całych sił starając się równo rozkładać ciężar ciała, żeby deski nie zdradziły go skrzypnięciem. Słyszał ich teraz, kręcących się na dole, przeszukujących pomieszczenia. Ich głosy brzmiały nerwowo, byli nakręceni, gotowi do walki. Rozmawiali głośno, ostro rzucając polecenia jeden drugiemu. Nie było szans, żeby to mogło się dobrze skończyć. Będą nasłuchiwać najdrobniejszego odgłosu w domu. Wyliczył

sobie, że ma najwyżej minutę, zanim wejdą na górę. Dom nie był duży i nie było w nim wiele miejsc, żeby się ukryć. Nie potrwa długo, nim przeczeszą parter, a biorąc pod uwagę przenikliwy odór, wszyscy już wiedzą, że w domu jest trup. Spodziewają się znaleźć zwłoki. Nie spodziewają się zastać tam jego. Jeżeli ich wystraszy, może się skończyć marnie.

- Lethe - wysapał - proszę, powiedz mi, że nie wysłali Grupy Szybkiego Reagowania.

- Żadnych spluw - uspokoił go głos w słuchawce.

Jeden powód mniej do zamartwiania się. Usłyszał ich ciężkie kroki na schodach.

A to znaczyło, że ma mniej niż pół minuty, żeby wydostać się z domu. Nie mógł tak po prostu zbiec ze schodów i dalej przez frontowe drzwi, nieważne jak bardzo pociągała go prostota tego planu. Dopadliby go, zanim znalazłby się w połowie schodów. Naprawdę nie miał ochoty tłumaczyć, co robi w domu. Ale z drugiej strony, naprawdę nie chciał do nikogo strzelać. Chodziło więc o to, by nie dać się złapać.

- Trzy wozy na ulicy od frontu - Lethe szepnął mu w ucho. Frost omal się nie roześmiał z teatralnych zapędów młodszego mężczyzny. Tak jakby to Lethe stał nad zwłokami, odgradzony od pół tuzina policjantów tylko paroma centymetrami drewna i gipsu. - Dwóch ludzi ciągle na zewnątrz. Jeden obchodzi dom, idzie do tylnego wejścia. To znaczy, że trzech jest w środku.

Trzy to nie była dobra liczba.

- Robię się za stary na to gówno - szepnął Frost, rozmasowując sobie czoło. - Możesz coś zrobić? Odciągnąć ich uwagę?

Nie czekając na odpowiedź, przeszedł przez korytarz. Zignorował pokój dziecka; tam okno wychodziło od frontu. To pozostawiało łazienkę, która, jak się spodziewał, miała maleńki świetlik, który nie był ani użyteczny, ani ładny. Frost zaczął sięgać po broń, gotów utworować sobie drogę pistoletem, jeśli będzie trzeba, kiedy zobaczył krzesło w połowie drogi do łazienki. Raz jeszcze uderzyło go jego dziwaczne ułożenie. Spojrzał w górę. W suficie bezpośrednio nad nim znajdowała się kłapa prowadząca na mały stryszek. Miała ledwie tyle wysokości, żeby mógł się precyzyjnie przeczesać przez właz. Nie miał wielkiego wyboru. Albo to, albo zaszarżować w dół po schodach, wymachując pistoletem i trafiając prosto do wieczornych wiadomości.

Frost usłyszał, jak na dole otwierają się tylne drzwi.

Gliniarze zakończyli pierwsze przeszukanie.

Teraz rozmawiali. Mógł słyszeć każde przytłumione słowo, jakie wypowiadali.

- Sprawdź na górze - powiedział jeden z nich.

Frost słyszał trzaski z radia. Wysłali raport o sytuacji: na dole czysto.

Frost nie czekał na odgłos pierwszych kroków na schodach. Stał na krześle i sięgnął w górę. Przyłożył dłoń do drewna i lekko pchnął, podnosząc kłapę ledwie na parę centymetrów, i odsunął ją na bok. Poruszając się błyskawicznie, chwycił krawędzie włazu i podciągnął się, chowając nogi w dziurze akurat w chwili, gdy usłyszał ciężkie tupanie policjanta na schodach. Nie miał czasu na pełne zasunięcie kłapy z powrotem. Mógł jedynie ułożyć ją w poprzek tak, że zasłaniała większość otworu, i mieć nadzieję, że nikt nie spojrzy w górę. Frost położył się na plecach w ciemności, nasłuchując odgłosów poszukiwał dochodzących z dołu. Krzesło stało bezpośrednio pod kłapą, ale na to nic nie mógł poradzić, więc nie warto było się tym przejmować. Leżał na plecach z Browningiem przyciśniętym do piersi.

- Och, słodki Jezu - usłyszał; potem mężczyzna zwymiotował.

Więcej kroków na schodach, tym razem biegnących ludzi. Frost zaryzykował przeturlanie się na bok i przyłożenie oka do szczeliny. Niewiele mógł zobaczyć przez wąski otwór - ramię jednego z umundurowanych funkcjonariuszy i kawałek pleców drugiego.

- Wierz mi, naprawdę nie chcesz tam wchodzić.

- Cholera - mruknął inny, wycofując się z pokoju.

Frost nie śmiał oddychać. Wystarczyło tylko, żeby któryś z nich zdał sobie sprawę, że krzesło stoi nie na swoim miejscu, i spojrzął w górę. A ponieważ Frost nie miał odwagi oddychać, zapach torował sobie drogę do jego płuc, usiłując go do tego zmusić. Ronan zamknął oczy, modląc się, żeby zeszedli na dół. Nie mógł się wечно ukrywać na tym stryszku, a wkrótce całe to miejsce będzie się roiło od techników i śledczych. Jeden z nich popatrzy w górę. Zobaczą, że kłapa jest przesunięta, a on nie mógł absolutnie nic z tym próbować. Próbował myśleć. Jego odciski znajdowały się w całym domu, ale nie dotykał kobiety ani łóżka. Jednak dotykał okna, jej telefonu, klamki przy drzwiach. Czy dotykał poręczy? Czy dotykał czegoś na dole? Sklął sam siebie, że był takim idiotą.

- Co za zwierzę mogłoby zrobić kobiecie coś takiego?

To było cholernie dobre pytanie.

Frost spędził dosyć czasu w towarzystwie zabójców, żeby wiedzieć, że tego rodzaju morderstwo wymagało podsycającej jej nienawiści. Tu nie chodziło o samo zabijanie. Użycie noża czyniło je czymś intymnym. Zadanie ciosu lub dwóch było trudne, było się zmuszonym do patrzenia w oczy swojej broniącej się ofiary, ale czterdzieści czy pięćdziesiąt cięć? Rozpłatanie kobiety, jakby była jakimś medycznym eksponatem? To była bardziej autopsja niż zabójstwo. To wymagało furii.

- Vince - odezwał się jeden z głosów poniżej. - Lepiej rzuć na to okiem.

Wyszli z jego pola widzenia. Byli teraz w pokoju dzieciennym.

Frost obliznął wargi.

Ciemność ponad nim wypełniał odgłos jego oddechu. Wydawał mu się tak głośny, że Ronan nie mógł uwierzyć, że na dole go nie słyszą.

- Teraz byłaby naprawdę dobra chwila na tę cholerną dywersję - wychrypiał Frost.

Słowa zabrzmiały jak modlitwa.

Lethe go wysłuchał.

17

SPAL TEN DOM

Pierwsza syrena zawyła niemal natychmiast.

Druga i trzecia rozległy się ledwie sekundę później. W ciągu niecałych pięciu sekund wył już każdy alarm na ulicy. Połowa skrzynek mogła być tylko na pokaz, ale druga połowa wystarczyłaby, żeby obudzić umarłego. Po trzydziestu sekundach alarmy połączyły się w jednolitą ścianę dźwięku.

- Co to za hałas, do diabła? - odezwał się jeden z mundurowych.

- Nie jestem pewien, sierżancie. Brzmi jak alarmy antywłamaniowe.

- Chcesz mi powiedzieć, że każdy dureń na tej ulicy jest właśnie okradany? Nie podoba mi się to, Idź i sprawdź, Hollis.

Ronan Frost usłyszał, jak tupanie jednej pary ciężkich butów oddała się w dół schodach. Czyli nadal pozostało dwóch mundurowych na piętrze. To już lepsza liczba.

Mógłby prędko uporać się z dwoma, gdyby musiał. Jednak przy odrobinie szczęścia nie będzie takiej potrzeby.

- Co tam się dzieje, u diabła? - Frost zdał sobie sprawę, że mundurowy rozmawia przez radio. Nie mógł słyszeć, co odpowiedział trzeszczący głos. Ani przez chwilę nie wątpił, że Lethe może namieszać w ich częstotliwościach, jeżeli będzie chciał. Skoro chłopak zdołał uruchomić każdy cholerny alarm antywłamaniowy w promieniu kilometra, to pewne jak

śmierć, że potrafi zagłuszyć sygnał radiowy. - Powiedz to jeszcze raz! - powtarzał policjant, krzyżąc, żeby usłyszano go wśród kocięj muzyki alarmów.

Po prostu zejdź na dół i sprawdź to, Frost w myślach zachęcał mężczyznę do zrobienia tego, co do niego należy.

Mieli tu zwłoki, ale jedną niepodlegającą dyskusji cechą nieboszczyków było to, że nie wstaną i nie pójdą sobie, chyba że to film Romero. Ona nigdzie się nie wybierze. A to na zewnątrz mogło być pierwszą salwą trzeciej wojny światowej, jeśli miałby oceniać ten harmider. To policjanci. Ich obowiązkiem było tam pójść i to zbadać.

Frost czekał, licząc rytmiczne łup-łup łup-łup swojego serca.

Ulica za; ulicą, coraz więcej alarmów rozbrzmiewało, jakby utworzyły swój własny groteskowy chór w całym mieście. To było pandemonium. Ronan wciąż się nie poruszał. Czuł dreszcz oczekiwania, narastające w nim napięcie, desperacko pragnące uwolnić się w wirze działania. Czekał dalej, leżąc na plecach, nasłuchując kakofonii. To była muzyka dla jego uszu. Prosił o odwrócenie uwagi i Lethe je zapewnił. Frost mógł sobie wyobrazić ludzi wysypujących się z domów w piżamach, przecierających zaspane oczy i zastanawiających się, co tu się, u diabła, dzieje.

Przy odrobinie szczęścia za parę minut będzie mógł niezauważony wyslizgnąć się na dół i na zewnątrz przez tylne drzwi. Nie będzie musiał być Harrym Houdinim, żeby zniknąć w tłumie obudzonych obywateli, narzekających na ten cholerny hałas.

Usłyszał więcej kroków na schodach.

Trudno było stwierdzić, czy to jeden mężczyzna, czy może obaj schodzili na dół.

Frost odczekał, aż kroki ucichną, po czym powiedział szeptem:

- Odezwij się, Lethe.

- Możesz mi podziękować, kiedy tylko zechcesz. Nie, nie, poważnie. Kiedy zechcesz. Żyję, by służyć.

- Dobra, dobra, po prostu gadaj, co widzisz.

- Pięciu stróżów prawa stoi dokoła, kompletnie zagubionych. Chyba ich skołowałem.

Albo to, albo cały ten hałas przeciąża im ścieżki nerwowe i ich mózgi się wyłączyły, żeby się chronić.

- Czyli że żadnego nie ma w domu - mruknął zamyślony Frost, ignorując wszystko po słowie „pięciu”.

- Bystrzak z ciebie, szefie.

- Przypomnij mi, po co cię trzymamy?

- Ponieważ jestem genialny, oczywiście, i dlatego, że bez mojej technomagii spędziłbyś spory szmat najbliższej przyszłości na wikcie Jej Królewskiej Mości. Miło się gada i w ogóle, ale może byś się stamtąd zabierał w cholere, Frosty?

Frost schował pistolet do kabury.

Sięgnął do jednej z krokwi, chwycił się obiema rękami i cicho dźwignął się na równe nogi. Stał nad klapą okrakiem. Z powodu ciasnoty nie mógł się całkiem wyprostować. Pochylił się, wsuwając palce pod drewnianą płytę, a następnie bardzo ostrożnie ją odsunął. Chór alarmów zagłuszył skrzypnięcia i szuranie drewna, kiedy odkładał klapę na bok. Frost widział pod sobą oświetlony korytarz. Położył się na brzuchu nieznacznie wychylił przez otwór, żeby zobaczyć, na czym wylądował.

Ostatni mundurowy wciąż stał w drzwiach sypialni, nie mogąc oderwać wzroku od obrazu kaźni na łóżku. Bardzo możliwe, że biedak nigdy wcześniej nie widział zwłok. Fakt, że te pierwsze wyglądały jak jedna z ofiar Andrieja Czikatilo, rozciągnięta na własnym łóżku, nie pomógł jego umysłowi przyswoić sobie horroru tej sceny. Ale pomógł Frostowi.

Odetchnął głęboko raz i drugi, uspokajając się, zanim powoli i bezgłośnie opuścił się na dół. Frost oparł cały ciężar ciała na przedramionach, niczym gimnastyk na poręczach. Kiedy jego ramiona zrównały się z łokciami, każdy mięsień w jego rękach zaczął gwałtownie drżeć.

Spodziewał się, że policjant będzie łkał, ale on tego nie robił. Frost obrócił się lekko, pozwalając, by ciężar ciała pociągnął go jeszcze trochę w dół, aż poczuł, że mięśnie ramion i górnej części pleców zaraz się zerwą, po czym cicho opuścił się do końca na podłogę za plecami mundurowego.

Sięgnął ręką do pasa i wyjął pistolet z kabury.

Zrobił dwa kroki po grubym dywanie, szybko zbliżając się do policjanta na nie więcej niż pół kroku. Nad ramieniem mundurowego zobaczył sam siebie w lustrze na ścianie nad łóżkiem. Oczy policjanta rozszerzyły się, zaczął się odwracać. Frost się nie zawahał. Trzasnął mundurowego pistoletem w bok czaszki, zwalając go na podłogę jak wór ziemniaków. Miał do wyboru to albo wpakować mu kulkę w skroń. Pochwycił upadającego mężczyznę, gdy nogi ugięły się pod nim, i łagodnie ułożył go na podłodze.

Frost zbiegł po dwa i trzy stopnie naraz, po czym na parterze zastygł, zbity z tropu chwilowym niezdecydowaniem.

- Co za bajzel. Ten facet widział moją twarz, a moje odciski palców są w całym domu - powiedział, spoglądając na swoją lewą dłoń, wciąż spoczywającą na ozdobnej rzeźbionej gałce w kształcie żółdzia u dołu poręczy.

- Trzy możliwości - głos Lethego natychmiast odezwał się w jego uchu. - Weź zmiotkę do kurzu, pobaw się w chemika albo spal to miejsce. To całkiem proste, wierz mi. W każdej kuchni jest zawór gazowy i dosyć środków wybuchowych, żeby rozwalić czołg. Upieczesz dwie pieczenie na jednym ogniu, bo nie będzie naocznego świadka ani odcisków. To zadziwiająco łatwe, potrzebujesz tylko trochę smalcu, środka do czyszczenia w granulkach i przewodu z gazem. Dwie minuty i pożar będzie nie do opanowania. Albo mogę sprawić, żeby wyglądało, jakbyś nigdy nie istniał. Żadnych odcisków palców, żadnych akt z wojska, niczego. Przeszanieś oficjalnie istnieć w ciągu dwudziestu sekund. Twój wybór.

Frost zobaczył twarze przesuające się w wybitym kwadracie małego okienka w frontowych drzwiach. Tamci nie mogli go widzieć, ale za pięć sekund tu wróca.

- Chryste, koszmarny drań z ciebie - mruknął.

Nie wątpił, że dzieciak jest w stanie zetrzeć z powierzchni ziemi wszelki ślad jego istnienia tak łatwo, jak twierdził.

- Obi Wan dobrze mnie wyszkolił, ale to ty jesteś moim panem, Frosty. A skoro jesteś moim panem i władcą, czuję się w obowiązku przypomnieć, że pora brać tyłek w troki i zniknąć stamtąd.

Ronan Frost wiedział, że to słuszna rada. Odwrócił się i zaczął biec. Za sobą usłyszał otwierające się frontowe drzwi. Nie ryzykował oglądania się do tyłu, wiedząc, że to może oznaczać różnicę między wydostaniem się z domu lub nie. W biegu pchnął tylne drzwi. Na zewnątrz panował chaos. Alarmy wyły, ludzie krzyczeli, zdezorientowani i zaniepokojeni. Frost nie zwolnił tempa, gdy przecinał maleńkie podwórze na tyłach domu, i rzucił się na malowany płot.

Uderzył najpierw w drewniane zęby roześmianej kostuchy prawą nogą, potem chwycił górną krawędź rękoma i jednym płynnym ruchem dźwignął się ponad ogrodzeniem. Opadł po drugiej stronie i stał tam przez moment, z plecami przyciśniętymi do płotu, rozglądając się na lewo i prawo.

Monster czekał zaparkowany parę ulic dalej.

- Wszystkie dostępne auta zostały wysłane w twoją stronę, szefie. Za parę minut w całej okolicy będzie gęsto od stróżów prawa.

To nie musiało stanowić problemu. Nie mieli nawet pojęcia, że mają go szukać. Wiedzieli tylko, że mają zwłoki i mnóstwo hałasujących alarmów. Frost nie miał na sobie żadnych śladów krwi i poza przebywaniem w złym miejscu w całkowicie złym czasie nie zrobił niczego złego. Nic dobrego by mu jednak nie przyszło z kręcenia się tutaj. Ruszył w kierunku odległego końca alejki biegnącej między wąskimi szeregowymi domkami. Ludzie

zaczęli się gromadzić u wylotu alejki i na rogach ulic. Nikt nie miał bladego pojęcia, co się dzieje. Nocny chłód zmuszał ich do ciągłego ruchu, gdy starali się zachować ciepło. Niektórzy ubrali się w pośpiechu, narzucając płaszcze na piżamy. Inni byli w dżinsach i kurtkach, i wszystkim, co składało się na ich normalny dzienny ubiór. Na odcinku niecałych sześciu metrów Frost minął wszelkie ludzkie typy, od anorektyków po brzuszyska wylewające się z nad gumek przyciasnych spodni od piżamy. Od wysokich jak Lurch po niskich jak Kuzyn Coś. Pod dostatkiem było tam też wujków Festerów. No i oczywiście zabójczo piękna Mortida z ufarbowanymi na czarno włosami, mnóstwem kolczyków i gotycko obrysowanymi oczyma, która nie miała prawa mieszkać pośród tej menażerii miejskiego życia. Frost uśmiechnął się do niej, ryzykując gniew jej prywatnego Gomeza. Charles Addams byłby dumny, jak doskonale jego kreskówki uchwyciły ten wycinek dystopijnych szczęśliwych rodzin, nawet teraz po tylu latach. Wszyscy wylegli na ulice i nikt z nich nie wyglądał w tej chwili na zadowolonego z życia.

- Ostatnia sztuczka - Lethe odezwał mu się w uchu.

Frost nie miał pojęcia, co to miało znaczyć, dopóki pierwsze światła nie eksplodowały, rozsiewając szklany prysznic. Wszystkie żarówki wybuchały jedna po drugiej w krótkich odstępach czasu, co brzmiało jak seria strzałów z dubeltówki. Okruchy szkła spadały niczym kolczasty deszcz. Frost siedł środkiem ulicy, czując się jak jakiś mroczny mściciel, który zszedł z ekranu wprost z filmu klasy B. Lethe śmiał mu się do ucha. Ulicę ogarniała ciemność, która dogoniła go i popędziła przodem. Po trzydziestu sekundach gwiazdy stały się nagle o wiele wyraźniejsze, gdyż w całym mieście nie świeciła się już ani jedna uliczna lampa.

- Nie chcę wiedzieć, jak to zrobiłeś - powiedział Frost.

- Kłamca - odparł Lethe. - Ale nie martw się, zdradzę ci sekret. Ja tylko przekierowałem trochę prądu. To zdumiewające, co można zrobić z komputerem. Przeładowałem transformatory i coś musiało paść. Żarówki są skonstruowane tak, żeby wybuchać, to tańsze niż zastępowanie całej sieci elektrycznej. Przynajmniej nieźle wyglądało, prawda? Przyznaj mi chociaż to.

- Wyglądało nieźle - zgodził się Ronan Frost.

Zobaczył dwóch policjantów wysiadających z radiowozu.

Podszedł do nich, udając zaciekawionego mieszkańca.

- Czołem, chłopcy - zawołał. - Co się dzieje?

- Nic, czym mógłby się pan martwić, sir - powiedział niższy z dwóch mundurowych, zatraskując drzwiczki samochodu. Zamknął je. Zaufanie do bliźniego najwyraźniej nie dotarło jeszcze do lokalnych sił policyjnych.

- Trochę ciężko tu wytrzymać, brzmi jak koniec świata - Frost szeroko rozłożył ręce, ogarniając całą tę kakofonię.

- Taaak, jakaś przerwa w sieci wywołała spięcie we wszystkich obwodach alarmów. Nie żebym się na tym znał, ja tylko robię, co szef mi mówi - wyjaśnił wyższy, uśmiechając się niemal porozumiewawczo.

- Aha - mruknął Frost, jak gdyby wszystko było jasne. - No to dobrej nocy, chłopcy.

- Wzajemnie.

- Wiecie, jak to mówią, już taki nasz los.

Ruszył na poszukiwanie Monstera.

Znalezienie magazynu nie było trudne. Tak samo, jak dostanie się w jego pobliże. Wejście do środka to już inna historia.

Nabrzeże Canning Docks było jednym z kilku nad rzeką. Dawno temu rzeka była sercem miasta. Dopóki rzeka rozkwitała, miasto rozkwitało wraz z nią. To była symbioza. Każdy import i eksport przechodził gdzieś przez nabrzeże. Olbrzymie żurawie nadal górowały w

krajobrazie nad brzegami rzeki, ale teraz to były tylko relikty minionej epoki, kiedy mężczyźni w tym kraju żyli z pracy rąk, a w przemyśle dominowały stocznie, kopalnie i stare rzemiosła.

Upłynęły dziesięciolecia, odkąd nad rzeką zbudowano ostatni statek. Podobnie dziesięciolecia minęły, odkąd mężczyźni w tym mieście chadzali z wysoko uniesionymi głowami, rozpierani dumą i poczuciem spełnienia. Teraz to ich drużyny piłkarskie nadawały im ich tożsamość i poczucie własnej wartości. Wraz z upadkiem tradycyjnych gałęzi przemysłu wielu mężczyzn, wówczas po czterdziestce, już nigdy więcej nie pracowało, aż wreszcie poumierali odarci z godności, pokonani przez życie. Oczywiście powstały inne branże, takie, w których ci mężczyźni musieli nauczyć się odbierać telefony i obsługiwać komputery, robić tego rodzaju rzeczy, jakie niegdyś zwykli robić dziewczęta w biurze. Nie wytwarzali rzeczy. Nie produkowali. I dlatego nie byli szczęśliwi.

Po lewej stronie drogi dojazdowej żelazna brama stalowni zamknęła się po raz ostatni piętnaście lat wcześniej. Teraz olbrzymia skorupa budynku była w trakcie przekształcania na luksusowe mieszkania dla dzieciaków mających za dużo pieniędzy i za mało rozumu. Magazyny, które tworzyły trzon ważnej branży, zostały zabite deskami, a ich okna pozasłaniano. Bez wątplenia w środku powyrywano deski z podłogi, a ołowiane i miedziane rury zostały wyciągnięte i sprzedane na czarnym rynku. Canning Docks był jednym z pięciu doków, które porzucono. Rzeką nie płynęło już dość towaru, żeby utrzymać w ruchu wszystkie jedenaście doków. Młyn nie miał już mąki; boczna ściana budynku reklamowała się jako The Oxo Gallery. Kiedy Frost dorastał, Oxo produkowało sos w granulach. Wydało mu się dziwne, że teraz przemianowano ją na arbitra w dziedzinie piękna.

Frost zwoznił na Ducati do skromnych 25 km/h, wlokąc się przez labirynt alejek wokół doków. Miał wrażenie, że jedzie przez postapokaliptyczną pustynię. Żaden z budynków nie przetrwał nietknięty. Ściany pękały. Cegły pokrywał pył. Dźwigi mogłyby być pnącymi się w niebo egzozkieletami marsjańskich machin bojowych. Asphalt miejscami przechodził w zbitą ziemię. W szczelinach zaczynało rosnąć zielsko; natura odbierała tę część miasta dla siebie. Frost słyszał uderzenie o brzeg i cofanie się fal na rzece. Dostrzegł przed sobą sylwetkę Nicholls Tobacco Warehouse. Swego czasu musiała to być imponująca budowla. Teraz było coś tragicznego w jej kształcie na tle nieba. Pomimo swoich rozmiarów, pomimo wspaniałej symetrii murów z czerwonej cegły i swojej historii budynek był tak samo zbędny, jak ludzie, którzy tak ciężko pracowali, budując statki, przesuważąc kontenery, wykuwając metalowe blachy i mieląc mąkę. Był reliktem innej epoki. A więc być może to dobrze, że dostanie nowe życie, pomyślał Frost, zwalniając przy bramie.

Ostentacyjnie wielka kłódka mocowała łańcuchy zabezpieczające bramę. Ronan uznał to za ironicznie zabawne. Ogniwa łańcucha można by rozerwać gołymi rękoma przy odrobinie determinacji, ale kłódka była nie do sforsowania.

Jak na budynek, który rzekomo miał być opuszczony, od i do bramy prowadziło mnóstwo śladów opon. Frost jechał dalej. Miał złe przeczucia co do tego miejsca i nie planował wchodzenia od frontu.

Znalazł ciemny zakamarek na uboczu, niewidoczny z okien magazynu, i zaparkował motor. Zdjął kask i zawiesił go na kierownicy. Zadzwoił do Lethego.

- No to co możesz mi powiedzieć o tym miejscu?

- Niewiele, szczerze mówiąc. Jak już mówiłem, jest przewidziane do przebudowy.

Kieruje nią niejaki Miles Devere. Tak, ten sam Miles Devere, którego numer był ostatnim, spod jakiego dzwoniło na komórkę żony Jamesa. A więc mamy tu uroczy zbieg okoliczności.

- Nie istnieje coś takiego, jak zbieg okoliczności, mój ty promyczku. To co mamy, to powiązanie. Możemy nie widzieć obu końców układanki, ale mamy kawałek ze środka. Powiedz mi coś więcej.

- Devere Holdings spija śmietankę z tuzina miejsc w całym mieście. Ten gość to jakiś magnes przyciągający nieruchomości. Skupił już sporo starych magazynów i zabudowania młyna przy dokach, nie tylko sam Canning Dock. Złożył w Wydziale Planowania projekt rozwoju całego osiedla Docklands Village. Mówimy tu o wielomilionowych inwestycjach w rewitalizację obiektów i odnowę terenu.

Otrzymuje też ogromne dotacje od władz. Kupił zabudowania Nicholls za symbolicznego jednego funta i obietnicę zainwestowania w miejscową siłę roboczą przy jego odbudowie. Ten jeden funt przyniósł mu już ponad trzydzieści trzy miliony w formie pomocy rządowej, a on nie musiał nawet kiwnąć palcem.

- Chyba pokocham wielki biznes - Frost powiedział. - Zatem co, jeśli w ogóle coś, ten Miles Devere ma z tym wspólnego?

- Może nic, jak już mówiłem, to mógł być zwykły zbieg okoliczności. Nadal szukam powiązania między Tristanem Jamesem a Devere'em. Musi jakieś istnieć, ale jak na razie nic nie mam.

- Być może Devere go wynajął, żeby coś wykopał? - zastanawiał się Frost, myśląc na głos. - Jaki inny pożytek deweloper mógłby mieć z archeologa?

- Szukanie pirackiego okrętu zagrzebanego w błocie nad brzegu rzeki? - odparł Lethe, śmiejąc się.

- Niekoniecznie.

W oddali Frost usłyszał szczekanie psa. W chwilę później zobaczył ciemną sylwetkę mężczyzny i jego psa, przechodzących przez zasłane gruzem podwórze budynku Nichollsa. Latarka mężczyzny chaotycznie omiatała ciemność. Nie widział nadjeżdżającego Monstera, ale jego pies wychwycił zapach Frosta. Zwierzę wiedziało, że nie powinien tutaj przebywać. Frost odsunął się kawałek od motoru, przykucając nisko, żeby jak najmniej rzucać się w oczy. Szczekanie psa stawało się coraz bardziej agresywne, im bardziej zbliżał się do siatki. Ronan miał dwa wyjścia - wskoczyć na motor i wiać stąd albo uciszyć psa. Przycisnął się do betonowego filara. Patrzył, jak snop światła przemyka po ziemi. Pies, ostonosy doberman, szarpał smycz, napierając się łapami. Frost przesunął się za filarem, upewniając się, że pomiędzy nim a piekielnym psem znajduje się jak najwięcej betonu. To była mentalność strusia - jeśli on nie może czegoś widzieć, może to coś nie zobaczy jego.

Strażnik powiedział coś do radia. Frost nie dosłyszał co. Nie musiał. Mężczyzna wiedział, że ktoś tu jest. Zakładał, że to dzieciaki bawiące się w opuszczonych budynkach. Frost zamknął oczy i nasłuchiwał. Oddychał regularnie - głęboko i powoli. Rozległ się chrzęst żwiru i potłuczonych kamieni, zbyt blisko, by mógł się czuć bezpiecznie. Nie śmiał nawet drgnąć.

Na co komu tego rodzaju ochrona w nieużywanym magazynie? Frost nie zauważył ani śladu materiałów budowlanych przywiezionych na teren składu, żeby było tu coś wartego ukradzenia. Pies szczeknął znowu, wydając głęboki, gardłowy odgłos. To był napastliwy głos myśliwego, który wie, że jego zwierzyna jest blisko. Snop światła z latarki przesunął się po ziemi niecałe półtora metra od kryjówki Ronana.

Frost mocniej przycisnął plecy do betonowego filara, jak gdyby przez to jakoś mógł się zmniejszyć.

Psie warczenie zmieniło ton.

I wtedy noc eksplodowała chaosem dźwięków. Strażnik wypuścił z ręki smycz psa i doberman wyskoczył do przodu, drapiąc pazurami w rozpaczliwej próbie znalezienia podparcia, kiedy rzucił się w kierunku kryjówki Ronana. Frost nawet nie drgnął. Rozdzielała ich metalowa siatka, więc pies nie mógł go dopaść. Sytuacja mogła się rozwinąć na kilka sposobów. W końcu strażnik może przypnie smycz na nowo i ruszy dalej na obchód; jeśli zauważy Monstera Frosta, zda sobie sprawę, że nie ma do czynienia z dziećmi, co będzie znaczyło, że Frost zostanie zmuszony do zajęcia się zarówno mężczyzną, jak i psem, zanim

sprawy wymkną się spod kontroli; Frost mógł też popędzić co sił w nogach do motoru i wiać stąd jak najszybciej, ale jeżeli kombinują coś w starym magazynie, to cały element zaskoczenia diabli wezmą; mógł też spróbować się wyslizgnąć i znów podejść do tego miejsca od innej strony; albo mógł po prostu wyskoczyć zza filara i dwukrotnie nacisnąć na spust. Wiele rzeczy można dałoby się powiedzieć o Froście, ale me zabijał z zimną krwią. Nie istniało nic, co by sugerowało, że nocny stróż jest kimkolwiek więcej niż tym, kim się wydawał - emerytowanym policjantem, któremu płacono minimalną stawkę za obchodzenie opuszczonego magazynu i powstrzymywanie wandalów przed dostaniem się do środka. W takim przypadku te dwie kule byłyby nie tylko przesadą, ale morderstwem.

Frost wziął głęboki wdech i zaczął odsuwać się od filara, kiedy głos Lethego zatrzeszczał mu w uchu.

- No i co, czyż to nie fascynujące? - Frost nie mógł ryzykować wydania najłżejszego odgłosu, musiał więc mieć nadzieję, że Jude Lethe rozwinie temat. Z powrotem oparł się o beton, czekając, aż Lethe znów się odezwie. - W ciągu ostatnich trzech lat różne firmy Miles Devere'a otworzyły swoje biura w Berlinie, Rzymie, Pradze, Amsterdamie, Lizbonie, Madrycie, Paryżu, Wiedniu, czy mam kontynuować i wymienić wszystkie trzynaście? Devere rozpoczął działalność w każdym z miast, gdzie jedno z naszych archeologów spaliło się żywcem. Wszystko to firmy wydmuszki, a trop w dokumentach jest długi na milę i pokręcony. Ktoś nie chce, żeby wykryto te powiązania. A najlepszy kasek? Moje jak dotąd ulubione odkrycie na dziś - w 2001 roku Miles Devere zgłosił się do pracy jako wolontariusz w Izraelu. Pracował w ramach oenzytowskiego programu poprawiania warunków w obozach. Przebywał w Gazie przez prawie rok, następnie przeniósł się do Dżenin. To znaczy, że znajdował się w Dżeninie, kiedy była tam Orla, ale do tego jeszcze wrócimy. To jest interesujące - opuścił Izrael w lipcu 2004, a wcześniej zajmował się projektem renowacyjnym, który szedł w parze z wykopaliskami archeologicznymi w Megiddo, nadzorowanymi przez... Wiesz, czyje nazwisko mam zamiar podać, ale i tak zamierzam to powiedzieć, zatrzymałem się tylko dla dramatycznego efektu: Akima Caspiego. I tutaj, mój jakże milczący przyjacielu, kryje się nasz dymiący pistolet. Nie masz zamiaru nic powiedzieć?

Frost nie odezwał się ani słowem. Słyszał psa wężącego wzdłuż siatki.

- Jak sobie chcesz. Będę musiał nawijać za nas obu.

A więc Megiddo samo w sobie jest ciekawym miejscem. Według Apokalipsy, na końcu wszystko się rozegra właśnie w Megiddo. Mówimy tu o megabitwach, gromadzeniu sił, dzieciach światła walczących ze sługami Antychrysta. Armagedon. To dosłownie znaczy „wzgórze” albo „góra Megiddo”. Nie powiesz mi, że to nie fajne, choćby odrobinę.

Wtedy Frost podjął decyzję. Miał zamiar policzyć w myślach do dziesięciu, powoli, a potem wyjść zza filara i zastrzelić tego cholernego psa. Zaryzykuje ze strażnikiem.

Raz. Wziął głęboki wdech i poczuł w gardle posmak rzeki.

Dwa.

Trzy. Pies drapał siatkę, napierając na nią i szcękając.

Cztery. Frost odbezpieczył broń, sprawdził kulę. Wypuścił powietrze, które wstrzymywał w płucach.

Frost nie doliczył do pięciu.

Głos nocnego stróża dotarł do niego bez przeszkód.

- Starzejesz się, cholerny głupi kundlu. Nic tam nie ma, tylko duchy zardzewiałych wraków. Do nogi.

Frost zaryzykował przelotny rzut oka zza filara. Mężczyzna klęczał i trzymał dobermana za kark. Wydawało się, że bawi się zwierzęciem. Ronana zawsze zdumiewało, jak ludzie nawiązują więź ze zwierzętami, które wykorzystują, przypisując bezmyślnym zwierzętom ludzkie cechy, takie jak zdolność rozumienia i starzenie się umysłu. Obserwował tę dwójkę

jeszcze przez parę sekund, aż wreszcie mężczyzna z powrotem przypiął smycz do obroży i odciągnął wielkie psisko w kierunku frontowej bramy.

Frost zabezpieczył Browninga i schował broń do kabury z tyłu pasa.

Czekał, aż znikną mu z oczu, a potem odezwał się przytłumionym szeptem:

- Dobra robota, Jude.

- Pomyślałem, że poprawi ci to humor, szefie - Lethe odpowiedział mu w uchu.

- Zawsze wolę iść tropem pieniędzy niż martwić się jakimiś cholernymi świętościami.

Fanatycy mnie przerażają, ale forszę rozumiem. Rozumiem chciwość. Te rzeczy mają dla mnie sens. A więc możemy powiązać Devere'a; z każdym miastem, któremu grożono, i w przeszłości z Caspim. Zdaje mi się, że znaleźliśmy naszego człowieka, który wszystko łączy, więc chyba ktoś powinien złożyć wizytę panu Devere.

- Jestem krok przed tobą, szefie. Devere wycarterował wczoraj prywatny odrzutowiec na lotnisko Winnigen w Koblencji. Przeszedł odprawę celną 18 godzin temu.

- Niemcy - Frost zadumał się na chwilę. - Constantin wciąż jest w Berlinie, prawda?

Powiedz mu, żeby nadłożył drogi. Zobacz, czy może ponaciskać na Devere. Dowiedzieć się, co on wie.

- Już się do tego biorę. Co masz zamiar zrobić?

- Mam zamiar się dowiedzieć, co u diabła się dzieje po drugiej stronie tego płotu. Jeżeli nie zamelduję się za godzinę, przyslij posiłki.

- Hm, szefie, wiesz, że nie mamy żadnych posiłków, prawda? - upewnił się Lethe.

- Wiem, mały. To tylko takie wyrażenie. W zasadzie to znaczy, że jeżeli się do ciebie nie odezwę, to masz zacząć się martwić.

- Tyle mogę zrobić - odpowiedział Jude Lethe, śmiejąc się nerwowo.

Frost rozłączył się. Musiał się skupić, a paplanina Lethego w jego uchu nie całkiem sprzyjała koncentracji. Frost podszedł do ogrodzenia z siatki. Na górze wzmacniał ją zwój drutu kolczastego. Ci goście całkiem poważnie podchodzili do odstraszenia ludzi, co sprawiło, że Frost jeszcze bardziej zapragnął dostać się do środka.

Zdjął skórzaną kurtkę i podrzucił ją w górę, trzymając za mankiet jednego rękawa, tak że opadła w poprzek drutu. Zdjął szarą marynarkę od garnituru i ułożył ją na ziemi. Frost nie był głupcem; w żadnej z kieszeni nie znajdowało się nic, co umożliwiłoby zidentyfikowanie go. Jeżeli będzie musiał uciekać, tyle tylko dowiedzą się o intruzie, że miał nienaganny gust i nie wahał się sporo wydawać, żeby dobrze wyglądać.

Cofnął się, zakotyłał się na piętach, a następnie wziął krótki rozbieg z czterech kroków i skoczył na ogrodzenie. Chwycił górną krawędź - skórzaną kurtka uratowała jego dłonie przed poszarpaniem ich przez ostre igły kolczastego drutu - i podciągnął się nad siatkę. Ogrodzenie zachwiało się pod nim gwałtownie, gdy przesunął ciężar ciała. Opadł po drugiej stronie i przykucnął, nasłuchując. Na szczęście pies nie zaszczekał.

Frost odepchnął się i ruszył biegiem, z całych sił, rytmicznie wymachując ramionami i nogami, i trzymając głowę nisko. Patrzył prosto przed siebie, koncentrując się na magazynie. Jego stopy prędko pokonywały kolejne metry, stukając na betonie. Nie mógł nic poradzić na ten hałas. Po niespełna piętnastu metrach ciężko sapał. Okna wszędzie na parterze były albo zabite deskami, albo zakratowane. Nie mógł dostrzec żadnych drzwi. Zmusił się, żeby biec szybciej, ledwie zwalniając kroku, zanim dotarł do ściany. Odwrócił się plecami do ściany i zaczął okrążyć budynek, szukając jakiegoś wejścia.

Księżyc był jak srebrny krążek ponad dachami miasta na drugim brzegu rzeki. Na horyzoncie nie było widać żadnej chmury. Gdzieś w oddali sygnał pociągu zabrzmiał jak pieśń godowa jakiegoś samotnego stworzenia. Frost przebiegł na drugą stronę budynku. Nagie gałązki krzewów łagodnie kołysały się na wietrze. Pierwsze wejście, jakie znalazł, wystarczyłoby dwóm ciężarówkom na wjechanie do środka błotnik w błotnik. Zamykały je

opuszczane żaluzje. Podobnie jak główną bramę, wejście zabezpieczała solidna kłódka. Uderzył w żaluzje, ale nie wygięły się, więc ruszył dalej wzdłuż muru, szukając drzwi.

Gdy zbliżył się do rogu budynku, ulotny ruch przykuł jego wzrok.

Frost przypadł do ziemi, odruchowo sięgając do tyłu po Browninga.

Chwilę później zdał sobie sprawę, że nie był to tego rodzaju ruch. Coś mignęło na skraju jego pola widzenia. Przypatrzył się zabitemu deskami oknu tuż nad swoją głową i odkrył szerokie na palec pęknięcie w deskach. Ledwie widoczne światło chaotycznie tańczyło w małej szczelinie. Kolejną chwilę zabrało mu uświadomienie sobie, że powodem, dla którego światło świeciło tak nierówno, był przeciąg. W oknie nie było szyby. Świeca paląca się po drugiej stronie desek wypaliła się już prawie do ogarka. Za parę minut zgaśnie, a pomieszczenie zaleje ciemność. Frost przyłożył oko do szczeliny.

W małym pokoiku znajdowało się około tuzina materacy. Przerażeni ludzie leżeli przytuleni do siebie. Większość z nich spała. Frost odnalazł haka. Ktokolwiek stał za samobójczymi podpaleniami, porwał te kobiety i dzieci jako zabezpieczenie, by mieć pewność, że „samobójstwa” odbędą się zgodnie z planem. Frost poczuł mdłości. Tego rodzaju handel ludźmi był plugawy, ale Frost zaczynał rozumieć, z jakim typem ludzi mają do czynienia albo, co ważniejsze, do czego posuną się ludzie, z którymi się mierzą.

W odległym kącie pokoju zauważył kobietę przytulającą do piersi dwoje dzieci. Nie potrafił powiedzieć, czy spała, ale domyślał się, że nie. Jej ciało było napięte; widział to napięcie w mięśniach jej ramion, opiekuńczo obejmujących dzieci. Kolejna mała dziewczynka, może dziewięć- czy dziesięcioletnia spoglądała na niego. Nie miał pojęcia, czy widzi go w słabym świetle. Odezwał się szeptem:

- Wszystko w porządku, jestem tu, żeby wam pomóc.

Jego głos dotarł do śpiących, sprawiając, że się poruszyli.

Trzecia dziewczynka, ta bardziej wyglądająca na szesnastolatkę, usiadła na materacu. Przecierała oczy i wydawało się, że trudno jej się skupić.

- Kto tam jest? - zawołała.

Jej głos podniósł się przy ostatniej sylabie, stając się niebezpiecznie głośny. Młodsza dziewczynka wskazała w stronę okna. A więc go zobaczyła.

- Sza - Frost ostrzegł je, przytykając palec do ust, zaniepokojony, że ktoś mógł ją usłyszeć. To był niemądry gest, wzięwszy pod uwagę, że widziała tylko kawałek jego policzka i prawe oko. Inni zaczęli spoglądać w kierunku zabitego deskami okna. - Zamierzam was stąd wydostać.

To było jak gdyby wypowiedział magiczne słowo. Starsza kobieta wstała i podeszła do okna z dwójką dzieci czepiających się jej nóg.

- Och, dzięki Bogu. Czy pan jest z policji?

- Nie - odpowiedział łagodnie. - Ani nie jestem z armii - przerwał jej, zanim zaczęła zadawać zbyt wiele pytań. - Ale jestem tutaj, żeby wam pomóc. Musi pani coś dla mnie zrobić. Musi mi pani powiedzieć, ile osób jest tam z panią. Ilu zakładników i ilu ludzi was trzyma. Możesz to zrobić?

Kobieta z wahaniem skinęła głową.

- Nie wiem, czy są jacyś inni, nie wypuszczali nas z tego pokoju, ale jest nas tu szesnaście, cztery dorosłe, trzy nastolatki i reszta poniżej dziesięciu lat.

- Same kobiety?

Kobieta przełknęła ślinę i przytaknęła.

- Byli chłopcy, ale oni ich zabrali. Słyszałyśmy strzały. Myślę... myślę... że oni zastrzelili mojego syna. - Wtedy się załamała i zaczęła płakać. Frost dał jej parę sekund na pozbieranie się, ale nie mógł czekać, aż się wyplacze.

- Musi się pani trzymać, jeszcze tylko chwilę. Jak ma pani na imię?

- Annie.

- W porządku, Annie, ja mam na imię Ronan. W tej chwili jestem twoim nowym najlepszym przyjacielem i jako twój nowy najlepszy przyjaciel chcę ci coś obiecać. Mam zamiar wszystkie was stąd wyciągnąć. I chcę ci obiecać coś jeszcze, tak między nami. Zamierzam sprawić, żeby zapłacili za to, co zrobili z twoim chłopcem. Dobrze?

Skinęła głową.

Popatrzył na nią przez wąską szczelinę między deskami.

- Ufasz mi, Annie?

Nastąpiła kolejna chwila wahania, po czym kobieta znów skinęła głową.

- Dobrze. Ja też ci ufam. A teraz postaraj się sobie przypomnieć, jeśli potrafisz, ilu strażników widziałaś?

Zastanawiała się nad tym przed chwilę, przegryzając dolną wargę.

- Sześciu. Ośmiu. Nie jestem pewna.

Objęła się ramionami. Drżała. Frost żałował, że nie może sięgnąć przez okno i objąć jej. Nic nie koi bardziej niż kontakt z drugim człowiekiem, zwłaszcza w sytuacji takiej jak ta.

Noah był dobry w postępowaniu z ludźmi, on nie. Musiał mu wystarczyć sam głos.

- Świetnie, Annie. Dobra dziewczynka. A teraz chcę, żebyś wszystkie przygotowała, tak żeby wszystkie były gotowe iść, kiedy wejdę przez te drzwi. Czy możesz to dla mnie zrobić?

Znów skinęła głową.

- Chcesz ich pozabijać? - spytała.

Tym razem nadeszła kolej Frosta, żeby przytaknąć.

- Dobrze - odparła Annie z naciskiem.

Spuściła oczy. Kiedy podniosła wzrok, dojrzał w jej oczach szok. Jej potrzeba bycia silną dla dwóch córeczek zmagala się z potrzebą, by po prostu się załamać i opłakiwać syna. Stwierdziła już, że wszyscy są martwi i skuliła się w kącie ze swoimi dziewczynkami, czekając, aż ich zabójcy znowu otworzą drzwi celi i wyprowadzą w mrok kolejne z jej dzieci. I wtedy pojawił się on, a ona nagle ośmieliła się mieć nadzieję. Teraz zaczynała się przez to rozpadać na kawałki. Kiedy nie zostało jej już nic, łatwiej jej było być silną. Przez te ostatnie godziny, bez względu na to, ile ich było, musiała tylko pozostać silna dla swoich córeczek. Teraz pojawiła się nadzieja, a nadzieja oznaczała życie poza celą. Jeżeli zacznie wierzyć, że mogą uciec, że mogą mieć wspólne życie, utrata tego zrani ją jeszcze bardziej. Musiała powierzyć własne życie temu nieznanemu po drugiej stronie ściany, i wszystko, co mogła zrobić, to się nie załamać. Frost już to wcześniej widywał. Modlił się tylko, żeby wytrzymała na tyle długo, by zdążyć je stamtąd wydostać.

Przy tym, co miało się wydarzyć, nie miało znaczenia, czy jest ich sześciu czy ośmiu; nawet element zaskoczenia nie poprawiał jego szans. Jak lubiła mawiać Orla, to tylko sprawiło, że było bardziej interesująco. Przygotował Browninga do strzału.

- Nic wam się nie stanie - obiecał jej. Musiała w to uwierzyć. Musiał sprawić, by nadzieja dodała jej energii, a nie paraliżowała jej. - Za parę minut będzie po wszystkim. - Odsunął się od okna, zanim zdążyła mu odpowiedzieć, obejrzał się przez ramię, żeby się upewnić, czy nocny stróż nie wraca tą samą trasą, a potem ruszył za róg budynku.

Zobaczył tam kolejny szeroki pas zielonych żaluzji, a za nim małe drzwi. Podkraść się do nich. Widniał na nich mały, wyblakły napis „Wyjście pożarowe”, a pod nim ostrzeżenie, że drzwi są zabezpieczone alarmem. Frost wątpił, by ten alarm nadal działał, ale wzięwszy pod uwagę fakt, że mieli tu nocnego stróża z dobermanem krążącym po terenie, wolał nie ryzykować.

Rozejrzał się na boki za innym sposobem dostania się do środka.

Potem spojrzął w górę.

Stara zardzewiała drabinka pożarowa kończyła się tuż poza zasięgiem jego ręki.

Uśmiechnął się. Doświadczenie mówiło mu, że ludzie są znacznie mniej drobiazgowi w sprawach zabezpieczeń na trzecim, czwartym i piątym piętrze niż na pierwszym i na parterze.

Frost cofnął się o parę kroków, wziął rozbieg i skoczył. Sięgając w górę, chwycił ostatni szczebel drabinki i podciągał się rękoma szczebel za szczeblem, aż postawił pierwszą stopę na drabince. Zardzewiały metal głośno zazgrzytał pod jego ciężarem. Ronan nie miał czasu się tym przejmować. Wbiegł po pierwszym członie drabinki, potem po pomoście z metalowej siatki na następny człon.

Nie próbował otwierać pierwszych, drugich ani nawet trzecich drzwi pożarowych. Udał się prosto do drzwi na piątym piętrze, nie patrząc w dół, gdy przebiegał po pomoście. Drzwi były zamknięte, ale drewno wokół zamka tak przegniło, że nie trzeba było wielkich starań, by je otworzyć. Uderzył w drzwi ramieniem, raz i drugi, nadwyrężając przeżartą przez korniki futrynę. Przy trzeciej próbie rama rozpadła się, a drzwi stanęły otworem. Nie odbyło się to całkiem po cichu. Mógł się tylko modlić, żeby nie okazało się to zbyt głośne.

Frost wszedł do środka. Sklepony sufit starego magazynu przypominał katedrę. Wykonano go z tafli matowego szkła z żelaznymi wiązarami utrzymującymi całość w jednym kawałku. Światło księżycy wlewało się przez szkło, rzucając cienie rozciągające się do każdego kąta rozległej podłogi magazynu. Prowadnica i wyciągarka dźwigu wciąż były na miejscu, chociaż mechanizmy niemal na pewno pozacierały się w ciągu dwóch dziesięcioleci nieużywania. Frost nie zamierzał szykować opuszczania się po dyndającym łańcuchu niczym jakiś bohater z komiksu. Poświęcił chwilę na przyjrzenie się najbliższemu otoczeniu. Znajdował się na pomoście wokół najwyższego piętra magazynu. Po każdej stronie budowli znajdowało się może z pół tuzina drzwi, które, jak przypuszczał, prowadziły do dawnych biur. We wszystkich oknach było ciemno. Na dole, pośrodku betonowej posadzki pięć pięter pod sobą, zobaczył dwóch mężczyzn siedzących na skrzyniach. Wyglądało na to, że dzielą się dymkiem.

Browning był dostatecznie celny na takie odległości, żeby można ich było swobodnie zastrzelić, ale Frost nie miał tego w planach. W ciągu kilku najbliższych minut kluczową sprawą będzie cisza. Przemknął się po pomoście, szukając schodów prowadzących w dół, na niższy poziom. Znalazł klatkę schodową w odległym kącie, co znaczyło, że musi pokonać całą długość magazynu. Stale spoglądał w dół. Żaden z mężczyzn nie popatrzył w górę.

Frost ruszył w dół klatki, przyciskając się ramieniem do ściany, gdy na wpół biegł po schodach zakręcających pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Nie schodził aż na sam dół. Chciał się jak najwięcej dowiedzieć o tym, z czym ma się zmierzyć, więc ostrożnie wyszedł na pomost drugiego piętra. Tak jak jego odpowiednik z wyższej kondygnacji, pomost obiegał cały obwód magazynu. Frost mógł widzieć przez podłogę wszystko aż do parteru. I odwrotnie, znaczyło to, że każdy, kto akurat spojrzełby w górę, zobaczyłby go przez podest. Mimo wszystko Frost był jednak zadowolony. Tych dwóch, których obserwował z piątego piętra, powiedziało mu wszystko, co musiał wiedzieć o tych facetach i ich operacji. Pilnowali swoich zakładników od ponad tygodnia bez żadnych incydentów. Byli zbyt pewni siebie.

Przeszedł po metalowym pomoście. Następni dwaj mężczyźni dołączyli do tych siedzących na skrzynkach. To byli krzepcy faceci. Jeden miał pistolet maszynowy Heckler & Koch MP5 nonszalancko przewieszony przez ramię. Frost obserwował, w jaki sposób mężczyzna się poruszał. W jego postawie widać było swobodną pewność siebie, gdy ciężko usiadł obok pozostałych. Wyjął paczkę papierosów z kieszeni koszuli i zapalił. Frost czekał i przyglądał się. Próbował dokonać obliczeń. Jeżeli Annie widziała ośmiu strażników, bardzo możliwe, że trzymali wartę na zmiany po czterech. Nie rozpoznał w żadnym z nich nocnego stróża. To oznaczało, że na zewnątrz znajduje się jeszcze co najmniej jeden, którego należy brać pod uwagę.

W żaden sposób nie dałby rady zabić ich wszystkich od razu. Będzie musiał ich zdejmować po jednym, niczym jedną z dziesięciu zielonych butelek z angielskiej dziecięcej piosenki, przypadkiem spadającą z murku. Nie tak przypadkiem, poprawił sam siebie w

myślach. Ci będą mieć z tyłu głowy dziury po kulach. Wtedy spadanie jest rzeczą całkiem naturalną.

Gość z MP5 zdeptał buciorem na wpół wypalonego papierosa.

Łatwo byłoby przedostać się po pomoście i oddać dwa szybkie strzały, zdejmując dwóch strażników, potem zbiec na parter. Nie wiedzieliby, co w nich trafiło, i dzięki wynikłej z tego panice Frost miałby czas dokończyć sprawę. Nie wiedział jednak, kiedy zmieniają się straż, kiedy nadejdzie zmiana, ilu z nich faktycznie znajduje się w starym magazynie i czy odgłos strzałów z pistoletu usłyszałby stróż na zewnątrz. To były zmienne, których nie mógł kontrolować. Dodatkowa broń oznaczała, że więcej rzeczy mogło pójść źle. Sytuacja stała się trudniejsza do opanowania. Wystarczyłoby tylko, by któryś z porywaczy poszedł do pokoju, którego używali jako celi, i zaczął strzelać, a wszystko weźmie w łeb.

Instykt Frosta miał podyktować scenariusz.

To znaczyło - uderzyć mocno, szybko i jeśli to możliwe, pozostać niezauważonym.

Przekradł się po pomoście, mając świadomość, że najłżejszy ruch może w każdej chwili zwrócić uwagę porywaczy. Trzymał się jak najbliżej ściany. Dotarcie na pozycję zajęło mu całą minutę. Frost przykucnął. Miał doskonały widok na strefę śmierci pod sobą. Browning w jego dłoni wydawał się ciężki, głodny, Frost miał odczucie, jakby nosił broń przez całe swoje dorosłe życie. Miał z nią pasożytnicze relacje. Ona niejedną raz utrzymała go przy życiu, ale niekiedy wydawała się łaknąć krwi. To była jedna z takich chwil. Frost wziął głęboki wdech, zmuszając rytm oddechu, by pozostał niewzruszony.

Frost uniósł Browninga, celując w mężczyznę z MP5. Porywacz odwrócił się od niego, jak gdyby rzucając mu wyzwanie, by wpakował mu kulę w tył głowy. Frost nie dbał o takie rzeczy, jak tchórzostwo czy ujrzenie białek oczu ofiary. To były hollywoodzkie bzdety. Martwy bandzior to martwy bandzior. Nie miało znaczenia, jaki skończył. Nie zarobiłby punktów w niebie dla bandziorów za to że przyjął kulę między oczy. Honor był dla samurajów. Nie było na niego miejsca, gdy szło o ratowanie życia tych kobiet i dzieci.

Trzymał broń w gotowości, robiąc wdechy i wydechy. Żeby celnie trafić, chciał zgrać w czasie strzał z wydechem.

Poniżej porywacz wyrzucił ramiona w górę i okręcił się na pięcie. MP5 opadł mu na biodro. Mężczyzna spojrział w górę i wydawało się, że przez jedno uderzenie serca patrzy na Frosta. Ronan przyciskał spust, powoli zwiększając nacisk, aż znalazł się o włos od oddania strzału.

I zamarł.

W ostatniej chwili oprych odwrócił wzrok, warknąwszy coś do swoich rodaków. Frost spodziewał się kanonady. Nic takiego się nie stało. Ich głosy niosły się daleko, donośne w pustej przestrzeni opróżnionego magazynu. Kilka sekund zajęło Frostowi zrozumienie, co ich tak poruszyło - czekali na instrukcje. Sprzeczekali się o to, czy powinni iść i pozabijać zakładniczki. Ich kontakt nie zadzwonił, a oni byli podenerwowani. Pajac z MP5 zdawał się najbardziej skory do jatki.

Frost skrócił jego męczarnie.

Tył głowy mężczyzny eksplodował fontanną krwi i tkanek z mózgu.

Frost strzelił po raz drugi, trafiając jednego z mężczyzn siedzących na skrzynkach w czoło. Jego ciało odskoczyło do tyłu, a nad prawą brwią otworzyła się szczelina, gdy jego oczy rozszerzył szok. To była komiczna mina, uchwycona między zaskoczeniem a strachem, nie wyraz twarzy, jaki chciałoby się ponieść ze sobą na tamten świat. Martwy mężczyzna osunął się na bok, spadając ze skrzyni. Kiedy padał, jego nogi kopały i drgały w niekontrolowany sposób przez pół minuty, zanim ostatnie tchnienia życia w konwulsjach opuściły jego ciało.

Frost nie czekał, aż to nastąpi.

Kiedy dwaj pozostali zareagowali, kryjąc się przed niewidocznym zagrożeniem, Frost pognął w stronę klatki schodowej. Jego buty głośno stukotały na metalowym pomoście. Kroki odbijały się echem w zamkniętym magazynie. Rozległ się wystrzał. Frost nie wiedział ani nie chciał wiedzieć, jak mało brakowało, lecz kula go nie trafiła. Tylko to się liczyło. Usłyszał następny strzał. Frost rzucił się do przodu, mocno uderzając w pomost i przetaczając się na prawe ramię. Tym razem zobaczył obłok cementowego pyłu, gdy kula zaryła się w ścianie o jakieś piętnaście centymetrów od jego głowy. Poderwał się do biegu.

Rytmiczny terkot pistoletu maszynowego rozdarł powietrze w magazynie. Ślady po kulach podziurawiły ścianę, wgryzając się w cegły. Frost na wpół zatoczył się, na wpół przebiegł ostatnie kilka kroków po pomoście do klatki schodowej. Poczul na twarzy podmuch świszczących kul i ostre ukłucie, kiedy jedna z nich drasnęła go w policzek.

Zignorował nagłą eksplozję bólu i upadł na kolana.

Druga fala wystrzałów odbiła się rykoszetami od metalowego pomostu rozsiewając iskry. Frost odsunął się od nich, energicznie przywierając do ściany. Odepchnął się od niej i dał nura w otwór klatki schodowej. Oddychał ciężko. Drżał od adrenaliny buzującej w jego żyłach. Wrzaski goniły go tam, gdzie nie mogły kule. Zdał sobie sprawę z głupoty swojego kroku, kiedy pokonał pierwszy zakręt schodów po to tylko, by usłyszeć z dołu okrzyki ludzi wbiegających po schodach, by się z nim spotkać. Nie mógł zawrócić i wbiec na górę, istniało tylko jedno miejsce, gdzie schody wychodziły na parter, a porywacze znali rozkład starego magazynu znacznie lepiej niż on. Musiał pomieszać im szyki. Będą się spodziewali, że zejdzie na dół, strzelając. Na ich miejscu rozstawiliby strzelców po obu stronach klatki schodowej, obejmując ostrzałem prawą i lewą stronę i mając dobry widok w górę aż do pierwszego zakrętu. Nie było mowy, żeby zdołał pokonać ostatnie dziesięć kroków, nie padając pod gradem kul z automatu, więc nie było mowy, by zamierzał zrobić te ostatnie dziesięć kroków.

Kiedy dotarł na pierwsze piętro, przystanął. Wychylił się, spoglądając w dół przez gęstą kratę najniższego pomostu, a potem na szklany dach. Każda z potężnych szklanych tafli miała ponad sześć metrów szerokości i dwakroć tyle długości, a utrzymywały je żelazne więzary. Frost w sekundę wystrzelił trzy kule, celując każdą w słaby punkt pośrodku innej tafli szkła. Przez ułamek sekundy sądził, że to się nie uda, ale potem nacisk rozsadził tafle. Szkło wokół każdej z dziur po kulach pokryło się pajęczyną długich rys i popękało. Później spadł pierwszy odprysk i w jednej chwili otwór po nim naruszył kruchą równowagę tafli. Po ostrym trzasku przypominającym uderzenie pioruna spadł na dół śmiertcionośny deszcz szkła. Hałas był niesamowity, wzmocniony echem odbijającym się od ścian magazynu.

Frost nie czekał, żeby zobaczyć, co się stało. Strzaskanie szkła dawało mu w najlepszym razie kilka sekund, gdy porywacze chowali się i zasłaniali twarze. Biegiem pokonał ostatnie stopnie. Jeden z porywaczy leżał rozciągnięty przy samych schodach; poszarpane odłamki szkła sterczały mu z piersi i szyi. Kleista czarna kałuża krwi rozlewała się po betonie niczym jakaś szydercza aureola wokół jego głowy. Wyglądał na nieżywego. Jednak Frost wolał nie ryzykować. Posłał kulę w sam środek twarzy mężczyzny i wyszedł na środek magazynu, zgniatając butami szkło.

Nie mógł dostrzec ostatniego bandyty.

Namacał ranę ma policzku. Nie była głęboka, ale obficie krwawiła. Miał szczęście.

Prędko omiótł wzrokiem magazyn, wypatrując jakiegokolwiek ruchu, jakiegoś cienia na niewłaściwym miejscu. Czegoś, co zdradziłoby ostatniego mężczyznę. Część podłogi magazynu była zastawiona dwunastometrowymi i mniejszymi, sześciometrowymi metalowymi kontenerami. Oferowały mnóstwo kryjówek. Choć to nie była naukowa metoda, ale nic w układzie szkła na betonie nie sugerowało, żeby ktokolwiek po nim przebiegł, więc Frost odwrócił się od kontenerów. Jeżeli uda mu się schwytać ostatniego faceta żywego, to

świetnie. Jeśli nie, nie będzie po nim płakał. Frost oblizał wargi. Poczul na języku smak własnej krwi.

Usłyszał krzyk kobiety i uświadomił sobie, że mężczyzna poszedł po zakładniczkę. Frost nie zatrzymywał się, nie zastanawiał, tylko biegł. Nie zamierzał nikogo stracić, nie teraz, kiedy był już tak blisko.

Bandyta stał w drzwiach.

- Ty tam! - wrzasnął, groźnie wymachując pistoletem maszynowym. - Chodź tu!

Ponad jego ramieniem Frost dostrzegł przerażoną twarz kobiety, z którą rozmawiał przez okno. Powlokła się chwiejnym krokiem w kierunku mężczyzny, z oczyma pełnymi strachu.

Mężczyzna chwycił ją, przyciągnął do siebie i zaczął się odwracać. Usiłował użyć Annie jako żywej tarczy.

- Puść ją - powiedział Frost głosem niewzruszenie spokojnym i rzeczowym.

Porywacz wściekle pokręcił głową. Miał wytrzeszczone oczy, nabiegłe krwią zbyt szybko pompowaną w całym ciele przez oszalałe serce. Jego strach był wręcz namacalny. Zaczął przybliżać tępo zakończony wylot lufy MP5 do boku głowy kobiety. Frost zrobił krok w jego stronę i jeszcze jeden, chociaż mężczyzna kręcił głową. Nie wyglądał jak wcielenie zła. Wyglądał jak przeciętny facet z ulicy. Nijaki. Niezapadający w pamięć.

- To nie musi się tak skończyć - powiedział Frost.

Dzieliło ich niecałe trzy metry. Frost czuł woń potu mężczyzny. Był stęchły, jak gdyby gość nie mył się od wielu dni. Może tak było. Może nie mieli strażników na zmianę. Może tylko on i jego martwi kompani byli w to wmieszani. Cuchnął dokładnie tak samo okropnie, jak zakładniczki, które trzymał w tym maleńkim pokoiku przez tydzień.

- Do tyłu! Cofnij się! - Jego głos załamał się przy ostatniej sylabie.

Frost zignorował go, podchodząc dalej. Dziewięć kroków.

- Nie żartuję! Cofnij się!

Frost zrobił kolejny krok. Nawet nie udawał, że proponuje porozumienie.

- Zabiję ją! Zabiję je wszystkie!

- Wtedy ja zabiję ciebie - stwierdził rzeczowo Frost.

Siedem kroków.

- Tak naprawdę to nie ma znaczenia, co zrobisz, i tak zamierzam cię zabić. Wiesz o tym, co nie?

Sześć kroków.

- Zamierzam cię zabić za to, co zrobiłeś z jej synem - skinął głową w kierunku Annie. - Zamierzam cię zabić za to, co zrobiłeś z ich ojcami i mężami. Zamierzam cię zabić, bo zasługujesz, żeby umrzeć. Ułatw mi zadanie, no dalej - zachęcał go Frost. - Porusz się. Spróbuj nacisnąć spust. - Frost uniósł Browninga. Wylot lufy znalazł się niecałe półtora metra od twarzy mężczyzny. W jego oczach płonął fanatyczny obłęd. - Mowy nie ma, żebym stąd chybił. I nieważne, jaki jesteś szybki z tą zabawką - spojrzenie Frosta powędrowało w stronę MP5 - daję ci słowo, że jestem szybszy z moją. Nie wyjdiesz z tego cały.

Spodziewał się, że mężczyzna zacznie błagać o życie.

Był rozczarowany, gdy tak się nie stało. Porywacz wpatrywał się w niego butnie.

- Powiedz mi, kto tu wydaje rozkazy - zażądał Frost.

- Idź do diabła! - odwarknął mężczyzna.

Potrząsnął głową. Był odurzony. Każdy mięsień drgał pod jego brudną skórą.

- Ty tu nie rządzisz - mówił dalej Frost. Teraz dzieliły ich tylko trzy kroki. Dolatywał do niego cuchnący oddech porywacza i widział każdy otwierający się por jego skóry, gdy zalewał ją pot. - Ty jesteś mięśniakiem. Oprychem. Ty tego nie zaplanowałeś. Komu podlegasz? Kto jest twoim szefem?

- Myślisz, że ci powiem? - mężczyzna uśmiechnął się szyderczo. - Naprawdę jesteś taki głupi? - Potrząsnął głową.

Nie przerywając kontaktu wzrokowego, Ronan Frost błyskawicznie wyciągnął lewą rękę, chwytając pełną garścią tłuste włosy porywacza, i mocno szarpnął w dół. Ten ruch wtrącił mężczyznę z równowagi. Frost przycisnął broń do jego czoła.

- Ostatnia szansa. Gadaj.

- Nigdy nie zdradzę moich ludzi.

- To właśnie chciałem wiedzieć - odparł Frost, pociągając za spust.

Głowa mężczyzny odskoczyła do tyłu i jego ciało zwisło bezwładnie. Uchwyt Frosta powstrzymał je przed upadkiem. Kółko spalonego prochu otaczało ranę wlotową. Było zadziwiająco mało krwi i prawie żadnych uszkodzeń. Inaczej wyglądał tył głowy. Rana wylotowa była miazgą z fragmentów kości, tkanki mózgowej i krwi. Frost odepchnął zwłoki mężczyzny na bok i schował Browninga do kabury.

Kobiety i dzieci za plecami Annie spoglądały na niego, jak gdyby był jakimś aniołem zemsty - potrzebowały go i wiedziały o tym, ale też je przerażał. Frost uśmiechnął się do i jednej ze starszych dziewcząt. Chlipnęła, uwalniając ciężkie westchnienie, które uwięzło jej w gardle, a potem, kiedy ogarnęła ją ulga, zaczęła płakać. Całe jej ciało drżało. Jedna z kobiet podeszła i objęła ją bez słów. Poczucie ulgi w pomieszczeniu było aż namacalne.

- Dobra, ludziska, pora do domu - odezwał się Frost, wyciągając rękę.

Annie wzięła jego dłoń. Patrzyła na niego z niesamowicie intensywną mieszaniną żalu, wdzięczności i przerażenia. Jej dwie córeczki przywarły do jej nóg. Frost pochylił się i podniósł jedną z nich, obejmując ją lewym ramieniem. Uczepiła się jego szyi obiema rękami.

- Jak ci na imię, kotku? - zapytał dziewczynkę.

Nachyliła się, przyciskając wargi blisko jego ucha, i wyszeptała:

- Vicky.

- Miło mi cię poznać, Vicky. Za chwilę powiem ci, żebyś zamknęła oczy. Zrobisz to dla mnie, dobrze? - Dziewczynka skinęła głową. Frost uśmiechnął się do niej. - Po prostu zaciśnij powieki z całych sił, a wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Wyjął Browninga i trzymał go w wolnej ręce. Wolał nie ryzykować.

Wyprowadził kobiety i dziewczynki z ich prowizorycznej celi jedną po drugiej. Ponad połowa z nich straciła buty.

- Tam jest mnóstwo potłuczonego szkła; lepiej, żebyście poniosły dzieci - odezwał się do kobiet. Bez słowa zrobiły to co im powiedział. Poprowadził je przez zrujnowany magazyn w kierunku wielkich zielonych żaluzji w odległym końcu hali. Frost usłyszał szczekanie piekielnego psiska, jeszcze zanim je zobaczył. - Zamknij oczy, kotku - szepnął do ucha Vicky. Poczul, jak wierci mu się na ramieniu, chowając twarz w jego kołnierzu. Chwilę później doberman wybiegł zza kontenerów, drapiąc pazurami po betonie.

W trzy sekundy pokonał dzielący ich dystans. Frost wyczekał do ostatniej chwili, aż pies wspiął się na tylne łapy, żeby rzucić mu się do piersi, kłapiąc paszczą, gotów rozszarpać mu gardło zębiskami, i wtedy wystrzelił trzy razy. Kule rozdarły bok ciała psa równym rzędkiem, rozrywając mięśnie i kość, żeby przebić oszalałe serce zwierzaka, śmierć nie zmniejszyła impetu jego ataku. Frost usunął się na bok, usiłując zejść z drogi zwierzęciu. Udało mu się jedynie stać mniejszym celem. Martwy pies grzmotnął we Frosta z taką siłą, że ten zatoczył się trzy kroki do tyłu, a ponieważ ustawił się do psa bokiem, stracił równowagę i upadł. Dziewczynka w jego ramionach wrzasnęła. Frost zdał sobie sprawę, że otworzyła oczy i widzi szklane spojrzenie martwego dobermana zaledwie centymetry od swojej twarzy. Zakrył jej oczy dłonią i uspokoił ją:

- W porządku, wszystko w porządku, teraz już cię nie skrzywdzi.

Usiłował się podnieść.

Fakt, że pies zaatakował go tutaj, wewnątrz starego magazynu, oznaczał, że nocny stróż nie może być daleko.

Upadając, Frost upuścił broń. Annie stała obok niego, trzymając jego pistolet.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. To był nocny stróż. Ostatni człowiek stojący między nimi a ich wolnością.

- Daj mi broń - powiedział Frost, wyciągając rękę.

Annie zdawała się go nie słyszeć. Widziała wyłącznie nocnego stróża.

- Nie chcesz tego robić - odezwał się Frost, wyczuwając myśli Annie. To nie było trudne. Oto nadarzała się możliwość, aby odplacić jednemu z ludzi, którzy zrujnowali jej życie. Kto nie chciałby go zabić, gdyby miał okazję? Broń dodawała jej sił. Jej ręka drżała. Frost wiedział, co się dzieje. To samo działo się z nim za pierwszym razem, gdy rozważał zabicie kogoś. Nagle broń ważyła znacznie więcej niż suma jej elementów, więcej niż metal i polimer. Ważyła tyle, co życie. Annie nie pociągała po prostu za spust, ona mocowała się z ciężarem wszystkich tych nieprzeżytych dni, wszystkich tych niezaznanych radości i smutków. - Pozwól mi - Frost powiedział spokojnie. - Tym się właśnie zajmuję. Ty nie zechcesz żyć z jego śmiercią w pamięci.

- Zechcę - odpowiedziała Annie. - Muszę.

Nacisnęła spust i naciskała go raz za razem, nie przestając, aż mężczyzna padł. Pierwsze dwie kule chybiły, trafiając w metalową żaluzję i wzbudzając piekielne echa. Trzecia trafiła go w ramię. Czwarta w nogę. Żadna nie była śmiertelna. Nocny stróż leżał na podłodze, wrzeszcząc i błagając.

Frost wyciągnął rękę po broń.

Tym razem Annie mu ją podała.

Sprawdził magazynek. Została jedna kula.

Tylko tyle potrzebował. Przeszedł kawałek po betonie, jego kroki odbijały się głuchym echem w grobowej przestrzeni olbrzymiego starego budynku. Frost stanął nad krwawiącym mężczyzną.

- Jedyna szansa - odezwał się. - Dla kogo pracujesz?

Mężczyzna leżał na plecach, wijąc się w kałuży własnej krwi. Przyciskał rękoma udo w miejscu, gdzie kula Annie rozdarła mu główną arterię.

- Już jesteś martwy - powiedział mu Frost. - Jej strzał rozerwał ci arterię udową. Masz minutę, może nieco więcej, ale zamierzam cię zabić wcześniej, ponieważ nie chcę, żeby ta kobieta żyła, mając twoją śmierć na sumieniu. Więc dla kogo pracujesz? Podaj mi nazwisko.

Mężczyzna zazgrzytał zębami.

Frost był pewien, że stróż będzie grał na zwłokę i z upartą determinacją umrze, milcząc. Tak się nie stało. Jego oczy były szkliste, gdy skierował wzrok na Frosta.

- Mabus. A teraz kończ to szybko - powiedział, unosząc głowę jakby w ofierze.

Frost wpakował mu kulę między oczy.

Zdobył nazwisko. Mabus.

Frost schował Browninga do kabury i podszedł do żaluzji. Na ścianie obok wejścia znajdował się wielki czerwony guzik. Nacisnął go. Mechanizm obudził się z jękiem i żaluzja powoli zaczęła się unosić, zgrzytając, gdy metalowe części zostały zmuszone, by się obracać.

Promienie światła wpadły do wnętrza magazynu spod metalowej żaluzji, rzucając cienie na betonową posadzkę. Wdarł się chłód zbliżającego się poranka. Frost wyniósł dziewczynkę na świeże powietrze. Czerwonawe słońce wstawało nad miastem po drugiej stronie rzeki. Światła pochodziły z samochodowych reflektorów. Sześć wozów zaparkowało po drugiej stronie ogrodzenia z siatki. Frost usłyszał nawoływania, ale nie mógł zrozumieć słów. Ledwie rozróżniał sylwetki ludzi za reflektorami. Jeden z nich wysunął się do przodu, tak je reflektory oświetlały go od tyłu, kiedy dotarł do bramy z solidną kłódką.

Frost poprowadził kobiety naprzód.

Z początku wahały się, zagubione, teraz gdy nareszcie znalazły się na zewnątrz. Kobiety wydawały się wyjątkowo nieufne, ostrożnie przesuwały się w kierunku światła, jakby ktoś mógł im je nagle odebrać i zagnać je z powrotem do tamtej piekielnej nory. Kiedy zdały sobie

sprawę, że światła pochodzą z samochodów policji, zaczęły biec w stronę ogrodzenia. Frost nie pałał radością na widok chłopców w niebieskich mundurach.

Przyszło mu do głowy, żeby postawić dziewczynkę na ziemi i spróbować rozpląnąć się w mroku. Istniała szansa że odnajdzie swoją kurtkę i marynarkę, a potem Ducati, ale wystarczyło, że spojrzął pod nogi i na plamę światła, by zrozumiał, że próba wymknięcia się teraz to głupi pomysł. Zamiast tego, zrezygnowany, wolnym krokiem podszedł do bramy.

Zanim się przy niej znalazł, policjanci odcięli kłódkę i zaczęli oferować pomoc pierwszym kobietom i dzieciom, które do nich dotarły.

- Mogę ją wziąć, sir - powiedziała policjantka, wyciągając ręce po dziewczynkę.

Miała śliczny uśmiech, ale surową twarz. Frost podał jej Vicky, mierzwiąc małej włosy, gdy wydostała się z jego objęć.. Kolejny funkcjonariusz podszedł bliżej. Frostowi zdawało się, że słyszy, jak bogowie naśmiewają się z niego z góry. A jakże, to był jeden z dwóch policjantów, z którymi rozmawiał po wydostaniu się z domu Jamesa przy Halsey Road. Mężczyzna podszedł prosto do niego, a kiedy Frost zaczął się odwracać, odezwał się:

- No, no, no, co za spotkanie. - Pokręcił głową, jak gdyby chciał przez to powiedzieć, że nic go już nie zdziwi. - Co za zbieg okoliczności, nie sądzi pan? Mam wrażenie, że widuję pana częściej niż własną matkę. Najpierw przebywa pan przed domem, w którym popełniono morderstwo, kiedy rozpętuje się pandemonium, co, powiedzmy sobie szczerze, już samo w sobie jest warte zastanowienia. A teraz tutaj ratuje pan te wszystkie kobiety i dzieci jak jakiś superbohater. Wie pan co, brakuje tylko płonącego budynku, żeby wszystko było w komplecie. Może więc najpierw powie mi pan, kim pan do cholery jest, panie superbohaterze?

Frost spojrzął na detektywa. Wystarczyły mu dwie sekundy, żeby ocenić tego mężczyznę. Miał kompleks małego człowieczka. Był zgorzkniały, wściekły i chciał się komuś dobrać do skóry.

- Frost - odpowiedział. Nie zwracał sobie głowy kłamaniami. - Ronan Frost.

- Czy powinienem o panu słyszeć?

- Nie widzę powodu, dlaczego miałby pan słyszeć - odparł Frost.

- A zatem, panie Frost, przejdźmy do rzeczy. Kim pan jest? Widzę, że nie jest pan jednym z nas, nie z policji, to się rzuca w oczy jak diabli, więc kim pan jest? Rząd? Wywiad? Piątka? Siły Specjalne? Arityteryści? Liga Sprawiedliwości? Kim pan jest?

- Jestem dobrym Samarytaninem - odrzekł Frost.

- Dyrzymały.

Frost nie odezwał się.

- Nie jestem idiotą, panie Frost.

Frost znowu milczał.

- Ok, spróbujmy jeszcze raz. Jak się pan dowiedział o tym miejscu? Skąd pan wiedział, co tu się dzieje, skoro nikt inny nie miał najbledszego pojęcia? - Policjant pokręcił głową. - Sami jeszcze tego dokładnie nie wiemy, a tu pan się zjawia i ratuje sytuację.

- Sugeruję, żeby przestał pan marnować czas na zadawanie pytań, na które nie odpowiem - odpowiedział Frost- a zaczął myśleć o tym, co się wydarzy mniej więcej w ciągu najbliższej godziny - zerknął na wstające słońce. - W środku jest pięć ciał. Sześć, jeśli liczyć psa. Wiem to, ponieważ to ja ich zabiłem, i nie, nie aresztuje mnie pan za to, a mówię to, zanim zaczniesz pan sobie coś wyobrażać. Sam pan powiedział, jestem cholernym bohaterem. Która to, dochodzi piąta? W każdej chwili mogą się tutaj pojawić ich zmiennicy, żeby jak zwykle przejąć swoje obowiązki dobrej niani. Sugeruję, żeby posłał pan kogoś, kto posprząta, naprawi tę cholerną bramę, którą właśnie rozwaliliście, i pomyśli o wyłapaniu reszty bandy. Możemy więc sobie tu stać, porównując, kto ma dłuższego, albo możemy zacząć układać i plan, jak zamknąć tych ludzi raz na zawsze. Jeśli o mnie chodzi, to wiem, że mnie niczego nie brakuje. A pan?

To zaniknęło usta małemu człowieczkowi.

Frost odwrócił się do niego plecami i na słuchawce wybrał połączenie z bazą.

- Niech się panu nie zdaje, że może tak sobie pójść! - policjant wrzasnął do jego pleców, gdy Frost odchodził. Ronan zignorował go. - Mówiłem, żeby się pan nie ważył odchodzić! Frost szedł dalej. Powiedział już mężczyźnie wszystko, co zamierzał.

Kiedy Lethe odebrał telefon, Frost rzucił tylko:

- Zamysł jest taki, żeby wzywać kawalerię, jeśli jestem w opałach. Będę tu tkwił całą cholerną noc, starając się to wyjaśnić.

- A ja myślałem, że masz zamiar mi podziękować - odpowiedział Lethe. - No i? Co się stało? Mów, mów. No dalej. Jedyne przygody, jakie tu mam, emocjonowanie się życiem waszej gromadki. Chcę usłyszeć wszystkie krwawe szczegóły.

- Mamy nazwisko: Mabus. Poza tym niewiele do opowiadania. Zwykły dzień w biurze.

- Ach, Frosty, chłopie, ty to potrafisz odebrać chęć do życia, wiesz o tym, co nie?

18

TRZYNAŚCIE KRZYKÓW

Orla Nyren szła za Uzzim przez labirynt biur w gmachu siedziby wywiadu IDF. W kręgu szpiegów zwalczających szpiegów Zarząd Wywiadu Wojskowego był lepiej znany jako Aman. Ponad siedem tysięcy osób parało się tym lub owym w świecie tajemnic Izraela. Uzzi pracował w Modash, Departamencie Bezpieczeństwa Polowego IDF. „Polowe” to był raczej eufemizm, oznaczający „specjalne środki”, co z kolei oznaczało zdobywanie i eliminowanie. Uzzi Sokol miał do czynienia ze sprawami bezpieczeństwa narodowego w granicach Izraela. Zabezpieczaniem, planowaniem, rozpowszechnianiem materiałów wywiadowczych i nadzorowaniem zagranicznych wysłanników. Był kimś więcej niż tylko niańką.

Pomimo ostrzeżenia jazda tutaj przebiegła bez problemów. Orla schowała broń, gdy wkroczyli do budynku.

Jej obcasy stuknęły głośno na podłodze wyłożonej płytkami z linoleum.

Nie odwracając się, Sokol przez ramię skinął na nią palcem, żeby nie zostawała w tyle. Ten mężczyzna naprawdę działał jej na nerwy, ale wiedział rzeczy, których ona nie wiedziała, i była przygotowana na to, by znieść jego szowinistyczne bzdety macho, póki nie powie jej tego czego chciała się dowiedzieć. Zapukał głośno w szklaną szybę w drzwiach, tylko raz, i otworzył je, nie czekając na odpowiedź.

- Już tu jest - odezwał się Sokol.

Cofnął się, żeby przepuścić Orlę, pozwalając najpierw jej wejść do biura. Była to pierwsza oznaka kurtuazji od chwili, gdy wysiadła z samolotu.

Mężczyzna wciśnięty za biurko już prawie nawet nie wyglądał jak mężczyzna. Górny guzik jego koszuli me zapinał się, ponieważ w koszuli brakowało tkaniny, żeby objąć jego całą monstualną szyję. Robił co mógł, by to ukryć pod granatowym krawatem, który wyglądał jak pętla wisielca. Wielkie ciemne podkowy pod oczami potęgowały to wrażenie. Miał ziemistą cerę i włosy przyprószone siwizną na skroniach. Oblizywał wargi. Sposób, w jaki wysuwał się jego język, kojarzył się Orli z ropuchą. Mężczyzna wyciągnął rękę, by uścisnąć jej dłoń. Ropuch wyglądał, jakby żył wiecznie. Mógł mieć równie dobrze pięćdziesiąt, jak i sto pięćdziesiąt lat. Jediną wskazówką co do jego prawdziwego wieku była tabliczka upamiętniająca jego syna. Shimon miałby teraz pięćdziesiąt pięć lat, czyli że on sam musiał być co najmniej po siedemdziesiątce. Miał wilgotne dłonie, lecz jego uścisk był zadziwiająco silny jak na człowieka w jego wieku. Wydawał się parodią grubego,

niekompetentnego generała aż do chwili, gdy otworzył usta. Jego głos sphywał niczym miód. Orla mogła sobie wyobrazić tysiące kobiet wydających mnóstwo pieniędzy, żeby słuchać sekstelefonu, w którym on by pracował.

- Tak się cieszę, że mogła pani do nas dołączyć, moja droga - powiedział z nienagannym brytyjskim akcentem. - Niech pani usiądzie. Proszę się rozgościć. - Odwrócił się do Sokola. - Uzzi, zamknij drzwi, gdy będziesz wychodził, chłopcze.

Sokol nie wyglądał na uszczęśliwionego faktem, że został odprawiony tak obcesowo, ale nie zaoponował, a to znaczyło, że ropuch znacznie przewyższał go rangą. IDF były takie same, jak każdy militarny twór, żyły i umierały w poszanowaniu szarży i struktury. Sokol nigdy nie będzie się sprzeczać z ropuchem. Zamknął drzwi, zostawiając ich samych.

- A teraz proszę mi powiedzieć, panno Nyren, co pani sądzi o ponownym przyjeździe do naszego pięknego kraju? Powrót tutaj musi być dla pani bardzo trudny po tym, co zaszło w obozie, prawda?

Odrobili pracę domową. Niczego innego nie spodziewała się po Amanie. Byli metodyczni. Ostrożni. I w każdym calu równie niebezpieczni, jak i przezorni. W modus operandi Amanu nie było miejsca na żadną porywczosć. Czujność, przebiegłość, przemyślność i chłodne planowanie, te słowa najlepiej opisywały jej doświadczenia z tą organizacją.

Orla rozejrzała się po pokoju, jak gdyby podziwiała piękno krajobrazu ukrytego za jego czterema ścianami. Ropuch urządził go w znajomym stylu militarnej surowości. Miał na ścianach czarno-białe fotografie i jedną kolorową, przedstawiającą jego samego, do tego tabliczkę ku czci młodego mężczyzny, który zginął w wojnie Jom Kippur - Shimona Schnura, Domyślała się, że to jego syn. Stał tam rząd książek z podniszczonymi płóciennymi grzbietami i wypłowiałymi złotymi tytułami oraz wyblakły globus ze starymi granicami państw z lat pięćdziesiątych. Jedynym ustępstwem na rzecz przytulności był miniaturowy model 2CV z miękkim dachem. Orla pomyślała, że to dziwny przedmiot jak na jedyną dekorację, i w tej chwili przypomniała sobie, kim jest ropuch i dlaczego ten samochód ma dla niego takie znaczenie.

Gavrel Schnur. Zapamiętała samochód. Maleńkiego 2CV i kobietę. Jego żona, Dassah, zginęła w samochodzie wysadzonym przed ich domem w dzielnicy Ramat w północnej części miasta. Gavrel był wtedy wschodzącą gwiazdą w partii Likud. Orla spojrzała na cyfry na jednej z czarno-białych fotografii i dotarło do niej, że jest na niej Menachem Begin, dawny premier związany z partią Likud. Inna przedstawiała samego Schnura z Shamirem i Netanyahu. Orla zapamiętała Gavrela Schnura z powodu jego szczególnie głośnego sprzeciwu wobec państwa palestyńskiego oraz popierania żydowskiego osadnictwa na Zachodnim Brzegu i w strefie Gazy. OWP podłożyła mu bombę w samochodzie, nie spodziewając się, że to jego żona będzie tego dnia nim jeździć. Nie żeby to tak naprawdę miało dla nich znaczenie. Jej śmierć przyniosła jeden skutek - zmieniła Gavrela Schnura w idealnego kandydata jego partii. Natychmiast po śmierci żony wyszedł na mównicę i potępił Palestyńczyków za tchórzostwo. Poprzysiął wendetę przeciwko mordercom żony. Jego hasło głosiło, że Palestyńczycy to naród bezbożnych terrorystów, że zabijanie mają we krwi oraz że on sam nie spocznie, dopóki nie zostaną usunięci z Judei, Samarii i Gazy. A teraz zasiadał tutaj jako strażnik bezpieczeństwa kraju. Było w tym coś niemal zakrawającego na ironię.

- To jak powrót do domu, panie Gavrel - odpowiedziała, delektując się lekkim uśmiechem, jaki jej posłał.

Byli jak gracze siedzący po przeciwnych stronach karcianego stolika; każde z nich trzymało swoje karty tuż przy piersi.

- Bardzo dobrze, moja droga. Nie rozczarowuje mnie pani. Proszę powiedzieć, co mnie zdradziło? - Znowu oblizwał wargi.

- Przypomniałam sobie samochód - powiedziała.

- Ależ oczywiście, oczywiście. Wszyscy pamiętają moją wielką tragedię. Niewielu pamięta moje życiowe sukcesy, ale nie winię ich. Czasami sam ledwie je pamiętam, ale Dassah, Dassah nigdy nie zapomnę. Nawet po tylu latach wciąż oczekuję, że wróci do domu z zakupów. To moja wielka tragedia. Ale nie przyjechała pani tutaj, żeby rozmawiać o mojej zmarłej żonie, nieprawdaż?

Pokręciła głową.

Poprawił się w fotelu. Skóra i drewno stęknęły.

O ile dobrze pamiętała, mówiono, że Gavrel osobiście ruszył przeciwko zabójcom żony. Trudno jej było w to uwierzyć, patrząc na niego rozpartego na krześle, ale najwidoczniej wytropił zamachowca, który podłożył bombę, oraz chemika, który ją zbudował, a także człowieka wydającego im rozkazy. Gavrel Schnur zrobił to w stylu Amanu. Obserwował, zbierając informacje i układając plany, aż pewnej długiej nocy w Tel Awiwie wszyscy choćby tylko pośrednio związani ze śmiercią jego żony padli ofiarą pozornie niepowiązanych ze sobą nieszczęśliwych wypadków i przypadkowych aktów przemocy. Przypadki piętrzyły się i o świcie każdy już wiedział, że Gavrel Schnur dokonał swojej pomsty. To bardziej niż cokolwiek innego ugruntowało jego pozycję w politycznym spektrum miasta.

- Jestem pewien, że Uzzi wyjaśnił, dlaczego zainteresowały nas pani poszukiwania. Wielce osobliwe, że po tak długim czasie ktoś pyta o mojego starego przyjaciela Akima. Sądziłem, że świat zapomniał o nim, tak jak zapomniał o tylu innych sprawach. Aż tu nagle pojawia się jego nazwisko. Pewien jestem, że rozumie pani, dlaczego to wzbudziło zaniepokojenie w naszym biurze. Oczywiście, odrobiliśmy pracę domową. Jest pani bardzo dobrze ustosunkowaną młodą damą, panno Nyren. Z przyjaciółmi na tych jakże dobrze znanych „ważnych stanowiskach”.

Orla przytaknęła. Nie odzywała się wiele. Czekwała, żeby usłyszeć, co ropuch miał do powiedzenia. Wiedziała, że w tym świecie wiedza to cenna waluta. Powiedzenie, że wiedza to władza, zostało ukute dla osławionych kuluarów szpiegostwa. Dzielenie się wiedzą było kwestią *qui pro quo* - równego dawania przez obie strony. Musiała zdecydować, co jest skłonna wyjawic i ile jej zdaniem może dostać w zamian. Zaczęła od najskromniejszego minimum, powtarzając to, co opowiedziała już Sokołowi na cmentarzu. Podkreśliła wypłatę ubezpieczenia z Humanity Capital, numerowane konta w Hottinger & Cie oraz nieregularne wpłaty i wypłaty dokonywane przez zmarłego, a jako *coupe de grace* pokazała ropuchowi drugiego Akima Caspiego na fotografii, którą miała ze sobą. Kiedy skończyła, stwierdziła:

- Sokol powiedział, że powinnam usłyszeć o Krzykach. Myślę, że teraz byłaby znakomita pora, żebym się dowiedziała, czym właściwie jest to, co muszę poznać.

Ropuch skinął głową; fałdy wokół jego szyi zafalowały. Nie wydawał się ani odrobinę zdziwiony widokiem drugiego Caspiego, ani w ogóle ciekaw, dlaczego oszust zwrócił na siebie uwagę zagranicznego wywiadu. Było coś niepokojącego w tym otyłym mężczyźnie. Zdawał się zbyt pewny siebie. Orli się to nie spodobało.

- Sami siebie nazywają Apostołami Judasza - zaczął ropuch. - Dla Amanu stali się znani jako Trzynaćście Krzyków.

- Jak od wydawania okrzyków?

- Tak. To swego rodzaju makabryczny chór, jak sądzę. Kiedy wszystkie ich głosy zleją się w jedno, świat posłucha. Domyśla się pani. Wszystko to bardzo pompatyczne i obłąkane. Czego świat ma posłuchać, cóż, to nie jest nawet szczególnie interesujące. Twierdzą, że to Judasz Iskariota był prawdziwym Mesjaszem, a nie Jezus Chrystus. Wiem, szok, przerażenia. Wygląda na to, że nowe millennium, chociaż trwa już dekadę, wciąż do obłądu pasjonuje się pseudohistoryczno-religijnym nonsensem. Musi pani pamiętać, że w tamtych czasach każdy chodził po okolicy, twierdząc, że jest synem Bożym. Druciarz, krawiec, wytwórca świec, mesjasz, żebrak, złodziej. Co za różnica? Takie to były czasy - ropuch wzruszył ramionami. - Zawsze wyobrażam sobie, że wyglądało to trochę jak z filmu Monty Pythona *Żywot Briana*,

każda ulica mogła się pochwalić własnym Zbawicielem. - Uśmiechnął się kwaśno. - Ale muszę przyznać, że do pewnego stopnia rozumiem ich argumenty. Jeżeli zastanowić się nad tym racjonalnie, to bez Judasza nie istniałoby dziś chrześcijaństwo, czyż nie? Nie byłoby zbawienia. Nie byłoby odkupienia grzechów tego świata. Nie byłoby czystej karty dla ludzkości. Oczywiście, bycie Wielkim Pomocnikiem nie czyni kogoś automatycznie świętym, prawda? Ale, pomyślmy przez chwilę; gdyby Judasz był prawdziwym mesjaszem, to bym ich zapytał: co jego śmierć uczyniła dla ludzkości? Jak jego ofiara teraz nas ocala? Nie zrobiła tego, prawda? Czy może coś mi umyka? - mówił rozsądnie Schnur. - Rozglądam się dzisiaj wokół mnie, patrząc na te wszystkie wojny, całe to bezsensowne zabijanie i przypadkową przemoc, i zastanawiam się, czy tak właściwie nie zostaliśmy potępieni.

Orla popatrzyła na grubego mężczyznę, gdy rozłożył szeroko ręce.

- Wiem, niezbyt modne sentymenty. Przepraszam. W niektóre dni tęsknię za Dassah bardziej niż kiedy indziej. Przyłapuję się na skłonności do melancholijnych wynurzeń. Jednak sporo nad tym rozmyślałem. Oto przekleństwo życia w tym miejscu i czasie. Co pani zdaniem oznacza mesjasz Orlo?

- Syna Bożego - odparła.

Wiedziała, że się myli, ale chciała usłyszeć, co jej na to odpowie.

- Po hebrajsku to znaczy Namaszczony. Istniało całkiem sporo mesjaszy. Wiedziała pani o tym? W tradycji żydowskiej powiedziano, że syn z linii króla Dawida, ben Isaj, powróci, by sprowadzić Żydów z Wypędzenia, odbudować Świątynię w Jerozolimie i przynieść okres dobrobytu i pokoju. W takim sensie wiara w mesjasza była niczym innym, jak wiarą w odrodzenie Izraela i w koniec trosk. Myślę, że teraz byłaby dobra pora na nowego mesjasza. Idea mesjanistyczna zmieniała się w ciągu wieków, zwłaszcza gdy Judea została podbita przez Babilończyków i gdy znajdowała się pod władzą cesarza Hadriana. Powiązano z tym słowem nowe przymioty i nagle ludzie mówili o wskrzeszaniu zmarłych, co ma sygnalizować koniec świata. W terminologii chrześcijańskiej mesjasz był istotą boską, która zapoczątkuje Królestwo Boże na ziemi. No i jest jeszcze efraimski Mesjasz, koncepcja istniejąca w starożytnym judaizmie, oraz książka Zerubabela, opowiadająca o kobiecie imieniem Chofsiba, która towarzyszy mesjaszowi ben Józefowi na wojnie z wrogami, a kiedy on ginie, ona po jego śmierci ratuje Jerozolimę. W naszych czasach rabin chasydzkiego ruchu Chabad Lubawicz był czczony jako mesjasz. Nigdy nie twierdził, że jest synem Bożym. To taka dziwna rzecz, że jej znaczenie uległo wypaczeniu z powodu rozwoju chrześcijaństwa. Koncepcja mesjasza nie jest częścią biblijnego judaizmu, wiedziała pani o tym? Nie, dlaczego miałaby pani wiedzieć. Rozwinęła się z tradycji ludowej z niezliczonymi odmianami, niezliczonymi sposobami rozumienia, co to rzeczywiście znaczy. Jest tematem pieśni chasydzkich, pojawia się nawet Talmudzie Babilońskim, ale tam dotyczy okresu, kiedy Żydzi odzyskują niezależność i wszyscy powrócą do ziemi izraelskiej. Mówi nawet, że wszelkie proroctwa dotyczące mesjasza są alegoryczne, i że jedyną istotną kwestią jest fakt, że wszystkie religie powracają do prawdziwej religii, że Żydzi są wolni, oraz że znamy mądrość Tory. Trochę się to różni, czyż nie? A więc nawet samo słowo „mesjasz” to kolejna rzecz przeinaczona przez chrześcijaństwo.

Orla nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie przyjechała tu, żeby studiować teologię, ale nie mogła pozbyć się myśli, że właśnie się czegoś dowiedziała, choć nie była pewna, czego.

- Fascynujące - odezwała się bardziej z grzeczności niż z powodu prawdziwego zainteresowania.

- Oczywiście, osobiście zawsze uważałem za fascynujące to, że Judasz nie został ani razu wymieniony w Ewangelii Piotra. Proszę pomyśleć, co nam to mówi? Ten tak zwany wielki zdrajca nie zasłużył sobie nawet na wzmiankę w ewangelii pierwszego ze świętych? Ta „zdrada” zapoczątkowała całą tę mitologię, którą gładko połączyliśmy, i nawet nie pojawia się w jednej z głównych ewangelii? Ale - ropuch zaśmiał się do siebie, zanim podzielił się tą

myślą - jeżeli uwierzyć, że Judasz był faktycznie boskim narzędziem, z braku lepszego słowa powiedzmy, że mesjaszem, to z pewnością uczyniliby z owych trzydziestu sztuk srebra, którymi opłacono naszą religię, najświętszy artefakt znany ludzkości, czyż nie? Zamiast krzyża ludzie czciliby pieniądze. - Położył monetę na stole między nimi. To był nowy izraelski shekel ze słowem „Jehud” zapisanym w starożytnym hebrajskim. Srebro. - Wydawać by się mogło, że właściwie już tak jest, nieprawdaż? Pieniądze, pieniądze, pieniądze. To wszystko bzdury, ale to ciekawe odwrócenie ról, nie sądzi pani?

- Kim oni są? - zapytała Orła.

Nie oczekiwała wykładu z historii.

Ropuch wzruszył ramionami. Wraz z ruchem ramion zafalowała cała górna połowa jego ciała. Krawędź biurka wgniotła mu się w ciało na przedramionach, kiedy nachylił się w jej stronę.

- Rzeczywiście, kim oni są? Mamy tyle domysłów, ile dni w tygodniu. Nawet więcej. W ciągu kilku ostatnich lat w Jerozolimie i Tel Awiwie miało miejsce sporo samobójczych zamachów bombowych i innych ataków, do których przyznawały się Krzyki, ale jeżeli chodzi o stuprocentowo pewne fakty, to wiemy bardzo niewiele. Powiedziałbym, że to duchy, ale nie, oni są bardziej jak upiory. Żywią się rozpaczą. To, co udało nam się zdobyć, jest w najlepszym wypadku mgliste, ale sądzimy, że każdy apostoł ma swoich wyznawców, więc zamiast z jedną spójną organizacją mamy raczej do czynienia z odrębnymi komórkami, które wyrosły jak odnogi z głównego trzonu grupy. W zasadzie patrzymy na trzynaście samodzielnych bytów, z których każdy ma ten sam cel, szerzenie terroru. A gdy ma pani ten obraz solidnie ugruntowany w głowie, wówczas, moja droga, zacznij pani pojmować naturę Krzyków. Niech pani przez chwilę pomyśli o skali.

Pomyślała. Pomyślała o trzynaściorgu niewinnych ludziach, których podpalenie się żywcem w trzynastu miastach Europy rozpoczęło cały ten łańcuch zdarzeń, w który ona sama się wplątała.

- W ubiegłym roku przeczesaliśmy miasto, opierając się na anonimowej wskazówce, jaką otrzymaliśmy. Schwytaliśmy dwóch mężczyzn, którzy naszym zdaniem pełnili ważne funkcje w jednej z siatek Nic nam z tego nie przyszło. Jeżeli pomyślimy o każdym Krzyku jako o samowystarczalnym organizmie, to każdy wydaje się zorganizowany w taki sposób, że nikt nie wie, kto znajduje się o dwa poziomy wyżej od niego w łańcuchu albo kto jest dwa poziomy niżej. Każdy z nich odpowiada za zwerbowanie jednego i tylko jednego człowieka, który działa bezpośrednio pod nim i tylko jemu podlega, tożsamość zwerbowanej osoby nie jest ujawniana nikomu, nawet samemu apostołowi, więc nikt nie wie, jak daleko sięga sieć ani jakie ważne stanowiska zostały zinfiltrowane. Wszyscy działają na ślepo. Tego rodzaju model organizacji sprawia, że niemal niemożliwe jest się do niej przedrzeć. Jeżeli zdejmujemy jednego człowieka, zrywamy łańcuch, ale nie mija wiele czasu, aby wyrosła mu nowa odnoga, a ci, którzy pozostają, po prostu stają się nową głową swojego własnego węża. Próba zinfiltrowania tego rodzaju grupy to czysty obłęd. To także oznacza, że niemal nie można ich powstrzymać. Przez większość czasu ganiamy za własnym ogonem, przez resztę ścigamy ich cienie. Zadajemy im cios, oni odcinają się od swojego człowieka i zostajemy z niczym. To proste i frustrujące jednocześnie.

Orla skinęła głową. Natknęła się już na podobne mechanizmy obronne w uśpionych komórkach w Europie Zachodniej. To stanowiło element współczesnej filozofii strachu. Opierało się na braku zaufania. Nikt nie mógł sobie pozwolić na to, by zaufać komukolwiek w swoim otoczeniu. Spodziewali się, że w każdej chwili mogą zostać zdradzeni, więc nie istniały tajne kryjówki, nie było żadnych sekretnych spotkań konspiratorów knujących plany. Trudno zostać zdradzonym, jeżeli ludzie nie mają najbledszego pojęcia, kim jesteś ani czy właściwie w ogóle istniejesz. Każdy skupiał się na własnym miejscu w łańcuchu. W strukturze chronionej przez brak zaufania zabawne było to, że każdy z poszczególnych

konspiratorów musiał polegać wyłącznie na słowie człowieka stojącego ponad nim w łańcuchu, że nie są sami w tym, co robią. Orla chciała zapytać, jak apostołowie przekazują rozkazy, jak wezwanie do walki przechodzi z ogniwa do ogniwa tak, że nie trwa to wieki. Jak apostołowie oznajmują swoją wolę innym w łańcuchu? Była to podstawowa sprawa, ale przy tak poszatkowanym łańcuchu dowodzenia trudno sobie wyobrazić, żeby sięgali po telefon komórkowy i dzwoniли do pierwszego człowieka z listy poniżej własnego nazwiska. Omal się nie roześmiała na tę myśl. Powstrzymała się, i zamiast tego zapytała:

- A więc ci ludzie, których złapaliście, nic nie powiedzieli?

Ropuch pokręcił głową.

- Wręcz przeciwnie. Usta im się nie zamykały. Błagali. Zarzekali się. Przysięgali, że niczego nie wiedzą. Sztuką było powstrzymać ich od gadania. Niestety, mówili prawdę. Nie mieli do powiedzenia nic, co by się nam przydało. Mielіśmy nadzieję, że zgarniając jednego z nich, zdołamy wspiąć się wyżej, zdobyć nazwisko jego kontaktu, dotrzeć do kolejnego człowieka w szeregu, schwytać go, złamać, uzyskać nazwisko jego kontaktu i tak dalej. Nie całkiem się to udało.

Ropuch nerwowo oblizwał wargi. Orla odczuwała naturalne zaniepokojenie w towarzystwie ludzi, którzy oblizywali usta. To był podejrzany gest, odruch sugerujący ,zenerwowanie.

- Pierwsze nazwisko z naszej listy znaleziono dryfujące w ujściu Jarkonu następnego ranka po tym, jak zatrzymaliśmy jego człowieka. To był dosłownie martwy trop.

Orla znowu przytaknęła. To miało sens, że ktoś tam pilnuje, by utrzymywać w domu porządek. Biorąc pod uwagę naturę Krzyków, to sam apostoł czy - co bardziej prawdopodobne - jego prawa ręka dba o to, żeby ludzie Schnura nie mogli dostać się do zwierzchnika, likwidując po prostu po drodze kolejne ogniwa.

- Wszystko to jest bardzo interesujące, ale, niech mi pan wybaczy bezpośredniość, Gavrelu, jak właściwie to wszystko się ma do podwójnego Akima Caspiego?

- Parę dni temu powiedziałbym, że nijak - przyznał ropuch, znów poprawiając się na krześle. Orla współczuła meblowi. - Nie byłem nawet pewien, czy jakoś się ma, dopóki nie pokazała mi pani tej fotografii waszego człowieka. Wtedy, jak to się mówi, wszystko stało się jasne.

- Rozpoznaje go pan?

Ropuch powoli skinął głową, jak gdyby decydując, ile rozsądnie będzie ujawnić.

- Tak - odparł. - Był jednym z nas.

Tym przyciągnął jej pełną uwagę.

- Ma pan na myśli wywiad?

Gavrel jeszcze raz skinął głową i znów gest był aż do bólu powolny i przeciągany, jak gdyby dzielenie się nawet tą odrobiną informacji sprawiało mężczyźnie fizyczny ból.

- Teraz on nazywa sam siebie Mabus. Kiedy go znałem, nazywał się zwyczajnie Solomon. Był protegowanym Akima Caspiego. - Ponownie spojrział na zdjęcie z wykopalisk w Masadzie. - Głupiec wziął go pod swoje skrzydła, nauczył wszystkiego, co sam umiał. Myślę, że traktował go jako syna, którego nigdy nie miał. To powszechna ułomność bezdzietnych mężczyzn w pewnym wieku. Ciekawe, że Solomon postanowił przedstawiać się jako Akim. Kiedy zrobiono to zdjęcie?

- Mniej więcej dwa miesiące po śmierci prawdziwego Akima Caspiego - odpowiedziała.

- Zrobiono je podczas prac archeologicznych w Masadzie po trzęsieniu ziemi w 2004.

- Czyli, jeżeli dobrze panią rozumiem, na dwa miesiące, zanim zaczęły się te tajemnicze wypłaty od Humanity Capital?

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Ciekawe.

- Można tak powiedzieć - zgodziła się - ale ja nadal nie rozumiem, jak to wszystko się ze sobą wiąże. Mam wrażenie, że umyka mi coś oczywistego, co mam przed samym nosem.

- Od tej chwili wszystko, co pani powiem, to wyłącznie przypuszczenie. Nie ma poparcia w faktach. Nie mam właściwie powodu, by w to wierzyć, ale wierzę. Wierzę, że Mabus nie jest jedynie jakimś samozwańczym Apostołem Judasza lecz raczej Pierwszym Apostołem, człowiekiem, który stoi ponad nimi wszystkimi. Cóż, być może nie powinno dziwić, że ponownie pokazał się światu w Masadzie. Jak dużo pani wie o tym miejscu?

- Trochę - odpowiedziała Orla, pozostawiając Izraelczykowi domyślenie się, co wie, a czego nie.

- Przez pewien czas Masada była rzymską fortecą, później zajmowała ją grupa, która nazywała siebie sykariuszami. Z powodzeniem mogliby być pierwszymi terrorystami na świecie. Pragnęli usunąć z Judei Rzymian i ich zwolenników. Można by się spierać, że to taka sama walka, jaką toczyliśmy dzisiaj, ale czyż nie jest tak zawsze? Ludzie walczą o terytorium. W każdym razie sykariusze byli ludźmi sztyletu, zabójcami. Gwoli ścisłości, stąd wywodzi się ich nazwa - *sicae* to łacińskie określenie sztyletu. Sicarius, sykariusz, człowiek sztyletu. Byli prekursorami arabskich asasynów. Cierpliwych zabójców. Przygotowywali grunt, by zbliżyć się do swojej ofiary, wkręcając się do niej na służbę, zostając zaufanymi przyjaciółmi. Powiernikami. Sprzymierzeńcami. Stawali się niezbędni dla rzymskich generałów, których planowali zabić. Nie rzucali się w oczy. I wtedy, gdy czujność zanikła, zadawali cios i rozplądali się w chaosie wywołanym morderstwem, często wzywając pomocy dla umierającego człowieka i podtrzymując go niczym przyjaciele, którymi rzekomo byli. Czy coś z tego brzmi znajomo? Powinno. Toż to historia Judasza albo przynajmniej jedna z jej wersji. Nawet jego przydomek Iskariota bywa interpretowany przez niektórych uczonych jako zhellenizowane przekształcenie słowa „sicarius”. Przyrostek „ota” oznacza jego przynależność do sykariuszy. Oczywiście to tylko teoria, ale jest to teoria podparta wiedzą, że Menahem Ben Jair i jego brat Eleazar, ostatni znani przywódcy sykariuszy, byli wnukami Judasza. I, co dosyć ciekawe, bracia zginęli razem w Masadzie w 73 roku po Chrystusie, kiedy cała sekta wolała popełnić masowe samobójstwo, zamiast zostać schwytaana przez Rzymian. Dlaczego by więc Masada nie miała być idealnym miejscem na odrodzenie się pierwszego Apostoła Judasza? Istnieje w tym pewna makabryczna symetria - pokręcił głową.

Orla tak naprawdę nie rozumiała połowy z tego, co mówił. Przestała słuchać w trakcie wywodu, kiedy coś, co powiedział ropuch, zaburzyło jej swobodny tok myśli. Coś tu do siebie nie pasowało.

- Mabus występuje w ich imieniu od pięciu lat. Ma obsesję na punkcie przeniesienia terroru w tym kraju na nowy poziom. Kręci filmy nienawiści i rozprowadza je za pośrednictwem Internetu. Nazywają to Wirusem Strachu. Przyznaje się w nich do ataków w Jerozolimie, Tel Awiwie, Gazie i na Zachodnim Brzegu. Otwarcie z nas szydzi. Prowokuje naszych śledczych, kiedy polujemy na jego ludzi. W zeszłym roku wprowadzili politykę „jeden z waszych za każdego z naszych”. Po tym, jak schwytaliśmy dwóch z nich, porwali dwóch moich ludzi, dobrych ludzi, i pokazali ich egzekucje w Internecie. Niedobrze mi się robi od tego, co wyprawia ten człowiek. Patrzę na plugastwo, które on szerzy, i mam ochotę zadusić go gołymi rękoma, panno Nyren. Jak pani z pewnością docenia, nie jestem człowiekiem gwałtownym. Dla Mabusa zrobiłbym wyjątek. Dla Mabusa pobrudziłbym sobie rękę. Jednak tym, co przeraża mnie najbardziej, nie są filmy czy ścinanie głów, wszyscy znamy ryzyko, kiedy podejmujemy pracę w tej branży. Nie, najbardziej przeraża mnie to, że on nas zna, wie, jak myślimy, ponieważ był jednym z nas.

Orla rozumiała go aż za dobrze. Nikt nie chciał mieć i wroga, który podziela ten sam sposób myślenia i zna kruczki protokołu. Znaczyło to, że może przewidywać każdą odpowiedź, każdą akcję, i zabezpieczać się. To nie tylko dawało mu przewagę, dzięki temu mógł niemal sięgać im wprost do głów, wyłapywać każdy krok i podjęte środki, jeszcze

zanim padł pierwszy cios. To czyniło ich wroga wszechmocnym. Obdarzonym boską mocą. Ale Orla nie rozumiała, skąd ropuch wiedział, że to on.

Gavrel Schnur sięgnął w dół i otworzył jedną z szuflad w biurku. Wyjął akta opisane „Mabus”. Otworzył teczkę i położył ją na biurku między sobą i Orlą.

- Nigdy nie znaleźliśmy człowieka odpowiedzialnego za śmierć mojego starego przyjaciela - powiedział ropuch. - Ale teraz - postukał pulchnym palcem w leżącą na stole fotografię - myślę, że go mamy. Sądzę, że nareszcie zaczynam pojmować mnóstwo rzeczy, które od dawna nie dawały mi spokoju, panno Nyren, i za to pani dziękuję. A teraz myślę, że dotrzymałem swojej części umowy i opowiedziałem pani wszystko, co wiemy o Krzykach - pchnął teczkę po blacie w jej stronę. - To powinno zapewnić pani interesującą lekturę, nawet jeśli nie zda się na więcej. Znajduje się tu każdy strzępek informacji, jakie zebraliśmy na temat Mabusa i jego ludzi. Są pani. Nie byłem pewien, jakie ustalenia zostały poczynione odnośnie do pani pobytu, więc pozwoliłem sobie zarezerwować apartament junior suit w hotelu Dan Tel Awiw. To jeden z najprzyjemniejszych hoteli w mieście z przepięknym widokiem na wodę. I naprawdę uważam, że przepięknym, nie powtarzam formułki z reklamowej broszurki. - Zaśmiał się. - Nie wiem jak pani, ale ja doceniam odrobinę przestrzeni, gdy jestem w podróży - ropuch ujął w obie dłonie swój obwisły brzuch i potrząsnął nim. To był dziwnie autoironiczny gest. - Ale, i proszę mnie źle nie zrozumieć, nie też tak nie cieszy jak odrobina przyjemności. Niech pani weźmie akta, zapozna się z nimi. Jest tam mnóstwo rzeczy. Uzgodnię, żeby Sokol odebrał panią rano. Jeżeli będzie coś, czego pani nie zrozumie albo będzie chciała omówić, zajmiemy się tym jutro. Czy to pani odpowiada?

Orla wzięła teczkę z biurka i z miejsca wsunęła ją do własnej torby, jak gdyby obawiała się, że Schnur może zmienić zdanie i ją odebrać. Nie potrafiła sobie wyobrazić nikogo na podobnym stanowisku w MI5 składającego taką samą ofertę. Być może źle go oceniła?

- To bardzo uprzejme z pana strony - powiedziała. - Mam na myśli wszystko. Rzeczywiście nie miałam okazji zastanowić się, gdzie będę dzisiaj spała, więc dziękuję panu. Odrobina luksusu to właśnie to, co zalecał lekarz.

- Ależ nie ma o czym mówić. Przyleciała pani z daleka, żeby rozwiązać zagadkę morderstwa mojego przyjaciela. Przynajmniej tyle mogę dla pani zrobić. Słyszałem, że masaż shiatsu jest niebiański. Nie znam tego z własnego doświadczenia. Minęło sporo czasu, odkąd pozwalałem się komukolwiek dotykać - jego spojrzenie na moment powędrowało w kierunku modelu samochodu na półce z książkami.

Zrozumiała.

Zaczęła się podnosić, zdając sobie sprawę, że jej spotkanie z ropuchem dobiegło końca.

- Jeszcze jedna sprawa, jeśli można - odezwał się Gavrel Schnur, spoglądając na nią. - Zanim pani wyjdzie, może zechce mi pani powiedzieć, dlaczego ten cierń w moim boku okazał się na tyle kłujący, żeby sprowadzić panią do mojego miasta?

Był dobry, pomyślała. Zachował swoje podchody na ostatni moment, a ona już prawie była jedną nogą za drzwiami. Chodziło o złapanie jej, gdy nie będzie się miała na baczności. Wstawała dalej, odsuwając krzesło do tyłu. Nogi krzesła zazgrzytały na podłodze. Orla uśmiechnęła się na ten dźwięk; to był jej mały bunt, który oznajmiał, że ropuch nie dostanie wszystkiego tak, jak by tego chciał. Gavrel Schnur pragnął wiedzieć, co wiedzą oni. To było jasne. Ujawnił swoje karty, a teraz, trzymając się nadal pokerowej analogii, sprawdzał ją. Jednak ona nie miała zamiaru wykładać na stół swoich kart, przynajmniej jeszcze nie teraz. Nic się nie zmieniło od chwili, kiedy weszła do siedziby ropucha. W tym świecie informacja wciąż była twardą walutą. To także było jasne. Być może właśnie ofiarował jej małą fortunę, a może próbował wcisnąć jej parę fałszywych banknotów. Bez sprawdzenia dokumentów Orla nie mogła tego wiedzieć. Oczywiście, żeby przekonać ją o wartości swojego towaru, teraz naciskał, żeby dostać coś w zamian. Nie chciał czekać. *Qui pro quo*.

- Pozwoli pan, że przeczytam to dziś wieczorem - Orla postukała w torbę.

Mówiła naturalnym głosem, pogodnie, i pilnowała się, by wątpliwości nie dały się słyszeć w jej tonie. Nie chciała urazić ropucha, ale nie chciała też mówić mu wszystkiego, co wie. Podeszła do drzwi i odwróciła się do otyłego mężczyzny, decydując się, już z ręką na klamce, zaoferować mu drobny kąsek na zaostrenie jego nienasyconego apetytu.

- Sądźmy, że ten mężczyzna, przez pana nazywany Mabusem, może stać za śmiercią ludzi, którzy są z nim na tej fotografii. - Nie powiedziała, jak zginęli ani co w ich śmierci przykuło uwagę sir Charlesa. Jeżeli Gavrel był tak dobry, jak podejrzewała, już to wiedział i szukał tylko potwierdzenia. To również składało się na naturę informacji w tym tajemnym świecie oszustwa, półprawd, cieni i podsłuchiwanie. - To powiązanie, którego zbadanie bardzo nas interesuje. Kiedy spotkamy się jutro, może będziemy mogli porównać nasze dane?

- Z największą przyjemnością, panno Nyren - odparł ropuch.

19

KRZYSZTAŁOWE WODY

Orla nie zajrzała do apartamentu w Dan Tel Awiw.

Było w tej propozycji coś, co po prostu jej nie odpowiadało. Nie potrafiła dokładnie określić, dlaczego coś wydawało się jej podejrzane, ale nawet starając się z całych sił, nie potrafiła sobie wyobrazić, by jakiś brytyjski szpiegowski tuz był tak troskliwy czy tak ekstrawagancki. I to jej wystarczyło.

Zamiast skorzystać z oferty, minęła port i skorzystała ze swojego „plastykowego przyjaciela”, żeby wynająć pokój w Dan Panorama.

Nie miała bagażu, ale portier upierał się, by jej towarzyszyć przez całą drogę do pokoju, po czym oczekująco wyciągnął rękę. Dała mu napiwek, przepraszając, że nie ma żadnej miejscowej waluty. Zapewnił ją, że to nie problem. Klimatyzacja była włączona, a ekran telewizora witał ją w hotelu Dan Panorama i wyrażał nadzieję, że pobyt się jej podoba. Szerokie okna wychodziły na krystaliczny błękit wody. Drzwi balkonu były na wpół otwarte i zapraszały. Orla wyszła na balkon i stała tam przez całe pięć minut, opierając dłonie na barierce i po prostu chłonąc bajeczny widok.

Apartament składał się z trzech pokoi, z przestrzenią wypoczynkową z dwiema niedużymi kanapami ustawionymi wokół telewizora z płaskim ekranem i stolika do kawy. Najróżniejsze czasopisma, od Business Today po Architectural Monthly, What Photo? i Harpers, leżały ułożone w wachlarz na stoliku kawowym - lekka lektura dla wszelkich możliwych gustów. Na drzwiach wisiał luksusowy szlafrok. Orla przesunęła dłoń po jego grubej pluszowej tkaninie. Za kanapami znajdowała się jadalnia o przyjemnych dla oka proporcjach. Na stole stała misa z piętrzącą się piramidą owoców, na którą składało się wszystko, od jabłek, pomarańczy i winogron po kiwi, guawę i papaje. Lodówkę zapełniały miniaturowe butelki szampana, San Pellegrino, soku pomarańczowego, wódki Absolut, po pół butelki przyzwoitego czerwonego i białego wina, jak zwykle paczuski orzeszków i dosyć czekolady, żeby zaspokoić nawet największego łasucha.

Orla zdjęła bluzkę, rozkoszując się dotykem powietrza na skórze, i cisnęła ją na najbliższą z dwóch kanap.

Wyszperała w torebce telefon komórkowy i zadzwoniła. To była krótka rozmowa, Orla przekazała Lethemu najnowsze wieści o tym, czego się dowiedziała, gdy jednak przyszło jej to opowiedzieć, okazało się, że jest tego niewiele. Apostołowie Judasza, ponownie Mabus, lekcja historii i mnóstwo ślepych uliczek. Gavrel Schnur nie powiedział nic na temat Masady

ani dlaczego prawdziwy Akim Caspi został zamordowany. Orla miała nadzieję, że prawda znajduje się w aktach Mabusa, ale coś jej podpowiadało, że tak nie jest. Prawda była w tym mieście obcym pojęciem.

Rozłączyła się z Lethem i przeszła do sypialni.

To było miejsce jak z Baśni tysiąca i jednej nocy. Łóżko przykrywały bogate jedwabne nakrycia i piętrzył się na nim z tuzin poduszek. Meble wykonano ręcznie z czarnego drewna z niewiarygodną starannością. Sypialnia wyglądała bardziej jak luksusowy burdel dla bogaczy niż jak pokój hotelowy.

Orla odłożyła akta na nocną szafkę, zrzuciła buty, odepchnęła ponad połowę poduszek i ułożyła się na olbrzymim łożu.

Materac dopasował się do jej ciała, otulając ją miękkim kokonem. Wentylator na suficie obracał się leniwie w upalnym powietrzu. W przeciwieństwie do tanich moteli, gdzie wentylatory doprowadzały ją do szału swoim irytującym warkotem w tle, ten został pieczołowicie naoliwiony. Orla nie potrafiła się zrelaksować. Nie mogła usiedzieć na miejscu. Po dwóch minutach leżenia na plecach poderwała się z łóżka, ledwie dając ciału możliwość odcisnięcia się w termoelastycznej piance. Czuła, jak ogarnia ją znużenie, opanowując też jej myśli. Nie chciała jeszcze spać. Musiała się zastanowić. Przeszła do łazienki i zaczęła szykować sobie kąpiel.

Orla przygasiła światła i opróżniła buteleczkę kosztownych soli oraz luksusowego płynu do kąpieli, wlewając go do wody i rozcarniając dłonią, aż zaczęły się tworzyć bąbelki. Wychodząc z łazienki, ustawiła klimatyzację na ochłodzenie pomieszczenia do przyjemnej temperatury 20 stopni Celsjusza.

W sypialni zdjęła z siebie ubranie. Było czuć, że przebyła w nim ponad trzy tysiące kilometrów. Naga przeciągnęła się, wyginając kręgosłup i prostując kręgi, przechylając się najpierw w lewo, potem w prawo. Przeszła przez pokój, żeby dostać się do telefonu, i zadzwoniła po obsługę, żeby pokojówka zabrała jej rzeczy i by je uprano i przygotowano na rano.

Na ścianie w sypialni znajdował się reagujący na ruch system audio Bang & Olufsen. Orla przesunęła ręką przed panelem o barwie onyksu, zdumiona tym, jak luksus można kupić za pieniądze, i urządzenie otworzyło się. Pokój hotelowy był wyposażony lepiej niż całe jej mieszkanie. Powinien być, skoro kosztował prawie tysiąc dolarów za noc. Schnur miał raczej co do jednego - niekiedy dziewczyna pragnie czuć się odrobinę rozpieszczana. Wewnątrz systemu audio zamiast odtwarzacza CD znalazła czterocalowy ekran dotykowy z listami już załadowanych utworów różnych gatunków. Wybrała składankę z lat 80., dostosowała głośność i przestawiła głośniki na łazienkę, po czym poszła się kąpać. Bąbelki prawie uciekały już z wanny, a lustra zmatowiały od pary. Orla zakręciła kran, przeniosła największy ręcznik tak, by siedząc w wannie mieć go w zasięgu ręki, i zanurzyła się w pianie.

Zamknęła oczy i po prostu delectowała się gorącym szczypiącym jej nagą skórę.

Haircut 100 śpiewali jej *Fantastic Day* przez małe głośniki wprawione w wykafelkowaną ścianę po obu stronach zaparowanego lustra. Dzień jednak nie wydawał się fantastyczny, chyba że znaczenie tego słowa zmieniło się na „taki, który nie ma końca”. Orla pozwalała wodzie, by ją obmywała, oczyszczając skórę. Zmęczenie groziło owładnięciem nią całą. Nabrała w dłonie trochę piany i wmasowała ją w ramiona. Zsunęła się niżej, tak że woda zakryła jej twarz, i wstrzymała oddech, licząc w myślach do dwudziestu, a później podniosła się, wytrząsając pianę z włosów jak mokry pies. Osuszyła uszy, wygarniając z nich wodę małym palcem. Następnie porządnie się namydliła, rozkoszując się dotykiem piany powstającej na jej skórze. Raz jeszcze się zanurzyła, pozwalając wodzie dokładnie spłukać mydło. Kiedy znów się wynurzyła, piosenka była już inna. Zespół Duran Duran śpiewał, że jest głodny jak wilk.

Usłyszała, jak ktoś porusza się w drugim pokoju. Jej pierwszym odruchem była panika. Wiedziała, że zamknęła drzwi, ale potem przypomniała sobie o praniu, Pokojówka miała klucz uniwersalny. Orla zawołała, przekrzykując muzykę:

- Ubrania leżą na łóżku!

Spieniła szampon w dłoniach i wtarła go we włosy, wmasowując go dokładnie aż po cebulki, a potem znowu zanurkowała. Raz po raz przeczesywała włosy palcami, wstrzymując oddech. Piana utworzyła warstwę na powierzchni wody. Orla wynurzyła się, żeby zaczerpnąć powietrza, i znów dała nura.

Coś nie dawało jej spokoju od chwili, gdy opuściła gabinet ropucha. Nie chodziło o to, że pozwolił sobie zarezerwować jej pokój w Dan Tel Awiw. To mogła być staromodna ludzka życzliwość. Tu chodziło o coś jeszcze. Orla nie potrafiła stwierdzić, co to takiego, tylko że coś, jakaś dręcząca wątpliwość, wciąż odzywała się w jej głowie. Coś, co powiedział albo czego nie powiedział. Jeszcze raz wystawiła głowę z wody, wypuszczając powietrze przez usta i nos. Pięć razy zrobiła głęboki wdech i wydech, powoli, i zanurzyła się po raz kolejny. To było niczym jedna z tych skomplikowanych układanek ze sznurka, popularnych w czasach, gdy była dzieckiem, w które wkłada się palce i im mocniej próbuje się je wyciągnąć, tym bardziej uparcie zaciska się na nich pułapka. Nękało ją to, ale jej umysł nie dostrzegał związku.

I wtedy to do niej dotarło: jak Gavrel Schnur mógł wiedzieć tak dużo o tym całym Mabusie? Zgoda, był dobry, ale czy aż tak? Czy to możliwe? Schnur sam powiedział, że nawet ludzie zwerbowani przez Krzyki mieli bardzo ograniczoną wiedzę. Znali jedynie dwie inne osoby w całej komórce - człowieka, który ich wciągnął, i tego, którego sami zwerbowali. Schnur spojrział na zdjęcie Solomona - tylko Solomona, nie wymienił nawet nazwiska mężczyzny - i już go rozpoznał. Czy po prostu podsunął jej te informacje o Mabusie i jego terrorystach, w jakie byłaby skłonna uwierzyć, spośród wszystkiego, co o nim wiedzieli. Jego nazwisko wypływało raz po raz, ale brakowało twarzy, którą mogliby połączyć z nazwiskiem. Był duchem. Tak jak stwierdził ropuch, w ten sposób działali. Nikt nie wiedział, kto to jest, nikt nie znalazł prawdziwego człowieka kryjącego się za pseudonimem. Pokręciła głową nad własną głupotą. A myślała, że jest taka sprytna, wstrzymując się z ujawnianiem swojej wiedzy przed ropuchem. Była taka zaaferowana, by nie zdradzić się z tym, co wie, że nie słuchała tego, co mówił. Fakt, że ropuch rozpoznał Solomona jako Mabusę, oznaczał, że sam musiał być człowiekiem stojącym powyżej albo poniżej w tym terrorystycznym łańcuchu pokarmowym. Nie było innego sposobu, żeby mógł go znać. Właściwie sam jej to powiedział, gdy wspominał, że sympatyzuje z ich sprawą. Szczegółowo wyłożył ich przekonania, położył nawet na stole srebrny szekel. Judasz został ponoć kupiony za szekle z Tyra.

Chryste, ależ była idiotką!

On nie tylko pozwolił sobie zarezerwować dla niej pokój, on próbował ulokować ją gdzieś, gdzie mógłby ją znaleźć, gdy będzie mu to potrzebne. Hotelowy pokój był wygodniejszy niż zwykła cela, ale i tak właśnie tym miał być.

Orla zaczęła wychodzić z kąpieli.

Kiedy jej głowa wyłoniła się spod powierzchni, Orla ujrzała nachylającą się nad nią zamaskowaną twarz. Skórzane rękawice zacisnęły się na jej gardle i została wepchnięta pod wodę. Rzuciła się gwałtownie, kopiąc i wymachując rękoma, połykając przy tym wodę, gdy próbowała krzyżeć. Gdy poczuła, jak walka osłabia jej ciało, zamaskowany mężczyzna wyciągnął ją z wody i uderzył na odlew w twarz, zmuszając do oddychania. Wykasła pełno wody z płuc. Bez słowa mężczyzna znowu posłał ją pod wodę. Usiłowała chwycić go za nadgarstki i oderwać je od swojej szyi, ale był zbyt silny. Rozchłapywała mydliny, kopiąc jak szalona. Uderzała o powierzchnię, roztrącając bąbelki, a później ześlizgnęła się po ścianie wanny. Jej głowa uderzyła o dno.

Orla odruchowo otworzyła usta, żeby zawołać po pomoc, i zakrztusiła się, gdy woda z mydlinami zalała jej usta.

Bezradnie uderzała o bok wanny, usiłując czegoś dosięgnąć, czegokolwiek.

Zamaskowany mężczyzna znowu dźwignął ją do góry. Kaszłała wodą, plując i starając się coś zobaczyć, choć oczy piekły ją od mydła. Nie była w stanie skupić wzroku na niczym w pomieszczeniu. Wszędzie była para, a w parze cienie, zamazane kształty. Mogła patrzeć na jednego zamaskowanego mężczyznę albo na trzech.

- Naprawdę byłaś taka głupia, żeby myśleć, że zdołasz się przed nami ukryć gdziekolwiek w tym mieście?

Nie rozpoznała tego głosu. Słysząc w nim było wyraźny, ciężki akcent, ale woda i strach mogły zniekształcić to, co usłyszała.

Była bezbronna. Naga. Sięgnęła w kierunku twarzy mężczyzny. Chciała go zobaczyć. Ledwie jej palce dotknęły wełnianej tkaniny jego kominiarki, chwycił ją za nadgarstek i wykręcił go, używając tego chwytu, by ponownie wepchnąć ją pod wodę. Zanurzając się, usłyszała, jak ktoś stojący za nim mówi:

- Nie wykończ jej.

Usiłowała wypchnąć głowę z powrotem ponad wodę. Nie zdołała. Zamaskowany mężczyzna sięgnął w dół, zacisnął jej rękę na gardle i zatrzymał ją pod wodą.

- Szef chce mieć tę sukę żywą.

Znała ten głos.

Znała go, ponieważ słuchała go wcześniej przez cały dzień.

Znała go, bo była na tyle głupia, by mu zaufać.

Uzzi Sokol.

Jeden z ludzi ropucha.

20

KONTROLA

Sir Charles Wyndham zadzwonił tuż przed północą. Po trzecim dzwonku podniesiono słuchawkę. Senny głos odezwał się ostro:

- Lepiej, żeby to były dobre wieści?

- Jeżeli łysy mężczyzna ma język przebity łańcuchem, to jak może śpiewać? - odezwał się sir Charles, starannie wypowiadając każdą sylabę.

To był głupi gambit na otwarcie gry. Każdy, kto podsłuchiwałby linię, natychmiast by się zaciekał.

- Powiedz to jeszcze raz - powiedział mężczyzna po drugiej stronie.

Staruszek mógł niemal usłyszeć, jak senność ulatnia się z tego zniewieściałego głosu.

- Jeżeli łysy mężczyzna ma język przebity łańcuchem, to jak może śpiewać?

- Och, na litość boską, masz pojęcie, która godzina?

Sir Charles nie żywił współczucia dla tego człowieka. Jego życie stało się bezpieczne, komfortowe. Jak wielu innych na wyższych stanowiskach w tej branży nabrał przekonania, że codzienny biurowy kierat od dziewiętej do piątej to jego święte prawo. Telefony późno w nocy, hasła i potajemne spotkania były dla szaraków pracujących mięśniami.

- Musimy porozmawiać - oznajmił sir Charles.

- Rozmawiamy.

- Linia nie jest bezpieczna. Spotkajmy się przy *Fagus sylvatica*. O pierwszym brzasku. Są pewne sprawy, o których musimy podyskutować, a o których można mówić wyłącznie twarzą w twarz.

Odłożył słuchawkę, zanim mężczyzna po drugiej stronie zdążył zaproponować.

Max, kamerdyner staruszka, pchał jego fotel po miękkiej nawierzchni alejki do konnej jazdy, znanej w Londynie jako Rotten Row. Nazwa była znacznie ciekawsza od samej trasy. Ptaki już się pobudziły i ich poranny chór rozbrzmiewał w całym mieście. Na schludnie przystrzyżonej trawie w Hyde Parku wciąż jeszcze połyskiwały diamenty rosy. Powietrze było rześkie i czyste. Była to jedna z tych niewielu godzin w ciągu dnia, kiedy Londyn nie sprawiał wrażenia, że dusi się w smogu zanieczyszczeń.

Niedaleko przed nimi królewscy jeźdźcy z Household Calvary urządzali koniom poranną przebieżkę. Tętent końskich kopyt wprawiał ziemię w drgania. Sir Charles poczuł go poprzez stalową ramę swojego wózka. Na kolanach trzymał złożony koc, a na kocu złożoną gazetę. Kilku wcześniej wstających biegaczy przecięło alejkę niczym ludzkie ucieleśnienie ruchów Browna. Kobieta o krótko ostrzyżonych czarnych włosach przeszła równoległe z nimi prawie ze sto metrów; u jej boku w podskokach biegł miniaturowy czarny pudelek.

Staruszek zawsze uważał za zabawne, jak pewien typ właścicieli psów zdaje się podświadomie kształtować samych siebie na podobieństwo swoich ulubieńców. Niemal jakby tworzyli pomniejszone wersje samych siebie. Ale jednak nie ma to jak dwie nogi, pomyślał cierpko, patrząc na uwodzicielskie kołysanie jej bioder, gdy się oddalała.

Sir Charles lubił park wczesnym rankiem. Pasował wtedy do wszelkich przejawów życia, nie tylko do biegaczy i ptaków, latających wiewiórek i lisów. Był mikrokosmosem odzwierciedlającym samo miasto. W oddali staruszek zobaczył wysokiego mężczyznę w garniturze w prążki i meloniku, mijającego niegdysiejszą Tyburn Gate w pobliżu Speakers Corner. Już nawet z takiej odległości dało się go natychmiast rozpoznać. Jego krok cechował się sprężystością, którą można by opisać tylko jako zawadiacki animusz starej szkoły. Wyglądał nedorzecznie, kręcąc laską ze srebrną gałką, którą trzymał w prawej ręce. Nawet ze swojego miejsca sir Charles mógł dosłyszeć cichutkie pogwizdywanie. Gdy staruszek patrzył na tę karykaturę brytyjskiej arystokracji maszerującą przez park, do głowy przychodziła mu tylko jedna myśl - jak u licha Quentin Carruthers w ogóle przetrwał w akcji? Oczywiście za młodych lat był szykownym *bon vivantem*, dandysem palącym się, żeby działać, odpoczywać i ostro grywać z resztą chłopców. A w tamtych czasach reszta chłopców oznaczała także Kima Philby'ego, Burgessa i McCleana. Paczkę z Cambridge. Sir Charles nie mógł wyjść z podziwu, że ten figo-fago zdołał wyjść z tego fiaska czysty jak łąza, podczas gdy wszyscy wokół niego potracili głowy albo zdradzili. Przy całej swojej egzaltowanej zniewieściałości zawsze miał silnie rozwinięty instynkt samozachowawczy. Jednak gdy lata 60. przeszły w 70., a 70. w 80., stał się parodią samego siebie. W nowym tysiącleciu był już tylko przeżytkiem.

Mężczyzna podszedł do ławki przy starym buku o zwisających gałęziach, *Fagus sylvatica pendula*, i usadowił się na niej. Otworzył aktówkę i wyjął z niej zawinięte w pergamin trójkątne kanapki z tuńczykiem. Nie zjadł ich. Zwykle karmił nimi ptaki, czekając, aż sir Charles do niego dołączy. To było ich ulubione miejsce spotkań. Minęło sześć miesięcy, odkąd staruszek ostatni raz odwiedził stare drzewo. Fagus był naprawdę imponujący - buk płaczący. Wyglądał tak, jak gdyby dzieci nazbierały olbrzymi stos gałęzi i zbudowały sobie z nich jaskinię. Sir Charlesowi podobała się myśl, że zaledwie kilka kroków dalej nikczemni łotrzy dawnego Londynu dyndali na szubienicy, stanowiąc żer dla kruków, i bawiło go, że nowe miasto tak skwapliwie pragnęło ukryć przeszłość, że przemianowało Tyburn na Marble Arch, marmurowy łuk. To zapewne jeden z najwcześniejszych przykładów

upiększania faktów, na jaki się natknął. Wydawało się, że to odpowiednie miejsce dla dwóch starych szpiegów, żeby usiąść i wspólnie cieszyć się porankiem.

Maxwell dopchał wózek staruszka w pobliże ławki i przeprosił, pozostawiając go na chwilę samego. Sir Charles wziął złożoną gazetę z kolan i z namaszczeniem rozłożył ją, otwierając na stronie^ wiadomościami finansowymi. Czas nie obszedł się łaskawie z mężczyzną siedzącym obok niego.

- Och, na litość boską, Charlesie, stary druhu. Czy za każdym razem musimy odgrywać tę szaradę? Świetnie jest bawić się w szpiegów, kiedy się ma siedemnaście lat, ale gdy się dźwiga na karku siódmy krzyżyk, to się robi nużące, muszę wyznać. Ta gra już traci urok.

- Zawsze musiałeś popsuć całą zabawę, czyż nie, stary druhu? - odezwał się sir Charles.

- Jeżeli rozumiesz przez to przestrzeganie konwenansów, to chyba pomyliłeś mnie z kimś znacznie bardziej interesującym. Cóż, zakładam, że masz piekielnie dobry powód, żeby mnie tu ściągać?

- Grace Weller. To jedna z twoich? - zaczął Staruszek nie owijając w bawełnę.

Zawinał górną część gazety tak, że zniknęła winieta.

- Nie mógłbym... - Quentin zaczął wygłaszać standardową wymijającą mowę o tajności, ochronie i dobru państwa, gdy sir Charles wszedł mu w słowo.

- Oczywiście, że mógłbyś. Możesz sobie udawać, że jesteś na emeryturze, skoro ci się to podoba. Prawda jest taka, że można usunąć kogoś z Vauxhall, ale nie da się usunąć Vaux-hall z tego kogoś. Nie można być Kontrolą przez dwadzieścia pięć lat i tak po prostu odejść, stary druhu opowiedział sir Charles, naśladując afektowany sposób mówienia swego towarzysza. - Gotów jestem się założyć, o co chcesz, że lepiej niż ktokolwiek wiesz, co się dzieje z twoimi ludźmi; lepiej nawet od tego biednego durnia, który stara się dorównać twojemu świetlanemu przykładowi. Może rzeczywiście się starzeję, ale nie zdołasz mnie nabrać, stary przyjacielu. Ty wciąż trzymasz rękę na pulsie. - Jego ton się zmienił. - To poważna sprawa, Quentinie. Potrzebna mi twoja pomoc. - Nie dodał, że była na tyle poważna, by ściągnąć z emerytury człowieka, który kiedyś dał mu zielone światło do prowadzenia pozaregulaminowych działań Ogmiosa.

- Domyśliłem się tego, kiedy obudziłeś mnie tak bezlitośnie o północy tą bzdurą o Ogmiosie. Mój drogi, w życiu musi istnieć odrobina decorum. Kiedy zaczynasz zrywać mnie o północy, nie będąc ani Belą Lugosim, ani wyjątkowo urodziwym boyem hotelowym przynoszącym owoce, coś strasznego musi się dziać z tym światem. A teraz mów, jak u diaska taka stara ciota może ci pomóc, i miej na uwadze, że jestem już jedną nogą w grobie. Naprawdę nie jestem pewien, czy zdołałbym przeżyć jeszcze raz emocje potajemnego rendez-vous, choć żałuję.

- Grace Weller - powiedział znowu staruszek.

- Robisz się męczący. Nie mogę ani potwierdzić, ani zaprzeczyć, czy śliczna Grace walczy po stronie dobra.

- Co znaczy, że tak - odparł sir Charles.

Z Quentinem Carruthersem nie mogło się obyć bez gierki słownych. Ale w końcu Kontrolą nie zostawał ktoś, od kogo oczekiwano jasnych odpowiedzi.

- Cóż, jeżeli tak, to rozumiesz, że raczej trudno mi paplać na prawo i lewo o tym, co robi dla Jej Wysokości, nieprawdaż?

- Co robiła - poprawił sir Charles.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni kopię ostatniego listu Grace Weller i podał go Quentinowi Carruthersowi.

- Cóż, to okropna tragedia - odezwał się dawny szef szpiegowskiej siatki, wyglądając na szczerze wstrząśniętego tą wiadomością.

- W co była zaangażowana, Quentinie?

- Zakładam, że rozumiesz przez to, co takiego porabiała w Niemczech, że przez to zginęła?

- Róża pod innym imieniem - sir Charles uśmiechnął się łagodnie, przytakując.

- Ja naprawdę nie znam wszystkich szczegółów...

- Nie bądź taki wstydlivy, Quentinie. Jej notatki z misji sięgają wstecz do 2004 roku - skłamał starszy, kierując się intuicją. - Czyli że to ty pełniłeś funkcję Kontroli, kiedy została wysłana w świat. Nie próbuj mi wmówić, że nie wiesz dokładnie, co chciałeś, żeby zrobiła. Żadną miarą ci nie uwierzę.

- Twoje podejrzenia ranią mnie głęboko, stary przyjacielu. Czyż, jeśli mnie ukłujesz, nie uśmiechnę się i nie rzeknę: jeszcze? - Quentin Carruthers zaśmiał się z własnego żartu. - Tak, tak, dobrze więc, Grace była moją dumą i radością. Czy to właśnie chciałeś usłyszeć?

- Opowiedz mi, co miała robić w Berlinie.

Quentin Carruthers jakby prychnął pod nosem, a całe jego ciało drżało. Chwilę trwało, nim starszy usłyszał, że Carruthers tłumił szloch. Jego twarz wykrzywiła się.

- A więc to tam przebywała? Dawno nie miałem od niej wiadomości.

- Co tam robiła? - naciskał sir Charles.

Nie miał zamiaru odpuścić.

- To była paskudna sprawa, Charlesie. Okropna. Czy znana ci jest korporacja o nazwie Humanity Capital?

- Zetknąłem się z tą nazwą - odpowiedział, niczego nie zdradzając.

- Ubezpieczają żołnierzy w rejonach walk. Wszystko całkiem legalnie, czerpią profit, gdy nasi chłopcy nie dadzą się zabić, wypłacają odszkodowania, gdy coś pójdzie źle. W zasadzie to pasożyty, ale jakaż firma ubezpieczeniowa taka nie jest? W każdym razie sądziliśmy, że Humanity Capital była przykrywką dla innej, mniej uczciwej działalności. Zwyczajne wykorzystywanie. Jedzie się w nowy teren, integruje ze społecznością, wymienia drobny bakszyszek za parę przysług. Tego rodzaju rzeczy. Później to się potęguje i już wkrótce dostarczasz zaopatrzenie medyczne i żywność do miejsc, gdzie nie powinieć. A potem idą karabiny i amunicja. Dalej pocisk samonaprowadzający. Aż wreszcie, jak głosi nazwa na pojemnikach na to wszystko, jest *human capital*, kapitał ludzki. Tu chodzi o eskalację, posmarowanie właściwej łapy i już masz wszystko załatwione. Sam wiesz, jak to działa. Podaż i popyt.

- Wysyłają najemników, żeby walczyli z naszymi własnymi chłopcami? - spytał sir Charles, podążając za meandrami toku myślenia aż do logicznego wniosku. - Ale przecież to nie ma sensu? Jeżeli ich najemnicy dobrze się spisują, to korporacja musi wypłacać polisy dla żołnierzy?

- Można by tak sądzić, nieprawdaż? Ale zdziwiłbyś się, jak ci panowie potrafią się wici, jeśli chodzi o zatrzymanie grosza w kieszeni.

- Racja, a zatem wysłałeś ją, żeby pracowała dla Humanity Capital?

Quentin Carruthers skinął głową.

- Rzeczywiście, tak zrobiłem. Ona była gwiazdą, mój drogi, gwiazdą. W ciągu miesiąca zbliżyła się do Fraisera Devere'a na więcej niż jeden sposób. Humanity Capital to było ukochane dziecko Fraisera Devere'a. Znasz Devere'a, prawda? Dynastia Devere'ów. Stara fortuna. Pożenieni między sobą. Wujek żeni się z cioteczną kuzynką trzeciego stopnia. Sama błękitna krew. Znasz mnie, Charlesie, ja nigdy wyraźnie nie mówię swoim ludziom, jak daleko mają się posunąć, gdy pracują pod przykrywką, ale ci dobrzy sami to łapią i wprowadzają w życie. Grace wprowadziła to w życie. To był namiętny romans. A potem, bez żadnego powodu, on zerwał.

- Nabrał podejrzeń?

- Wątpię, ale coś go spłoszyło. Może obawiał się miłości. Mnóstwo ludzi się obawia, kiedy do tego dochodzi. Może po prostu się znudził i zachciało mu się nowej zabawki. Wiesz,

jacy są bogacze. Jakakolwiek była przyczyna, zupełnie się od niej odciął. Mamy zapisy jej raportów, ale o ile mi wiadomo, nic w nich nie było. A później poznała jego syna, Milesa. Wybierał się na jakąś budowę do Izraela, usiłując udowodnić papciowi, jaki jest niezależny. Grace znalazła sposób, żeby wkręcić się do tego projektu. Jaki ojciec, taki syn. Zostali kochankami, ale w przeciwieństwie do Devere'a seniora, junior był zakochany po uszy. Ciągłe starał się zaimponować naszej małej swoją wiedzą na temat brudnych tajemnic papcia. Nie muszę dodawać, że w tej kwestii było to rzeczywiście całkiem przydatne.

- Raczej tak - przytaknął sir Charles.

- Była z nim, kiedy założył Devere Holdings, i przez kilka lat miała wgląd w szczegóły każdej umowy, jaką zawierali. Zaczęła dostrzegać niezgodności w rachunkach korporacji, nie tylko ukrywanie paru groszy przed urzędem skarbowym, co można by zrozumieć, ale jakieś całkiem spore zagraniczne depozyty. Odbywały się spotkania. Początkowo zakładała, że to jakieś zwyczajne korporacyjne szpiegostwo przemysłowe, ale Grace nigdy nie spoczęła, nim nie zbadala wszystkiego do końca. Okazało się, że Miles Devere nie tylko zadawał się z niegrzecznymi ludźmi, to on był niegrzecznym facetem, z którym zadawali się inni, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Jego pieniądze wyrządziły na świecie wiele krzywd. Wszędzie, gdzie korporacje papcia rozpętywały wojny, ich śladem pojawiał się junior, wylapując kontrakty na odbudowę infrastruktury, budynków i szkół. Lubił osobiście otwierać szkoły. Świetna okazja do pozowania do zdjęć jako dobrotliwy kapitalista, i takie tam. Oczywiście, ani słowa o całej tej krwi na jego rękach. To by nie wyglądało dobrze w prasie.

Sir Charles pokiwał głową. Teraz miał już obraz Devere'a i rozumiał, jak to wszystko wiązało się ze sobą. Niektóre aspekty wciąż jeszcze nie miały sensu, a przynajmniej nie w pełni, ale jak zwykle zdawało się, że kluczem do wszystkiego był pieniądze, pieniądze, pieniądze oraz to, co można za nie kupić. Czyż nie zawsze tak jest?

- Ostatnim razem, gdy Grace się meldowała, a było to dosyć dawno... ponad rok temu... zostawiła enigmatyczną wiadomość dla swojego prowadzącego, że znalazła pacjenta zero. Wiesz, kto to jest pacjent zero? Pierwszy nosiciel choroby, który beztrudno chodzi sobie po świecie, zarażając innych, choć sam nie wykazuje nawet symptomów. Grace go znalazła, jak się wydaje, w Berlinie, skoro to tam jej smutna historia dobiegła końca. Biedna mała. Nie będę ubywał, że naprawdę ją lubiłem. Grała w tę grę równie dobrze jak każdy z nas, starych, robił to za młodu. No i była też ładniejsza, jeżeli ktoś ma takie preferencje.

Staruszek mógł się łatwo domyślić, kim w tym przypadku był „pacjent zero”. To Grey Metzger. Co do tego, jak miał się do Devere'a, żerowania na wojnie i czystce dokonanej przez oszusta podającego się za Akima Caspiego, który mógł być Mabussem, przywódcą terrorystów, nie miał jeszcze pewności, ale postanowił się dowiedzieć. Było coś jeszcze, ostatni brakujący element układanki. On go znajdzie.

Tym się właśnie zajmował.

Znajdywał rzeczy.

- Czy już skończyliśmy? Ponieważ, chociaż cieszy mnie nasze małe spotkanie po latach, przychodzą mi do głowy ładniejsze twarze, na które wolałbym patrzeć. Bez urazy.

- Nie miała lekkiej śmierci - powiedział sir Charles. - Pomyślałem, że powinienes wiedzieć. To nie było eleganckie, ale nawet w ostatnich chwilach była profesjonalistką na tyle, żeby przesłać wiadomość. Znaleźliśmy jej dzienniki. Wszystko, co wykopała, wszystkie zapisy. Mój chłopak się tym teraz zajmuje.

- Czy wiesz, kto to zrobił?

- Mam swoje podejrzenia - odparł staruszek.

- No i kto teraz jest wstydlivy? Dostałeś coś ode mnie, coś mi jesteś winien. Kto ją zabił, Charlesie? Kto zabił moją genialną dziewczynkę?

- Jeden z dwóch mężczyzn, Izraelczyk, który sam siebie nazywa Mabussem, albo Miles Devere.

Quentin skinął głową.

- Czy obiecasz coś temu staremu człowiekowi, Charlesie?

Staruszek uniósł brew.

- Powiedziałbym, że to zależy od tego, co chcesz, żebym ci obiecał, przyjacielu.

- Kiedy będziesz wiedział, który to, nie czekaj, aż zajmie się nim Temida. Zabij go dla mnie. Nikt nie morduje moich ludzi i nie żyje sobie potem, żeby się tym chwalić. Taki już jestem staroświecki.

21

ZBRODNIA NA WIDEO

Jude Lethe wpatrywał się w ekran. Wideoklip plenił się jak wirus. W ciągu paru godzin od chwili, gdy po raz pierwszy umieszczono go w Internecie, do momentu, gdy on go znalazł, obejrzało go już prawie trzy miliony ludzi.

Obraz nie był dobrej jakości. Był to ten typowy rozmazany, ziarnisty obraz powstający przy kiepskim oświetleniu, i z okropnie zniekształconym dźwiękiem. Jednak to nie miało znaczenia. Treść była hipnotyzująca. Hipnotyzująca w taki sam sposób, jak wypadek samochodowy, gdy sanitariusze pakują ciała na nosze, kiedy powoli przejeżdża się obok. Nie można się oprzeć, żeby nie spojrzeć, chociaż ma się świadomość, że patrzy się na czyjąś tragedię.

Obejrzał go ponownie, próbując zyskać pewność, ale było to trudne z powodu słabej rozdzielczości i złego oświetlenia. Jednak w głębi ducha już wiedział. Po prostu wiedział. Na małym ekranie mężczyzna ubrany na czarno chodził tam i z powrotem przed kamerą, bez przerwy komuś wymyślając.

Za nim w łańcuchach zwisała kobieta. Miała spuszczoną głowę. Ręce skrepowano jej nad głową. Jej ciało było poznaczone czerwonymi pręgami w miejscach, gdzie była biczowana i bita. Ani razu nie podniosła wzroku. Zamaskowany mężczyzna wyciągnął sztylet i podniósł go do kamery. Lethe nie rozumiał, co on mówi, ale to jego piskliwy krzyk fanatyka sprawił, że po plecach przebiegł mu zimny dreszcz. Normalnie Orla przetłumaczyłaby dla nich słowa tego maniaka. Ale nic tu nie było normalne.

Mężczyzna ze sztyletem wciąż chodził tam i z powrotem.

Lethe przyjrzał się ostrzu w jego ręku. Było stare, to rzucało się w oczy. Nie damasceńskie, lecz bardzo podobne.

Mężczyzna ze sztyletem podszedł do skutej kobiety i uderzył ją pięścią w brzuch. Ledwie zareagowała. Poza kadrem ktoś się zaśmiał. Był to najbardziej mrozący krew w żyłach dźwięk, jaki Jude Lethe słyszał w całym swoim życiu. Mężczyzna wyjął z kieszeni kartkę i podszedł w stronę kamery. Odczytał coś, co wedle domysłów Lethego było zapewne listą żądań, po czym wrócił do miejsca, gdzie wisiała kobieta. Ktoś za kamerą przesunął źródło światła, rzucając niesamowicie jasną poświatę na kobietę. Wyglądała okropnie. Jej ciało pokrywały sińce, a jej kości sterczały jak u anorektyczki pod woskową skórą. Mężczyzna wziął sztylet i przeciągnął nim od jej skroni w dół po policzku i szyi aż do biodra, rysując ciekłą linię krwi, która pojawiła się w rozcięciu. Chwycił ją garścią za włosy i szarpnięciem odchylił jej głowę do tyłu, zmuszając ją, by spojrzała do kamery. Zionął z ekranu kolejną porcją zółci. Lethe nie zrozumiał ani słowa, lecz nie musiał, bo dokładnie wiedział, co się za chwilę wydarzy.

Mężczyzna wziął ostrze, nachylił się bliżej i poderżnął jej gardło.

Lethe nie mógł na to patrzeć.

Jednocześnie nie mógł też odwrócić wzroku.

Mężczyzna nie przestawał ciąć, póki nie przeciął tchawicy i krew nie spłynęła mu po rękach. Później, przytrzymując jej głowę, dokończył robotę cięższym ostrzem przypominającym maczetę, rozłupując kość. Jej ciało wciąż tam wisiało, podtrzymywane przez łańcuchy. Zamaskowany mężczyzna podniósł głowę kobiety z podłogi i pokazał jej twarz do kamery.

Paradował ze swoim trofeum tam i z powrotem, dalej wygrażając w swoim języku, jakkolwiek on był. Lecz to nie ta część sprawiła, że Lethe oniemiał. To ostatnie dziesięć sekund przed wyłączeniem się kamery, kiedy obiektyw szaleńczo omiótł zaimprovizowany loch.

Lethe zatrzymał obraz na stopklatce.

W cieniu zobaczył inną kobietę, ledwie dającą się rozpoznać pod śladami pobicia. Przykutą do ściany. Przesuwał film klatka po klatce aż do momentu, gdy kobieta podniosła wzrok. Na jednej jedynej klatce spoglądała prosto w obiektyw.

Orla.

Zadzwoił do staruszka i opowiedział mu o tym. Przez chwilę było słychać tylko ciszę. Potem staruszek się odezwał:

- Czy jesteś pewien, że to była ona?

- Na ile to możliwe, sir.

- Sprowadź Frosta. Musimy sobie z tym poradzić tak sprawnie i prosto, jak tylko się da. Ona nie skończy w propagandowym filmiku jakiegoś bydlaka, panie Lethe. Niech mi pan wierzy, prędzej piekło zamarznie, nim pozwolę, żeby tak się stało.

- Tak, sir. Czy mam zadzwonić do Koniego i Noaha?

- Świat nie stanie w miejscu, ponieważ Orla jest w tarapatach, panie Lethe - odparł staruszek.

Jego głos był zimny. Bezosobowy. Ogień i lód. Na ułamek sekundy przed tym, jak furia kieruje językiem. Wystarczyła tylko sekunda, żeby taktik przejął kontrolę. Jude natychmiast przypomniał sobie rozegraną do połowy partię szachów na stoliku obok wielkiego kominka. Pozycja Saavedry. Nie bez powodu było to ulubione zakończenie gry staruszka.

- Panie Lethe, cokolwiek się wydarzy, w żadnych okolicznościach nie ma pan informować o tym Larkina. Czy wyrażam się jasno?

- Najzupelniej, sir.

- Faktem jest, że Larkin jest zbyt nieprzewidywalny, jeżeli chodzi o nią. Nie zamierzam martwić się, że źle zniesie taką wiadomość.

Był to sposób staruszka na powiedzenie, że w tym przypadku Noah był aż nadto przewidywalny. Wszcząłby jednoosobową wojnę, żeby sprowadzić ją do domu. Nie przejmowałby się ofiarami czy stratami, po prostu sprowadziłby Orlę do domu, i niechby Bóg miał w opiece każdego, kto by próbował go powstrzymać. To właśnie czyniło Noaha tak ważnym członkiem zespołu, ale niekiedy największe zalety mogły się okazać największymi słabościami. Staruszek nie byłby w stanie nad nim zapanować. Lethe jednocześnie poznał najlepszą i najgorszą stronę sir Charlesa.

- Zrozumiałem.

- Dobry chłopak. Kiedy już skontaktujesz się z Frostem, chcę, żebyś przeprowadził dla mnie pewne poszukiwania. Szczególnie interesują mnie informacje dotyczące Humanity Capital. Chcę mieć listę rejonów, w których ubezpieczają żołnierzy, i jeżeli istnieją jakieś zapisy w papierach, to chcę znać wszystkie miejsca, do których wysyłali najemników.

- Zawsze zostaje coś w papierach - odpowiedział Lethe. - Jeżeli posłali dokądś prywatną armię, będzie pan o tym wiedział przed lunchem.

- Dobrze. Kiedy to skończysz, chcę, żebyś to porównał z kontraktami uzyskanymi przez firmy, w których ma udziały Miles Devere. Chcę dokładnie wiedzieć, ile panicz Devere zarobił na cierpieniu innych.

Staruszek rozłączył się.

22

SŁOWA PROROKÓW NA ŚCIANACH METRA

Noah Larkin spędził noc w samym środku piekła.

Każdy z jego osobistych demonów był na wyciągnięcie ręki. Na nocnej szafce stała butelka trzydziestoletniej szkockiej whisky McCallan, a obok niej plastikowy kubek. Zakrętka leżała obok butelki. Pokój w tanim hotelu przy Stazione Termini w Rzymie cuchnął alkoholem. Noah wypił już jedną trzecią butelki, ale czuł się tak, jakby połknął całą jej zawartość. Siedział na parapecie, obserwując dziewczyny na ulicy. Łatwo byłoby zawołać na którąś i kazać jej przyjść tu na górę, żeby mu pomogła przestać rozmyślać. Czasami tylko tego pragnął.

Włączył muzykę tylko dlatego, że nie mógł wytrzymać sam na sam ze swoimi myślami. Niektóre noce byty właśnie takie. Martwi zaczynali do niego przemawiać głosami z jego wyobraźni. Muzyka pomagała je zagłuszyć, lecz nie uciszała ich zupełnie. Temu służył alkohol.

Dziewczyny w tej części świata były takie same, jak dziewczyny w domii. Gromadziły się na rogach ulic i w przejściach, i przechadzały się tam i z powrotem wzdłuż ulicy, reklamując swój towar. Na sprzedaż był tu każdy rodzaj i kolor. Jakiś samochód włókł się wzdłuż rynsztoka, jadąc pomału od kobiety do kobiety, gdy podchodziły w stronę okna i opuszczoną szybą. Przyglądanie się temu niepokojąco zbliżyło się do podglądactwa i sprawiło, że Noah poczuł się brudny. Nalał sobie kolejny kubek whisky, zanim wrócił do okna. Pomyślał o Margot, dziwce w średnim wieku, którą znalazł przy Kings Cross. Zapłacił jej, żeby na jedną noc zeszła z ulicy. Bogiem a prawdą, dał jej dość pieniędzy, żeby mogła za nie przeżyć dwa tygodnie. Oczywiście nie zrobi tego. Ona była jedną z tych istot. To było jej życie. Wszystko, co znała. Jak w piosence, to był nawyk, który ciężko pokonać. Ale po to były pieniądze. Nie chodziło o seks. Noaha seks nie cieszył już od dawna. Teraz posługiwał się nim, by karać samego siebie. Porzucił marzenia o pięknym ciele, świecach i łagodnej muzyce, i cały ten nonsens. Trudno było zatracić się w pięknie, gdy tyle szpetoty tkwiło w jego własnej głowie. Znał swoją psychikę nie gorzej niż każdy inny.

Spojrzał na zegar, mrugający na czerwono pod małym przenośnym telewizorkiem z okrągłą anteną wystającą z tyłu. 2:47. Noc nieubłaganie zmierzała w stronę poranka. Miał przed sobą niecałe siedem godzin do spotkania z człowiekiem Dominica Neriego w Watykanie. Mógł się przespać. Mógł pić. Mógł przelecieć panienkę. Prawda była taka, że nie miał ochoty na żadną z tych rzeczy.

Podniósł płaszcz rzucony na łóżko i postanowił, że pójdzie na spacer.

Rzym w nocy to niebezpieczna istota, ale jakież miasto takie nie jest. Gdy Noah był w nastroju takim jak teraz, jeśli jakiś miejscowy chłopak zechciałby spróbować szczęścia skończyłby w szpitalu.

Noah zszedł po schodach do holu. To było jeszcze jedno jego osobiste dziwactwo. Nie przepadał za windami. Nie chodziło o zamkniętą przestrzeń - nie miał klaustrofobii; nie chodziło też o wysokość - nie cierpiał na zawroty głowy. Ale w jakiś sposób, gdy jedno i

drugie spotykało się razem, Noah potrafił myśleć wyłącznie o tym, że nad sobą ma poskręcane metalowe liny, a winda sunie w dół, więc wybierał schody.

Noah zszedł Via Cavour aż do stóp wzgórza do ruin Forum. Nawet po ciemku Rzym był wyjątkowy, ale podobnie jak w prostytutkach na szczycie wzgórza, była w tym miejscu jakaś atmosfera zużycia i zaniedbania. Widziało lepsze dni. Mówiąc ściśle, prawie dwa tysiące lat temu. Od czasu do czasu jakiś samochód pojawiał się na ulicy, kierując się w stronę Koloseum i Łuku Konstantyna. Noah szedł łukiem, podążając utartym turystycznym szlakiem wzdłuż Via Teatro Marcello i dalej do Panteonu, a potem z powrotem do hotelu. Słyszał podrasowane silniki wyścigówek miejscowych chłopaków, dowodzące, że Rzym był taki sam, jak każde inne miasto na zachodniej półkuli - pełen idiotów w szybkich autach. Cała trasa przez starożytny Rzym zajęła mu bez mała trzy godziny. Okolice wokół dworca kolejowego była jedyną częścią miasta, która nie spała. Już rozstawiano stoiska z gazetami, rozlepiając dzisiejsze nagłówki.

Jedna z dziewczyn podeszła w jego stronę, zapraszając go uśmiechem i kołysaniem bioder.

Ale on jej nie widział.

Patrzył wyłącznie na grube czarne litery nagłówka.

Jedno słowo: Veleno!

Trucizna.

Rzym padł po cichu w czasie, gdy on pił swoją whisky i patrzył na dziwki. Oczekiwał fajerwerków. Eksplozji na horyzoncie. Czegoś dużego. Jaskrawego. Śmiałego.

Zrobiło mu się niedobrze.

Odwrócił się plecami do kobiety, gdy ta zaczęła go pytać, czy pragnie jej towarzystwa na tę długą, gorącą noc.

Pomimo alkoholu Noah nagle poczuł całkowitą jasność umysłu.

Noah widział, że monsignor Gianni Abandonato był zdenerwowany. Przeształ z nogi na nogę. Stał na najwyższych stopniach schodów bazyliki św. Piotra. Za nim biały trawertyn kamiennej fasady Maderny połyskiwał w porannym słońcu. Posągi Jana Chrzciciela, samego Chrystusa i jedenastu apostołów spoglądały z góry na monsignora. Noah nie mógł się oprzeć, by nie rzucić okiem na cuda barokowej kamieniarki stworzone przez Berniniego. Samo podejście do katedry miało w sobie coś wzbudzającego podziw. Berniniemu udało się w jakiś sposób zrównoważyć niebo i ziemię w swoim majestatycznym projekcie podzielonego placu, z eliptycznym łukiem zabudowy i trapezoidalnym dziedzińcem. Była w tym dusza.

W przeciwieństwie do tego fasada Maderny zdawała się niemal ułomna. Zamiast budzić podziw i respekt, uderzała ludzką próżnością. Podczas gdy Bernini sięgnął niebios, dzieło Maderny zabrakło linii i symetrii oraz - co okazało się kardynalnym grzechem - zabrakło jakiegokolwiek formy pionowej dominanty, żeby przyciągała wzrok pielgrzyma zbliżającego się do miejsca najświętszego ze świętych. Tę rolę pozostawiono odległej kopule. Noah zmrużył oczy w promieniach wstającego słońca. Uświadomił sobie, że attyka, na której stały posągi spoglądające na wspaniały plac, była zbyt zatłoczona detalami jak na swoją ograniczoną wysokość. Zbyt usilnie starała się wtłoczyć wielkość w biały kamień. Ale Maderna wystraszył się pierwotnego pomysłu, niemal jak gdyby z definicji oznaczał on grzech pierworodny, i trzymał się kurczowo proporcji tylnej części bazyliki wytyczonych przez Michała Anioła.

Noah powoli szedł przez plac w stronę monsignora. Nagle zdał sobie sprawę, że nie wie, jak powinien powitać tego człowieka. Czy mówić mu „ojcze”? „Eminencjo”? „Ekscelencjo”? Po prostu „monsignor”? Gianni? Na Piazza di San Pietro było pusto, jeśli nie liczyć kilkorga porannych turystów oraz wron. Przechodząc obok, Noah naliczył pięć wron w suchej misie fontanny. Jedna wrona przypadała na jednego rannego ptaszka. W żadnej z fontann nie było

wody. Zostały osuszone o pierwszym brzasku, podobnie jak wszystkie pozostałe fontanny w mieście. Noah nie był w stanie skontaktować się z Nerim, co nie powinno dziwić. Karabinier pracował przez całą noc, zmagając się ze skutkami zatrucia wody. Rzym był miastem w stanie oblężenia.

Świadek, egipski obelisk, który rzekomo znajdował się przy ukrzyżowaniu św. Piotra, rzucał cień sięgający aż do suchej fontanny. Noah przeciął ten cień. Miał wrażenie, jak gdyby przekraczał jakąś granicę. Po drugiej stronie ten świat Boga, świętych i wiernych dusz wydawał się jakby bardziej realny.

Noah skorzystał z okazji, żeby przyjrzeć się mężczyźnie stojącemu na schodach. Miał on na sobie szaty uwiązane ze swoim urzędem, ale brakowało mu pogody ducha człowieka akceptującego swoje miejsce w świecie. Noah rozpoznał wiele mówiące oznaki załamania. Ile on ryzykował, spotykając się z Noahem? Z pewnością nie aż tak wiele, żeby co parę sekund oglądać się za siebie? Noah zastanawiał się, kto tam stoi, schowany w cieniu? Wiedział, że ktoś tam jest. Być może członek Gwardii Szwajcarskiej? Jakiś inny świątobliwy mąż? Kogo monsignor obawiałby się bardziej? Archiwista wyraźnie aż się palił, żeby zabrać go sprzed wścibskich oczu w głąb labiryntu samej katedry. Ciekawe więc, że wybrał tak publiczne miejsce na spotkanie, zwłaszcza, że drzwi miały otworzyć się dla pielgrzymów dopiero za kilka godzin. Podniósł rękę i pomachał na przywitanie. W chwilę później Noah dotarł do schodów.

- Monsignor Abandonato?

- Gianni. Tędy proszę, panie Larkin - wskazał gestem nie na troje drzwi prowadzących do nawy, lecz w stronę jeszcze jednego małego przejścia, wiodącego ku pomieszczeniom Gwardii Szwajcarskiej.

- Noah.

- Najbardziej korzystne imię, jakie słyszałem. Niektórych z nas nie spotkało takie błogosławieństwo - lekko wzruszył ramionami. Skręcili za róg i dalej za następny, idąc wzdłuż wąskiego muru pomalowanego na żółto. W kamiennej ścianie znajdowało się wiele drzwi. Monsignor otworzył czwarte z nich i wprowadził Noaha do niedużego westybulu. Brakowało tu splendoru głównej bazyliki, lecz to były zabudowania administracyjne, a nie zewnętrzna oprawa świętości. - Jak zapewne się pan domyśla, nazwisko oznaczające „porzucony” może się stać w takim miejscu, jak by to ująć, dogodnym tematem do żartów - spojrzał na sufit.

To był bardzo teatralny gest, niewątpliwie wypraktykowany przez wiele lat. Było to cierpiętnicze spojrzenie mówiące: „Dlaczego ja, Panie?”. Noah stwierdził, że ten nerwowy kapłan wydaje mu się całkiem sympatyczny.

Noah podążał za monsignorem wieloma wąskimi korytarzami, aż wreszcie charakter budynku wydawał się zmieniać. Z braku lepszego określenia Noah pomyślał, że przeszedł od funkcjonalności do świętości. Sufity były tu wyższe, zwyczajne ściany pokryte znakomitymi freskami, a każdy wystający szczegół zdawał się pokryty czystym złotem. Zamiast zachwycać pięknem, wprawiało to w osłupienie, zamiast koić - przytłaczało. Podobnie jak na fasadzie Maderny, po prostu zbyt wiele się tam działo, oko miało zbyt wiele do zobaczenia. Czy kapłani wierzyli, że przez posiadanie każdego istniejącego dzieła sztuki mogą okazać się najbardziej świątobliwi? Najbardziej godni? Czy o to chodziło? Noah nagle mógł łatwo pojąć atrakcyjność minimalizmu.

Poczuł się bardzo mały, idąc za kapłanem po marmurowej posadzce. Co parę kroków przecinali nowy geometryczny kształt ułożony z kamienia. Słońce wlewało się przez okna umieszczone wysoko nad ich głowami. Promienie padały pod takim kątem, że nie dosięgały posadzki, lecz oświetlały ścianę po prawej stronie korytarza w połowie wysokości. Drobiny kurzu leniwie tańczyły w słońcu. Noah niemal oczekiwał, że gdzieś w oddali usłyszy monotonnie śpiewających mnichów albo ćwiczących chłopców z chóru, albo coś podobnego.

Wiedział, że mylą mu się rytuały, ale zdawało mu się, że naprawdę ktoś powinien coś tu śpiewać, nawet gdyby miał to być tylko samotny głos wołający „alleluja”.

- Okropność, ta sprawa z wodą - powiedział Abandonato, wprowadzając go do długiego prostego korytarza, który niczym w jakiejś optycznej iluzji wydawał się biec kilometrami, aż jego koniec zniknął w oddali. - Wszyscy ci otruci ludzie. Ilu umarło? - Zanim Noah zdążył mu odpowiedzieć, że naprawdę nie wie, monsignor ciągnął dalej: - Jak ktoś mógł to zrobić? Nie rozumiem. Jak ktokolwiek mógł świadomie otruć tych wszystkich bezbronnych ludzi?

Miał urodziwą twarz, czarne włosy zaczesane do tyłu pośrodku głowy i ciemne podkówki pod oczami. Jego skóra miała ten nieco woskowy odcień, sugerujący więcej niż tylko przelotną znajomość z regałami bibliotecznymi i ciemnymi kątami Stolicy Apostolskiej.

- Myślę, że chyba prowadzimy tę rozmowę na odwrót, Gianni. To ja powinienem pytać, jak coś tak okropnego może się wydarzyć, a ty masz mnie zapewniać, że wszystko to jest częścią nieogarnionego bożego planu - Noah uśmiechnął się nieznacznie, żeby pokazać, że żartuje. Mimo to archiwista wyglądał na zakłopotanego.

- Niekiedy jest ciężko, nawet nam - przyznał. - Nasza wiara może zostać poddana próbom w najbardziej zdumiewający, a czasami w najbardziej ludzki sposób. Jakież człowiek mógłby myśleć o tych wszystkich dzieciach stojących wczoraj w kolejce do fontann, spragnionych łyku wody, i nie poczuć gniewu, że dzisiaj walczą o życie i przegrywają? Ale tak, niewinni znajdą drogę do Jego boku, gdzie będą bezpieczni i serdecznie przyjęci. Jest w tym pocieszenie, lecz człowiek we mnie wciąż odczuwa ból, Noahu.

Noah nie był pewien, czego się spodziewać, ale nie czuł się komfortowo, słysząc wyznanie Abandonato. Przyszło mu do głowy, żeby zażartować, że wszyscy w granicach Stolicy Apostolskiej mają się dobrze, ponieważ najwyraźniej zdołali skontaktować się z Wielkim Szefem i namówić go, żeby zrobił tę swoją sztuczkę z zamianą wody w wino. Na całe szczęście powiedział to sobie najpierw w myślach, zanim otworzył usta. Uzmysłowił sobie, jak lekceważąco by to zabrzmiało, i dał sobie spokój. Podzielić się z kimś nietrafioną uwagą to jedno, ale naśmiewać się z czyjejś wiary to zupełnie co innego zwłaszcza, gdy się czegoś od niego chce. Zamiast tego Noah postarał się skierować rozmowę na inne tory, pytając o Nicka Simmonsa i o to, co robił w trakcie swojej pracy w bibliotece.

- Nicholas to dobry człowiek - stwierdził monsignor broniąc zmarłego, chociaż go o to nie pytano. Było jasne, że podejrzewał, że Simmonds został o coś oskarżony. Jakież inny powód mógłby mieć Noah, żeby drażnić szczegóły jego życia? - Miał dobre serce. Przebywał u nas prawie dwa lata, jak mi się zdaje. Był spokojny, mało mówny, ale cóż, to raczej typowa cecha moli książkowych, czyż nie? - Noah skinął głową, gdy się tego po nim spodziewano. - Najwyraźniej młody Nicholas podzielał zamiłowanie do konserwacji literatury. Trudno mi sobie wyobrazić, że mógłby uczynić coś złego.

- Cóż, z całym szacunkiem, Gianni, czy nie powiedziałeś też dopiero co, że trudno ci uwierzyć, że ludzie mogli bezdusznie zatruć wodę, którą piły dzieci? Niekiedy nie do nas należy dociekanie dlaczego.

- Rzeczywiście - Abandonato odpowiedział, sznurując usta. Wskazał ręką jeden z korytarzy. - Przechodzimy tu właśnie coś w rodzaju rewolucji. Bibliotheca Apostolica została zamknięta dla publiczności już bez mała trzy lata temu. Są prowadzone poważne prace renowacyjne. Nicholas pomagał nam przy tym. Nie przy pracach renowacyjnych, rzecz oczywista, tylko przy przygotowywaniu tekstów do zmagazynowania. Czy wiedział pan, że mieścimy w tych murach ponad siedemdziesiąt pięć tysięcy kodeksów i ponad milion książek drukowanych? Proszę pomyśleć, ile półek dla nich potrzeba - zaśmiał się kapłan. - A do tego chronimy nie mniej niż osiem i pół tysiąca inkunabułów. - Monsignor dostrzegł niezrozumienie malujące się na twarzy Noaha. Uśmiechnął się łagodnie. - Proszę mi wybaczyć, czasem zapominam, że nie każdy żywi taką samą fascynację dla książek, jak moi koledzy i ja. *Incunabula* oznacza kołyskę, jak dla dziecka, albo początek. Proszę pomyśleć o

tym jako o pierwszych oznakach, iskrze życia tam, gdzie się ono rozpoczęło. W tym przypadku mówimy o pierwszych drukowanych książkach, choćby tylko pojedynczych stronicach, o wszystkim, co nie zostało napisane odręcznie. Zdziwiłby się pan, jak wiele, czy może jak niewiele zachowało się tych pierwszych wydruków. W bibliotece chronimy na przykład ocalałe egzemplarze pierwszych książek wytworzonych przez pańskiego rodaka, Caxtona. Niektóre z naszych tekstów są absolutnie unikalne, ale w wielu przypadkach zachowało się po kilka egzemplarzy. Weźmy Biblię Gutenberga, być może najsłynniejszą ze wszystkich „pierwszych książek”. Wiadomo o prawie pięćdziesięciu wciąż istniejących egzemplarzach... Czterdziestu ośmiu lub czterdziestu dziewięciu, zależnie od tego, komu wierzyć... To sprawia, że jest to stosunkowo powszechnie występująca książka, ale oczywiście bardzo, bardzo cenna. Posiadamy oryginały rękopisów pieśni z *Czyśćca i Raju* Dantego, a także *La Vita Nuova*. Dalej mamy *Codex Vaticana*, najstarszą istniejącą Biblię, oraz *Libri Carolini*, odpowiedź króla Karola na Drugi Sobór Nicejski. Bardziej znane są jako *Opus Caroli regis contra synodum*, czyli *Król Karol przeciw Synodowi*, co zapewne powie panu wszystko, co należy wiedzieć o ich treści. Biblioteka zawiera najważniejszy zbiór książek na świecie. Proszę mi wierzyć, gdy mówię, że to jest dopiero kolekcja.

- Jeżeli ktoś lubi książki - odparł Noah, wzruszając ramionami. Udało mu się zachować poważną minę. - Ja osobiście wolę filmy.

- A nawet jeśli się nie lubi - odpowiedział Abandonato - to trudno nie zostać przytłoczonym samą skalą wszystkiego w tych salach, jak pan za chwilę zobaczy. Musimy zatrudniać tu ponad osiemdziesięcioosobowy personel tylko do nadzorowania ochrony i konserwacji tych dzieł sztuki. Osiemdziesięciu ludzi!

Wąski korytarz doprowadził ich do miejsca, które musiało być częścią samej biblioteki. Nie było tutaj regałów, lecz w różnych odstępach na całej podłodze rozstawiono zwyczajne drewniane stoły o prostych nogach, podtrzymujące szklane gabloty z różnymi bezcennymi księgami. Była to chyba najskromniej umeblowana sala. Wszystkie inne stoły kapały od złota i dźwigały kosztowne wazy, niemal na pewno równie unikalne, jak księgi. Sala przyprawiała o ból głowy feerią kolorów - czerwieni, oranżów i intensywnych błękitów, z czarno-białą szachownicą na posadzce.

Noah nie wiedział, czego się spodziewać, lecz biorąc pod uwagę zachwyty Abandonato, wydawało mu się dziwne, że nie może zobaczyć żadnych półek z książkami, tylko mnóstwo obrazów z ludźmi w długich szatach trzymającymi otwarte książki.

- I nie są to tylko książki - mówił dalej Abandonato. - Odpowiadamy za ponad sto tysięcy druków, rysunków, rycin i map, a także trzysta tysięcy papieskich monet, medali i tak dalej.

Gianni Abandonato poprowadził go jeszcze dwoma innymi korytarzami, które w końcu otwierały się na ostatnią salę, nareszcie wyglądającą jak część najobszerniejszej biblioteki świata. Katalogi fiszek ginęły w oddali. Każdy mieścił dwadzieścia pięć tysięcy obiektów. Katalogi ciągnęły się jak okiem sięgnąć. Dwa poziome regały i pomost zakrywały jedną ścianę, a każdy poziom wypełniony był od podłogi po sufit streszczeniami i indeksami oraz innymi oprawionymi w skórę tekstami o zadziwiająco jednolitych grzbietach. Bez wątpienia książki o książkach, które mieściła biblioteka. Pulpity do czytania dogodnie poustawiano wzdłuż pomostu, a z boku kabiny do bardziej wnikliwych studiów. Wszystko w tej sali cechowała nienaganna jednorodność.

- Słyszałem - odezwał się Noah, rozglądając się dokoła, czy nie ma nikogo, kto mógłby ich usłyszeć - że biblioteka Watykanu posiada największą kolekcję, ach, no dobrze, to zabrmi głupio bez względu na to, jak to powiem. Słyszałem, że macie największą kolekcję erotyki na świecie?

Abandonato wybuchnął śmiechem, słysząc to. Miał głęboki, donośny śmiech. Dobiegał z głębi jego trzewi i wydobywał się z ust, niosąc szczerą wesołość. Wypełnił całą salę, odbijając się echem od każdej ze ścian. Monsignor natychmiast przybrał skruszony wygląd i

wydawało się, że skurczył się o kilka centymetrów. Kiedy się odezwał, jego głos był ledwie głośniejszy od szeptu.

- Obawiam się, że ktoś sobie z pana zażartował, Noahu. Chyba że chce pan uznać renesansowe akty za pornografię? Nasze gusta są dalece bardziej prozaiczne. A teraz Nicholas, Nicholas. Co ja mogę powiedzieć o jego pracy tutaj? Obawiam się, że nie szczególnie efektownego. Nicholas był jednym z dziewięciu ochotników, którzy obecnie pracują w archiwum. Z powodu renowacji zostaliśmy zmuszeni przenieść wiele ksiąg laterańskich i prelaterańskich na dół, do archiwum w podziemiach. Przenoszenie tak wielu ksiąg, z których liczne są tak delikatne, że może je uszkodzić najlżejszy dotyk, to poważne przedsięwzięcie.

- Że co proszę?

- Ach, dla ułatwienia dzielimy nasze teksty na pięć okresów historycznych: prelaterański, czyli z najwcześniejszych dni Kościoła; laterański, który trwał aż do rządów Bonifacego VIII w XIII wieku; potem są teksty awiniońskie z czasów, gdy od 1370 roku papież mieli siedzibę we Francji; prewatykańskie i watykańskie, kiedy w 1488 roku biblioteka przeniosła się tutaj. Od tamtej pory aż do teraz kolekcja pozostaje niepodzielna. Ale, oczywiście, nie przyszedł pan tutaj, żeby wysłuchiwać, jak rozprawiam o starych księgach. To trudne. Mógłbym godzinami opowiadać o tym miejscu i o tym, co się tutaj dzieje. Nicholas pomagał przy konserwacji i przechowywaniu niektórych spośród najstarszych kodeksów hebrajskich.

- Jak zwoje znad Morza Martwego?

- Owszem, jak kodeksy Nag Hammadi, chociaż oczywiście nie akurat tamte teksty. Bądź co bądź, tamte zwoje są przechowywane w Muzeum Koptyjskim w Kairze.

- Ach, od razu widać, ile wiem - przyznał Noah. - Myślałem, że zostały zamknięte w najgłębszych kryptach, ponieważ wskazywały na rodowód Jezusa? - Noah posłał Gianniemu Abandonato kolejny kwaśny uśmiech.

- Nie za bardzo rozumiem, co pana zdaniem tutaj ukrywamy, ale obawiam się, że to nie jest *Kod da Vinci*. Nie skrywamy przed światem wstrząsających sekretów.

Fakt, że archiwista był zaznajomiony z popularną powieścią, sprawił, że Noah polubił go jeszcze bardziej.

- Nie, żeby mi monsignor o tym powiedział, gdyby tak było - odparł Noah, stukając palcem w czubek nosa. - W końcu to przecież sekrety.

- Owszem. Biblioteka zawiera kilka... więcej niż kilka... tekstów, które moglibyśmy określić jako heretyckie. Domyślam się, że to je ma pan na myśli. Nie są to jednak grimuary opracowane w ludzką skórę. Nie znajdzie pan zaklęć do przywoływania diabła, czy cokolwiek jeszcze mógł pan słyszeć, mimo pogłosek na ten temat. W pierwszych dniach Kościoła zgromadzono ogromną ilość materiałów, żeby je zniszczyć, ponieważ wychwalały to, co zostało uznane za herezję. Oczywiście, nie powinno dziwić, że tekstów tych nigdy nie zniszczono, lecz że zostały sprowadzone do biblioteki. Biblioteka nawet wtedy istniała po to, żeby zachowywać wiedzę, a nie, by ją niszczyć. Niemal wszystkie ocalałe dokumenty przechowywane są w archiwach prelaterańskim i laterańskim.

- To znaczy tam, gdzie pracował Nick Simmonds? - spytał Noah, sprowadzając rozmowę z powrotem do punktu wyjścia.

- Tak.

- A zatem mówi ksiądz, że Simmonds pracował z tymi heretyckimi tekstami? - Noah obliznął wargi, zastanawiając się. - Czy mógł bezpośrednio czegoś szukać? Tutaj jest mnóstwo rzeczy. Czy mógł tu przychodzić, rozglądając się za czymś konkretnym?

- Przepraszam, nie rozumiem?

- Staram się poskładać razem kilka elementów. - I wtedy przyszła mu do głowy pewna myśl. Nie miał powodu sądzić, że okaże się trafiona, ale i tak zapytał. - Czy któreś z tych dzieł pochodzi z Izraela z czasów sykariuszy?

- Niewątpliwie znajdują się tu egzemplarze prac Józefa, który, jak na pewno pan wie, był czołowym historykiem tamtych czasów. Zaś co do innych rzeczy, to obawiam się, że nie mógłbym nawet próbować zgadywać. Bez wątpienia są tu testamenty i tym podobne, ale trzeba pamiętać, że bardzo mało z tamtego okresu zostało zapisane. Nie przeczytałem nawet setnej części wszystkich starożytnych tekstów i wątpię, żeby ktokolwiek przeczytał. Do wielu z tych tekstów nawet nie zagłądano od dziesiątków lat. To nie tak jak wybrać sobie książkę do poczytania na plaży. W tłumaczeniu każde słowo i jego miejsce względem innych może prowadzić do różnych interpretacji dokładnego znaczenia każdego zdania. Mogą się zdarzyć nieumyślnie dokonane cuda, jeżeli ktoś uzna, że przyimek to „na” zamiast, na przykład, „obok”, przez co cud w Betsaidzie stałby się nieco mniej cudowny.

Noah tak naprawdę nie nadązał, ale skinął głową, ponieważ wydawało się, że Abandonato tego od niego oczekuje.

- A co z Simmondsem? Czy znał się na tym dostatecznie biegle, że mógł przeczytać coś takiego i zrozumieć znaczenie?

- Przykro mi, nie potrafię powiedzieć - monsignor wzruszył ramionami. - Nie współpracowaliśmy tak blisko. Jak mówiłem, wszyscy tu jesteśmy samotnikami. Pracujemy w ramach naszych specjalizacji i nie utrzymujemy zbyt wielu kontaktów.

Co w głowie Noaha ułożyło się w jedno: „oczywiście, że mógł, i mógł wyjść stąd z dowolnym tekstem pod pachą, ponieważ funkcjonowanie całego tego miejsca opiera się na zaufaniu”.

- Czy monsignor wie, z jakimi dokładnie księgami pracował?

- Jak powiedziałem, z hebrajskimi kodeksami prelaterańskimi i laterańskimi.

- Dobrze, a czy ma ksiądz listę tych ksiąg?

- Tak, oczywiście, ale jak mówiłem, biblioteka jest w trakcie potężnego odnawiania. To prawie niemożliwe, żeby ustalić, czy brakuje jakiegoś tekstu, a upewnienie się co do tego zajęłoby tygodnie. Jak pan na pewno sam rozumie, w tej chwili nic nie znajduje się tam, gdzie powinno.

- Świetnie - odparł Noah, ledwie zdoławszy się pohamować przed eksplozowaniem z frustracji.

Simmonds pracujący przy hebrajskich tekstach to nie mógł być zbieg okoliczności. Nic z tego, czego dowiadywał się w ciągu ostatnich czterech dni, nie było przypadkowe, więc dlaczego to miałyby być? Musiał sobie to wszystko przemyśleć tak, jakby było ze sobą powiązane, a nie jako szereg przypadkowych zdarzeń. Pytanie, czy ostatnio zginęły jakieś księgi, było bezcelowe - monsignor już powiedział, że stwierdzenie tego byłoby niemal niemożliwe. I nic nie wskazywało na to, że księga to najnowsze odkrycie. Simmonds pracował w bibliotece od prawie dwóch lat. Mógł ją znaleźć w dowolnym czasie. Noah zasznurował usta, zastanawiając się, jak najlepiej rozgrywać to dalej. Pozostało mu do powiedzenia tylko jedno i wiedział o tym. Odetchnął ciężko.

- Cztery dni temu Nick Simmonds popełnił samobójstwo. Może monsignor o tym słyszał. Podpalił się na głównym placu tu, na zewnątrz.

- Na miłosierdzie Boże!

- Niestety, bardzo mało tego zostało, proszę księdza.

- I pan uważa, że jego praca miała coś wspólnego z tym, że się zabił?

- Istnieje taka możliwość - odpowiedział Noah. - Czy zapisywał gdzieś, jakie księgi przygotował już do przeniesienia?

Archiwista przytaknął.

- Inny z wolontariuszy opracował komputerowy system katalogowania na potrzeby przeprowadzki. Każda książka, gdy już zostanie przygotowana, jest wprowadzana do systemu.

- A zatem wszystko, co przeszło przez jego ręce, powinno być zarejestrowane w systemie?

Abandonato pokiwał głową.

- O, do diabła, alleluja.

Noah siedział wraz z Abandonato w małym ogrodzie otoczonym murem, w samym sercu Watykanu. Monsignor zaoferował, że pokaże mu Kaplicę Sykstyńską i inne skarby, żeby umilić mu czekanie, ale Noah nie miał ochoty udawać zainteresowania chmurkami, domalowanymi w celu zapewnienia przyzwoitości anielskich postaci przez ludzi o wiele bardziej pruderyjnych z natury niż ci, którzy zamówili owo dzido sztuki. Ale czyż nie była to uniwersalna prawda? Zdawało się typowe dla współczesnego świata, że wszelka przemoc może być tolerowana, o ile tylko ma bajkowy charakter - tak jak Struś Pędziwiatr spuszczający z wysoka kowadło na głowę niczego niepodejrzewającego kojota - lecz należy zakrywać wszelki widok genitaliów, żeby chronić niewinną młodzież, bo inaczej wyrośnie na przestępców seksualnych. Prawie potrafił zrozumieć rozumowanie muzułmańskich mężczyzn pragnących ukryć kobiety pod burkami, żeby unikać pokus cielesnych. Prawie. Przy zamalowywaniu anielskich interesów w celu zachowania świętości kaplicy to wydawało się dość rozsądne.

Zamiast zwiedzania Noah postanowił porozmawiać z kapłanem o samobójstwach, a bardziej konkretnie o przekazach skierowanych w stronę Rzymu.

- Oczywiście, jest pan świadom, że każde pokolenie ma własną apokalipsę, która jego zdaniem zetrze ludzkość z powierzchni ziemi? Niektórzy cytują Matkę Shipton, która twierdziła, że świat skończy się w 1881 roku, inni prorocтва Majów, dające nam czas do roku 2012, jeszcze inni Nostradamusa. To nie jest dla nas nic nowego. Według Józefa, Teudas ogłosił się mesjaszem w roku Pańskim 44. Został ścięty w roku 53. Tesaloniczanie wierzyli, że ominęło ich wzięcie żywcem do nieba. Hipolit obliczył, że świat miał tylko sześć tysięcy lat i że powinien się skończyć w 600 roku. Rabini Judah ha-Nasi i Hanina obaj przewidywali, że drugie nadejście nastąpi około czterysta lat po upadku Świątyni w roku 70. Traktat o Antychryście Adsa z Montier prorokował w 950 roku apokalipsę na koniec tysiąclecia.

W 964 Cartulaire de Saint-Jouin-des-Mames pisał „Dum saeculum transit finis mundi appropinquat...”. Gdy mija stulecie, nadciąga koniec świata. Panika przed millenijnym końcem świata zawsze była powszechną plagą. Abbo był kolejnym zwolennikiem końca wszystkiego w roku 1000.

I, rzecz jasna, wszyscy widywali znaki, zniekształcone dzieci, głód i śmierć. Na niebie ujrano jeźdźca trupioblado, bez wątpienia kometę. Oczywiście, kiedy nic się nie wydarzyło, kiedy Chrystus nie powrócił, doprowadziło to do eksplozji herezji we Francji, Włoszech i w południowo-zachodnich regionach nad Morzem Śródziemnym, co z kolei uznano za uwolnienie Szatana, wspomiane w Apokalipsie św. Jana. Te przepowiednie ciągną się bez końca, wszystkie w końcu bezpodstawne. Nie ma dowodów, że na niebie dostrzeżono nową gwiazdę, czy że padał deszcz krwi, gdy słońce stało się czerwone i nie świeciło przez trzy dni, albo że przez naturalne katastrofy świat powraca do pierwotnego chaosu. Niech mi pan wierzy, Noahu, nic z tego nie jest dla nas nowością. W 1186 roku List z Toledo ostrzegał wszystkich, by ukryli się w jaskiniach i w górach, ponieważ świat ulegnie zagładzie i niewielu ujdzie z życiem, a jednak wciąż tu jesteśmy. Taborcy z Czechosłowacji przepowiadali, że wszystkie miasta zostaną zniszczone ogniem i przetrwa tylko pięć górskich fortec. I znowu ta wielka pożoga jakoś nie nastąpiła. No i oczywiście pana rodacy wierzyli, że 1666 rok był końcem wszechrzeczy, czemu trudno się dziwić, zważywszy, że plaga dżumy i Wielki Pożar Londynu miały miejsce w tym samym roku, zaś obecność „numeru bestii” w dacie bynajmniej nie uspokoiła ich obaw. Ale wszystko do tego się sprowadziło, do obaw. W 1914 roku świat nie skończył się tylko dlatego, że Michał pokonał Szatana w niebiosach,

jeżeli wierzyć Świadkom Jehowy. Zgryzoty na nowo rozpoczęły się na dobre w 1981 roku i trwały dosyć histerycznie aż do nowego tysiąclecia. Nie jesteśmy ani trochę mniej przesądni, niż byli ludzie w roku 1000, i jak się zdaje, nie mniej łatwowierni. Jak się wydaje, teraz kolejne „wielkie wydarzenie” zostało przepowiedziane w Pięcioksięgu i przewiduje, że kometa uderzy w Ziemię w 2012 roku, niszcząc wszelkie życie. Kościół zaleca zachowanie spokoju w obliczu całego tego szaleństwa, Noahu. - Monsignor rozłożył ramiona. - Czasem data to tylko data, a żaden człowiek nie może znać woli Boga. Ale odpowiadając na pańskie pytanie, tak, Kościół oficjalnie wstrzymał ujawnienie trzeciej tajemnicy długo po 1960 roku, do czasu, gdy jego zdaniem może być lepiej zrozumiana przez świat. Lecz nie, nie zapowiada ona pojedynczego wydarzenia. Pierwsza tajemnica była tylko wizją piekła, znaczenie drugiej interpretowano jako pojawienie się Maryi Dziewicy ostrzegającej przed drugą wojną światową. Trzecia mówi o modlitwie jako o drodze do zbawienia naszych dusz. Ale rzeczywiście wstrzymanie jej sprawiło, że tak zwane objawienie stało się bardziej kontrowersyjne. Tak to już jest, czyż nie? Jeżeli ludzie wierzą, że się coś ukrywa, tym bardziej chcą odkryć sekret.

Noah skinął głową.

- No i, oczywiście, pewne kręgi wierzą, że Kościół tak naprawdę wcale nie ujawnił trzeciej tajemnicy, ponieważ tekst opublikowany w 2000 roku nie zawierał żadnych słów Maryi, ani nie dotyczył kryzysu wiary w Kościele. Ludzie mogą dostrzegać i dostrzegą spisek w każdym kącie. Taka już jest ludzka natura. Po tak długim oczekiwaniu to naturalne, że wierzą, że Kościół nadal coś przed nimi ukrywa.

Noah bardzo starannie sformułował swoje następne pytanie.

- Czy trzecia tajemnica mogła zapowiadać zabójstwo papieża?

- Ach, „biskup w bieli”? Tak jak powiedziałem, te rzeczy zawsze są otwarte dla interpretacji. Ostatnio słyszałem, że biskupem w bieli był Ximenes Belo, a miastem w ruinie było w rzeczywistości Dili w Timorze Wschodnim. Oczywiście, tajemnica upada, ponieważ Belo został ocalony od pewnej śmierci, ale w te prorocтва i przepowiednie można wcisnąć niemal wszystko, jeżeli tylko interpretator stara się dowieść swego. Ujmijmy to w ten sposób - chociaż Kościół nie potwierdzi oficjalnie takich interpretacji, nie będzie też podejmował żadnego niepotrzebnego ryzyka, jeżeli chodzi o bezpieczeństwo papieża. „Rzymski papieżu, miej baczenie, by nie zbliżyć się do miasta, któremu wodę niosą dwie rzeki! Kiedy róże zakwitną, ci, których umiłowalesz, bluzną krwią nieopodał, a ty razem z nimi”. To z dzieł Nostradamusa - powiedział Abandonato. Nie mógł wiedzieć, że właśnie powtórzył ostatnie słowa Nicholasa Simmondsa. Był to jedyny czterowiersz Nostradamusa, który Noah znał. - Jest tak dogodnie niejasny, że może oznaczać każdego Ojca Świętego w dowolnym mieście z dwiema rzekami. Nie ma niczego, co pozwoliłoby określić datę, żadnego konkretniejszego szczegółu. - Abandonato powoli odsapnął, a potem rozejrzał się po małym ogrodzie, jak gdyby zamierzał wyszeptać jakąś własną herezję. - Jednakowoż w 1999 roku Jan Paweł II miał zamiar odbyć pielgrzymkę do Ur, miejsca narodzin Abrahama, żeby spotkać się w Bagdadzie z Saddamem Husseinem. Irak to kraj między dwiema wielkimi rzekami, Tygrysem i Eufratem. Ta pielgrzymka została odwołana. Kolejne pielgrzymki w latach 2000, 2001 i 2003 również odwołano, pomimo pragnienia Jego Świątobliwości, żeby odwiedzić Ur. Nie mówię, że odwołano je z powodu czterowiersza Nostradamusa, ale tak czy owak zostały odwołane. Miastem z dwiema rzekami może być równie dobrze Paryż z Sekwaną i Marną. Czy powinniśmy odwoływać wizytę papieża w Paryżu? Czy to już posunięcie się o krok za daleko? Czy boimy się własnego cienia? Oczywiście, istnieją podobieństwa. Oba tak zwane prorocтва wspominają o róży. Ale czy ta róża to sposób na opisanie wiosny i powiązanie prorocтва z porą kwitnienia? Albo może to osoba? Niektórzy usiłowali twierdzić, że różą była księżna Diana, angielska róża. To możliwa interpretacja, tak samo jak Hitler to możliwa interpretacja Histera, zaś wzmianka, że z dachu spadnie zagłada na wielkiego człowieka,

mogła się odnosić do zabójstwa Kennedy'ego. Jedynym przypadkiem, kiedy Nostradamus wprost i poprawnie posłużył się nazwiskiem, był czterowiersz odnoszący się do Franco. Zaś pomimo podobieństw istnieją rażące i niedające się pogodzić różnice. Trzecia tajemnica fatimska mówi o niemal zniszczonym mieście, podczas gdy Nostradamus jakby opisywał przyjemną wiosenną wizytę papieża. Niech mi pan powie, Noah, ponieważ pańska interpretacja jest tyle samo warta, co moja. Czy dostrzega pan problem z zaakceptowaniem tych prorocत्व?

- Chyba już widzę, w czym rzecz - odpowiedział Noah.

I naprawdę widział. Mógł nie rozumieć ani połowy z tego, co powiedział mu Abandonato, ale nie było mu to potrzebne. Kapłan odwalił kawał dobrej roboty, przekonując go, że los bywa kapryśny, nieprzewidywalny i że w zasadzie każdy człowiek z ulicy z tuzin razy przepowiedział koniec świata. Ale to nie zmieniało faktu, że Watykan czterokrotnie odwoływał pielgrzymkę papieża do Iraku z powodu obaw o jego bezpieczeństwo. Obaw niemal na pewno zasianych przez panikarzy wskazujących na prorocтва Nostradamusa i pytających, po co kusić los? Oczywiście, to co innego, tajemnica i czterowiersz zostały wykorzystane nie do przewidywania ataku na papieża, lecz do zagrożenia takowym.

Noah miał to właśnie wyjaśnić, kiedy trzeci mężczyzna wpadł do małego ogrodu. Sunął przed siebie ze spuszczoną głową i złożonymi rękoma. Jego stopy szurały po kamieniach. Gdy podszedł bliżej, Noah zauważył, że młody ksiądz trzyma wydruk.

- Wyniki, których monsignore sobie życzył - odezwał się, podając papier Abandonato.

- To wszystko, dziękuję - odparł kapłan, biorąc od niego kartkę i odczytując listę kodeksów, które Nicholas Simmonds pobrał w trakcie swojej pracy w bibliotece.

Młody bibliotekarz opuścił ogród, szurając nogami. Na liście znajdowało się osiemdziesiąt siedem tekstów uporządkowanych według tytułów. Abandonato zasznurował usta, prędko przerzucając wzrokiem listę. Gdy dotarł do dołu strony, pokręcił głową.

- Tak jak powiedziałem, pracował nad prelaterańskimi i laterańskimi hebrajskimi kodeksami. Nie ma tu niczego, czym nie powinien był się zajmować. - Odwrócił kartkę i dalej omiatał wzrokiem tytuły. W połowie strony coś przyciągnęło jego spojrzenie. - Cóż, być może to coś znaczy. Wspominał pan o sykaryjskich zelotach, tak? Według tej listy, Nicholas pracował nad pewnym tekstem, który byłby interesujący z kilku powodów, Testamentem Menahema ben Jaira. Jeżeli jest to tekst, o którym myślę, to był on w strasznym stanie, kiedy przywieziono go kilka lat temu. Musiałbym sprawdzić dokładną datę, ale jak mi się zdaje, dar trafił do nas wkrótce po tym, jak został odkryty po trzęsieniu ziemi nad Morzem Martwym, w okolicach Masady. Musiałbym się skonsultować z kolegami, żeby mieć pewność. Wiem na pewno, że nasz zespół konserwatorski pracuje nad skompletowaniem oryginalnego papirusu już od jakiegoś czasu.

- 2004 - powiedział Noah, kiedy kolejny element układanki gładko wskoczył na swoje miejsce. Simmonds został wysłany, żeby poszukać tej księgi, Noah był tego pewien. To było jasne jak słońce. A co więcej, tylko to miało sens. Ten testament został wydobyty w czasie wykopalisk w Masadzie. Teraz Mabus chciał go z powrotem. Co w nim było? Co takiego mogło się w nim znajdować, że czyniło je wartym życia tylu ludzi? - Monsignor mówił, że istnieje i kilka powodów, dlaczego ludzie mogliby się interesować tym testamentem?

- Rzeczywiście. Zwykle powiedziałbym, że coś takiego jak o jest interesujące przede wszystkim ze względu na historyczną wartość znaleziska. Każdy dokument z tamtych czasów pomaga nam odtworzyć obraz świata, jakim wtedy był. Nie zapominajmy, że nawet najlepiej wykształceni ludzie nie mieli w zwyczaju zapisywać swoich przemyśleń? Przemyślenia były po to, by o nich rozmyślać, by je wypowiadać, ale i nie, by je spisywać. Mądrość przekazywano z ojca na syna, w przypowieściach i historiach. Wszystko, co przyczynia się do naszego rozumienia epoki, jest cenne. Ale odkrycie takie jak to? Coś takiego nie tylko rzuca nieco światła na ostatnie dni sekty zabójców, chociaż to samo w sobie jest bezcennym darem

dla naszego pokolenia. Nie, to o wiele więcej, ponieważ zostało spisane przez samego Menahema. A dlaczego Menahem był ważny? - Abandonato zapytał i retorycznie. - Powiem panu. Menahem ben Jair był ważny, ponieważ nie tylko był przywódcą sykaryjskich zelotów, on był także wnukiem Judasza Iskarioty. Niech mi pan powie, któż nie chciałby poznać ostatnich ziemskich myśli tego człowieka? Jego tajemnic? Wszystkiego, co było mu drogie i co chciał zachować na wieczne czasy? Wiem, że ja bym chciał.

Noah rozmyślał o tym, z powrotem podążając za monsignorem przez labirynt jasno oświetlonych korytarzy w stronę drzwi prowadzących do właściwego Rzymu.

- A więc co, zdaniem monsignora, zawiera ten testament? - zapytał.

Abandonato pokręcił głową.

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Nie oczekiwałbym wielkiej mądrości, ten mężczyzna był zabójcą, jego banda zelotów niewiele się różniła od terrorystów, chociaż sami siebie określiliby mianem bojowników o wolność, jak IRA, czyż nie?

Noah mógł dostrzec podobieństwo, pragnienie sykariuszy, by Judea była dla Żydów, nie różniło się aż tak bardzo od pragnienia IRA, by odzyskać Irlandię Północną dla Irlandczyków, ale przez sekciarskie napaści i bomby w Bishopsgate i Warrington, i Canary Wharf, gdzie zginęły dzieci i dwóch sklepikarzy, zwyczajnych porządnych ludzi, Noahowi trudno było myśleć o nich jako o bojownikach o wolność.

Zrobił jakiś niezobowiązujący gest.

- Być może testament Menahema nie był niczym więcej, jak tylko zapisem jego przekonań? Swego rodzaju manifestem, żeby każdy, kto je znajdzie, mógł kontynuować jego sprawę i walczyć o wyzwolenie Judei spod okupacji?

Jako hipoteza to miało sens, ale Noah nie był do końca przekonany, czy uwierzył księdzu, gdy ten powiedział, że nie czytał tekstu. Sceptycyzm był naturalny, lecz od pewnego momentu przechodził już w paranoję, czyż nie?

- Zatem nie byłoby to jak odnalezienie nowej ewangelii?

- W pewnym sensie, niewykluczone. Słowo „ewangelia” pochodzi od greckiego *euaggelion*. Dosłownie oznacza „dobra nowina”. W tym znaczeniu ewangelie obejmują cztery kanoniczne księgi Mateusza, Marka, Łukasza i Jana jak również pewne pozabiblijne ewangelie spisane w drugim wieku. Te ewangelie to „dobre nowiny” o Jezusie Pomazańcu Bożym i są ułożone jako powiązane narracje, skupiające się na kerygmacie, słowie Bożym przekazanym ludziom, oraz na *Sitz im Leben*, kontekście życiowym. Co motywowało autora ewangelii do zapisania swoich słów? Intencje autora mają fundamentalne znaczenie dla tych ewangelii - wyjaśnił Abandonato.

Noah mgliście pamiętał zamieszanie wokół Ewangelii Judasza, kiedy ta została odkryta. Judasz Iskariota ze swojej własnej ewangelii był jednocześnie biblijnym zdrajcą, którego znał świat, jak i bohaterem własnego życia. Ten aspekt historii rozpałił wyobraźnię świata. Po wiekach przedstawiania go jako najbardziej osławionego zdrajcy wszechczasów Judasz został nagle ukazany jako najbardziej lojalny i wierny towarzysz, jedyny, któremu można było zaufać, że dokona wielkiego poświęcenia.

Tak samo było z tak zwanymi ewangeliami gnostyckimi. Wydawały się odmalowywać wszystko, co znaleźliśmy, w innym świetle. U Tomasza Bóg nie potrzebował wielkich budowli, by okazywać mu uwielbienie, Tomasz obiecywał, że Bóg jest pod każdym kamieniem i w każdej szczelinie w drewnie. Bóg znajdował się w szczegółach. W materii życia. Taka była natura Jego stworzenia i to tam, pośrodku tego wszystkiego, pod nieboskłonem należało go wielbić, a nie w budowlach z cegły i kamienia.

Było tak, jak powiedział Abandonato - subtelne różnice w tłumaczeniu istniejącego tekstu lub niewielka zmiana w przekazie „nowego” mogła wstrząsnąć światem.

Czy Kościół naprawdę pragnął Judasza, który dał się lubić?

Czyż nie łatwiej było szkalować go jako zdrajcę, kierującego się chciwością i zazdrością, i wszystkimi tymi najbardziej ludzkimi z grzechów?

Czy uczynienie z Iskarioty męczennika zmieniało doniosłość Zmartwychwstania i innych cudów, kluczowych dla tego, co stało się codzienną wiarą chrześcijan? Noah nie był teologiem, ale wydawało mu się, że tak. Zmiana była subtelna, ale niemniej była to zmiana. Zaś naturalną konsekwencją takiego toku myślenia stawało się pytanie - czy ta zmiana była wystarczająca, żeby Watykan ukrył ten sekret?

Noah pragnął tak myśleć, lecz wtedy przecież Abandonato na pewno w ogóle nie wspominałby o Testamencie Menahema ben Jaira? Nie musiał mu mówić, że Nick Simmonds miał cokolwiek wspólnego z tym dokumentem. Bądź co bądź, łatwiej coś ukrywać, jeżeli nikt nie wie, że to istnieje. Abandonato sam zaczął ten temat, sugerując, że niektórzy ludzie wierzą, że trzecia tajemnica fatimska została sfalszowana przed opublikowaniem. Dlaczego Kościół nie miałby zrobić czegoś takiego? A jeżeli by to zrobił, dlaczego nie miałby ukryć wszelkich dowodów, które mogłyby się okazać niebezpieczne dla podstaw jego wiary?

Noahowi kręciło się w głowie od tego wszystkiego.

Jedyną rzeczą, którą wiedział na pewno, był fakt, że Nick Simmonds przebywał na wykopaliskach w Masadzie w czasie, gdy odkopano Testament, i dwa lata później podążył jego śladem tutaj, do Watykanu. To przestawało być przypadkiem i wkraczało w rejony dymiących pistoletów. Reszta nie miała znaczenia.

- Oto jesteśmy - powiedział Abandonato. - Jeżeli jest coś jeszcze, co mógłbym zrobić, wystarczy tylko poprosić.

- Naprawdę chciałbym wiedzieć, co jest w tym testamencie - odparł Noah, wiedząc, że prosi księdza o rzecz niemożliwą.

Jeden z członków Gwardii Szwajcarskiej stał na warcie przy wyjściu. Miał na sobie swój codzienny mundur niebieskiej barwy z płaskim białym kołnierzem, czarnymi skarpetami do kolan i brązowym skórzanym pasem. Nosił czarny beret lekko przekrzywiony na prawo. Prosty mundur świadczył, że to młody rekrut. Niebieski był mniej krzykliwy niż czerwono-żółto-pomarańczowo-niebieska pstrokaczna oficjalnego stroju strażnika. Oczywiście, gdyby pilnował drzwi po drugiej stronie, to właśnie miałby na sobie, a do tego ceremonialny miecz i halabardę, jak gdyby zjawił się tu wprost z renesansowego Rzymu. Jego twarz była obojętna aż do granic smutku.

Abandonato nie odpowiedział. Zamiast tego otworzył drzwi.

Strażnik nieznacznie skinął głową kapłanowi i usunął się na bok, żeby pozwolić Noahowi wyjść.

Noah w pierwszej chwili nie był pewien, co właściwie widzi, ale instynkt prędko wziął górę.

Drzwi wychodziły na plac, nieco za dwiema suchymi fontannami. Noah spodziewał się, że wyslizgnie się przez te same małe boczne drzwi, którymi wszedł do Watykanu. Te zaś prowadziły wprost na grand piazza San Pietro. Jego wzrok zanotował długi wąż turystów czekających w kolejce, by wejść do bazyliki, lecz nie na to patrzył.

Noah nie odrywał wzroku od mężczyzny, który chwiejnym krokiem przeciął linię cienia, jaki Świadek rzucał na środek Placu. Mężczyzna miał na sobie długi płaszcz przeciwdeszczowy z połami, zupełnie niepasujący do pory roku. Płaszcz był rozpięty, a ciało mężczyzny zdawało się wybrzuszać pod nim w nienaturalny sposób. Mężczyzna kurczowo zaciskał coś w prawym ręku. Noah nie widział, co to takiego. Coś w sposobie poruszania się mężczyzny sprawiło, że w głowie Noaha rozdzwoniły się wszystkie dzwonki alarmowe. Wyciągał przed siebie rękę, jak gdyby owo coś, co trzymał, było zaraźliwe. Noah zobaczył C4 przymocowane paskami do ciała mężczyzny, jeszcze zanim zobaczył jego twarz. Pakunki z materiałem wybuchowym były przymocowane wokół jego pasa szerokimi paskami gafy. Noah nie widział przewodów z miejsca, gdzie stał, ale wiedział, że urządzenie w dłoni

mężczyzny musi być detonatorem. Nie wahał się. Nie mógł sobie pozwolić na czekanie, aż zareaguje Gwardia Szwajcarska, i nie miał pojęcia, czy jej strażnicy mają środki, żeby z miejsca unieszkodliwić zamachowca-samobójcę z bombą.

Noah wyszedł na plac. Słońce zalewało miasto, nagle i straszliwie jasne po ciemnościach niekończących się korytarzy Watykanu.

- Na kolana! Już! - wrzasnął Noah, wyciągając swoją dziewiątkę H&K USP i celując prosto w pierś zamachowca.

Sprężył się, gotów nacisnąć spust. Nie mógł sobie pozwolić na myślenie, kiedy setki ludzi na Placu stały w kolejce do bazyliki. Sądząc po wybrzuszeniach na ciele, zamachowiec miał przypięte wystarczająco dużo C4, żeby zrobić tu piekielną jatkę. Jedno życie w zamian za wiele innych, to nawet nie było pytanie.

Mężczyzna zatoczył się, robiąc kolejny krok.

I jeszcze jeden.

Ludzie na Placu zaczęli się odwracać, słysząc głos Noaha. Nawet jeśli nie rozumieli jego słów, to sposób, w jaki je wypowiedział, przebił się przez gwar i sprawił, że zamarli.

- Nie musisz tego robić! - Noah zawołał do mężczyzny, podchodząc krok bliżej, żeby spotkać się z zamachowcem w połowie drogi. - Po prostu odłóż detonator, uklęknij i podnieś ręce za głowę!

Wpatrywał się w oczy mężczyzny, pragnąc, żeby otworzył dłoń i wypuścił detonator. Ale mężczyzna tego nie zrobił. Podeszedł jeszcze o krok w stronę Noaha. Noah mógł już zobaczyć czerwony guzik wystający z jego zaciśniętej pięści.

- To nie musi się tak skończyć!

Mężczyzna energicznie pokręcił głową. Noah widział, jak napina się każdy centymetr jego ciała. Był okręcony przewodami. Pot oblewał mu skórę, spływając po twarzy. Spojrzał w dół, na swoją dłoń, i zaczął ją podnosić.

Noah położył go. Trzy strzały wyznaczyły zgrabny trójkąt wokół serca zamachowca. Mężczyzna szarpnął się i zatrząsł, jego ciało wykonało gwałtowny piruet. Wykrzywił się i uderzył o kamienie twarzą do dołu. Krew trysnęła wokół jego głowy, gdy jego nos roztrzaskał się od paskudnego zderzenia. Noah podeszedł do zamachowca ze swoim H&K wciąż wycelowanym wprost w niego. Wolał nie ryzykować, skoro detonator wciąż tkwił w dłoni mężczyzny. Wystarczyłby najłżejszy skurcz i całe to miejsce poleciałoby do nieba.

Nie słyszał wrzasków. Nie słyszał okrzyków Gwardii Szwajcarskiej nakazującej mu odłożyć broń.

Ukląkł przy niedoszłym zamachowcu i rozchylił mu płaszcz. Z C4 wystawały przewody, ale nie były z niczym połączone. Zostały przecięte. C4 nie łączyło się z detonatorem w ręku mężczyzny. Nie było możliwości, żeby bomba wybuchła. Noah spróbował wyszarpnąć detonator z jego zaciśniętej pięści, ale nie zdołał. Dłoń została zaklejona dokoła detonatora. Mężczyzna nie mógł go puścić, nawet jeśli chciał.

Wszystko tu cuchnęło.

Zabił niewinnego człowieka.

Noah nie mógł sobie pozwolić, żeby o tym myśleć.

Już kiedy przyklęknął, żeby przetrząsnąć kieszenie martwego mężczyzny w poszukiwaniu portfela albo czegoś, co pomogłoby go zidentyfikować, wiedział, że coś tu nie grało. Coś istotnego. Dlaczego ten człowiek szedł dalej? Wystarczyłoby tylko, żeby uklęknął. Nie mógłby zdetonować C4 przypiętego do jego ciała, więc dlaczego nie przestawał iść? Istniał tylko jeden możliwy powód: ktoś go zmusił. Noah rozejrzał się po Placu. Znajdowały się tam dosłownie tysiące ludzi i wszyscy patrzyli w jego stronę. Ktoś z nich tak wystraszył tego mężczyznę, że szedł dalej, chociaż wiedział, że kolejny krok będzie oznaczał jego śmierć. A to znaczyło, że kierowało nim coś więcej niż tylko strach o własne życie. Noah przyjrzał się najbliższym twarzom, jak gdyby mógł w ten sposób wyłuskać z tłumu potwora.

Prawdziwe życie tak nie wyglądało. Dopóki rzeczywisty terrorysta na Placu nie zrobi czegoś, żeby się zdradzić, może to być każdy patrzący na niego Tom, Dick czy Harriet.

- Odetnij plac! - warknął przez ramię.

Obrócił się, żeby zobaczyć strażnika. Wstrząśnięty mężczyzna stał jak wryty.

- Otrząśnij się! Musisz zamknąć ten cholerny plac. Tu jest człowiek, który zatrzał miasto!

- Gdzie? - strażnik zaczął się dopytywać, ale Noah mu przerwał.

- Ruszaj się!

Strażnik stanął na baczność, a potem cofnął za drzwi. Podniósł radio ze stolika i zameldował, co właśnie zaszło.

Wydawało się, że nikt nie może uwierzyć w to, czego właśnie był świadkiem. Przelana krew zburzyła świętość tego miejsca. Kolejni dwaj strażnicy Gwardii Szwajcarskiej opuścili swoje posterunki i biegli przez plac w ich stronę. Noah zobaczył, że inni ruszają się, pokazując na migi, że należy zamknąć plac. Za jego plecami Abandonato stał niczym słup soli. Wyraz bezradnego przerażenia wykrzywił mu twarz. To się nie mieściło w jego filozofii. Tego rodzaju obłęd nie miał sensu dla tego świątobliwego męża. Był to jednak świat i w którym żył Noah.

Noah wykorzystał moment szoku, żeby zrobić swoje.

Znalazł portfel i pospiesznie go przejrzał. Nie było tam prawa jazdy, żadnych kart kredytowych, rabatowych ani stałego klienta - niczego, co mogłoby zidentyfikować mężczyznę. Jediną rzeczą w portfelu był złożony kawałek papieru. Noah wyciągnął go i rozłożył. Widniały na nim napisane dwie krótkie linijki:

Poddaliśmy próbie waszą wiarę. Dziś ją łamiemy.

Podniósł się raz jeszcze rozejrzał się po Placu, powoli, przenosząc wzrok z twarzy na twarz. Nie wiedział, czego szuka, ale miał nadzieję, że rozpozna to, gdy to zobaczy. Przerażenie? Strach? Szok? Zagryzł dolną wargę. Miał trzy, może cztery tysiące potencjalnych podejrzanych, a wszyscy kręcili się jak zbłąkane owce.

Aż wreszcie, w połowie Placu, dostrzegł samotną postać opierającą się o Świadka. Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy, i mężczyzna zaszalutował mu, uśmiechając się. Gest był tak naładowany ironią, że aż odrażający. Mężczyzna, ubrany zwyczajnie w dżinsy, białe tenisówki, szarą koszulkę i niebieską bluzę z kapturem, o krótko ostrzyżonych ciemnych włosach i z cieniem zarostu, absolutnie niczym się nie wyróżniał. On chciał, żeby Noah go zobaczył. Odsunął się od obelisku. Był silnej budowy, mocno umięśniony. Szara tkanina t-shirta napinała się na jego klatce piersiowej i bicepsach. Zapewne były wojskowe, pomyślał Noah, patrząc, jak mężczyzna się porusza. To wrażenie spotęgował jeszcze kpiący salut. Mężczyzna odwrócił się i ruszył w stronę najgęstszego skupiska ludzi na Placu.

- Wezwij Neriego - krzyknął Noah, rzucając się w pościg za mężczyzną. Wiedział, że to pułapka, ale naprawdę nie miał w tej kwestii wyboru. Nie miał zamiaru pozostawiać tej sprawy w rękach pajaców z Gwardii Szwajcarskiej w tych ich pstrokatych strojach, żeby gonili mężczyznę po ulicach Rzymu, ani nie zamierzał pozwolić mu zniknąć w tłumie. Tak więc nawet jeśli oznaczało to ściganie go aż do miejsca, gdzie czekała pułapka, cokolwiek nią było, Noah miał zamiar tak właśnie postąpić. - Powiedz mu, że zaraz dam się zabić!

NARODZINY PRAWDY

Jazda pociągiem ICE z Berlina do Koblencji trwała sześć godzin.

Konstantin Chawin wybrał pierwsze siedzenie w cichym wagonie przy oknie przypominającym samolotowe. Za sobą miał toaletę, co oznaczało, że nikt nie może usiąść za nim, zaś on mógł widzieć każdego, kto zbliżał się w jego stronę. To był stary nawyk. Konstantin nie lubił hałasu. Nie chciał być w pobliżu ludzi udających, że są ważni, i gadających przez komórki przez całą drogę. Nie chciał dzieciaków z ich irytującymi przenośnymi gramy komputerowymi, świergoczącymi i piszczącymi mu w twarz. A najbardziej ze wszystkiego nie chciał, żeby ktoś siadał obok niego i zagadywał go przez sześć godzin. Pragnął zostać sam na sam ze swoimi myślami, wyglądając przez okno na świat pędzący obok albo zamykając oczy i udając, że śpi.

W wagonie było o pięć stopni chłodniej niż na zewnątrz i dzięki precyzyjnej niemieckiej technologii utrzymywała się stała temperatura dwudziestu stopni. Powietrze było nieruchome, pompowane do pociągu, jakby to był samolot.

Konstantin odetchnął głęboko, pozwalając, by sztuczne powietrze pomału wydostawało mu się przez nos.

Lethe podał mu aktualne wieści przed godziną. Przekazał mu wszystko, co odkryła reszta zespołu. Było sporo do przemyślenia.

Kiedy Lethe wreszcie przestał mówić, Konstantin powiedział tylko:

- A ja mam ich zabić, tak? Tego chce stary?

Taki był rosyjski sposób działania. Jego umysł już rozważał możliwe scenariusze. Konstantin mógł wejść do biura Devere'a i od razu go zlikwidować. Wystarczyłaby jedna kula. Może nawet tego nie byłoby trzeba, bo ludzie tacy jak Devere rzadko potrafili walczyć. Konstantin mógł po prostu stanąć za nim i skrócić mu kark, brutalnie i skutecznie. Albo mógł zaczekać na niego na ulicy, wciągnąć w brudny zaułek i zostawić go w stosie worków ze śmieciami, żęły zajęły się nim szczury. Mógł wynająć samochód, zepchnąć Devere'a z drogi, a potem stać nad jego płonącym modnym sportowym autem. Istniało tak wiele sposobów, żeby umrzeć, ile dni w roku, a końcowy rezultat był taki sam. I tylko to się liczyło.

Czasami rosyjskie rozwiązania miały w sobie elegancję.

Z Orlą byłoby inaczej. Odzyskanie, nie egzekucja. To będzie wymagało staranniejszego planowania. Nie ma czasu uważnie zbadać otoczenia, więc musi polegać na zaskoczeniu.

Uderzyć, zanim zdążą zareagować. Zjawić się w nocy. Narobić mnóstwo hałasu. Po rosyjsku, z furją. W nocnych ciemnościach strach był kompanem równie dobrym, jak drugi strzelec. Ale będzie potrzebował czegoś więcej niż tylko jego Glock 19.

Lethe ukręcił łeb jego fantazjom, zanim Konstantin odbezpieczył w myślach wyimaginowaną broń.

- Nie. Nikogo nie masz zabijać, Koni. Przynajmniej mam nadzieję, że nie. Staruszek ma dla ciebie inne plany. Devere rzebywa w Koblencji. Devere to pieniądze, sam raczej nie wykona kroku, ale będzie chciał obserwować to, za co tak słono zapłacił. Nie będzie w stanie się oprzeć. To będzie jak zamach na Kennedy'ego. Każdy będzie pytał: „Gdzie byłeś kiedy zastrzelono papieża?”, a Miles Devere chce móc odpowiadać: „Byłem tam. Widziałem całe zdarzenie na własne oczy”. Koblencja pasuje do proroctwa, miasto dzielą dwie główne rzeki, Ren i Mozela, a papież ma według planu przebywać w mieście przez następne czterdzieści osiem godzin, zanim pojedzie dalej, do Krakowa. Twoje zadanie jest proste - powiedział Lethe bez cienia ironii. - Masz za wszelką cenę sprawić, żeby to się nie wydarzyło. Wszelkimi sposobami, Koni. Utrzymaj go przy życiu. Tylko tyle. Ja zaalarmuję bazę danych Bundeskriminalamt INPOL, przekażę im wszystkie twarze z tej fotografii z Masady,

wszystkie nazwiska z wykopalisk, stworzę dla nich tak pełny profil, jaki zdołam w tym czasie, żeby mieli od czego zacząć, a tymczasem staruszek będzie wzywał kawalerię. Nie będziesz sam, Koni, ale jest i haczyk - nikomu nie możesz ufać. O ile nam wiadomo, Orla nie rozmawiała z nikim prócz IDF w Izraelu, a Mabus ją dorwał. Jeżeli potrafią zinfiltrować Siły Obronne Izraela, to pewnie jak diabli, że są w stanie zinfiltrować BKA, albo przynajmniej wiedzą, jak udawać jakiegoś skromnego niemieckiego detektywa. Nikomu nie ufaj, mój ty rosyjski przyjacielu.

- Będzie jak za dawnych czasów - powiedział Konstantin.

- Pomyślałem, że ci się spodoba - odparł Lethe i tym razem Rosjanin mógł być pewien, że Jude się uśmiecha. To było słycać w jego głosie.

Konstantin zastanowił się nad tym.

To miało sens.

Orla była w tarapatkach, ale Orla to duża dziewczynka, na tyle duża, żeby sama o siebie zadbać. Robiła to już wcześniej i teraz robi to znowu. Była żołnierzem. Została do tego wyszkolona. Była zaradna. Sprawna. Staruszek wybrał ją nie bez powodu. Konstantin ufał osądowi staruszka. Dlatego właśnie przestał teraz o niej myśleć. Musiał się skoncentrować na rzeczach, na które mógł mieć wpływ.

- Dostrzegam ironię sytuacji - odezwał się Konstantin - ale mi się ona nie podoba.

Zdecydowanie wolałbym jechać do Tel Awiwu i zabić facetów, którzy zgarnęli naszą małą.

- Ja także, przyjacielu. Oczywiście, od zabijania jesteś ty, a nie ja. Ja ledwie mógłbym zgnieść osę. Dbaj o siebie, Koni. Za minutkę wyślę ci pakiet danych na komórkę, to plan zajęć papieża na najbliższe czterdzieści osiem godzin, z kim się spotyka, gdzie, oraz jak ma się tam dostać. Prześlę ci też trasę uroczystego przejazdu. Jego Świątobliwość ma dziś wieczorem poprowadzić modły na Florinsmarkt. Zbudowano podwyższenie dokładnie w tym samym miejscu, gdzie niegdyś stała szubienica. Część nabożeństwa będzie misia na celu uświęcenie bezbożnej ziemi. Myślę, że jeżeli coś ma się wydarzyć, to jest najbardziej prawdopodobne miejsce. Znajduje się na zatłoczonym placu, otoczonym ze wszystkich stron budynkami. Mnóstwo możliwości ostrzału.

- Właśnie dlatego jest najmniej prawdopodobne - odpowiedział Konstantin. - To tutaj ochrona będzie najbardziej szczelna. A co z trasą przejazdu?

- Kawalkada pojedzie wzdłuż rzeki i przez starówkę. Trasa liczy około pięciu kilometrów i obejmuje mnóstwo punktów spotkań i powitań. Z tego, co widzę na monitorze komputera, będzie dosyć odsłonięta. Prawie żadna ulica nie posiada takiej gęstej siatki kamer nadzoru, do jakiej my jesteśmy przyzwyczajeni, więc kiedy zrobi się gorąco, nie zdam i się na wiele.

- Ty wykonaj swoją robotę, a ja wykonam swoją - powiedział Konstantin i rozłączył się.

Rytmiczny stukot kół na szynach był kojący. Konstantin przyłapał się na tym, że jego myślenie popada w rytm dopasowujący się do wibrowania kół pod jego stopami, du-du-da-du du-du-da-du, niosącego się przez cały wagon.

Zakładając, że pociąg przyjedzie zgodnie z rozkładem, będzie miał około dwóch i pół godziny, zanim papież według swojego planu dnia wygłosi wieczorne modlitwy. To dawało mu nieco czasu, żeby przejść trasą przejazdu, wypatrując potencjalnych punktów, gdzie teren dawałby snajperowi przewagę, oraz tego rodzaju rzeczy. Jednak w tym samym czasie będzie się zbierał tłum, utrudniając mu zadanie.

Musiało tu dojść do korupcji. Cała sprawa aż nią cuchnęła.

Humanity Capital to była spora firma. Devere Holdings - jeszcze większa. Fakt, że Miles Devere przebywał w Izraelu w czasie trzęsienia ziemi i pracował z prawdziwym Akimem Caspim, stawiał go w samym środku tej wyjątkowo zagmatwanej pajęczyny, którą Konstantin usiłował rozplątać.

Ani przez chwilę nie wątpił, że Lethe miał rację i że Devere będzie chciał zobaczyć finał, ale on nie był ideologiem, jak Mabus. Devere'a interesowały pieniądze. Devere miał

pieniądze. Za pieniądze kupuje się ludzi. To znacznie uproszczony obraz świata, ale Konstantin jeszcze nie udowodnił, że jest inaczej. Devere dysponował siłą korporacji. Rozwinął korporacyjne strategie, które wykorzystywały system, i kochał system po prostu dlatego, że pozwalał mu się wykorzystywać.

Mabus to zupełnie inna historia. On nie wynajmował najemników, żeby przedłużyć konflikt, ani nie przekupywał ludzi, żeby zbombardowali szpital, by on mógł otrzymać kontrakt na jego odbudowę. On nie szukał zysku. Nie musiał. Był zelotą, tak samo jak sykariusze przed dwoma tysiącami lat. I tak jak każdy zelota, polegał na fanatyzmie, który był jego specjalnością. Mabus żył jednym przekonaniem - że Kościół został zbudowany na kłamstwie. Człowiek, którego historia znienawidziła jako wielkiego zdrajcę, był w rzeczywistości prawdziwym mesjaszem, Bogiem wcielonym, poświęcającym swoje śmiertelne ciało, żeby zmazać grzechy innych. Dokonując poświęcenia z miłości, przypieczętował je pocałunkiem. To przekonanie doprowadziło Mabusa do zebrania razem trzynaściora innych i ukształtowania z nich samozwańczych Apostołów Judasza. Tych trzynaścioro zarzuciło sieci, werbując innych do swojej wiary. Razem tworzyli Krzyki. A ich cel? Jedynym, jaki w oczach Rosjanina miał choć odrobinę sensu, było zaatakowanie samych podstaw, na jakich zbudowano Kościół katolicki - bądź co bądź, to Judasz był ich mesjaszem, a nie Jezus. Dlaczego świat miałby się modlić do krzyża i pić krew Chrystusa, jeżeli całe to życie było kłamstwem? Jakie w tym było zbawienie? To był nęcący tok rozumowania.

Poczuł, jak telefon wibruje mu w kieszeni. Sprawdził go. Przyszedł pakiet danych od Lethego. Otworzył go, sprawdził miejsca, daty i godziny, i uświadomił sobie, że jest zbyt wiele niewiadomych, żeby zachować spokój. Ochrona tego człowieka będzie koszmarem. Nawet nie przechodząc trasą przejazdu, wiedział, że będzie tam o wiele za dużo miejsc, gdzie zabójca może się ukryć. Nowoczesne karabiny snajperskie umożliwiały dobremu strzelcowi oddanie strzału z tak wielkiej odległości od ofiary, że uganianie się za nim było praktycznie niemożliwe, jeśli aż tyle zmiennych zabójstwa nie zostało wcześniej wyjaśnionych. Tak więc była to ostatnia rzecz, na jaką Konstantin zamierzałby marnować czas, gdy starał się chronić papieża. Poza tym papież miał swoich osobistych ochroniarzy, gotowych przyjąć za niego kulę i zasłużyć sobie na miejsce w niebie. No i, rzecz jasna, cała BKA będzie w stanie najwyższej gotowości od momentu, gdy papież wyjdzie z samolotu. Nie Konstantin wykorzysta swoje umiejętności w innym celu. Jak głosi stare piłkarskie porzekadło, atak jest najlepszą formą obrony.

Znajdzie tego człowieka i zabije go, zanim on pociągnie za spust.

To pozostawiało mu od trzech godzin do dwóch pełnych dni na znalezienie zabójcy, zależnie od tego, kiedy postanowił dokonać zamachu.

Pociąg toczył się naprzód. Konstantin stwierdził, że przysypia. Pozwolił sobie na płytki sen. Nie miał pojęcia, kiedy znowu będzie mógł zasnąć.

Kiedy spał, śnił po rosyjsku. W jego śnie Mabus był wężem szepczącym w ciemności, poruszając rozdwojonym językiem. Konstantin trzymał w ręku swojego Glocka, ale nie widział, do czego celuje. A potem go ujrzał - węża wyłaniającego się z mroku. Pociągnął za spust i znowu, znowu i znowu, aż wąż zaczął się wić. Konstantin wystrzelił dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto kul w jego zimną skórę. Był zaklinaczem węży, każącym gadowi się podnieść. Później bestia rzuciła się na niego i ukąsiła go. Znow strzelał, strzelał i strzelał.

Obudził się raptownie, gdy wagonem szarpnęło.

Pociąg ICE wjeżdżał do miasteczka, które wyglądało, jakby przeniesiono je wprost z bajkowego świata braci Grimm.

Maszynista ogłosił, że dojeżdżają do następnej stacji. To nie była Koblencja. Konstantin ponownie zamknął oczy. Tym razem nie pozwolił sobie zasypiać. Uświadomił sobie, że jest głodny. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz coś zjadł. Przeszedł do wagonu

restauracyjnego i zamówił kubek aż nazbyt gorącej czarnej kawy i kawałek pizzy z mikrofalówki, zapakowane w foliowane pudełko, a do tego cynamonową bułeczkę ociekającą białym lukrem oraz batonika. Wszystko zawierało dużą ilość cukrów. Wysokoenergetyczne, szybkie, byle jakie żarcie. Ale nie miał ochoty zasiadać do obiadu z pełną zastawą, co było jedyną alternatywą, więc to będzie musiało wystarczyć.

Wracał przez pociąg, kołysząc się wraz z ruchem wagonu, gdy ten pochylał się na długich zakrętach, aż wreszcie dotarł na swoje miejsce. Upił łyk kawy. Pochłonął pizzę w sześciu kęsach, ledwie ją gryząc przed połknięciem, tak był głodny. Zlizął z palców ciągnący się ser.

Gdy pomyślał jak Rosjanin, miało dla niego sens, że Apostołowie Judasza pragnęli śmierci głowy Kościoła. To było śmiałe posunięcie. Cios w samo serce wiary ich fałszywego mesjasza. Pasowało do moskiewskiej zasady - uderz mocno, uderz szybko i niech się boją. To było jak wyłamywanie drzwi o czwartej nad ranem i wywlekanie człowieka z łóżka, nagiego, kąpiącego, wrzeszczącego, i co najważniejsze - bezbronnego. Ale co więcej, gdy oczy świata były zwrócone na tę scenę, morderstwo jednego człowieka zamieniało się w spektakl.

Maszynista ogłosił Koblenz Hauptbahnhof.

Konstantin zawiązał bułeczkę w serwetkę, z którą mu ją podano, wcisnął ją razem z batonikiem do kieszeni i ruszył w stronę wyjścia.

Wysiadł z pociągu prosto w dekoracje do jakiejś makabrycznej umoralniającej opowieści z repertuaru braci Grimm. Wszystko pasowało, wzięwszy pod uwagę piernikową estetykę domków i malowniczo wąskie brukowane i ulice. Przy końcu peronu czekała policja. Konstantin odruchowo sięgnął do kieszeni, szukając dokumentów. Strach tkwił w nim głęboko. Potrzebował chwili, by przypomnieć sobie, że to nie Moskwa, a ci ludzie nie szukają zdrajców sowieckiej ideologii. Ich nie obchodziło, że jest uciekinierem, ale jemu trudno było zapomnieć, że nim był. Ruszył w stronę budynku dworca. Nie za prędko, nie za wolno. Policjant nieznacznie skinął mu głową, gdy przechodził obok. Konstantin się odklonił.

Budynek dworca miał ten unikalny zapach stacji - i połączenia kwiatów, tłuszczu z budek z fast foodami, silników diesla oraz desperacji miejsca, gdzie ludzie żegnają się na zawsze.

O ile dobrze widział, dziesięciu umundurowanych policjantów rozproszyło się po peronach i przy głównym wejściu. W ciągu paru minut, które zajęło mu podejście do stoiska z kawą obok kasy biletowej, kupienie gorącej jak piekło Americano, którą podano mu w papierowym kubku tak cienkim, że parzył w palce, i wypicie jej, nie zaczęli ani jednego pasażera. Konstantin nie wiedział, czego szukają, ale najwyraźniej nie dostrzegali tego w twarzach łysych biznesmenów, skinheada w podartej koszulce zespołu The Clash z napisem „London Calling” czy kobiety w pantoflach na wysokich obcasach i sukience w kształcie trapezu o tak potężnych łydkach, że odwróciły się za nią wszystkie głowy. Nie zobaczyli tego u brodatego mężczyzny w marynarce profesora college’u z łatami na łokciach ani u tyczkowego studenta w okularach przeciwsłonecznych i z włosami farbowanymi na czarno, zwisającymi mu poniżej ramion.

Konstantin wyjął z kieszeni pokruszoną bułkę i rozwinął serwetkę. Lukier przykleił się do serwetki, serwetka do bułki, a potem obie przykleiły mu się do płaców, gdy próbował je rozdzielić. Konstantin nie spieszył się, delektując się słodką bułką. Podeszedł jakiś włóczęga i przysiadł na ławce obok niego. Cuchnął, jakby nie kąpał się od miesiąca; był to tego rodzaju kwaśny odór, który dławi w gardle i sprawia, że ma się ochotę wymiotować. Konstantin wyjął z kieszeni batonik i podał go mężczyźnie, który wziął go, obrał z papierka i łapczywie zjadł. U ich stóp gromadziły się gołębie. Jeden wskoczył na ławkę obok włóczęgi. Nadeszła jakaś kobieta, usiadła po drugiej stronie ławki i zaczęła czytać gazetę. Włóczęga rozłożył

ręce, usiłując odegnać ptaki, lecz tylko zleciało się ich więcej. Razem wyglądali jak osobliwa wersja Ostatniej Wieczerzy - Jezus, Maryja, Judasz i ptaki.

Konstantin dopił kawę i wyrzucił do kubła lepką serwetkę.

Policjanci strzegący dworca przyglądali mu się, gdy szedł w ich stronę. Rozkłady jazdy i mapy znajdowały się na ścianie za nimi.

Nie zatrzymali go.

Wyjął telefon z kieszeni. Przy niecałych pięciu centymetrach kwadratowych wyświetlacza mapa przejazdu była niemal bezużyteczna, ale wystarczyła mu, żeby sprawdzić plan miasta wiszący obok rozkładu jazdy oraz mapy połączeń ICE, Inter City i kolei regionalnej. Przyglądał im się przez parę minut, ucząc się ich na pamięć.

- Czy w czymś panu pomóc? - zapytał najbliższy stojący funkcjonariusz, widząc, jak Konstantin wpatruje się w plan miasta.

- Dziękuję, poradzę sobie - odpowiedział mu Konstantin, nie odrywając wzroku od mapy. Trasa przejazdu długości prawie czterech kilometrów, biegła wzdłuż Renu przez jakieś dwie trzecie, po czym skręcała w stronę Starego Miasta. Po drodze znajdowało się kilka ważnych punktów w tym oczywiście potężna cytadela Ehrenbreitstein na drugim brzegu rzeki. Była też fabryka aluminium oraz wytwórnia hamulców samochodowych. Obie miały sporo do zaoferowania, jeśli chodzi o ustronne miejsca, ale nie widząc ich, Konstantin nie mógł stwierdzić, czy stanowią autentyczne zagrożenie. Biurowce, hotele, pensjonaty - tego rodzaju miejsca interesowały go najbardziej. Miejsca oferujące dobry widok, co oznaczało, że muszą się wznosić kilka pięter powyżej poziomu gruntu. To na pewno wykluczało sporo starszych budynków starej części miasta, czyli że strzelec zapewne będzie preferował nowe miasto z jego szerszymi ulicami i wyższymi budynkami. Ale i tego Konstantin nie mógł być pewien, dopóki nie przejdzie się trasą przejazdu.

Za głównym portykiem dworca ciekawy szklany dach wysuwał się daleko ku środkowi placu. Droga zakręcała wokół wybrukowanego fragmentu. Po prawej od wejścia jaskrawożółta furgonetka DHL odbierała dzisiejsze dostawy. Po lewej znajdował się parking. Zapelniała go niemal identyczne minivany i samochody rodzinne. Rowery stały przypięte łańcuchami do prawie każdego słupka podtrzymującego szklany dach. Nawet przez szkło niebo wyglądało jak kryształowo błękitny górski strumień. Po przeciwnej stronie ulicy znajdowała się jedna z tych sieciowych kafejek, które zmieniały prostą przyjemność picia kawy w wizytę w centrum handlowym. W odległej części placu Konstantin zobaczył budynek wzniesiony niemal wyłącznie ze szkła. To mogła być szkoła wzornictwa przemysłowego albo fantazyjny biurowiec, tego nie potrafił stwierdzić.

Gmach gryzł się prawie ze wszystkimi budynkami w jego otoczeniu.

Wszędzie pełno było drogowskazów. Konstantin ruszył ścieżką dla pieszych prowadzącą nad brzeg Renu. Ścieżka dzieliła się na dwa pasy - jeden dla rowerzystów i jeden dla spacerowiczów. Przed nim nie było na niej nikogo na odcinku najbliższych trzystu kroków. Konstantin szedł, nie spiesząc się, rozglądał się na lewo i prawo niczym turysta upajający się średniowieczną architekturą. Mała kawiarenka wypełzła aż na ulicę. Osiem drewnianych stolików było pustych, ale na dwóch z nich stały brudne filiżanki po espresso, a narożnik serwetki powiewał na wietrze. W następnych drzwiach w wejściu poustawiano wiaderka z tulipanami, słonecznikami, różami i innymi barwnymi naręczami kwiatów. Na drzwiach widać było odręcznie napisaną kartkę informującą, że jest zamknięte, ale kobieta w średnim wieku stała w oknie, poprawiając dekorację. Uśmiechnęła się na jego widok. Konstantin odpowiedział uśmiechem. Okna na pierwszym piętrze były ciemne i nie było świetlików. Konstantin obrócił się, najlepiej jak potrafił podążając wzrokiem za trajektorią potencjalnej kuli wystrzelonej z pierwszego piętra, ale była daleka od ideału. Na miejscu Strzelca nie wybrałby tego miejsca. To mu wystarczyło, żeby je odrzucić.

Przy nabrzeżu kupił w kiosku paczkę papierosów bez filtra. Sprzedawca wziął od niego pieniądze. Wymienili uprzejmości. Konstantin wspomniał o zaporach i mężczyzna wybuchnął śmiechem.

- Gdzie pan był przez ostatni miesiąc, przyjacielu? Papież przyjeżdża, żeby nas oczyścić ze wszystkich grzechów - powiedział, wciąż się uśmiechając. - Za parę godzin będzie tu tylu ludzi, że nie da się przejść. To będzie wariactwo.

Konstantin nie palił, więc nie miał zapalniczki, żeby zapalić papierosa, którego wetknął sobie do ust. Zapory ciągnęły się wzdłuż całej trasy od strony rzeki. Kilko ludzi już zajęło miejsca z przodu, jak gdyby ustawiali się w kolejce do supergwiazdy pop na wyprzedanym koncercie. Mieli ze sobą kosze piknikowe i zgrabne małe trójnożne krzeselka. Konstantinowi spodobało się, jak ojciec wziął tabliczkę czekolady i połamał ją na kawałki, podając po jednym żonie i dwójce dzieci.

- Jakies kłopoty?

Kioskarz nie przestawał się uśmiechać.

- Tutaj? Słowo daję, jedyny powód, dla którego dzieciaki wystają na rogach ulic, to że czekają na zmianę świateł.

Konstantin uśmiechnął się, słysząc to. Większość ludzi wierzyła, że miasteczka, w których mieszkali, były bezpieczne, a przynajmniej przeciętne, jednak rozglądając się wokół, wiedział, że raczej może uwierzyć kioskarzowi na słowo. Istniał tu jakiś przemysł, co oznaczało, że mogły się zdarzać jakieś tarcia, a wzięwszy pod uwagę napięcia w gospodarce w całej Europie, te tarcia zapewne urastały do okazjonalnych bójek na pięści w piątkowe wieczory. Bliźniacze miasto księstwa z bajki nie wyglądało, jakby cierpiało z powodu wysokiego odsetka włamań i rozbojów, kradzieży samochodów i innych antyspołecznych postępów. Do tej pory widział bardzo niewiele graffiti, nawet na ścianach tunelu czy wzdłuż muru odgradzającego spacerowiczów od rzeki. Oczywiście, można to było przypisać zasługom ekip czyszczących miasto przed papieską wizytą.

I chociaż na zewnątrz panowała idylla, mnóstwo niegodziwości mogło się dziać za tymi oknami wyglądającymi jak wycięte foremką do ciastek, zaś on nawet by o tym nie wiedział.

Konstantin przeskoczył nad metalową zaporą i poszedł środkiem ulicy. Zamierzał przejść trasę przejazdu trzykrotnie, zanim papamobile powiezie papieża do stopni kościoła św. Floriana.

W przeciwieństwie do tego, co powiedział Lethemu, prawie nigdzie wzdłuż całej nadrzecznej części trasy przejazdu nie było miejsca do oddania dobrego, czystego strzału. Konstantin podszedł do muru i spojrzął na cytadelę po drugiej stronie rzeki. Gdyby strzelec tam się znajdował, to jego szanse byłyby znikome. Miałoby to sens z taktycznego punktu widzenia. Papamobile był to specjalnie zaadaptowany Mercedes Benz M-klasa. Posiadał specjalny przeszklony „pokoik” wbudowany w tylną część pojazdu. Szkło było kulo odporne, jakże by inaczej, a dach opancerzony. Żeby przebić szkło, strzelec musiałby być na tyle dobry, żeby wystrzelać śmiertelny trójkąt - trzy strzały tworzące trójkąt tak małeńki, że ślady dosłownie by się stykały. Doświadczony snajper byłby w stanie tego dokonać we właściwych warunkach, ale dochodziła kwestia trajektorii, odległości, wiatru, tego, czy cel się porusza, czasu reakcji ochrony i wszystkich tych nieuchwytnych szczegółów, których strzelec nie mógłby znać przed naciśnięciem na spust.

Oddanie strzału w chwili, gdy cel wsiada do ochronnej kuloodpornej klatki albo ją opuszcza, byłoby bardziej sensowne, ale brakowało tu elementu widowiska. W momencie nasilonej paranoi Konstantin zastanawiał się, czy ktoś nie mógłby majstrować przy jednym z okien, przygotowując je do strzału? Agenci znajdujący się obok oczekiwaliby, że szkło ochroni papieża. Nie spodziewaliby się, że może ich zdradzić.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do Lethego.

- Dwie rzeczy - powiedział, zanim Lethe dokończył mówić „halo”. - Po pierwsze, niech ochrona trzy razy sprawdzi spójność szkła w papieskim samochodzie. Po drugie przejrzy rachunki dla każdego adresu w promieniu półtora kilometra od trasy. Myślę, że strzelec musiałby znaleźć sobie miejsce ze dwa tygodnie, dziesięć dni temu. Może to chłodny zawodowiec nawykły do skromnych warunków, ale ci goście w Berlinie to była żenada. Co oznacza, że chociaż to mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe, że facet mógł gdzieś wypłynąć. Żadnego telefonu, wystarczy zasięg komórki. Po trzecie, poszukaj budynków, które powinny być puste, wynajęte, coś w tym rodzaju.

Lethe nie wytknął mu, że miał ponoć do powiedzenia tylko dwie rzeczy, a nie trzy.

- Zajmę się tym.

Im więcej o tym rozmyślał, tym mniej był przekonany, że szuka strzelca.

Możliwości udanego zamachu były ograniczone, a trasa nad rzeką na pewno nie oferowała więcej niż jeden czy dwa dogodnie punkty, co już samo w sobie dyskwalifikowało, gdyż strzelec na tyle dobry, żeby trafić feralny trójkąt na poruszającym się celu z tak dużej odległości, byłby jednocześnie na tyle dobry w swoim fachu, by wiedzieć, że jeden czy dwa potencjalnie dogodne punkty statystycznie oznaczają - o ile nie liczy się na cud - zerowe szanse wydostania się. Naprawdę dobrzy snajperzy nie podejmowali się samobójczych misji.

Samobójczych misji podejmowali się fanatycy.

To znowu przywiodło mu na myśl Mabusa i Milesa Devere'a.

- Cztery rzeczy - powiedział, ponownie dzwoniąc do Lethego.

- Strzelaj.

- Masz numer komórki Devere'a, czy możesz ją namierzyć?

- Jasne, tak długo, jak działa bateria, mogę ją wysledzić przez GPS. Cuda nowoczesnej technologii. Nie ma czegoś takiego, jak przebywanie poza siecią.

- Nie mów mi, że potrafisz to zrobić, powiedz mi, gdzie on jest - odparł Konstantin.

Raz po raz obracał w palcach papierosa. Potrafił zrozumieć, dlaczego nerwowi ludzie palą: to im pozwala zrobić coś z rękoma.

Lethe podał mu adres przy Jesuitenplatz, na Starym Mieście,

Trzydzieści minut później Konstantin wpatrywał się w jedno z zasłoniętych okien, będąc pewien, że sylwetka spoglądająca stamtąd na niego to Miles Devere. Była w tym jakaś piękna symetria. Myśliwy i zwierzyzna patrzący sobie w oczy, a nikt z nich nie zna do końca własnej roli w tej krwawej sztuce. Kto był myśliwym? Kto zwierzyzną? To przemawiało do przesadnie rozwiniętego teatralnego zmysłu Konstantina. To on pierwszy przerwał kontakt wzrokowy, ruszając w stronę budynku. Zastanawiał się, czy Devere w ogóle wie, kim on jest. Ależ wie to na pewno, tłumaczył sobie Rosjanin. Człowiek taki jak Devere musiał mieć obsesję na punkcie sprawowania nad wszystkim kontroli. To była jego gra. Nie mógłby znieść braku wiedzy o wszystkich używanych w niej figurach.

Ale jak dużo on wie?

Oczywiście, odpowiedź zależała od tego, jak dobrzy byli ludzie Devere'a. Akta służbowe Konstantina Chawina były utajnione, tak samo jak wszystko, co Jej Wysokość wiedziała na jego temat aż do chwili, gdy jego stopy wylądowały po zachodniej stronie muru berlińskiego. Jednak ktoś taki, jak Lethe, byłby w stanie powiedzieć Devere'owi, co Konstantin zjadł poprzedniego dnia na śniadanie, jakiego koloru bokserki nosił tego ranka, kiedy ostatnio zrobił W i wszystko, co się działo w międzyczasie. Znając Lethego wiedział, że zebranie tych perełek na temat jego osobistej higieny zajęłoby mu mniej niż pięć minut. Tak więc Konstantin musiał zakładać, że Miles Devere wie wszystko, co oba rządy miały na niego, i jeszcze dużo więcej. Nie miał pojęcia, jak to może wpłynąć na bieg wypadków, lecz dobry strateg zawsze wie, z czym się mierzy i odpowiednio do tego układa swoje plany. Tak więc

Konstantin znowu musiał założyć, że Devere będzie układał własne plany w oparciu o szczegółową wiedzę o tych, z którymi się mierzy.

Czy było nieposkromioną pychą ze strony Konstantina, by sądzić, że Devere miałby zwracać sobie głowę sprawdzaniem, kim on jest i co robił przez czterdzieści parę lat przeżytych na tym padole? Gdyby to była Moskwa, odpowiedź byłaby oczywista, nawet w mikrokosmosie Nonesuch była ona oczywista, ale tutaj, gdzie ludźmi rządziły pieniądze? Devere udowodnił, że potrafi zrobić, co tylko zechce, i to nawet bez logicznego powodu. Nie miał obiekcji przed wynajmowaniem najemników do zabijania żołnierzy broniących domów bezbronnym ludzi i sprzedawaniem dział, żeby zetrzeć te domy z powierzchni ziemi, bo to oznaczało, że ktoś je będzie musiał odbudować. To był świetny interes, o ile przejmować się kapitałem, a nie ludźmi. Devere udowodnił też, że potrafi kupować sobie ludzi równie łatwo, jak kupował miejsca i przedmioty, oraz że obchodzili go tyle samo. Oligarchowie w jego kraju byli tacy sami. Być może to pieniądze czyniły to z ludźmi?

Konstantin podszedł do drzwi. Mała srebrna plakietka informowała, że Devere Holdings znajduje się na trzecim piętrze. Dwie pozostałe firmy mieszczące się w tym budynku także należały do Devere'a. Jedyne restauracja na dole nie należała do jego kolekcji przedsiębiorstw. Konstantin nacisnął dzwonek, a kiedy jakiś trzeszczący głos z małego głośniczka odezwał się niezrozumiale, nachylił się i powiedział do ukrytego mikrofonu:

- Konstantin Chawin do Milesa Devere'a.

Doliczył do pięciu, słysząc tylko ciszę, po czym zabzyczał zamek i drzwi otworzyły się. Konstantin wszedł do środka.

Nie planował wcześniej konfrontacji z Devere'em i nie miał pojęcia, co teraz powiedzieć, gdy już znalazł się w budynku. Wszedł po wąskich marmurowych schodach, zamiast skorzystać z windy, wykorzystując dwie minuty wchodzenia na ułożenie sobie planu. Następne kilka minut powinno być interesujące, a może i więcej, zwłaszcza przy gambicie na otwarcie, jaki sobie wymyślił.

W otwartych drzwiach stała śliczna młoda dziewczyna, czekając na niego. Obejrzała go od stóp do głów, po czym podała mu rękę, gdy wszedł na piętro.

- Pan Devere pana oczekuje. Czy mogę coś panu podać? Herbatę? Kawę? Coś odrobinę mocniejszego?

Miała rozbijający uśmiech. Konstantin mógł sobie z łatwością wyobrazić, że ten uśmiech sprawiał, że rozsądni, racjonalnie myślący mężczyźni tracili głowy jak zakochane szczeniaki.

- Woda będzie w sam raz, dziękuję - powiedział.

- Żaden problem. Gazowana czy zwykła?

- Prosto z kranu wystarczy.

- Oczywiście. Proszę, niech pan siada - wprowadziła go do małej poczekalni, która całkowicie kontrastowała ze staroświeckim urokiem reszty budynku.

Cała składała się ze szkła, stali i ostrych kątów. Znajdowały się tam dwie czarne skórzane sofy, jedna pod oknem, a druga pod boczną ścianą. Na okrągłym stoliku ze stalową ramą leżał typowy wybór zaczytanych czasopism. Poza czasopismami nic w tym małym pomieszczeniu nie sugerowało, że w ogóle kiedykolwiek prowadzono tu działalność.

Ślicznotka wróciła z wodą, przynosząc butelkę Perrier oraz wysoką szklankę z plasterkiem limonki. Gorszą obsługę miewał w hotelach.

Devere kazał mu czekać jeszcze przez dziewięć minut. Nie było to nic innego, jak tania psychologia, próba narzucenia dominującej pozycji przez Devere'a, zanim się jeszcze i spotkali. Konstantin odkręcił butelkę z wodą i nalał sobie trochę do szklanki. Upił łyk, po czym podszedł do okna. Wyjrzał na Jesuitenplatz, przywołując jego widok w pamięci i odwracając kierunki. To było okno, w którym zaledwie parę i minut wcześniej widział wyglądającego Devere'a. Popijając kolejny łyk, Konstantin przeniósł uwagę z placu na

nabrzeże. Nawet uwzględniając, że znajduje się wyżej, nie mógł dojrzeć więcej niż ze dwa metry trasy przejazdu w szczelinie i między dachami. Żeby snajper mógł oddać stąd strzał, i potrzebowałby kogoś na dole podającego mu czas, tak by wiedział, kiedy się spodziewać pojawienia się w zasięgu wzroku białego papieskiego mercedesa i nie spóźnić się. Nawet wtedy trafienie fatalnego trójkąta w celu roztrzaskania kuloodpornego szkła byłoby dosłownie niewykonalne w ciągu tego ułamka sekundy, kiedy samochód będzie widoczny.

Przynajmniej mógł skreślić ten budynek jako potencjalną kryjówkę snajpera. Żaden poważny zawodowiec nie ryzykowałby potrójnie czy poczwórnym utrudnionym strzałem tylko dlatego, żeby było mu wygodnie.

Gdy stał odwrócony do okna, Miles Devere wszedł do poczekalni.

Konstantin nawet nie musiał się obracać, by poznać, że to Devere. Słyszał, że ciężar jego kroków był inny. Poczł wodę kolońską - było jej za dużo, a w porównaniu z perfumami ślicznotki była znacznie droższa.

- Pan Chawin? Pana nazwisko brzmi Chawin, tak? W czym mogę pomóc?

Konstantin nie odwracał się. Spoglądając na szybę, odezwał się:

- Sądzę, że planuje pan dokonanie zabójstwa papieża za nieco ponad godzinę. Przykro mi, że przynoszę złe wieści, ale pomyślałem, że uczciwie będzie pana uprzedzić, że to nie nastąpi.

- Och? A to dlaczego? - spytał Devere, wyraźnie rozbawiony takim obrotem sprawy.

- Ponieważ zamierzam pana powstrzymać - odparł rzeczowo Konstantin.

Teraz się odwrócił.

Miles Devere wyglądał posągowo - niczym Dawid o zbyt ładnych rysach, zbyt idealnej opalenizmie i z jednym z tych uśmiechów udoskonalonych przez ortodontę, nadającym się w sam raz na błyszczące stronicy „Vogue’a” i „Harper’s Bazaar”. Zbyt ładny, żeby go traktowano poważnie, pomyślał Konstantin, spoglądając na niego. I zbyt ładny, żeby nie zniechęciła go połowa ludzi, którzy go kiedykolwiek widzieli. Bo był ładny, a nie przystojny. Miał tego rodzaju twarz, która bez wątplenia dawała mu wszystko, czego i gdzie zapragnął, czy chodziło o uśmiech ślicznego dziewczęcia za ladą w sklepie, czy o głowę Jana Chrzciciela na tacy. Świat lubił ładnych ludzi.

Devere nie wydawał się ani trochę zbity z tropu nieoczekiwanym pojawieniem się Rosjanina w jego biurze, ani jego zarzutami. Oblizał wargi, a jego uśmiech stał się szerszy.

- Ależ to niesamowicie ciekawe - powiedział. - Proszę mówić dalej, uwielbiam dobre historyjki. Proszę do biura, niech się pan rozgości. Nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć, jak to się skończy.

- Istnieje tylko jeden sposób, w jaki może się skończyć - odrzekł Konstantin.

- Och, proszę powiedzieć?

- Łzami - odparł Konstantin.

Tak naprawdę jeszcze się nie zastanawiał, co powiedzieć dalej. Jego jedynym celem i przyjscia tutaj było wyprowadzenie Devere’a z równowagi. Nie wyglądało na to, żeby to zadziałało całkiem tak, jak miał nadzieję, że zadziała.

- No, no, wydaje się, że jednak w czymś się zgadzamy. A już myślałem, że zanoszę się na zupełnie nudne popołudnie. Tak nie znoszę czekania, a pan?

Przeszli do biura Devere’a, chociaż „biuro” to nie było najszcześniejsze określenie. Była to raczej *nerdvana*, raj chłopca zauroczonego komputerami i fantastyką, wypełniony gadżetami od podłogi po sufit. Na biurku Devere’a ze szludnym blatem miniaturowy robot odwrócił główkę na dźwięk ich głosów. Na półkach stały podpórki w kształcie; srebrnych globów Daily Planet. Konstantin zauważył mniejsze pamiątki z innych filmów science fiction i potrzebował chwili, by sobie uświadomić, że wszystkie one są mechaniczne - jak złote androidy z *Metropolis* i *Gwiezdnych wojen*: Maria i C3-PO, Dewey z *Niemego wyścigu*, Box z *Ucieczki Logana*, Robbie z *Zakazanej planety*, K9 z *Doktora Who* i inne, których nie

rozpoznał. Dziwne było, że] dorosły mężczyzna otoczył się zabawkami. Wystrój wnętrza niewątpliwie sporo mówił o tym, jakim człowiekiem był Miles Devere.

- Proszę usiąść i czuć się jak u siebie.

Konstantin usiadł w jednym z dwóch foteli w pokoju, podczas gdy Devere zasiadł za swoim biurkiem. To była kolejna subtelna gra sił - dzielące ich biurko, minimalna różnica wysokości między fotelami a krzesłem za biurkiem, wszystko to razem umożliwiała Devere'owi panowanie nad sytuacją. Konstantin nie dbał o to. Rozsiadł się w fotelu, założył nogę na nogę i odetchnął głęboko, przeciągając plecy.

- Być może zechciałby pan coś mi wyjaśnić? - zapytał całkiem rozsądnie Devere. - Dlaczego, skoro jest taki przekonany, że mam zamiar zabić papieża, przychodzi pan tutaj i zaczyna mnie irytować? Nie jestem pewien, czy nadażam za pana logiką.

- Ponieważ w ten sposób robi się to w moim kraju, twarzą w twarz. Śmierć to sprawa mężczyzn, a nie tchórzy.

- A więc teraz mówi pan, że zamierza mnie pan zabić? Pan jest naprawdę niesamowity. Proszę przypomnieć, jak pan się nazywa? Chyba powinienem zapamiętać nazwisko człowieka, który zamierza mnie zabić, nie sądzi pan? - Devere pomału pokręcił głową, jak gdyby nie mógł do końca uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

- Konstantin Chawin.

- Konstantin Chawin - Devere powtórzył nazwisko, wymawiając je powoli.

- Tak. Najpierw powstrzymam pańskiego człowieka, a później wrócę po pana. To obietnica. Kiedy usłyszy pan pierwszy strzał, powinien pan zacząć uciekać, panie Devere, ponieważ drugi nastąpi tuż po nim, i jak to mawiają złoczyńcy w kiepskich filmach, będzie na nim wypisane pańskie nazwisko. Wątpię, by szczególnie trudno było zabić kogoś, kto lubi się bawić robocikami, bez względu na to, ile ten ktoś ma pieniędzy. A co pan myśli?

- Myślę, że powinien pan już iść - powiedział Miles Devere.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

Spotkanie było pochopne i nierozważne, i pasowało do niego wiele innych określeń oznaczających „naprawdę kiepski pomysł”, ale Konstantin nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, gdy wyszedł z powrotem na Jesuitenplatz. Spodobało mu się nękanie Devere'a, lecz było w tym coś więcej. Zadzwoił do Lethego.

- Piąta rzecz - powiedział.

- Jak Kapelusznik, pięć niemożliwych rzeczy przed śniadaniem? Do usług, to ja, Jude Lethe, Szalony Kapelusznik.

- Monitoruj wszystkie połączenia przychodzące i wychodzące z biura Devere Holdings, zaczynając od tych sprzed jakichś dwóch minut.

- Czy mogę spytać, dlaczego?

- Właśnie powiedziałem Devere'owi, że zamierzam go zabić - wyjaśnił Konstantin.

Obok niego jakaś kobieta odwróciła się i obrzuciła go niesamowitym spojrzeniem, z mieszaniną przerażenia i zmieszania. Najwyraźniej nie wiedziała, czy powinna potraktować dosłownie wypowiedziane przez niego słowa - bądź co bądź, ludzie codziennie grożą, że kogoś zabiją, wcale nie mając tego na myśli - i było też widać, że zawstydzona się, że została przyłapana na podsłuchiwanie. Konstantin wzruszył ramionami, i kobieta pospiesznie się oddaliła.

- Ślicznie - powiedział Lethe. - Nie ma to jak wsadzić kota między gołębie.

- Zadzwoń, albo już to zrobił, zależnie od tego, jak mocno go zaniepokoiłem - powiedział Konstantin. - Dowiedz się, z kim rozmawia.

- Wiesz, że to zrobię.

Konstantin rozłączył się.

To, jak miały się potoczyć wydarzenia w ciągu mniej więcej najbliższej godziny, zależało w znacznym stopniu od tego, do kogo zatelefonuje Miles Devere. Jeżeli do snajpera, uruchomi to jeden łańcuch zdarzeń, jeśli do Mabusa, to całkiem inny. Jeżeli zaś zadzwoni do kogoś zupełnie innego, będzie oznaczało, że Konstantin źle oszacował, z kim przyszło mu się zmierzyć, i będzie musiał w biegu zastanawiać się nad zaimprovizowaniem trzeciego planu.

Coraz więcej ludzi zaczęło się gromadzić na spotkanie z papieżem. Trasa przejazdu była już zatłoczona. Jeżeli Konstantin trafnie ocenił trasę oraz zółwie tempo, z jakim jedzie papamobile, to miał około pół godziny, zanim orszak tu dotrze. Gdy spoglądał na większość tych ludzi, trudno mu było sobie wyobrazić, by ktokolwiek z tej trzódki był osobą choć odrobinę pobożną.

Wyraźnie dało się zauważyć różnicę, jaka nastąpiła w ciągu tego kwadransa, kiedy Konstantina nie było na ulicach. Spojrzał na zegarek. Uroczysty przejazd powinien się rozpocząć parę minut temu. Za jakieś pół godziny z okładem zacznie się błogosławieństwo.

Konstantin zamknął oczy, najlepiej jak potrafił, przywołując w pamięci plan miasta, i skierował się w stronę, gdzie jego zdaniem znajdował się Florinsmarkt. Pięć minut później telefon w jego kieszeni zaczął wibrować. Odebrał.

- Do kogo dzwonił?

- Kocham cię, Koni, oczywiście w bardzo męski sposób. Nie wydaje mi się, żebym ci to wcześniej mówił, ale chciałem mieć pewność, że wiesz.

- Tak, tak, a do kogo dzwonił?

- Wykonał nie jedno, nie dwa, ale, zaczekaj, trzy rozmowy w ciągu tyłuż minut.

Najpierw zadzwonił do swojego statku-bazy w Canary Wharf, do siedziby Devere Holdings. Tym mnie zaskoczył. To na pewno nie było połączenie, którego się spodziewałem. Drugie było bardziej interesujące, z niezarejestrowaną przedpłaconą komórką, którą zakupiono w ramach hurtowego zamówienia złożonego miesiąc temu w Londynie. Myślę, że można bezpiecznie założyć że to właśnie twój snajper. Trzecia rozmowa była z wszystkich najkrótsza, zadzwonił na numer stacjonarny w Szwajcarii. Znowu telefon zarejestrowany na kolejną odnogę pajęczyny korporacji Devere'a, jednak tym razem należąca do tatusia.

- Wyrzuc to z siebie.

- Ty to naprawdę odbierasz człowiekowi całą radość życia, wiesz o tym, Koni? Trzeci telefon był do biura Humanity Capital w Genewie. Zadowolony?

Nie całkiem, ale nie powiedział nic Lethemu. Musiał pomyśleć. Nie spodziewał się, że Devere zatelefonuje do tatusia, to pomieszało mu szyki. Dzwonienie do Londynu miało sens, ponieważ tam mieściła się siedziba międzynarodowego koncernu, informacje przeszłyby przez centralę i zostały przekierowane tam, gdzie miały trafić. Zadzwonienie do snajpera, żeby go ostrzec, także miało sens. To właśnie tę rozmowę miał nadzieję sprowokować swoją niezapowiedzianą wizytą. Ten telefon powiedział mu, że właściwie ocenił Milesa Devere'a. Mężczyzna przywykł do panowania nad sytuacją. Nie był w stanie się oprzeć, żeby nie sprawdzić, co z jego człowiekiem.

Nie, Konstantin był zaskoczony, ponieważ spodziewał się, że jeden z tych telefonów będzie skierowany do Mabusa, co oznaczałoby numer z Izraela. Najpewniej z Tel Awiwu. Nie dało się wykluczyć, że Mabus przebywał w Londynie lub w Genewie, ale było to mało prawdopodobne. Wziąwszy pod uwagę poziom utajnienia tożsamości terrorysty, Konstantinowi nie mieściło się w głowie, by Devere powierzył wykonanie tego telefonu któremuś ze swoich podwładnych, zwłaszcza, gdy uwzględniło się jego charakter.

- Czy dasz radę namierzyć drugą rozmowę? - zapytał Konstantin, nadal się zastanawiając.

Lethe syknął z urazą w głosie.

- Tym razem ci daruję, Koni, ale to tylko dlatego, że właśnie wyznałem ci miłość. Taki już jestem dla ciebie dobry, zapamiętaj to sobie. Czy dam radę namierzyć rozmowę, też coś.

Wstydź się. Jak można ukryć numer tak, żeby go nie mógł namierzyć? A jak jeden papież wita drugiego?

Konstantin mc nie odpowiedział.

- Odpowiedź, której szukasz, brzmi „nijak”, bo papież jest tylko jeden. Czasem myślę, że mój geniusz się na ciebie marnuje, Koni. Tak, namierzyłem sygnał z komórki w budynku przy jednej z ulic dochodzących do św. Floriana, Mehlgasse. Numer 13.

- Dla kogoś będzie pechowy - mruknął Konstantin, rozłączając się.
Schował telefon do kieszeni.

Przejście z Jesuitenplatz na Mehlgasse zabrało mu siedem minut. Nie była to jedna z ulic odgrodzonych kordonem z powodu papieskiej wizyty, dzięki czemu stanowiła idealną drogę ucieczki. Konstantin ruszył chodnikiem przed siebie. Budynki były tutaj wyższe, pięcio- i sześciopiętrowe. Idąc ulicą, przypatrywał się rzędom okien.

Ponownie sprawdził godzinę. Niecałe trzydzieści minut do chwili, gdy ma się rozpocząć błogosławieństwo. Nie podobało mu się, że czas zdawał się go poganiać.

Dom numer 13 niczym się nie wyróżniał, nie było widać niczego, co świadczyłoby o tym, że w tym budynku czai się zabójca. Fasada była najzupełniej przeciętna, z kolejnymi rzędami zwyczajnych okien. Nie było balkonów. Konstantin przyjrzał się najwyższemu rzędowi okien. Jakieś mignięcie w oknie poniżej przyciągnęło jego uwagę. W oknie najbardziej oddalonym od placu poruszyła się zasłona. Okno było uchylone na piętnaście centymetrów. Wystarczająco żeby umożliwić strzał.

Konstantin odwrócił się, śledząc wzrokiem trajektorię odchodzącą od okna, najlepiej jak mógł to zrobić z poziomu ulicy. Kąt był dość wąski. Strzelec będzie mógł widzieć tylko fragment samego placu, ale Konstantin zobaczył też część specjalnie zbudowanej sceny. Jeśli stopnie prowadzące na scenę znajdowały się po lewej, strzelec miał niczym niezasłonięty widok na papieża wchodzącego po schodach i na jego cztery czy pięć pierwszych kroków po czerwonym dywanie w kierunku papieskiego tronu.

Konstantin wyobraził sobie tę scenę - biały Mercedes Benz zatrzymuje się obok podestu, papież wysiada, jego ochrona także, i eskortuje go do sceny. Przez krótką chwilę, jakiej potrzeba, by dostać się od samochodu do tronu, starszek był łatwym celem. Wylot ulicy najbliższej placu kościelnego był zablokowany. Konstantin zobaczył dwóch i agentów BKA stojących obok barierki. Wierni nadchodzili, by stanąć obok nich. Zanim przybędzie tu Ojciec Święty, ludzie w tłumie będą już stali w dwudziestu czy trzydziestu rzędach.

Konstantin ponownie spojrzął na okno.

I znów to zobaczył - nieznaczne poruszenie się zasłony, jak gdyby osoba stojąca za nią obsesyjnie sprawdzała widok na scenę. Było to dziwnie amatorskie, ale nie odstawało zbyt od żenującego popisu ich obserwatorów w Berlinie.

Konstantin policzył okna: piąte piętro, czwarte okno.

Oslonił oczy, usiłując dopatrzeć się więcej z tego, co działo się za szybą, ale pod tym kątem nie widział nic poza kawałkiem sufitu.

Raz jeszcze spojrzął na zegarek. Niecałe dwadzieścia pięć minut do chwili, gdy orszak spodziewany jest na placu. Konstantin pomyślał, żeby zadzwonić do Lethego, zaalarmować funkcjonariuszy BKA, rozegrać to regulaminowo, ale to uczyniłoby z niego kłamcę. Przecież powiedział Devere'owi, że zamierza przeszkodzić w zabójstwie, a później wróci i zabije jego. W momencie, gdy wmisza w to policję, odwet weźmie w łeb. To było oczywiste.

Spróbował wejść drzwiami od ulicy. Na ścianie przy wejściu znajdował się domofon. Zakładając, że układ przycisków odzwierciedlał rozkład budynku, Konstantin nacisnął je od góry do dołu, omijając te z piątego piętra. Trzydzieści sekund później ktoś go wpuścił. Ten sposób nigdy nie zawodził. Ludzie w swoich domach byli stanowczo zbyt ufni. Próbował sobie wytłumaczyć, że to jedna z tych zalet życia na Zachodzie, ale tak naprawdę znaczyło to dla niego, że gdyby zechciał wpaść w morderczy szal, statystycznie jakiś idiota wpuści go do

dowolnego budynku, jaki by wybrał, i nie miałyby znaczenia, jak bezpieczny czy chroniony miałby on rzekomo być.

Znów wybrał schody, ale na wszelki wypadek uchylił drzwi kabiny windy, przerywając obwód, tak żeby nie można było jej wezwać.

Wspinał się powoli i miarowo.

Nie wyciągał broni, póki nie dotarł na trzecie piętro.

Przeszedł na czwarte; prowadził go wylot lufy Glocka 19.

Konstantin zatrzymał się, nim wszedł na piąte piętro, i oparł się o windę. Rytmiczne falowanie jego własnego oddechu było jedynym odgłosem, jaki słyszał na całej klatce schodowej. Doszedł na piętro, trzymając się nisko i stawiając potężne kroki po trzy stopnie naraz. Klatka schodowa była pośrodku korytarza na piętrze. Dwoje drzwi znajdowało się po prawej i dwoje po lewej. Dwoje najdalszych drzwi prowadziło do mieszkań, których okna wychodziły na podwórze, a dwoje środkowych do tych z oknami od frontu. Same drzwi były staromodne, z grubego drewna, lecz zamki nie były niczym nadzwyczajnym. Kluczem uderzeniowym otworzyłby je w trzydzieści sekund. Jednak zamiast tego wpakował kulę prosto w sam środek metalowego kółka i kopnął w drzwi. Drewno wokół klamki rozpadło się na drzazgi pod wpływem ciosu i drzwi otworzyły się do środka z impetem obijając się o ścianę.

Konstantin czuł, że coraz bardziej brakuje mu czasu.

Wszedł do mieszkania z bronią gotową do strzału, celując przed siebie.

W mieszkaniu unosiła się ta stęchła woń niezamieszkanego miejsca, która powstaje po miesiącach, jeśli nawet nie latach, nieużywania. Wykładziny zostały pozrywane, pozostawiając nagie deski podłogi, a w niektórych miejscach kawałki starych gazet, które najwyraźniej wykorzystano do wyrównania podłogi przed ich położeniem. Gazety pożółkły ze starości i chrzęściły pod stopami Konstantina, gdy po nich szedł.

Rozglądał się na lewo i prawo, po drodze sprawdzając każde pomieszczenie.

Kuchnia i łazienka były puste. Szarpnięciem odsunął zasłonę prysznicową. Nikogo tam nie było. Snajper nie mijał go na schodach i nie mógł wezwać windy, więc musiał się znajdować w pokoju. Konstantin przeszedł do salonu - pokoju z oknami wychodzącymi na róg Florinsmarkt.

Potrzebował ułamka sekundy, żeby przyswoić sobie to, co zobaczył.

Na trójnogu przy oknie spoczywał karabin snajperski, zaś na parapecie leżał telefon komórkowy i mały plastikowy robot-piesek, który zaszczekał, gdy Konstantin na niego spojrzał. Nagły hałas go zaskoczył. Odruchowo cofnął się pod najbliższą ścianę, zmniejszając liczbę kątów, pod jakimi ktoś mógłby go zaatakować. Na parapecie raptowne poruszenie się piaska sprawiło, że zasłona drgnęła. Zabawka szczechnęła dwa razy, gdy Konstantin na nią patrzył, po czym ucichła. W pokoju nie było niczego innego.

Z łomoczącym sercem sprawdził dwie sypialnie.

Obie były opustoszałe. Nie znajdowały się tam żadne meble ani schowki, w których snajper mógłby się ukryć.

Mieszkanie było puste, ale nie wyglądało na opuszczone w pośpiechu, chyba że strzelec był niewiarygodnie zdyscyplinowany. Nie było śmieci, puszek po napojach, spiwora - niczego, co by sugerowało, że ktokolwiek tu przebywał, odkąd ustawiono karabin snajperski na trójnogu.

Konstantin pochylił się, sprawdzając przez lunetę, w co wycelowano karabin. Nie był skierowany na scenę ani nigdzie w jej pobliżu. Tak naprawdę wyglądało na to, że celował w jedno z pięciu drzew na głównym placu, dosyć daleko od samej sceny. Wydawało się dziwne, by zadawać sobie trud wczesnego przygotowywania broni i nie wycelować jej porządnie, lecz możliwe było także, że strzelec ją potracił, opuszczając pokój, albo może chodziło o przesąd i snajper nie chciał nastawiać broni na cel, dopóki nie było do czego strzelać. Konstantin

zerknął na drzewo i uzmysłowił sobie, że do gałęzi przywiązano z tuzin czy więcej karmników. Drzewo gościło całą armię głodnego ptactwa.

To było interesujące.

Na placu zgromadził się już niemały tłum. Konstantin znów spojrzął na zegarek, czując się jak neurotyk z nerwicą natręctw. Czasu było coraz mniej, a Strzelca ani śladu. Każdy z tych faktów z osobna byłby złą nowiną, lecz razem stanowiły najgorszą sytuację z możliwych.

Konstantin sprawdził samą broń.

I wtedy nabrał pewności, że całą rzecz zaaranżowano. Znalazł maleńki minutnik przymocowany z boku łoża i połączony z kabłąkiem spustowym. Minutnik tykał. Pokazywał, że pozostało 27 minut. Za 27 minut papież nie tylko znajdzie się na placu, on znajdzie się na scenie. Dla pewności Konstantin sprawdził godzinę na własnym zegarku. Błogosławieństwo miało się rozpocząć za 21 minut. Ta broń nigdy nie miała zabić papieża. Devere, dzwoniąc na umieszczoną tu komórkę, uruchomił zegar, wprawiając wszystko w ruch. Jak w tej dziecięcej grze „Pułapka na myszy”. Padnie strzał, wywołany przez zegar, i pocisk polecą prosto w drzewo, gdzie wystraszy usadowione tam ptaki. Raptowna eksplozja trzepotu i echo wystrzału wywołają panikę wśród tłumu. W ciągu sekund tuż po szoku spowodowanym wystrzałem ktoś z bliskiego otoczenia podejdzie i zabije papieża, podczas gdy wszyscy będą się gorączkowo rozglądać na lewo i prawo za strzelcem, który nie istnieje.

Konstantin wyjął telefon komórkowy z kieszeni i zadzwonił do Lethego, żeby podzielić się z nim nowym odkryciem.

- Nienawidzę tego, że muszę to powiedzieć, Koni, ale to ma sens - odpowiedział Lethe wprost do jego ucha. - Pomyśl, z kim my tu mamy do czynienia. Skoro stawiają sobie za wzór sykariuszy, to z pewnością naśladowują też ich sposób działania: zbliż się, zdobądź zaufanie i wbij nóż;,, jednocześnie wzywając pomocy.

- Świetnie - burknął Konstantin. - Nie ufaj nikomu.

Znowu zerknął na zegarek. 19 minut.

- To, co w tym nie ma sensu, to dlaczego Devere miałby uruchamiać zdalny zegar natychmiast po twojej wizycie... Przecież musiał wiedzieć, że to namierzemy i znajdziemy broń. On nie jest idiotą, sam to mówiłeś. Nie planuje się czegoś tak skomplikowanego, jak to, żeby to potem sknocić jednym telefonem.

- Ale to nie był jeden telefon, prawda? Były ich trzy. On nas wystawił. *Mudak* - Konstantin zaklął w ojczystym języku. - Ukrył najważniejszy telefon tuż pod naszym nosem, dając nam coś bliżej domu, żebyśmy się tym zajęli. - Rąbnął pięścią w ramę okna i zaklął raz jeszcze. - Genewa! - syknął, gdy ból rozjaśnił mu umysł. - Gwardia Szwajcarska! Każdy członek straży musi służyć w armii szwajcarskiej, prawda?

To był ten telefon. Chodzi o jednego ze strażników. Dostali się do najbliższego kręgu. - Konstantin uświadomił sobie implikacje tego, co właśnie powiedział. Zostało mu 18 minut, nim papieska kawalkada przebędzie pod scenę, a ludzie, którym musiał najbardziej ufać, że wykonają swoje zadanie chronienia papieża, byli właśnie tymi, którym mógł ufać najmniej.

Konstantin wyrzucił przez okno. Na placu i wokół niego zebrało się już może z tysiąc osób.

- Co robimy? - spytał Lethe.

Prawda wyglądała tak, że Konstantin nie miał pojęcia. Uklęknął i zaczął odrywać minutnik od karabinu, ale się pohamował. Devere ostrzegł zabójcę, po to był ten telefon do Genewy, lecz to nie znaczyło, że odwołał swojego człowieka. Jednak jeżeli broń nie wypali, zabójca nie uderzy, to było jasne jak słońce. Zaś jeśli zabójca nie uderzy w ciągu najbliższej pół godziny, kiedy wiedzą, gdzie się znajduje, to uderzy jutro albo pojutrze, albo jeszcze dzień później, w dowolnym miejscu na trasie długiej pielgrzymki. A jeżeli Konstantin miał rację i zabójca należał do Gwardii Szwajcarskiej, to mógł poczekać, aż będą „bezpieczni” w

granicach Stolicy Apostolskiej, i nikt go nie będzie podejrzewał. Nie, to właśnie jest jedyne miejsce, o którym wiedzieli, że coś ma się tu wydarzyć. Ta wiedza dawała im szansę, może nawet przewagę. Istniała możliwość, że zabójca wystrzeli, by pokazać, że Konstantin nie jest aż taki dobry, nie była tak wielka. To było ryzyko. Konstantin musiał tylko dostać się w pobliże sceny. W ten sposób, kiedy broń wypali i ptaki zerwą się w drzew z furkotem skrzydeł i wrzaskiem, on będzie jedyną osobą spoglądającą na scenę. To była niebezpieczna gra, ale on nie zamierzał się teraz poddawać.

- Wykorzystamy papieża jako przynętę - powiedział i jeszcze wypowiadając te słowa, uświadomił sobie, jaka jest stawka w grze, którą właśnie miał zacząć.

Stawiał tu na szali więcej niż tylko życie jednego człowieka.

24

BESTIA O TRZYNASTU ROGACH

Nosił sztylet w ceremonialnej pochwie, która spoczywała pod jego lewą pachą.

Tłum wiwatował i wymachiwał flagami, napierając na barierki i starając się dojrzeć papieża. Zgiełk, jaki czynili ludzie, przyprawiał go o zimny dreszcz. Tyle czasu trwało planowanie, tak dużo go upłynęło, odkąd na świecie istniała ucziwość. Ale nadchodziła. Była blisko. Zaś kiedy powróci, będzie na co popatrzeć.

Jego palce błędziły w stronę sztyletu. Czuł jego ciężar tak blisko serca. Ten ciężar nie był złowieszczy. On był znaczący. Tak jak i jego dzisiejsze zadanie, miał doniosłą wagę.

Srebrny sztylet znaleźli w grobie jednego z samobójców, odkopanym dzięki trzęsieniu ziemi w Masadzie. Został im przywrócony w chwili, gdy świat przygotowywał się do nowego tysiąclecia. Żadna prawda nie może zostać pogrzebana na zawsze. Tak to jest z wielkimi prawdami.

Grób zawierał wyschnięte kości mężczyzny oraz dokument. Nie mieli sposobu, by dokładnie się dowiedzieć czym rzeczywiście był ten zwój papirusu, o czym opowiadał i czyje to były słowa, ponieważ wtedy, gdy go odkopali, znajdował się w tak oplakanyim stanie, że poszczególne powierzchnie skleiły się ze sobą, tworząc jednolitą miazgę.

Ale mieli swoje podejrzenia.

Jakże mogliby nie mieć?

Świat wiedział, co się wydarzyło, kiedy rzymskie legiony zbudowały swoją rampę przy jednym z górskich zboczy w Masadzie. To była ostatnia ostoja sykariuszy, bojowników o wolność oddanych służbie potomkom rodu prawdziwego mesjasza, Judasza Iskarioty.

A w czasie, kiedy sami odebrali sobie życie i położyli kreśl temu rodowi, forteca była domem Menahema ben Jaira i jego brata Eleazara, wnuków Iskarioty. Jeżeli którykolwiek z nich spisał swój testament, mądrość w nim zawarta byłaby bezcenna. Jakież prawdy mógł on zawierać?

Papirus był tak zniszczony, że odrestaurowanie go przekraczało ich możliwości. Mabus i tak chciał spróbować; miał umiejętności, potrafił znaleźć ludzi, którym mógł za-ufać, ale ten drugi mężczyzna, ten, który przybrał nazwisko Akima Caspiego po tym, jak znaleźli sztylet, powiedział, że nie, nie mogą ryzykować, że prawda utracona na tak długo może ulec zniszczeniu.

Akim Caspi, stworzony przez Boga, wykuty ze srebra.

Caspi przyniósł tę prawdę jemu i powierzył srebrny sztylet jego opiece. On ochoczo przyjął prawdę, ślubując oddanie Apostołom Judasza. Nie znali tajemnicy ostrza, dopóki nie odczytali treści Testamentu.

Przekazali go ekspertom z Watykanu, wiedząc, że mimo to nie ma szans, aby Kościół Kłamstw ujawnił zawartą w nim prawdę, a to oznaczało, że musieli wykraść go z powrotem, ale dopiero wtedy, gdy zostanie odrestaurowany i przetłumaczony. To wymagało starannego przemyślenia i planowania, tak jak wszystko inne, lecz ponieważ działali dla prawdy, Bóg pomógł im przez to przejść. Oczywiście, on nigdy w to nie wątpił. Dlaczego Bóg nie miałby chcieć, żeby ujawniono prawdę? Bądź co bądź była to Jego prawda. Ulokowali wewnątrz własnego człowieka, kapłana, który pracował w bibliotece. On nadzorował prace konserwatorskie, a potem, kiedy tekst był gotowy do odczytania, wysłał wiadomość do Caspiego. Ten mógł wówczas posłać własnego eksperta, by czuwał nad tłumaczeniem, a później wykraść Testament z Watykanu, zanim prawda znów zostałaby pogrzebana.

Pierwszą rewelacją była osoba autora. To, co odkryli w ukrytym grobie, było Testamentem Menahema ben Jaira. Menahema, wnuka Judasza Iskarioty, założyciela sykaryjskich zelotów. Menahema ben Jaira, wnuka prawdziwego Mesjasza.

Drugą wstrząsającą rewelacją napotkali w samym tekście. Poznanie prawdy nie było łatwe. Istniały różne poziomy prawdy w słowach, najpierw o samym rodzie – Menahem syn Jaira, Jair syn Judasza i Marii, tej samej Marii Magdaleny, którą Kościół Kłamstw odmalował jako ladacznicę. Kobiety, którą Jezus miłował i utracił na rzecz swojego najdroższego przyjaciela - przyjaciela, którego zmusił do dokonania zdrady w odwecie za spłodzenie dziecka. To był zawily miłosny trójkąt. Jego pomsta rozegrała się w ogrodzie w Getsemani, gdzie ubłagał Judasza, by pozostał silny, by wydał go Rzymianom, wiedząc, że ten czyn złamie jego przyjaciela. Jak człowiek może prosić kogoś, kto go kocha, żeby go wydał na śmierć? A jednak wciąż dochowując wierności przyjacielowi, Judasz złożył ten ostatni pocałunek, wiedząc, że skazuje sam siebie na potępienie, gdyż z winą, jaką odczuwał, nie był w stanie dalej żyć. Nigdy nie ujrzał syna, którego spłodził. Ale zamiast zostać ojcem jednego okazał się być ojcem wielu. Przez swój akt miłości Judasz stał się nie tylko człowiekiem ocalonym, lecz także Bogiem Ojcem zstępującym na ziemię, obleczonym w ciało Judasza. Był Mesjaszem. Tak wyglądała prawda, którą Menahem wielbił i pielęgnował, dotrzymując obietnicy złożonej Jairowi, że nigdy nie zapomni historii dziadka i nie pozwoli światu o niej zapomnieć. Opierając się na tamtej obietnicy ukuł sicarii, ludzi-sztylety, nazwanych tak dla uczczenia poświęcenia dziadka.

Trzecim sekretem było wykucie sztyletu, z czego powstał i prawda, jaką to w sobie niosło. Ostrze zostało wykonane przez Eleazara i Menahema w zbrojowni w Masadzie ze srebrnych szekli zapłaconych Judaszowi Iskariocie z monet, którymi opłacono ofiarę - gdyż to nie była zdrada, w żadnym razie, to była ofiara - na której zbudowano całą religię.

Nawet pomimo swego wieku sztylet wykuty przez Eleazara ben Jaira był znakomitym przykładem rzemiosła. I tylko pomyśleć, że to srebro trzymał w ręku prawdziwy mesjasz.

Jego dłoń znów przesunęła się do sztyletu u jego boku, zawisając nad ostrzem.

Jakże pragnął móc odczytać jego historię samym dotykiem.

Jakże pragnął móc ją całą zrozumieć.

Akim Caspi znalazł go w Genewie. Był młody, podatny na wpływy, gotów do tego, by napić go ideałami. Coś przyciągało go do Caspiego. Tamten mężczyzna był tajemniczy,; ale przede wszystkim inspirujący. Mówił o kłamstwach Mateusza, o tym, jak jego Ewangelia usiłowała wcisnąć prawdę Judaszu w ramy jakiegoś starotestamentowego prorocstwa, i jak sama Biblia sprzecznie opisuje śmierć Judasza Iskarioty, w Dziejach Apostolskich każąc mu upaść głową naprzód i rozpęknąć się na polu Hakeldama, polu krwi. Jak Mateusz opisuje go wieszającego się na drzewie, a przez to sprowadzającego na siebie potępienie za samobójstwo i utratę szansy na niebo. Słuchał, podczas gdy Akim Caspi z taką pasją opowiadał o tym, jak słowa Mateusza ukrywały prawdę, jak wiele z tych kłamstw, na których zbudowano Kościół, było przeinaczeniem faktów. Dlaczego przedstawiać Marię Magdalenę jako nierządnicę, jeśli nie po to, żeby umniejszyć jej znaczenie dla prawdziwego mesjasza? Dlaczego w Ewangelii

Piotra nie ma nawet wzmianki o Judaszu, najbardziej lojalnym, najbardziej ukochanym ze wszystkich?

To, że Piotr nie wspominał o Judaszu, oczywiście doprowadziło innych do przekonania, że samo srebro nie mogło istnieć, skoro nie istniał człowiek. Jak można kupić zdradę mężczyzny, który nigdy nie pojawił się na świecie?

Ale dlaczego kogoś miałoby to dziwić? To zwycięzcy piszą słowa zapamiętywane przez przyszłe pokolenia, oto dlaczego Testament Menahema ben Jaira stał się tak ważny dla tego, w co wierzył Caspi. To było coś więcej niż tylko słowa, to była prawda z pierwszej ręki. Prawda, która wspierała samą Ewangelię Judasza, która stwierdza, że Jezus powiedział Judaszowi, że będzie wyklęty przez pokolenia. Że przyjdzie, by władać wszystkimi, że wszystkich przewyższy, gdyż poświęci ludzką cielesną powłokę, która okrywa Jezusa. Mateusz i Marek piętnują Judasza - „biada temu człowiekowi, przez którego Syn Człowieczy będzie wydany. Byłoby lepiej dla tego człowieka, gdyby się nie narodził”. Ale kto zyskiwał dzięki tym kłamstwom? Kto zyskiwał dzięki tym wypaczonym prawdom?

Caspi dzielił się swoją wiedzą z pasją i wyraźnie wierzył w swoją prawdę, i nawet teraz, gdy biały Mercedes Benz zbliżał się do sceny, młody żołnierz Gwardii Szwajcarskiej wiedział, że była to prawda, w którą warto było wierzyć.

Była to prawda, od której serce biło mu żywiej, a skóra i cięła z niecierpliwości. Była to prawda, którą świat musiał poznać, musiał zrozumieć, po prostu dlatego, że była uczciwa.

Prawie rok upłynął, nim Caspi podzielił się z nim swoim i planem.

Plan był prosty, pełen tragicznej symetrii.

Dwa tysiąclecia po tym, jak srebro sprowadziło śmierć na Chrystusa, te same monety, teraz przetopione i uformowane w w sztylet, zostaną wykorzystane do zabicia biskupa w bieli, papieża Kościoła Kłamstw, i dopełnienia dalszych prorocत्व. Jeżeli Mateusz pragnął wypaczać kłamstwa o Mesjaszu tak, żeby pasowały do prorocत्व Zachariasza, to oni sami wypełnią własne prorocत्व wszystkich tych, co przepowiadali nadejście Antychrysta, i wykorzystają śmierć Fałszywego Ojca, żeby udowodnić, że prorocत्व te były prawdziwe.

Istniały wzorce widoczne wewnątrz innych wzorców. Prorocत्व o papieżach autorstwa Malachiasza, pochodzącego z Armagh biskupa żyjącego w XII wieku, wymieniało 112 przyszłych papieży wedle enigmatycznych określeń, mających ich zidentyfikować. Lista, podobnie jak wszelkie tak zwane prorocत्व, była niejasna i otwarta dla interpretacji, ale zawierała prawdy, które Caspi rozpoznał. Prawdy, które pomogły mu uwierzyć, że ich ścieżka została już wytyczona, że teraz nadszedł czas. Te krótkie opisy były istotne: Paweł VI - „kwiat kwiatów”, Jan Paweł I, „z połowy księżyca”, Jan Paweł II - „z pracy Słońca”, Benedykt XVI – „chwała oliwki”, i wreszcie 112. Imię na liście, ostatni papież, Piotr Rzymianin.

Wszystkie znaki wskazywały prawdę. „Kwiat kwiatów” miał w herbie lilię, kwiat czystości i niewinności. „Z połowy księżyca”, Albino Luciani, który urodził się w Bellunie - miejscu o nazwie jakże podobnej do „Bela Luna”, piękny księżyc - rządził tylko przez 33 dni i zmarł przed kolejnym nowiem. „Z pracy Słońca” urodził się i umarł podczas zaćmienia Słońca. „Chwała oliwki”, jak można by logicznie pomyśleć, gdyż niósł pokój udręczonemu światu przez domaganie się suwerennego państwa dla Palestyńczyków, ale Caspi wytłumaczył mu to inaczej. „Chwała oliwki”, jak argumentował, dotyczyła chwały słów, które padły na Górze Oliwnej w Ewangelii św. Mateusza, że nadciąga czas zgryzoty. Prorocत्व o papieżach prostą drogą doprowadziło ich do prawdy, że już bliski jest powrót prawdziwego Mesjasza, tego, który był wszystkim tym, czy nie był Chrystus chrześcijan.

Samochód skręcił na plac i wierni zaczęli wiwatować.

Jego serce zapłonęło rodzącą się prawdą.

Wkrótce świat się dowie.

Wkrótce.

ZABIJANIE W IMIĘ...

Kiedy Konstantin dotarł na plac, uświadomił sobie, jaki wielki zebrał się tam tłum. To już nie byli tylko ludzie ustawiający się po obu stronach ulicy. Ponad dwa tysiące ludzi cisnęło się na małym placu, żeby na własne oczy zobaczyć i błogosławieństwo. Rozentuzjasmowani, coś mówili. Zajęło j mu chwilę, nim zdał sobie sprawę, co takiego mówią. Pomruk przeszedł przez tłum: papież jedzie. Konstantin spojrział na zegarek na rękę, a potem na zegar wysoko nad wejściem do kościoła św. Floriana. Teraz był to już bezcelowy gest. Zegar na fasadzie kościoła i jego własny zegarek powiedziały mu to samo. Czas się skończył.

Rozejrzał się po twarzach ludzi. Wiedział, czego szuka. To ciekawe, że można wypatrzyć człowieka szykującego się do popełnienia zbrodni. Nie chodziło tylko o pot na twarzy, to było coś w oczach. Ludzie mieli tendencję do wpatrywania się prosto przed siebie, skupiając się bezpośrednio na czymś przed nimi, i nie byli w stanie oderwać od tego wzroku. Nie rozglądali się po tłumie, co byłoby naturalne. Ludzkie umysły są ciekawskie, pociąga je oglądanie rozmaitych twarzy. Ale nie u kogoś, kto zamierza popełnić morderstwo. Uwaga zabójcy jest całkowicie skupiona. To da się zrozumieć w przypadku zamachowca-samobójcy z bombą, że nie chce widzieć twarzy ludzi, których życie ma zamiar zakończyć, lecz przy zbrodni takiej jak ta, dokonywanej na oczach całego świata, to nie poczucie winy i wstyd powstrzymywały zabójcę od rozglądania się - to była determinacja. Statystycznie rzecz biorąc, człowiekiem, którego pociągało tego rodzaju zabójstwo, kierował fanatyzm. Czy to na Zachodnim Brzegu, w Madrycie czy przy wieżach World Trade Center, siłą napędową była religia. Religijni ekstremiści, wiedząc, że zaraz zginą, zanosiliby modły do swego wybranego bóstwa, jednając się z nim po raz ostatni, zanim spotkają się twarzą w twarz. A zatem szukał kogoś, kto wpatrywał się prosto przed siebie, poruszającego ustami, mamrocząc pod nosem swą ostatnią modlitwę.

Popatrzył na strażników zgromadzonych na scenie. Każdy z nich miał wzrok utkwiony na wprost. Nie rozglądali się na lewo i prawo. Nie zerkali na swoje buty.

Konstantin znajdował się zbyt daleko, żeby dostrzec, czy któryś z nich nadmiernie się poci. Jednak wzięwszy pod uwagę ciężar ich jaskrawych mundurów oraz halabard, które trzymali, oraz fakt, że BKA wykonało, co do nich należy i przekazało im ostrzeżenie, że w tłumie znajduje się zamachowiec, można się było spokojnie założyć, że pocili się bardziej niż zwykle.

Ciekawe, ilu ludzi pokładało tak wiele wiary w starym człowieku, który nawet nie znał ich języka i który w żaden rzeczywisty sposób nie miał związku z ich życiem. W tłumie czekającym na przyjazd papieskiego orszaku znajdowali się ludzie wszelkiego pokroju.

Konstantin przepchnął się przez tłum. Musieli tam być agenci. Jeżeli sir Charles wykorzystał przysługi i uruchomił swoje kontakty, to w całym tym gromadzeniu musiało się roić od ludzi z BKA. Widział motocyklistów w skórach, mamusie w letnich sukienkach pochylające się nad spacerówkami, chłopców w koszulkach niemieckich drużyn piłkarskich, a także tych paru aż tak zdesperowanych, żeby tu przyjść, licząc na cud, w nadziei, że dotyk papieża pomoże ich dzieciom wstać z wózków inwalidzkich i chodzić o własnych siłach. Nie widział nikogo, kto wyglądałby na policjanta. Ani nikogo, kto zdradzałby szczególnie niepokój. Nie widział nikogo poruszającego się niezdarnie, czy to pijanego, czy naćpanego. To jeszcze jedna kwestia - ludzie mający zaraz popełnić samobójstwo, bez względu na to, jak byli oddani swojej sprawie, nie chcieli w ostatniej chwili poczuć wątpliwości, więc w tych ostatnich minutach często znajdowali się pod wpływem jakiegoś narkotyzującego stymulantu. Powrócił spojrzeniem do gwardzistów na i wokół sceny. Za żadne skarby nie potrafiłby

dostrzec wśród nich różnicy. Żaden z nich nie wydawał się bardziej zdenerwowany czy i bardziej czujny od pozostałych.

Konstantin przepychał się przez zgromadzonych ludzi, usiłując znaleźć się bliżej sceny. Chciał być z samego przodu, gdy broń wypali w drzewo. Spojrzał na inne drzewa na placu i wokół niego. Wszystkie były obwieszane karmnikami. Przyciągnęły mnóstwo ptaków. Nie wiedział, czy to oznacza więcej karabinów wycelowanych w te pozostałe drzewa, czy: zamachowcy liczyli na efekt domina i przeniesienie się paniki z jednego drzewa na kolejne.

Z głębi ulicy dobiegły głosy śpiewające religijne hymny. W pieśniach wychwalających Boga było coś, co uwznioślało głosy nawet najmniejszych śpiewaków, sprawiając, że razem brzmiały pięknie.

Pomruki najbliższych stojących ludzi przybrały na sile, gdy podjechał samochód, powoli zbliżając się środkiem ulicy i skręcając na plac. Było to czarne BMW z zaciemnionymi szybami. Przewodził orszakowi. Konstantin przyglądał mu się, gdy nadjeżdżał, usiłując wymyślić, w jaki sposób mógłby się zbliżyć do agentów w samochodzie, żeby się zidentyfikować. Auto nie zwolniło ani się nie zatrzymało. Patrzył, jak go mija, a potem zakręca, podążając za linią barierek, żeby zaparkować z boku za kościołem, nie rzucając się w oczy.

Parę minut później pojawiły się w ślad za nim kolejne samochody.

Nadjechał czwarty wóz. Czterej agenci szli obok auta, dotrzymując tempa czarnemu BMW. Przyglądali się zebranemu tłumowi, nie pozwalając sobie nawet na chwilę nieuwagi. Byli czujni. Wiedzieli, że istnieje zagrożenie. Sir Charles zrobił swoje. Ostrzeżenie dotarło do BKA. Tylko tyle mógł zdziałać z Nonesuch, reszta spoczywała na barkach Konstantina. Ruchy agentów były zsynchronizowane. Kiedy jeden z nich spoglądał w lewo, drugi patrzył w prawo, więc wspólnie mieli pełny obraz otoczenia. Nie pozostawiali martwych punktów. Poruszali się ze swobodną sprężystością, ale Konstantin widział, że ich mięśnie są napięte. Mieli się na baczności, gotowi zareagować na najłżejszy hałas, na pierwszy gwałtowny ruch. Na cokolwiek, co nie pasowałoby do sytuacji. Zostali wyszkoleni, żeby odczytywać nastroje tłumu i rozpoznawać oznaki. Nie chodziło wyłącznie o mowę ciała. Tu chodziło o ułamek sekundy między żydem a śmiercią. Promień słońca odbił się od zaciemnionej przedniej szyby auta.

Niecałe sto metrów za samochodem szła pierwsza grupa pieszych żołnierzy Gwardii Szwajcarskiej w odświętnych mundurach, niczym maszerująca orkiestra. W fachowej ocenie Konstantina nie wyglądali ani w połowie tak profesjonalnie i czujnie, jak ludzie z BKA. Wiedział, że strażnicy byli zawodowymi żołnierzami, ale w ich wyglądzie było coś tak rodem z kreskówki, że łatwo ich było nie docenić. A to stanowiło idealną przykrywkę dla zabójcy, którego szukał.

I wtedy tłum przed nim zaczął wydawać okrzyki i wiwatować, gdy papamobile wyjechał zza rogu. Konstantin jęknął. Nie był jeszcze nawet w połowie drogi do sceny. Czuł na plecach napór cisnących się ludzi i usiłował poruszać się wraz z nim w nadziei, że fala poniesie go parę rzędów bliżej sceny, jak na meczu futbolowym. Lekko skulił ramiona, obracając się bokiem do sceny. Nie chciał zacząć roztrącać ludzi i zwracać na siebie uwagi, ale zrobi tak, jeśli będzie musiał.

Przerobiony Mercedes Benz skręcił na plac.

Konstantin zobaczył siwowłosego staruszka na siedzeniu samochodu, machającego nieznacznie do ludzi stojących wzdłuż trasy. Wyglądał na radosnego, błogo pogodnego, nawet zza szyby emanując spokojem, który udzielił się tłumowi. Wszystkim w tłumie, prócz Konstantina. Bliskość papieża tylko zwiększyła jego desperację. Musiał dostać się na sam przód. Musiał tam być.

Samochód wjechał w tłum i pokonał już połowę drogi do sceny.

Konstantin odrzucił wszelkie pozory spokoju i na siłę wbił się między stojących przed nim ludzi. Wiedział, jak to będzie wyglądało w oczach agentów BKA. Dostrzegą zdesperowanego mężczyznę przebijającego się ku scenie. Dostrzegą jego wzrok utkwiony w jednym punkcie, pot na jego twarzy i jego nierówny oddech, i pomyślą, że to właśnie jest człowiek, którego szukają. Jego wargi już się nie poruszały, ale w żaden sposób nie mógł wiedzieć, jak dobrzy byli agenci i czy zauważą różnicę między człowiekiem usiłującym zrobić wszystko co w jego mocy, żeby powstrzymać zabójstwo a zabójcą obsesyjnie realizującym swój cel.

Między nim a sceną znajdowało się piętnaście czy szesnaście rzędów ludzi.

- Przepraszam, wybacz pan, przepraszam, *danke* – mówił, przepychając się przez młodą rodzinę, która przyszła zobaczyć nabożeństwo, i uświadomił sobie, że jego wargi się poruszają, że poruszają się nieustannie, że jego przepraszanie powtarzane jak mantra z daleka niemal na pewno wyglądało jak modlitwa fanatyka.

Pchnął stojącego przed nim mężczyznę, wciskając się między niego a kobietę u jego boku. Mężczyzna zatoczył się do przodu, wyciągając rękę dla złapania równowagi i popychając innego mężczyznę przed sobą, gdy starał się nie przewrócić. Efekt popchnięcia przesunął się po tłumie jak fala na jeziorze. Konstantin próbował uchylić się przed mężczyzną, gdy ten się do niego odwrócił i warknął coś po niemiecku. Konstantin zignorował go. Widział tylko scenę. Wiedział, że ludzie mu się przypatrują. Nie dbał o to. Miał może dwie minuty, nim papież wejdzie na scenę, może kolejnych sześć, zanim padnie strzał i rozpęta się piekło.

Zaryzykował obejrzenie się za siebie w kierunku okna domu numer 13 z karabinem snajperskim, następnie znowu spojrzął przed siebie.

Zobaczył trzy kamery telewizyjne, jedną umieszczoną wysoko na kranie i dwie po bokach placu, skierowane na tłum. Jedna z nich zdawała się wycelowana prosto w niego. Uzmysłował sobie, że w wozie transmisyjnym jacyś zdenerwowani ludzie wpatrywali się w swoje ekrany, widząc go i obawiając się najgorszego.

Papamobile zatrzymał się przy czerwonym dywanie, wyznaczającym drogę po schodach na scenę. Dwaj ludzie z BKA, potężni pod swoimi dobrze skrojonymi garniturami prędko podeszli do samochodu i otworzyli drzwi z tyłu, odsuwając się, tak żeby Ojciec Święty i dwaj siedzący wraz z nim żołnierze Gwardii Szwajcarskiej mogli wysiąść. Strażnicy wyszli pierwsi. Drugi z nich odwrócił się i podał rękę papieżowi, żeby wygodniej mu było zejść po kilku stopniach. Potem wycofał się, gdy papież obrócił się i podniósł rękę, błogosławiąc i witając tłum.

Konstantin miał częściowo zasłonięty widok; mógł widzieć papieża dopiero od krawędzi fanonu, dwóch nakładających się pelerynek zeszytych razem przy szyi. Infuła, stożkowate nakrycie głowy, pozwalało Konstantinowi śledzić za nim wzrokiem, gdy szedł przez tłum i wchodził na scenę. Tron papieski ustawiono na samym środku sceny, a Gwardia Szwajcarska zgromadziła się po jego obu stronach.

Na ostatnim stopniu papież odwrócił się do wiernych, znów wyciągając rękę, gdy tłum krzyczał i wiwatował. Rosjanina uderzyło jako coś absolutnie nie na miejscu, że świątobliwego męża spotyka tego samego rodzaju hałaśliwe powitanie, co gwiazdę pop.

Znajdował się sześć rzędów od sceny.

Musiał podejść bliżej, ale ludzie byli teraz tak ściśnięci, że nie miał innego wyjścia jak przesuwać się w bok wzdłuż rzędu, wypatrując luki, w którą mógłby się wcisnąć.

Na fasadzie kościoła św. Floriana olbrzymia minutowa wskazówka zegara przeskoczyła o kolejną minutę, zawisając nad głową papieża niczym jakiś gigantyczny miecz Damoklesa. Konstantin oddychał ciężko, zmuszając się, by zachować regularny rytm: wdech i wydech, chwila przerwy, wdech i wydech. Wdech i wydech, wdech i wydech.

Dobrze wiedział, jak to wygląda.

Nie obchodziło go to.

Za sześć minut papież będzie martwy, jeżeli on temu nie zapobiegnie.

Namiestnik Chrystusowy przeszedł na środek sceny, podchodząc do mikrofonów.

Pochylił się, i podnosząc obie ręce zwrócone dłońmi ku wiernym, powiedział:

- Dziękuję wam.

Mówił po angielsku, nie po niemiecku, nie po łacinie ani w swoim ojczystym włoskim. Z bliska Piotr II, człowiek, którego zwali Piotrem Rzymianinem, był starszy niż na wszystkich fotografiach, które widział Konstantin. Rzeczywiście postarzał się od czasu, gdy wybrano go na ten urząd po śmierci Benedykta XVI nieco ponad rok wcześniej.

Pięć minut.

Piotr II przeżegnał się, a następnie pochylił nad pulpitem i wsparł na nim, chwytając z obu stron.

- Drodzy bracia i siostry - zaczął Ojciec Święty, a mikrofony poniosły jego głos do najdalej stojących. Ofiarował im wszystkim uśmiech. Oczy Konstantina szaleńczo przemknęły od papieża na twarze gwardzistów wokół niego, wypatrując zdrajcy. - Ten wieczór, który ze sobą spędzamy, jest w istocie wyjątkowy, nie ze względu na nieboskłon, pod którym stoimy, nie ze względu na przyjaciół u naszego boku, choć za jedno i drugie składamy dzięki, lecz ze względu na olśniewającą światłość Chrystusa Zmartwychwstałego, która ostatecznie pokonuje najmroczniejszą potęgę zła i śmierci oraz na nowo rozpala nadzieję i wiarę w sercach wierzących. Spójrzcie na niebo, zobaczcie chylące się ku zachodowi słońce i wschodzący księżyc. Ich blask nigdy nas nie zawodzi, albowiem jest to blask Chrystusa Zmartwychwstałego. Drodzy przyjaciele, módlmy się wspólnie do Jezusa Pana Naszego, żeby świat mógł ujrzeć i pojąć, że dzięki Jego męczeńskiej śmierci i Zmartwychwstaniu to, co zostało zburzone, jest odbudowane; to, co się starzało, jest odnowione i całkiem przywrócone, piękniejsze niż kiedykolwiek, do swojej pierwotnej spójności. - Pochylił głowę.

Tak samo postąpili wszyscy w tłumie, z wyjątkiem Konstantina, agentów BKA i Gwardii Szwajcarskiej na scenie.

Gdy pomruk modlitw wzniósł się ku niebiosom, Konstantin przepchnął się bliżej do sceny. Sam miał na ustach tylko jedną modlitwę, ale Bóg go nie słuchał i napór ludzi z niego drwił. Zaryzykował rzut oka w bok i zobaczył dwóch ubranych w czarne garnitury ludzi z BKA rozpychających się przez tłum w jego kierunku, i jeszcze jednego biegnącego w stronę sceny. Polowali na niego. Nie wyciągnęli broni. Jeszcze nie.

Dwie osoby dzieliły go od sceny.

Strażnicy stojący po bokach papieża przypatrywali mu się.

Konstantin w odpowiedzi przypatrywał się im, usiłując wyczytać mord wypisany na ich twarzach. Każdy z nich mógłby być zdolny zabić. Taki mrozący krew w żyłach wniosek przyszedł mu do głowy, kiedy zbliżył się na tyle, by naprawdę się im przyjrzeć. Byli tacy sami. Twarz obok twarzy, a na żadnej nic się nie wyróżniało w sposobie, w jaki na niego patrzyli. Każdy z nich, albo wszyscy razem, mogli być zabójcami.

Albo to żaden z nich.

Mógł się mylić.

Nie. Sykariusze celowo stawali się niezbędnymi swoim planowanym ofiarom, stawali u ich boku jako najlepsi druhowie, by potem wbić sztylet w swoich „przyjaciół”, a gdy ci padali, pierwsi wołali do tłumu o pomoc. To miejsce i ten tłum były idealne.

Ale to nie znaczyło, że Konstantin nie mógł zostać wyprowadzony w pole przez Devere'a i nakierowywany na popełnienie kolejnej pomyłki, tym razem fatalnej. Ten człowiek grał na ogromnej szachownicy i każdy jego ruch był przemyślany i starannie zaplanowany. Pułapka została zastawiona bez zarzutu. To wszystko mogło być podstępem,

mającym wywabić Konstantina, przedstawić go jako „zabójcę” i pozwolić BKA go zdjąć, by papież zginął następnego dnia, kiedy czujność opadnie.

Rzucił okiem na prawo i zobaczył kolejnych dwóch agentów BKA biegnących wzdłuż tłumu do sceny, w ślad za samochodami. Ta dwójka trzymała broń wyjętą, lecz nisko opuszczoną, żeby nie wystraszyć tłumu.

Biegając, wpatrywali się w niego.

Przecisnął się między następną parą z głowami opuszczonymi do modlitwy. Nie pozwolił, by go spowolnili. Nie mógł sobie na to pozwolić. Spojrzał na wielki zegar. Miał minutę. Dwie. Trudno było dokładnie to stwierdzić. Istniała drobna rozbieżność między zegarem przy broni, jego własnym zegarkiem oraz zegarem na kościele, ale Konstantin nie miał sposobu, żeby dowiedzieć się, jak duża była ta rozbieżność, dopóki nie usłyszy strzału. A wtedy kwestia stanie się czysto akademicka.

Została niecała minuta.

Dotarł do sceny w chwili, gdy pierwszy z ludzi z BKA znalazł się na schodach.

Cztery rzeczy wydarzyły się jednocześnie. Rozległ się wystrzał, po nim ułamek sekundy później zabrzmiały dwa kolejne, i drzewa eksplodowały chmurami piór i paniki, gdy setka ptaków poderwała się do lotu. Głowa Piotra II podniosła się, jego modlitwa się urwała. W jego oczach pojawił się nagi strach. Znał ten dźwięk. Oczywiście, że go znał; był on wyryty głęboko w DNA każdego mężczyzny, kobiety i dziecka pod słońcem. Przestał mówić, więc głośniki rozmieszczone na całym placu umilkły. Nastąpiła przerwa nie dłuższa niż na jedno uderzenie serca, a potem ludzie zareagowali, wyrwani ze swoich modłów niebudzącym wątpliwości odgłosem strzelaniny. Z początku rozległy się wrzaski zaskoczenia, gdy ptaki w panice zerwały się z drzew, a po chwili wrzaski zmieniły charakter i ton ze zdeorientowanego na przerażony. Na scenie Gwardia Szwajcarska także zareagowała, rzucając się naprzód, żeby chronić Ojca Świętego. Konstantin dostrzegł błysk srebra w dłoni najbliższego z gwardzistów.

Nie mógł pozwolić temu mężczyźnie zbliżyć się do papieża - nawet jeśli to oznaczało rzucenie się samemu na scenę.

Konstantin krzyknął ostrzegawczo, kiedy wskakiwał na czerwony dywan przykrywający scenę.

W myślach odmówił wtedy drugą cichą modlitwę, stawiając wszystko na jedną kartę, że agenci BKA nie będą strzelać w tłumie z powodu ryzyka trafienia jakiejś przypadkowej osoby. Na ich miejscu on by strzelił, ryzykując śmiertelne ofiary, żeby chronić główny cel. Miał tylko nadzieję, że to porządniejsi ludzie niż on. Ponieważ do tego wszystko się w końcu sprowadzało - jak bardzo cenili ludzkie życie? Papieża Piotra II, jego, ludzi z tłumu? W tej jednej chwili na mgnienie oka wszystko zawisło na włosku. Następny strzał niemal na pewno wywołałby popłoch, gdy przerażeni ludzie rzuciliby się do ucieczki na łeb na szyję, a w takim ścisłości ucierpiałoby więcej niż kilkoro z nich.

Konstantin wpadł na scenę i przeturlał się. Podniósł się na kolana, podpierając dłońmi o czerwony dywan.

Dwóch gwardzistów zareagowało, podczas gdy pozostali wydawali się zastygnąć, niepewni, co dalej. Zbliżyli się, żeby go zatrzymać, celując halabardami w jego pierś. Jedyne pozostały gwardzista, który się poruszył, pospieszył do papieża i zdawał się go osłaniać przed szaleńcem, który wtargnął na scenę. Konstantin zobaczył srebrny sztylet w jego zaciśniętej dłoni.

Nie miał wyboru. Nie miał nawet czasu, żeby sięgnąć za siebie i wyciągnąć swojego Glocka. Mógł tylko rzucić się samemu w stronę papieża i modlić się, żeby jego impet odsunął ich dwóch z zasięgu judaszowego sztyletu.

Skoczył na nich obu całym ciężarem, uderzając starca w pierś, mocno trafiając go obiema rękoma w żebra i przewracając go. Zderzenie zważyło z nóg wszystkich trzech

- papieża, zabójcę i zbawcę. Konstantin upadł na staruszkę, mocno przygniatając go swoim ciężarem. Razem wylądowali na czerwonym dywanie. Wszędzie wokół nich wybuchły wrzaski i nawoływania. Konstantin nie słyszał żadnych poszczególnych słów. Nie musiał. Nie było wątpliwości, o co w nich chodzi.

To nie miało znaczenia.

Dokonał tego. Dotarł do Ojca Świętego w porę. Wygrał z zegarem, wygrał z zabójcą. Ocalił życie Piotra II. Zamknął oczy, czekając na rękę, która go chwyci i zwlecze z siwowłosego papieża. Usłyszał jego oddech pod sobą. To nie był regularny rytm wznoszenia się i opadania klatki piersiowej; oddech był urywany, desperacki, jak u człowieka rozpaczliwie walczącego o to, by znów nabrać powietrza.

Konstantin sturlał się ze starca.

To nie jego ciężar odebrał dech kapłanowi.

Gdy odsunął się od papieża, na swoich rękach zobaczył krew. Spojrzał w dół. Starzec leżał rozciągnięty na czerwonej plamie dywanu. Konstantin potrzebował chwili, żeby to dojrzeć - krew znajdowała się w miejscu, gdzie srebrne ostrze przebiło białą sutannę papieża. Rękojeść przekłętego sztyletu wystawała z purpurowej stuły okręconej wokół szyi Piotra II, wbita w złoty krzyż utkany w materiale. Było mnóstwo krwi. Zbyt dużo. Złoto i purpura prędko zabarwiały się czerwienią, gdy krew tryskała z rany. Ojciec Święty chwycił za rękojeść sztyletu. Jego usta się poruszyły. Konstantin uchwycił ledwie słyszalny szept modlitwy na jego ustach: Ojcze, wybacz... nie wiedzą... co... czynią. Była to ostatnia modlitwa Jezusa, gdy umierał zawieszony na krzyżu; modlitwa do Jego Ojca, by ocalił dusze jego morderców.

Konstantin podpełzł w jego stronę, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi.

Cały przód sutanny był już zaplamiony na czerwono od świętej krwi.

Namiestnik Chrystusowy spojrział na niego niewidzącym wzrokiem. Jego oczy zaszkliła już zakradająca się do nich śmierć.

Konstantin się spóźnił.

Nic już nie mógł zrobić.

Po tym wszystkim zawiódł. Podniósł głowę ku niebu i krzyknął, wydając długi straszliwy ryk winy, cierpienia i rozpacz. Dotarł tak blisko. Na tyle blisko, by tulić umierającego człowieka w ramionach, gdy agenci BKA wbiegli na scenę.

- Proszę - powiedział Piotr Rzymianin.

Konstantin nie wiedział, co to miało znaczyć, o co on prosił. Starzec przelknął ślinę, i światło w jego oczach zgasło. Był martwy.

Konstantin zacisnął dłoń wokół rękojeści sztyletu i wyciągnął go, pozwalając mu wypaść ze swoich palców. Krople krwi upadły na czerwony dywan niczym garść monet. Nie musiał ich liczyć. Na pewno było ich trzydzieści. Trzydzieści czerwonych rozprysków życia, tworzących obraz zdrady.

Ludzie z BKA podbiegli do niego, celując mu w twarz i tors, i wrzeszcząc do niego:

- Na ziemię!

- Połóż się na brzuchu!

- Kładź się!

- Trzymaj ręce tak, żebyśmy je widzieli!

Zobaczył ich broń i wściekłość na ich twarzach.

Była tam nienawiść. Pałaca. Gorejąca.

Oburzenie.

Każdy z nich pragnął pociągnąć za spust.

I któż by ich za to winił?

Konstantin z szacunkiem ułożył martwego mężczyznę na dywanie. Nie spoglądał na nikogo więcej na scenie. Nie słyszał wrzasków gapiów. Podniósł ręce za głowę, zaplatając palce.

Judaszowy sztylet leżał obok niego, na czerwonym dywanie. Na jego srebrnym ostrzu widniała krew.

Gwardzista, który zadał śmiertelny cios, popatrzył na sztylet, a potem na Konstantina, na krew na jego dłoniach, i upiorny cień uśmiechu sięgnął jego ust, kiedy zakrzyknął:

- Morderca!

Konstantin spojrział na mężczyznę, notując w pamięci każdy centymetr jego twarzy.

I wtedy ktoś od tyłu uderzył go w głowę, powalając go.

Przycisnęli mu głowę do zakrwawionego dywanu i ktoś syknął mu do ucha:

- Tylko daj mi pretekst, żebym mógł cię zastrzelić.

Konstantin zamknął oczy i czekał na kulę.

26

SIEDEM SROK TO SEKRET

Noah biegł z pochyloną głową, gorączkowo wymachując ramionami, gdy pędził po brukowanych ulicach. Z trudem łapał oddech.

Gonił żartownisia już prawie dziesięć minut. Gość znał wszystkie zakamarki i zakręty, co znaczyło, że to miejscowy, dostatecznie dobrze zaznajomiony z miastem, żeby znać wszystkie jego przejścia i boczne alejki. Noah przepchnął się między turystami oglądającymi plan miasta i nie zwolnił biegu, gdy na niego wrzasnęli. Facet był szybki. Nie tylko szybki, był też gibki, zwinny i sprawny. Pokonywał niskie murki z małpią zręcznością. J zląził po drugiej stronie, od razu biegnąc. Noah stracił formę. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo, dopóki ten pajac nie poprowadził go w radosnych płasach po schodach Zamku Świętego Anioła. Przebiegli cały okrąg wokół murów Watykanu, całą długość Via Vaticano i przez Piazza Risorgimento, ruchliwą Via Crescenzio i podcieniem rzucanym przez miecz Archanioła Michała aż do Tybru.

Ścigając znikające plecy tego dupka, Noah przebiegał w myślach litanię wyzwisk, jakie przychodziły mu do głowy - fiut, szmaciarz, gnida, złamas, kutafon - wypluwając je niczym strzały w plecy faceta.

Gnał przez Piazza Cavour i most Cavour. Noah potknął się, gdy dobiegł do schodów prowadzących w dół w pobliżu mostu, i rozglądał się na lewo i prawo. Jakoś zgubił tego sukinsyna. Było tu pięć dróg, które mógł wybrać - trzy prowadzące do samego serca starówki i labiryntu ciasno stłoczonych domów oraz dwie biegnące wzdłuż rzeki. A potem zobaczył zawiniątko z ubrań u dołu mostu. Zbiegł po niskich schodkach. To była bluza z kapturem. Noah uważnie rozglądał się na lewo i na prawo wzdłuż rzeki, wypatrując mignięcia szarej koszulki skurczybyka. Nadal wyliczał sobie wszystkie te wyzwiska w myślach, delektując się nimi.

I wtedy go zobaczył. Zwolnił i szedł sobie, jak gdyby nigdy nic. Gdyby się nie obejrzał do tyłu, żeby zobaczyć, czy Noah wciąż go goni, mogłoby mu się upiec. Noah wziął głęboki wdech i ruszył za nim w pościg.

Niczym żona Lota, gnojek obejrzał się za siebie o jeden raz za dużo, dostrzegł, że Noah wciąż go ściga, i ruszył biegiem. Wyzwiska napływały nieustannie, soczyste i szybkie, a Noah coraz bardziej rozwijał w sobie inwencję. Krótki spacer pozwolił fagasowi odzyskać siły na tyle, ile mu było potrzeba. Wystrzelił naprzód, jak szalony młócąc rękoma i nogami,

wzdłuż rzeki obok dwóch pierwszych mostów, po czym przeskoczył żelazną barierkę i pomknął po schodach do Vittorio po dwa lub trzy stopnie naraz.

Gdyby Noah nie chciał dorwać tego faceta żywego, wyciągnąłby broń i z czystej złośliwości wpakowałby mu w plecy z tuzin kulek. Naprawdę nie był mu wdzięczny za ten trening.

Noah mógł tylko próbować za nim nadążyć.

Chwilę trwało, nim zdał sobie sprawę, że fajfus zawraca szeroką ulicą Via di Conciliazione, która po niecałych stu metrach wychodziła na eliptyczny Plac św. Piotra, gdzie zamachowiec samobójca wciąż leżał na bruku. Noah widział wysoki obelisk, Świadka, drwiącego zeń, gdy każdy mięsień jego ciała płonął, zaś za nim karetkę i zgromadzony tłum. Zaciskając zęby, usiłował zmniejszyć dzielący ich dystans, zmuszając nogi do szybszego biegu. Każdy wypluwany oddech palił go w płucach.

Kordon Gwardii Szwajcarskiej, który odizolował plac, zaczął się już rozłamywać. Ciżba turystów, licząca już ze czterdzieści lub pięćdziesiąt rzędów ludzi, traciła cierpliwość. Rozlegały się pomruki niezadowolenia w tuzinie języków. Gwardziści robili, co w ich mocy, żeby powstrzymać napór ludzi.

- Naprawdę mam chęć cię zastrzelić! - Noah wrzasnął do pleców zasrańca, gdy nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Przestał biec i zgiął się w pół, opierając dłonie na kolanach. Mruknął do kamiennych płyt Placu: - I nie mam obiekcji, żeby wpakować ci kulkę - ale była to pusta groźba.

Wątpił, żeby ten wieprz w ogóle go usłyszał.

Tymczasem bydlak zwolnił, teraz poruszając się prawie w podskokach, i odwrócił się, żeby posłać mu jeszcze jeden szyderyczy salut. Potem zniknął w tłumie ludzi - jeszcze jeden turysta w T-shirtcie wśród ciżby innych pielgrzymów w T-shirtach i džinsach.

Na moment tłum się rozstąpił i Noah zobaczył, jak ludzie ustępują jełopowi z drogi. Nie dosłyszał, co im powiedział, gdy się przepychał, ale cokolwiek to było; podziałało. Nikt nie stał mu na drodze dłużej niż sekundę.

Noah pospieszył za nim przez tłum.

- *Io sono eon lui!* - krzyczał w łamanym włoskim, gdy usiłował przecisnąć się przez ludzką masę.

Nagle tłum się rozstąpił i Noah stanął twarzą w twarz z wystraszoną gwardzistą, trzymającym swoją ceremonialną halabardę wymierzoną w pierś Noaha. Nie wydawał się chętny, żeby go przepuścić. Za nim Noah zobaczył, jak ćwok truchcikiem podbiega w stronę Świadka. Cokolwiek im powiedział, wystarczyło, żeby przepuszczono go przez kordon, i jedyne wytłumaczenie, jakie przychodziło Noahowi do głowy, to że to wcale nie były słowa, albo przynajmniej nie same słowa. Słowa i odznaka. Cholerny matoł odegrał szychę, co czyniło z niego naprawdę dobrego kłamcę albo stróża prawa.

Noah popatrzył na strażnika i powiedział po prostu:

- Przechodzę, więc albo mnie dziabnij, albo zejdź mi z drogi. Jedno albo drugie.

Ruszył do przodu, opuszczając ramiona, jak gdyby zakręcał w prawo, i wyminął strażnika. To był niezdarny manewr, lecz Noah wykonał go prędko i skutecznie. Kiedy gwardzista przeniósł ciężar ciała, żeby zwrócić się w lewo i zablokować Noaha, ten przepchnął się po swojej lewej i przemknął obok niego. Biegł wspierany radosnymi okrzykami tłumu za jego plecami, ucieszonego faktem, że ktoś z jego grona właśnie upokorzył napuszonego gwardzistę w pstrokatym stroju. Noah nie zawahał się ani nie zaryzykował oglądania za siebie. Biegł prosto na sam środek Placu.

Łajdak odwrócił się, słysząc nagle poruszenie, i zobaczył goniącego go Noaha.

Noah sięgnął po broń z zamiarem wprowadzenia swojej groźby w życie. I wtedy spostrzegł wpatrującego się w niego Abandonato. Coś w twarzy monsignora kazało mu się powstrzymać. Sukinkot podążył za jego wzrokiem. Noah nie patrzył na niego. Skupił całą

uwagę na duchownym. Gdyby nie to, mógłby przegapić błysk zrozumienia, który na moment rozjaśnił jego twarz. Ale teraz zobaczył to jasno jak w dzień. Nie wiedział, co to oznacza - albo raczej nie chciał wiedzieć. Ponieważ dokładnie wiedział, co to znaczy. Abandonato znał tego łachudrę. Co z tego wynikało, cóż - tego właśnie Noah nie chciał wiedzieć.

Ktoś zobaczył pistolet i wrzasnął.

Nie przejął się tym.

Niecałe trzydzieści metrów dzieliło go od tego ścierwa. Rzucił się naprzód, nakręcany czystą adrenaliną.

Jego stopy zadudniły na betonie. Wrzasnął, wydając prymitywny plemienny ryk, wykorzystując zawarty w nim gniew, żeby dodać sobie sił.

Kończyły mu się już wyzwiska do określania tego palanta.

To było bez znaczenia.

Dystans między nimi zmniejszył się do nieco ponad dwudziestu metrów.

Wbiegł prosto w środek stada gołębi, podrywając ptaki do lotu. Wzbiły się w niebo tumanem skrzydeł i piór, łopocząc gorączkowo w powietrzu, gdy Noah ścigał go pośród nich. Nieznacznie zmienił kierunek, biegnąc w stronę głównego portyku. Noah gonił go, mijając posąg św. Piotra i dalej, po schodach i przez drzwi do środka wielkiej katedry, do nawy. Nie było tam pusto, ale nikt nie poruszył się, żeby ich zatrzymać, gdy z hałasem toczyli się środkową nawą w stronę papieskiego tronu.

Nie byli sami. Noah poczuł się, jakby szedł za Flecistą z Hameln, niczym pierwszy szczur, który dał się wyrolować słodką muzyką. Nie musiał się oglądać za siebie, żeby wiedzieć, że za nimi pędziła niemała zgraja szczurów, chociaż w tym przypadku szczury miały pistolety, miecze i halabardy zamiast ostrych zębów. Skoncentrował się na tym, by dopaść mężczyznę przed sobą, który pędził na łeb na szyję w kierunku ołtarza.

Zanim tam dobiegli, małpison raptownie zahamował, kręcąc młynka rękoma, gdy rozpęd ciągnął go dalej. Skręcił, zmierzając w stronę schodów prowadzących na galerię pod kopułą. Klnąc, Noah pobiegł za nim po schodach, przeskakując po dwa i trzy stopnie naraz. Całe jego ciało protestowało z wysiłku. Obraz rozmazywał mu się przed oczami, a serce waliło jak młotem. Pot zalewał mu oczy.

- Poddaj się wreszcie! - krzyknął Noah.

Jego głos odbił się echem od wnętrza kopuły, przerażająco głośny w ciszy bazyliki.

Drań zaśmiał się maniakalnie, jak gdyby była to najzabawniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszał.

Noah dosłyszał tupot stóp zbliżających się za nim po schodach.

Mężczyzna przestał biec i zwrócił się twarzą do Noaha.

- Nigdy nie weźmiesz mnie żywcem, wiesz o tym, prawda? - odezwał się.

Gdy mówił, jego głos zabrzmiał zaskakująco rzeczowo i był tylko nieznacznie zdyszany, co samo w sobie stanowiło zniewagę.

- Poddaj się - powiedział Noah, idąc w jego stronę.

Wycelował broń w sam środek szarej koszulki mężczyzny.

- Albo co? Zastrzelisz mnie? W tym miejscu?

Miał osobliwy akcent, nie włoski, ale zdecydowanie nie brytyjski angielski i nie całkiem amerykański angielski, jak gdyby nauczył się go, oglądając MTV.

- I tak cię zastrzelę, koleś, naprawdę mam to gdzieś. To nie mój kościół, a ja i Bóg od dawna się nie kolegujemy.

- Nie możesz nas powstrzymać - odpowiedział. - Już jest na to za późno. Jest za późno dla was wszystkich.

I wtedy spojrział na zegarek. To był osobliwy gest, ale zobaczywszy, która godzina, skinął głową, jak gdyby godziny i minuty udowodniały, że ma słuszość, i że naprawdę jest za późno.

- Już to zrobiłem - odparł Noah. - Rozejrzyj się, dokąd możesz pójść? To koniec.
Terrorysta pokręcił głową.

- Nie, zmieniłeś mnie w męczennika, pierwszego świętego nowego mesjasza, pierwszego anioła Judasza. Tylko tyle osiągnąłeś. Nie wygrałeś. Poniosłeś porażkę. Przegrałeś wszystko. I zrobiłeś to tutaj, ze wszelkich miejsc akurat tu. Dziękuję ci za to.

Okręcił się na pięcie i wyglądało, jakby się odbił, niesiony zapałem do nowej misji, zrobił dwa kroki i przedostał się ponad balustradą, rzucając się w pustkę.

Na mgnienie oka zdawał się zawisnąć tam, podtrzymywany przez samo powietrze, lecz bez skrzydeł runął w dół.

Noah skoczył naprzód, wyciągając rękę, w której nadal trzymał broń.

To był beznadziejny gest.

Odgłos upadku ciała na kamienie odbił się odrażającym echem w całym wnętrzu bazyliki św. Piotra.

Noah wychylił się nad balustradą galerii i spojrzał w dół, dobrze wiedząc, co zobaczy tam w dole.

Krew rozlała się kałużą wokół martwego mężczyzny, plamiąc poświęconą ziemię.

Krew męczennika ułożyła się niczym aureola dokoła jego strzaskanej głowy.

Noahowi nie zostały już żadne wyzwicka.

Przechylał się nad balustradą, oddychając ciężko, chwytając wielkie hausty powietrza. Jego pierś pracowała jak miech. W ciszy słyszał tylko urywany odgłos własnego oddechu.

Kapłani i żołnierze zaczęli gromadzić się wokół ciała. Ramiona i nogi samobójcy były powyginane i połamane, rozciągnięte w niewiarygodnie nieprzyzwoitej pozie, lecz jego oczy wpatrywały się prosto w sklepienie, prosto na Noaha. Martwy mężczyzna nie wyglądał jak anioł czy święty. Wyglądał jak martwy terrorysta.

Noah odwrócił się plecami do tych niewidzących oczu i do krwi.

Pragnął odpowiedzi, ale wszędzie, dokąd się zwrócił, znajdował tylko więcej pytań.

Pozostało mu tylko przelotne spojrzenie, jakie wcześniej wymienili martwy mężczyzna i kapłan. Noah podniósł wzrok na sklepienie i powiedział:

- Daj mi chociaż to, ech?

Przepychając się przez szczury, które zapełniły galerię, ruszył na poszukiwanie Abandonato i prawdy.

Znalazł tylko jedno z nich.

NIE MA JAK W DOMU

Jude Lethe ciągle na nowo spoglądał na świat rozwijający się przed nim w baśniowym technicolorze. Kamery niemieckiej telewizji uchwyciły zabójstwo pod trzema różnymi kątami. Żaden z nich nie wyglądał dobrze dla Koniego. Lethe zatrzymał obraz na stopklatce, gdy dostrzegł pierwszy błysk srebra w nisko padających promieniach słońca. Zbyt trudno było powiedzieć, skąd pojawił się nóż. Jude nie był ekspertem od odczytywania mowy ciała. On wiedział, skąd wziął się nóż - żołnierz Gwardii Szwajcarskiej stojący najbliżej Ojca Świętego skrywał go w fałdach swojego cyrkowego munduru - ale udowodnienie tego to już zupełnie inna sprawa.

Nagle dwoje ludzi było w tarapatach, a sir Charles nie mógł nic zrobić. Ręce wiązała mu ta sama możliwość zaprzeczenia ich istnieniu, która dawała im swobodę ruchów, jaką gwarantował im ich status. Nie mógł pójść do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i zaapelować o pomoc, nie mógł skontaktować się z brytyjskim ambasadorem w Niemczech. Ogmios nie istniał w żadnych oficjalnych rejestrach. Nie mieli prawa się odwoływać. Ambasada nie zażąda ekstradycji Konstantina i z tego samego powodu nie zorganizuje akcji dla odbicia Orli. Można ich było poświęcić. Nawalili w służbie dla Królowej i Ojczyzny, ale to nie miało najmniejszego znaczenia. Nawalili i już. Do tego się wszystko sprowadzało. Konstantin był na ekranach telewizorów jako główny podejrzany o zabicie papieża. BKA będzie chciała szybkich rezultatów, wymierzenia sprawiedliwości. Nie będzie im zależało na międzynarodowym incydencie. Nie będzie im zależało na ekstradycji do Wielkiej Brytanii na proces. To się wydarzyło na niemieckiej ziemi i zostanie rozstrzygnięte na niemieckiej ziemi, z niemiecką skutecznością. W oczach świata Konstantin już był winny, przecież widzieli, jak to się stało. Lethe musiał znaleźć dowód, że jednak nie widzieli, że ich mózgi połączyły kropki i wypełniły luki, ale wyszło im z tego coś okropnie niesłusznego. A te przekłete kamery nie były pomocne.

Tak samo, jak fakt, że kiedy policja zacznie sprawdzać jego przeszłość, pierwsze, czego się dowiedzą o Konstantinie Chawinie, to że był uciekinierem z dawnego ZSRR. Dwa plus dwa daje cztery, albo przynajmniej coś w przybliżeniu, i wyciągną jedyny logiczny wniosek, jaki im się nasunie - że można wyrwać Konstantina Chawina z Mateczki Rosji, ale nie można wyrwać Mateczki Rosji i jej czarnego serca z Konstantina Chawina. Że był szpiegiem - głęboko ukrytym - wciąż na skinienie Moskwy. Ponieważ nie liczyło się, że wszyscy byli już uświadomieni, że mur runął, nie potrzeba wiele, żeby na nowo rozniecić stare lęki i tę głęboko zakorzenioną nieufność. Ludziom łatwiej było wierzyć, że dawni wrogowie nadal są wrogami, niż w to, że pora rozejrzeć się wokół siebie i wskazać palcem na takich jak Miles Devere kapitalistów kierujących się zwyczajną, prostą, szpetną chciwością.

Kiedy rozległy się pierwsze wystrzały, kamera na wysięgniku, która w przeciwnym razie miałaby doskonały kąt widzenia do uchwycenia całego zdarzenia, szaleńczo przesunęła się w stronę eksplozji czarnych piór, gdy ptaki zerwały się z drzew. Zanim obiektyw powrócił do poprzedniego ustawienia, na scenie już dokonało się morderstwo i właśnie rozgrywał się ostatni akt. Konstantin klęczał nad leżącym papieżem, z zakrwawionymi rękami i obłędem na twarzy. Srebrny sztylet leżał na czerwonym dywanie. Kamery druga i trzecia też się na wiele nie zdały. Ta po prawej stronie sceny pozostała nakierowana na główne postaci dramatu, ale pęd Konstantina, gdy wpadł w kadr, oraz sposób, w jaki wyginał ciało, usiłując się dostać między odzianego na biało papieża a zabójcę, przysłużył się tylko temu, żeby zasłonić faktyczny moment morderstwa. Na początku kąt nie był dostatecznie szeroki, żeby pokazać, jak żołnierz Gwardii Szwajcarskiej wyciąga judaszowy sztylet. Widok z drugiej kamery był

jeszcze gorszy, gdyż wyraźnie pokazywała tylko plecy papieża i strażnika oraz wściekły i rozpaczliwie obłądny wyraz twarzy Konstantina, gdy rzucał się na obu.

Bez względu na to, ile razy Lethe wpatrywał się w obrazy, nie potrafił znaleźć ani jednej klatki ukazującej sztylet, zanim został on wbity w szyję papieża.

Ale przecież to nie były jedyne kamery wycelowane w scenę. Ktoś tam, w tym tłumie, uchwycił prawdę aparatem w telefonie albo kamerą cyfrową. Niestety, nie było sposobu, żeby się dowiedzieć, kto. Jeżeli na placu cisnęło się trzy tysiące ludzi, być może trzy procent z nich z jakiegoś powodu nie odwróciło się i nie podążyło wzrokiem za odgłosem wystrzałów czy za będącym jego następstwem chaosem trzepotu ptaków odlatujących z drzew. Trzy procent oznaczało dziewięćdziesiąt osób. Można było spokojnie założyć, że spośród tych dziewięćdziesięciu pięćdziesiąt procent stało zbyt daleko albo miało częściowo zasłonięty widok na scenę z takiej czy innej przyczyny, a to oznaczało czterdzieści pięć osób niepatrzących w złym kierunku i mających dobry widok na scenę. Tych czterdzieścioro pięć osób należało rozdzielić między lewą i prawą stronę sceny. Statystycznie niemożliwy był równy podział po pięćdziesiąt procent. Tak się po prostu nie zdarzało, a nawet jeśli, to dwadzieścia trzy i pół osoby znajdowało się po właściwej stronie, żeby zobaczyć wyciągany sztylet. Teraz dochodziła kwestia rozproszonej uwagi. Jak ludzie by zareagowali? Słyszysz wystrzał, więc natychmiast zwracasz wzrok na człowieka na środku sceny, obawiając się najgorszego? Lethe mógł się założyć, że tak. Piętnaście spośród tych dwudziestu trzech i pół osoby spojrzaloby prosto na papieża, gdy wystrzały odbijały się echem po placu. To pozostawia osiem i pół osoby, które spoglądałyby gdzie indziej, ale ogólnie we właściwym kierunku od właściwej strony sceny w miejscu, gdzie potencjalnie mogliby zobaczyć wbijanie ostrza albo przynajmniej dostrzec je w ręku mordercy, zanim zadał cios. Wzrok ilu spośród tych ośmiorga i pół przyciągnąłby raptowny ruch Konstantina wyrwywającego się i tłum, w ostatniej sekundzie odwracając ich uwagę od prawdziwego mordercy? Dwóch? Trzech? Czterech? Rozsądnie założyć, że pięciu. Pięć to dobra liczba. Co oznacza, że trzy i pół osoby patrzyłoby we właściwym kierunku, mając dobry widok i nie rozpraszać się. A teraz pytanie, ile spośród nich zdawałoby sobie sprawę, że to, co widzą, to w rzeczywistości rozgrywające się na ich oczach zabójstwo? Jedna, może dwie. Czy ujawniły się? Po co, skoro cały świat już skazał Konstantina, bądź co bądź to wszystko było widać w bajecznym technicolorze, więc na co światu jedno niepotwierdzone zeznanie zaprzeczające wszystkim dowodom?

Odpowiedź była zupełnie bezużyteczna i Lethe o tym wiedział, chyba że ta jedna jedyna osoba filmowałaby także nabożeństwo kamerą w telefonie albo kamerą cyfrową i uchwyciła prawdę w megapikselach.

Lethe nie był hazardzistą, lecz nawet on miał świadomość, że nie jest to szansa, na którą chciałoby się postawić życie.

Zaś to czekało Konstantina i żadne przysługi na świecie nie mogły zmienić dowodów tego, co zobaczyły dwa tysiące oczu, bez czegoś niepodważalnego.

A zatem Lethe wciąż szukał.

Tym razem powiększył obraz na ekranie do maksymalnych rozmiarów, tak aby tylko nie poszatkować go na piksele za bardzo, by móc rozróżnić szczegóły, i zamiast przyglądać się głównym aktorom dramatu, zwrócił uwagę na tłum, szukając tego jednego telefonu komórkowego albo kamery, które mogłyby nagrać prawdziwe zdarzenia. To było jak szukanie igły w przysłowiowym stogu siana, ale cóż innego mógł zrobić?

Frost wkrótce wróci. Jazda powrotna zajmie mu zapewne najwyżej dwie albo trzy godziny - bliżej dwóch, biorąc pod uwagę porę i stosunkowo nieduży ruch, oraz sposób, w jaki Frost dociskał Monstera.

Lethe wciąż rozmyślał o tym trzecim telefonie, jaki wykonał Devere. Pierwszy, do Genewy, najwyraźniej był jakimś wysłanym okrężną drogą ostrzeżeniem dla mężczyzny ze

sztyletem, drugi uruchomił odliczanie przy karabinie snajperskim, ale trzeci, z powrotem do bazy w Londynie, nic miał sensu.

Podkręcił muzykę, ponieważ to pomagało mu się skupić. Wokalista Gin Blossoms lamentował, że przeszłość odeszła i że przed laty zmarnował swoją jedyną szansę u gorącej laski. Dlatego, a także dlatego, że przez ostatnie kilka godzin słuchał wrzasków tłumu w Koblencji i wystrzałów ze snajperskich karabinów, Jude Lethe nie usłyszał stłumionych odgłosów strzelaniny na górze.

Jednak usłyszał je sir Charles.

Mimo że były stłumione, nic nie brzmiało tak jak wystrzał, a żaden gaźnik samochodu nie zrobiłby takiego hałasu w tej idyllicznej brytyjskiej wiejskiej okolicy. Główna droga do Ashmoor znajdowała się dostatecznie daleko, żeby dźwięk nie przedostał się przez żywopłoty i wrzosowiska, porośnięty zagajnikiem pas pola, a potem przez grube kamienne mury Nonesuch. Nie, dwa strzały, nawet przyciszone dowolnym tłumikiem, jakiego użył zabójca, były wyraźne i wyraźnie nie na miejscu w cichej rezydencji.

Staruszek wy dostał się z łóżka, z trudem przesuując nogi poza krawędź, żeby dotknęły podłogi. Wózek stał obok łóżka, ale dosięgnięcie go było męką. Sir Charles wyciągał ręce, próbując zahaczyć palcami o ramę i przyciągnąć go bliżej, a kiedy wózek stuknął o ramę łóżka, starzec usiłował wstać. Każdy mięsień w jego ramionach drżał, gdy trudził się tak, przenosząc ciężar ciała do przodu na nogi, które nie mogły go podtrzymać, a potem wykręcił się i ciężko opadł, raczej się osuwając niż siadając na wózku.

Po twarzy staruszka spływał pot.

Rozejrzył się po pokoju. Jego laska znajdowała się po drugiej stronie łóżka, od okna.

Jego służbowy rewolwer, Webley Break-Top z 1963 roku - jeden z ostatnich, jakie zamówiono dla sił zbrojnych - był schowany w szufladzie biurka w odległej części pokoju, zamknięty na klucz. Zamek był mizerny, ale on był już stary, i wątpliwe było, żeby siedząc na wózku, zdołał dostatecznie się zaprzeć, aby wyszarpnąć szufladę, wyłamując mosiężny języczek zamka albo drewno wokół niego. W szufladzie znajdowało się też pudełko z amunicją. Ulokował je tam po tym, jak broń została wycofana w 1963. Dwa naboje na osobę rocznie, to był stary żart. Do czasu, gdy broń wyszła z użycia, tak bardzo już brakowało do niej amunicji. Rewolwer podwójnego działania mógł wypluć dwadzieścia do trzydziestu kul w ciągu minuty, więcej niż mieściła komora i więcej niż staruszek posiadał. Pudełko z amunicją zawierało dwanaście nabojów.

Musiał wybierać. Przycisk alarmowy znajdował się obok laski, zaś telefon na biurku.

Wyciągnął dłonie przed siebie. Trzęsły się, i to nie z powodu wysiłku, jaki kosztowało go dostanie się na wózek. Nawet gdyby wyłamał szufladę, jego ręce były tak niepewne, że nie miał gwarancji, czy zdoła naładować rewolwer, nie rozsypując nabojów po całej podłodze. Z drugiej jednak strony wystarczyłby mu jeden strzał.

Nie miał zbyt wielkiego wyboru.

Podjął decyzję.

Skierował wózek w stronę biurka. Wózek obijał się o bok łóżka i odbił od rzeźbionych nóg samego biurka, przewracając wszystko na białe. Sir Charles pociągnął szufladę, ale ta ani drgnęła. Pociągnął raz jeszcze, tym razem z większą desperacją. Całe biurko zatrzęsło się od siły jego szarpnięcia, lecz szuflada nadal się nie poruszyła. Nie mógł bardziej się zaprzeć ani wywrzeć większego nacisku na żaden z kluczowych punktów.

Usłyszał kroki w korytarzu na zewnątrz.

Staruszek pociągnął szufladę tak mocno, że omal nie przewrócił na siebie całego biurka. Zamek trzymał. Grzmotnął w niego ręką, klnąc soczyście, i dał sobie spokój z próbami. Uchwycił się wózka i spróbował wykręcić z powrotem w stronę okna.

Za jego plecami drzwi otworzyły się.

Nie odwrócił się. Nie musiał. W lustrze wiszącym nad biurkiem widział intruza wchodzącego do pokoju. Zobaczył czarną włóczkową kominiarkę z poszarpanym wycięciem na usta oraz dwiema wąskimi szparami na oczy. Czarne pukle wymykały się dołem spod kominiarki. Chociaż kobieta była ubrana od stóp do głów w aseksualną czerń, wyraźnie uwidaczniające się krągłości zdradzały jej płeć.

Jej lewa ręka była wyraźnie grubsza od prawej, zdeformowana. Staruszek uświadomił sobie, że chronił ją lekki gipsowy opatrunek. Przypomnił sobie pierwszy raport Frosta z domu w Jesmond. To była ta kobieta, której przerwał, kiedy przetrząsała mieszkanie Sebastiana Fishera. W trakcie walki złamał jej rękę. I oto teraz znów się włamywała. Staruszek sięgnął po telefon. Wiedział, że nie zdoła zadzwonić, ale strącenie słuchawki z widełek otworzy linię, a otwarta linia to światelka migające na wszystkich aparatach telefonicznych w domu. Mógł tylko mieć nadzieję, że ktoś to zobaczy. Ale kto miałby zobaczyć? Max? Lethe? Przed chwilą słyszał strzały. Kobieta nie strzelałaby sobie do stojaka na parasole, który jej się nie spodobał. Max przyszedłby, żeby sprawdzić hałas. Max. Staruszek nie mógł sobie pozwolić na oplakiwanie go czy żalobę. Max zginął albo żył, tak czy owak zamartwianie się tym teraz nie miało sensu. Musiał pomyśleć o własnej skórze.

- Na twoim miejscu bym tego nie robiła - odezwała się kobieta. Mówiła z akcentem. Nie był wyraźny, lecz dał się zauważyć, chociaż bardzo się starała go ukryć. Bliskowschodni, izraelski albo może libański. Wziąwszy pod uwagę ślad z okruchów, którym dotarli aż do Masady, Izrael był z nich dwóch bardziej prawdopodobny.

- Zatem Devere przysłał cię, żebyś zabiła starego człowieka na wózku? - spytał sir Charles, napotykać jej wzrok w odbiciu w lustrze. Wydawało się logiczne, że Miles Devere nasłał na niego kogoś ze swoich sługusów. Wszystko sprowadzało się do siły, do pokazania sir Charlesowi, że bez względu na to, jak dobrze był ustosunkowany, bez względu na to, dla kogo pracował czy kogo nazywał przyjacielem, Devere może go dopaść. Tego dotyczył trzeci telefon. Devere zadzwonił do Londynu, żeby zorganizować tę wizytę. - Pochlebia mi to.

- Powinno - odpowiedziała kobieta, zamykając za sobą drzwi.

- Być może zawrzemy umowę?

- Ja nie zawieram umów.

- Każdy zawiera umowy, moja droga. W moim fachu jest takie powiedzenie: nigdy nie posyłaj kogoś, żeby zabił człowieka, który ma więcej pieniędzy od ciebie. A ja mam mnóstwo pieniędzy, wierz mi. Cokolwiek Devere ci płaci, ja to podwoję, żebyś z powrotem wyszła przez te drzwi. Jak to brzmi?

- Jak słowa desperata - odparła.

Miała rację. Właśnie tak to brzmiało.

Ale z drugiej strony, sir Charles chciał, żeby to właśnie tak zabrzmiało. Każdy człowiek w jego sytuacji powinien mówić jak desperat. Desperat albo ktoś zrezygnowany. On nie był zrezygnowany. Nie należał do tego typu ludzi. On był motorem wydarzeń. To pozostawiało mu jedynie opcję, by brzmieć jak desperat. Zdesperowany człowiek z majątkiem, starający się zawrzeć układ, a więc dokładnie tak postępował. Pomyślał, że gdyby była tak dobra, jak bez wątpienia sądziła, że jest, to byłaby w stanie dojrzeć to w jego oczach - zmianę biegów, gdy jeden gambit odpadł, szybki namysł, szukanie innej alternatywy. Czegokolwiek innego niż kula w tył głowy. To było myślenie jak w czasie akcji w terenie - ponowna ocena sytuacji, przemieszczenie środków, reakcja.

Powstrzymał się od sięgnięcia po telefon.

Wózek oznaczał, że spoglądał na jej odbicie w lustrze. To potęgowało złudne wrażenie bezradności. Widziała tylko staruszka na wózku inwalidzkim. Przydałoby się, gdyby zdołał otworzyć szufladę, ale broń to nie jedyne rozwiązanie.

- Nie zamierzasz podbić swojej oferty? Czy nie tak robią ludzie tacy jak ty? Błagaj, prosz, proponuj mi bogactwa ponad moje wszelkie wyobrażenie?

- Nie - odrzekł sir Charles. - Nie dzisiaj. Dziś zamierzam cię spytać, czy cenisz swoje życie?

- A co o za pytanie?

- Bez względu na to, za jak dobrą się uważasz, czy naprawdę wierzysz, że możesz tak sobie tu wejść, zabić mnie i wyjść bez żadnych konsekwencji?

- I znowu to mamy, program dwunastu kroków kogoś, kto ma umrzeć. Zaprzeczenie, targowanie się, a teraz przeszliśmy do gróźb. Po tym, jak opisał cię mój klient, z jakiegoś powodu myślałam, że możesz być inny. To rozczarowanie. Mówił o tobie tak, jakbyś był jakimś gigantem. Przykro mi to mówić, ale krok numer dwanaście jest zawsze taki sam: umierasz.

- A zatem bezcelowe jest, żebym ci mówił o zabezpieczeniach w domu i o tym, co się stanie, kiedy moje serce przestanie bić? Mój chłopak, Lethe, to komputerowy geniusz. Czy Devere ci to powiedział? Wszystko w tym domu jest połączone w jeden obwód z moim wózkiem i zależy od mojego tętna. Niech moje serce stanie z jakiejś przyczyny, a cała rezydencja zostanie odcięta. Bez drogi ucieczki. Kiedy mój zespół wróci, znajdą cię tu. Z dobrych wieści, jest tutaj mnóstwo jedzenia, więc przynajmniej nie będziesz głodna.

- Chcesz, żebym uwierzyła, że to jaskinia Batmana, a ja właśnie zabiłam Alfreda? To bardziej oryginalne niż powiedzieć, że kazałeś otoczyć to miejsce uzbrojonym strażnikom czekającym tylko na twój sygnał, to ci przyznam, ale popraw mnie, jeśli się mylę. Nie pamiętam, żeby Bruce Wayne był kaleką?

- Prawda jest dziwniejsza od fikcji, czyż nie tak powiadają?

- Niektórzy tak, na pewno, zapewne ci sami, którzy mówią też, że zaminowali cały dom i że mają zdalnie sterowany detonator w poręczy wózka.

- To następna rzecz, jakiej chciałem spróbować - powiedział staruszek. Uśmiechnął się, z całych sił starając się zachować pozory spokoju, ale jego serce pracowało niemal tak samo szybko, jak jego umysł. Rozmowa miała na celu zyskanie na czasie, ale gdy już trochę go zyskał, chodziło o to, jak chce go wykorzystać.

- Dostyc tego gadania - powiedziała, jak gdyby potrafiła czytać mu w myślach. - Chcesz umrzeć, patrząc, czy wolisz być odwrócony plecami? Niektórzy ludzie wolą nie patrzeć, jak zbliża się koniec.

- Biorąc pod uwagę fakt, że i tak cię widzę, w którąkolwiek stronę się obrócę, to nie wiem, czy to aż taka różnica, nieprawdaż? To jak pytać, czy chcę mieć pogrzeb w otwartej czy zamkniętej trumnie: tył głowy i wielka rana wylotowa pośrodku twarzy, czy kula między oczy i rozerwany tył głowy. To naprawdę nie ma znaczenia, bo i tak będę tak samo martwy.

- Będziesz - zgodziła się.

- Miejmy to za sobą, dobrze? Myślę, że raczej wolę, żeby ostatnią rzeczą, jaką zobaczę, była ładna buzia. Nazwij mnie starym głupcem, ale zawsze miałem słabość do pewnego typu dziewcząt - powiedział sir Charles, sięgając do obręczy przy kołach wózka. Poruszył jedną w tył, a drugą do przodu, obracając wózek. Ciasna przestrzeń między między łóżkiem a biurkiem uniemożliwiła mu obrócenie się jak należy. Wiedział o tym. Właśnie dlatego tam wykręcił.

Zanim zdążył zacząć się cofać, zadzwonił telefon na biurku.

- Domyślam się, że nie mogę odebrać? - spytał z żalem.

- Nie - odparła. Nie wyglądała na ani trochę ubawioną tym przerywnikiem.

- Chyba więc nie mogę też powiedzieć, że dzwonek mnie uratował?

- Nie - odpowiedziała znowu. - Żadnego ratunku w ostatniej chwili. Gadaliśmy już za długo. Jeżeli nie możesz obrócić wózka, ja to zrobię.

- Mogę sam - zapewnił ją staruszek, spoglądając na odbity w lustrze obraz Rembrandta na ścianie za nią. Judasz okazujący skruchę.

Telefon przestał dzwonić.

Ronan Frost rozłączył się.

Pierwszy raz, odkąd związał się z Ogmiosesem, zdarzyło się, że zadzwonił do Nonesuch, a Lethe nie odebrał w ciągu paru sekund. Taka cisza nie wróżyła nic dobrego. Podniósł wzrok na dom w oddali, na końcu długiego krętego podjazdu. Jak zawsze paliło się tylko kilka świateł. Samochody stały rzędem na zwirowym podjeździe dokładnie w tym samym miejscu, gdzie Orla i chłopcy zostawili je kilka dni temu. Jednak zamiast uspokajać, ten widok sprawił, że miejsce nabrało wyglądu cmentarzyska aut, gdzie sportowe wozy przybywają dokonać żywota.

Powodem, dla którego zadzwonił, był zaparkowany w pobliżu, na wpół ukryty w krzakach motocykl terenowy.

Podjechanie pod dom motorem zajęłoby mu dziesięć sekund na pokonanie podjazdu, z hukiem silnika Monstera i roztrzucaniem żwiru, albo dwie minuty biegiem, po cichu. Przedłożył ciszę nad szybkość. Jeżeli ktoś był w rezydencji, to Ronan nie chciał tam wpadać i narobić rabanu - nawet jeśli parę sekund mogło stanowić różnicę, hałas równie dobrze mógł przyczynić się do czyjejś śmierci. Staruszek był twardy. Walczyłby do końca. Zaś Lethe już zapewne zamienił piwnicę w osobisty bunkier.

Frost kopnięciem rozłożył podpórkę i zgasił silnik Ducati. Zdjął skórzaną kurtkę, ponieważ krępowiała mu ruchy. Czas, jaki mu to zabrało, nadrobi szybciej, przebiegając przez trawnik Obejrzał terenowy motor, szukając jakichś wskazówek co do tożsamości właściciela, ale niczego tam nie było. I nie spodziewał się niczego znaleźć. Ciężko było mieć pewność, ponieważ błoto porządnie stwardniało po kilku dniach bez deszczu, ale Frost dostrzegał ślady tylko jednego pojazdu. Wyjął Browninga i ruszył biegiem przez trawnik, z wściekłością poruszając rękoma i nogami. Głowę trzymał podniesioną, gorączkowo rozglądając się na lewo i prawo, wypatrując śladu intruza. Wiedział, że brak odpowiedzi na jego telefon oznaczał, że już są w środku, ale to nie wykluczało tego, że nie mogli już skończyć roboty w chwili, gdy dzwonił, i teraz kierować się do wyjścia. Było tu wiele ciemnych miejsc, w których można się ukryć. Zbyt wiele. Reflektory działały, lecz oświetlały tylko wązowo wijący się pas podjazdu, wyłaniający się z ciemności.

W połowie trawnika już ciężko dyszał. Jego ciało było obolałe po wycisku, jaki otrzymało w ciągu kilku ostatnich dni. Skoncentrował się na bólu. Był dobry. Oznaczał, że Ronan wciąż żyje.

Przez portyk zobaczył, że główne drzwi stoją otworem.

Coś znajdowało się w samym wejściu, ciemny cień na podłodze. Gdy Frost się zbliżał, cień stał się kształtem, a kształt ciałem ubranym w nieskazitelnie czarny garnitur, białą koszulę, białe rękawiczki i muchę. Pośrodku czoła Maxwella widniała pojedyncza rana, cyklopowe trzecie oko. Nie było wiele krwi i bardzo mało uszkodzeń. Proch osmalił krawędzie rany. Broń została przyciśnięta do głowy kamerdynera. Miał na twarzy wyraz zaskoczenia, który odzierał każdego zmarłego z godności. Nawet martwy Max nie wyglądał, jakby miał choćby jeden włos ułożony nie tak jak należy.

Frost przyklęknął i zamknął oczy przyjacielowi, po czym przeszedł nad zmarłym i wszedł do domu.

W Nonesuch panowała ta upiorna cisza, towarzysząca domowi, w którym pojawiła się śmierć. Jak gdyby stare kamienie były świadome tragedii rozgrywającej się w tych ścianach. Frost zakradł się do holu, nasłuchując ciszy. Dosłyszał ledwie uchwytny szmer głosów. Stary szafkowy zegar w pobliżu szachownicy koło kominka oznajmił mu, jak już późno. O tej porze staruszek byłby w swoim pokoju. Dom mógł być labiryntem antresoli, ukrytych schodów dla służby i nieużywanych spiżarni, lecz sir Charles korzystał tylko z pięciu procent pomieszczeń. Wózek zatrzymywał go na dolnej kondygnacji, a nawyk trzymał go w tych samych kilku pokojach.

Frost przemknął się przez hol.

Głosy ucichły.

Wolał je słyszeć. Martwi nie rozmawiają. Tak długo, jak słyszał rozmowę, świat był prawie normalny. Tylko niech ich wciąga do rozmowy, Ronan modlił się w duchu do każdego bóstwa, które by akurat słuchało. Prześlizgnął się w stronę sali kontrolnej i wklepał do zamka swój osobisty kod. Piśnięcie potwierdziło właściwy kod, a otwierający się mechanizm zamka zgrzytnął ostro i zbyt głośno w ciszy panującej w domu. Frost zdawał sobie sprawę, że odgłos nie mógłby dotrzeć do żadnego z pozostałych pokoi, ale to nie powstrzymało go przed zagryzieniem wargi i otwieraniem drzwi powoli aż do bólu.

Frost wsunął się do środka i zamknął drzwi za sobą.

Pokój był pusty. Szeregi ekranów pokazywały albo Konstantina Chawina w różnych zatrzymanych ujęciach, gdy rzuca się na papieża, albo skrytą w cieniu sylwetkę Orli Nyren, nagiej i przykutej łańcuchem do ściany w jakiejś parszywej celi. Frost nie widział wcześniej tych obrazów. Na moment odebrało mu dech. Chciał coś zrobić. Cokolwiek. Instynkt wrzeszczał do niego - to byli jego ludzie, jego zespół, i mieli kłopoty. Jedynym, który nie wpadł w tarapaty, był Noah, co w porównaniu z tym, jak zazwyczaj się rzeczy miały, po prostu stawiało wszystko na głowie.

Schody prowadzące na dół, do jaskini Lethego, wciąż były zasłonięte. To nie była jedyna droga na dół, ale gdyby miał zakradać się tam z odsieczą, tę drogę by wybrał. Żałował, że nie przykładał większej uwagi, kiedy Lethe omawiał dla nich działanie komputera w blacie stołu. Był całkiem pewien, że mógłby wywołać obrazy z ukrytych kamer we wszystkich pokojach, lecz nie miał bladego pojęcia, od czego zacząć, i prędzej wyłączyłby zraszacze, niż włączył obraz z kamer ochrony. Przyszedł do sali kontrolnej nie bez powodu. Lethe zaprojektował ten pokój jako cyfrową fortecę. Stąd Frost mógł odciąć najbardziej narażone obszary Nonesuch, chroniąc tożsamość członków zespołu i, co ważniejsze, ich dobroczyńcy. Mógł także odizolować różne części domu. Nacisnął przycisk alarmowy. Nie pojawiły się syreny ani migające światła. Projekt Lethego ich nie wymagał. Równy za dziesięć sekund rezydencja stanie się stalową pułapką, i to dosłownie. Frost usłyszał zgrzyt i poczuł drżenie, gdy stalowe płyty calowej grubości wskakiwały na miejsce. Były porozmieszczane w różnych strategicznych punktach w całym domu, izolując skrzydła, kluczowe pomieszczenia i wyjścia. Nie dało się wejść ani wyjść z Nonesuch. I tym razem hałas rozniesie się po wszystkich pomieszczeniach w domu, ale o ile intruz nie wyłupi oczu z głowy martwego Maxa, Frost był w posiadaniu jedyne go klucza - własnych jasnoniebieskich oczu.

Pułapka pasowała do teatralnego zmysłu Lethego. On uwielbiał pomysł zabawy w żołnierzy. Cała koncepcja skanu siatkówki dla Frosta za bardzo trąciła Łowcą androidów, a zagłębione w ścianach stalowe drzwi były jak z Gwiazdy Śmierci, ale w tej chwili nie zamierzał się spierać z genialnością żadnego z tych rozwiązań. Skoro mały chciał tu odtworzyć własny plan filmowy, to niech mu będzie; jedyny niepodważalny fakt to to, że nikt nie mógł opuścić Nonesuch, nie mając właściwych oczu.

Po włączeniu blokady Frost musiał podjąć decyzję, wybierając jedno z dwojga - iść na dół do Lethego albo z powrotem do staruszka. Widział tylko jeden motor i ślady jednego pojazdu, co oznaczało jednego intruza. Fakt, że słyszał głosy w pokoju sir Charlesa, przesądził o wyborze.

Frost wyślizgnął się z pokoju.

Przebywał tam niecałe trzydzieści sekund. Wskazówka na tarczy zegara nie drgnęła.

Główne drzwi prowadzące na zewnątrz blokowała gruba metalowa płyta. Przecięła ciało Maxa. Nie było to czyste cięcie. Jednak Frost wiedział, że jeżeli oznaczało to różnicę między pozwoleniem mordercy uciec albo nie, to Max by mu wybaczył.

Usłyszał głosy teraz donośniejsze. Staruszek i kobieta. Starzec błagał. Frost się nie zawahał.

Pobiegł w stronę gabinetu starego.

- Co to było, do diabła? - kobieta warknęła na niego.

Echo stalowych płyt wsuwających się na miejsce wprawilo podłogi w drgania.

Sir Charles uśmiechnął się. Frost się zjawił. Istniała szansa, że może ująć z tego z życiem, a jeśli nie, to przynajmniej pocieszała go świadomość, że jego zabójca nie rozplynie się w ciemnościach nocy. Wszystko zależało teraz od kobiety i od tego, czyjej współczucie przeważy nad instynktem zabójcy. To nie była zbyt pewna taktyka, ale grał jedyną kartą, jaka mu pozostała - kartą bezradnego starego kaleki. Jeśli będzie miał szczęście, kobieta go nie doceni, albo jego gadanina zyska Frostowi dosyć czasu, by ich znaleźć.

- Jaskinia Batmana - odpowiedział staruszek.

Wykręcił wózek na tyle, że nie mógł już widzieć jej twarzy w lustrze. Miało to i dobrą stronę, gdyż ona również nie mogła widzieć jego twarzy. Staruszek mocno skręcił koło lewą ręką, zaklinował stopę pod krawędzią łóżka, a prawą ręką pociągnął drugie koło w dół, celowo przechylając wózek. Pochylił się do przodu i upadł, rozciągnięty na dywanie. Wózek przewrócił się na niego.

Gramolił się, wydostając się spod wózka przy łóżku od strony okna. Laska wciąż znajdowała drażniąco poza jego zasięgiem.

- Naprawdę masz ikrę - powiedziała kobieta, usuwając wózek z drogi. - Szkoda, że muszę cię zabić.

- Szkoda, że muszę umierać - odparł sir Charles.

Przesunął się po podłodze o kolejne piętnaście centymetrów w stronę laski opartej o ścianę. Chciał, żeby kobieta nadal go nie doceniała. Wygiął się, żeby na nią spojrzeć, a potem Z rozmysłem pozwolił, żeby jego spojrzenie powoli tęsknie powróciło w stronę laski. Wiedział, że kobieta podaży za nim wzrokiem, i wiedział też, że ani przez chwilę nie pomyśli, jaki z niego podstępny stary głupiec. Laska była czymś więcej niż tylko ulubionym przedmiotem staruszka, i nie miał on też zamiaru zdzielić kobiety drewnianym kijkiem po głowie. To była laska z ukrytą szpadą. Jedno przekręcenie misternie rzeźbionej gałki zwalniało mosiężne mocowanie. Wewnątrz drewnianej laski kryło się ostrze o długości czterdziestu pięciu centymetrów. Gdyby mógł się do niej dostać, i gdyby kobieta dostatecznie się zbliżyła, miałby szansę. Niewielką, ale to zdecydowanie lepsze niż nic.

Podciągnął się na tyle, że laska znalazła się w zasięgu jego ręki.

- No nie, ani odrobiny współczucia, prawda? - odezwała się, obchodząc łóżko, żeby stanąć nad nim. - To jak zabić własnego dziadka - powiedziała, potrząsając głową. - Tamto też mi się nie podobało.

Staruszek leżał na brzuchu z jedną nogą boleśnie wykręconą, ponieważ nadal tkwiła uwięziona pod ramą łóżka, a drugą podciągniętą do boku. Wyglądał jak model dla kredowego obrysu zwłok na podłodze. Jego laska z ukrytym ostrzem znajdowała się o piętnaście centymetrów od jego palców. Tak blisko, a tak daleko. Wszystko wokół niego nabrało niesamowitej wyrazistości. Widział sploty w dywanie i czuł woń gumy, która przywarła do niego po całej tej szarpaninie wózkami w przód i w tył. Nawet słoje w drewnianej ramie łóżka wydawały się odcinać o wiele wyraźniej, tak jakby po raz pierwszy dostrzegł prawdziwe znaczenie mapy skarbów.

Usłyszał, jak z trzaskiem otwierają się drzwi gabinetu, ale I nie marnował czasu, żeby próbować się odwrócić. Wiedział, że to Frost. Wykorzystał ten ułamek sekundy, żeby podciągnąć się ostatnie centymetry w kierunku laski z ostrzem. Sięgnął po nią, ledwie muskając ją palcami, po czym wyprężył się, wyciągając się jeszcze o parę centymetrów. Jego dłoń zamknęła się wokół drewnianego pręta. Przyciągnął laskę do piersi i uwolnił ostrze. Zabrało mu to niecałą sekundę. Sekundę, podczas której spodziewał się usłyszeć wystrzał z pistoletu z tłumikiem i poczuć ogarniającą go pustkę śmierci.

Gdy tylko ostrze wysunęło się do końca, poderwał się z nim w górę. Nie znajdował się dostatecznie blisko, ale lata na wózku inwalidzkim pomogły mu rozwinąć zdumiewająco silne

mięśnie górnej części ciała. Pchnął z całą siłą, czując, jak ostrze uderza o kość i przesuwa po niej, zatapiając się głębiej w boku kobiety. Obrócił się gwałtownie, rozcinając jej ciało. Wrzasnęła. Jej głos został brutalnie szybko uciszony. Jej ciało wygięło się na końcu ostrza, aż wreszcie całkowicie zastygło. Przez niekończącą się sekundę kobieta stała, podtrzymywana tylko przez szpadę w jej boku i silne ramię starca.

Usłyszał pojedynczy strzał, ale niczego nie poczuł.

Fontanna krwi trysnęła mu na twarz, a jeszcze więcej jej spłynęło po szpadzie i po jego ręce. Później grawitacja zawładnęła zwłokami i ściągnęła kobietę w dół ostrza. Sir Charles nie mógł już utrzymać jej bezwładnego ciężaru. Wciąż opadała, lądując w końcu na nim w dziwacznej pozie i przygniatając go do dywanu. Wyteżał się, ale nie był w stanie jej zrzucić.

Usłyszał, jak deski podłogi trzeszczą pod ostrożnymi krokami.

W chwilę później staruszek zobaczył Frosta spoglądającego ponad ramieniem kobiety.

- Nie spieszyłeś się zbyt - powiedział. - Czy Maxwell...?

Frost nie odpowiedział. Zamiast tego dźwignął martwą zabójczynię ze starca i cisnął na łóżko. Wyjął laskę ze szpadą z jej boku i rzucił ją obok na łóżko, następnie zerwał kominiarkę z głowy kobiety i chrząknął. To chrząknięcie oznaczało, że ją rozpoznał. Potem poprawił wózek staruszka i pomógł mu do niego wsiąść. Przez cały czas żaden z nich nie odezwał się ani razu.

Sir Charles siedział, mokry od krwi swojej niedoszłej zabójczyni.

Patrzył na nią, leżącą na jego łóżku. Nie sposób było wziąć jej martwego bezruchu za sen. Naprawdę była piękna, czy raczej była piękna za życia. Zastanawiał się, co zmieniło ją w cyngiel do wynajęcia, ale wkrótce uzmysłowił sobie, jaka to niemądra myśl. To tak jakby się zastanawiać, co zmieniło Frosta w człowieka, jakim się stał, życie w ciągłym konflikcie w Derry i Belfaście czy pola krwi w Kosowie, czy może coś zupełnie innego, coś zakodowanego w nim na poziomie genów.

- Lethe?- spytał wreszcie sir Charles.

- O ile się orientuję, zjawiała się tu sama, spotkała Maxa przy drzwiach, potem przyszła szukać ciebie. Jeżeli Jude ma trochę oleju w głowie, to zamienił piwnicę w bunkier i siedzi tam, czekając na przybycie kawalerii. - Nie wypowiedział na głos drogiej możliwości: że Lethe sam próbował odegrać rolę kawalerii i leży teraz gdzieś w tym wielkim domu z kulą w głowie. Druga opcja tłumaczyłaby, dlaczego nikt nie odebrał telefonu, gdy Frost dzwonił, zaś pierwsza - nie.

Staruszek obrócił wózek w stronę drzwi, po czym zatrzymał się, oglądając się za siebie, w stronę łóżka.

- Będzie mi potrzebna świeża pościel. - I w tej okropnej chwili, gdy wtargnęła rzeczywistość, zdał sobie sprawę, że bez Maxwella nikt nie zmieni mu pościeli i że bez jego towarzysza jego świat właśnie stał się mniejszy. Potrząsnął głową, oczyszczając myśli.

- Dobrze, wszystko po kolei - powiedział rzeczowo. - Co z nią zrobimy?

- Sugeruję, żebyśmy znaleźli worek na listy i posłali ją tam, skąd przybyła - odparł Frost.

- Chociaż to nęcąca wizja, myślałem o czymś mniej kłopotliwym. Jedną możliwością było zakopać ją na terenie posiadłości. Bardzo wątpię, by ktokolwiek prócz Devere'a wiedział, że ona tu jest, zaś on raczej nie zechce zwracać niczyjej uwagi na swoją rolę w całej sprawie, więc biorąc pod uwagę okoliczności, nie powinno być trudno udać, że nigdy jej nie widzieliśmy. Innym wyjściem jest spalarnia.

- To też się nada - odpowiedział Frost - aleja bym wolał wysłać ją pocztą.

- Domyślam się, że byś wolał, i to niewątpliwie zapieczętowaną pocałonkiem.

- Trochę C4 i krótki lont wydają się bardziej pasować - odrzekł Frost. - Ok, lepiej miejmy to już za sobą. Poszukajmy Lethego.

Nie musieli go szukać daleko. Jude Lethe stał obok połowy zwłok kamerdynera, spoglądając na ciało. Usłyszał, jak się zbliżają, i podniósł wzrok.

- Kamery - powiedział, jak gdyby to miało wszystko wyjaśnić.

I w pewnym sensie wyjaśniało. Staruszek zrozumiał, że to znaczy, że na jednym z licznych monitorów w swojej piwnicy zobaczył, jak zabójczymi zastrzeliła Maxwella, i odciął mózg Nonesuch. Żadnego wahania, żadnych heroiczych zrywów. Trzymał się protokołu co do litery, nawet jeśli to oznaczało pozostawienie starca na pastwę niebezpieczeństwa. Sir Charles skinął głową.

Popatrzył na swojego martwego przyjaciela.

- Panie Lethe, czy byłby pan tak uprzejmy i zresetował osłony wejść. Frost, Maxwell był jednym z nas, uważałbym to za osobistą przysługę, gdybyś się wszystkim zajął.

Frost skinął głową. Wydawało się, że chciałby coś dopowiedzieć. Rzadko się zdarzało, żeby Ronan Frost nie mówił wprost tego, co mu chodzi po głowie.

- O co chodzi? - spytał staruszek.

- Widziałem monitory w sali kontrolnej. - Obliznął wargi.

- Konstantin, Orla. To też nasi ludzie. I czy Noah się meldował? Co za bajzel. - To było kosmiczne niedopowiedzenie.

- Nic nie da się zrobić - powiedział sir Charles.

Zabrzmiało to szorstko nawet w jego własnych uszach. Frost nawet nie mrugnął. Przyjął tę ocenę jak zawodowy żołnierz, którym przecież był.

- Jeszcze nie skończyłem szukać - wtrącił Lethe. - Znalazłem kogoś w tłumie, kto filmował papieża kamerą w komórce. Kąt był właściwy. Przy odrobinie szczęścia uchwycił wszystko na filmie. Jedyne problem to fakt, że nie mam pojęcia, kim on jest, a widziałem tylko tył jego głowy.

- To spory problem - stwierdził Frost; jednak szansa, że ktoś uchwycił komórką całą prawdę o zabójstwie, zdawała się dodawać mu energii. - Ale nie jest nie do pokonania. Koblenca to dosyć małe miasto. Trzeba mozolnie łązić od drzwi do drzwi z fotografią tyłu głowy faceta. Wiesz, jak to się robi: czy to pan? Czy to pan? Czy to pan? Ktoś to musi być.

Nie dało się nawet stwierdzić, czy ten ktoś w ogóle pochodził z Koblenca, ale była to brzytwa warta tego, by się jej chwycić. Widzieli to w twarzy Frosta. Nie zostawia się swoich.

- Policja nie będzie chodzić od drzwi do drzwi. Zebrali tysiące zeznań już na placu. Gdyby ten ktoś zobaczył coś innego, BKA już by o tym wiedziała, i najpewniej gdyby wiedzieli, że filmował, skonfiskowaliby mu komórkę jako potencjalny dowód.

- Mogli jeszcze nie obejrzeć filmu - powiedział Frost.

- Albo mogli go widzieć i już go skasowali - dodał sir Charles.

Aż nazbyt dobrze wiedział, jak przebiegały niektóre z tych ważnych śledztw. Mieli dowody, świadków oraz głównego podejrzanego, którego brytyjski rząd już się wyparł. Rosyjski uciekinier z paramilitarną przeszłością? Nie mogliby marzyć o lepszym zabójcy. Świat nadal się skłaniał ku temu, żeby nie ufać Rosjanom. To się nigdy nie zmieni, nieważne jak dawno temu Wielki Niedźwiedź przysnął. Nie będą szukać noża w ręku rzekomo najbardziej lojalnych strażników na świecie. To się nie mieściło w sposobie myślenia śledczych, i dlaczego miałyby się mieścić? Wszyscy widzieli, że zrobił to Konstantin. Albo przynajmniej tak im się zdawało.

- Warto spróbować. Musi być szansa - Frost naciskał. - A co z samymi gwardzistami? - Spojrzał na Lethego. - Czy któryś z nich widział, co zaszło?

- Gdyby tak było, to ja bym się spodziewał, że w każdej chwili pojawią się kolejne zwłoki, a ty nie? - odpowiedział Lethe.

Frost skinął głową.

- Ale czy kolejne martwe ciało wystarczyłoby, żeby się targować o wolność Koniego? - Frost i staruszek spojrzeli sobie w oczy. Sir Charles pierwszy odwrócił wzrok. - Chcę tam pojechać - oznajmił Frost. - Na nic się nie przydam, siedząc tutaj bezczynnie. Do diabła, jeśli będzie trzeba, to Noah i ja możemy tam pojechać i porwać go z tego cholernego niemieckiego

więzienia. Wystarczyłoby nas dwóch, żeby sprowadzić go do domu. Potem we trzech możemy pojechać po Orle.

W jego ustach to brzmiało tak prosto.

Ale takie nie było.

To było geopolityczne pole minowe.

Szychy w Vauxhall Cross mogły zaprzeczać, że znają Konstantina, ale to nie znaczyło, że Niemcy koniecznie uwierzą w ich zaprzeczenia. Sęk w tym, czy uwierzą, że jest Brytyjczykiem czy Rosjaninem, dla której strony aktualnie pracował i na który rząd będą chcieli to zwalić. Być może uda się zawrzeć jakieś ugody. Łyżką dziegciu był tu fakt, że opinia publiczna musiała widzieć, jak ktoś za to cierpi.

- To nie będzie konieczne - powiedział mu sir Charles. - Ty zajmij się Maxwellem, a ja zatelefonuję. Jeżeli cokolwiek można zrobić, to zostanie to zrobione. Ale niczego nie obiecuję. Czy to jasne?

- Nabierasz całkiem niedobrego zwyczaju, Charlesie - piskliwy głos Kontroli powiedział do słuchawki. - Zapewne nie muszę ci mówić, która jest godzina, ani wskazywać, że cywilizowani ludzie leżą w łóżkach?

- Nie mam zamiaru przeproszać - powiedział staruszek.

- Wiesz, co się dzieje. Tam są moi ludzie.

- I to piekielna szkoda, ale ja nic nie mogę na to poradzić, i nawet gdybym mógł, te telefony o północy raczej nie nastrajają mnie życzliwie, stary druhu.

- Od jak dawna razem pracujemy?

- Z pewnością dłużej niż którykolwiek z nas chciałby przyznać.

- A ile razy prosiłem cię o pomoc, Quentinie?

- Och, więc taką kartą chcesz zagrywać? Całym tym „przez wszystkie te lata byłem dobrym i oddanym sługą, i jesteś mi coś winien”? Miałem o tobie lepsze zdanie.

- Jesteś dziś w nocy drugą osobą, która mi to mówi. Pierwsza nie żyje. Niestety, najpierw zabiła Maxwella.

- Chcesz powiedzieć, że Nonesuch został zinfiltrowany?

- Właśnie to chcę d powiedzieć.

- Czy zostałeś spalony, Charlesie? Mów prawdę. Niczego nie zyskasz, chroniąc swoją dumę. - Głos Quentina Carruthera zmienił się; jego afektowany ton w jednej chwili stał się bardziej nagły, a jego słowa były teraz odarte ze wszelkich śladów rozbawienia.

- Sytuacja została opanowana, tym razem.

- Jesteś pewien?

- Osobiście zabiłem intruza, Quentinie. Ciągłe mam jej krew na ubraniu, a jej zwłoki w swoim łóżku. Nie mógłbym mieć większej pewności.

- Cóż, to już przynajmniej coś.

- Chcę go wydstać, Quentinie - powiedział staruszek, powracając do tematu Konstantina Chawina.

- Nic nie mogę zrobić, Charlesie. Nie kieruję już wami, chłopcami; tak naprawdę nigdy nie kierowałem. Miałeś o wiele za długą smycz przez zbyt długi czas. Teraz panuje inny porządek świata, stary przyjacielu, w mieście jest nowy szeryf. Porozmawiaj z nim. Porozmawiaj z szefem. Jeżeli ktokolwiek może pociągnąć za dyplomatyczne sznurki, to właśnie on. Ja jestem zupełnie bezradny. Ale nie oczekuj cudów. Twój chłopak znał ryzyko, kiedy się na to pisał. Jej Wysokość raczej nie przyzna się, że odpowiada za zabójcę papieża, nieprawdaż?

- On tego nie zrobił, a ty dobrze o tym wiesz.

- Doprawdy, to nie miejsce ani czas na to. Kamera nigdy nie kłamie. Gdyby był niewinny, ujęcie, które by tego dowodziło, do tej pory widniałoby już we wszystkich brukowcach. Ale w tej sytuacji domagają się jego głowy, jakby był Janem Chrzcicielem.

- Chcę go stamtąd wydostać, Quentinie.

- A ja chcę, żeby Pretty Boy Floyd przyszedł wymasować moje bolące stopy. Domyślam się, że obaj się rozczarujemy, czyż nie?

- Ktoś w tłumie to sfilmował - powiedział staruszek, próbując innego podejścia.

- Jestem pewien, że tak, ale to także nam nie pomoże. Twojego chłopaka w ogóle nie miało tam być. Działał bez zgody Niemców. W Berlinie zaatakował ludzi ambasadora Izraela. Istnieją dowody w postaci fotografii, jak włamuje się do mieszkania nieboszczyka, i wystarczy tego, żeby zasugerować, że mógł być powiązany z całą tą smutną sprawą. Oni chcą jego głowy, stary druhu, *old* chłopiec, a ja guzik mogę powiedzieć albo zrobić, żeby zmienić ich zdanie. Był nieostrożny. Wpadł.

- Mówisz więc, że powinien pozwolić papieżowi umrzeć?

- Nie wiem, czy zauważyłeś, ale Jego Świątobliwość umarł, więc owszem, o ile dotyczy to Jej Wysokości, to udział Chawina w tym fiasku jest po prostu kłopotliwy. Mogłaby wystąpić publicznie i powiedzieć: „Tak, posłaliśmy agenta, żeby postarał się chronić Ojca Świętego, ale ten agent zawiódł”. Przyznawanie się do omyłności nie wygląda dobrze dla monarchy. No i nie zapominajmy o pytaniach, dlaczego nie przekazaliśmy wszystkiego niemieckim władzom w chwili, gdy podejrzewaliśmy, że coś się wydarzy na ich terenie. Nawet sześćdziesiąt lat temu stosunki były napięte. Powiedzieć, że wciąż istnieją animozje między naszymi krajami, to eufemizm. Nie możemy sprawić, żeby zniknął, to by sprawiło, że Niemcy wyszliby na głupców. Nie możemy go wymienić jeden za jednego, ponieważ minęły lata, odkąd miewaliśmy niemieckich obywateli na wikcie Jej Królewskiej Mości. Nie możemy ich zastraszyć, żeby nam go oddali, jak byśmy wtedy wyglądali? Oddajcie nam człowieka, który dopiero co zabił papieża! Potrafisz to sobie wyobrazić? Bądź wdzięczny, że nie stosują już kary śmierci. Powiesiliby go na szubienicy na tym samym placu, co byłoby ironiczne, wzięwszy pod uwagę cel nabożeństwa, jeśli się nad tym zastanowić. - Kontrola miał na tyle przyzwoitości, żeby nie zaśmiać się z własnego żartu. - Nikt nie wyjdzie z tego bez uszczerbku, Charlesie. Teraz chodzi o to, żeby zminimalizować straty. Oczy świata zwrócone są na Koblencję. Daj im Chawina. Mają wszystko na filmie. Muszą wypaść dobrze, szybka i skuteczna reakcja, wymierzenie sprawiedliwości i wszyscy się cieszą. To by było na tyle.

- Nie wszyscy - odparł staruszek. - Naprawdę nie chcesz, żebym to przekształcił w wojnę, Quentinie. To mój chłopak. I już dzisiaj straciłem jednego człowieka; nie zgadzam się na stratę kolejnego.

- Czy to groźba, Charlesie?

- Wiesz, że tak, stary druhu - odpowiedział sir Charles. - Sugeruję, żebyś wykonał telefon i nie starał się zbyć mnie gadką o spisywaniu na straty. Jesteś coś winien Konstantinowi.

- Czyżbyś chciał, żebym zorganizował inwazję? Skoro już przy tym jesteśmy, możemy też najechać Tel Awiw, sprowadzić twoją małą do domu, dwa w cenie jednego. Nie bądź taki naiwny, Charlesie. Chawin to nic więcej jak tylko niefortunny incydent. On się nawet nie zalicza do kategorii strat w ludziach. Musisz zrozumieć, że jeżeli nie przestaniesz naciskać, odetniemy cię. To bardzo proste. Ogmios przestanie być użyteczny. Zostaniecie skasowani.

Staruszek ciężko oddychał do słuchawki, pozwalając, by milczenie przemówiło za niego.

- W przypadku, gdyby umknęły ci niuanse, mój drogi, to była groźba - dodał Quentin Carruthers.

- Albo mógłbym po prostu posłać dziś w nocy Frosta do twojego domu. To zawsze tragiczne, kiedy umiera stary człowiek, ale w umieraniu podczas snu jest coś naturalnego, nie uważasz?

- I pomyśleć, że niegdyś nazywałem cię swoim przyjacielem.
- W tej grze nie ma takich zwierząt, Quentinie. Są tylko ci, którzy mogą nam pomóc, i ci, którzy stają przeciwko nam. Chcę mojego chłopaka z powrotem i zrobię wszystko, żeby tak się stało. A więc powtarzam raz jeszcze, wykonaj telefon, sprowadź go do domu.
- Jeżeli to zrobię, a to wcale nie jest oczywiste, Charlesie, więc jeżeli to zrobię, jesteś skończony. Chcę, żeby rano wszystko, co masz na temat tej operacji, zostało przekazane moim ludziom. Zamykam twoją działalność. Rozumiesz, o co prosisz?
Staruszek nie odpowiedział.
Rozłączył się.

28

W ŁAŃCUCHACH

Czas stracił wszelkie znaczenie w mroku panującym w lochu. Od czasu do czasu Orla coś słyszała, niekiedy były to smyrgnięcia i drapania szczurów przemykających tuż pod ścianą celi, innym razem pojękiwanie w ciemności, głos, szloch, płacz. A potem były koszmary, gdy jej głowa opadała, a Orla myślała, że naprawdę zapadła się w ciemność tylko po to, by usłyszeć, jak on szepcze jej do ucha, nękając ją:

- Jutro umrzesz.

Jak on mógł nie pojmować, że jutro to wszystko, czego pragnęła, ponieważ to jutro oznaczało koniec, a ona już przestała się bać i walczyć.

Kajdanki wrzynały jej się w nadgarstki, raniąc jej nasady dłoni do krwi. Sama się na nich uwiesiła całym ciężarem tylko po to, by stał wgryzła się głębiej i krew płynęła obficie, ale bez względu na to, jak głęboko kajdanki wcięły się w ciało, nie mogła się z nich wyślizgnąć. Wiła się, odpychając się od ściany. Zimne kamienie były wilgotne, gdy dotykały jej pleców.

Widziała, co stało się z dziewczyną, jak podnieśli jej głowę niczym trofeum i cisnęli nią w obiektyw.

Wiedziała, że czeka ją taki sam los, jeżeli nie wydostanie się z tego mrocznego kraju, lecz opuściły ją siły do walki.

Była sama w ciemnościach. Stawała na palcach, kiedy nie była już w stanie dłużej znosić męki wiszenia, i zawisała na nadgarstkach, gdy nie mogła już więcej wytrzymać tortury prób ustania na nogach.

Co dziewięć uderzeń serca pojedyncza kropla wody skapywała jej na skórę z wilgotnego sufitu. Czasem uderzała ją w ramię i spływała między piersiami, niekiedy w szyję i po szyi spływała w dół, a czasami Orla próbowała ją złapać językiem. Nigdy jej nie wystarczało, żeby zaspokoić jej pragnienie.

Czuła, jak szczury ocierały się o jej bosc stopy. Obwąchiwały jej kostki. Wiedziała, że przyciągał je żar jej ciała, jej krew i kości, ale nie będą ucztować, dopóki żyje. Każdy centymetr jej skóry roił się od robactwa. Każdy gram jej ciała płonął. Przeniosła ciężar ciała i kopnęła ciekawskiego szczura. Kopnięcie było pozbawione siły, ale wystarczyło, żeby szczur znowu czmychnął, a tylko to się liczyło.

W rogu celi stało wiadro. Szczury lubiły je także obwąchiwać. Kazali jej na nie czekać, dodając upokorzenie do tortury i przynosząc wiadro raz dziennie, raz na dwa dni, trudno jej było to stwierdzić po ciemku. Chcieli, żeby się poniżała, a potem musiała wisieć we własnych odchodach i moczu. Był to kolejny krok, żeby obdrzeć ją z człowieczeństwa. Odmówiła im tej satysfakcji. Nie dbała o to, że kazali jej kucać nago nad wiadrem i śmiali się. Zmuszała ich, by walczyli o każde drobne zwycięstwo, w ten sposób nie poddawała się i pozwalała,

żeby te drobne zwycięstwa stały się wielkimi zwycięstwami. To wiadro było jej kluczem do ocalenia. Miała odrobinę luzu w łańcuchach zależnie od tego, jak jej ciemiejczy przymocowywali je do ściany. Wystarczało, żeby kucając mogła podierać się rękoma po bokach. To oznaczało, że gdy łańcuch był maksymalnie wydłużony, miała dosyć miejsca, by opuścić rękę do pasa, gdy stała, oraz prawie do podłogi, gdy przysiadła.

Później Orla usłyszała inne odgłosy: kroki w ciemności. On wracał.

Zamknęła oczy, zbierając siły. Jej pierwszym instynktownym odczuciem był strach. Strach doprowadziłby ją do śmierci. Musiała przetrwać. Tylko tego potrzebowała. Uzzi Sokol i jego przyjaciele mogli ją gwałcić i torturować, ona to przetrwa. Jej ciało mogło znieść maltretowanie. Tak samo jej umysł. Mogli próbować ją złamać, ona była silna. Mogli ją poniżyć, bić, pluć na nią, chłostać, mogli robić, co chcieli. Przetrwała gorsze rzeczy. Nie mogli jej zrobić niczego, czego nie robiono by jej wcześniej. Taka była prawda o Izraelu. Nie istniało w tym kraju cierpienie, jakie mogli jej zadać, a którego by wcześniej nie zaznała.

Usłyszała szcęk kluczy i drzwi się otworzyły. Ledwie widoczny promień światła wlał się do celi. Jej oczy tak nawykły do braku bodźców spowodowanego przez ciemność, że nawet to wystarczyło, by je porazić. Wykręciła się, usiłując zobaczyć swojego oprawcę. Był ubrany od stóp do głów na czarno, z kapturem na głowie, niczym kat. W prawej dłoni trzymał pistolet, Jericho 941. To była standardowa broń ręczna izraelskich służb bezpieczeństwa, znana jako Baby Eagle, orlątko. Poczula, że jej oddech się zmienił, nagle stając się płytki i urywany. Jeżeli nad sobą nie zapanuje, zachłyśnie się. Usilnie starała się zwolnić gorączkowe opadanie i wznoszenie się piersi, żeby złapać dech.

Podszedł do niej, pomału i miarowo stawiając każdy krok. W ciszy ich odgłos był ogłuszający.

- Mówiłem ci, że wrócę - powiedział Sokol. Poczula jego nieświeży oddech na swoim karku. Pomimo kaptura wiedziała, że to on. Jego głos wyrył się w jej duszy. Zamknęła oczy. Czula, jak jego dłoń ją dotyka. Nie wzdrygnęła się. W pewnym sensie jego oddech był gorszy niż jego dotyk. Orla stłumiła chęć, by się odwrócić, gdy jego dłoń objęła jej pierś i przyciągnęła ją w jego stronę. Wiedziała, że lepiej się nie ruszać. Tylko by ją uderzył, gdyby to zrobiła. Pozwoliła mu więc się dotykać pomimo odrazy, jaką odczuwała. - Nigdy nie odmówiłbym ci twoich pięciu minut w blasku jupiterów. Będiesz błyszczeć. Zrobię z ciebie gwiazdę filmową, jak Marilyn, tylko większą. Nim ten dzień się skończy, wszyscy będą znali twoje imię. Chciałabyś tego, Orlo? Powiedz, czy chciałabyś być gwiazdą.

Zbliżył się, niezdarnie, ale wciąż na tyle czujnie, żeby rękę z bronią trzymać z dala od Orli. Poczula w głębi gardła smak jego cuchnącego oddechu, który wciągnęła wraz z powietrzem. Śmierdział petami. Pozwolił, by jego palce zatrzymały się na chwilę na jej karku, po czym pieszczotliwie przesunął nimi po jej kręgosłupie, krąg po kręgu, aż do łagodnego zaokrąglenia jej pośladków. Zaczepił stopę o jej kostkę i siłą rozchylił jej nogi.

Wytrącona z równowagi Orla zatoczyła się lekko na prawo, pozwalając, by jego zimne palce ją dotknęły. Na przekór sobie skrzywiła się.

- Tęskniłaś za mną?

Nie odpowiedziała ani słowem.

Cofnął się i mocno uderzył ją w twarz.

- Zadałem ci pytanie, Orlo. Czy matka niczego cię nie nauczyła? Kiedy pytam, ty mi odpowiadasz. To nie jest trudne. Spróbujmy jeszcze raz: tęskniłaś za mną?

Nie odezwała się.

Znowu uderzył ją wierzchem dłoni na odlew w twarz. Odwróciła się pod ciosem. Oczy zaszyły jej łzami.

- Jeszcze raz: tęskniłaś za mną?

Usta miała wyschnięte aż do bólu, lecz zdołała uzbierać dosyć śliny, żeby splunąć Sokolowi w twarz. Pacyna flegmy trafiła w czarny kaptur. Nie wytarł jej.

- Rozczarowujesz mnie, Orlo. To takie bezcelowe - nachylił się znowu, na tyle blisko, że ślina rozmazała się jej po policzku. Nie był ani trochę delikatny, gdy sięgnął między jej nogi.
- Dlaczego miałbym się przejmować odrobiną płynów ustrojowych, skoro mogę zrobić to? To bez sensu, Orlo. Myślałem, że bystra z ciebie dziewczynka.

Wpakował się w nią na siłę.

To była brutalna inwazja.

Wygięła plecy do tyłu i odwróciła głowę, lecz nie miała dokąd uciec, nigdzie się skryć przed jego obrzydliwym dotykiem. Ale Orla nie miała zamiaru się kryć. Chciała, żeby podszedł bliżej. Żeby jego podniecenie wzrosło. Kiedy się zabawiał, lubił wierzyć, że jego dominacja sprawia jej przyjemność. To stanowiło część jego fantazji. Odgrywała posłuszną niewolnicę, czekając na jedną chwilę nieuwagi, kiedy jego żądza przeważa nad czujnością. Taka chwila nadejdzie. Orla wiedziała, że nadejdzie. Od tego zależało jej życie.

Nie pochlebiała sobie, że dobrze wygląda. Naga, rozciągnięta łańcuchami jak zlepek żeber i kości oraz posiniaczonej i pociętej skóry. Lepiła się od brudu w celi. Cuchnęła. Tu nie chodziło o erotyzm. Gwałt nigdy na tym nie polegał. Chodziło o władzę i bezradność, o kontrolę. Chodziło o fakt, że Uzzi Sokol mógł zrobić z nią, co mu się podobało, a ona w żaden sposób nie była w stanie mu przeszkodzić. To rozpałało w nim żądzę. Dreszczyk, który sprawiał, że czuł się jak mężczyzna. A więc pozwalała mu się dotykać. Wydawała słabe, ciche odgłosy, które pragnął słyszeć:

I przez cały czas czekała, aż Sokol zatraci się w swoich fantazjach, mając nadzieję, że popełni błąd i pomyśli, że w duchu stała się tak samo uległa, jak uległe zdawało się jej ciało.

Obróciła się w łańcuchach tak, żeby móc spojrzeć w jego przysłoniętą kapturem twarz. Pod kapturem mogła dostrzec tylko jego oczy. Były rozszerzone. Oddychał tak samo płytko, jak ona. Otarła się o niego biodrem, wyczuwając jego podniecenie. Próbowwała się uśmiechnąć, ale nie zdołała. Próbowwała mu powiedzieć, że wszystko w porządku, ale także nie mogła. Usiłowała wytrzymać jego spojrzenie, sprawić, by się zapatrzył w jej oczy, lecz nie była w stanie znieść intensywności jego wzroku, gdy się w nią wpatrywał. Poruszyła ustami, jak gdyby chcąc coś powiedzieć. Zaprażył to usłyszeć. Wiedziała, że będzie chciał, dlatego nie wypowiedziała żadnych słów. Chciała, żeby podszedł bliżej.

Odwrócił się do niej plecami i odszedł, drwiąc sobie z niej. Liczyła jego kroki. Sześć. Osiem było magiczną liczbą. Osiem przybliży go do kłamry w murze, do której przypięty był jej łańcuch. Osiem pozwoli mu wciąż myśleć, że to on sprawuje nad wszystkim kontrolę.

Wrócił do niej i mocno uderzył ją po piersiach.

Na przekór sobie, krzyknęła.

Jej ból wywołał u niego uśmiech.

Uderzył ją jeszcze raz, tym razem wierzchem dłoni. Cios był tak samo bolesny jak pierwszy, ale teraz wiedziała, że padnie, i spięła się w sobie. Nie dała mu satysfakcji ponownego krzyku.

- Nie chcesz, żebym się rozzłościł, Orlo - powiedział Sokol.

Nienawidziła brzmienia jego głosu. W myślach dokończyła jego wypowiedź: a tobie by się nie spodobało gdybym ja się rozzłościła. Nie zaśmiała się. Nie chciała, by sądził, że się z niego naśmiewa. Sokol musiał myśleć, że ją złamał. Skupiła się na tym. Przetrwiała już wcześniej Przeżyła gorsze rzeczy. Przeżyje i to.

Uzzi Sokol - nie.

Tyle sobie obiecała.

Odwrócił się tyłem do niej. Odszedł. Siedem kroków. Liczyła każdy z nich, prosząc go w duchu, żeby zrobił ósmy krok. Żeby poluzował łańcuch, co dałoby jej kolejny metr. Metr oznaczałby, że będzie żyła. On nie. Wrócił do niej pomału i wolno przesunął wylotem lufy Jericha z jej policzka na szyję, śledząc arterię pulsującą pod skórą, przez obojczyk i w dół dokoła jej piersi. Metal był zimny.

- Dlaczego to robisz? - spytała ledwie słyszalnym szeptem.

Ręka Sokola zastygła. Popatrzył na Orłę, jak gdyby zapomniawszy, że umie mówić.

- Bo mogę - odpowiedział, i to była prawda. - Ponieważ za kilka minut dołączą do nas inni, wyciągną cię na środek pokoju i utną ci głowę, podczas gdy świat będzie to oglądał w Internecie. Póki co ciągle jeszcze jesteś piękna i jeżeli mogę sprawić, że twoje ostatnie chwile będą przyjemne, to cóż w tym złego?

Miała ochotę wydlubać mu oczy. Zamiast tego powiedziała:

- Dziękuję.

Tego się nie spodziewał. Był to ostateczny akt uległości. Oddawała mu się. Pocałował ją w miękko zagłębienie szyi w miejscu, gdzie gardło stykało się z tułowiem, i był to niemal czuły gest. Zamknęła oczy. Pozwoliła, żeby się zdawało, że bezwładnie zwisa w łańcuchach. Poczul jej poruszenie i dotknął jej znów niczym kochanek. Hamowała się z całych sił, żeby nie rzucić się do przodu i nie rozszarpać mu gardła zębami. Nie mogła tego zrobić. Nie wtedy, gdy jej ręce były nadal skute nad głową. Musiała mieć możliwość należytego poruszania rękoma.

Uzzi Sokol dotknął jej brzucha, płasko przyciskając dłoń do jej napiętych mięśni. Był to odrażająco intymny gest, przez swoją łagodność w pewnym sensie gorszy niż wszystkie inne. Wolalała, żeby był brutalny, bo tak łatwiej jej było go nienawidzić. Przeczekała jego dotyk. Jej piersi falowały w rytm oddechu. Powiedział wcześniej, że wkrótce nadejdą inni, a to znaczyło „teraz albo nigdy”, lecz „nigdy” nie wchodziło w grę.

Wygięła plecy w łuk, a potem przesunęła się do przodu, przyciskając się do niego. Oparła się o niego, smakując na jego skórze słony posmak namiętności.

Cofnął się w ciemność celi.

Nie lubił tracić kontroli. Nie chciał, żeby to ona kierowała ich tańcem, nawet w łańcuchach. Pragnął dyrygować każdym skrętem ciała i dreszczem. Był chory. Odszedł od niej na pięć, sześć, siedem, osiem kroków. Poczula, że łańcuch się wydłuża. Jej ramiona opadły wzdłuż ciała. Niemal natychmiast odczuła, jak krew zaczyna normalnie krążyć. To było jak narkotyk. Zamknęła oczy. Miała tylko jedną szansę. Musiała zachować spokój. Gdyby coś poszło źle, gdyby on się zaparł albo gdyby posłała broń w powietrze poza zasięg ręki, była martwa.

Podszedł bliżej, ściągając czarny kaptur z głowy, tak że mogła zobaczyć jego twarz. Upuścił go na ziemię. Jego rysy były parodią męskiej urody, zdeformowaną żądzą. Jeżeli w Uzzim Sokole uchował się jakikolwiek skrawek przyzwoitości, to teraz zniknął na dobre. Pozostała tylko ta kreatura kierująca się pierwotnymi instynktami.

Orla napięła każdy mięsień dolnej połowy ciała, przygotowując się do działania.

Polegała na innych zmysłach, nasłuchując jak zbliżały się jego kroki i jak jego oddech w brzmiał jej uszach na urywany i podniecony, czując odrażający dreszcz dotyku jego wolnej dłoni na swojej skórze, smakując kwaśny posmak jego żądz, gdy się do niej przyciskał. Orla oddychała, wciągając w płuca jego zapach, a kiedy zatracił panowanie, wygięła plecy i trzasnęła go głową prosto w środek twarzy. Poczula, jak jego nos pęka w fontannie krwi i oślepiającym bólu. Sokol zatoczył się do tyłu, oszołomiony. Usłyszała metaliczny szczęk, gdy upuścił Jericho i podniósł obie ręce do twarzy.

- Ty suko! Ty żalсна suko! - wrzeszczał bez przerwy, chwiejnym krokiem cofając się w bezpieczną ciemność.

Orla przykucnęła, modląc się, żeby broń upadła w zasięgu jej ręki. Na moment jej serce zamarło, gdy nie mogła dostrzec, gdzie upadł pistolet. Rozglądała się gorączkowo. A potem go zobaczyła. Upadł na samym skraju cienia, poza jej zasięgiem. Wyciągnęła nogę, usiłując zahaczyć go palcami stopy.

Obrócił się lufą od niej.

Orla napięła się, aż stalowe kajdanki głęboko wcięły się jej w nadgarstki. Oślepiająca agonia bólu dała jej kolejne parę centymetrów. Przyciągnęła Jericho ku sobie.

Sokol wypadł z ciemności; jego zraniona twarz wyglądała jak rodem z sennego koszmaru. Ledwie mógł ustać. Zataczał się dwa kroki w bok na każde dwa do przodu. Orla sięgnęła po broń. Łańcuch zgrzytał, prześlizgując się przez obręcz. Chwyliła pistolet obiema rękami i nacisnęła na spust. Odgłos wystrzału wydawał się ogłuszający w ciasnej i zamkniętej celi. Kula trafiła Sokola w ramię, szarpiąc nim w tył, że wyglądał jak zombie z horrorów. Wystrzeliła raz jeszcze. Pocisk trafił go w drugie ramię. Sokol zaryczał z bólu. Oślepiająca furia popchnęła go jeszcze dwa kroki do przodu, aż znalazł się na tyle blisko Orli, że mogła zobaczyć, jak jego erekcja więdnie, gdy trzecia kula przebiła mu czaszkę. Runął u jej stóp.

Ciężko dysząc, Orla odchyliła się do tyłu i próbowała przestrzelić mocowanie łańcucha u sufitu. Czwartą kulą chybiła. Piąta je rozłupała. Jericho 941 bywał wyposażony w różne lufy, 9 x 19 mm Parabellum oraz .41AE. Różnica to trzy strzały. Zostało jej więc albo 10 albo 7 kul, zależnie od tego, czy Sokol trzymał broń w pełni naładowaną. Modliła się, żeby nie musieć tego sprawdzać w praktyce.

Orla oparła się lewą ręką o ścianę i przestrzeliła mocowanie kajdanek. Nie marnowała naboju na prawą rękę. Zostało 9 albo 6. Liczyła przy każdym strzale. Przesunęła luźny łańcuch przez obręcz, odłączając kajdanki, i podeszła do otwartych drzwi. Strzały narobiły sporo hałasu. Każdy w budynku by Je usłyszał. Chciała, żeby przyszli. Miała broń i potrzebę odwetu. Pragnęła im odpłacić za to, co jej zrobili. Chciała ich pozabijać za to, co zrobili dziewczynie przed nią i za to, że kazali jej na to patrzeć.

Liczyła w myślach. Schnur twierdził, że Krzyki działały jako nieznające się komórki, jedna osoba powiązana z dwiema innymi, z gościem poniżej i tym powyżej w łańcuchu dowodzenia. Nigdy by nie zaryzykowali zgromadzenia więcej niż dwóch członków w tym samym miejscu, gdyż to by ujawniło dodatkowe ogniwo łańcucha, a dodatkowe ujawnione ogniwo osłabiałoby cały łańcuch. O to właśnie chodziło w systemie komórek. Ale Sokol powiedział, że wkrótce będą tu inni, a inni to liczba mnoga. Facet stojący poniżej Sokola oraz Gavrel Schnur. Schnur mówił, że Mabus lubił uczestniczyć w egzekucjach, kiedy je filmowali. Powiedział jej to w swoim biurze w kwaterze głównej IDF. Schnur to Mabus. Była tego pewna. Tylko takie wyjaśnienie miało tu sens. Wcisnęła jej bzdurną historyjkę o tym, że Solomon był Mabusem, żeby ją zmylić. Schnur to Mabus. A skoro Schnur to Mabus, to nie tylko wiedział, kim naprawdę był Akim Caspi, lecz był także jedyną osobą, która to wiedziała, ponieważ Caspi to człowiek stojący nad nim w łańcuchu. Miała czas, by nad tym pomyśleć, kiedy zawiesili ją jak kurczaka czekającego na rzeź. Akim Caspi to mężczyzna, który zwerbował Schnura. Musiał nim być. Żaden inny scenariusz nie miał sensu. Mabus zawsze był tylko heroldem, kobziarzem u bram świtu. Jednak Solomon, tak, Solomon był antychrystem, którego wieścił Schnur, prawdziwym złem - a Schnur podał im jego imię.

To był błąd.

Przeoczenie.

Powiedział więcej niż powinien.

Zaś ona była w nastroju, by kazać mu za to zapłacić.

Zajrzała do wąskiego korytarza, ale nie widziała nikogo. W odległym końcu wisiła samotna naga żarówka, zaś pod nią widać było początek schodów prowadzących na górę. Orla wróciła biegiem do zwłok Uzziego Sokola i zdarła z nich koszulę. Jemu nie była już potrzebna, a ona nie miała ochoty wychodzić na ulicę w środku Tel Awiwu całkiem goła i z bronią, jeżeli nie musiała. Nawet w koszuli i tak zwróci na siebie dość uwagi. Sprawdziła mu kieszenie, szukając zapasowej amunicji. Nie miał żadnej. Mogłaby opróżnić magazynek i policzyć kule, ale nie chciała tracić czasu - nie tutaj. Jeszcze nie wydostała się z opresji i każda dodatkowa spędzona tu sekunda to sekunda zmarnowana.

Pospiesznie zapięła koszulę i pobiegła wąskim korytarzem. Na końcu znajdowały się drzwi, tuż przed schodami, zardzewiałe i wydawało się, że zaspawane na amen. Sprawdziła je tam na wszelki wypadek. Nie otworzyły się. To jej wystarczyło. Boso wbiegła po schodach, zwalniając dopiero tuż przed dotarciem na górę. Rozejrzała się na lewo i prawo. Nikogo nie było. Sokol przyszedł tu, zamierzając się zabawić. Wiedział, że był i że przez chwilę będzie sam. Orla znajdowała się teraz na parterze, po prawej widziała wnętrze małego sklepu spożywczego. Na półkach nie było towaru. Sklepek został zbombardowany podczas działań zbrojnych. Po lewej widać było magazyn. Idealne miejsce, żeby kogoś ukryć. Cały ciąg handlowy był zapewne opuszczony. Podeszła do drzwi.

Podłogę sklepu pokrywała gruba warstwa pyłu i potłuczonego szkła. Okna zasłonięto deskami. Jakże dogodne. Oznaczało to, że nikt nie mógł zajrzeć do środka. Orla przeszła po stłuczonym szkłe, kalecząc sobie stopy. Ledwie czuła cienkie okruchy wbijające się głęboko w jej skórę. Za sobą zostawiała ślad z krwawych odcisków.

Obejrzała się przez ramię, żeby mieć pewność, że nikt jej nie goni i że nikt nie czai się wśród półek, żeby się na nią rzucić. Dotarła do drzwi. Były zamknięte na klucz i łańcuch. Nie zawahała się. Wpakowała pojedynczą kulę w środek Wódki, a gdy ta się rozpadła, wyciągnęła łańcuch. Same drzwi były zamknięte na klucz. Orla uświadomiła sobie głupotę strzelania do zamka. Fakt, że drzwi posiadały łańcuch od środka oznaczał, że Sokol i inni mieli inny sposób, żeby tu wchodzić i wychodzić. Zapewne stare wejście dla dostawców na tyłach sklepu. Nie mogła się tym teraz przejmować. Zostało jej 8 albo 5 kul. Jeszcze jedna wystrzelona w zamek i będzie ich 7 lub 4, jeżeli broń była całkowicie naładowana, kiedy Sokol przyszedł, by ją dręczyć. Mniej, jeśli nie była. Ich liczba zaczynała za bardzo się kurczyć jak na jej gust.

Zamiast strzelać do zamka, sprawdziła deski zasłaniające okna. Były w najlepszym razie cienkie. Orla rozejrzała się po małym sklepiku za czymś, czego mogłaby użyć. Z tyłu przy kasie znalazła trzy stare sklepowe wózki na kółkach. Były wypaczone i powyginane po tym, co zrobił z nimi ogień z moździerzy, ale nadawały się do tego, co miała zamiar zrobić. Orla wyszarpnęła jeden wózek, uwalniając go od pozostałych. Kółka były powykrzywiane i wózek nie chciał się na nich toczyć. To nie miało znaczenia. Odciągnęła go do tyłu na tyle, żeby wziąć rozbieg, po czym rzuciła się na niego, biegnąc z całych sił do zabitego deskami okna i pchając przed sobą wózek niczym taran.

Wózek uderzył w deski i przebił się przez nie, gdy Orla nie przestawała biec.

Usłyszała wrzask.

Zadźwięczał jej w głębi czaszki jak ryk upióra.

Zabrało jej chwilę, nim się zorientowała, że to ona krzyczy.

I wtedy deski ustąpiły, a do środka wlało się światła dnia.

Z opuszczoną głową Orla chwiejnie wyszła na ulicę. Łzy spływały jej po policzkach.

Odetchnęła gorącym powietrzem kolejnego poranka.

Żyła.

A Sokol nie.

Tylko to się dla niej liczyło.

Zataczając się, poszła boso w kierunku skraju drogi. Musiała oddalić się od tego miejsca najbardziej jak to możliwe.

Samochody mijały ją na ulicy. Wyciągnęła rękę, próbując któryś zatrzymać. Kilku kierowców zwolniło, a potem dodało gazu, widząc pistolet i to, w jakim była stanie. Kiedy już zaczynała myśleć, że nie znajdzie dobrych samarytan na drodze do Tel Awiwu, biały SUV zwolnił. Sprężyła się w sobie, spodziewając się zobaczyć ropucha za kierownicą. Gdyby to Gavrel Schnur prowadził, strzeliłaby do niego przez przednią szybę, nawet się nie zastanawiając. To nie był on. To był mężczyzna w średnim wieku z żoną siedzącą obok

niego. Orla zatoczyła się w stronę drzwi siedzenia dla pasażera, gdy samochód zahamował na poboczu.

Kobieta spuściła szybę w oknie, rzuciła tylko okiem na Orłę, na wpół naga, zmaltretowaną i posiniaczoną, trzymającą Jericho 941, jak gdyby to był wąż, i wydawała się rozumieć. Była młoda, miała może ze 25 lat, ale dorastała wśród konfliktów Palestyny i Izraela, i zobaczyła w Orli ofiarę. To wystarczyło. Orla domyśliła się, że to kobieta namówiła męża, żeby się zatrzymał. Nie pytała, co się stało, powiedziała tylko: „Wsiadaj”, a kiedy Orla znalazła się wewnątrz SUV-a i zapinała pasy, „Jedź”.

Odjechali od krawężnika i włączyli się do ruchu.

Na tylnym siedzeniu leżała jasnowłosa lalka. Mieli więc córeczkę. Nie jechała z nimi w samochodzie. Wnętrznoci Orli ścisnęły się na myśl, że oparty na Barbie ideał kobiecości ogarniał wszystkie kraje i narody. Kobieta na siedzeniu dla pasażera odwróciła się ku Orli siedzącej z tyłu. Orla dostrzegła w jej oczach z tuzin pytań, z których wcale nie najbardziej błahe to: „co myśmy zrobili?”. To było naturalne. Ludzie nie chcieli się angażować w sytuacje powodujące problemy. Ale na szczęście jej pierwszym odruchem był matczyzny instykt chronienia, a na pytania nadszedł czas teraz, kiedy już jechali i z każdą minutą oddalali się coraz bardziej i bardziej od opuszczonego sklepiku.

- Dziękuję - powiedziała Orla, po raz trzeci w ciągu pary krótkich minut.

Tym razem naprawdę była wdzięczna.

- Co się pani stało?

To było najpoważniejsze ze wszystkich potencjalnych pytań. Zbyt poważne, by odpowiedziała na nie na tylnym siedzeniu samochodu. Orla pokręciła głową. Wiedziała, że to będzie wyglądało, jakby była w szoku. Popatrzyła na kobietę i odpowiedziała jej:

- Myślałam, że umrę. Uratowaliście mi życie.

Nie była to właściwie odpowiedź na pytanie, ale przynajmniej zdawała się na razie zadowolić kobietę. Zadawała dalsze pytania, bardziej praktycznej natury: „Skąd pani pochodzi?”, „Gdzie się pani zatrzymała?”, „Czy chce pani, żebyśmy ją zawieźli na policję?”.

To była ostatnia rzecz, jakiej pragnęła Orla. Zatamowała potok pytań, zadając jedno własne:

- Czy macie telefon komórkowy?

Kobieta skinęła głową. Oczywiście, że mieli. W tych czasach wszyscy na całym świecie mieli telefony komórkowe.

- Czy mogłabym zadzwonić? Muszę powiedzieć swoim, że nic mi nie jest.

- Oczywiście - kobieta poszperała w torebce i podała Orli małą złotą Motorolę D&G. Orla wzięła ją i otworzyła klapkę. Wybrała +44, kierunkowy do Anglii, i modliła się, żeby sygnał nie zamienił się w głos oznajmiający jej, że jej abonament nie obejmuje rozmów międzynarodowych. Nic takiego się nie stało. Orla wklepała resztę numeru do Nonesuch.

Lethe odebrał po drugim dzwonku. Jego głos zabrzmiał tak, jakby Lethe siedział obok niej w samochodzie, gdy odezwał się:

- Głosuj na Lethego.

Orla wydała długie, drżące westchnienie. Nie zdawała sobie sprawy, jak dobrze będzie usłyszeć znajomy głos. Zamknęła oczy i uśmiechnęła się.

- Hej, Jude.

Odpowiedział jej resztą słów słynnej piosenki, a potem zapytał:

- Wszystko w porządku? Ach, do diabła, durne pytanie, wiem. Chciałem spytać... czy ty... czy coś ci zrobili?

- Tak - odpowiedziała, mając na myśli, że tak, już z nią w porządku, i tak, zrobili jej coś, ale nie to, co ona miała zamiar zrobić im. - Potrzebny mi adres, Jude. Gavrela Schnura. To powinno być gdzieś w Ramat, w północnym Tel Awiwie. On jest z IDF.

- Już szukam, daj mi sekundę. Dobrze usłyszeć twój głos, Orlo. Myślałem, że już nigdy...

Nie dokończył tej uwagi. Nie musiał kończyć. Sama często tak myślała, gdy przebywała tam na dole, w ciemnej piwnicy.

- Wiem - powiedziała. - Powiedz starszemu, że wracam do domu. Muszę jeszcze tylko najpierw dokończyć jedną sprawę.

- Wiesz, co on powie - odparł Lethe.

- Wiem, dlatego mówię o tym tobie, a nie jemu. Czy masz dla mnie ten adres?

To było niedaleko drogi 481, w pobliżu morza. Orla знаła tę okolicę. To nie było sąsiedztwo, na jakie mógłby sobie pozwolić młody polityk, nawet jeżeli był wschodzącą gwiazdą w partii Likud i ulubieńcem Menachema Begina, Shamira i Netanyahu. Tu wchodziły w grę stare fortuny. Całe góry brudnych starych pieniędzy. To powinna być jej pierwsza wskazówka od samego początku, kiedy oglądała fotografię Schnura i jego żony, Dassah. Schnur musiał jakoś zdobyć swoje pieniądze, i to zagraniczne konto w Hottinger & Cie oraz wszystkie te depozyty w Silverthorn nabierały teraz dla niej sensu. Pieniądze pochodziły od Caspiego, czyż to nie zakrawało na żart? Silverthorn, srebrny cień. Wykonany ze srebra, i cóż w ikonografii mogło być bardziej chrześcijańskim symbolem niż korona cierniowa? Orla zapatrzyła się w okno, obserwując mijane ulice.

- Kto to taki?

- Mabus - odpowiedziała, wdzięczna, że rozmowa była zrozumiała tylko dla nich dwojga.

Uśmiechnęła się do kobiety. Uśmiech miał ją uspokoić, że wszystko w porządku. Orla była pewna, że wygląda jak obłąkana.

- Bądź ostrożna, Orlo. Obiecuj mi.

- Wkrótce będę w domu - odpowiedziała. To nie była obietnica, którą chciał usłyszeć, ale tylko taką była gotowa mu złożyć. Nie planowała być ostrożna. Czas na ostrożność minął. Polowała na mężczyznę, który zamienił dla niej kilka ostatnich dni w piekło. Rozłączyła się i oddała telefon kobiecie. - Dziękuję - powiedziała po raz kolejny. - Nie mogę zapłacić za połączenie, przykro mi. Wszystkie pieniądze zostały w hotelu.

- W porządku, moja droga, bez obaw. Gdzie się pani zatrzymała?

Podawała im adres Gavrela Schnura, w wielkim domu przy drodze 481, nad morzem.

Patrzyła, jak jej dobrzy samarytanie odjeżdżają nadmorską drogą pod błękitnym niebem.

Pozostawanie w Tel Awiwie było sprzeczne z intuicją. Będą się spodziewali, że ucieknie. Że oddali się od nich najdalej jak tylko zdoła. Schnur nie oczekiwałby, że pojedzie do jego domu i będzie tam na niego czekać. To się kłóciło z logiką. Jednak w zemście nie ma miejsca na logikę.

Nie zastała strażników przy wejściu ani nie widziała kamer. To nie znaczyło, że żadnych tam nie ma.

Miała tyle pytań. Chciała stanąć z nim twarzą w twarz i zapytać, dlaczego to robi?

Dlaczego knuł z Solomonem i Devere'em, powodując tyle cierpienia, pragnęła słyszeć, jak się usprawiedliwia. Czy zamierzał za wszystko obwinić morderstwo jego żony? Śmierć syna? I czy w ogóle miało jakieś znaczenie, co powie? Nigdy nie będzie wystarczającego usprawiedliwienia. Wysłuchanie go mogło nadać ropuchowi nieco ludzkich cech, ale nigdy nie mogłoby uczynić z niego człowieka. Nic nigdy nie zdoła mu tego przywrócić.

Ruszyła w stronę domu.

To dziwne, że nigdy się nie przeprowadził, zważywszy na to, co się stało z jego żoną na podjeździe, ale Orla tłumaczyła sobie, że być może potrzebował nieustannego przypominania sobie, żeby podsycać swoją nienawiść?

Był środek dnia, więc najprawdopodobniej ropuch był albo w pracy, albo zmierzał do piwnicy pod sklepikiem spożywczym, żeby z nią skończyć. Nie wróci tak szybko do domu. A to dawało jej czas, żeby się włamać i zatrzeć ślady, tak by kiedy wreszcie wróci, mogła go oczekiwać.

Postanowiła, że nie padną żadne pytania.
Nie chciała słuchać odpowiedzi.

Ropuch wrócił dopiero trzy godziny później.
To dało jej czas.

Siedziała przy jego biurku, wdychając jego wszechobecny zapach. Wszystko w tym miejscu cuchnęło Gavrelem Schnurem. Orla siedziała w jego wysokim skórzanym fotelu, ubrana w jedną z sukienek jego żony. Miały podobne wymiary, może nawet identyczne. Schnur zachował jej szafy niczym świątynię. Każdy element garderoby nadal wisiał na wieszaku, nieskazitelnie uprasowany. Jej śmierć naprawdę go dotknęła. Orla znalazła fotografię Dassah i upięła włosy tak, żeby na pierwszy rzut oka ropuch mógł pomyśleć, że widzi ducha na swoim fotelu. Przetrzęsła jego rzeczy, szukając imienia Solomon. Chciała znaleźć nazwisko. Chciała znaleźć miejsce. Coś. Cokolwiek. Chciała powiązać Schnura, Solomona i Devere'a, oraz dowiedzieć się, który z nich był idealistą, który to fanatyk, a który oportunistą. Zakładała że byli to Solomon, Schnur i Devere, w tej kolejności, lecz nie miała zamiaru zgadywać.

Przekopała szuflady i rozejrzała się za sejfem. Żadnego nie znalazła, ale to nie znaczyło, że ropuch nie miał swoich skrytek. Każdy ma swoje skrytki. Spróbowała włączyć jego komputer, ale był chroniony hasłem, a ona nie posiadała ani w połowie tak rozwiniętej smykałki technicznej jak Lethe, więc po prostu wyciągnęła z maszyny twardy dysk. Niech Lethe pobawi się nim, gdy Orla wróci do domu. Powie mu, że to upominek z podróży.

Orla odwróciła fotel tyłem do drzwi. Schnur jej nie zobaczy, wchodząc do pokoju. Gdy tak siedziała tam sama, czekając, przypomniła sobie coś, co powiedział w swoim biurze. Mówił, że Judasz Iskariota nie został nigdzie wymieniony w Ewangelii Piotra, i spytał ją, co o tym sądzi. Teraz, gdy się nad tym zastanowiła, uświadomiła sobie, jakie to dziwne. Przecież to Piotr, skała, na której zbudowano Kościół, pierwszy z Apostołów, i nawet słowem nie napomknął o zdradzeniu swego Pana? Według Jana, Piotr był tym, który mieczem obciął ucho Malchosowi, kiedy żołnierze przyszedli aresztować Chrystusa. Jak mógł więc nie napisać o Judaszu, jeśli Judasz naprawdę był wielkim zdrajcą? Później przyszło jej do głowy, że być może Judasz i Piotr byli w rzeczywistości jedną i tą samą osobą, że to Judasz napisał Ewangelię przypisaną Piotrowi. To była Pasja, jedna z najbardziej znaczących we wczesnym okresie chrześcijaństwa, lecz potępiona jako heretycka, ponieważ obwiniła za ukrzyżowanie Heroda Antipasa, a nie Pilata. Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie także nie były tam osobnymi wydarzeniami. Tam, gdzie Mateusz twierdził, że Chrystus zawołał z krzyża: „Eli, Eli, lama sabachthani?” (Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił?), Piotr utrzymywał, że Chrystus nie wołał do Boga, tylko pytał: Mocy moja, mocy, czemuś mnie opuściła? - a gdy to powiedział, został zabrany do nieba. Nie było śmierci. Przypomniła sobie też, że w opowieści Piotra nie było mowy o nielojalności. Apostołowie zostali aresztowani za spiskowanie, by spalić świątynię. Czy to mogły być myśli Judasza? Prawdy Judasza?

Piotr stał się skałą, na której zbudowano Kościół. Judasz był ofiarą, na której go zbudowano. Czy mogli być jednym i tym samym? Czy to w ogóle miało znaczenie, czy Schnur tylko się z nią bawił, wciągając ją na teozoficzne manowce?

Jedno, czego nie rozumiała, to że skoro Apostołowie Judasza nie wierzyli w słowa Mateusza, Marka, Łukasza i Jana, to nie mieli potrzeby wierzyć w odkupienie grzechów ludzkości przez cierpienie na krzyżu. Bądź co bądź, skoro to wszystko tylko propaganda i kłamstwa? Wymyślone z perspektywy czasu po to, żeby lepiej sprzedać nowe przesłanie i stworzyć wiarę. Co to było, co powiedział ropuch? Wszystkie te przypadkowe akty przemocy, nienawiść, wojna i śmierć kazały mu myśleć, że ludzkość wcale nie została odkupiona, lecz potępiona. Orla zastanawiała się, czy rzeczywiście wierzył w to, co mówił, czy była to wygodna wymówka, żeby się odegrać na ludziach, którzy jego zdaniem go skrzywdzili - na

ludziach stojących za morderstwem jego żony? Atakowanie całej religii wydawało się lekką przesadą.

Nie, przecież na pewno w Dziejach Apostolskich Piotr, Książe Apostołów, wystąpił i ogłosił Judasza zdrajcą? W tym samym ustępie opisał śmierć Judasza ze wszystkimi makabrycznymi szczegółami, jego wnętrzości eksplodujące, kiedy upadł na polu krwi. Czyż Apostołowie nie przyjęli na jego miejsce Mateusza? Mogła prawie usłyszeć w myślach, jak Schnur kontrargumentuje: Ewangelia Łukasza zamienia Judę na Tadeusza, Jan nie podaje imion żadnego z dwu-nastu i dodaje własnego Nataniela. Tyle świadectw, a nie potrafią się jasno doliczyć kluczowych postaci? Piotr opisywany jest obok Judasza w tych innych tekstach, ale nie we własnym? Czy to historia według rewizjonistów, starających się wymazać grzesznika z dziejów? Albo może ktoś stara się ułożyć coś jeszcze? Te pozostałe ewangelie obiecywały cuda, uzdrowienie chorych, wypędzenie demonów, nawet wskrzeszanie zmarłych. Niczego takiego nie było w pasji Piotra. Opowieść o Akeldamie brzmiała niedorzecznie - Judasz pękający i eksplodujący to coś jak z kiepskiego filmu. To nawet nie było przekonujące kłamstwo. Orla słyszała kiedyś, jak ktoś tłumaczył, że przy tłumaczeniu teksty mogły łatwo zostać przedstawione jako bardziej boskie z powodu ograniczonego słownictwa języka oryginału, i że na przykład „na” i „przy” to często było to samo słowo, co zupełnie zmieniałoby całą tę historię z chodzeniem po wodzie. Chodzenie obok wody to znacznie mniej imponujący wyczyn. Co zatem ukrywał Piotr? Jakiej prawdy nie chciał zapisywać? Jeżeli sam nie był Judaszem, to być może znał prawdę o Judaszu?

Wszystko powracało do słowa „mesjasz”, czyż nie?

A skoro mesjasz nie był tak naprawdę nikim bardziej boskiej natury czy wybranym przez Boga niż ktoś, kto przynosi Izraelowi pokój i odrodzenie, to cóż, nie za bardzo można twierdzić, że pocałunek Judasza przyniósł pokój. Przez prawie stulecie zarówno po Chrystusie, jak i Judaszu Rzymianie nadal uciskali Judeę i Jerozolimę. Żydzi wciąż byli wygnañcami.

Orla miała Izrael we krwi. Znała jego historię i jego udręki równie dobrze, jak każdy Żyd. Studiowała dzieje Diaspory i zniszczenia Pierwszej Świątyni. Rozumiała skutki, jakie zniszczenie Drugiej Świątyni wywarło na ludzi. I rozumiała nadzieję, jaką przedstawiał sobą Szymon Bar Kochba. Bar Kochba przywrócił w Izraelu istnienie żydowskiego państwa siedem wieków po rozpoczęciu Diaspory; państwa, którym przez trzy lata rządził jako Nasi, ściągając rozproszonych Żydów do domu. Z pewnością według definicji Schnura to czyniło z niego skuteczniejszego mesjasza niż Judasz albo Jezus? Przez dwa z tych trzech lat zaciekle walczył z Rzymianami o zachowanie wolnego Izraela, ale przez trzy lata dawał swoim ludziom dom, miejsce do życia, i jednoczył ich. Oczywiście, gdy przegrał, historia nie okazała się łaskawa - Żydzi zostali rozproszeni, sprzedani w niewolę albo wypędzeni, zaś pisarze niepałający sympatią do jego sprawy nazwali go Szymonem bar Kozębą, czyli Szymonem synem Kłamstwa.

Taki jednak już był ten świat, czyż nie? Historię pisali zwycięzcy, a nie dzielni pokonani.

Orla nie знаła odpowiedzi.

Dwa tysiąclecia później nikt jej nie znał.

Nie sądziła, by w ogóle mieli ją poznać.

To była kwestia wiary. Do tego w końcu sprowadzały się wszystkie sprzeczności. Niektórzy ludzie musieli wierzyć, że Jezus cierpiał na krzyżu, żeby odkupić grzechy ludzkości. Musieli wierzyć, że to miało sens, że poświęcenie jego ziemskiego ciała coś znaczyło.

Te słowa, których tak wielu ludzi się trzymało, z których tak wielu czerpało wiarę i w których pokładało ufność, mogły zostać przekreślone tak, żeby powiedzieć cokolwiek, i nie było sposobu, żeby się dowiedzieć, co było prawdą.

Ostatecznie nie miało znaczenia, w co ona wierzyła, w co wierzył Schnur, w co wierzył ktokolwiek z nich. Jakkolwiek to się wydawało nieprawdopodobne, Judasz mógł być Piotrem albo mógł być Mesjaszem lub mesjaszem, albo oboma lub żadnym z nich. To było nieistotne. Ludzie znajdą sposób, żeby przeinaczyć prawdę w co tylko i zechcą.

I taka była jedyna prawda.

I wtedy coś ją uderzyło - wszystkie te przekazy, proroctwa o papieżach, centurie Nostradamusa, wykłady o znaczeniu słowa „mesjasz”, wszystko to razem. Nie chodziło o to, że Mabus wprowadzał antychrysta, jak powiedział Nostradamus, lecz o nowego mesjasza. Mabus był heroldem Caspiego. Powiedział, że prawdziwe imię Caspiego brzmiało Solomon. Jednym ze znaków nadejścia mesjasza było przywrócenie Izraela jako ojczystego kraju dla Żydów, a innym odbudowanie Świątyni. Kto zbudował Pierwszą Świątynię?

Salomon.

Czyli Salomon.

To była Świątynia Salomona.

W tym rzecz. Caspi w ogóle nie postrzegał sam siebie jako antychrysta, on widział siebie jako nowego mesjasza. Był człowiekiem, który zamierzał przynieść pokój Izraelowi przez stworzenie państwa żydowskiego. Orla ani przez chwilę nie wierzyła, że naprawdę miał na imię Solomon, tak samo jak nie wierzyła, że nazywał się Caspi.

Nagle wszystko stało się jasne. Zrozumiała, jak Gavrel Schnur został zwerbowany przez Solomona dla jego sprawy. Dassah. Tu naprawdę chodziło o jego żonę. To tłumaczyło kapliczkę w jego biurze i w garderobie na górze. Ona wciąż dominowała w jego życiu. Dassah Schnur została zamordowana z powodu głośnego wyrażania przez niego poparcia dla żydowskiego osadnictwa na Zachodnim Brzegu i w strefie Gazy. Schnur nigdy nie zmienił tego stanowiska. Przeżył całe życie wedle tej jednej fundamentalnej prawdy. Pragnął kraju dla i żydowskich osadników. Fakt, że z tego powodu OWP zamordowała jego żonę, tylko przyczynił się do tego, że pragnął tego jeszcze bardziej.

Pojęła rolę Schnura w swoim małym tryptyku. To on był idealistą, któremu zaoferowano jedyną rzecz, której zawsze pragnął.

Orla niemal mu współczuła.

Skoro Schnur był idealistą, bardzo łatwo było określić pozostałe role. Miles Devere to oportunistą. Na śmierci dało się zarobić, jak zwykle, a on zaczął w Izraelu, akurat w rejonie, który Schnur pragnął widzieć jako kraj żydowski. Rozumiał ludzi i politykę oraz potrzeby regionu. Któż mógłby lepiej pomóc przy odbudowie infrastruktury po kataklizmie? I któż lepiej nadawał się na wielkiego architekta, pomagającego zbudować nowy monument dla Salomonowego mesjasza? Czy to właśnie zaoferował Devere'owi, Ostatnią Świątynię? Z pewnością byłaby to najbardziej pamiętna nowożytna budowla. To przemawiałoby do człowieka takiego jak Devere, nawet jeśli nie przemówiłyby pieniądze i władza.

Im więcej o tym rozmyślała, tym bardziej uświadamiała sobie, że nie doceniała Milesa Devere'a. Jego zaangażowanie się w sprawę miało złowieszcze podteksty. Przypomniała sobie kwoty przekazane do szwajcarskiego banku przez Silverthorn i wypłacone przez Caspiego czy Solomona, czy jak tam się naprawdę nazywał. Przypomniała sobie Humanity Capital i jego modus operandi, jak stymulował rozruchy i promował wojnę dla finansowej korzyści, i ostatni element układanki wskoczył na swoje miejsce. Devere nie był jakimś niewinnym naiwniakiem przyciągniętym przez Solomona, on zapewniał pieniądze. Finansował wojnę o Nowy Izrael, pompował pieniądze do kieszeni Krzyków, wiedząc, że każdy wydany dolar zwróci mu się pięć-, sześć-, osm-, dziesięciokrotnie. To właśnie robił, handlował ludzkim cierpieniem i nieszczęściem.

Nie umknęła jej ironia faktu, że spuścizna Judasza znowu została wykorzystana dla korzyści innych. Tam, gdzie w grę wchodził Devere, wcale nie chodziło o wiarę, lecz wyłącznie o pieniądze. O jego własne trzydzieści srebrników.

Rozsiadła się w fotelu. Wszystko było widać jak na dłoni.

Pozostawał Solomon jako fanatyk, jedyny człowiek, który naprawdę wierzył w to wszystko, w ułomną wiarę, fałszywy Kościół, spotwarzenie Judasza, a poprzez to wszystko w prawdę o tym, co to faktycznie znaczy być mesjaszem. A nigdy nie chodziło o bycie synem Boga.

Niewątpliwie to czyniło z niego najgroźniejszą bestię z nich wszystkich, ponieważ z takim człowiekiem nie da się dyskutować. Fanatycy z definicji nie bywali otwarci na argumenty. Nie chcieli dostrzegać alternatyw. A jeśli posiadali zdolność przekonywania, mogli przyciągać innych do swojego płomienia szaleństwa, lecz to nie były argumenty, to było rozprzestrzenianie ich własnego skostniałego obłądzenia. A on był obłąkany. Bez dwóch zdań. Mógł dobrze odgrywać swoją rolę publicznie, mógł być przekonujący, lecz wewnątrz już się zatracił. Przez to stawał się jeszcze bardziej przerażający. Taki człowiek nie zawahałby się przed niczym, by ziścić swój sen o nowej Jerozolimie, nowym uznawanym państwie izraelskim dla ludzi jednej wiary. Taki człowiek nie dbałby o to, czy oznacza to zbudzenie do fundamentów przekonań Kościoła katolickiego i wszystkich innych religii, które nie podpisują się pod oddawaniem czci człowiekowi. Dla takiego człowieka otoczka religii i herezji była jak woda na młyn. Wpasowywała się w kompleks mesjanistyczny.

Wyglądało to jak trop z okruszków zostawiony po to, by nim poszła i zbierała je po drodze, nie zastanawiając się, co naprawdę znaczą. Ale teraz dotarła do sedna. Wiedziała, kim byli. Wiedziała, jak przystawały do siebie ich role. Wszystko nabrało sensu.

Zadzwoiła do Lethego z domowego telefonu ropucha i wszystko mu opowiedziała.

Potem czekała, aż Herald Mabus wróci do domu.

A gdy tak czekała, zaszło słońce.

Usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi na dole.

Ropuch był w domu.

Czekała.

Słyszała jego ciężkie sapanie, gdy gramolił się na górę po olbrzymich schodach. Gavrel Schnur był groteskowym mężczyzną. Z trudem łapał powietrze, mocno zadyszany, zanim doszedł choćby do połowy schodów. Orla była cierpliwa. Czekala, spoglądając na własne odbicie, obraz ducha w lustrze.

Ropuch wszedł do gabinetu. Zatrzymał się natychmiast, wpatrując się w odbicie diabła w niebieskiej sukience jego żony. Po chwili opanował się.

- Czy wydaje ci się, że kiedy widzę cię w sukience mojej żony, z takim uczesaniem, to mnie powstrzyma przed tym, żeby cię zabić? - spytał.

Była to ostatnia rzecz, jaką wypowiedział w życiu. Orla pomału odwróciła fotel. Popatrzyła na niego. Jego gniew przygasł, gdy ropuch zobaczył, że nisko na kolanach trzyma Jericho 941. Orla nie widziała człowieka odpowiedzialnego za zadane jej tortury. Nie widziała człowieka stojącego za atakami terrorystycznymi w Berlinie i Rzymie, i we wszystkich tych innych miastach. Widziała otępego przestraszonego mężczyznę, który nigdy się nie otrząsnął po stracie żony.

I w tej chwili nie miało znaczenia, czy zostało jej siedem kul czy cztery.

Potrzebowała tylko jednej.

KOZIOŁ OFIARNY

Konstantin Chawin nie wiedział, gdzie się znajduje.

Na stole stały szklanka wody, magnetofon i mikrofon, a po drugiej stronie stołu dwa krzesła. Przebywał sam w pomieszczeniu. Pracowali nad nim na zmiany, nie pozwalając mu spać. Pobrali od niego odciski palców i sprawdzili w systemie. Wiedzieli kim był. Co gorsza, wiedzieli czym był. Chcieli wiedzieć, dla kogo pracował, kto jeszcze był z nim w Niemczech, dlaczego zabił papieża. Później ktoś wszedł, przynosząc fotografię z kamer ochrony przedstawiającą jego w Berlinie w dniu gazowego ataku w metrze. Położyli ją przed nim na stole i spytali:

- Czy to ty?

Nie mógł zaprzeczyć. Obraz był wyraźny. Kamera uchwyciła całą jego twarz od frontu. Nawet kiepski program do rozpoznawania twarzy by go zidentyfikował. Nie było sensu kłamać.

- Tak - odpowiedział, i nagle patrzyli na dwa w jednym a on stał się socjopatycznym zabójcą.

Ponieważ wiedzieli, kim był, wiedzieli też wszystko o jego wykszoleniu. Wiedzieli, że był obeznany z technikami przesłuchania i tortur. I wiedzieli, że jego doświadczenie nie było czysto teoretyczne.

Wrócili.

- Nie mam zamiaru cię okłamywać - powiedziała kobieta, zajmując pierwsze z krzeseł po drugiej stronie stołu. - Sprawy nie wyglądają dla ciebie najlepiej, Konstantinie. Twoja opowieść nie trzyma się kupy.

Jej partner, surowy atleta w garniturze, opadł na krzesło obok niej.

- To uprzejmy sposób powiedzenia ci, że nawaliłeś. Mamy setki zeznań świadków, nagrania wideo, twoje odciski na broni, wszystkie fizyczne dowody, o jakich można marzyć, wliczając w to zaprzysiężone oświadczenie żołnierzy Gwardii Szwajcarskiej, którzy próbowali cię powstrzymać. To miała na myśli, mówiąc, że sprawy nie „wyglądają najlepiej”. Robi się znacznie gorzej, jeśli dodamy do tego twoją własną historię. Rosyjski zbieg, Konstantinie? Czy ty w ogóle rozumiesz słowo „lojalność”? Albo może jesteś jakimś uśpionym agentem? Czy posadzili się po tej stronie muru i czekali, aż dojrzejesz? Może to od zawsze była twoja misja? Czy tak, Konstantinie? Wypuścili cię, żebyś mógł to zrobić po tylu latach? Czy myśleli, że upokorzenie w postaci jeszcze jednego zbiega będzie warte śmierci Ojca Świętego? Jak ci wcisnęli tę misję? Czy jesteś zaprogramowany do posłuszeństwa?

Konstantin spoglądał prosto przed siebie. Nawet nie mrugnął. Słowa nie zostawiały śladu na jego twarzy. Niczego im nie dał, wiedząc, że to ich zdenerwuje. Ludzie za lustrem weneckim obserwowali cały ten taniec.

- W Moskwie już by przyprowadzili lekarza - powiedział, patrząc na kobietę.

- Dlaczego?

- Żeby wyciągnąć przyznanie się - odrzekł Konstantin.

- To znaczy zmiękczyć cię pentotalem sodu i osłabić twój opór? Mamy swoje sposoby, żebyś gadał, i po co ten kit? - powiedział mężczyzna z pogardą.

- Widzę, że oglądasz filmy - odparł Konstantin.

- Pewnie gdyby prochy nie zadziałały, w drugiej kolejności przysłałiby mięśniaka?

- Być może. Albo może pozwoliliby doktorowi wykorzystać jego narzędzia. Wiele się można dowiedzieć dzięki skalpelowi.

- To barbarzyństwo - powiedziała kobieta.

- To jeden z powodów, dla których opuściłem Moskwę. Nie jedyny. Wtedy to był inny świat. Czy sądzicie, że możecie mnie zastraszyć takimi groźbami, jakich próbuje pani kolega? Pochodzę z innego świata, takiego, w którym przemoc jest na porządku dziennym. Nie boję się bólu. Nie boję się tortur. Ale jeśli chce pani posłuchać, to powiem pani prawdę o torturach, pani oficer.

- Proszę mówić - powiedziała.

- Każdy gada. Taka jest prawda. Każda gada, nawet jeśli wie, że to go w końcu zabije. Ludzie chcą tylko, żeby ból się skończył. Filmy, w których twardy bohater się nie załamuje, to nic więcej jak tylko filmy. W rzeczywistości by narobił pod siebie. Zasmarkałyby się i zapłakał. Obsikałyby sobie nogi i wrzeszczałyby, a w końcu błagałyby, żeby nie krzywdzić go więcej, bo powie ci wszystko, co chcesz wiedzieć i jeszcze więcej, zaoferuje sekrety, o jakich nawet nie wiedziałeś, że je zna, żeby tylko chociaż odrobinę zmniejszyć ból.

- Chcesz nam powiedzieć, żebyśmy cię poddali torturom?

- A zrobilibyście to, gdybyście myśleli, że w ten sposób uzyskacie prawdę?

- Znamy prawdę - mężczyzna wtrącił się do ich małego tańca. - Jest na cholernym wideo i cały świat może ją sobie zobaczyć.

- To nie jest prawda - odpowiedział Konstantin.

- Jesteś szurnięty. Wiesz o tym? Jesteś cholernym socjopata! Czyli że co, mamy zastosować na tobie waterboarding? - Mężczyzna pokręcił głową z niesmakiem.

- Nie ma sposobu, żebym mógł was przekonać, nawet gdybyście mi rozcięli brzuch i sięgnęli gołymi rękami, żeby mi wywlec flaki, moja prawda się nie zmieni. Ja go nie zabiłem.

- Łatwo powiedzieć - odparł mężczyzna. - Każdy może być dzielny, kiedy to tylko słowa.

- No to mnie rozetnijcie - rzekł Konstantin. - Moi ludzie mnie nie uratują. Jestem tu sam. Nie mam nic do zyskania, kłamiąc, i nic do stracenia, mówiąc prawdę.

- Nie wierzę ci, Konstantinie - odpowiedział mężczyzna.

- Jesteś kłamcą. Tak czy inaczej. Albo okłamałeś swoich ludzi, kiedy uciekłeś na Zachód, albo okłamałeś nas, kiedy cię przyjęliśmy. Które z dwojga?

- Milczenie to nie kłamstwo.

- Dlaczego to zrobiłeś, Konstantinie? - spytała kobieta, przejmując przesłuchanie. Jej głos brzmiał spokojnie, słodko. Uśmiechnęła się do niego. To był uśmiech w stylu „wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi”. Jak dotąd było to największe kłamstwo tego dnia.

- Nie zrobiłem tego.

- Wiemy, że zrobiłeś, Konstantinie. Nie wiemy tylko dlaczego? Mamy też sporo innych pytań, rzeczy, których nie rozumiemy, na przykład jak zabicie papieża wiąże się z atakiem w berlińskim metrze? I jaki masz związek z Rzymem oraz z ludźmi, którzy spalili się żywcem w Londynie i wszystkich tych innych miastach? Widzimy tylko fragment obrazu, Konstantinie. Pomóż nam zobaczyć całość. Mów do nas. Jeżeli ty pomożesz nam, my pomożemy tobie.

Nie była zbyt dobra. Słuchając jej, Konstantin pomyślał, że nie należy do pierwszoligowego zespołu. Mężczyzna także nie. Byli pierwszym etapem, falami wysłanymi w celu roztrzaskiwania się o brzeg tylko po to, by go skruszyć. Nigdy nie mieli wyciągnąć z niego prawdy. Chodziło o osłabienie jego oporu. To oni byli pentotalem sodu, mówiąc w przenośni.

Jednak mogli zadawać wszelkie pytania, jakie chcieli, mogli go nękać, szturchać i testować, ale nigdy nie mogli go złapać na kłamstwie, bo nie kłamał.

Ale mógł im coś dać.

- Chcecie inną prawdę? - spytał.

Kobieta energicznie pokiwała głową, jak detektyw Pawłowa.

Konstantin miał dobrą pamięć. Musiał. Zapamiętał dyplomatyczne tablice rejestracyjne z samochodu w Berlinie.

Podał im numer rejestracyjny. Teraz od nich zależało, co z tym zrobią.

- Do kogo należy samochód? Do twojego szefa? Do twojego kontaktu?

Konstantin wzruszył ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? Ale ten samochód się z tym wiąże. Jak wszystko. Wszystko jest powiązane.

- Nie uprawiaj tu zen, Konstantynie - powiedział mężczyzna.

- Znajdźcie właściciela samochodu, znajdźcie berlińską komórkę. Wszystko się wiąże.

Kobieta zerknęła w stronę lustra. Konstantin wiedział, że ludzie za szybą gorączkowo starali się połączyć kropki, rozgryźć, do kogo należał samochód, oraz czy Konstantin mówił prawdę. Nie mieli powodu zakładać, że nie mówił, za to mieli wszelkie powody uważać, że właśnie wysypuje jednego ze swoich współników. W taki sposób łamali komórki terrorystyczne - po jednym drobnym wyznaniu. Jednak skoro Konstantin wydał im człowieka stojącego za wydarzeniami w Berlinie, to niezbyt dowodziło jego niewinności. Jeśli już, to w ich oczach przysłużyłoby się to jedynie do umocnienia przekonania o jego winie.

- Znajdźcie Berlin, a znajdziecie Rzym, albo Londyn, Madryt czy Paryż. Wszystko jest powiązane. Informacje wędrują kanałami, nie pojawiają się znikąd. Wszystko jest i powiązane. Musi być, z powodu precyzji. Samobójcy musieli wiedzieć, kiedy się podpalić. Truciciel w Rzymie musiał wiedzieć, kiedy dodać truciznę do wody. Nie chciał, żeby ludzie umierali za wcześnie. Nie chciał, żeby ich zgony nałożyły się na zgony w Berlinie. Nie chciał, żeby większość umarła tego samego dnia, gdy zginął papież. Wszystko musiało się odbyć osobno. Czterdzieści dni i czterdzieści nocy strachu. Rozumiecie?

Jednak zegar tykał, wskazując kolejny dzień, a Mabus obiecywał czterdzieści dni i czterdzieści nocy grozy, zaś Konstantin nie miał powodu wierzyć, że zmienił zdanie tylko dlatego, że zginął papież. Jeżeli już, to właśnie teraz nadeszła idealna pora, żeby zwiększyć natężenie ataków. Zatem nie miało znaczenia, czy myśleli, że był winny czy nie, jeżeli tylko miał coś, co mogło pomóc ocalić czyjeś życie. Choćby nawet coś tak prostego, jak numer rejestracyjny. Zawsze był gotów się tym podzielić, nawet jeśli to znaczyło, że sam się pogrąża. To była jego ofiara.

Następnym razem kobieta wróciła sama. Przyniosła mu kubek ciepłej czarnej kawy. Wiedział, że to wymiana handlowa. Ona dawała mu ciepło i pożywienie, a on jej następny fakt. *Qui pro quo*. Prosto z podręcznika dobrego i złego gliniarza.

Nie skarżył się. Ogrzął dłonie od kubka, a następnie powoli pił kawę.

- Dziś rano znaleźli zwłoki w Mozeli.

Konstantin popatrzył na nią.

- I myślicie, że tego też zabiłem?

Uśmiechnęła się znowu tym samym uśmiechem.

- Byłoby trudno. Koroner ustalił czas zgonu na prawie całą dobę po tym, jak cię aresztowaliśmy, więc myślę, że tego ci darujemy.

- A więc dlaczego mi pani o tym mówi? Zakładam, że jest jakiś powód?

- Tak. Nazywał się Emery Seifert. Czy to nazwisko coś d mówi?

Konstantin pokręcił głową.

- A powinno?

- Należał do Gwardii Szwajcarskiej. A dokładniej, był jednym z gwardzistów na scenie, kiedy zabiłeś papieża.

- Nie zabiłem papieża - Konstantin odpowiedział w zadumie.

Uśmiechnęła się, słysząc to. Znowu.

- Czy domyślasz się, z jakiego powodu ktoś miałby chcieć zabić Seiferta, Konstantynie?

Tylko z jednego powodu, pomyślał Konstantin. Spojrzył na kobietę, starając się dociec, czy celowo próbowała go naprowadzić na ten tok rozumowania. Jeżeli tak, to nie rozumiał, co miała nadzieję przez to uzyskać.

- Ponieważ widział, co się naprawdę zdarzyło na scenie - powiedział Konstantin. - Albo podejrzewał.

- Tak czy owak posiadamy dowody w postaci wideo, więc to tylko jeden głos przeciwko rozszalałemu tłumowi.

- A jednak przyszła tu pani, żeby mi o tym powiedzieć.

- Może chcę ci wierzyć, Konstantinie?

- Może tak, może nie. W każdym razie to nie zmieni prawdy.

- Dziwny z siebie człowiek. Nie chcesz adwokata. Nie chcesz się przyznać. Nie szerzysz żadnej religijnej propagandy. Nie starasz się nas przekonać, że musiałeś działać, żeby Lucyfer znowu powstał. Właściwie wydajesz się niepokojąco racjonalny. A jednak znasz rzeczy, jakich wyraźnie nie powinienesz znać, takie jak numery rejestracyjne dyplomatycznego auta zarejestrowanego w Berlinie na członka osobistego personelu ambasadora Izraela.

- Kogo? Na kogo są zarejestrowane?

Spojrzała na niego, zaskoczona nagłą intensywnością skumulowaną w tym pytaniu. Na jedno mgnienie oka niewzruszenie spokojny Konstantin Chawin odsłonił się i zobaczyła prawdziwego mężczyznę pod spodem. To przypominało dostrzeżenie magika za kurtyną.

- Generał broni Akim Caspi z Sił Obronnych Izraela.

Konstantin zamknął oczy. A był tak blisko.

- Caspi nie żyje - powiedział jej.

- Zabiłeś go?

Powoli wypuścił powietrze, kręcąc głową.

- Nie, ale mężczyzna w samochodzie, udający, że nim jest, zabił go niemal na pewno. Caspi zmarł w czerwcu 2004 roku.

- To nie znaczy, że go nie zabiłeś - powiedziała rozsądnie. - Jeden fakt nie przeczy drugiemu.

- Sprawdźcie moje akta z Ogmiosa.

- Przecież wiesz, że nie możemy. O ile zdołaliśmy ustalić, ten cały Ogmios to wytwór twojej wyobraźni.

- Wierzy pani w to?

- Nie ma znaczenia, w co ja wierzę, Konstantinie.

- A jednak przyszła tu pani - powiedział znowu - i mówi mi o zwłokach w rzece, które w jakiś sposób mogą potwierdzać prawdziwość mojej historii.

- Albo mogłeś kazać któremuś ze swoich ludzi zabić gwardzistę w tym samym celu.

Konstantin powoli pokiwał głową. Nic nie mógł poradzić na to, że całkiem polubił tę kobietę. Myślała o różnych sprawach. Nie wyciągała wniosków w oparciu o to, co mogła albo czego nie mogła dostrzec. Musiał znaleźć sposób nakłonienia jej, żeby skontaktowała się z sir Charlesem. On może jej przekazać wszystkie fakty, jakich jej będzie potrzeba.

- Chce pani, żebym podał nazwiska?

Wzruszyła ramionami.

- To zależy, czyje to nazwiska, prawda? Możesz zacząć od powiedzenia mi, z kim pracowałeś w Berlinie i kto d pomagał w Koblencji.

Konstantin palnął się dłonią w czoło. A już przez moment sądził, że mu wierzyła, i co mu z tego przyszło? Była równie ślepa jak jej partner.

- Pracuję dla sir Charlesa Wyndhama - powiedział. Tak naprawdę potrzebna jej była tylko ta informacja. Jedno nazwisko. Jeżeli była dobra w swojej robocie, to zignorowałyby oficjalne kanały i uda się bezpośrednio do staruszka. Oczywiście, nie spodziewał się, że to zrobi. Dlaczego by miała? Jak sama ciągle mu powtarzała, mieli już góry dowodów przeciwko niemu. Mogli go umieścić w Berlinie w czasie ataku w metrze i na scenie ze srebrnym sztyletem w dłoni w chwili, gdy zginął papież. Nie potrzebowali niczego więcej.

- Czy mogę o coś spytać?

- Możesz - odpowiedziała.
- Jak długo tu przebywam?
- Cztery dni - odparła.
- Zabrali papieża z powrotem do Rzymu?

Przytaknęła.

- Mówili o tym w wiadomościach dziś rano. Przygotowują bazylikę na ponad sześć milionów przybywających z pielgrzymką, żeby zobaczyć papieża Piotra na marach.

- Czy wydarzyły się jakieś inne ataki od czasu zamachu na papieża? Minęły trzy dni. Czterdzieści dni i czterdzieści j nocy strachu, tak obiecywali.

- Nic - powiedziała. - Co w sumie potwierdza założenie, że kiedy ty przebywałeś tu w zamknięciu, na zewnątrz nie ma nikogo, żeby koordynował ataki, czyż nie?

- Albo że Orla dopadła Mabus.

Popatrzyła na niego. Wyraźnie słyszała, co powiedział, ale nie znała żadnego z tych dwóch imion, a ponieważ ich nie i znała, proste zdanie zmieniło się dla niej w coś, co nie miało sensu.

Konstantin próbował przemyśleć ciąg zdarzeń. Przewożą ciało papieża z powrotem do Watykanu. Kardynał kamerling oficjalnie ogłasza jego zgon, po trzykroć wypowiadając jego prawdziwe imię. To wszystko ceremonia, ale także element wierzeń, trzymania się starych rytuałów nawet wtedy, gdy świat wokół się zmienia. Później kamerling łamie papieską pieczęć Piotra II oraz pierścień Rybaka, tak by nikt inny nie mógł ich użyć dla sfalszowania papieskich dekretów. Potem Kościół wkracza w okres sediswakancji, „pustego tronu”. Następuje dziewięć dni żałoby między śmiercią papieża a konklawe, które wybierze jego następcę. Istniały precedensy, gdy przesuwano termin konklawe, gdy Kościół stawał w obliczu zagrożenia i kiedy wiernym groziło największe niebezpieczeństwo, lecz unikano tego za wszelką cenę. Przesunięcie terminu konklawe pokazałoby światu, że Kościół przestraszył się Mabusy i jego terrorystów.

To znaczyło, że zostało jeszcze pięć dni do czasu zwołania konklawe.

Jeszcze pięć dni, kiedy on będzie tu bezradnie tkwił, nie mogąc nic zdziałać, podczas gdy Mabus, Caspi i Devere rozegrają swoją finałową grę.

Zaniepokoiło go, że nie wydarzyło się więcej ataków od chwili, gdy został zatrzymany. Terrorysty musieli spełniać swoje groźby, bo inaczej strach, jaki zasiali, straciłby na znaczeniu. Miasta się podniosą. Berlin i Rzym będą silniejsze dzięki swemu cierpieniu, tak jak Nowy Jork i Londyn. Musiało być coś jeszcze. Coś większego.

Jeszcze pięć dni mieli Apostołowie Judasza, żeby zadać cios najpoważniejszy ze wszystkich.

Obiecywali obrócić wniwecz wiarę świata.

Zabicie jednego człowieka tego nie sprawi.

Nie miał pojęcia, co mogłoby to sprawić.

I wtedy uzmysłowił sobie, co właśnie się dzieje: to cisza przed burzą.

Na całym świecie wszyscy pomyśleli, że już nie może być gorzej. Zobaczyli miasta niszczone od zewnątrz i od środka, a potem powalonego Ojca Kościoła Katolickiego.

Konstantin popatrzył na kobietę siedzącą naprzeciwko niego.

- Sądzi pani, że to już koniec?

Nie odpowiadała mu przez długą chwilę. Wydawała się autentycznie zastanawiać nad odpowiedzią, zamiast gładko odpowiedzieć „tak”.

- Nie mamy powodu, żeby spodziewać się dalszych ataków - odpowiedziała wreszcie, jak gdyby powtarzała z pamięci oficjalne komunikaty prasowe.

- Tak, macie - powiedział. - Macie wszelkie powody żeby spodziewać się dalszych ataków: ponieważ oznajmili wam, że nastąpią. Czterdzieści dni i czterdzieści nocy grozy dla

każdego miasta Zachodu. Czyż nie tak mówili? Coś w tym rodzaju. Nie tylko dla Berlina i Rzymu.

- Ale groźby w Rzymie i Berlinie były inne.

Miała rację. Lethe też to podkreślał. Były inne.

- A więc co pani sądzi? Że wszystkie groźby dotyczyły zabójstwa Piotra II?

- Nie mamy powodu, żeby uważać inaczej.

- Dopóki oni nie dadzą nam powodu - powiedział Konstantin.

- Nie dadzą - odparła z zadziwiającą pewnością.

- A co z obietnicą zniszczenia wiary świata? Tak po prostu pani to odrzuca?

- Jak można zniszczyć czyjąś wiarę? - spytała zupełnie poważnie. - Na świecie żyje 1,3 miliarda katolików, 2,1 miliarda chrześcijan. Jak ktoś mógłby zniweczyć wierzenia jednej trzeciej populacji świata?

- Nie przez zabicie jednego człowieka - odrzekł Konstantin, usiłując otworzyć jej oczy.

- Nie, i żaden naukowiec, który ogłasza wszem i wobec, że Bóg nie istnieje i że ma dowody na poparcie swojej tezy, nie zmieni faktu, że ci ludzie wierzą. Ewoluściści mogą mówić im, że są głupi, a oni to mają gdzieś i dalej wierzą. Jak więc to zrobić?

- Udowodnić, że się mylą.

- Ale to właśnie robią naukowcy, czyż nie?

- A zatem jak to zrobić?

- Nie wiem. I dlatego się tym nie przejmuję. Oto dlaczego I znacznie bardziej interesują mnie przyziemne pytania, jak te, dla kogo pracujesz i z kim.

- Już mówiłem, że pracuję dla sir Charlesa Wyndhama, projekt nosi kryptonim Ogmios, zapytajcie go - powiedział znowu, prosząc ją w myślach, żeby po prostu sama znalazła staruszkę.

Następnymi razem, gdy przyszła do pokoju przesłuchań, przyniosła coś dla Konstantina. Nie był to kubek kawy. Położyła srebrny sztylet na stole między sobą a nim, i spytała:

- Co to jest?

Konstantin spojrział na sztylet. Po raz pierwszy widział go dokładnie. Był wyraźnie stary.

- Nie uwierzyłaby mi pani, gdybym powiedział - odparł.

- *Try me.*

Wzruszył ramionami.

- To sztylet - odpowiedział.

- Sama to widzę, więc trudno to podważyć. Ale powiedz mi, co w nim takiego szczególnego?

- Na początek to, że ma dwa tysiące lat - zaczął Konstantin.

Nie chciał mówić więcej, gdyż powiedzenie czegoś więcej oznaczałoby, że wie coś więcej. A większa wiedza tylko bardziej by go pogrążyła. Wziął głęboki wdech. Właściwie jakie to miało znaczenie? Nie wykręci się z tego. Równie dobrze może jej opowiedzieć, co wie, choćby tylko po to, żeby rozmawiając z nią, trzymać z daleka faceta. Nieustanne nękanie i chamstwo mężczyzny były nużące.

- Słucham.

- Jest srebrny.

- To widzę.

- Srebro nie jest typowym materiałem do wyrobu broni. Zbyt miękkie. Złamałoby się, może nie za pierwszym użyciem, może nie za drugim, ale jednak złamałoby się, a żaden wojownik nie chce iść na wojnę, wiedząc, że jego broń może go zawieść w każdej chwili.

- Rozsądnie.

- Bo to jest rozsądne. Zwykły zdrowy rozsądek.

- A więc jest ceremonialny?

- Można by tak pomyśleć, lecz nie; sądzę, że trafniej byłoby powiedzieć: „pamiątkowy”.
- Dziwny dobór słów, nie sądzisz? Chcesz powiedzieć, że sztylet użyty do zamordowania papieża był pamiątkowy? A co, wykonano go z okazji królewskiego jubileuszu? Coś w tym rodzaju?

Podobała mu się ta kobieta. Była bystra.

- Dokładnie coś w tym rodzaju. Dla uczczenia króla, dwa tysiące lat temu. - Gdy będzie dostatecznie często powtarzał „dwa tysiące lat”, kobieta intuicyjnie wyciągnie wnioski. Wiedział, że będzie. - Już samo to czyni ten sztylet wyjątkowym, jest srebrny i ma dwa tysiące lat. Jakiego króla pamięta pani sprzed dwóch tysięcy lat?

Rozłożyła ręce.

- Proszę pomyśleć - powiedział Konstantin. - Król żydowski, dwa tysiące lat temu?

- Jezus? Mówisz mi, że ten sztylet został wykonany dla upamiętnienia życia Jezusa? –

Nie roześmiała się, ale widział, że miała ochotę.

- Jak srebro wpisuje się w tę historię? - naprowadzał ją. - Proszę pomyśleć.

- Srebro?

- No dalej. Wie pani. Wszyscy uczą się tej historii w dzieciństwie. Trzydzieści sztuk srebra.

Pokręciła głową.

- Mowy nie ma. Niemożliwe. Nie wierzę.

- Pytała pani, a ja mówiłem, że mi pani nie uwierzy.

- Mówiłeś, że nie uwierzę, bo to nedorzeczne, prawda? A więc powiedz mi, jak wpadł ci w ręce sztylet wykuty ze srebrników Judasza? Do diabła, nawet nie wierzę, że w ogóle zadajesz takie pytanie. Jezus, Judasz, właśnie wkroczyliśmy w jakies obszary obłędu. Czy o to chodzi? Szykujesz sobie obronę? Zamierzasz twierdzić, że diabeł kazał ci to zrobić? Że usłyszałeś głos Judasza każący ci się zemścić? Ukarać niewiernych za to, że potraktowano go tak paskudnie?

- Nie - odparł Konstantin.

- A zatem co? Wytłumacz mi to krok po kroku, Konstantinie. Pomóż mi zrozumieć, bo w tej chwili mam narzędzie zbrodni, mordercę oraz furę dowodów, ale kiedy o tym myślę, coś mi tu nie pasuje. Nie daje spokoju. Nazwij to instynktem starego gliniarza, jeśli chcesz. Chcę powiedzieć, że nie wydaje mi się, żebyś to zrobił, ale oglądałam materiał filmowy z tysiąc razy i jesteś winny jak wszyscy diabli, więc nie wiem, dlaczego ciągle wracam do faktu, że chcę ci wierzyć.

Wtedy Konstantin opowiedział jej wszystko - o Masadzie, Mabusie, dwóch Akimach Caspich, prorocत्वach i groźbach, i o własnej roli w całej historii. Opowiedział jej o karabinie w mieszkaniu i o zegarze, i o karmnikach na drzewach mających pomóc w odwróceniu uwagi. Opowiedział jej o tym, jak starał się przebić przez tłum, żeby ocalić Ojca Świętego, i jak zjawił się za późno. Opowiedział jej o żołnierzu Gwardii Szwajcarskiej i błagał ją, żeby sprawdziła jego twarz w systemie, by ostrzec ludzi, ponieważ on wciąż gdzieś tam jest, a ciało w Mozeli świadczyło, że ktoś jeszcze był świadkiem morderstwa i że został uciszony, zanim zdołał coś powiedzieć. Opowiedział jej o tym, jak Humanity Capital zbija majątek na tragedii, o Milesie Devere'em, o zakładniczkach w Anglii. Opowiedział jej wszystko.

Dobrze było to wyznać, złożyć brzemię na barki kogoś innego, ponieważ to jeszcze nie koniec. Był tego tak samo pewien, jak tego, że dziewiątego dnia wstanie słońce, a Kolegium Kardynalskie przystąpi do konklawe, żeby wybrać następnego papieża. To jeszcze nie koniec.

- Co zamierza pani zrobić ze sztyletem? - zapytał ją.

Spojrzała na niego. Nie potrafił niczego wyczytać z jej twarzy. Nie wiedział, czy uwierzyła choć w jedno słowo z tego, co powiedział. Jednak nie mogła podważyć tego, jak: to wszystko się ze sobą wiązało. Nie zdołałby wymyślić takiej historii w pokojach przesłuchań w budynkach, w jakich go trzymali. Nie był Danem Brownem.

- To narzędzie zbrodni. Dowód.
- A kiedy będzie po wszystkim?
- Dlaczego?

- Tak jak powiedziałem, to jest dowód, ale tylko w sprawie o morderstwo. W jakiś dziwny sposób to jednak jest dowód, czyż nie? Dowód, że Jezus i Judasz istnieli, dowód tego, w co chcą, żebyśmy wierzyli. To skarb tego rodzaju, jaki Watykan chciałby mieć, bez względu na to, jak może być splamiony.

Stracił poczucie czasu między wizytami. Był zmęczony do granic wytrzymałości. Jednak nie pozwalali mu spać. To mu powiedziało, że go obserwują przez kamery i że ktoś przez cały czas ma na niego oko. Kiedy tylko zaczynał przysypiać, powracali jak automaty.

Nieustannie wracali, zmiękczając go. Łagodnie ze strony kobiety, z delikatnością młota kowalskiego ze strony faceta. Konstantin ciągle próbował im mówić, że marnują czas, że prawdziwy zabójca jest tam gdzieś, wciąż bezpieczny na swojej pozycji w wewnętrznym kręgu papieskiej ochrony, lecz oni nie chcieli mu wierzyć.

Nadal nie znał ich nazwisk. Byli tylko kobietą i mężczyzną. Bezosobowo. Powstrzymywało go to przed pomyśleniem o nich jako o przyjaciółach. Gdyby to on prowadził przesłuchanie, pierwszą rzeczą, jaką by zrobił, byłoby nawiązanie osobistej relacji. Czasem nie potrafił zrozumieć logiki, jaką się kierowali. Gdyby chcieli, żeby im zaufała, z pewnością posłużyliby się każdą dostępną im sztuczką, żeby go przekonać, że istnieje między nimi więź? Nie mogli sprowadzić oprawcy, więc co jeszcze mogli zrobić?

Tym razem, gdy przyszli po niego, było inaczej.

Nie byli sami.

Przyszło z nimi sześciu mężczyzn. Konstantin patrzył, jak wchodzi do celi. Wyglądało to tak, jakby ściana z kafelków została zastąpiona ścianą z mięśni. Muskły nie odzywały się. Nie skinęły nawet na potwierdzenie, że w ogóle go widzą. Jak gdyby w ogóle dla nich nie istniał. Konstantinowi to odpowiadało.

- Wstawaj - odezwał się mężczyzna.

Konstantin nie poruszył się.

- Powiedziałem „wstawaj”.

Konstantin położył obie dłonie płasko na stole i odsunął krzesło do tyłu, wlokąc metalowe nogi po podłodze tak, że zazgrzytały. Podniósł się powoli.

- Co się dzieje? - zapytał kobietę.

Nie odpowiedziała mu. Spojrzał na mężczyznę.

- Przenoszą cię.

Popatrzył na kobietę.

- Ile to już dni?

Tym razem mu odpowiedziała.

- Osiem.

Tkwiał tu pozbawiony kontaktu z rzeczywistością przez i osiem dni. Osiem dni. Wszystko mogło się wydarzyć w tym czasie. Akim Caspi mógł być martwy. Mabus mógł być martwy. Jedna trzecia populacji świata mogła być martwa. A on by nawet nie wiedział. Wiedział jedynie, że jutro skończy się okres *novemdiales*.

Jeżeli zamierzali uderzyć, jutro nadszedłby idealny moment. Przez dziewięć dni świat oplakałby Piotra II, a wraz z nim ofiary z Rzymu i Berlina, i każdy nowy świt oznaczałby dzień dalej od tragedii. Dziewięć dni to dosyć, żeby odretwienie opadło. Dziewięć dni to dosyć, żeby świat pomyślał, że ostateczny atak nie nastąpi. Dziewięć dni to dosyć, żeby ze wszystkich zrobić głupców.

- Dokąd mnie zabieracie?

- Do Rosji, Włoch, do Londynu? Czy to ważne? Jedna cela wygląda tak samo, jak inne, gdziekolwiek to jest - odpowiedział mężczyzna.

- Chciałbym wiedzieć.

- Berlin - odparł mężczyzna. - Zabawa się skończyła. Odpowiesz za to, co zrobiłeś. A potem zamierzamy cię zakopać gdzieś głęboko, a kiedy świat o tobie zapomni, szepniemy coś do właściwego ucha i ktoś znajdzie cię pod prysznicem albo dziabnie cię na spacerunku. Nam to bez różnicy. Ale jestem pewien, że znajdziemy kogoś, kto naprawdę zechce ci porachować kości. Może jakiś twój były krajan? Albo może ktoś, kto nie jest na tyle oświecony, żeby nadstawiać drugi policzek. Mnie tam wszystko jedno. Sprawiedliwości stanie się zadość, a świat posmakuje twojej krwi, więc wszyscy będą zadowoleni.

- Poza mną - mruknął Konstantin, gdy obchodzili stół i chwytali go za ramiona.

Dwaj mężczyźni wykręcili mu ręce za plecami i skuli go. Skuli mu też nogi w kostkach i przeciągnęli łańcuch od jednych kajdanek do drugich, przez co mógł ledwie szurać raz jedną, raz drugą stopą.

- A kogo, u diabła, obchodzi, czy będziesz zadowolony? - powiedział mężczyzna.

Muskuły upchnęły go z tyłu SUV-a i odjechały.

Pozostawili z tyłu mężczyznę i kobietę przed siedzibą BKA w Wiesbaden. Nie odzywali się, póki nie ujechali ponad trzydzieści minut za miasto, a potem kierowca włączył kierunkowskaz i podążając za innymi autami, zjechał następnym zjazdem, opuszczając *autobahn*. To nie była droga do Berlina.

Przez moment Konstantin pomyślał, że być może postanowili załatwić to na rosyjską modłę, wywieźć go w jakieś odludne miejsce i w wykończyć, rozwiązując problem, jaki stanowił. Obliznął wargi.

Kierowca zatrzymał wóz na poboczu drogi.

To rzeczywiście było odludne miejsce, na tyle odległe, by nie odnaleziono jego ciała zbyt prędko. Na tyle odludne, żeby miejscowa fauna także mogła zająć się usuwaniem problemu.

Ruch na drodze był minimalny. Nikt nie zobaczyłby przypadkowo niczego po tej stronie drogi.

To było odpowiednie miejsce, żeby go zabić.

Kierowca pochylił się do przodu, otwierając schowek.

Konstantin nagle wyraźnie uświadomił sobie istnienie własnego oddechu. Był ciężki. Regularny wdech, wydech, wdech, wydech. W myślach szukał opcji. Niewiele mógł działać. Nie za bardzo mógł walczyć na tylnym siedzeniu SUV-a z otaczającymi go sześcioma bryłami stalowych mięśni. Cóż, mógł, ale by nie wygrał. Nie był Supermanem.

Nie mógł uciec. Tylne drzwi zostały zablokowane, żeby uniemożliwić mu otwarcie ich od środka. Zamiast tego zrobił I więc jedyne, co mógł zrobić: nic.

Kierowca wyjął ze schowka ochronną kopertę. Nie wyglądała w jego dłoni na dostatecznie wypchaną ani ciężką, żeby mieścić służbowy pistolet, a nie ryzykowałiby użycia broni takiej, jak nóż Korszun albo maczeta SARO. Kierowca obrócił się na siedzeniu i spojrzał prosto na Konstantina.

- Mamy wiadomość dla starszego pana od Kontroli - odezwał się kierowca z chropawym akcentem z Manchesteru. - To tyle, wszystkie przysługi wykorzystane, on dotrzymał swojej części umowy, ale na tym koniec. Od tej chwili jesteście odcięci. Rozumiesz?

Wręczył Konstantinowi kopertę.

Zawierała paszport z jego zdjęciem, wystawiony na nazwisko John Smith, najbanalniejsze z angielskich nazwisk, oraz zwykły bilet z Frankfurtu nad Menem na Heathrow, na samolot odlatujący za sześć godzin. Znajdował się tam też zwitek banknotów, a w nim jakieś 300 euro.

- Jeśli cię złapią, to radź sobie sam.

- Jak zamierzacie to wytłumaczyć? - zapytał Konstantin, mając na myśli bilet na samolot.
- Spodziewają się mnie w Berlinie.

- Nie do ciebie należy zastanawianie się, dlaczego, żołnierzu. Ty masz dowlec swoje dupsko do domu, koniec pieśni.

Konstantin skinął głową. Wiedział, że nie należy wypytywać o szczegóły operacji. Bez wątplenia autentyczna żywa ściana mięśni właśnie podjeżdżała w tej chwili pod gmach BKA, a mężczyzna i kobieta drapali się po głowach, zastanawiając się, komu, u diabła, go przekazali, jeżeli nie tym dobrym? Albo może tylko jedno z nich drapało się po głowie. Kobieta powiedziała, że chce mu wierzyć. Może to wystarczyło, żeby ją przekonać, by zatelefonowała do Anglii? Czy to prosty akt wyznania prawdy uruchomił cały ten łańcuch wydarzeń, niczym pierwszy przewrócony kamień domina?

Jedna rzecz, w której Szóstka celowała, to robota papierkowa. Ta ekipa mogła przedstawić każdy możliwy świstek, poprawny co do joty. Weszli i wyszli, i nikt się nie zorientował aż do chwili przybycia po więźnia prawdziwego transportu, stąd trzydziestominutowa jazda zamiast zabrania go prosto do Frankfurtu nad Menem albo na lotnisko wojskowe w Wiesbaden. Szóstka nie chciała, żeby Niemcy wiedzieli, że to Jej Wysokość wykradła im podejrzanego o zabójstwo papieża. Monarchini nie wypadało brudzić sobie królewskich rąk czymś takim, nawet jeżeli wcale nie wiedziała, co właściwie dokonuje się w jej imieniu.

Konstantin schował do kieszeni paszport i bilet.

- Dziękuję - powiedział.

- Nie mnie dziękuj, brachu. Ja tylko robię, co mi kazali. Podziękuj starszemu panu, że obdzwonił wszystkich i wykorzystał wszelkie przysługi, jakie był mu winien każdy mężczyzna, kobieta i dziecko stąd do Timbaktu. Bez niego, chłopie, gniłbyś w Berlinie do końca swoich dni.

Rozmienił w kiosku jeden z banknotów euro o niższym nominale, kupując kartę do telefonu.

Znalezienie działającego telefonu na kartę zajęło mu prawie godzinę.

Zadzwoił do Nonesuch.

Lethe odpowiedział po pierwszym dzwonku. Chwilę potrwało, nim połączenie zaskoczyło, i obaj mówili naraz, nie słysząc się nawzajem. Konstantin zaczął powtórnie:

- Lecę wieczornym lotem z Frankfurtu nad Menem na Heathrow. Kiedy wyląduję, znowu zadzwonię. Chcę, żebyś do tej pory znalazł dla mnie Milesa Devere'a.

Odwiesił słuchawkę, zanim Lethe zdążył cokolwiek wtrącić.

Lot przebiegał bez sensacji, zarówno na ziemi, jak i w powietrzu. Wydawało się, że wiele mogło się wydarzyć w ciągu dziewięciu dni, wliczając w to ludzi zapominających twarze albo rozpoznających je ledwie-ledwie i niepamiętających, skąd je znają, nawet jeśli była to twarz, którą widywali dzień za dniem w telewizyjnych wiadomościach i w prasie. Konstantin nie był gwiazdą filmową ani piłkarzem. A to oznaczało, że gdy ludzie na niego spoglądali, nieliczni mieli dziwne wrażenie, że o czymś zapomnieli, a potem potrząsali głowami, jak gdyby wyrzucając go z pamięci. Rozpoznawali go na poziomie podprogowym, tak jak każdą inną sławną osobę, ale klasyfikowali go właśnie tak, jako sławną osobę. Piłkarza. Aktora. Polityka. Logika podpowiadała im, że musiał być jednym z nich, a któż by się spierał z logiką?

Fakt, który miał znaczenie, to to, że BKA raczej nie paliła się do ogłaszania światu, że właśnie go zgubiła. Lotniska, dworce kolejowe i autobusowe roily się od szukających go agentów, ale nie szukali Johna Smitha.

Dzięki temu wylądował w Londynie odświeżony po podróży i wysiadł z samolotu. Przechodząc metalowym korytarzem w stronę wyjścia, zapytał kogoś z obsługi naziemnej, gdzie może znaleźć najbliższy telefon na kartę, po czym zatelefonował do Lethego.

- Witaj w domu, Koni - Lethe odezwał się, jeszcze zanim telefon zaczął brzęczeć mu w uchu. - Martwiliśmy się o ciebie.

- Wzruszające, doprawdy. Masz dla mnie ten adres?

- Staruszek powiedział mi, żebym powiedział tobie, że chce cię najpierw zobaczyć na odprawie.

- Potem, nie najpierw. Najpierw muszę spełnić pewną obietnicę.

- Cokolwiek rzeczesz, przyjacielu, ja tylko przekazuję wiadomość. Potem, nie najpierw.

- Adres?

- Przebywa w Anglii. Przyjechał do kraju dzień po zabójstwie.

- Anglia nie jest taka mała. Gdzie w Anglii?

- Ja tylko chcę, żebyś przez moment doceniał moją błyskotliwość, Koni. Znalazłem ci go, tak jak prosiłeś. Ale pomyśl, gdybym powiedział, że jest w Londynie, to by znaczyło, że jest jednym z siedmiu i pół miliona ludzi rozproszonych po trzydziestu dwóch różnych gminach. To mnóstwo ludzi i cholernie dużo ulic. Tam właśnie przebywa teraz twoja igła w stogu siana.

- Gdzie on jest?

- Cóż, pośród tych wszystkich milionów budynków znalazłem go dla ciebie. To pokazuje, jaki jestem dobry w tym, co robię, Koni. Ma mieszkanie w City, Clippers Quay, boczna Taeping Road. Możesz pojechać DLR do Mudchute i dojść stamtąd w dwie minuty. Większość domów zbudowano wokół starego Graving Dock. W bloku znajdują się cztery mieszkania. Penthouse należy do niego. Nie możesz przegapić.

- Grobowy dok? Czyż to nie odpowiednie - zaśmiał się Konstantin.

- To nie znaczy, że kiedyś chowali tam ludzi, Koni - Lethe powiedział mu wprost do ucha.

Telefon zaczął pikać ale on jeszcze się odezwał:

- No to teraz znaczy.

Odwiesił słuchawkę i ruszył spełnić obietnicę.

Wysiadł z kolejki i pośpiesznie zszedł po schodkach biegnących między pasami ruchomych schodów na górę i na dół. Był jedyną osobą, która wysiadła z kolejki, nim ta dojechała do Isle of Dogs. Ta część miasta była małym Manhattanem z powodu minidrapaczy chmur, które pobudowano wzdłuż nadrzecznego kompleksu Canary Wharf. Gmach Devere Holdings znajdował się pośród wszelkiego rodzaju banków handlowych i biur firm eksportowych i importowych. Nazwa Mudchute całkiem dobrze tu pasowała. Pomimo bliskości drapaczy chmur zachował się tu klimat lat 50. i miejsce zawdzięczało swoją ciekawą nazwę temu, że gdy je budowano, kraj cierpiał przez bandy pseudokibiców, a brytyjski chuligani byli postrachem Europy - gdyby nie to, nazwano by je Millwall Park, od drużyny piłkarskiej.

Konstantin szedł ulicą. Dwadzieścia lat temu w tej części Londynu roiłoby się od dzieciaków kąpiących puszki i udających, że są Teddym Sheringhamem i Tonym Cascarino, jednak dziś wieczór było cicho.

Po drugiej stronie torów wznoszono dalsze budynki. Metalowe szkielety budowli pomału otulano ceglami i zaprawą.

Konstantin nie miał broni. Bez wątplenia mógł wspiąć się na mur, zeskoczyć po stronie budowy i znaleźć jakiś przyzwoitych rozmiarów kamień, albo może kawałek stalowej rury lub pręta zbrojeniowego, dłuto, młotek czy inne narzędzie. Zrezygnował z tego, nie z jakichś powodów etycznych, bo nie widział problemu w kradzieży czegoś z miejsca budowy. Nie, on

pragnął dokonać tego gołymi rękami. Nie chciał, żeby cokolwiek dzieliło go od Devere'a, gdy wydusi z niego życie.

Konstantin znalazł właściwy budynek. Lethe miał rację, nie mógłby go przeoczyć. Był to jeden z tych czyraków na twarzy miasta, na które książę Karol pomstował latami, podczas gdy nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na królewskie narzekania.

Stracił swój klucz uderzeniowy, kiedy trafił do aresztu BKA, więc przedostanie się przez zabezpieczenia zapowiadało się na nieco bardziej skomplikowane. Cofnął się, stając tuż poza kałużą światła ulicznej latarni, i przesunął wzrokiem w górę po fasadzie. Na zewnątrz domu znajdował się całkiem solidny system kanalizacyjny z rurami biegnącymi od samego dachu. Konstantin nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego Brytyjczycy umieszczali swoje rury na zewnątrz domów, skoro gdy przychodził mróz, te rury zawsze pękały - może nie w ciągu pierwszej dekady, ale w końcu zawsze. Mróz, odwilż i tak dalej. Rury na zewnątrz wprost prosiły się o problemy. Zaś dobre metalowe rury porządnie osadzone w ścianie prosiły się o problemy całkiem innego rodzaju.

Konstantin wybrał jedną, prowadzącą na pierwszy balkon. Był długi, ale obiegał połowę frontonu i następnie zakręcał w prawo, żeby złapać nieco nisko padających promieni wieczornego słońca. Drugi balkon był identyczny. Tak samo było na każdym z trzech pięter. Rury wodociągowe przebiegały w najwyższych miejscach, tam gdzie balkony się nie pokrywały. Kiedy już Konstantin dostałby się na pierwszy z nich, byłoby mu stosunkowo łatwo wspiąć się na następny. Oczywiście, nie było gwarancji, że kiedy się tam znajdzie, drzwi od balkonu będą otwarte - bo jeśli nie będą, to prędzej piekło zamarznie, nim Devere przestałby odgrywać jedną z trzech świnek i wpuścił go do środka.

Zawsze mógł znowu spróbować sztuczki z domofonem, lecz znajdowały się na nim tylko trzy przyciski, a w żadnym z dolnych mieszkań nie paliło się światło. Nie marnował więcej czasu. Chybocząc się, wlaźł po rurze, szorując stopami po ścianie, i zahaczył się ręką o pierwszy balkon, żeby się podciągnąć. Drugi i trzeci poszły mu niemal z taką samą łatwością. Stał na barierce i sięgnął w górę. Następny poziom znajdował się o piętnaście centymetrów poza zasięgiem jego ręki, więc wychylił się i skoczył. Konstantin chwycił za betonową podstawę balkonu i podciągnął się w górę, jakby ćwiczył na drążku. Potem zakołysał się, zahaczając nogą o barierkę, i wspiął się na balkon drugiego piętra. Powtórzył ten manewr przy trzecim piętrze przez chwilę stał tam, zaglądając przez wielkie szklane drzwi i otrzepując kurz z dłoni.

Telewizor był włączony i rzucał wielokształtne cienie na kontury salonu.

Miles Devere usadowił się w skórzanym fotelu. Miał zamknięte oczy i postawę kogoś, kto uciął sobie drzemkę.

Konstantin chciał go obudzić, żeby nie przegapił zabawy.

Spojrzał na zegarek Dochodziła północ. Na balkonie stały krzesła, wygodne wyściełane krzesła z wysokimi oparciami. Konstantin rozsiadł się na jednym z nich. Zamierzał zrobić to na rosyjską modłę. A to oznaczało pojawienie się później, o czwartej nad ranem, szybko, gwałtownie i tak, by śmiertelnie przerazić Devere'a, zanim każe mu błagać, apelować i oferować bająnskie sumy, oddanie swojej fortuny, czegokolwiek, wszystkiego. Konstantin nie miał zamiaru dać się kupić. Kiedy Devere już wystarczająco się nabłaga, zatłucze go na śmierć i zostawi w tym jego miejskim mieszkanku w fikuśnym drapaczu chmur, otoczonego przez wszystkie te piękne rzeczy, które można kupić za pieniądze.

Gdy chodziło o dotrzymanie obietnic, miał cierpliwość świętego.

Spoglądał na rzekę, obserwując nocne miasto. Było ciekawą bestią. Nigdy nie spało spokojnie. Nie mógł pojąć jego magnetyzmu. Było brudne, cuchnące, zatłoczone, tak samo jak każde inne miasto na świecie. Przyglądał się dachom od Tower po charakterystyczną kopułę św. Pawła, i patrzył ponad dachami na London Eye i na Big Bena prawie na samym krańcu tego, co dało się dostrzec. Nocne światła sprawiły, że Londyn wydawał się innym

miejszem, niczym miasto z baśniowych opowieści. Mogły złagodzić ostre krawędzie budowli, lecz nie mogły ukryć faktu, że w tej właśnie chwili morderstwo było jedyną opowieścią o tym mieście wartą opowiedzenia

Znów spojrzał na zegarek.

Druga nad ranem.

Wkrótce, obiecał sobie. Rozproszone światło z telewizora zgasło. Najwyraźniej Devere obudził się ze swego zamroczenia i powlókł do łóżka.

Dwie godziny mijały powoli. Konstantinowi to nie przeszkadzało. Niektóre chwile warte były tego, by się nimi delectować. To była jedna z nich. Księżyc był okrągły i jasny.

Konstantin wstał i przeszedł wzdłuż balkonu, rozglądając się za jakimś narzędziem, które pomogłoby mu otworzyć zamek, gdyby tego potrzebował. Trzech na dziesięciu włamywaczy w mieście w ogóle nie musiało używać siły, ponieważ mieszkańcy byli zbyt tępi, żeby zamykać własne drzwi i okna, ale Konstantin odnosił wrażenie, że Devere miał świadomość, ile znaczą zabezpieczenia. Bogaci ludzie zwykle tacy byli - aż do granic paranoi. Jakkolwiek było w jego przypadku, Devere nie wykazywał pasji do ogrodnictwa. Nie leżał tam podręczny skład narzędzi do wznoszenia ziemi i sadzenia cebulek w skrzynkach. Konstantin powoli wrócił do drzwi balkonu. Proste zamki, montowane fabrycznie w drzwiach balkonowych, zazwyczaj bywały kruche i słabe, co znaczyło, że zamek dałoby się wyłamać pod naciskiem. Nieważne, jak mocne było szkło, jeżeli zamek mógł się rozpaść przy użyciu porządnej dźwigni. Kij od szczotki wystarczał, żeby wyłamać większość z nich, ale na szczęście większość ludzi smacznie śpiących wśród łagodnych świateł baśniowego miasta nie miała o tym pojęcia. Gdyby mieli, wcale by nie sypiali, a już na pewno nie smacznie.

Drzwi były zamknięte, lecz Konstantin nie mógł dojrzeć żadnych dodatkowych zamków ani zabezpieczeń, co znaczyło, że Devere sądził, że cztery kondygnacje zapewniają mu bezpieczeństwo. Nie pożyje dostatecznie długo, żeby pożałować swojej pomyłki.

Konstantin znalazł to, czego szukał: metalowy pręt od suszarki na ubrania, na której Devere zwykł rozwieszać swoje markowe koszule.

Wsunął go w mechanizm i użył nieco siły, testując jego wytrzymałość. Wyczuł opór, po czym nacisnął ponownie, tym razem odrobinę mocniej, naruszając zamek. Rozpadł się przy trzeciej próbie, z trzaskiem głośnym jak wystrzał.

Konstantin odrzucił na bok metalowy drążek i prześlizgnął się przez otwarte drzwi.

Wszedł do środka.

W mieszkaniu panowała ta niesamowita cisza godziny czwartej nad ranem. Konstantin śpiesznie sprawdził mieszkanie, przechodząc od pokoju do pokoju. Wystrój był spartański - skandynawski minimalizm. Mieszkanie było całkowicie pozbawione śladów osobowości, i to nie i powodu ciemności. W środku nie było wcale aż tak ciemno; księżyc w pełni rozjaśniał wszystko srebrnym blaskiem.

Na każdej z białych ścian wisiało pojedyncze dzieło. Konstantin nie potrafił stwierdzić, czy to tanie reprodukcje czy kosztowne oryginały. Niespecjalnie przepadał za sztuką. Rozpoznawał niektóre dzieła, zwłaszcza dawnych mistrzów, ale nie te nowoczesne wymysły. Lubił, gdy jego artyści byli jak jego wrogowie - martwi.

Devere nie wyglądał jak człowiek ogarnięty paranoją. Nie porozstawiał detektorów ruchu w strategicznych punktach każdego z pomieszczeń, a małe czerwone światełko migало za każdym razem, gdy Konstantin się poruszył, lecz nie włączał się alarm. Podobnie jak większość ludzi, Devere najwidoczniej nie włączał alarmu, kiedy przebywał w mieszkaniu.

Konstantin znalazł pokój sypialny Devere'a.

Przez chwilę nasłuchiwał przez drzwi cichych chrapnięć śpiącego mężczyzny, jeszcze raz zerkając na zegarek. Punktualnie czwarta. Pora obudzić demony. Konstantin otworzył drzwi kopniakiem, wrzeszcząc jak potępieniec, gdy wtargnął do sypialni.

Miles Devere miotał się na łóżku w wykrochmalonej pościeli, brutalnie wyrwany ze snu. Podniósł się i usiadł, przyciskając prawą rękę do serca.

Konstantin nie dał mu ani sekundy na zorientowanie się, co się dzieje.

Rzucił się na Devere'a, prosto przez pokój i ku jego twarzy, niczym jakiś upiór z jego najgorszego koszmaru - i Devere tak właśnie myślał przez te parę sekund, gdy nacierała na niego wściekle wrzeszcząca postać. Konstantin raz uderzył Devere'a, wierzchem lewej dłoni na odlew w twarz po czym chwycił go za włosy i wywlókł z łóżka.

Do tej pory Devere zdołał się już połapać w sytuacji.

To mu nie pomogło.

Konstantin cisnął Devere'a na podłogę jak tobołek i zamachnął się na niego obutą stopą, kopiąc go raz za razem, aż nagi mężczyzna skulił się do pozycji płodu, usiłując się osłonić. Konstantin nie odezwał się ani słowem, po prostu cofnął się o krok, żeby mieć miejsce na zamach do wymierzenia kolejnego kopniaka w plecy Devere'a.

Pochylił się, chwycił Devere'a garścią za włosy i zaciągnął go do salonu. Devere kopał, starając się podciąć mu nogi, a między krzykami i jękami bólu łapał i okładał rękę Konstantina.

Konstantin cisnął nim przez pół salonu i stanął nad nim, przyglądając się, jak nagi Devere niezdarnie próbuje wstać.

- Ja nigdy nie łamię obietnic - powiedział. - To rosyjska cecha, honor przede wszystkim.

- Proszę - odezwał się Devere, podnosząc wzrok i jednocześnie usiłując skulić całe ciało tak, by stanowić możliwie jak najmniejszy cel dla Rosjanina.

- Proszę? Proszę o co? - przedrzeźniał go Konstantin. - Proszę, nie zabijaj mnie? - Pokręcił głową. - Nie jestem zainteresowany. Ani trochę nie jestem zainteresowany spełnianiem twoich zachcianek. Byłem w Berlinie, widziałem, co zrobiły twoje pieniądze, widziałem, jak wyciągali ciała z metra. Wszyscy ci niewinni ludzie. Jak myślisz, czy oni błagali, gdy dusił ich gaz?

- Ja nie... - jęczał Devere.

- Tak, ty to zrobiłeś. Miej jaja, żeby się do tego przyznać, to jeśli będziesz w ciągu najbliższych paru minut dostatecznie rozpaczliwie żałował za grzechy, może Bóg ci wybaczy, ale ja w to wątpię. Myślę, że istnieje jakieś specjalne miejsce w piekle zarezerwowane dla takich ścierw jak ty.

- Co chcesz, żebym mówił?

Miles Devere wyglądał żałośnie, dygoczący, nagi, kurczowo trzymający się za łydki, próbujący zakryć penisa i własną bezbronność, i całkowicie pozbawiony jakiegokolwiek dumy czy godności. To był prawdziwy Devere, odarty z całej władzy, jaką można kupić za pieniądze. Był to mężczyzna odarty do nagiej skóry i kości, obnażony w swej ułomności.

- Chcę, żebyś zrobił coś więcej niż tylko „mówił”, Miles. Chcę, żebyś zrobił to, co robisz najlepiej, chcę, żebyś mnie kupił. Chcę, żebyś kupił ode mnie swoje życie.

Oczy Devere'a rozjaśniły się, jego twarz nagle przybrała szalony wyraz w świetle księżyca.

- Podaj cenę. Cokolwiek.

- Pięć tysięcy - powiedział Konstantin. - Nie, lepiej dziesięć. Dziesięć tysięcy.

Devere omal się nie roześmiał.

- Dziesięć tysięcy? Tylko tyle? Nie milion? Nie dom na Bahamach i jacht? Dziesięć tysięcy? Brak ci wyobraźni? - Nagle Devere znalazł się w swoim żywiole, zawierając układy, targując się, starając się ustalić cenę, szukając sposobu na wyciągnięcie korzyści z tragedii. - Mogę dać ci więcej. Mogę ci dać więcej niż potrafisz sobie wyobrazić. Mogę ci dać tyle pieniędzy, że sama myśl o tej kwocie postawi twojego rosyjskiego fiuta na baczność. Spróbuj jeszcze raz, podaj cenę.

- Dziesięć tysięcy - Konstantin powtórzył i prychnął.

Zaczął rozpinąć guziki koszuli i ściągać ją z siebie.

Devere pokręcił głową.

- Nie łapiesz, mogę dać ci wszystko, co tylko chcesz i więcej. Twoje najdziksze marzenia, to tylko pieniądze. Zawsze mogę zdobyć ich więcej.

Konstantin przewiesił koszulę przez oparcie skórzanego fotela.

- Nie zapytałeś, dziesięć tysięcy czego.

Devere pokręcił głową, nagle niepewny, gdy grunt usuwał mu się spod nóg.

- Dziesięć tysięcy czego? - spytał.

Jego głos brzmiał teraz ciszej, jak gdyby Devere nie chciał usłyszeć odpowiedzi.

Konstantin kopnięciami zrzucił buty, najpierw jeden potem drugi.

- Ludzi. Dziesięć tysięcy martwych ludzi. Chcę, żebyś im z powrotem oddał ich życie.

Ty ponosisz winę za ich śmierć, więc oddaj im ich życie. Jesteś im to winien. Jeżeli tego nie potrafisz, to nie posiadasz nic, co by mnie interesowało.

Devere pokręcił głową.

- To niemożliwe... Nie da się wskrzesić ludzi z martwych. Nie da się.

- No to chyba oznacza koniec naszych interesów, nie sądzisz? - spytał Konstantin.

- Nie. Proszę... proszę.

Konstantin nie słuchał.

Rozpiął pasek i zdjął z siebie spodnie i bokserki.

I nagi wyruszył na wojnę.

Nie spieszył się, obserwując, jak wskazówki zegara powoli przesuwały się na piątą rano, podczas gdy on kazał Devere'owi cierpieć. Bił go, aż jego ciało pokryła krew. Bił go, aż jego twarz się zapadła. Bił go, aż Devere nie mógł już oddychać, gdyż jego ciało było tak zdewastowane. Bił go, aż Devere przestał błagać i pragnął już tylko, żeby to się skończyło. Bił go, aż sam pokrył się jego krwią. Devere miał rację. Żadna liczba ciosów nie przywróci ich do życia. Żaden ogrom bólu nie zdoła wyrównać rachunków za cierpienie, jakie Devere spowodował swoją bezduszną pogonią za pieniędzmi. Konstantin nie dbał o to. Tu chodziło o dotrzymanie obietnicy.

Zatłukł Milesa Devere'a na śmierć gołymi rękoma.

Taki był rosyjski sposób. Żadnego dystansu między nimi. Żadnej przewagi. Tylko mężczyzna przeciwko mężczyźnie, nadzy, surowi, niczym gladiatorzy z przeszłości. Udawał, że to oznaczało, że dał Devere'owi szansę. Nie dał. Kiedy skończył, poszedł do łazienki i zmył krew Devere'a ze swego nagiego ciała, a później się ubrał.

Wyszedł z mieszkania frontowymi drzwiami.

OPUSZCZONY

Noah był zdesperowany. Czas biegł nieubłaganie, a monsignor Gianni Abandonato był jak duch. Watykan odmówił Noahowi wstępu. Nie miał tam żadnych uprawnień. To był minus działania poza strukturami. Kiedy sytuacja stawała się rozpaczliwa, kiedy zegar tykał, a piekło tylko czekało, żeby się rozpętać na ziemi, nie było nikogo, do kogo mógłby się zwrócić. Nie żeby się palił do proszenia o pomoc.

Noah był samotnym wilkiem. Wojownikiem starej szkoły, nie jednym z tych graczy zespołowych jak Frost. Przez całe lata był zawodowym żołnierzem wykonującym robotę, której istnienia nikt by oficjalnie nie potwierdził, ale o której i tak każdy wiedział. Oficjalnie został zaklasyfikowany jako strzelec wyborowy. Było to ładniejsze określenie snajpera, a to kolei było miłszym słowem na zabójcę. Zabijał ludzi, których śmierci pragnął rząd. Nie musiał usprawiedliwiać samego siebie, mówiąc, że tylko wykonywał rozkazy. To faktycznie była prawda, ale Noah wierzył w to, co robił.

Zastanawiał się, ile bólu zaoszczędzono by światu, gdyby dano mu Bin Ladeną, w czasach gdy jeszcze nazywano go Usamą, nie Osamą, i gdy nie był jeszcze postacią numer jeden światowego terroryzmu. Albo Husseina. Oczywiście, to nie było takie proste. W tamtych czasach Usama był najlepszym przyjacielem stającym przeciwko większemu wrogowi, ZSRR. Był wschodzącą gwiazdą wśród mudżahedinów, lokalnym watażką dokonującym imponujących wypadów przeciwko Armii Czerwonej. Zachód pragnął usunąć ZSRR z Afganistanu, a chodzenie do łóżka z ludźmi pokroju Usamy było płaconą za to ceną. Nazywali to Większym Dobrem. Noah wierzył w Większe Dobro. Większe Dobro spełniłoby się jednak, gdyby ktoś nakarmił Bin Ladenem górskie kozy, kąsek po kąsku. Większe Dobro spełniłoby się dzięki oczyszczeniu Iraku z rodziny Husseina po pierwszej wojnie w Zatoce, kiedy na światło dzienne zaczęła się wylaniać prawda o jego rządach. Przykry fakt był taki, że Większe Dobro prawie nigdy nie bywało realizowane w rzeczywistym świecie. Ludzie byli zbyt załęknieni albo mieli związane ręce. I tam właśnie wkraczał on. Nosił inny mundur i już nie salutował, lecz misje tak naprawdę zbytnio się nie zmieniły.

Wystarczyłaby tylko jedna kula, ale żeby rzeczywiście wystrzelić tę kulę, musiał znaleźć Abandonato.

Dziewięć dni temu, kiedy wyszedł z bazyliki św. Piotra i poszedł szukać kapłana, autentycznie niepokoił się o niego. Z początku pomyślał, że go porwano. Że któryś z ludzi Mabusa dopadł go jakoś, podczas gdy Noah ścigał samobójcę w radosnych płasach po ulicach Rzymu.

Potrzebował więcej czasu, żeby uświadomić sobie prawdę.

Powinien był się tego domyślić wcześniej, ale niekiedy nie był mistrzem intelektu. To nigdy nie było koniecznym warunkiem w karierze, jaką sobie obrał. Robił, co mu kazano, to znaczy ktoś mówił mu, co ma robić, ale przeważnie nie co ma myśleć.

A potem zaczął myśleć samodzielnie. Nick Simmonds nie przetrwałby samotnie w obrębie Watykanu. Zwykły wolontariusz nie uzyskałby dostępu do odpowiednich części archiwów i właściwych tekstów, bez względu na to, jak bardzo świątobliwi bibliotekarze potrzebowaliby pomocy. Było tam zbyt wiele sekretów, które pragnęli chronić. Abandonato sam prawie mu to powiedział, lecz jak większość ludzi, którzy nie chcą zostać przyłapani na wpadce, kontrolował się. Simmonds potrzebował kogoś, kto podpisywałby jego przydziały. Kogoś do nadzorowania jego pracy. Nie było mowy, aby grupa ludzi tak nawykłych do chronienia jednych z najcenniejszych i najbardziej niezwykłych przekazów uwiecznionych ręką skryby lub drukiem, przemyśleń ludzi nieżyjących w niektórych przypadkach od tysięcy lat, pozwalała każdemu ot, tak, dotykać unikatowych tekstów bez upewnienia się, że będą

odpowiednio traktowane. Biblioteka to jedno, ale Archiwa Watykanu? Noah nie widział ich, ale Neri wyjaśnił mu, że niektóre z tych tekstów były tak wrażliwe, że przechowywano je w hermetycznie zamkniętych komorach o niskiej zawartości powietrza i odpowiednim ciśnieniu, w środowisku o kontrolowanej wilgotności. To nie były po prostu książki na półkach, czekające na wpakowanie do pudła i postawianie w kącie, gdzie będą oczekiwać na zakończenie renowacji budynku.

To kazało mu zastanawiać się jeszcze intensywniej.

Potrzebny mu był Neri, że potwierdzić jego podejrzenia. Neri sprawdził to u szefa watykańskiej policji, ale obaj wiedzieli, jaka będzie odpowiedź, jeszcze zanim nadeszła. Trzy pytania, trzy odpowiedzi - Abandonato nie powrócił do swojego mieszkania od dziewięciu dni. Nie stawiał się do pracy w bibliotece od czasu swojego spotkania z Noahem. I na koniec, prośbę Nicka Simmonsa o zgodę na pracę w bibliotece rozpatrzył pozytywnie monsignor Gianni Abandonato.

Tak brzmiał przysłowiowy drugi spadający but.

Pracowali wspólnie. Mentor i uczeń. Noah nie wiedział, który zwerbował którego, lecz w trakcie tego jednego poranka, jaki Noah spędził w jego towarzystwie, Abandonato wypowiedział tyle herezji, że dobremu katolikowi wystarczyłoby na całe długie życie.

Powinien był wiedzieć. Miał wszystko przed nosem. Kapłan był zbyt sympatyczny. Czasami poczucie winy bierze się z czegoś, czego ktoś nie powiedział, a nie tylko z tego, co zrobił. Noah usiłował sobie przypomnieć wszystko, co mówił Abandonato, ale nie potrafił. Wszystko zamazywało mu się w głowie w jeden niezrozumiały bałagan. Było tam mnóstwo o prorocत्वach i o antychryście, w skrócie taki wydawał się być tego sens, że przynajmniej raz na pokolenie świat się miał ponoć rozlecieć na kawałki.

Ponownie zaangażował Neriego do pomocy, usiłując odnaleźć zaginionego monsignora w staroświecki sposób, na piechotę, pukając od drzwi do drzwi. Skoro nie znajdował się w obrębie Stolicy Apostolskiej, to musiał przebywać poza nią. Ale znalezienie go graniczyło z cudem. Rzym był wielkim miastem, do tego pełnym pielgrzymów w żałobie, którzy przybyli, by pożegnać papieża. Abandonato musiałby być dwumetrowym słoniem w różowej spódniczce baleriny, żeby ludzie zwrócili na niego uwagę. Mężczyzna w stroju duchownego był w Rzymie jak niewidzialny.

W zamian Noah dał Neriemu fotografię zabójcy, którą Lethe przesłał mu na komórkę, i powiedział mu, by ją przekazał szefowi sił policyjnych Watykanu. W Gwardii Szwajcarskiej znalazł się jeden szczur, którego twarz na zdjęciu obrysował na czerwono, żeby nikt się nie pomylił. Neri ufał Noahowi. Wiedział, że mu ufa. Widział materiały z wiadomości, które widzieli wszyscy, lecz został przeszkolony do tego, by dostrzegać to, co ukryte. Uznał fakt, że kąty ustawienia kamer nie pozwoliły na uchwycenie choćby jednego ujęcia, na którym byłoby widać wbijany sztylet. Dlatego chociaż wszyscy inni byli gotowi uwierzyć w świadectwo własnych oczu, Neri nadal był skłonny przynajmniej zadawać pytania. Noah wiedział, że Neri przekazał zdjęcie dalej, ale nie miał pojęcia, czy Gendarmeria podjęła jakieś działania w oparciu o sceptycyzm Neriego. Jeżeli mury Stolicy Apostolskiej w czymś naprawdę dobrze się sprawdzały, to było to utrzymywanie sekretów. Nie do żandarmerii należało zapewnienie ochrony Ojcu Świętemu, to zadanie leżało w gestii Gwardii Szwajcarskiej. Jednak jak najbardziej w gestii żandarmerii było dochodzenie w sprawie działalności kryminalnej. Noah musiał im zaufać, że wykonają jego robotę, odkładając na bok ślepą wiarę w dobroć ludzkiej natury, i zbadają sprawę. Tak długo, jak tego nie zrobią, szczur pozostawał wolny, by przechadzać się po uświęconych korytarzach.

Noah nie mógł się powstrzymać od myśli, że to trochę jak powiedzenie Adamowi, że w Raju znajduje się wąż. Nie wiedział, czy to jakoś wpłynie na ostateczny rezultat, lecz i tak musiał to zrobić. Jeżeli uprą się, żeby ugryźć jabłko, przynajmniej będzie wiedział, że zrobił, co do niego należało.

Wraz z każdym kolejnym dniem, w którym nic się nie działo, Noah żywił coraz gorsze obawy, co to może być, gdy już się wydarzy. Była to podstawowa zasada terroryzmu, sam mówił to ze sto razy: gdy rzuca się groźbę, to się jej dotrzymuje. W chwili, gdy odstępuje się od tego przyrzeczenia, rozgania się strach, który każda kolejna groźba zasiewa w społeczeństwie. To jak z chłopcem wołającym „wilk!”. Chłopiec, który wołał „bomba!”. Samobójcy przyrzekali czterdzieści dni i czterdzieści nocy strachu. Wszyscy odebrali to jako groźbę czterdziestu odrębnych ataków w całej Europie, lecz po Berlinie i Rzymie, a potem morderstwie Piotra II, co jeszcze mogliby zrobić? Jak mogliby nasilić groźbę? Ponieważ zasadniczo na tym opierał się terroryzm, na eskalacji grozy. Wysadzenie jednego biurowca po czymś tak nikczemnym, jak zatrucie wody w całym mieście byłoby deeskalacją. Nie oddziaływało już w taki sam sposób. Na powrót czyniło strach czymś przyziemnym.

Rzym znowu oddychał pełną piersią, jak gdyby jego czas w światłach jupiterów przeminął, a miasto przetrwało. Były straty, straszliwe straty, ale miasto przetrwało. Teraz kolej jakiegoś innego miasta. Oni już dosyć wycierpieli.

Gdyby Noah był jednym z tej demonicznej trójcy - Mabusem, Akimem Caspim lub Milesem Devere'em - to ukarałby ich za takie założenia. Ponownie uderzyłby w Rzym tylko po to, by udowodnić, że nie, nie wycierpieli dosyć. To on powiedziałby im, kiedy mają dosyć, a nie oni jemu.

Noah powrócił myślami do notki, którą znalazł przy fałszywym zamachowcu samobójcy: „Poddaliśmy próbie waszą wiarę. Dzisiaj ją łamiemy”. Wszystkie wiadomości były enigmatyczne, przeplecione niejasnymi prorocत्वami, lecz wszystkie one nawiązywały do wiary. Kościoła. Jedyne dwa dotychczasowe ataki, pomimo obietnicy tak wielu więcej, miały miejsce we Włoszech, siedzibie Kościoła Katolickiego, oraz w Niemczech, w kraju, w którym papież akurat przebywał z pielgrzymką. Tłumy przed bazyliką św. Piotra dowodziły, że zabicie jednego człowieka nie załamuje światowej wiary. Wierni ściągali na plac, żeby dać świadectwo swojej miłości, i by pokazać terrorystom, że ich wiara się nie złamała.

Wszystko to oznaczało, że nadciąga coś jeszcze.

Coś, co wstrząśnie samymi posadami niewzruszonej wiary.

Coś, co każe im wszystkim zadać takie samo pytanie, jakie zadał ich mesjasz: „Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił?”. Zaś Abandonato był tu kluczem.

Taka była prawda.

Musiała być.

A Noah nigdzie nie mógł znaleźć tego przeklętego człowieka.

Abandonato nie chciał umierać.

Nie pragnął zostać męczennikiem za prawdę.

Na samym początku wierzył tak żarliwie, że nie tylko pragnął to zrobić, ale sam zgłosił się na ochotnika, by wyjść na plac i spłonąć. Lecz to się zmieniło. Nie chodziło o to, że przestał wierzyć. Nie chodziło o to, że przestał zadawać pytania. Solomon znalazł go i związał ze swoją sprawą dzięki prawdzie świadectwa. To on był pierwszym, który przetłumaczył testament. Nikt inny nie wiedział, co mieli w rękach. Testament Menahema Ben Jaira, wnuka Judasza Iskarioty, założyciela sekty sykaryjskich zabójców, pierwszych na świecie fundamentalistycznych terrorystów. Znalazł się bliżej niż ktokolwiek inny relacji z pierwszej ręki o tym, co się wydarzyło w Getsemani. Ewangelia św. Mateusza, spisana po grecku, nie zaś po hebrajsku czy aramejsku, musiała zostać napisana po upadku Jerozolimy w 70 roku, zapewne nawet aż około roku 100. Zaś Ewangelia św. Marka - uważana za najstarszą z Ewangelii - także wspomina o upadku Świątyni Jerozolimskiej, co datuje ją co najmniej na rok 70, podczas gdy Testament Menahema musiał zostać spisany przed zbiorowym samobójstwem sykariuszy w roku 73 i nie mógł być starszy. Sykariusze znajdowali się u szczytu potęgi w czasie wojny żydowskiej, od upadku Świątyni 70 roku do swego

samobójstwa w Masadzie. Ten testament był niemal na pewno Dokumentem Zero, pierwszą relacją o śmierci Judasza. W przeciwieństwie do Ewangelii, ukazywał on tragicznego bohatera, mężczyznę dokonującego ostatecznego poświęcenia. Oczywiście Ewangelie istniały z zupełnie innego powodu. Dążyły do ubóstwienia człowieka, Chrystusa, aby wykazać jego boskość i wynieść go ponad wszystkich innych. Chrystus z testamentu Ben Jaira daleki był od boskości. Był człowiekiem ze wszelkimi ułomnościami człowieka. Ben Jair nie twierdził, że Judasz był synem Boga. W żadnym razie. Judasz Iskariota z jego opowieści to jeszcze jeden zupełnie zwyczajny człowiek. Testament opowiadał o miłości, przyjaźni i poświęceniu.

I to Judasz, dziadek Ben Jaira, był tym, który złożył ofiarę, wiedząc, co to będzie oznaczało dla jego rodziny, lecz tak naprawdę nie pojmując, jak z biegiem czasu ta ofiara zostanie przeinaczona i wypaczona. Skąd mógłby wiedzieć? I skąd mógłby o tym wiedzieć Ben Jair? Oni żyli w tamtych czasach. Czytając testament teraz, interpretując go, nie sposób było nie odczytywać dokumentu przez pryzmat naszego pojmowania, nie przykładać do jego lektury naszej współczesnej wrażliwości.

Oryginalne Ewangelie nie chciały żadnej części tej opowieści. I to nie tylko dlatego, że im zaprzeczała, lecz dlatego, że zasadniczo samo sugerowanie, że śmierć Iskarioty to zabójstwo, a nie samobójstwo, tyle innych rzeczy podawałoby w wątpliwość. Judasz nie byłby już dłużej skazany na wieczne potępienie, lecz zostałby wyniesiony, no a co z Mateuszem, który trzymał sznur? Albo z Markiem, Łukaszem i innymi, którzy ciskali kamieniami? Co z ich śmiertelnymi duszami, jeżeli odeszli od oświeconych istot niosących światu nauki Jezusa Chrystusa i stali się zabójcami? Co wówczas stałoby się z prawdą o ich służbie Bogu?

To podważało wszystko, w co nauczono go wierzyć.

Słowa Solomona były życzliwe. Raz po raz pytał, jakie było przeznaczenie mesjasza? Znowu i znowu, mówił o rodzie Dawida i odbudowie Izraela. To nie było przesłanie wojny. Chodziło tylko o pokój. O miejsce na tym świecie dla ludzi, którzy cierpieli przez dwa i pół tysiąca lat. A kiedy mówił, o tyle spośród tych krzywd obwiniał Rzym. To Rzymianie latami okupowali jego kraj, to Rzymianie w następstwie rebelii Bar Kochby wymordowali ponad pół miliona Żydów i starli z powierzchni ziemi pięćdziesiąt warownych miasteczek i dziewięćset osiemdziesiąt pięć wiosek. To była rzeź, a wszystko przez to, że Hadrian zapragnął wykorzenić judaizm. Kolejne nieprawości w imię religii. Hadrian zabronił Tory, zakazał hebrajskiego kalendarza, systematycznie ścigał i zabijał żydowskich uczonych. I wciąż nie był zadowolony. Hadrian dążył do wymazania nazwy Judea ze świadomości ludzi. Jego pierwszym krokiem było uusuwanie jej z mapy poprzez nazwanie tego starożytnego kraju Syria Palaestina, Syrią Palestyńską - od Filistyńczyków, dawnego wroga Żydów. I od tamtej pory kraj znany jest jako Palestyna, a nie Judea, nie Kanaan czy Iudaea. To Rzymianie stworzyli Palestynę odebrali im święte miasto Jerozolimę. Hadrian zmienił jej nazwę na Aelia Capitolina i zakazał Żydom wstępu do niej.

Nie była to historia napawająca dumą.

Jakże mógł nie współczuć wobec okropieństw popełnianych wobec tych ludzi na ich ojczystej ziemi? Jak mógł nie odczuwać odległej, chłodnej winy historyka? Musiałby sam także być potworem. Słyszał w głowie okrzyki i śmiech herodian i rzymskich legionistów, nazywających go Królem żydowskim.

To było dawno temu, powtarzał sobie, próbując uczynić te wydarzenia mniej haniebnymi przez dodanie im filtra czasu. To było trudne, gdy sam Rzym wciąż pełen był pamiętek rządów Hadriana - Panteon, nawet jego mauzoleum, Zamek św. Anioła. Jego dotyk dawał się odczuć wszędzie we współczesnym Rzymie.

Abandonato był uczonym.

Poświęcił życie odkrywaniu prawdy.

A potem wydarzenia zaczęły następować po sobie, zaś prawda przestała się wydawać taka istotna. Ludzie zaczęli cierpieć. I to się działo naprawdę. Wyglądało to inaczej, gdy dotyczyło kwestii akademickich. Kiedy były to przypuszczenia i domysły, i coś, czym zajmował swój umysł, i cała gadanina Solomona o mesjaszu sprowadziła się do zbrodni na olbrzymią i przerażającą skalę.

Na to się nie godził. Nie pragnął stać się tego częścią.

A teraz mógł tylko myśleć, zaś wszystko, o czym potrafił myśleć, to że niektóre prawdy powinny pozostać w ukryciu.

To właśnie miał teraz robić. Pozostawać w ukryciu.

Kiedy dwa tygodnie temu Nick Simmonds dał mu małą plastikową torebkę i uprosił go, żeby ją schował wśród węgli w palenisku w Kaplicy Sykstyńskiej, kapłan nie wiedział, o co tak naprawdę go poproszono.

Teraz już tak.

Teraz zrozumiał.

Wiedział, co musi zrobić, nawet jeżeli to oznaczało poświęcenie własnego życia. Była to ofiara, którą musiał dożyć. Nie mógłby żyć ze świadomością, że ma na rękach więcej krwi. Nie był zabójcą ani trochę bardziej niż byli nimi Apostołowie. Oni ratowali nieśmiertelną duszę swojego przyjaciela. Jedynie tak odczytany testament Ben Jaira miał sens.

Byli rozgniewani, zranieni, lecz wiedzieli, że on nie mógłby dalej żyć ze swoją zdradą, zaś samobójstwo na wieki zagroziłoby mu drogę do królestwa niebieskiego. A więc go ocalili.

Ale czy Gianni Abandonato miał w sobie dosyć siły, żeby kogokolwiek ocalić?

Był uczonym. Jego światem był papier. Słowa. Opowieści.

Wyjście poza ten świat skaże go na potępienie jako zdrajcę, tak samo jak sam Judasz dokonał poświęcenia, które na zawsze nazaczyło go jako zdrajcę. Abandonato ukrył tę małą plastikową torebkę w palenisku, pod węglami, tak żeby nikt jej nie ruszał, dopóki nie zapalą węgli. Nie wiedział, co znajdowało się wewnątrz torebki, dopóki nie zaczęły napływać relacje z Berlina. Trujący gaz w metrze. Wtedy pojął, co schował pod węglami, a kiedy zapłonął ogień, żeby oznajmić wybór nowego Namiestnika Chrystusowego, będzie odpowiedzialny za zamordowanie całego Kolegium.

Został wykorzystany.

Był głupcem.

Ale głupota nie jest usprawiedliwieniem.

Abandonato znał samego siebie.

Nie byłby w stanie znieść dalszego życia, jeżeli zapłonął ogień w palenisku z plastikową torebką nadal schowaną w jego wnętrzu.

Ostatnie dni przeżył - o ile można to nazwać życiem - w dawnym mieszkaniu Nicka Simmondsa w pobliżu starych murów Circus Maximus. Od zawsze to planowano. Była to nauka, którą jego panowie wynieśli z lat walki. Policja nie powracała w miejsce, które już zostało skreślone jako opuszczone. Mieszkanie Simmondsa oferowało mu azyl. Miał zapas wody w butelkach i żył skromnie, nie zapalając światła i nie hałasując. Nie chciał się ujawniać. Go za ironia, że krył się w cieniu budowli, która stanowiła plac zabaw innego rzymskiego cesarza. To więcej niż ironia, to poetycka sprawiedliwość, myślał uczony. Ze wszystkich miejsc w całym Rzymie to właśnie w Circus Maximus przesądzano o życiu lub śmierci.

Wiedział, jak musi postąpić.

Nie mógł pozostać w ukryciu.

Musiał zanieść wiadomość Kardynałowi Diakonowi. Nie mogą rozpalić tego ognia.

Noah Larkin błagał Neriego, żeby wprowadził go do środka. Musiał się dostać do Watykanu. To tam wszystko się rozegra.

Tutaj był beзуżyteczny.

Tutaj nic się nie miało wydarzyć. To było oczywiste od samego początku. Cel zawsze znajdował się wewnątrz murów Stolicy Apostolskiej.

Jak można złamać wiarę ludzi?

Czymś spektakularnym, oto jak. Czymś, co zauważyłby nawet sam Bóg.

- Przy całej swojej wszechmocy, na jakie miejsce Bóg zwraca teraz oczy? - spytał Noah, usiłując przekonać Włocha. - A nawet jeśli nie Bóg, to wszyscy inni?

Neri spojrzał na niego. Szpakowatemu Włochowi nie podobało się, dokąd zmierzała ta rozmowa.

- Nie wiem, ty mi powiedz?

Z miejsca przy stoliku w przecenianej kafejce Noah wskazał na drugą stronę Placu, na fasadę Maderny.

- Watykan. Tak jak każdy, Bóg patrzy na komin Kaplicy Sykstyńskiej, czekając na biały dym, który oznajmi, że wybrano jego nowego najlepszego przyjaciela.

- Watykan to forteca, przyjacielu. Nie ma bezpieczniejszego miejsca na Ziemi. Nikt nie wejdzie, nikt się nie wydostanie.

- To się nazywa pycha, wiedziałeś o tym? Zapomnij o wszystkich tych bzdurach na temat Gwardii Szwajcarskiej, w stylu „to nie są żołnierze, oni podążają za boskim wezwaniem”. To faceci, a nie herosi z mitów. Mogą być zawodni. Koniec dyskusji. Jedno, co zaobserwowaliśmy u tych gości, z którymi się mierzymy, to że są cwani. Są cierpliwi i w ciągu kilku dni niejeden raz wycięli „niemożliwy” numer. Plan zatruć wody zaczęli realizować na długo przed tym, jak znaleziono pierwszą ofiarę. Mówisz, że Watykan to forteca? I co z tego? Nie wiemy, czy złapali prawdziwego zabójcę, czyż nie? Nie wiemy, czy ukrywają Abandonato. W tym ogrodzie siedzi wąż, przyjacielu. Cholernie duży, z zatrutymi kłami. I tylko czeka, żeby chapnąć jakiś świątobliwy tyłek.

- Słyszę, co mówisz, ale konklawe jest zamknięte. Odkąd się zaczęło, nikt nie może wejść ani wyjść. Drzwi zostały zapieczętowane na koniec dziewiątego dnia żałoby. Nie zostaną otwarte, dopóki nie zadzwoni dzwonek, a biały dym nie uniesie się z komina. Nie ma sposobu, żeby się tam dostać albo wydostać. Przeczesało Kaplicę, szukając podsłuchów. To nie średniowiecze. Ochrona jest pierwsza klasa.

- To tylko wzmacnia moje argumenty, Neri. Nie można by znaleźć bardziej szokującego celu, prawda? Każdy sądzi, że nie da się przeniknąć do środka. A co by było, gdyby się udało? Co by się stało w najgorszym możliwym przypadku? Potrafisz to sobie wyobrazić? Pomyśl przez chwilę jak druga strona. Czy trudność przewyższa nagrodę? Jeżeli tak, to nagroda musi to być wiele warta, nieprawdaż? Atak na Kaplicę Sykstyńską podczas wyboru nowego papieża odbiłby się echem na świecie. Chcesz wywołać strach? Oto jak wywołujesz strach! Chcesz złamać wiarę ludzi? Oto jak to robisz! „Jak Bóg mógł do tego dopuścić?” Już słyszysz wszystkie te pytania, czyż nie?! Już ich widzisz na Placu z różańcami, zawodzących i wzywających niebios na pomoc. Wszyscy kardynałowie martwi. Setki najbardziej świątobliwych, najwierniejszych znika z powierzchni Ziemi. Pójdźmy dalej tym tropem - a co, jeśli tu nigdy nie chodziło o papieża jako osobę? Co, jeśli zawsze chodziło o papieżstwo jako urząd?

Dominico Neri popatrzył na Noaha. Z powagą.

- Nie zrozum mnie źle, ale już dawno minęliśmy ten punkt, kiedy zacząłem żałować, że cię spotkałem.

- Nie bierz tego do siebie, przyjacielu, ale uczucie jest wzajemne. Wiesz, że to ma sens.

- Niestety, ma. Ale nie w dobrym znaczeniu tego słowa.

- Musisz mnie tam wprowadzić.

- Nie mogę. Nikt nie wejdzie w czasie konklawe.

- Guzik mnie obchodzą zasady, Neri. Ja tylko chcę ratować życie, mogą mi dać klapsa za łamanie zasad, kiedy już wszyscy będą bezpieczni. Ok, nie znam procedury, co tam się teraz dzieje? Opowiedz mi o tym krok po kroku. Muszę mieć pojęcie, jak Abandonato zamierza to zrobić.

Neri wyjął z kieszeni puszkę z tytoniem i nie spieszył się, szykując sobie papierosa. Zapalił go i zaciągnął się głęboko, zanim odpowiedział:

- Kolegium Kardynalskie spotyka się we wnętrzu Kaplicy Sykstyńskiej. To jedno z najbardziej odizolowanych miejsc w całym Watykanie. Jedno z tych, gdzie najtrudniej się dostać, i nie można tam wejść z zewnątrz. Trzeba być wewnątrz Stolicy Apostolskiej. Jak już mówiłem, to forteca. Kardynałowie wybiorą jednego ze swojego grona, najlepiej nadającego się do przewodzenia Kościołowi w przyszłości, a dopóki nie podejmą decyzji, drzwi pozostaną zamknięte.

- Zgadza się, tak mniej więcej sobie myślałem - odpowiedział Noah, doprowadzając tę myśl do oczywistego wniosku. - A zatem wszyscy kardynałowie z całego świata znajdują się w tym pomieszczeniu, tak? Najbardziej świątobliwi ludzie wszyscy naraz w jednym miejscu?

Rzymianin wessał końcówkę cienkiego papierosa.

- Nie całkiem. Najstarsi, kardynałowie po osiemdziesiątce, tracą prawo uczestniczenia w konklawe. Wewnątrz Kaplicy będzie około 120 spośród 186 kardynałów.

- Ok, ujmę to inaczej: zakładając najgorsze, jedynymi, którzy by pozostali, byłiby albo ci z Alzheimerem, albo będący już jedną nogą i paroma palcami drugiej stopy w grobie. To na jedno wychodzi.

- Nie podoba mi się, jak pracuje twój umysł.

- Spróbuj z nim żyć na co dzień - odparł Noah. - Musisz mnie tam wprowadzić. Musisz. Bez względu na wszystko. Jeżeli musisz błagać swojego człowieka, to błagaj.

- To nie jest mój człowiek, jak to ująłeś. Corpo della Gendarmeria i karabinierzy nie przepadają za sobą. Chodzi o jurysdykcję. To jakby kot nasikał na ich terenie. Oni nas tam nie chcą. Nie mamy prawa tam przebywać. A współpraca? To koszmar.

- Masz odznakę, masz broń, wprowadź mnie tam - powtórzył Noah.

- To naprawdę nie jest takie proste. To Rzym, przyjacielu, ojczyzna biurokracji. Wyobraź sobie swój najgorszy koszmar, pomnóż go tysiąc razy, a otrzymasz jurysdykcyjną katastrofę. Dorzuć wiernych, którzy nie chcą przyznać, że przestępstwa naprawdę mogą się zdarzać w ich ogródku, a będziesz mieć definicję „watykańskiej” jurysdykcyjnej katastrofy. To zawsze jest o stopień gorsze niż wrzód na tyłku. Cóż mogę powiedzieć? Kiedy przekroczy się granicę Watykanu, wszelką logikę możesz wyrzucić przez okno.

- Słyszałem, że tak się dzieje, kiedy Bóg się w coś angażuje powiedział Noah. - Ale jest czas na robotę papierkową, Neri, i jest czas na szybkie skopanie komuś tyłka. Dawno minął czas na wypełnianie druczków. Pozwól, że zdradzę ci pewien sekret: czasem o wiele łatwiej jest przeproszać za coś, co się zrobiło, niż uzyskać najpierw pozwolenie, żeby w ogóle to zrobić.

Neri spojrział na niego z tym znużonym wyrazem twarzy, który zdawał się mówić: „ty tak na poważnie?”. A kiedy Neri uświadomił sobie, że tak, stał się bardzo milczący.

Noah mógł niemal czytać w jego myślach: „Ty jutro pojedziesz sobie do domu”, mógł myśleć Neri, „a ja nie. Całe gówno, jakie dzisiaj na siebie ściągniemy, spadnie na mnie i będę musiał w nim pływać do końca życia”. To pomyślałby Noah, gdyby był na jego miejscu.

Gianni Abandonato był zdesperowany. Co trzeci krok pokonywał prawie biegiem, tak bardzo się spieszył. Ruch uliczny mu nie sprzyjał. Na ulicach nie zobaczył ani jednej taksówki. Skończyło się tym, że przebiegł całą długość Via Del Circo Massimo z sutanną zadartą do kolan. Nie było w tym biegu ani odrobiny wdzięku ani chwały. Kapłan patrzył

prosto przed siebie, a gdy tak pędził, pot spływał mu po twarzy. Nie panował nad oddechem. Nie był wysportowanym mężczyzną. Żył wśród półek z książkami. Jego ćwiczeniami było zdejmowanie książek i odwracanie stron. Zanim dotarł do Ponte Palatino, już upadł na kolana, sapiąc i dysząc, i siłując się, żeby podnieść się z powrotem i biec dalej.

Popędzał go strach.

Mógłby zatelefonować do biura Corpo della Gendarmeria, ale co miałby im powiedzieć? Otrułem całe Kolegium Kardynalskie. Musicie przerwać konklawe. Musicie wydostać ich z Kaplicy. Nie uwierzyliby, a on nie byłby w stanie ich przekonać przez telefon. Musiał tam być osobiście. Musieli spojrzeć mu w twarz. Wtedy zrozumieją.

Ale musieliby jeszcze otworzyć pomieszczenie konklawe. To była misja skazana na porażkę.

Wiedział o tym, ale to nie mogło go powstrzymać, by nie spróbować.

Musiał. Jeżeli nie po to, by ich ocalić, to po to, by ocalić siebie.

- *Confiteor Deo omnipotenti et vobis* - mrucał; jego usta nawykły do modlitwy. - *Fratres, quia peccavi nimis, cogitatione, verbo, opere, et omissione: mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa. Ideo precor beatam Mariam semper Virginem, omnes Angelos et Sanctos, et vos, fratres, orare pro me ad Dominum Deum nostrum.* - Spowiadam się Bogu wszechmogącemu i wam, bracia, że bardzo zgrzeszyłem myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem: moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina. Przeto błagam Najświętszą Maryję, zawsze Dziewicę, wszystkich Aniołów i Świętych, i was bracia, o modlitwę za mnie do Pana Boga naszego.

Żadne wyznanie nigdy nie wystarczy, jeżeli nie zdoła ich powstrzymać przed rozpaleniem ognia.

Nie był w stanie myśleć. Samo przebieranie nogami i utrzymywanie się w pionie zużywało wszystkie jego siły. Zanim dotarł do Della Famesina, był już wykończony. Każdy następny krok pokonywał na drżących nogach. Jego mięśnie płonęły. Płuca trawił ogień. Wyciągnął rękę, żeby się podeprzeć, zataczając się na ściany domów, i brnął dalej. Wciąż znajdował się tak daleko od placu stworzonego przez Berniniego. Żałował tego biegu, ale nie mógł się zatrzymać. Wiedział, jak musiał wyglądać w oczach przechodniów. Nie jak bohater biegnący, żeby uratować świat.

Chwiejnym krokiem brnął naprzód.

Dominico Neri podszedł do posterunku żołnierzy Gwardii Szwajcarskiej i wyjął odznakę, która identyfikowała go jako karabiniera, jak gdyby mogła w tajemniczy sposób sprawić, że szlaban się dla niego podniesie. Nic takiego się nie stało. Strażnik ledwie rzucił na nią okiem i wzruszył ramionami, jak gdyby mówiąc: „No i co z tego? To nie robi na mnie wrażenia”.

Na posterunku znajdowało się czterech gwardzistów.

Żaden z nich nie wydawał się szczególnie uszczęśliwiony połączeniem upalnej pogody i ich ciężkich mundurów.

To nie było jedno z głównych wejść. Z powodu tłumów nie było sensu próbować nigdzie w pobliżu frontu bazyliki. To byłaby walka z góry skazana na porażkę. Neri nie był amatorem walk skazanych na porażkę. Poprowadził Noaha do bocznego wejścia z budką strażniczą, pełniącymi wartę chłopcami o poważnym twarzach i drogą za barierką, wychodzącą na plac przed kościołem i rozdzielającą się dalej w tuzin ścieżek biegnących między stłoczonymi budynkami.

- Sprowadź mi tu generalnego inspektora - zażądał Neri, wpatrując się prosto w twarz najmłodszego gwardzisty.

To była zwyczajna podwórkowa taktyka zastraszania i Neri był tego świadom, ale Noah miał rację. Później będzie mnóstwo czasu na przeprosiny. W tej chwili wystarczyło, że młody gwardzista stanął na baczność.

- Pańskie dokumenty - zażądał jeden ze strażników stojących obok, nieco starszy i nieco mniej skłonny, by dać się onieśmielić.

Nie chodziło mu o mignięcie odznaką przed nosem; gwardzista wyciągnął rękę. Neri podał mu swoje dokumenty. Strażnik znacząco spojrzał na Noaha.

- Ja nie mam - powiedział Noah. - Ale i tak zamierzam wejść, więc może po prostu podniesiesz ten szlaban i oszczędzisz nam wszystkim mnóstwo czasu i energii?

Jego niemal nonszalancka postawa nie znalazła uznania w oczach żołnierza.

Strażnik, który zabrał dokumenty Neriego, wrócił do budynku Gwardii. Bez wątpienia zamierzał zadzwonić do głównej kwatery karabinierów, żeby potwierdzić jego tożsamość, a później do swoich przełożonych, by spytać, z jakiego powodu ma ich zawrócić. Po kilku minutach wyszedł z telefonem bezprzewodowym w ręku i wyrazem twarzy, który mówił: „przegrałeś”. Podał telefon Neriemu i przesunął się, żeby stanąć mu na drodze.

Neri wiedział, że nie wejdą, już w chwili, gdy podnosił telefon do ucha.

Zanim zaczął przedstawiać ich sprawę policjantowi po drugiej stronie słuchawki, Noah dał nura po szlabanem i przemknął przez plac.

Mogli za nim krzyczeć i wrzeszczeć, ile dusza zapagnie. Neri, uśmiechając się, zdał sobie sprawę, że czasem o wiele łatwiej jest przeproszać za coś, co się zrobiło, niż uzyskać najpierw pozwolenie, żeby w ogóle to zrobić.

Jeden ze strażników wyciągnął pistolet, który miał przy pasie, i zaczął celować w plecy Noaha, jak gdyby zamierzał go położyć trupem w biegu.

- Nie ważcie się, żołnierzu! - warknął Neri, uderzając mężczyznę w ramię. - Ten człowiek jest z brytyjskiej Secret Service!

Nie miał zielonego pojęcia, jaki skutek wywołają jego słowa. Jednak nie spodziewał się, że najmłodszy żołnierz popatrzy na niego i powie:

- Jak James Bond 007 z licencją na zabijanie?

A wszystko to na jednym wstrzymanym oddechu, i ruszając biegiem za Noahem Larkinem, jakby ktoś wetknął mu raketę w tyłek.

Przez chwilę Neri sądził, że gwardzista próbuje go zatrzymać, ale potem zdał sobie sprawę, że młody żołnierz zamierzał mu pomóc, jak tylko zdoła. Neri pokręcił głową. Niekiedy brak słów, żeby opisać głupotę młodości.

Noah nie wiedział, dokąd biegnie.

Po prostu biegł.

Miejsce to było labiryntem wąskich ścieżek, przysłoniętych od góry alejek i wijących się bocznych uliczek, splecionych w pogmatwaną sieć między kaplicami i budynkami mieszkalnymi w tym najdziwniejszym z miast. Noah musiał się dostać do środka, co oznaczało znalezienie drzwi. Wystarczyłyby mu jakiekolwiek. Wiedział, że to nieprawda, lecz nie miał pomysłu, co jeszcze mógłby zrobić.

Próbował wyjrzeć ponad dachy, żeby dostrzec komin nad Kaplicą Sykstyńską i zorientować się, gdzie jest. To było bezcelowe.

Usłyszał za sobą ciężki stukot biegnących stóp i obrócił się, żeby obejrzeć się przez ramię. Młody gwardzista z posterunku przy szlabanie biegł za nim, trzymając przed sobą Berettę, jak gdyby mogła go ugryźć. Przez moment Noah pomyślał, że żołnierz zamierza go zatrzymać, i zaczął się znowu odwracać do niego plecami, domyślając się, że szkolenie żołnierza nie okaże się wystarczające, by nie zadrżała mu ręka, jeżeli przyjdzie mu strzelić mu w plecy albo go puścić.

I wtedy młody żołnierz zaskoczył go, wołając okrutnie pokaleczoną angielszczyzną:

- Ja pomóc tobie, James Bond!

Noah potrzebował chwili, żeby dotarło do niego, co to u licha ma znaczyć, i że nie zarobi kulki w plecy. Krzyknął:

- Kaplica Sykstyńska? Gdzie to jest?

- Ja pomóc, James Bond! - zawołał gwardzista. - Za mną!

Noah tak właściwie nie miał wyboru. Zdany tylko na siebie, mógł aż do Gwiazdki biegać w kółko niczym ślepa mysz i nawet nie zbliżyć się do Kaplicy.

Abandonato zamknął oczy. Był czerwony na twarzy, a włosy przykleiły mu się do głowy. Trząśnięcie. Szedł nieporadnie, oszczędzając prawą stronę ciała, ponieważ chwyciła go kolka. Dyszał.

Strażnik spojrział na niego, gdy się zbliżał. Kapłan był pewien, że gwardzista go zatrzyma. Że każe mu udowodnić, że ma prawo tu przebywać. Oczywiście, miał prawo, jego pokoje znajdowały się za murami. Mieszkał tutaj. W służbie Stolicy Apostolskiej było zaledwie stu dziesięciu zaprzysiężonych gwardzistów. Znał ich wszystkich z widzenia. Tak samo i oni znali go z widzenia. Gdyby go szukali, teraz by się tego dowiedział. Nie zatrzymali go. Strażnik skinął głową i odsunął się, przepuszczając Abandonato. To było absurdalnie proste. Nawet po zabójstwie ufali szacie. Liczył się kostium, ubiór, znajoma twarz. Miał ochotę wrzasnąć żołnierzowi prosto w twarz. Szata nie czyniła go tym dobrym! Mógł mieć oliwkowo-białą śródziemnomorską cerę, ale był w każdym calu tak samo nikczemnym terrorystą, jak każdy uzbrojony w bombę zamachowiec samobójca z Bliskiego Wschodu. Jedyna różnica polegała na tym, że za bardzo się bał, a jego „bomba” znajdowała się na miejscu, czekając tylko na płomień, który przepali plastikową osłonę i uwolni toksyczny gaz. Pośpiesznie przebierał nogami, kierując się do Kaplicy Sykstyńskiej.

Nie wiedział, jak miałby przerwać konklawe.

Nie pomyślał o tym zawczasu.

Spłowiałe barwy malowideł i korytarzy wydawały się Abandonato o wiele żywsze. Tak jakby świadomość, że wszystko wkrótce się skończy, wyostrzyła jego zmysły i uczyniła wszystko znacznie jaskrawszym i barwniejszym. Dostrzegał obrazy uczniów Michała Anioła i czeladników Berniniego, jak gdyby patrzył na nie po raz pierwszy. Każde pociągnięcie pędzla, nałożone tak wybornie. Miał ochotę zatrzymać się tu na dłużej, przebiec palcami po kolorach, jak gdyby mógł przesiąknąć ich świetlistością i wchłonąć ją przez skórę. Ale to były podszepty Szatana, starającego się go opóźnić, podczas gdy Szatan dokończy swoje dzieło. Przeklął sam siebie i spiesznie ruszył dalej, podążając trasą, którą jego stopy tak dobrze znały, i modląc się, żeby Bóg wciąż w niego wierzył. Daj mi siłę, prosił w myślach, wybiegając z ostatniego zakrętu.

Udało mu się. Ogarnęło go poczucie ulgi. Zdawało mu się, że go przygniecie. Zatoczył się do antykamery. Pochłaniała go tylko jedna myśl: musi się dostać do Kaplicy, zanim podpalą węgle.

Sześciu gwardzistów strzegło wejścia do kaplicy papieża Sykstusa - tych samych sześciu, którzy stali na scenie w Niemczech razem z Piotrem Rzymianinem. Wewnętrzny krąg, sześciu najbardziej lojalnych. Pięć par oczu patrzyło na wprost. Szósta spojrziała na Abandonato, gdy ugięły się pod nim nogi. Przez chwilę myślał, że upadnie jak długi na posadzkę. Nie upadł. Jedyne upadnięcie nastąpiło w jego wnętrzu. Nadzieja strącona w otchłań rozpacz. To zawsze ten najbardziej oddany, pomyślał Abandonato, krzyżując spojrzenie z mężczyzną, którego srebrne ostrze przebiło Ojca Świętego. Tak zawsze działali sykariusze.

A był tak blisko.

Za daleko o jedne drzwi.

Ale te drzwi nie były tylko zamknięte i strzeżone, one były zamknięte i strzeżone przez mordercę Piotra, ostatniego sykaryjskiego zabójcę. Zabójca miał jeszcze jedno, ostatnie zadanie: dopilnować, żeby pieczęć konklawe nie została złamana, dopóki nie zostanie wybrany nowy Namiestnik Chrystusa - ale wtedy Kolegium Kardynalskie będzie już martwe, zamordowane nie przez zabójcę, lecz ręką Abandonato.

Wiedział, że nic nie działo.

Wiedział, że zawiódł.

Jednak musiał spróbować.

- Muszę mówić z Kardynałem Diakonem - zażądał bez tchu.

Jego słowom brakowało przekonania, jak gdyby spodziewał się odmowy. Ledwie udało mu się złapać tyle powietrza, żeby wypowiedzieć słowa. Był strzępem człowieka.

- Konklawe jest zapieczętowane, monsignor - odpowiedział zabójca. - Pieczęć nie może zostać złamana. Takie są reguły konklawe. Jakąkolwiek przynosisz wiadomość, musi zaczekać.

- Nie - błagał Abandonato. - Nie może. Muszę pomówić z Kardynałem Diakonem. -

Zrobił krok do przodu, wyciągając ręce, żeby chwycić mundur strażnika i potrząsnąć nim, by zrozumiał... lecz on, oczywiście, rozumiał. Sam to zaaranżował. Ten mężczyzna był lewą ręką Solomona. Abandonato zawahał się, dopowiadając w myślach: „najbardziej lojalny”. Wydawało się to plugawe, gdy dotyczyło zamiarów mordercy. Kapłan nie wiedział nawet, jak brzmi jego prawdziwe nazwisko. Nie był Szwajcarem, cała jego tożsamość była oszustwem, chociaż rzeczywiście nieco przypominał młodego mężczyznę, którego życie ukraść. Kiedy zapłonął ogień, on opuścił Stolicę Apostolską i powrócił do swego pana, gdyż jego praca tutaj dobiegnie końca. Abandonato powstrzymał się przed uczepieniem się kaftana mężczyzny. Jego dłoń tylko zawisła między nimi dwoma, sięgając ku niemu, podczas gdy strażnik wpatrywał się w Abandonato. Kapłan dostrzegł najczarniejszą nienawiść tłącą się w jego oczach.

- Proszę się opanować, monsignor. Konklawe nie może zostać przerwane.

- Nie rozumiesz - powiedział. - Musicie otworzyć drzwi. Musicie mnie wpuścić. Proszę.

Abandonato błagał. Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć. Przez całą drogę aż tutaj myślał wyłącznie o tym, żeby dostać się do tych drzwi, jak gdyby Bóg miał sprawić, że staną przed nim otworem, niczym fale przed Mojżeszem. Nie spodziewał się, że zabójca zastąpi mu drogę. Sądził, że po prostu zda się na ich łaskę. Był tak blisko. Jedne drzwi to wszystko, co stało między nim a odkupieniem. Nie potrafił tego znieść. Sięgnął ku łańcuchom na drzwiach, lecz dwóch gwardzistów obok niego ujęło go za ramiona, powstrzymując go siłą. Nie byli delikatni.

- Jest zdrajca - odezwał się, ledwie mogąc wydać z siebie głos. - Konklawe zostało naruszone...

- To niemożliwe - zabójca odpowiedział rzeczowym tonem. Jego czarne oczy przesywały Abandonato. - Trzymamy straż od chwili, gdy drzwi zostały zapieczętowane. Nikt nie wszedł. Nikt nie wyszedł. Takie są zasady konklawe. Mylisz się, monsignor. Tu nie ma zdrajcy. Jeżeli będziesz się upierał, żeby siłą wtargnąć do kaplicy, nie będziemy mieć innego wyboru, jak tylko pomyśleć, że to ty nosisz zdradę w sercu, i będziemy musieli cię powstrzymać. Nie sprawia mi to satysfakcji, monsignor, ale reguły to reguły.

Abandonato poczuł, jak opuszczają go wszystkie siły.

- Zmiłowania - błagał.

Ale tu nie było zmiłowania. Ani odkupienia. Jego grzechy go dopadły.

Zabójca podszedł bliżej. Jego wargi znalazły się nie dalej niż centymetry od ucha Abandonato, gdy mówił:

- Wracaj do swojej kwatery, monsignor. Niech się dzieje wola Boża. Gdy skończę służbę, przyjdę zobaczyć, jak się miewasz. Dopilnuję, żebyś miał dobrą opiekę. Rozumiem twój żal i ból, ale musisz postępować zgodnie z wolą naszego Ojca, tak jak my wszyscy.

Abandonato przygarbił się.

- Z Bogiem, monsignor - powiedział zabójca, a z jego tonu kapłan wiedział, że się z niego naigrawa.

Abandonato miał ochotę krzyczeć, ale mógł tylko odwrócić się plecami. Nie był wojownikiem. Nie miał broni, a nawet gdyby miał, nie byłby w stanie się nią posłużyć. Przemoc kłóciła się ze wszystkim, w co wierzył. Ale tak mało pozostało mu rzeczy, w które mógł wierzyć. Pragnął wierzyć, że został zwiedziony, jak Ewa, skuszony do wstąpienia na ścieżkę zła, ale to była słabość. On sam wybrał swoją ścieżkę. Sam postawił na niej pierwszy krok. To był jego wybór. Wąży istniał, ale on sam dokonał wyboru. Pan dał mu wolną wolę, a on ją wykorzystał, żeby Go zdradzić. Abandonato nie mógł nic zrobić, żeby zmusić ich do złamania pieczęci i zdjęcia łańcuchów. To była jego kara. Sprowadził śmierć do Domu Pańskiego, a śmierci nie da się zadowolić błaganiami, modlitwą czy poczuciem winy. Jej głód był nienasycony. Zaspokoić go mogło tylko to, co nieuniknione. Ponad setka dusz odnajdzie chwałę Bożą wcześniej, niż im pisane. I to przez niego.

Dwóch gwardzistów, którzy trzymali go za ramiona, odprowadziło go na koniec korytarza, a potem skrzyżowało halabardy, zagrządzając drogę i uniemożliwiając mu próbę powrotu pod drzwi.

Spojrzał na każdego z nich po kolei.

- Musicie przerwać konklawe - apelował. - Nie można im pozwolić głosować. Wszyscy umrą. - Wiedział, że mówi jak szaleniec. Był zdesperowany, a to odarło go z rozsądku.

Ich spojrzenia nawet nie drgnęły. Jak gdyby już stał się duchem.

W końcu nie miał innego wyjścia, jak tylko odejść. Nie było innego wejścia. Zabójca miał rację, mówiąc, że to forteca. Jeżeli Abandonato nie mógł ich minąć, nie było sposobu, żeby mógł powstrzymać głosowanie, a jeżeli nie mógł powstrzymać głosownia, to nie mógł zapobiec rozpaleniu ognia.

Był potępiony.

Zawiódł żywych.

I nieuchronnie zawiedzie zmarłych.

Imiona posiadały moc. Jego nazwisko też okazało się prawdziwe. Gianni Abandonato, Gianni Opuszczony.

Nie będzie dla niego miejsca u boku Pana. Nie, gdy ma ich wciąż świeżą krew na rękach. Jakież to stosowne, że dał się omamić srebrnoustemu Solomonowi i tak zwanej prawdzie Judasza. Zaśmiał się z goryczą. Ten odgłos ścigał go po Stolicy Apostolskiej.

Wiedział już, jak musiał się czuć Iskariota, uwięziony w pułapce jedyne go możliwego kroku, jaki pozostał mu na koniec.

Abandonato włókł się korytarzami, zatracając się w żalu, ze zwieszoną głową i dłońmi splecionymi do modlitwy, lecz słowa modlitwy nie zdołały się przedrzeć do jego warg.

Postanowił się zabić, chociaż ta jedna śmierć nie miała zaspokoić bestii, którą wypuścił w murach Stolicy Apostolskiej.

- Ojcze, wybac mi - powiedział, wąpiąc, czy zdolność wybaczenia Wszechmogącego może być tak olbrzymia, by pomieścić jego zbrodnię.

I wtedy ktoś zawołał go po nazwisku.

Podniósł wzrok.

Noah nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Musiał poświęcić chwilę i uważnie się przyjrzeć, żeby rozpoznać, że człowiekiem, który pospiesznie sunął ku nim wąskim korytarzem, był Gianni Abandonato. Wyszedł z jednego z mniejszych korytarzy łączących się z tym, w którym się znajdowali. Abandonato miał zwieszoną głowę i ręce splecione przed sobą jakby do modlitwy, ale kiedy Noah zawołał go po nazwisku, jego głowa podniosła się gwałtownie i kapłan stanął jak wryty. Nie było wątpliwości, że to on.

- Abandonato! - Głos Noaha zagrzemiał, wypełniając malowaną komnatę.

Monsignor wyglądał jak przestraszony królik w pułapce i cofnął się o krok. Noah zobaczył pot, nerwowe tiki, chód niemal jak u robota - wszystkie klasyczne oznaki zamachowca samobójcy. Miał tylko ułamek sekundy do namysłu. Ręce kapłana były ukryte pod sutanną. Mogły ścisnąć detonator albo mogły być puste. Noah nie miał tego luksusu, by móc popełnić błąd.

Ubiór Abandonato był na tyle luźny, by coś pod nim schować. Bomba nie musiała być skomplikowana, gdyby dostał się do Kaplicy, nawet najmniej wyrafinowane kulki z łożyska i gwoździe połączone z dynamitem mogły uśmiercić wszystkich w zasięgu eksplozji. To byłaby jatka. Noah w żaden sposób nie mógł stwierdzić, czy kapłan ma na sobie kable podłączone do bomby. Szedł niepewnie. Wydawał się oszczędzać jedną stronę ciała, prawą. To mogło oznaczać, że niósł coś ciężkiego, co zmieniało jego chód. Noah miał ułamek sekundy, by to wszystko rozważyć.

- Na kolana! Już! - wrzasnął.

Kiedy Abandonato nie uklęknął, nie krzyknął ponownie. Nie mógł ryzykować, co by się stało, gdyby kapłan wolał zginąć jak męczennik.

Abandonato wydawał się przez chwilę tkwić w pułapce mezdecydowania, a potem odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Ten jeden desperacki krok powiedział Noahowi wszystko, co musiał wiedzieć.

Jednym płynnym ruchem wyciągnął broń i wypalił.

Obok niego gwardzista, który pragnął zaprzyjaźnić się z Jamesem Bondem, wpakował trzy kule w monsignora, gdy jego ciało drgnęło i upadło. Gdy osunęło się na posadzkę, wstrzelił do niego jeszcze raz. Abandonato szarpnął się raz i gwałtownym spazmie, a potem całkowicie znieruchomiał.

Noah ostrożnie podszedł do ciała. Trzymał broń wycelowaną w mężczyznę. Gdyby dostrzegł cokolwiek, najłżejsze poruszenie, wpakowałby w niego kolejną kulę. Stał nad Abandonato i spojrzał na niego. Kapłan jeszcze całkiem nie odszedł. Uparcie trzymał się życia. Noah przykucnął obok niego, odsuwając mu ręce z dala od fałd sutanny. Nie trzymał w nich detonatora. Ostatnie tchnienia świątobliwego męża brzmiało jak dziwny jękliwy świst wydostający się spomiędzy zębów.

Noah czuł, jak adrenalina buzuje mu w żyłach. Zawsze tak się działo, nagły kop, a potem już było za późno, adrenalina rozpałała mu krew. Czuł się dobrze. Wykonał swoje zadanie. Powiodło mu się tam, gdzie Konstantin zawiodł. Uratował kardynałów. Od razu wiedział, że będzie świętował. Choć raz. Choćby po to, żeby zobaczyć minę Rosjanina. Uśmiechnął się sam do siebie, wyobrażając sobie minę, jaką zareaguje na jego dowcipy. Miał czas przez całą drogę powrotną z Rzymu do Nonesuch, żeby wymyślić zabójcze riposty.

Abandonato usiłował coś powiedzieć.

- Żadnego ostatniego namaszczenia, ojcze - odezwał się do niego Noah, przyklękając obok niego. - Za późno na to. Pójdiesz do piekła.

- Proszę - zdołał wyszeptać Abandonato.

Był to ledwie oddech. Noah nachylał się coraz niżej, aż wreszcie mógł poczuć zamierający oddech na swoim policzku. Wraz z nim, jak duch, pojawiło się słowo.

- Ogień.

- Zgadza się, koleś. Tam właśnie idziesz. Będziesz się smażył w piekle.

Abandonato go nie słyszał.

Był już martwy.

Noah sprawdził puls na szyi kapłana. Jeśli nie oczekiwać wskrzeszenia, to Abandonato już nie wstanie.

Zamknął mu oczy.

Obmacał martwego mężczyznę. Abandonato nie miał na sobie bomby u pasa ani niczego takiego. Noah sprawdził jego kieszenie. Nie znalazł detonatora. Jeżeli to zamachowiec samobójca, to niezbyt skuteczny. Wykonał tylko pięćdziesiąt procent roboty.

Noah dźwignął się na równe nogi.

- Lepiej sprowadź kogoś, żeby posprzątał ten bałagan - powiedział do stojącego obok niego młodego żołnierza.

Dokonał tego.

Gdyby był człowiekiem religijnym, złożyłby dzięki Bogu.

Ale nie był.

Zamiast tego wyjął z kieszeni telefon komórkowy i zadzwonił do domu.

- Już po wszystkim - powiedział Lethemu. - Ksiądz nie żyje. Dotarłem do niego, zanim zdążył dokończyć.

- A zatem dzisiaj mamy dobry dzień, nie sądzisz? - spytał Lethe.

- Jeden z lepszych - zgodził się Noah. - Czasem miło jest być po stronie aniołów.

- Amen, bracie. Pora wracać do domu.

Noah rozłączył się.

- Zrób mi przyjemność - odezwał się do żołnierza. - Chcę pójść do Kaplicy, upewnić się, czy wszystko jest w porządku. Ty zostań tutaj. Jeżeli facet się ruszy, zastrzel go jeszcze raz.

Młody gwardzista poważnie skinął głową.

Noah przeszedł korytarzem aż do drzwi Kaplicy Sykstyńskiej. Na straży stało tylko pięciu gwardzistów. Jeden ze strażników podszedł w jego stronę. Noah mglście go sobie przypominał, ale niestety zaczynał już myśleć, że jeden pajac wygląda zupełnie tak samo, jak każdy inny.

Zobaczył ceremonialny łańcuch przewleczony przez klamki srebrnych drzwi. Z miejsca, gdzie stał, nie mógł dojrzeć, czy pieczęć została złamana.

- Czy ktokolwiek wchodził do Kaplicy od chwili rozpoczęcia konklawe? - zapytał Noah.

- Nikomu nie wolno przerywać konklawe, sir - odpowiedział strażnik po angielsku z lekkim akcentem.

Mężczyzna nieznacznie się uśmiechnął.

- Wiem. Ale to, że nikomu nie wolno, nie znaczy, że nikt nie wszedł. Mnie też nie wolno tu być, ale jestem - odparł Noah.

- Pieczęć nie została złamana, sir.

Dopiero gdy znalazł się na stopniach bazyliki św. Piotra i schodził na Plac, coś go uderzyło. Kapłan szedł w złą stronę. On wcale nie zmierzał do Kaplicy. Nie mógł. Musiał z niej wracać. W przeciwnym razie Noah dotarłby tam przed nim. Była tylko jedna droga prowadząca do i z Kaplicy Sykstyńskiej.

Sprawdził zwłoki Abandonato. Były czyste. Żadnej bomby. Żadnego detonatora. Żadnej bron. Nic.

To nie miało sensu.

Strażnik zarzekał się, że nikt nie wchodził do Kaplicy po tym, jak ją zapieczętowano. Neri zapewnił go, że watykańska policja podjęła wszelkie środki bezpieczeństwa, zanim kardynałowie zostali zamknięci, szukając podsłuchów i innych urządzeń. To miejsce było jak forteca. Ludzie powtarzali mu to przez cały dzień. Istniała tylko jedna droga, którą można było wejść i wyjść, a tej strzegli gwardziści. Miejsce nie mogłoby być bardziej zabezpieczone, nawet gdyby obłożono je ołowiem i zakopano ze dwadzieścia metrów pod ziemią.

Odwrócił się, żeby popatrzeć na bazylikę.

Z komina unosił się czarny dym.

Wszędzie wokół niego wśród wiernych rozległy się pomruki rozczarowania.

Nie będzie dzisiaj nowego papieża.

Zaś Noah odpręży się, bo dym oznaczał, że byli bezpieczni.

Za jego plecami ekipy telewizyjne zaczęły relacjonować oczekującemu światu pojawienie się czarnego dymu. Wiadomość była czytelna. Kardynałowie nie osiągnęli porozumienia. Kolejne głosowanie odbędzie się za trzy dni.

Do tej pory wierni pozostaną bez duchowego przywódcy.

Noah odszedł i wmieszał się w tłum.

Teraz chciał już tylko wrócić do domu. Nie miał ochoty być sam. Nigdy tego nie lubił. Nie lubił godzin spędzanych w ciemności. Nie lubił ciszy. To była mroczna kraina, w której mieszkały jego duchy. To dlatego pił. To dlatego płacił kobietom, żeby dzieliły z nim łóżko. Może stanąć twarzą w twarz z umarłymi, kiedy już dołączy do nich w piekielnych czeluściach. Do tej pory chciał słyszeć obok siebie czyjś oddech, tak jakby płytkie wznoszenie się i opadanie czyjejś piersi mogło przeszkodzić umarłym, żeby go nie znaleźli.

Niech będzie błogosławiona cisza.

Noah siedział wraz z Nerim w tej samej kafejce, popijając taką samą gęstą, mocną kawę, podczas gdy na ekranie telewizora obraz przeskoczył z twarzy prezentera na jednego z licznych reporterów relacjonujących konklawe. Ich rozmowa zbaczała od Juventusu na supermodelki i szybkie auta. Była to swobodna pogawędka dwóch mężczyzn, których przyjaźń została wykuta w piekle i którzy razem wydostali się z otchłani. Noah spojrzął na zegarek. Miał jeszcze cztery godziny, póki G5 sir Charlesa nie będzie gotowy do odlotu, a to oznaczało mnóstwo czasu na to, by chłonać zachwycające piękno miasta albo zachwycające piękności miasta przechadzające się obok. Noah wybrał mniej męczącą opcję. Naprawdę było coś w tych dwudziestoparoletnich rzymskich kobietach, które obserwował, gdy się śmiały i żartowały, skupione na samych sobie, jak to potrafią tylko dwudziestoparolatki. Tak jakby świat wokół nich nie istniał. Noah chwalił sobie widoki.

- Bardzo przyjemne dla oka - odezwał się do Neriego.

- To Rzym, przyjacielu - zgodził się Dominico Neri. - Nawet budowle mają tyle uroku, że wyglądają seksownie.

Noah uśmiechnął się.

- Muszę tu wrócić któregoś dnia, kiedy nie będzie żadnego kryzysu, i poświęcić trochę czasu na podziwianie urody miasta na siedmiu wzgórzach.

- Jest też kanapa z wypisanym twoim imieniem, przyjacielu.

Na ekranie za plecami Neriego dostrzegł nagły ruch. To przyciągnęło uwagę Noaha. Przykuła ją twarz na ekranie. To był Akim Caspi. Solomon. Trzymał mikrofon RTL i mówił.

- Daj głośniej! - krzyknął Noah, odsuwając krzesło od stolika i wstając.

Neri obrócił się, starając się zobaczyć, o co chodzi Noahowi.

- Carabinieri! Podgłośnij ten przekłety telewizor! - Noah wrzasnął na barmankę za kontuarem. Wydawało się, że kobieta nie wie, co ma zrobić. - Daj mi tego cholernego pilota!

Noah dał susa między stolikami, żeby stanąć pod telewizorem. Ledwie mógł dosłyszeć mowę Solomona. Usłyszy ją jeszcze po wielokroć w ciągu najbliższych dni, ale w tej chwili był to ledwie szept, póki barmanka nie znalazła przycisku głośności.

Neri podszedł i stanął obok Noaha.

- Nie znacie mojego nazwiska - Solomon mówił do nich z ekranu telewizora - lecz je poznacie. Będzie ono na waszych ustach każdego dnia przez resztę waszego życia. Mówię wam, że wasz Kościół zbudowany jest na kłamstwach i śmierci. Jego fundamentem nie jest skała Piotrowa, jest nim wysławianie fałszywego mesjasza. Dzisiaj przynoszę śmierć z powrotem na próg Rzymu. Przez pięć stuleci Rzym torturował moich ludzi. Przez ponad pięć wieków zamieniał ich w niewolników. Wypędzał ich z ich ojczyzny. Usiłował zmasakrować ich imię i ich dom z powierzchni Ziemi, tak głęboka i bezrozumna była jego nienawiść.

Dzisiaj to się zmienia. To moje ostrze zabiło Piotra Rzymianina. To ostrze wykute ze srebrników Judasza Iskarioty. Monety, którymi opłacono śmierć waszego mesjasza, dziś również zostały użyte. Przyniosły kolejną śmierć, tym razem głowy Kościoła Rzymskiego, a wraz z jego śmiercią świat stał się gotowy na przyjęcie nowego mesjasza.

Patrzył prosto z ekranu. Jego urodziwa twarz była stworzona dla Hollywood.

Za jego plecami obraz rozpadł się na grube ziarna pikseli ze szpiegowskiego aparatu fotograficznego z obiektywem otworkowym, ukrytego w Kaplicy Sykstyńskiej.

Noah dopiero po chwili zdał sobie sprawę, co widzi.

Kardynałowie byli martwi.

Niektórzy umarli na kolanach podczas modlitwy, zapatrzeni w otchłanie samego piekła. Inni leżeli na plecach, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w piękno sklepienia Michała Anioła, niedosiężne tak, jak samo niebo.

Twarz Solomona powróciła na ekran.

| - Jestem Solomon. Zapamiętajcie moje imię.

A potem zniknął, zaś kamera wpatrywała się w fasadę Madamy. Chwilę później obraz na żywo został zastąpiony przez ziarnisty obraz ukazujący zmarłych w Kaplicy, który powrócił i wypełnił ekran telewizora.

Noah wydostał się przez szklane drzwi kawiarni w narastający popołudniowy upał. Tysiące ludzi ciągle cisnęło się na Placu. Noah zobaczył wóz transmisyjny RTL. Zaczął rozpychać ludzi, żeby się do niego dostać.

Ale zanim tam dotarł, Solomon już dawno zniknął.

Noah grzmotnął pięścią w bok wozu.

On tutaj był.

Stał pośród nich i prawie powiedział im prosto w twarz: „wasz bóg nie żyje”.

Noah otworzył drzwi wozu transmisyjnego i wspiął się do środka.

Prezenterka leżała martwa i zakrwawiona na jednym z krzeseł, jej kamerzysta leżał bez życia na podłodze u jej stóp. Wszystkie monitory pokazywały ziarnisty obraz prosto z wnętrza samej Kaplicy. Noah nie miał pojęcia, jak wyłączyć nadawanie, więc podszedł do konsol z mnóstwem przełączników i wskaźników, szarpiąc za wszystko, aż obraz zgasł.

Neri wszedł do wozu tuż za nim.

Wyglądał jak żywy trup. Pospieszenie mówił coś po włosku przez telefon komórkowy, potrząsając głową i gestykułując.

Noah nie słuchał go.

Znalazł podarek, który zostawił dla niego Solomon.

Kobieta zaciskała w dłoniach sakiewkę z podniszczonej skóry. Noah wydostał ją pomiędzy jej martwych palców, i wysypał zawartość. Trzydzieści sztuk srebra rozsypało się po konsolce. Była też karteczka. Rozwinął ją. Wiadomość napisano krwią.

„Wszystkie długi spłacone do końca”.

- Nawet nie w połowie - powiedział Noah.

Zaczynała docierać do niego prawda o tym, jak bardzo zawiódł.

Stojący obok niego Dominico Neri przeżegnał się.